



# Migotania

Gazeta Literacka

Nr 4 (73) 2021 kwartalnik

Fundacja

ŚwiatłoLiteratury

*Bo słowa, które składasz muszą  
być święte, muszą być sztandarem”.*  
W. Zawistowski, Sebastian von Swissau...

**Polecamy:**

- Marian Pilot, proza
- Anna Frajlich, Dziennik 1976 r.
- Małgorzata Wendrychowska-Dorna, Wspomnienie o R. Bukowskim
- Jerzy Przybyła, wiersze
- Z pamiętnika ochotniczki, Alicji Korzeniowskiej, PAMIĘTNIK
- Maria Jentys-Borełowska, Głos obywatelski z przeszłości, E. Orzeszkowa

**Numer podwójny**

## Linda Vilhjálmisdóttir

13 kwietnia do 22 kwietnia

zakończywszy kwarantannę uznajemy za bezpieczne  
spożyć razem baranka paschalnego

ja mąż mój i siostra  
jej córka i wnuczka

z dystansem między sobą i dezynfektantem  
zamiast sosu do mięsa

następnego ranka kulę się  
na każde kichnięcie i kasznięcie

i uznać mogę za pewnik  
że na sztorm się zanosi

TLUMACZENIE: JACEK GODEK

**W numerze prezentujemy prace: Wojśława Brydaka  
Plakat poetycki: Andrzej Wołosewicz  
Plakat artystyczny: Wojśław Brydak**

Roman Warszewski

jedną z nich zabiorę ze sobą na drugą stronę. Niech choć jedna z nich dotrzyma mi towarzystwa w tej trudnej drodze".

Poprosił więc czwartą żonę, tę najukochańszą, aby wraz z nim umarła i poszła na drugi brzeg rzeki, która oddziela życie

od lat nie widziła jej słońce i od dawna przymierała głodem.

Mężczyzna był zaskoczony. Odpowiedział: – Witaj! Cieszę się, że przyszłaś, mimo że cię nie wołałem. Powinienem być – dopóki mogłem – lepiej się tobą opiekować.

## CZTERY ŻONY I CZTEREJ MĘŻOWIE. PRZYPOWIEŚĆ ZNAD OSTATNIEJ RZEKI

Był mężczyzna, który miał cztery żony. (Równie dobrze można by napisać: była kobieta, która miała czterech mężów.) Najmocniej kochał czwartą z nich, którą poślubił jako ostatnią. Dobrze się nią opiekował, obspynał biżuterią, dawał jej to, co miał najlepszego.

Wciąż kochał też swoją trzecią żonę i zawsze chciał pochwalić się nią przed znajomymi. Ale bał się, że ona spłata mu figla i ucieknie z innym mężczyzną. Mimo to myślał: „Jak dobrze, że żyję w kraju, w którym można mieć kilka żon.”

Ciepłymi myślami obdarzał też swoją drugą żonę, a ona odpycała mu tym, że często pomagała mu w trudnych chwilach, których – jak to w życiu – nie brakowało. Lubił z nią rozmawiać, a ona chętnie rozmawiała z nim.

Z pierwszą żoną układało mu się najgorzej, choć znał się z nią najdłużej. (Może po tylu latach mu się znudziła?) Chyba w ogóle jej nie kochał, choć ona niezmiennie, jak za pierwszych dni, darzyła go uwielbieniem, była wobec niego bardzo lojalna i ze wszystkich sił nim się opiekowała.

Pewnego dnia mężczyzna zachorował (kobieta zachorowała) i widział, że wkrótce umrze (i wiedziała, że niedługo umrze). Powiedział do siebie: „Mam cztery żony. Choć

od śmierci. – Zapomnij o tym. Nie wymagaj ode mnie takiego poświęcenia – odparła. I odeszła bez słowa.

Przywołał więc do siebie trzecią żonę – tę którą także lubił. Zaproponował jej to samo. Odpowiedziała mu: – Życie jest tak cudowne! Nie chcę się z nim rozstawać! Lepiej tu zostań. Jak umrzesz, ponownie wyjdę za mąż.

Druga żona mu powiedziała: – Przepraszam, ale tym razem nie mogę ci pomóc. Co najwyżej w rozpacz i czerni odprowadzę cię do grobu. Na więcej, proszę, nie licz.

Mężczyźnie (kobiecie) zrobiło się smutno – jego (jej) serce prawie pękło. Trzy żony go zawiodły – te, z którymi czuł się związany najbliżej: począwszy od tej najukochańszej, skończywszy na tej, z którą nadal nieźle się rozumiał.

Wtedy niespodziewanie usłyszał jakiś głos – ze środka?, z góry?: – Odejdź z tobą. Pójdę niezależnie na to, dokąd się wybierasz. Nie straszna mi żadna rzeka – ani pierwsza, ani środkowa, ani ta ostatnia. Możesz na mnie liczyć. Jak zawsze. Choć pewnie o tym już zapomniałeś.

To mówiła jego pierwsza żona. Była wiotka, wątła, prawie półprzezroczysta – jakby

Wiem, że cię zawiodłem, choć ty nadal o mnie pamiętasz...

Wszyscy w życiu mamy cztery żony (czterech mężów). Czwarta żona (mąż) – to nasze ciało. Nie ważne, ile czasu i ile wysiłków byśmy mu poświęcali. Koniec końców, jak umrzemy – i tak nas zostawi.

Trzecią żoną (mężem) to nasze rzeczy – przemioty, którym na co dzień poświęcamy tyle uwagi. Ale kiedy przejdziemy przez ostatnią rzekę, wszystko to idzie albo na śmietnik – albo biją się o to inni.

Drugi mąż (żona) to nasza rodzina i przyjaciele. Bez względu na to, jak blisko byśmy z nimi byli, najdłużej mogą z nami pozostać aż po grób.

Pierwsza żona (lub mąż) to nasza dusza i duch – *animus, anima*. Często z biegiem lat zapominamy, że ona (on) istnieje. Zaniebujemy ją, udajemy, że jej nie ma. Przypominamy sobie o niej dopiero wtedy, gdy wokół pozostaje tylko pustka. Wtedy często się okazuje, że już na cokolwiek za późno.

(Inspiracją tej przypowieści była wymiana smsów z doktorem **Januszem Szelugą**, autorem m.in. „Hermeneutyki miłości”, gdy zbliżał się do ostatniej rzeki, albo może znajdował się już nawet w połowie jej nurtu.)

ROMAN WARSZEWSKI

Marek Wawrzekiewicz

## DZIEWICTWO

„Trylogię” Sienkiewicza przeczytałem jako dwięćdziesięcioletnie pachole i lekturze tej pozostałem wierny przez prawie stulecie. I teraz, co kilka lat wracam do swoich ulubionych stron z upodobaniem, ale też z rodzajem refleksji. Choć mam świadomość, że jest ona niestosowna.

Ktoś – niestety – przede mną, zauważył świętokradczo, pewien defekt w dziele naszego pierwszego Noblisty. Przypomnę, a nawet zakontynuuję.

Najbardziej wyrazistymi postaciami w „Ogniu i mieczem” są Onufry Zagłoba i Rzędzian. W mniejszym stopniu dotarczają do nich hetman Chmielnicki, Tuhaj-bej (w filmie Hoffmana homoseksualista), książę Jerema Wiśniowiecki, którego w świetle dzisiejszych praw należałoby uznać za ludobójcę (choć rodem z wypraw krzyżowych: przysięga na Święty Krzyż, że nie spocznie dopóty, dopóki w pień nie wyrżnie wszelkiej czerni) oraz kilku innych epizodycznych bohaterów.

Jan Skrzetuski jest postacią tyle pierwszoplanową, co pierwszorzędnie papierową. Składa się na niego wiara w Boga i Ojczyznę, hermetyczne męstwo, szermierka i miłość do Heleny. Jak Bóg przykazał – platoniczna, bo dopiero po zakończeniu powieści i ślubie – spłodził dwunastu synów. Nic dziwnego – po taki trzytomowym

rozbiegu! A przecież system 500+ jeszcze nam nie majaczył.

Otóż sądzę, że gdyby nie to platoniczne uczucie, to całą trylogię należałoby napisać na nowo. Jak? Nie mam pojęcia. Ale pomyślmy: kniahini Kurcewiczowa nie łamie słowa danego Bohunowi i oddaje mu Helenę, ta zaś wychodzi za mąż w obrzydku – o zgrozo! – prawostawnym. Albo: Bohun w towarzystwie licznych hajdamaków, mołojców i pohańców dokonuje niecznego czynu i ta tłuszcza gromadnie odbiera Helenie cnotę. Bohaterski Skrzetuski rozpacza nie tylko dlatego, że jego ukochana być może nie żyje, ale również – co gorsza – dlatego, że nie jest już dziewicą. Gdyby więc doszło do tego nieszcześcia, to cały wątek romansowy ległby w gruzach, w krwi bratniej i w dymach pożarów. Ale na szczęście wszystko było jak trzeba – tzn. tak, jak minister Czarnek przykazał: najważniejsze są niewieście cnoty (na pewno w liczbie mnogiej?). Jestem niegodnym przedstawicielem płci męskiej: imponują mi postaci Wołodyjowskiego, który zajęty codzienną rąbaniną, na miłości nie miał czasu (dopiero w powieści zatytułowanej jego nazwiskiem) i Longina Podbięty – ten obiecał czystość do czasu odrąbanie jednym zamachem trzech

głów; odrąbał i czystość zachował, bo go zaraz strzałami na wylot przebito. Gdzie nam do tych czasów! Ani mieczy typu zerkwaptur, ani strzał odpowiednich, a co dopiero mówić o obiektach na strzał się wystawiających.

Sienkiewicz, mąż trzykrotnie żonaty, osobliwie upodobał sobie dziewictwo – jego bohaterki z „Potopu”, „Quo vadis”, „Rodziny Połanieckich”, ten najcenniejszy klejnot niewieści ronił dopiero w małżeńskiej pościeli. Potem przeważnie przestają być obiektem zainteresowania autora – ich twórcy. Jako wielbiciel twórczości Miśtra Henryka ubolewam, że dziewictwo w naszych czasach jest mniej niż ongiś cenione.

Nie czuję się ekspertem w tych kwestiach, toteż poprosiłem o konsultację trzech profesorów nauk medycznych i kilkoro pomniejszych lekarzy. Otóż, ku mojemu zdumieniu, stwierdzili oni jednogłośnie, że amputacja błony dziewiczej – niezależnie od tego, jakimi metodami by ją przeprowadzano – nie powoduje katastrofalnych zmian w organizmie dziewczicy.

Uznałem, że jest to wiadomość krępująca serce.

MAREK WAWRZEKIEWICZ

Roman Warszawski, Cztery żony i czterej mężowie. Przypowieść znad Ostatniej Rzeki.....	str.2
Marek Wawrzkiwicz, Dziewictwo, FELIETON.....	str.2
Marian Pilot, Z Rzymu, PROZA.....	str.3
Czesław Karkowski, Podróż wyobraźni, ESEJ.....	str.7
Ezra Pound, Canto 4, tłum. Czesław Karkowski.....	str.10
Agnieszka Wiktorowska-Chmielewska, wiersze, Taniec wariata.....	str.12
Maria Jentys-Borelowska, Głos obywatelski z przeszłości, Orzeszkowa.....	str.13
Andrzej Szuba, Postscripta, poezja.....	str.16
Dariusz Pawlicki, O kulturze nieuparłostwowionej, ESEJ.....	str.17
Roman Warszawski, Rozmowa ze Stanisławem Lemem.....	str.19
Anna Frajlich, Dziennik 1976.....	str.21
Andrzej C. Leszczyński, Babel, ESEJ.....	str.29
Linda Vilhjálmsdóttir, Martwa natura, poezja islandzka.....	str.31
Cezary Sikorski, Zima, PROZA.....	str.32
Joanna Sendtka, Cienie i sny, PROZA.....	str.38
Marek Przybyła, wiersze.....	str.42
Dariusz Pawlicki, 20 Głos, fragment Glosariusza.....	str.43
Małgorzata Darna-Wendrychowska, Wspomnienie o Romualdzie Bukowskim.....	str.45
Marek Wołyński, wiersze.....	str.49
Marian Kisiel, Mały cmentarz (5).....	str.50
Zbigniew Ikona-Kresowaty - Pasja Jezusa z Nazaretu.....	str.54
Tadeusz Karabowicz, Inspiracja, Esej.....	str.57
Wojśław Brydak, Osiemnaste wzmoczenie romantyczne, MUZYKA.....	str.59
INTEPRETACJE	
Czesław Sobkowiak, List poety do poety. O tomie Z. Joachimiaka.....	str.60
Andrzej Wołosewicz, Moje poetyckie pożegnanie z Krzysztofem Gąsiorowskim.....	str.62
Recenzje.....	str.64
Roman Warszawski, Llosa, Burzliwe czasy	
Leszek Szaruga, Kronika autoironisty	
Jerzy Lengauer, Pruska Litwa	
Jerzy Lengauer, Sztynorknic biografie: Spotkanie z pisarką i dziennikarką Ulą Lachauer	
Kazimierz Sopuch, Pamiętnik poetki	
Dariusz T. Lebioda, Miłość i nienawiść w czasach hurwejbiniów	
Jan Owczarek, Sny sudeckie Miłosa Kamińskiego	
Jerzy Stasiwicz, Czas w poezji Leszka Sobeczko	
Andrzej Walter, Milczące pytania do zniewolonych umystów	
Andrzej Walter, Ja, Faust, Dorian Gray, wcielenie	
Andrzej Walter, Kiedy krew zamienia się w słowa	
Andrzej Walter, Chcielibyśmy wiedzieć, czym jest nasze życie	
Andrzej Walter, Marek Wawrzkiwicz, przecież wszystko już było	
Andrzej Walter, Opowieść niekompletna	
Andrzej Walter, Kultura wskazująca na spożycie	
Andrzej Walter, Nic już będzie takie samo	
Andrzej Walter, Szaniec bez kamieni	
Andrzej Walter, Zakochana w ludziach i poezji	
Andrzej Walter, Złowieszczy chichot	
Roman Warszawski, Zbąszyń, Felieton.....	str.87
Wojśław Brydak, Dolne miasto, nota do zdjęć umieszczonych w numerze.....	str.90
Leszek Szaruga, Wyprasowanie (36).....	str.88
Migotania jeszcze więcej	
Nadzieжда Buczyńska, wiersze, tłum. Krystyna Śmiechowicz, PROZA.....	str.91
Urszula M. Benka, Pejzaż samowiedzy, ESEJ.....	str.92
Janusz Taranienko, Powielacz, poezja.....	str.100
Adam Majewski, Góry symulakrum podboju..., ESEJ.....	str.101
33 miesiące w sowieckiej niewoli. Z pamiętnika ochotniczek Alicji Korzeniowskiej, PAMIĘTNIK.....	str.103
Zbigniew Ikona-Kresowaty, W oknach pamięci. Rozmowa z Tadeuszem Karabowiczem.....	str.106
Adam Buszek, Z książką pod rękę, ESEJ.....	str.109
Janusz Taranienko, Postpamięć: rewizje i re-kreacje, OMÓWIENIE.....	str.110
Roman Warszawski, Spoglądając w dół, REPORTAŻ.....	str.113
Marek Wawrzkiwicz, Okrucy (2).....	str.114

## Marian Pilot

## Z RZYMU

W dniu, w którym grzebałem Kota, nadeszła z Rzymu wiadomość...

Kot zginął przed laty, dawno temu, ale żałoba po nim przycichła odrobinę dopiero niedawno. Żal, żałoba wielka: Kot był nie byle kotem, zaś okoliczności jego zniknięcia dziwne, niesamowite. Niepojęte, niedocieczone i jakby sprzeczne z naturą rzeczy, z porządkami i kolejami życia.

Był nie byle kotem. Już to, że przez lata nikt, żadna koci wuj, ciotka, żaden awangardowy poeta pomimo ponawianych prób i usiłowań nie nadali mu imienia. Nie zdotał nikt: każde miano pasowało do Kota jak pieśń do nosa i jedynie konfundowało, jeśli nawet nie ośmieszało niefortunnego chrzciciela – a niekiedy wręcz przywierato do samego wynalazcy jako mało pochlebny przydomek, i jak był na początku, tak do końca swojego bytowania w naszym domu pozostał kot tylko i aż kotem – osobnym, suwerennym. W naturalnym trybie jedynym. Słowem – Kotem.

A nie tyle zastużył sobie na to imię, co – przyznawali subtelni znawcy kociej rasy i obyczajów kocich – zyskał je z racji urodzenia czy przymiotów, wręcz tak to określić trzeba, przymiotów umysłu i ducha. Że zaś z rodu swego był Kot zwyczajnym burasem, lumpem z przystawionej piwnicznej izby, znowcom nie pozostawało nic innego, jak kontentować się subtelnymi analizami właściwości umysłu Kota i oceniać manifestujące się w miarę rozwoju osobniczego coraz to inne, nowe, zawsze przecież szlachetne cechy jego umysłu i charakteru. Pełniły te niekiedy niezmiernie uczone, wielce zawile wywody funkcję terapeutyczną, kot tak niezwykle, do innych niepodobny, nie był wcale, z początku zwłaszcza, zbyt różnym od nas, zbyt różnym od siebie jednak; wdzięczny – do własnego swojego ogona wyłącznie. Harcował, skakał i wierzgał zapamiętane i z wielką pasją – sam, na osobności, z reguły w nocy; bywało, ruszał w zajadłą, nieustępliwą, długotrwałą pogoń: za czym – zwyczajną myszką, która po ciemku wymykała się z dziurki pod podłogę, żeby w kuchni napocząć krajonek sera? Czy za nocną zjawą jakąś, zmorą? Cieniem, przywidzeniem? Od stóp do głów czarny, czarny czarzą jakąś, głębiniową, ekstatyczną, przepastną czernią, był w nocy niemal równie niewidoczny, co ofiara, którą łowił: zdradzały go tylko nagłe, potężne, nienaturalnej mocy strzyknięcia żółtego widmowego światła z zielonych ślepi, przekreślonych cieniutkim jak ostrze brzytwy przecikiem źrenicy. Mieli znawcy o czym dywagować, powód, by kotka Kota podglądać i badać, wróżyć z fusów,

maści i koloru jego ślizek właśnie, rozwozić się nad istotą charakteru Panicza, późniejszego Pana K., bo tak pól żartem poczynano się tytułować niesamowite to kocidło. Musieli ci domorośli eksperci brechać wiele i podbijać nam bębenka, wbić w dumę, byśmy zechcieli znosić ekscyzy wariactwa, i akceptować zwierza, co zdawał się żadną miarą nie akceptować nikogo z nas (który jednak terytorium naszego mieszkania uznać musiał od początku za swoje, nie opuszczał go nigdy mimo nadzwyczaj wielu nadarzących się ku temu okazji) – i dopięli swego, wpięli w ciężkim sercem i różnymi humorami znosiłymi różnorakie ekstrawagancje, by w końcu, po długim okresie pruskiej prawie rekruckiej egzerckierki zacząć nie tylko tolerować, ale zgłota pysznić się Panem K. (Bo i był on pyszny...)

Mimo że dalej nie było z niego żadnej spektakularnej pociechy ani wyraźnego pożytku. Nie spoufalat się z nikim (prócz może tej myszy, którą łowił ciągle, by humanitarnie nie złowić nigdy), nie zniżył się do prośby o cokolwiek, wyrzekat się niczym ducha złego najmizerniejszej choćby komitwy z kimkolwiek, nawet z szarpiącym go za wasy niemowlakiem. Dobrze choć tyle, że w swej taskawości pozwalał się karmić, poić czy nawet czyścić sobie uszy, jednym słowem – sobie służyć; zdawał się wszakże nie wiedzieć, kto mu usługuje, i nie miauknął nigdy, jeśli przypadkiem, przez zapomnienie czy nieuważę ostatek się na cały dzień w pustym domu sam i o suchym pysku; ale łapczywość była mu w ogóle z gruntu obca, mógł się obywać odrobiną wody, chęptanej z dna klozetowej muszli.

Ascetą zresztą czy nawet abnegatem być przystało jawnie przynależącemu do zakonu kontemplacyjnego pustelnikowi, ba, słupnikowi, niewzruszenie i nieporuszenie, z pełnym oddaniem we dnie w nocy sprawującemu wysoki urząd wielkiego dułmaty.

Wysoki najdosłownie. Pan K. bowiem, Paniczem jeszcze będąc, po kilkakroć przenosił się z miejsca na miejsce. Opuścił najpierwszą swoją, kociejącą jeszcze, kryjówkę pod szafą, by czas jakiś pogościć na stołku w kuchni; zniechęcony zapewne zapachem żurów, kapusty i octu, zasiadł (i nie dał się spędzić) na komputerze, skąd jednak przeprowadził się później na wolne (choć ciasne, niewygodne) miejsce na półce z książkami, by w końcu wyładować w dużym pokoju na szafie, na samym szafy tej szczycie. Te potajemnie, pod ostoną nocy dokonywane przeprowadzki toczyły się więc po linii wznoszącej, Panicz K. w ciągu kilku zaledwie tygodni niemal spod podłogi wzbil się aż pod samą posobę.

Zająwszy tym sposobem pozycję górującą w newralgicznym punkcie mieszkania, nasz Pan K. już nie opuścił jej ani nikomu nie odstąpił (któż by zresztą wdzierał się na te wyżyny i w jakim celu). Siedział tam na górze, piękny, posągowy, śpiący czy rozmyślający lub też może śpiący i rozmyślający tym samym czasem – bo pewnie sam nie był w mocy odróżnić swoich snów od swoich marzeń i dumań, i zapewne obca mu była taka potrzeba. Wpisał się, czy też, jak to dziś się mówi, wdrukował w czeresniową szafę tak integralnie i tak precyzyjnie, tak całkowicie, że niedoskonałe ludzkie oko ostrzegalo go tkwiącego pod sufitem wtedy

nawet, kiedy w rzeczywistości nie było tam nikogo.

Bo z nagła – a po latach bez mała już niezliczonych – nastąpiła ta trudna do wiary i pojęcia epoka, którą z bólem serca nazwać musimy epoką dezercji. Otóż pewnego dnia Kot nie stanął na posterunku, na którym pełnił służbę wartowniczą przez długie lata z trudnym do wyobrażenia oddaniem i poświęceniem. Być może zresztą nie był to wcale pierwszy dzień nieobecności pilnego opiekuna i strażnika naszego domu – tak przecież niezawodnego, że nikomu nie starczało rozumu ani fantazji, ani zwyczajnej przytomności umysłu, by dopuścić możliwość jego absencji, nie mówiąc już o dezercji. Przeświadczenie, że wielki domator swojego naczelnego w mieszkaniu miejsca nie opuszcza pod żadnym pozorem, było w naszej świadomości ugruntowane tak silnie, żeśmy w ostupieniu i stuporze nie umieli przyjąć do wiadomości oczywistego faktu jego nieobecności, i gadając beztładnie, spierając się z sobą i na siebie złoścąc, i nawzajem wypominając sobie niedopatrzona i brak dozoru nad Kotem, i dbałości o jego potrzeby, zdrowotne w szczególności, nie byli zdolni nie tylko podjąć jakiegokolwiek decyzji, ale nawet dojść do jakiegokolwiek trzeźwego i zbornego wniosku. Z wolna ugruntowywał się w trakcie tej swarliwej, przechodzącej w zajadłą kłótnię rodzinnej narady pogląd, że wydarzyć się musiało coś katastrofalnego, nieszczęście jakiegoś nieszczęście, bo żeśmy wszyscy zgodni byli w kwestii tego, że żadna szczęśliwa okoliczność nie skłoniłaby Pana K. do postępków tak nieodpowiedzialnego i trudnego do wyobrażenia. Czy zatem pod nieobecność kogokolwiek z domowników zaatakowany został i pokonany przez jakiegoś drapieżnika, czy też z przyczyn samoistnych poniósł szwank na zdrowiu tak znaczny, że gdzieś w ciemnym kącie skryty liże rany... W lęku i popłochu zacichaliśmy więc pośrednio kłótni, tailiśmy oddechy i wyteżali stuch, w nadziei, że postyszymy miaknięcie, skrobnięcie pazurkiem, poruszenie łapką, bodaj charakterystyczny szmer jakiś. Ale to komuś z nas prędko brakowało cierpliwości, szurał butem, ktoś inny nie był na tyle zdrów, by nie zacząć pokastywać i chrypieć, wybuchnął z powrotem jazgot, pełna zapalczowości kłótnia, gotowa każdej chwili przejść w krzykliwą awanturę, ktoś przecież przytomnie nawoływał, by poniechać przepychanek i darować sobie wzajemne winy, pretensje i wyrzuty, zając się tym, co w danej chwili celowe i konieczne – szukaniem Kota. Żywego czy (nie daję Boże) umarłego. Te ostatnie słowa brzmiały złowieszczo, ale w końcu był to tylko konwencjonalny zwrot. Zaprzestawszy rozmów, poczęliśmy jednak gorliwie rozglądać się i przestawiać meble w domu. Po Panu K. śladu nawet nie było w miejscach, w których pozwalał sobie z rzadka bywać, zaczęliśmy więc szukać go tam, gdzie przebywać nie zwykł był, a w końcu też w miejscach, w których pod żadnym pozorem nie mógł się znajdować, poczucie własnej godności przecież nie pozwoliłoby mu na wycieranie kurzów pod czymś łóżkiem, wczółgiwanie się do wnętrza kanapy ani szukanie dla siebie schronu gdzieś między kapeluszami w szafie czy wekami w spiżarni; ale nawet tam, gdzie go być nie powinno – nawet tam także go nie było. Szukaliśmy, stale jeszcze nie całkiem wierząc, że osoba tak żelaźnie obecna, tak zasiedziata, mogła za sprawą jakąś nie być obecna w domu. Pewnej chwili jednak pojęliśmy, że naprawdę żartów nie ma i że trzeba przestać się ociągając i mazgając – i nie rozglądać się, nawet już nie szukać, lecz przetrząsać i rewidować

wszystkie kąty, słodkimi syrenami głosami Kota przywoływać, biegać po schodach, wypytywać sąsiadów, a nawet bezczelnie włączyć do ich mieszkań, węsząc za zbiegłym czy porwanym obywatелеm naszego domu. W trakcie tej gorączkowej krzątaniny robiliśmy sobie gorzkie uwagi i wyrzuty, ktoś bowiem zwykł był niedomykać drzwi wyjściowych, ktoś inny nie żywił najbardziej przyjaznych uczuć wobec patriarchy (dokonawszy bowiem naprędce przeliczenia kociego wieku na nasz ludzki, odkryliśmy, że Pan K. był panem w podestym już wieku), co mogło skłonić go do exodusu; mieliśmy też sobie za złe, żeśmy mu nie nadali jakiegoś pieściwego czy bohaterskiego imienia, na dźwięk którego uciekinier wynurzyłby się może z jakiegoś niespenetrowanego przez nas zakątka... Wołaliśmy wielkimi żałoźnymi głosami Kot, Kot!, na nic to się zdało, na nic zdało się wszystko, najwymyślniejsze zabiegi i chwytły, żadne uliczne pościgi i pogonie, nawet postawienie na nogi policji i straży miejskiej; ani jedni, ani drudzy nie mieli, zresztą wyraźnie nawet nie chcieli mieć najmniejszego pojęcia o miejscu pobytu Kota.

Którego ku wielkiej konsternacji i wielkiej naszej radości zarazem po powrocie z tej daremnej awanturycznej wyprawy zastaliśmy w domu. Siedział na szafie we właściwej sobie hieratycznej pozie na wyżłobionym od dawna tronowym miejscu, niewzruszony i nieporuszony, wyniosły. Jeśli go przed niedawnym czasem tam nie było, to gdzie był. Jeżeli zaś świadectwo naszych zmysłów było fałszywe, to czy one zwodziły nas przedtem, czy też mamy nas teraz. Przystawiłem do szafy taboret, stanąłem na nim i ostrożnie dotknąłem grzbietu kota. Kot lekko schylił łebek i wejrzał mi prosto w oczy swoimi zielonymi ślepiami.

- Coś mu jest – zawyrokowałem bezradnie. Po kolei wszyscy wchodzili na taboret i bezradnie dochodzili do tego samego wniosku. Debatowaliśmy gorliwie, gorączkowo, beztładnie, beźpłodnie, beźmyślnie zgoła, raz po raz płochliwie zerkając na szafę. Kot tam był i ta obecność z wolna wyciszała i usypiała nocne nasze rozmowy, i w końcu wielki rejwach i gwałt przysnął, i stanęło na niczym, nikt w zabobonnym lęku przed urokiem nie powążył się wyciągnąć wniosku, który się narzucał. Z tą utajoną myślą kładliśmy się spać, pod sufitem jarzyły się w ciemności kocie ślepie. Kot tam był, był też rano, wieczorem następnego dnia był. Potem go nie było, z czym trzeba się było pogodzić i godziliśmy się z tą nieobecnością dzień, drugi, trzeci, by w końcu wpaść w histerię i wszcząć znowu paniczne poszukiwania, co znowu dało ten uboczny efekt niespodziewany, że Kot niczym duch wyniknął na miejsce stałego swojego postoju. Gdzie do tej pory był, skoro nie było go nigdzie? Gdzie, w jakiej kryjówce bez śladu się krył i dlaczego tam, w tym niewiadomym miejscu tkwił, on, przypisany tak ściśle do swojego królewskiego miejsca? Stanąłem na taborecie i poznałem, że Kot jest znużony i cierpiący. Ja to podejrzewałem czy może w pełni już wiedziałem. Kot mieć musiał bliski dostęp i ścisłe związki ze swoją śmiercią, i to z nią toczył swoją tajną, wyczerpującą wojnę podjazdową. Biłem się z myślami tylko, z drżeniem serca i głębokim żalem i współczuciem rozważając nękające mnie zagadnienie, czy K. przed śmiercią ucieka, starając się zatrzeć za sobą ślady i zmylić pogonie, czy też, odmiennie, w swojej dumie ucieka ze śmiercią w objęciach, dla siebie i dla niej w trakcie tych swoich mrocznych wypraw tajemnego hospicjum szuka. Czy to więc, zmykając, znikając, przepadając, zamiatając za sobą z taką przemyślnością i maestrią ślady, podłą podstępłą kocią śmiercią

i wyprowadzał w pole, mężny i heroiczny, świadomy kłęski i kłęską gardzący. Czy też, świadom, że ma na karku tę niewymowną, przekłątą śmieciarę cuchnącą, zmałtawą, brudną, wszawą, szukał, gwałtem z kurwiśmierką pożeniony, najciemniejszego pod słońcem miejsca, najtajniejszej na tym świecie skrytki. To niewiadome było, a zaprzętało mnie mocno i dociec prawdy próbowałem usilnie i niezbornie.

Straciłem za to interes do tych coraz bardziej historycznych, a zawsze daremnych prac poszukiwawczych, jakie wyczyniali po każdym – z każdym kolejnym razem dłużej trwającym – seansie nieobecności domownicy. Kot zaś nie to, że bez śladu przepadał, on, rzecz można, bodaj po prostu zgładał się z powietrzchni ziemi, zapadał się pod ziemię, ba, schodził z tego świata – by wiadomego tylko sobie dnia o wiadomej sobie tylko godzinie jeśli nie z martwych, to ze skazanych i przepadłych – powstać. Dumny i nieugięty, niesamowity, niezwykły powstaniec z każdym kolejnym swoim powstaniem jednak robił wrażenie odrobinę bardziej znużonego, odrobinę smutniejszego, zaś olśniewająca czern jego sierści zdawała się wędznąć, stygnąć i nie tyle blaknąć, ile w osobliwy sposób biednieć, lichsieć; nie przeszkadzało mu to wysoko nad krawędzią szafy trzymać głowę tak długo, póki strach przed śmiercią czy wstyd śmierci nie każe mu zapaść się pod ziemię, a moim domownikom przyzwyczajono i rutyna nie nakazała po raz kolejny wdać się w poszukiwania, beźradne, beztładne i bezowocne jak zawsze.

Paradoks chce, że to ja, rozdrażniony rozgardaszem i bałaganem w domu, z rozbieganych i lamentujących kobiet sobie podrywający i na nie powarkujący, widziałem Kota ostatni – i po raz ostatni; paradoks chce też, że widziałem go dzięki tej gorączkowej i beztładnej, na domiar wszystkiego niechlujnej krzątaninie: pośliznąłem się bowiem na skrawku bananowej skórki, upadłem – i wtedy dojrzałem zmrużone ślepie skrytego pod szafą Kota.

Tam właśnie, w ciemnym kątku, lubiło się chować kilkumiesięczne Kociątko; rzecz w tym jednak, że do tej szparki żadną miarą nie mógł się wcisnąć wielki zwier. A jednak na jakiejś sprzecznej z ludzkim rozumem i z fizycznością naszego świata Kot był w swojej kolebce tam. Ślepie jego w każdym razie tam tkwiły.

Już otwierałem usta, by wydać radosny okrzyk, kiedy te przymrużone ślepie rozwarły się nagle, w mroku podszafla tysnęły żółcią tęczówki, błysnęły cętki żrenicy, krzyk uwiązł mi w gardle, gdy trysnął z nich ostry jak pęknięta szprycha rowerowa, jadowicie zielony promień i oślepił, i poraził mnie. To nagłe jak uderzenie błyskawicy wejrzenie trwało mglnie, oczy kota zgasły i zamrużyły się, niesamowity lokator mysiej dziurki pod szafą znieruchomiał i zastygł. W powietrzu była siarka i ozon. Podnosiłem się z podłogi pogruchołony, pośluzony – jakby poturbował mnie jakiś Gołota. Nie ośmieliłem się pisnąć choćby słówkiem o swoim upadku, swoim widzeniu i oślepieniu, przez jakiś czas nawet wolałem nie wchodzić do pokoju, w którym skrywał się uciekinier. Kiedy zaś przemogłem się wreszcie, kryjówka była pusta; do opuszków moich palców przylgnęło kilka czarnych i siwych sierstek, dowód oczywisty na to, że siedział tam nasz stary odyniec. Dokąd się ze swojej dawnej kolebki wyniosł, w jakim, bardziej jeszcze nie do pomyślenia miejscu się skrył? Nie było wiadome, żadną miarą nie dało się tego dociec, zaś moja relacja o ostatnim spotkaniu z Kotem przyjęta została przez domowych żałoźników z niedowierzaniem i nieufnością, jeśli nie zgoła z dyskretnym zaniepokojeniem o moje

zdrowie psychiczne: dość było przecież rzutu oka, by stwierdzić, że żaden kot żadną miarą nie mógł się wcisnąć w wąziutką szparę między podłogą a spodem szafy. Musiały minąć całe lata, musiały przycichnąć załoba i nawet przycisnąć pamięć o Wielkim Kocie, by sprawa jego zniknięcia nabrała innego, zgoła nieoczekiwane obrót, a moja wiarygodność i prawdomówność (a także stan mojego umysłu) znalazły niespodziewanie zdumiewające, odrobinę makabryczne świadectwo.

Otóż przymuszony wreszcie do stałe odcaczanych i pominiętych porządków w piwnicy, odsunąłem starą komódkę, by pod nią znaleźć spłaszczoną tak, jakby walec drogowy przez nie przejechał, wyschniętą na wór zwłoki Kota: skóra, bo nie kości już nawet. Jak Kot wcisnął się w szparę węższą jeszcze niż kryjówka pod szafą? Niedocieczona to była tajemnica. Obok niej bardziej niezwykła zagadka pilniejszego jeszcze domagała się rozwikłania: jak mianowicie Kot pokonał kilkanaście pięter, przeniknął przez kilka na głucho zapartych drzwi, a na ostatku – co trąciło niesamowitością zgoła – bezbłędnie trafił nie gdzie indziej, tylko do naszego boks w piwnicy. Dokonać musiał tych wszystkich niewiarygodnych sztuk, bym mógł go teraz, zeschniętego na rzemień, znaleźć tam, gdzie literalnie nikomu nie przychodziło do głowy go szukać. Z powrotem nękało mnie pytanie, czy tak panicznie uciekał przed śmiercią? Czy trwając z nią w uścisku, który sprawiedliwie godzi się nazwać śmiertelnym, szukał dla siebie i dla niej ustronia? Kwestia ta pozostawała i pozostaje już musi bez rozstrzygnięcia. Podobnie zresztą jak wiele innych kwestii, dotyczących osoby tak niezwykle, niepojętego myśliciela, wojownika tak niewiarygodnie wytrwałego i przemysłowego. Jak przedzierał się na upatrzone miejsce, w jakich mękach wzosił się pod komódkę, jak zdychał tam, jak przez długie lata gnął, secht, by przemienić się w końcu w suche jak popiół ścierwo. Ważył co nic. Łezkę. Tę, co mi się w oku zakręciła, kiedy uświadomiłem sobie, że przez całe swoje życie nie dorobiłem się skrawka ziemi, na której mógłbym umarłego pochować. Prawda, cmentarz blisko, mógłbym bez trudu przekraść się tam z saperką schowaną pod kurtką, zwłokami w reklamówce, potajemnie pochować Kota gdzieś pod murem; czy to jednak nie uwłaczałoby jego godności. Byłem w rozterkach, w zamęcie, czułem się winowajcą: z pewnością inaczej potoczyłyby się sprawy, gdybym owego dnia, gdy Kota zauważyłem pod szafą, podniósł larum; nie miałem wtedy odwagi go ratować, nie znałem teraz miejsca, gdzie niezwygłego chować. Gdzieś, obita mi się o uszy taka informacja, istnieją cmentarze dla zwierząt, czy to jednak są miejsca godne? Raczej dziwowiska, kto wie nawet, czy nie zwatowiska śmieci, szambowiska dla okolicznej ludności rolniczej. Żona załamywała ręce, złorzeczyła i lamentowała. Milcząc zawiąłem żalosne szczątki Kota w czystą lnianą torbę z napisem 750 lat miasta Bochni i razem z łopatką saperką wsunąłem do wielkiej reklamówki firmy Bata, i z ciemnej piwnicy wyszedłem na dwór, na słońce. Nie wiedziałem, gdzie szukać grzebalnego miejsca dla Kota, wierzyć chciałem, że tak jak on potrafił odszukać miejsce swego zgonu, tak ja z jego truchłem przed siebie idąc, znajdę jego grób. I szedłem sobie, ufny w swoje kroki, do tego stopnia beztrocki, swawolny nawet, że wpięram wszedłem do sklepu spożywczego, by potem dopiero zastanowić się stosownością tego postępków. Stałem tam, uważnie i bezmyślnie lustrowałem półki z konserwami rybnymi, wyrobami tytoniowymi i monopolowymi, w niejasnym

przeświadczeniu, że coś jeszcze może być potrzebne umarłemu kotu; jednak co? Nie domyśliłem się, nie dociekałem tego zresztą zbytnio, coś innego w końcu mnie gnębiło. Nadjechał autobus, zatrzymał się pod sklepem; dokąd by mógł mnie zawieźć? Jego trasa prowadziła obok ogrodu zoologicznego... Już wskakiwałem do wozu, kiedy przypomniał mi się stoń niedawno zdechły, pochwartowany i rzucony na pożarcie niedźwiedziom i lwom; w ZOO więc w brzuchach zwierząt mają zwierzęta swój smętarz. Nie chciałem na nim chować naszego Kota. Stałem na ulicy, rozglądając się wokoło. Pod sklepem rojno, przed bankomatem kolejka i przez chwilę pomyślałem, by podzielić się swoim kłopotem z tymi nudzącymi się ludźmi. Ale kogo obchodzi zdechły kot, z dodatku zdechły tyle lat temu. Zniecierpliwieni bankomanowie poradziliby mi zapewne, bym ten strzępek skóry po prostu wrzucił do pojemnika na śmieci (przechodziłem właśnie obok wielkiego kontenera, na wpół zapełnionego opakowaniami, siatkami ze zgnitymi mandarynkami, kupami jakichś brudnych i podartych łachów). Ile jeszcze Kota pozostało w tym skrawku skóry i zakurzonej sierści? Wywietrzał z niego bez reszty, czy tak się stało? Idąc bez kierunku i celu, trapiłem się, że zniecierpliwici i znużyci mogą tę żalosną relikwię porzucić gdziekolwiek. Nic by się nie stało, na dobrą sprawę nikogo by to nie obeszło. Właśnie że mną może? Ciekawym się samym sobą, swoim sumieniem. Jak ono taki czyn osądzi. Nękać i doskwierać mi będzie czy też przejdzie nad sprawą do porządku? Kusiło mnie wziąć dojeżdżenie na spytki. To by godne uwagi doświadczenie było. Grabarska poczciwość, która mną powodowała, na dobrą sprawę brzydziła mnie, pieszczotki i czułości wobec zdechłego kota to było po prostu dziwaczenie, jeśli nie zboczenie jakies.

Tak się karcilem i wydrwiwałem, idąc. Przed siebie, dokąd jednak. Spozregłem, że chyba w kierunku nasypu kolejowego idę. To właściwe było i dobre. Wzdłuż nasypu rozpościerały się grunta niczyje, ogródki, ustawicznie plądrowane przez miejscową żulię, doprowadzone do ruiny i ostatecznie porzucone przez bezradnych działkowców. Było to teraz osobliwe ustronie, ziemia bezładna, zdziczałe jabłonce i wiśnie, owite jakimś chmielem, kwiecące się tączki, gruzowiska, porośnięte rumiankami i rozchodnikami, powojami, brudne zwatowiska i wysypiska śmieci tu i ówdzie. Liczyłem na to, że na tej ziemi bezładnej, pokiereszowanej, w tym dzikowisku znajdę właściwe miejsce, cichy cmentarny zakątek dla Kota.

Bez wielkiego zachodu jakoś wypatrzyłem okoloną jeżynowym zagajnikiem polankę, pośrodku której tkwił żelbetowy kikutek, marna pozostałość po jakiejś dawnej działkowej budowli. Nie było co szukać dalej, ten zakątek czekał jakby na mnie czy na naszego kota. Trafienie cudowne. Wyjąłem z reklamówki saperkę i bocheńskie giezło ze zwłokami Kota, i rozejrzałem się dokoła, szukając miejsca, gdzie mógłbym położyć marynarkę: bo należało zakasać rękawy do grabarskiej roboty.

I wtedy spostrzegłem, że nie jestem sam na tym ustroniu. Towarzystwo było egzotyczne, arcswojskie przy tym: za jeżynowej kępy wyłoniła się starsza, z wiejska ubrana kobieta z białą kózką na sznurku. Koza pilnie i łapczywie szczypała trawę, to znowu zadzierła rogaty łebek i skubała liście młodej wierzby, która stanęła jej na drodze. Pastucha szarpała za sznurek, ciągnęła kozę w moją stronę. Miała ta kobieta na głowie szarą chustkę, zapętloną pod brodą aż na dwa ścisłe węzły, oczy szczelnie przy-

stonięte okularami o wielkich okach, które nadawały jej wścibski, jakiś zgoła tajniacki wygląd. Nie spuszczała mnie ze swoich oczu czy raczej tych wielkich jak patelnie okularów, ja tymczasem gapilem się na kozę, zdumiony i poruszony jej nadejściem. Kiedy po raz ostatni widziałem żywą kozę? Nie umiałem sobie przypomnieć; chyba parę lat temu gdzieś na Litwie, na Żmudzi czarnego kozła widziałem. Ta przyprowadzona przez starą kobietę na pogrzeb Kota kózka była młoda, biała... Jak jednak, kozą będąc, znalazła się w środku wielkiego miasta? Dla kóz przecież nawet w ZOO miejsca nie ma. O kozę chciałem jej przewodniczkę pytać, ona jednak wyprzedziła mnie, błyskając okularami, zaczęła wołać:

- Co pan robi?! – Wołanie było wrzaskliwe, głośne, nachalne jakies, wołałem nie odpowiadać na nie, ani też samemu nie wszczynać rozmowy.

- Dzień dobry – odrzekłem półgębkiem. Koza beczła, nazbyt gwałtownie ciągnięta przez pastuchę.

Stara pastucha miała szczególne obyczaje, jej koza miała osobliwe zwyczaje. Baba dała się z daleka, stanąwszy mi teraz nad głową, ucichła, w milczeniu patrzyła, co robię, dosłownie wtykała nos w nieswoją sprawę. Koza, tak żartoczna, że po prostu nienazarta, przestała rozglądać się za żerem, za przykładem swojej gospodyni patrzyła mi na ręce. Trafiłem na grunt zapiekły, gliniasty, twardy, saperka była nieporęczna, do tego tępa. Pod okiem kobiety i kozy robota szła mi ślamazarniej jeszcze, łopatka wylaamywała mi się z rąk. Kobieta i koza gapity się na to. Robiło mi się gorąco nie tyle od wysiłku, ile od tego ich milczącego i pilnego nadzoru. Ręce mi się trzęsły i pociły dłonie. Babę by postać do wszystkich diabłów, huknąć na nią, pogonić, tupnąć na kozę, pognąć ją – w diabły tak samo. Złość jednak zaciskała mi szczęki, w milczeniu, z uporem i zapiekłością oddawałem się swojej kopidolskiej robocie. I dopiero już znużony bardzo, zlany potem, zziąjany, poczułem niespodziewanie wdzięczność i sympatię dla tej cichej i tak cierplivej asysty. Bo czy Kot nie zastąpił sobie na to, by na jego pogrzebie obecny był ktoś więcej niż sam grabarz tylko. Czy tej starej kobiecie z kozą nie należy przyznać statusu ewangelicznej miłosiernej niewiasty. Oderwałem się od swojej roboty, mały wydajnej zresztą, daremnej prawie, dotek udało mi się wydłubać płytki, niekształtny do tego, krzywy.

- Co też takiego pan robi?! – zakrzyknęła kobieta, choć stała mi nad głową i krzyczeńie nie potrzebowała wcale. Tym razem nie uchyliłem się od odpowiedzi.

- Chowam kota – powiedziałem.

- Kota? – zdumiała się kobieta. – A gdzie niby on, ten kot?

Na to pytanie swojej pani najwyraźniej zapragnęła udzielić odpowiedzi koza, która od jakiegoś czasu obwącziwała reklamówkę butów Baty, a teraz postanowiła napocząć ją. Ciuj!, skarciła ją kobieta i pociągnęła za sznurek; skutek był taki, że truchło Kota wysunęło się z torby. Kobieta spojrzęła na mnie jak na zbrodnia:

- Co mu pan zrobił!

- On sam... – mruknąłem, zeźloną wścibskością kozy i obcesowością jej właścicielki. – Nie będę pani tłumaczył, bo i tak nie wytłumaczę.

- Pewnie – rzekła koziara zgryźliwie i pociągnęła się nad zezwłokiem Kota. – Jedna skóra i kości... Nawet już bez kości! – rozdarła się. – I gdzie się podział jego ogon? To był kot bez ogona?

Sięgnąłem po saperkę i począłem znowu dłubać w glinie. Kobieta demonstracyjnie założyła ręce i przyglądała się pilnie. →

- A teraz dół na niego kopie - powiedziała jak do подростka, którego chce się obrazić.

I ja niczym подростek obraziłem się. - Proszę pani - wyprostowałem się i spojrzałem na babinę z góry - może byśmy porozmawiali o pani kozie? Gdzie ją pani tu przywlokła, trzyma w łazience i każe się żywić brukiem i asfaltem? Co?

- Niech pan nie będzie taki mądry - zawrzała gniewem pastucha. - Moja koza ma tu na Ziemowita swoje pomieszczenie, chlewik jak malowanie, a ja niech pojedę na grzyby, to niechcący zamiast grzybów przywiozę pełen koszyk okończyny! Niech pan nie będzie taki mądry... niech pan nie daje go do ziemi. Niech pan go spali.

- Czemu? - bąknąłem, ostupiony niespodziewaną i wręcz proszalnym głosem wypowiedzianą propozycją.

- Czy nie widzi? - powiedziała kobieta tym samym znowu wzgardliwym tonem, jakim przemawia się do nierozumnego i niedorośłego. - On przecie sam się o to prosi. Taki suchutki - pochylita się i pogłaskała Kota po grzbiecie. - Pewnie pan nie ma zapatek? Ja jestem paląca.

Kot płonął żywym, czystym i gwałtownym ogniem. Płomień strzelisty i jasny, niemal przezroczysty, żywe szkło, wznosił się wysoko, coraz wyżej, wyżej - w niebo, w sam środek nieba. Staliśmy wszyscy troje, kobieta, ja i koza - osoba nieostatnia wcale - z zadartymi głowami, patrząc, jak realny a niecielesny niemal, niepostrzegalny niemal ogień, tchnienie, duch czysty, wionie ponad ziemią, ponad ziemskim niebem, unosi się w bezkresy

niebios. Sklepienia niebieskie, rzecz osobliwa, były tej szczególnej godziny południa rozwarłe. Przestrzenie i przestworza nie znaty krańca i przegrody. Cicho tu dookoła i na świecie wszędzie w przedziwnej, uroczystej chwili płomiennego podniesienia, prędkiego jak wicher i cichego jak oddech, gorącego tak, że żar osmalał nasze twarze. Coraz wyżej żeśmy unosili głowy i wyteżali wszyscy wzrok. Ostatnia iskra, wykrzesana zapatką pastuchy z ciała Kota, kreśliła tajne pisma na skrawku seledynowej chmurki. Potem jeszcze był tylko nikły rozbłysk w wielkiej dali, gdzieś nad wszystkimi niebami i piętrami niebios.

Popiołu była garsteczka ledwie, szczypta. Kot spłonął do szczętu niemal, niemal cały, bez reszty.

- Modlił się pan? - znieacka zapytała pastucha, a ja nie wiedziałem i szczerze odpowiedziałem: - Nie wiem.

Kobieta aż zachłytywała się w uniesieniu: - Tak się palił! Czyste złoto by się nie paliło tak. Ani kadzido. Tak się palił, że chciało się za jego duszę odmówić choć modlitewkę jaką matą. Ale czyby to aby nie był jakiś grzech.

Przykląkłem i począłem rękami zgarniać ciepły jeszcze popiół do glinianego dołu. Kobieta mówiła: - Leciał jak na skrzydłach. Może tam w bibliach jest napisane krzywo? Może Ojciec Niebieski dla gądziny też ma gdzie w niebie pomieszczenie?

Palcami delikatnie zmiotłem ostatnie grudki popiołu i zsypanem do dołu. Kobieta schyliła się i wrzuciła do grobu Kota garstkę piasku. Mówiła:

- Zemglatam. Leżałam na ziemi jak zwłoki.

Kto mnie wskrzesił? Ani Paweł, ani Gaweł, ani żaden bosy Antek: ta moja pejsatka. Meczata i meczec nie ustała, aż ściągnęła pomoc. Karefka przyjechała i mnie uratowała. Z tego wszystkiego sama koza na gardło się rozchorowała. Przez bity miesiąc ani bekała.

Zasypanem gróbek spiekłym glinianym gruzem, przyklepałem delikatnie saperką i stanąłem nad nim bezradnie. Może jeszcze coś należałoby zrobić, ale ja nie wiedziałem co. A kobieta powiedziała:

-Tak.

Oczyściłem saperkę z ziemi i schowałem do reklamówki firmy Bata. Podniosłem głowę i spojrzałem w głąb nieba. Było czyste, puste.

- Ja pani dziękuję - ukloniłem się kobiecie. - A pejsata niech się pani dobrze chowa.

Odchodziłem, byłem już dość daleko, gdy doszło mnie wołanie.

- Proszę pana, proszę pana! - wołała pastucha i ciągnąc za sobą kozę, dyrdała w ślad za mną. Błysnęła okularami: - Niech się pan nie gniewa, proszę pana, ja jestem prosta kobieta. Ale to jest chyba wielka szkoda, proszę pana, że my wszyscy nie jesteśmy zwierzętami.

Stałem, milczałem, czekałem, co jeszcze powie. A ona powiedziała:

- Pan Bóg by miał się lżej wtedy. Nie musiałby raju dla nikogo rychtować.

Tę myśl koziej matki chciałem zaraz po powrocie do domu żonie przekazać. Ale żona wpięrow przekazała mi gorzką wiadomość, jaka nadeszła z Rzymu.

MARIAN PILOT



Czesław Karkowski

## PODRÓŻ WYOBRAŹNI

W drugim, zmienionym wydaniu mego tłumaczenia „XXX Cantos” Ezry Pounda zasadniczo dokonałem zmian trójakiego rodzaju: 1. Uproszczenia wyrażań; 2. Rozluźnienia składni, którą uprzednio (niepotrzebnie) wiązałem - zwroty jeden z drugim - w większe związki znaczeniowe; 3. Dodałem więcej przypisów możliwych dzięki dynamicznie rozwijającej się literaturze przedmiotu. Entuzjastów analizy „Cantos”\*\*, poszczególnych utworów, przybywa z roku na rok, a wraz z tym rośnie nasza wiedza o pochodzeniu i znaczeniu poszczególnych wyrażań użytych w tekstach przez twórcę. Pound - „poeta absolutny” - miał niesłychany słuch poetycki i ogromną erudycję. W głowie kołatało mu się tysiące wierszy, fragmentów tekstów, zwrotów, zwłaszcza poezji klasycznej, prowansalskiej; legend i opowieści, zapisków starych ksiąg, wypowiedzi z włoskich kronik czasów renesansu, etc. To wszystko stanowi materię „XXX Cantos”.

Pound - poeta absolutny. Słyszał w sobie tyle wierszy, przeczytanych fraz, które brzmiały mu jak poezja, kłębiło się w nim tyle „obrazów”, że układał z tych wrywków, ze strzępków pamięci, całe poematy, Cantos właśnie. Ale on jak demiurg, był jedynym tącznikiem tych obrazów. Innymi słowy - jest tylko jeden jedyny odbiorca „Cantos” - Ezra Pound właśnie. Wszyscy inni są tylko doraźnymi uczestnikami wielkiej poetyckiej przygody - fascynującej, ale, prawda, niekiedy prowadzącej na manowce. I to czwarty rodzaj dokonanych zmian: niektórych wyrażań z „XXX Cantos” ponad dziesięć lat temu zyczajnie nie rozumiałem. Poprawiona wersja (na podstawie bogatszego materiału wyjaśniającego) na pewno lepiej oddaje literalny sens utworów.

Był ponadto ważniejszy powód wielu błędów, jakie znalazły się w pierwszym wydaniu. Pracowałem nad tłumaczeniem w dość specyficznych warunkach (przedstawionych później w książce „Dziennik jednego roku”). Po złożeniu całości do wydawnictwa byłem przekonany, że otrzymam tzw. szczołkę - do poprawy. Ku zaskoczeniu, wydawnictwo pospieszyło z gotową publikacją. Następnie zajęty innymi sprawami, nie miałem czasu, aby zasiąść do przejrzenia tłumaczenia. I tak minęły lata...

Pierwsze wydanie przekładu „XXX Cantos” z 2011 r. miało bardzo osobisty charakter, w tym sensie, iż było niejako w równym stopniu o mnie samym, jak i o poezji Ezry Pounda. Najlepiej zrozumiał specyfikę tamtej zgrzebnej publikacji Jan Zieliński w recenzji drukowanej w „Zeszytach Literackich” (nr 4, 2013).

Nowe, drugie wydanie, ma całkowicie inny (dla mnie) wymiar. Nacisk położony został na meandry sztuki poetyckiej Pounda, jak go rozumiem - bezsprzecznie jednego z najlepiej wykształconych poetów w ogóle. W „XXX Cantos” jego erudycja dominuje, zniewala, imponuje i wciąga; ale też bardzo łatwo zniechęca czytelnika, z reguły nieprzygotowanego do tego rodzaju twórczości. Wielu odrzuci ten tom jako w najlepszym wypadku niezrozumiały, w najgorszym - jako bezsensowny popis pustej, daremnej uczoneści.

A pośrodku cała gama reakcji na sztukę Pounda, które od początku twórczości, od pierwszego tomiku „Lume spento” wydanego własnym nakładem w Wenecji, towarzyszą poecie: jest on po prostu zręcznym (nie zawsze) tłumaczem - powiadano; jest on niewydarzonym uczone, który swe niewyżyte naukowe zapędy realizował w twórczości literackiej; jest człowiekiem szalonym o bez-

sprzecznie wielkiej wyobraźni, ale pozbawionym umiejętności przekazania klarownego komunikatu; jest osobą emocjonalnie nie-zrównoważoną, która gonitwą myśli przekłada na bełkot literacki.

To tylko przykłady stanowisk negatywnych, niechętnych poecie. Ale przeważały oceny pozytywne krytyków, choć rzeczywistość stosunkowo bezradnych wobec tego dzieła.

Ezra Pound faktycznie początkowo zamierzał poświęcić się karierze naukowej - zwłaszcza studiom nad językami romańskimi (hiszpańskim, włoskim, francuskim, a nade wszystko - prowansalskim). Był doskonale wykształconym poliglotą. Jego córka, Mary de Rachewiltz, przytacza (mam nadzieję, prawdziwą) anegdotę o tym, jak jechała kiedyś z ojcem we włoskim pociągu, w któ-

rym znalazł się również rumuński duchowny. Osobnik ów nie znał ani angielskiego, francuskiego, ani włoskiego, ni hiszpańskiego, którymi sprawnie posługiwał się Pound, więc ostatecznie obaj mężczyźni zaczęli rozmawiać ze sobą po łacinie.

Porzucił ostatecznie zamysł pracy doktorskiej o sztuce Lope de Vegi, wyjechał w 1908 r. z Ameryki, by wrócić do niej dwa razy - pierwszym - z krótką wizytą w 1939 r., której efektem była książka „Patria mia” (1950); drugi - jako praktycznie więzień wojenny, przymusowy pacjent szpitala psychiatrycznego w Waszyngtonie, w którym spędził 13 lat. Po wyjściu natychmiast wrócił do Włoch, gdzie mieszkał do końca życia.

Ale to późniejsze dzieje. Zamysł „Cantos” powstał wkrótce po osiedleniu się w Londynie. Podaje się różne daty, ale możemy



Ezra Pound

XXX Cantos

Wydanie drugie

Nowy Jork 2021

powiedzieć, iż w 1915 r. praca nad projektem przybrała konkretną postać. W dwa lata później publikuje „Three cantos”. Nad swym dziełem życia – wielkim poematem współczesności – obejmującym ostatecznie 116 utworów niekiedy sporej długości w dziewięciu wydaniach – od „XXX Cantos” (1930 r.) po „Thrones de los Cantares” (1959 r.), pracował nieustannie. Łącznie wszystkie Cantos (wraz z fragmentami) zajmują 820 stron druku.

\*\*\*

Rzecz nie tylko w ogromnej erudycji Pounda, ale przede wszystkim w jego niezwykłym talencie poetyckim. Oto nikomu nieznanemu młodym amerykańskiemu przybyszowi do Londynu w 1908 r. z walizką tomiku wierszy „Lume spento” – bez pieniędzy, bez kontaktów, znajomości. W krótkim czasie zawojował poetycki Londyn. Jeden z największych poetów języka angielskiego, W. B. Yeats, zamęczał Pounda swoją gościnnością,

także z bardzo egoistycznych powodów. R o z m o w y z młodym poetą były dlań inspirujące, stymulowały własną twórczość noblisty. T.S. Eliot, młodszy od Pounda o trzy lata, z amerykańskiej prowincji (St. Louis taki był w XIX wieku), ale dobrze usytuowany w Londynie jako urzędnik bankowy, wydaje słynną „Ziemię jałową” (Waste-land) w 1922 r. po uprzedniej radykalnej redakcji utworu dokonanej przez Pounda;

młody poeta energicznie zabiegał o publikację (w odcinkach w piśmie literackim) „Ulissesa” Jamesa Joyce’a i choć sam nie miał pieniędzy starał się pomagać materialnie irlandzkiemu pisarzowi, aby ten mógł spokojnie pracować nad swym oryginalnym dziełem. Nawiasem, Joyce wykorzystywał Pounda ponad miarę. Podczas gdy ten drugi z trudem wiązał koniec z końcem w Londynie, pierwszy ucztował w drogich restauracjach w Paryżu.

Lista nazwisk autorów, którzy otwarciem przyznają się do wpływu Pounda na ich życie i twórczość jest długa, a chyba jeszcze dłuższa tych, którzy o tej zależności od wyobraźni poetyckiej autora Cantos milczą, ale inspiracja nie ulega wątpliwości. Do dziś zresztą główny nurt amerykańskiej poezji zdradza głębokie zapożyczenia od „imagizmu” Pounda – minus jego intelektualizm.

„Imagizm” według przyszłego autora Cantos – miał być przede wszystkim sztuką nowoczesnej twórczości poetyckiej, metodą przetamania niedobrej, jego zdaniem, XIX-wiecznej tradycji wiersza.

Oto kilka zaledwie zaleceń z jego programowego artykułu „A Few Don'ts by an Imagiste” (Poetry, marzec 1913):

„Nie używaj zbędnych słów, żadnych

przymiotników, które niczego nie ujawniają”. I nieco dalej: „Nie używaj żadnego ozdobnika albo posługuj się dobrym”.

„Nie używaj wyrażenia w rodzaju 'dim lands of peace' ('mgliste ziemie spokoju'). Stępują obraz. Mieszają abstrakcję z konkretem”. „Naturalne przedmioty są zawsze adekwatnym symbolem.”

„Stroń od abstrakcji. Nie opowiadaj na nowo kiepskim wierszem, co już zostało powiedziane dobrą prozą”.

\*\*\*

Niespokojny duch Pounda gnał go w dalsze rejony. W 1915 r. wydaje tomik poezji „Cathay”, który był ważnym etapem rozwoju jego twórczości. (Nie wszyscy) krytycy zarówno wówczas, jak i całkiem współcześnie zrozumieli poetycki zamiar oryginalnego tomiku „Cathay”, mylnie często traktowanego jako po prostu przekład zbioru wierszy z chińskiego. A tym w istocie nie był. Z podobnym nieporozumieniem spotkał się

czytelników, mobilizacji awangardowych twórców wokół nowej poetyki.

\*\*\*

Czym więc są Cantos? Rozbieżność opinii na ten temat jest zdumiewająca. Należy raczej to pytanie zawęzić – czym dla mnie są Cantos? Według własnego wyobrażenia koncepcji Pounda starałem się przekładać cykl pierwszych 30. utworów.

Naturalnie, z największym naciskiem trzeba podkreślić, że bynajmniej nie dysponuję jakąś oryginalną, własną teorią na ten temat. Po prostu znana, podzielana przez wielu krytyków, poniższa interpretacja wydaje mi się najlepiej oddawać istotę „XXX Cantos” i tą koncepcją kierowałem się w trakcie przekładu całości. Nie zawsze to było możliwe z uwagi na fleksyjną specyfikę języka polskiego.

Pierwszą i podstawową zasadą twórczą „XXX Cantos” jest „metoda ideogramiczna”, rzekomo naśladowująca chińską sztukę poetycką, w istocie - rodzaj

normatywnej poetyki opracowanej przez Pounda. Polegać ma ona, po pierwsze, na unikaniu określeń ogólnych, w rodzaju, wolność, miłość, piękno, samotność, etc. Komunikat poetycki musi być bardzo konkretny, posługiwać się określeniami jednostkowymi, nazwami bezpośrednio odnoszącymi się do indywidualnej rzeczy/zdarzenia. Zestawienie takich konkretów w utworze pozwala na interakcję elementów wiersza, umożliwia „mówienie ich do siebie” – według określenia samego poety.

Autor układa więc razem poszczególne, konkretne „obrazy” (images) nie dodając nic od siebie, nie wyjaśniając, ani nie usprawiedliwiając ich obecności w ogóle, a w takim właśnie sąsiedztwie - w szczególności. Na przykład,

„Na wznak tedy w norze, na półwygięty łuk głogu,  
Jednym okiem na morze, przez ten mały otworek,  
Szare światło, z Ateną.  
Zothar i jej słonie, złota na biodra opaska,  
Sistrum, pootrząsana, pootrząsana,  
kohorty jej tancerzy  
I Althea nad zakolem brzegu.  
(Canto XVII, fragment)

Cały ten utwór ma tworzyć ogólne wrażenie spojrzania na Raj, po przejściu przez Piekło (Canto XV), i przebyciu Czyśćca (Canto XVI).



Wojślaw Brydak

jego późniejszy poemat „Homage to Sextus Propertius” (1934) – omawiany niemal wyłącznie jako błędne niekiedy tłumaczenie z łaciny.

Wreszcie „Cantos” jako ukoronowanie ewolucji sztuki poetyckiej Ezry Pounda.

Te trzy zasadnicze etapy znaczą najistotniejsze kroki w kształtowaniu się jego dojrzałej koncepcji wiersza jako przede wszystkim uniwersalnej zasady funkcjonowania wszelkiej prawdziwie poetyckiej wyobraźni i jej efektów wyrażonych w słowach.

Powyższy podział jest nieco sztuczny, książkowy powiedziałbym. Od zasad programowych „imagizmu” 1912 r. (po drodze był jeszcze prędko zapomniany „wortycizm”, będący swoistą odmianą poprzedniego), poprzez tomik „Cathay” (1915 r.), po publikację pierwszych trzech Cantos w 1917 r., minęło jakieś pięć lat. Miał więc akademickiego następcę idei był to raczej jednoczesny twórczy ferment. Pound miał już z gotową koncepcją poezji, ale nie potrafił jej jasno uświadomić sobie, precyzyjnie zwerbalizować. Odgrywał ważną rolę w środowisku artystycznym Londynu swego czasu, więc konkretne programowe deklaracje miały istotne znaczenie. Służyć miały jako rodzaj przewodnika dla naśladowców, krytyków,



„Ogólne”, bowiem język Pounda jest nie tylko bardzo konkretny, ale też erudycyjny, a zatem wiele zwrotów, określeń, nazw może być (i z zasady jest) niezrozumiała dla czytelnika. Nie ma znaczenia, dowodził autor, najważniejsze jest bowiem właśnie owo doznanie, odczucie w świadomości odbiorcy – świata niezwykłego, starogreckiego piękna przyrody i urody ludzkiego ciała, jakiejś arkadyjskiego błogostanu, pogańskiej celebracji, tańca i pochodu, obcowania z bogami i boginkami. Związek między oderwanymi z pozoru elementami powstaje w świadomości odbiorcy – każdego inaczej powiązany w całość.

Jednak wbrew radom samego Pounda, objaśniam w przypisach nazwy, kontekst historyczne, aluzje. Niekiedy przypisy zajmują parę dobrych stron komentarza do utworu. Sam poeta twierdził, że w sumie cały poemat staje się zrozumiały, nie jest więc potrzebna znajomość konkretnych odniesień kulturowych, znaczenie wypowiedzi w obcych językach.

Zapewne ma rację, ale przypisy ułatwiają bezpośrednią lekturę; co ważne – nie zniechęcają na wstępie do czytania. Dla mnie jednak jako tłumacza/interpretatora Cantos, najważniejszy był wgląd w meandry wyobraźni poety. Przypisy, czyli sięgnięcie do źródeł, do genezy intelektualnych inspiracji poety, wprowadza w historyczny i literacki, ale też zgoła fantastyczny świat jego fascynacji i mitycznych przedstawień; jest to wędrówka śladami dawnych bohaterów zarówno rzeczywistych, jak i książkowych, ale dla Pounda realnych i aktualnych, egzystujących na równych prawach w świecie jego sztuki poetyckiej. Dla mnie przypisy te stanowią integralną część każdego canto, bo pozwalają czytelnikowi na podążanie myślowymi drogami, jakie przemierzały pomysł i idee poety, jego wyobraźnia, jego poczucie estetyki poetyckiego dyskursu. Jeśli jednym z patronów całego poematu miał być Odyseusz, to właśnie podróż przez epoki historyczne, kraje, kultury, jest jedną z najważniejszych cech „XXX Cantos” (a zapewne i pozostałych utworów z całego zbioru).

A ja dodam: czytelnik, jak mityczny bohater, wędruje po meandrach poetyckiej umysłowości Pounda.

Cantos z omawianego wydania zawierają spory ładunek emocjonalny. Spoza pozornej oszczędności ogromnej erudycji Pounda wyciera niesamowite poczucie piękna, ładu i harmonii, zdolności uruchomienia w świadomości czytelnika gry wyobraźni podróżującej wraz z poetą po światach prowansalskich trubadurów, włoskich kondotierów, antycznych misterii, mitologicznych zdarzeń. Język poetycki może być bez metafor i typowych „poetycznych” ozdobińców, od których poeta programowo stronił, a jednak – a może, właśnie dlatego – sugestywny, komunikujący bogactwo doznań. Tej cechy „XXX Cantos” nie tracą, mam wrażenie, w przekładzie. Dla Pounda nawet cytaty ze starych włoskich kronik brzmią jak najwyższa poezja.

Metodę poetycką Pounda najlepiej ilustruje powiedzmy następujący fragment:

„Do diabła tam, Robercie Browning,  
Jest tylko ten jeden „Sordello”.  
Ale Sordello, a mój Sordello?  
Lo Sordels si fo di Manovana.  
So-szu spienił morze.  
Foka bawi się w kręgach białych rozprysków skalnej kąpieli,  
Lśniący łeb, córka Lira,  
oczy Picassa  
Pod czarnym futrzaniem kapturem,

zwinna córka Oceanu;

I fala splywa w rowkach plaży:

„Eleanor, „Elenaus” i „Eleptolis!”

I biedaczysko Homer ślepy, ślepy jak kret,

Tylko ucho na przybór morza, pomruk głosów starców.”

Ajschylos zestawiony z chińskim poetą, trubadurzy i Picasso, angielski poeta i celtycki bóg, grecka mitologia i Homer – wszystko w 12 liniijkach rozpoczynających Canto II. Ktoś mógłby powiedzieć: nie ma sensu poza zbędnym popisem erudycji? Przeciwnie – to właśnie próbka maksymalnej kondensacji komunikatu poetyckiego.

\*\*\*

Racjonalizację dla swej koncepcji Ezra Pound znalazł w pismach Ernesta Fenollosy, amerykańskiego sinologa, tłumacza i popularyzatora sztuki Dalekiego Wschodu, który był kuratorem działu sztuki azjatyckiej w Boston Museum of Fine Arts. Zwolniony ze stanowiska z powodu obyczajowego skandalu, wyśmiany przez środowiska akademickie za swe poglądy na temat języka chińskiego, wrócił do Japonii, gdzie wcześniej wykładał na tokijskim uniwersytecie. Rozgoryczony zmarł w Londynie w 1908 r. skłócony z amerykańskim środowiskiem akademickim – jak zwykle zachowawczym, brońmy interesów grupowych przed wszelką śmielszą myślą.

Pound nigdy nie spotkał Fenollosy, natomiast ważny okazał się kontakt w 1913 r. z wdową, która wręczyła poecie rękopisy po zmarłym uważając, iż będzie on najważniejszą osobą, która doceni oryginalną myśl męża i zajmie się jego dorobkiem. Pound opublikował „An essay on the Chinese written character” Fenollosy w tomie własnych szkiców o poezji pt. „Instigations” (Boni and Liverlight, New York, ok. 1920). Praca nad tymi materiałami pozwoliła mu na sprecyzowanie swojej koncepcji wiersza.

Klasyczny język chiński często zestawia ze sobą znaki (ideogramy) bez żadnej gramatycznej wskazówki co do ich wzajemnej relacji, toteż czytelnik musi sam domyślić się (stworzyć) ich poszczególne znaczenia przez ustalenie samemu związku między nimi. Wizualna, obrazkowa geneza tych znaków ułatwia taką operację myślową. Wiersz zatem nie będzie niczym innym jak zestawieniem dwóch, trzech czy więcej „obrazów” usytuowanych obok siebie bez żadnego wyjaśnienia. Pound komponuje utwór (canto) przez szeregowe ułożenie jakby odrębnych motywów. Pozycyjna specyfika języka angielskiego utrwala taką twórczość przez łączenie elementów składowych wiersza przy pomocy zwykłego spójnika „i”, natomiast wzajemne relacje poszczególnych wersów utworu, jak i całych fragmentów, pozostają w gestii odbiorcy. Fleksyjny język polski nie zawsze jest w stanie oddać specyfikę luźnej składni oryginału ani przygodnej jakby struktury całości poematu.

Związek między częściami wiersza nie ma żadnego rzeczywistego uzasadnienia; jak w powyższym przykładzie, Sordello może pojawić się w towarzystwie chińskiego poety So-szu i trojańskiej Heleny. Nad całością dominuje jeden czynnik sprawczy – twórca, ale pytanie „dlaczego taki układ?” – pozostaje bez odpowiedzi. W poezji nie idzie więc o logikę, ale o wyobraźnię, nie o realne, empiryczne prawdopodobieństwo współistnienia stanów rzeczy, ale stwarzanie pewnych wymownych kombinacji, nieustanne odnawianie języka przez odświeżanie wyrażeń w nowych kontekstach, zdolnych do

wzbogacania władz świadomości, pchnięcia jej na nowe tory. Wreszcie, do tworzenia układu odniesienia dla pracy wyobraźni.

Czym jest ów obraz („image”) – podstawowa kategoria poetycka Ezry Pounda? Jak w chińskiej pisowni podług Fenollosy – skomplikowane ideogramy wywodzą się z nałożenia na siebie paru prostych, wizualnie oczywistych, łatwych do odczytania znaków ikonicznych. W sumie jeden pełny ideogram jest nie tylko wzrokowo atrakcyjny, ale i emocjonalnie oraz intelektualnie sugestywny. Jeden znak-obraz i tyle treści! I podobnie – poszczególne „cegiełki”, bloki układanki Cantos stanowią zintensyfikowany komunikat nałożonych na siebie elementów składowych. Ich rozwinięcie, stworzenie całości – to już sprawa czytelnika.

\*\*\*

Materiał Cantos, ich substancją, są przede wszystkim książki – zawartość dawnych dzieł – archiwalnych zapisków, dziuryszy i kronik, poetyckich przedsięwzięć z przeszłości. Mieszają się w nich legendy i rzeczywistość, fakty i zmyślenia, mity i realia. Jednak niektóre utwory ze zbioru „XXX Cantos” mają jak najbardziej współczesny charakter. Cantos – XII, XVIII, XIX, są jakby na jeden i ten sam temat – o ludziach aktywnych ekonomicznie, nowatorach biznesu; o gospodarczych śmiałościach tworzących coś nowego w rzeczywistości (postacią tutaj modelową będzie Thaddeus Pound, dziadek poety, przedsiębiorca) przeciwstawionych kombinatorom i manipulantom – finansistom, dla których punktem wyjścia i rezultatem ich działalności jest obrót pieniądza; manipulacje, które niczego nowego nie wnoszą do życia. Canto XX to głównie reminiscencja z młodzieńczej podróży Pounda do Gibraltaru, czy Canto XXVIII – z późniejszej podróży z Włoch do Szwajcarii.

\*\*\*

Fikcja miesza się więc tu z rzeczywistością, poglądy współczesne z dawnymi ideami – wszystko przetworzone w umyśle poety w jeden ciąg poetyckich przedstawień. Substancją Cantos jest umysł Pounda który z jego erudycją, gigantyczną pamięcią, stanowi rodzaj wielkiej biblioteki (porównanie z Luis Borghesem byłoby tu trochę naciągane), magazynem owych elementarnych znaczeń. Układał z nich wielkie „obrazy” kierując się trzema głównymi wskazówkami: „Odyseją” Homera, „Przemianami” Owidiusza i „Boską komedią” Dantego. Całe przedsięwzięcie, z którego poeta nigdy nie stworzył skończonej całości, miało być wielkim eposem współczesności. Atrakcyjną przygodą, podróżą po świecie wszelkich piekielnych głębin i sfer niebieskich; jednocześnie wędrówką poetyckiej wyobraźni po dziejach i kulturach ludzkich, a także obszarach własnej świadomości oraz metamorfoz poetyckiej wyobraźni.

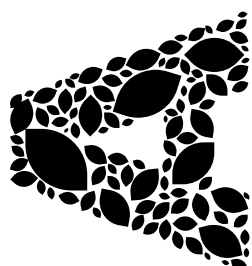
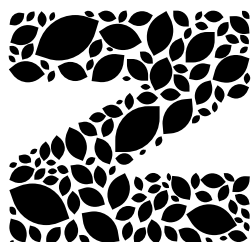
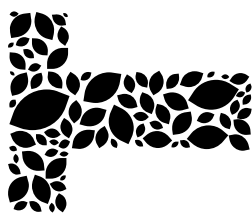
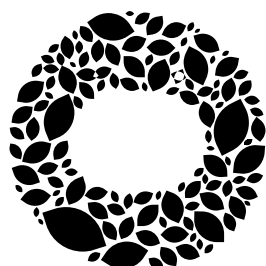
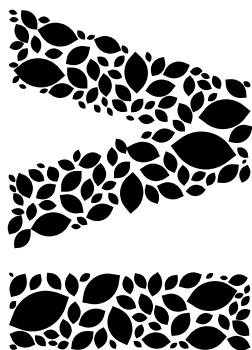
\* „XXX Cantos. Szkic. (Draft of XXX Cantos). Wydanie drugie przejrane, poprawione i uzupełnione. Tłumaczenie Czesław Karkowski. Nowy Jork 2021.

Zachowuję podstawowe słowo „canto”; niekiedy w polskich tłumaczeniach podawane jako „pieśń”. Pound wyraźnie pragnął zachować związek jego dzieła z „Boską komedią”, toteż przyjął włoskie „canto” z podziału poematu Dantego.

\*\* Postępuje się słowem „Cantos” na oznaczenie wszystkich utworów nieskończonego projektu poetyckiego Ezry Pounda. Tylko wtedy, gdy mam na myśli konkretne, moje tłumaczenie, używam zwrotu/tytułu „XXX Cantos”.

CZESŁAW KARKOWSKI

## Ezra Pound



Pałac w dymnym świetle,  
Z Troi tylko kupa tłących kamieni granicznych,  
ANAXIFORMINGES! Aurunculeia!<sup>1</sup>  
Słyszysz mnie. Kadmusie ze statków o Złotym Dziobie!  
Srebrne lustra chwytają jasne kamienie i płoną,  
Świt, na nasze przebudzenie, nanosi chłodne, zielone światło;  
Opar rosy mgli, w trawie, białe stopy w ruchu.  
Buch, buch, furkot, tupot, w miękkiej murawie  
pod jabłoniemi,  
Choros nympharum,<sup>2</sup> koźlonogi, białą stopą na przemian;  
Półksiężyc wód przeniebieszczonych, złotozielony na płycznach,  
Czarny kogut pije w morskiej pianie;<sup>3</sup>

I przy skrzyconej, rzeźbionej nodze sofy,  
szponiasta łapa i lwi łeb, starzec siedział  
Mówiąc niskim monotonnym głosem...:  
Ityn!<sup>4</sup>  
Et ter flebiliter, Ityn, Ityn!<sup>5</sup>  
A ona podeszła do okna i rzuciła się w dół,  
„Cały czas, ten czas, jaskółki płaczą:  
Ityn!  
Oto serce Cabestana<sup>6</sup> podane tak.”  
Oto serce Cabestana podane tak?  
Nie zmieni go inny smak.”  
I podeszła do okna,  
cienka barierka z białego kamienia  
Tworzy podwójny łuk;  
Twarde równe palce uchwytem na twardym białym kamieniu;  
Zakołysała się chwilę,  
i wiatr znad Rhodez<sup>7</sup>  
Pochwycony w pełnię rękawa,  
jaskółki płaczą:  
‘Tis. ‘Tis. Itis!  
Akteon...  
i dolina,  
Dolina jest gęsta od liści, od liści, drzew,  
Słońce lśni, lśni na szczycie,  
Jak rybia płetwa dachu,  
Jak dach kościelny w Poitiers  
Jakby był złoty.  
Pod nim, pod nim,  
Ani promyk, ni płatek, ni zbędny krążek światła słonecznego  
Nie łuszczy czarnej, miękkiej wody;  
Obmywanie ciał nimf, nimf i Diana,  
Nimfa, zbiegowisko bieli wokół niej i powietrze, powietrze,  
Drgające, powietrze rozświetlone boginią,  
owiewa ich włosy w ciemności,  
Podnosi, podnosi i unosi:  
Kość słoniowa zanurzona w srebrze,  
Ocieniona, zaciemniona  
Kość słoniowa zanurzona w srebrze,  
Ani plamki, ani błędnego odprysku słonecznego światła.  
Potem Akteon: Vidal,<sup>8</sup>  
Vidal. Nasz dobry Vidal mówi,  
potykając się przez las,  
Ni plamki, ni błędnego lśnienia słonecznego światła,  
białe włosy bogini.

Psy rzucają się na Akteona,  
„Brać go, brać, Akteona”,  
Cętkowany jeleni leśny;  
Złoto, złoto, snop włosów,  
Gruby jak zagon pszenicy,  
Płomień, płomień w słońcu,  
Psy rzucają się na Akteona.  
Potykając się, potykając przez las.  
Mamrocząc, mamrocząc Owidiusza:  
„Pergusa...<sup>9</sup> sadzawka... sadzawka... Gargafia<sup>10</sup>

Sadzakwa... sadzakwa Salmacji.<sup>11</sup>  
Pusta zbroja drzy a cygnet uchodzi.<sup>12</sup>

To deszcz światła, to ulewa, e lo soleils plovil<sup>13</sup>  
Płynny i rwący kryształ  
poniżej kolan bogów;  
Warstwa na warstwie, wiotki połysk wody;  
Błona strumienia niesie białe płatki.  
Sosny na Tasagao<sup>14</sup>  
rosną z sosnami Ise!<sup>15</sup>  
Woda wzbija olśniewająco biały piasek u ujścia strumienia  
„Patrzcie na Drzewa Oblicza!”<sup>16</sup>  
Rozwidlone czubki gałęzi, jaskrawe jakby w lotosie.  
Warstwa na warstwie  
Płytki wirujący płyn,  
poniżej kolan bogów.

Pochodnie topnieją w żarze  
rozpalają narożne palenisko kuchenne,  
Błękit agatu powleka niebo (jak w Gourdon<sup>17</sup> owego czasu)  
bryzgi żywicy,  
Szafranowy sandał otula wąską stopę: Hymen Io!<sup>18</sup>  
Hymen, Io Hymenae! Aurunculeia!<sup>19</sup>  
Szkarłatny kwiat rzucony na biało zbielony kamień.

I So-Gioku<sup>20</sup>, mówi:  
„Ten wiatr, panie, jest wiatrem króla,  
Ten wiatr jest wiatrem pałacu,  
Wstrząsa strumieniami cesarskich fontann.”  
I Hsiang<sup>21</sup> rozpinając kołnierz:  
„Ten wiatr ryczy w worku ziemi,  
Kładzie sitowie na wodzie.”  
Żaden wiatr nie jest wiatrem króla.  
Niech każda krowa zachowa swe cielę.”  
„Ten wiatr jest schwyty w zasłonach z gazy...”  
Żaden wiatr nie jest króla...”

Poganiacze wielbłądów siedzą na zakręcie schodów,  
Patrzą w dół na układ ulic Ekbatany,<sup>22</sup>  
„Danae! Danae!  
Jaki jest wiatr króla?”  
Dym wisi na strumieniu,  
Drzewa brzoskwiniowe zrzucają jasne liście do wody,  
Dźwięk rozchodzi się w wieczornej mgle,  
Barka ociera się o bród,  
Złoceni flisacy ponad czarną wodą,  
Trzy kroki w otwarte pole,  
Szare kamienne słupy prowadzą...<sup>23</sup>

Pere Henri Jacques rozmawiałby z Sennim<sup>24</sup> na Rokku,<sup>25</sup>  
Góra Rokku między skałą i cedrami,  
Polhonac<sup>26</sup>  
Jak Gyges<sup>27</sup> na trackim talerzu naszykował ucztę,  
Cabestan, Terreus,<sup>28</sup>  
To serce Cabestana na tacy,  
Vidal, albo Ekbatana, na złoconej wieży Ekbatany  
Leżała oblubienica boga, leżała kiedyś, czekając złotego deszczu.  
Nad Garonną. „Saave!”<sup>29</sup>  
Garonna jest gęsta jak farba,  
Procesja, - Et sa'ave, sa'ave, sa'ave Regina!” –  
Porusza się jak gąsienica, w tłumie.  
Adyga, cienka błona obrazów,  
Za Adygą, Stefano i jego Madonna in hortulo,<sup>30</sup>  
Jak ją widział Cavalcanti.<sup>31</sup>  
Centaura kopyto wkopane w glinę ziemi,  
A my tu siedzimy  
Tu oto na arenie...<sup>32</sup>

Przypisy

- 1 Anaxiforminges – hymny, które rządzą lirą; początek II „Ody Olimpijskiej” Pindara; Aurunculeia – narzeczona z Epithalamium LXI Katullusa.
- 2 Chór nimf.
- 3 Płanie koguta obwiesza narodziny Afrodyty z morskiej piany.
- 4 Ityn – Itys, syn Proce i Tereusa, króla Traków (Owidiusz, Przemiany, VI, 426-674). Proce zabiła swego syna, Itysa, aby ugotować go i podać na stół Tereusowi w odwecie za to, że zgwałcił jej siostrę, Filomelę, a następnie obciął jej język, aby nie mogła powiedzieć o tym. Proce i Filomela uszły zemsty Tereusa zamieniając się w jaskółkę i w słowika.
- 5 „Po trzykroć we łzach”.
- 6 Cabestan, albo Guillems de Cabestanh, trubadur; według celtyckiej legendy, został kochankiem Lady Seremonda, żony Ramona, pana na zamku Rossillon, któremu służył. Ramon miał zabić Cabestana i podać jego upieczone serce Seremondzie.
- 7 Rhodex – wysoka równina nad rzeką Aveyron. Pozostałości katedry z dwiema wieżami z 1274 r. oglądał Pound podczas wizyty tam latem 1919 r.
- 8 Trubadur Peire Vidals przebrał się w wilczą skórę, by uwieść swą panią, Loba z Penautier. Jak Akteon, Vidal w pogoni za swą miłością, staje się ofiarą własnych psów.
- 9 Jezioro światła cieni, dokąd Dis, rzymski bóg Podziemia, wprowadził Persefonę (Owidiusz, Przemiany, V, 386).
- 10 Gargafia – głęboka dolina ze źródłem, w którym Akteon podejrzwał kąpiącą się Artemidę. (Owidiusz, Przemiany, III, 156).
- 11 Salmacis (Owidiusz, Przemiany IV, 285-388) źródło w pobliżu Helikarnasu, gdzie wodna nimfa Salmacis, próbowała bezskutecznie zgwałcić Hermafrodytę.
- 12 Cygnus, albo „lądź”; po polsku Kyknos - syn Neptuna, który ruszył przeciwko Achillesowi w obronie Troi. Dzięki magii Neptuna nawet Achilles nie mógł go zranić. Gdy ostatecznie Achilles rzucił nim o ziemię, by zmiażdżyć mu ciało, zbroja okazała się pusta, a Kyknos uciekł pod postacią lądździa.
- 13 „I słońce pada” – dokonana przez Pounda tawestacja wersu prowansalskiego poety Arnauta Daniela „gdzie deszcz pada ze słońca” (jak sam wcześniej przetłumaczył ten wers).
- 14 Tytuł japońskiej sztuki No wziętej z legendy o sośnie rosnącej na brzegu Zatoki Takasago, południowe Honshu. Tematem sztuki jest wspólnie starzejąca się para, symbolizowana przez dwie sosny – jedna rosnąca na Takasago, druga – na Sumiyoszi. Pound traktował tę opowieść jako paralelną do mitu o Filemonie i Baucis.
- 15 Zatoka słynąca z gajów sosnowych. Zdaniem CT (Carroll F. Terrell - A Companion to the Cantos of Ezra Pound) Pound pomieszał Ise z Sumiyoszi, właśnie ze względu na wspólny motyw drzew sosnowych.
- 16 CT uważa ów zwrot za błąd przekładu z japońskiego, kiedy tłumacz, a za nim Pound, pomylił „drzewo życia” oznaczające sosnę z podobnym ideogramem oznaczającym „twarz”.
- 17 Jedna z miejscowości odwiedzona przez Pounda w czasie jego wycieczki po Francji trubadurów w 1912 r.; patrz Massimo Bacigalupo - Ezra the Troubadour, w: Provence and the British imagination. Ed. Claire Davidson i inni. Milano 2016.
- 18 „Hymenowi cześć” – Hymen bóg małżeństwa, a szafran jego kolorem. „Szafranowy sandał” - odniesienie do pieśni weselnej Katullusa LXI. Podczas uroczystości ślubnej wręczano pannie młodej wianek, woalkę i złote sandały.
- 19 Hymen, Hymenowi cześć, Aurunculeia! (przyp. 1.).
- 20 So-Gioku japońska forma nazwiska chińskiego poety, Sung-Yi (w. p. n.e.) autor „Prozowiersza o wietrze”, w którym król i jego nadworny poeta omawiają różnicę między męskim i żeńskim wiatrem.
- 21 Hsiang – król Xiang or Qingxiang of Chu (r 298-263 p. n. e.).
- 22 Ekbatana, dziś Hamadan - miasto w zachodnim Iranie.
- 23 Fragment od „Dym wisi na strumieniu...” nawiązuje do utworu chińskiego poety Wang Wei pt. „The Song of the Peach Blossom Fountain”. Patrz: Ezra Pound's Encounter with Wang Wei: Toward the „Ideogramic Method” of the Cantos, w. Twentieth Century literature, Vol. 39, No. 3 (Jesień 1993).
- 24 Japońskie słowo na oznaczenie dzina; jednak dosłowne tłumaczenie chińskie oznacza „pustelnika” albo „filozofa”, który osiągnął nieśmiertelność opierając się postępowaniu. Jego domniemanym rozmówcą miałby być francuski ksiądz jezuita.
- 25 Według Pounda „jakaś góra albo wyspa”; tymczasem jest to zniekształcona nazwa Tajpei na Tajwanie.
- 26 Wicehrabia Herakliusz III z Polhonac został przekonany przez trubadura Guillems de san Leidier (znany także jako Guilhem de Saint Didier), aby zaśpiewał swojej żonie pieśń miłosną, która on skomponował, gdy ta odmówiła przyjęcia go na swego rycerza, chyba że poprosi o to jej mąż.
- 27 Król Lidii, Kandaules zaprosił potajemnie Gygesa do swej sypialni, aby mógł podziwiać jego piękną nagą żonę. Ona jednak przejrawszy plan męża poczuła się obrażona. Uwiodła Gygesa, skłoniła go, by zabił Kandulesa i ożenił się z nią.
- 28 Cabestan, przyp. 6; Terreus, przyp. 4.
- 29 Saave Regina! – „Cześć królowej”
- 30 Stefano da Verona, malarz, autor „Madonna in hortulo” (Madonna w małym ogrodzie).
- 31 Guido Cavalcanti, poeta tokański, przyjaciel Dantego.
- 32 Zakończenie dodane do ostatecznej wersji utworu do publikacji „A Draft of XVI Cantos” w 1923 r. Pound przypomina tu spotkanie z T. S. Eliotem w czerwcu 1922 r.

Agnieszka Wiktorowska  
-Chmielewska

### Pierwsze - kierunek. z ufnością

Zatrzymam w pamięci grafitowe chmury  
tuż nad pulsującą ziemią. zatrzymam czas  
z głosem Annie Lennox w lirycznym Why.  
jadę tam, lecz nie wracam.  
jadę, lecz wrócę tam,  
gdzie grzywacze na balkonie  
zakładają gniazdo.  
gdzie Łazarz tętni życiem.

### Janeczka z Winnej Góry

Nie mogę przestać o niej myśleć,  
nie mogę przestać myśleć o niej babcia,  
jak ona nie mogła przestać myśleć  
o chlebie, którego nie mogło zabraknąć,  
o głodzie, który karmił się jej cieniem.  
karmił jej cień. więził w zimnej krainie.

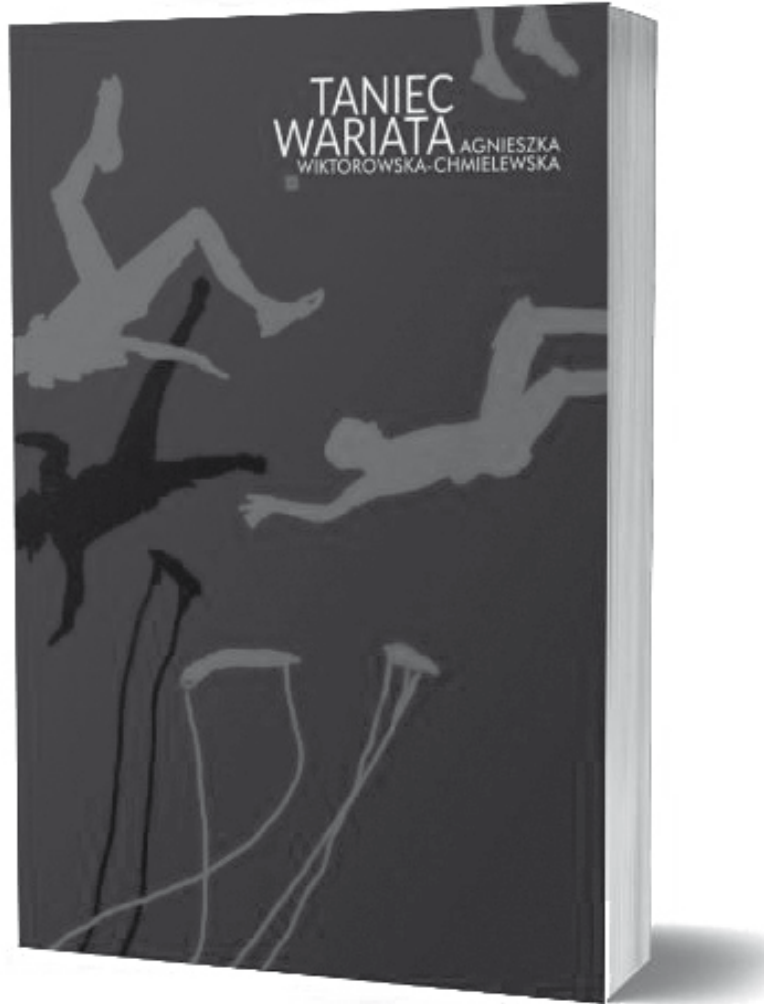
### Nocna obecność

Pytasz Lidio o sny i opowiadasz,  
jak ktoś prowadzi cię, gdzie nie chcesz,  
jak zabiera coś, czego chcesz.  
nie pamiętam swoich snów, Lidio.  
jest ich tak wiele, tak wiele się dzieje.  
chciałabym ci je opowiedzieć i pomóc,  
chciałabym je opowiedzieć sobie i pomóc.  
ale pamiętam jedynie, że są  
i ktoś lub coś przemyka  
między jednym a drugim.  
dotyka nieuchwytnego.

### Kręci się dookoła

Maj w gorączce. jasnota i kurdybanek  
wplecione w soczyste trawniki parkowe.  
czasoprzestrzeń zakrzywiona od pozorów.  
bezruch i rześkie powietrze. pod brzozą,  
w łaskoczącym słońcu obserwuję  
jak rosną stokrotki. jak z wdziękiem  
z gałęzi na gałąź przeskakuje wiewiórka.  
nad miastem rozciąga wolność.

Wiersze pochodzą z najnowszej książki „Taniec wariata”, która ukaże się w 2021 roku nakładem wydawnictwa FDF w Warszawie. Książka powstała w ramach programu stypendialnego Urzędu Marszałkowskiego Województwa Wielkopolskiego



Agnieszka Wiktorowska-Chmielewska - poetka, pisarka, scenarzystka, absolwentka Studium Literacko-Artystycznego na Wydziale Polonistyki UJ w Krakowie oraz Wytwórni Scenariuszy przy WFDiF w Warszawie. Autorka poematu „i tu, i tu” (2014) nagrodzonego w konkursie Miasta Krakowa na Książkowy Debiut Poetycki 2014, a także „Szczęściodotów” (2016), „Kręgu ochronnego” (2018), „Trójki” (2018), „impresji” (2019), „miniatur. portretów krakowskich” (2020), „przestuchania” (2020) oraz zbioru opowiadań „Dzielnica (bez cudów)” (2020). Stypendystka ZAiKS-u, MKiDN oraz UMWW. Studiuje na ASP w Krakowie.

# GŁOS OBYWATELSKI Z PRZESZŁOŚCI

Chodzi oczywiście o głos wielkiej – jeżeli nie największej – polskiej pisarki, myślicielki i społecznicy, która doczekała się właśnie – sto dziesięć lat po śmierci, a sto pięćdziesiąt pięć lat po stworzeniu arcydzieła *Nad Niemnem* – obszernego (3 tomy, 2610 stron!), krytycznego wyboru tekstów publicystycznych, które były dla niej pewnie tak ważne jak utwory artystyczne, stanowiły bowiem ich dyskursywne dopełnienie, a dotyczyły fundamentalnych problemów etycznych i filozoficzno-politycznych drugiej połowy XIX wieku oraz tzw. polących kwestii socjalnych: żydowskiej i kobiecej. Publicystyka społeczna Elizy Orzeszkowej, przygotowana z podziwu godną starannością przez Grażynę Borkowską (wybór i wprowadzenie) oraz Iwonę Wiśniewską (opracowanie edytorskie) z Instytutu Badań Literackich PAN, ukazała się nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego w roku 2020. I już przy pierwszym, pobieżnym oglądzie zaskądziła, porwała, przykuwała.

W tomie pierwszym trzy bloki tekstów: *Myślenie obywatelskie*, *Żydzi*, *Kwestia kobieca*. O czym myśli i mówi w nich ta wybitna Obywatelka Królestwa Polskiego, patrząc na swoją zniewoloną, zacofaną i zabiedzoną, a jakże głęboko i żarliwie ukochaną ojczyznę z perspektywy ciemnogrodzkiego, gubernialnego miasta Grodna? Co ją trapi i nurtuje, co spędza sen z oczu i nie pozwala skończyć czy to *Marty*, czy którejś innej niosącej światło i dobro powieści? Wiele jest w tym *Nadwiślańskim Kraju* trudnych i bolesnych spraw, które trzeba podjąć, aby zapobiec jednostkowym dramatom i narodowym tragediom, mającym u swych źródeł ciemnotę, uprzedzenia, lęk i kompleksy. *Patriotyzm i kosmopolityzm*, *emigracja zdolności*, *egoizm narodowy*... – to nader ważne problemy! Zwłaszcza ten groźny jak zakaźna choroba, destrukcyjny egoizm! Eliza Orzeszkowa żadną miarą nie może zgodzić się z poglądami, które Zygmunt Balicki, jeden z czołowych działaczy Ligi Narodowej, sformułował w rozprawie *Egoizm narodowy wobec etyki*, uchodzącej za „biblię polskiego nacjonalizmu”, a wydanej we Lwowie w roku 1902 (i wznowionej dwukrotnie: w 1903 i 1908). W reakcji na tę książkę pisarka wybuchła świętym oburzeniem i szlachetnym sprzeciwem:

*Rozległo się po Ojczyźnie mojej hasło nowe: „Nie miłość, ale nienawiść zbawia narody. Ten z nich odierży potęgę największą, kto zmiadździ najlepiej wszystko, co zdaje się zagradzać mu drogę ku potędze. Precz ze współczuciem i sprawiedliwością! Zwycięstwo w samolubstwie, które niesprawiedliwość i okrucieństwo rozgrzesza!”*

*Odkąd to nowe hasło usłyszałam, pragnę wołać do Ojczyzny swojej: Nie wierz złym! Nie bądź złą!*

*Nienawiść jest złem i miazdzenie innych dla korzyści własnej jest złem! Czyliż nie doświadczyłaś tego na samej sobie?*

*Miłość jest dobrem, sprawiedliwość jest dobrem i dobroć jest dobrem.*

*Przez zło nie dotrwasz, przez dobro dotrwasz. Tylko przez dobro zdobędziesz potęgę ducha, która jest jedyną*

*potęgą niezawodną. (...)*

*Nie słuchaj każdej kropli żółci, która syczy: to wróg! Ale słuchaj rozumu, który naucza, jak obojętnych przędzierzgać w przyjaciół, a nieprzyjaciół nie wprawiać w szal wraży. (...)*

Choć język tej wypowiedzi, wysoki, zmetaforizowany, biblijny, dziś byłby dla nas nieprzekonujący – wolelibyśmy otrzymać argumenty merytoryczne, rzeczowe, logiczne, historyczne – to przecież myśl dziewiętnastowiecznej pisarki zdaje się w trzeciej dekadzie XXI wieku może i bardziej aktualna niż na początku XX stulecia i brzmi jak przypomnienie i ostrzeżenie. Mimo doświadczeń nazizmu, którego zaczynem był wszak skrajny nacjonalizm, zaczynamy jako państwo wchodzić krok po kroczku na ścieżkę wytyczoną przez Dmowskich i Balickich, lansować „słuszny” egoizm narodowy w miejsce „szkodliwego” altruizmu społecznego, promować nowy typ Polaka – silnego, dumnego, agresywnego i... bezrefleksyjnego. W hasłach Marszu Niepodległości, w mowach przywódców Młodzieży Wszechpolskiej, Organizacji Narodowo-Radykalnej, Stowarzyszenia Roty Niepodległości widać i słychać coraz wyraźniej to, przeciw czemu sto dwadzieścia lat temu cytowanym wyżej tekstem protestowała Obywatelka, którą jej współcześni – w pełni zasadnie – nazwali „żywą mądrością i czującym sercem całej epoki”. Pojawia się tam nawet okrutne słowo *miazdzenie*, z upodobaniem używane przez twórcę i lidera Stowarzyszenia Roty Niepodległości. Deklaruje on gotowość i wolę **miazdzenia**. Czego? Ależ to jasne: **wszystkiego**, co stoi na przeszkodzie budowy Polski Narodowej! Wielkiej Polski! Białej Polski! Polski dla Polaków!

Co by napisała dziś mądra i dobra Pani Eliza w odpowiedzi na coroczne wystąpienia owych propagatorów „złego” patriotyzmu, siewców brunatnego ziarna podczas Marszów Niepodległości?

Łatwo sobie wyobrazić! Na pewno nie użyłaby mowy wysokiej i podniosłej, retoryki romantycznej i biblijnej. Wytoczyłaby ciężkie działa faktów z niedalekiej i wciąż przez nas pamiętanej wojenno-okupacyjnej przeszłości i zadbałaby o bezzwrotną publikację swego protestu. Bo tekst *Nowe hasło* nie ukazał się za jej życia. Być może, autorka sama go zatrzymała, uznawszy, że jest zbyt emocjonalny. A może odradził jej publikację któryś z przyjaciół w obawie przed dzikimi atakami prasy nacjonalistycznej na pisarkę i na wydawcę. Ludzi podzielających pogląd Balickiego, że altruizm jako jedyny moralny nakaz współzycia społecznego jest szkodliwy, było i wtedy wielu, więc jest to bardzo prawdopodobne. Szczęśliwie artykuł *Nowe hasło* zachował się i dzięki trafnej decyzji autorki wyboru *Publicystyki społecznej Elizy Orzeszkowej* jest dostępny i może zostać włączony do debaty światopoglądowej, jaka toczy się od lat już wielu w niepodległej, lecz dramatycznie podzielonej i wewnętrznie skonfliktowanej Polsce.

Innym godnym wskazania przykładem obywatelskiego myślenia pisarki jest jej od-

powieź na ankietę lwowskiego miesięcznika polskiej młodzieży socjalistycznej i niepodległościowej „Promień” zatytułowaną *Ludzkość i ojczyzna*. Tekst powstał w ciągu trzech letnich miesięcy roku 1904, a ukazał się w numerze 8/9 miesięcznika z tegoż roku. Odnosił się do trzech kwestii: 1. Czy postęp dziejowy zmierza do zatarcia czy do wydatnienia indywidualności narodowych. 2. Czy istnieje interes narodowy różny od interesu ludu pewnego narodu? 3. Czy uczucia miłości ojczyzny i miłości wszechludzkiej muszą się zwalczać lub ograniczać wzajemnie? Z obszernych, dogłębnych i obrazowych odpowiedzi pisarki wybierzmy zdania najkrótsze, lecz stawiające kropkę nad „i”.

Ad 1. (...) *Postęp dziejowy przynosi z sobą pojęcia wręcz sprzeczne pojęciom przemocy, przymusu, krzywdy, bez których naród żaden ujednostajnionym z narodem innym być nie może.*(...)

Ad 3. *Tak i nie. Zależy to od dobrego lub złego gatunku miłości ojczyzny, czyli patriotyzmu.* (...)

(...) *Patriotyzm zły, ten, który naucza narody wzajemnej dla siebie nienawiści i pogardy (...); patriotyzm, którego objawami są podboje, podstępny i oszustwa polityczne, zaślepione uwielbienie samego siebie, plwanie na innych – taki patriotyzm nie tylko zwalcza i ogranicza uczucia miłości wszechludzkiej, lecz jest zaprzeczeniem i sprzeciwieniem samego pojęcia miłości, jest bluźnierstwem przeciwko jej imieniu i pojęciu.* (...)

(...) *patriotyzm oczyszczony z przymieszek ludzkiej złości i głupoty jest jedną z bram, przez które człowiek wychodzi z zafęchłej turmy sobkostwa, i jednym z młotów, które rozbijają sklepienie ciemnej izby, aby człowiek ujrzał widnokrąg bogaty w ziemię, niebo i powietrze.* (...)

Patriotyzm tedy, pojęty jako miłość i jako obowiązek służenia ojczyźnie, nie zwalcza miłości wszechludzkiej, lecz owszem, jest prowadzącą do niej drogą i szkołą, a dla większości ludzi jedyną możliwością fragmentarycznego na szeroką skalę jej posiadania. (...)

Miłość tedy wszechludzka nie tylko miłości ojczyzny nie zwalcza i nie ogranicza, lecz oczyszcza ją z naleciałości ludzkich i sprowadzając ją do rzeczywistego wyrazu, wzajemnie w niej znajduje swój wysoki i najdostojniejszy wyraz. (...)

Kończąc zaś swój natchniony wywód, wyraża pisarka nadzieję, że stanie się jak w widzeniu Ijaszasa, jak w marzeniu francuskiego filozofa i socjologa Alfreda Fouillé, który mniej więcej w tym samym czasie pisał: „*Część i całość, oto formuła święta, jednostka i ogół, oto prawdziwy wzór społeczeństwa*”. Jakby wbrew samej sobie, Orzeszkowej realiste, przenikliwej psycholożce, świadomej reguł rządzących człowiekiem, wypowiada zbożne pragnienie, w które może i sama nie wierzy:

*Niech miłość ojczyzny wyszkała serca do miłości wszechludzkiej, a miłość wszechludzka niech z serc wymiata wszystko, co miłość ojczyzny kazi i kształty jej wypacza! A może...* →

może nadejście czas, gdy „narody przekują miecze swe na pługi i z wólczeni poczynią nożyczkę winiarzy”, gdy powszechnie urzeczywistni się na świecie zdanie francuskiego myśliciela: „Un et tout, voilà la formule du monde, un et tout, voilà la vraie formule de la société”.

Stało się, jak wiemy, odwrotnie, i to w niewiele lat potem: narody przekuły pługi i nożyczkę winiarzy na narzędzia śmierci i wkrótce ziemia spłynęła krwią kilkudziesięciu milionów ofiar dwóch wojen światowych oraz wielu wojen lokalnych. Był to największy w dziejach i najhulaniejszy triumf egoizmów narodowych i „złych” patriotyzmów. Jednakże w reakcji na wstrząs wywołany ogromem wojennych zbrodni i zniszczeń nastąpił chwalebny zwrot ku idei „miłości wszechludzkiej” – jak rzekłaby Eliza Orzeszkowa, i ku zasadzie „un et tout” – jak by powiedział jej ulubiony myśliciel Alfred Fouillée. Dnia 9 maja 1950 roku francuski mąż stanu Robert Schuman przedstawił w Paryżu projekt (deklarację) **wspólnej – a więc pokojowej – Europy**. Ojciec Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali (1952), Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej (1958) i Unii Europejskiej 1993) przekonywał: „Wkład, jaki zorganizowana i żyjąca Europa może wnieść w cywilizację, jest niezbędny dla utrzymania pokojowych stosunków.” I ostrzegawczo przypominał: „Nie było Europy, mieliśmy wojny!”

Plan Roberta Schumana sprawdził się: wspólnota europejska trwa, odwieczni wrogowie (Francja i Niemcy, Polacy i Niemcy) są partnerami, a od 1945 roku nie było na starym kontynencie wojny! Ale czy nie będzie? I czy wspólnota 27 państw przetrwa, skoro już wyłamała się z niej Wielka Brytania? Pytania takie w Polsce muszą się pojawiać i mnożyć, gdy w przestrzeni publicznej, zwłaszcza rządowej i sejmowej, coraz głośniej i zuchwalej rozbrzmiewają głosy nienawiści i wrogości wobec tej organizacji: „Unia to szmata”, „Precz z Unią!”, „Bruksela gorsza od Moskwy” itp. Jeżeli osoba o niskim IQ i rozchwianej osobowości wyrzaskuje we własnym domu albo na własnym podwórku tego rodzaju nieodpowiedzialne i niegodziwe słowa, można złożyć to na karb jej permanentnej frustracji. Gdy jednak zniewagi takie padają z ust posłów, ministrów, premierów i płyną szerokim ściekiem z publicznych mediów, a każde listopadowe święto niepodległości zamieniają w antyświęto, w brunatną zadymę pod hasłem „ŚMIERĆ WROGOM OJCZYZNY”, nie sposób ich ignorować czy bagatelizować. Trzeba zadać pytanie: czy przetrwamy jako naród i państwo poza europejską wspólnotą?

Odpowiedź jest oczywista: nie przetrwamy. Tego uczy nas historia, o tym mówi zmieniające się radykalnie oblicze znanego nam świata.

Wróćmy jednak do omawianej publikystki i spróbujmy sobie wyobrazić, co by rzekła Pani Eliza Orzeszkowa, gdyby jakimś cudem znalazła się 11 listopada 2021 roku w Kaliszu. Czy poraziłby ją bezmiar głupoty nacjonalistów, którzy kaliskie święto niepodległości zamienili w wiec oszołomów? Czy przeraziłaby treść wyrykiwanych przez nich haseł? Bo spalenie kopii *Statutu Kaliskiego* z 1264 roku, dokumentu, którym książę Bolesław Pobożny gwarantował Żydom wolność osobistą i bezpieczeństwo, na pewno wzburzyłoby ją do żywego. Za to reakcja kaliszczan, którzy 12 listopada wyszli tłumnie na ulice swego miasta, by roznościelom wirusa neonazizmu powiedzieć głośno i stanowczo NIE! STOP FASZYZMOWI! KALISZ JEST DLA WSZYSTKICH! POLSKA JEST BIAŁO-CZERWONA! – uczyniłaby ją szczęśliwą. Oto mądrzy, dobrzy, prawi i dzielni mieszkańcy Kalisza,

obywatele Polski, doświadczeniem hitlerizmu **zaszczepieni** przeciw zgubnemu dla narodów nacjonalizmowi i groźniejszemu od niego szowinizmowi, uczynili to, co ona od młodości do śmierci czyniła piórem, żywym słowem i czynem: przeciwstawili się ŻłU. Tym samym obronili wobec świata dobre imię Kalisza i Polski, określili też polską tożsamość. A jeszcze dowiedli słuszności poglądu, który ona wyraziła sto lat wcześniej: że miłość ojczyzny, jeśli jest szczerą, nie tylko nie wyklucza się z miłością wszechludzką, ale jest jej fazą wstępną, załączkową i do niej prowadzi. Nie może więc być patriotą antysemita, rasista, ksenofob, homofob.

W obywatelskim myśleniu Orzeszkowej szczególne miejsce zajmowały dwie kwestie: kobieca i żydowska. Obie domagały się gruntownego zbadania, wszechstronnego oświecenia i poddania uwadze publicznej, ponieważ były kwestiami, na które cywilizowane, chrześcijańskie społeczeństwo XIX-wiecznej Europy nie powinno zamykać oczu. Bezżenna i niemająca kobieta była wszak ciągle istotą bez praw i szans, Żyd zaś, zwłaszcza biedny, znaczył niewiele więcej niż robak.

Kwestii kobiecej poświęciła Orzeszkowa wiele uwagi zarówno w utworach literackich, jak i publicystycznych. *Marta*, powieść z 1873 roku – do dziś poruszająca i atrakcyjna czytelniczo, a w niektórych elementach aktualna – odniosła niebywały sukces: kobiety z całego świata stały autorce wyrazy wdzięczności za otwarcie im oczu i wskazanie drogi do samodzielności, niezależności, pełnego rozwoju. Dramat tytułowej bohaterki, młodej i pięknej Marty Świcznej, która po nagłej śmierci męża popada z córeczką w nędzę, gdyż bez należytych kwalifikacji nie może znaleźć pracy, i skrajnie wyczerpana, zrozpaczona rzuca się pod kołniskę kopyta – przemówił do wszystkich. *Marta* jest niewątpliwie najpełniejszym i najdoskonalszym artystycznie ujęciem kwestii kobiecej, ale kobiety zagubione, zdesperowane, zbuntowane i walczące o prawo do samostanowienia i szczerą występują także w: *Pamiętniku Wacławy* (1971), *Panu Grabie* (1872), *Pannie Antoninie* (1888), *Jędrzy* (1891) czy *Nad Niemnem*. Przynajmniej dwie z nich – Ryta Stabecka z *Pana Graby* i Justyna Orzelska z *Nad Niemnem* – to osoby mądre, świadome siebie, silne i zdecydowane. Emancypantki.

Jako pisarka była dobra Pani Eliza czuła i współczująca dla swych nieszczęśliwych i skrachowanych bohaterek i nigdy nie zataowała im rysów pięknych i subtelnych, za to jako publicystka traktowała kobiety niczym obiekty badawcze i nie szczędziła im słów surowej i zapewne raniącej prawdy. „Nie od urojonej tyranii mężczyzn – pisała w roku 1870 w artykule publicystycznym *Kilka słów o kobietach – nie od świętych i przynoszących szczęście obowiązków rodzinnego życia, nie od przywodziłości i prostoty, ale od słabości fizycznej bardziej narzuconej niż od natury wziętej, od braku sił moralnych na samoistne i logiczne życie, od klątwy wiecznego niemowlęctwa i anielstwa, od wypatrywania z cudzej ręki kawałka powszedniego chleba, od wiecznego zamykania przed nimi dróg poważnej i użytecznej pracy mają i powinny emancypować się kobiety.*”


Dziś Polki są wolne od deformujących je i upośledzających masek, koturnów i gorsetów, silne, samoświadome, wykształcone, niezależne, przedsiębiorcze i kreatywne, ale kwestia kobieca wciąż się tli, a nawet ostro zaoigna. „Polska George Sand”, jak nieco umniejszająco nazwano Panią Elizę (pisarkę wielkiej miary, nominatkę do nagrody Nobla), miałyby w tej materii znowu wiele do powiedzenia.

Aktualna jest również po dziś dzień kwestia żydowska, chociaż Żydów w Polsce prawie nie ma, jeżeli nie liczyć tych głęboko zakorzenionych w polskości, zasymilowanych. W XIX wieku Izraelici, żeby użyć powszechnej wówczas ich nazwy, stanowili znaczny procent ogółu ludności ziem polskich (w Królestwie Polskim w roku 1897 na przykład 14 %, czyli 1,3 mln), lecz nie integrowali się z Polakami, pozostawali odrębni, osobni, całkowicie obcy. Dla pozytywistów wzajemna nieufność i wrogość obu społeczności była rzeczą wysoce, z punktu widzenia interesu publicznego, niepożądaną i szkodliwą, rozwinęli więc pracę na rzecz ich zbratania. Eliza Orzeszkowa, gorąca zwolenniczka tej idei, z pasją przystąpiła do studiów nad historią, religią, obyczajowością, kulturą i językiem Żydów. Owocem tych prac stały trzy powieści: *Eli Makower* (1875), *Meir Ezołowicz* (1978) i *Mirtala* (1883) oraz cztery opowiadania (*Silny Samson*, *Daj kwiatek*, *Gedali*, *Ogniwa*), tworzące razem przejmujący – a w przypadku *Meira Ezołowicza* wstrząsający i przerażający, kathartyczny – obraz społeczności skrajnie sfanatyzowanej, niewolniczo podległej władzy rabina, spętanej setkami nakazów i zakazów religijnych, z autodestrukcyjnym uporem trwającą w zamkniętym świecie prawd i nauk Biblii, Talmudu, Kabały i Tory. Ale zarazem niewolnej od tendencji przeciwnych, **prometejskich**, reprezentowanych przez ludzi takich, jak wrażliwy, myślący i współczujący Meir Ezołowicz. Wspaniała końcowa scena powieści, scena, w której, za przykładem kantora Eliezera, postępowi mieszkańcy Szybowa ujmują się za okrutnie wyklepym przez fanatycznego rabina młodzieńcem, jest budującym tego dowodem.

Jak bardzo pisarce leżała na sercu kwestia żydowska, jak mocno i dramatycznie przeżywała rozruchy antyżydowskie, które groźną falą przewalały się przez Królestwo Polskie w latach 1881-1884 (w związku z zamachem na cara Aleksandra II), świadczy nie tylko jej twórczość literacka (m.in. wspomniana wyżej *Mirtala*, powieść o pogromie Żydów w Rzymie cesarza Wespazjana), ale także korespondencja oraz publicystyka. W liście do Leopolda Méyeta z 16 maja 1881 Pani Eliza pisała: „Głupie i ciemne masy popełnić mogą zbrodnię i szalone głupstwo, ale niech przynajmniej garść inteligencji polskiej zaprotestuje przed ludzkością i historią, nie tylko słowami i czynami, ale i choćby życiem swoim. Ja przynajmniej, ale i parę jeszcze osób zdecydowani jesteśmy zginąć choćby, a stać pomiędzy rozhukaną falą a drzwiami napastowanych. (...) Z dnia na dzień oczekujemy katastrofy. (...) Kto wie! Może się już nie zobaczymy.”

A Edwardowi Jelinkowi w styczniu 1882 zwierzała się: „Wypadki warszawskie odjęły mi na czas jakiś możliwość myślenia o czymkolwiek, co z nimi związku nie miało. Wielkie to dla nas nieszczęście, ten rabunek Żydów. Ekonomiczne straty ogromne, lecz sroższą nad nie jest klęska polityczna. Tyleśmy przez ostatnie lata pracowali nad usunięciem ze stosunków naszych nienawiści i separatyizmu, i tak nam pięknie sprawa ta iść zaczynała, że niepodobna nie przeboleć głęboko tej utraty czy przynajmniej tego mocnego zachwiania się wyniku prowadzonego z trudnością i będącego ledwie zawyżką tego, o czym marzyliśmy. Jednak od żalu – do czynu! (...) Zbieramy pieniądze dla zrujnowanych i skupiamy myśli na punkcie zranionym naszych obywatelskich spraw.”

Publicystyka pisarki w kwestii żydowskiej to artykuły: *Wstępne słowo* (1881), *O Żydach i kwestii żydowskiej* (1883), *List otwarty Elizy Orzeszkowej do Pana Ferdynanda Hoiesicka*



z powodu wypadków zaszytych w Kiszyniowie (niedrukowany za życia autorki), *Wtór do głosu Wyborcy z Trok* (1907) oraz *O nacjonalizmie żydowskim* (pisany pod koniec roku 1909 na zamówienie żydowskiego dziennika „Hajnt”, niedokończony, opublikowany po śmierci pisarki, jesienią 1911 w „Kurierze Warszawskim”). Lekturę wymienionych rozpraw, w tym szczególnie tej ostatniej, poleca się wszystkim, którym kwestia ta leży na sercu, niekiedy tak mocno, że nie mogą powstrzymać się od grózb śmiertelnych i publicznych manifestacji nienawiści niestosownych w cywilizowanym europejskim państwie XXI wieku. Choć powstały długie, długie lata temu i dzieli je od nas świadomość i pamięć Holocaustu, mogą nam niektóre ważne aspekty kwestii żydowskiej ukazać w nowym bądź jaśniejszym świetle.

**MARIA JENTYS-BORELOWSKA**

Wojśław Brydak

Andrzej Szuba

## POSTSCRIPTUM DCCCXXXVII

w twojej czasoprzestrzeni  
gdzie jutro było  
a wczoraj nadejdzie

## POSTSCRIPTUM DCCCXXXVIII

nie cisza  
ale twoja  
intensywna zwięzłość

## POSTSCRIPTUM DCCCXXXIX

usunąć się ze słów  
niech mówią  
same za siebie

## POSTSCRIPTUM DCCCXL

znaleźć cokolwiek  
co nie byłoby księgą pytań  
ale odpowiedzią

## POSTSCRIPTUM DCCCXLI

który jesteś echem  
wszystkich słów  
niebyłych

## POSTSCRIPTUM DCCCXLII

nie umarł  
on odsypia  
życie

## POSTSCRIPTUM DCCCXLI

i za to że nie można  
nie być wyraźniej  
od ciebie

## POSTSCRIPTUM DCCCXLIV

to też  
jest  
elegia

## POSTSCRIPTUM DCCCXLV

a zło  
jak dobro  
znikąd

## POSTSCRIPTUM DCCCXLVI

słowa już spakowane  
myślą że będą  
potrzebne

## POSTSCRIPTUM DCCCXLVII

bądź znów człowiekiem  
przestań być  
sobą

## POSTSCRIPTUM DCCCXLVIII

nie wie  
że nie istnieje  
w tym jego siła

## POSTSCRIPTUM DCCCXLIX

a słowo  
jeśli ma być  
będzie namacalne

## POSTSCRIPTUM DCCCL

dość by jak on  
schyliwszy się pisać  
palcem na ziemi

## POSTSCRIPTUM DCCCLI

który wiesz  
że cię nie ma  
i nigdy nie było

## POSTSCRIPTUM DCCCLII

jak gdyby  
nigdy nicość  
a przecież

## POSTSCRIPTUM DCCCLIII

co wie słowo dogasające  
czego nie wiedzą  
wszystkie inne słowa

## POSTSCRIPTUM DCCCLIV

pustkę po tobie  
zastąpić  
inną pełnią

## POSTSCRIPTUM DCCCLV

i kto tu  
na czyjś obraz  
czyjeś podobieństwo

## POSTSCRIPTUM DCCCLVI

in memoriam M i T i S  
po was  
te słowa  
w kondukcje

## POSTSCRIPTUM DCCCLVII

zaszyć się  
w tobie  
w przytulnej nicości



Dariusz Pawlicki

# O KULTURZE NIEUPAŃSTWOWIONEJ & OBYWATELU W KULTURZE

Pamięci Anny z Rynkiewiczów  
Herbszt – malarki, poetki  
i mojej Babci.

## I.

Henryk Elzenberg twierdził, że „społeczeństwo uznaje tylko niewolników i władców; władców, którzy jemu narzucają treści i formy, i niewolników, którym ono je narzuca. Nie uznaje człowieka samodzielnego, który nie ma siły być władcą, a nie godzi się być niewolnikiem” (*Kłopot z istnieniem*). I jeśli nawet uznać, że Elzenbergowski pogląd jest uproszczony i skrajny: mówi o władcach i niewolnikach, to jednak napomyka o człowieku samodzielnym, za którym zdecydowanie się opowiadam. A ponieważ kultura w życiu *Homo jakoby sapiens* winna być - moim zdaniem - tuż za tykiem wody i kromką razowca, więc będę starał się wzmocnić obecność w niej tego, którego odtąd będę nazywał człowiekiem samodzielnym, albo obywatelem nieupaństwowionym. Z założenia stojącym w pewnej kontrze wobec państwa: sprzeciwiającym się jego nadobecności, lecz nie jemu, jako takiemu - jest ono bowiem emanacją społeczeństwa / narodu, jego swoistym wytworem.

Na temat państwa, owego władcy, z którym współczesny człowiek coraz częściej ma do czynienia, ks. Czesław Bartnik sformułował taki oto zdecydowany pogląd:

„Należy zauważyć, że od późnego średniowiecza rozwija się coraz mocniej szatański dogmat, że państwo ma prerogatywy boskie, a nawet, że jest w ogóle Absolutem, bogiem (Hegel, Marks, materialści, skrajni liberatowie)”.

Natomiast Andrzej Strumiłło, konfrontując państwo z kulturą, napisał, że „największym wrogiem państwa jest życie duchowe jego obywateli” (*Factum Est*). Zdanie to odczytane wspaniale kryje i takie znaczenie: życia duchowego obywateli największym wrogiem jest państwo. I właśnie mój sprzeciw wobec tego, co kryje się za obu tymi odczytaniem, chcę zaprezentować w tym eseju.

Marc Fumaroli, jakby w uzupełnieniu powyższych poglądów, wspominał, że „kultura to innymi słowy – propaganda” (*Państwo kulturalne, religia nowoczesności*). Ale jego wypowiedź odnosi się do procesu upaństwowiania kultury, który odbywa się na naszych oczach (także w naszych uszach). Fumaroli opisuje je na przykładzie Francji, w której państwo wykorzystując ogromne fundusze, wywiera przemożny wpływ na kulturę (jak chyba nigdzie indziej obecnie, a porównywalnie z tym, co miało miejsce w krajach tzw. bloku wschodniego). Efektem tego, paradoksalnie, jest urząd kultury. Gdyż decydujący wpływ na nią ma grupa aktualnie sprawująca władzę (i nie chodzi tylko o partie polityczne). Nie ma więc mowy o dbaniu o kulturę, jako całość. Gdyż na wsparcie może liczyć jedynie to, co – zdaniem decydentów - ma szansę trafić do jak największej liczby odbiorców (wyborców). To znaczy, te przejawy kultury, które są naj-

bardziej uśrednione: najłatwiejsze w odbiorze, lekko strawne intelektualnie. Jak też te, najbardziej odpowiadające ze względów ideologicznych.

W minionych wiekach tylko niektóre państwa, i to jedynie w pewnym zakresie, prowadziły politykę kulturalną. Nie było więc mrowia urzędników od kultury: zawiadujących nią i z niej żyjących. A kultura, mimo tego istniała. I często miała się dobrze, a niekiedy wręcz bardzo dobrze (lista tego przykładów zdaje się nie mieć końca). Współcześnie prowadzenie tej polityki jest czymś powszechnym. Zaś zjawisku coraz intensywniejszego upaństwowiania kultury, towarzyszy zwiększająca się proporcjonalnie liczba stosownych instytucji, a tym samym urzędników od kultury (uzależnionych od tegoż państwa). Nie towarzyszy temu większa liczba dzieł. Co to, to nie...

\*

Niezmiernie często mówiąc o kulturze ma się na myśli jedynie rozrywkę. A jej celem jest, tylko i wyłącznie, zabawienie odbiorców. Tak się, niestety, składa, że w oświeceniu umysłowym, taką czy inną formą zabawy, angażuje się także państwo, choć można by oczekiwać od niego, jeśli już, to czegoś zdecydowanie innego. Wystarczy bowiem w zupełności, że prywatny przemysł rozrywkowy, dysponujący wielkimi, coraz większymi funduszami, zapewnia nieograniczoną zabawę; czerpiąc z tej działalności wielkie zyski. I licząc na jeszcze większe.

Proces uzabawiania kultury może doprowadzić do upowszechnienia (się) tego, co Marc Fumaroli dostrzegł w Las Vegas, stolicy amerykańskiej rozrywki:

„Ze wszystkiego, co ludzkość wynalazła, ze wszystkiego, o czym marzyła, ze wszystkiego, co odkryła, z religii i poezji, sztuki i muzyki, tutaj pozostaje tylko zestaw szablonów wprawianych w ruch przez maszynę do zabawiania” (*Państwo kulturalne*).

\*

Działajmy na rzecz kultury, za której podstawową funkcję Zbigniew Herbert uważał „budowanie wartości, dla których warto żyć”. Aby nie stało się to, co Abraham J. Heschel tak podsumował: „Pracowaliśmy nad doskonaleniem silników, a dopuściliśmy do tego, że nasze życie wewnętrzne stało się wrakiem” (*Człowiek szukający Boga*).

Aż takim pesymistą, to jednak nie jestem. Uważam bowiem, że wciąż są szanse na to, aby smoliście czarne scenariusze autorstwa Fumaroliego i Heschela nie doczekały „realizacji”. Rzecz jednak w tym, aby nie poprzestać na stwierdzeniu istnienia szans (choć i to, jako punkt wyjścia, jest ważne). Ale w tym, aby podjąć działania. I zacząć od siebie, bez oglądania się na innych, bez szukania aprobaty i zachęty z ich strony.

Elżbieta Wolicka w eseju „Święty obraz – objawienie czy opowieść?”, napisała, że „kultura łaćwińska to przede wszystkim kultura słowa”. A słowo jest dla mnie ważne, gdyż: 1/ przynależę do tej właśnie kultury; 2/ jestem eseistą i poetką, 3/ wiedzę o dookolnym

świecie dostarczają mi teksty napisane przez innych. Na dodatek, bliski jest mi pogląd Neila Postmana, że „słowo (głównie typograficzne) z natury wiąże się z rozumem, jest nośnikiem idei, angażuje intelekt, podczas gdy obraz – tak jak rozrywka – przemawia do uczuć, emocji, jest bezrozumny” (myśl N. P. wyrażona przez Józefa Majewskiego w *Religii, mediach, mitologii*).

Przeciwieństwem kultury upaństwowionej, rozwijającej się wybiórczo, jest to, co mają do zaoferowania wolni obywatele. A z racji swej liczby mogą zaoferować wielość postaw, zainteresowań i twórczych możliwości. Efektem tego może być – potencjalnie – różnorodność i mnogość dzieł.

Jeśli ktoś jest obywatelem nieupaństwowionym, to nie organom państwa, ale sobie pozostawia szerokie pole działania. A gdy państwo na to nie przystaje – w ostateczności – wykazuje się Obywatelskim Nieposłuszeństwem. W tym wypadku na polu kultury.

Istotne jest też to, że gdyby zabrakło woli dbania o kulturę (także tę narodową) ze strony elity kraju (czy byłaby to jeszcze elita?), społeczeństwo złożone z ludzi samodzielnymi, mogłoby tę lukę z powodzeniem wypełnić. W razie braku takowych, a dominowania postawy charakteryzującej się oczekiwaniem działań wyłącznie ze strony państwa, kultura byłaby realnie zagrożona.

## II.

Bardzo wielu, i jest ich coraz więcej, uważa, że państwo winno - za sprawą swych coraz liczniejszych wyspecjalizowanych agend - pełnić rolę parasola ochronnego dla wszelkich przejawów życia obywateli. Nie zauważają bądź zauważają nie chcą, że - przykładowo - działalność czterech wieszczów narodowych (za czwartego uważam Cypriana K. Norwida), których dokonania literackie, ale nie tylko one, odcisnęły tak silne piętno na narodzie polskim, przypadła na czas, gdy nie istniało Ministerstwo Kultury (obecnie: Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego), ani żaden jego odpowiednik. Ba, praktycznie nie istniało również państwo polskie\*. Byli natomiast ludzie twórcy, wręcz bardzo twórczy. Tak jak i ludzie - i to było niezmiernie ważne - którzy twórcę, gdy ten nie był zamożny - ale nie tylko wtedy - byli gotowi wesprzeć finansowo w urzeczywistnieniu jego zamierzeń. I tak, dla przykładu, w 1822 r. w Wilnie ukazał się tom I Mickiewiczowskich *Poezji* zawierający *Przedmowę* wraz z *Balladami i romansami*. Publikacja owa doszła do skutku dzięki mecenatowi zbiorowemu - 123 prenumeratom, którzy uznali, że zbiór ten powinien być opublikowany.

W eseju „O nie istniejącym (jeszcze) społeczeństwie mecenasów” pisałem o możliwościach, jakie dostępną są dla każdego z nas w zakresie wspierania kultury. Ograniczyłem się w nim jednak do namawiania do wspierania poprzez zakupywanie „wytworów” kultury, czy to książek bądź czasopism, prac plastycznych, jak też bileatów do kina czy teatru. Rzecz jasna zainteresowanych, →

→ do czynienia tego nie trzeba namawiać. I tak to czynią (chyba, że przeszkodą są problemy finansowe). Zwracałem jednak uwagę na to, aby takie zakupy odbywały się ze świadomością, że czyniąc to, nie tylko sprawiamy sobie przyjemność, ale – co równie jest ważne, a może ważniejsze – przyczyniamy się do dalszego istnienia np. wydawnictwa, teatru. I dlatego każdy taki zakup jest tak istotny.

W niniejszym esejie chciałbym uczynić kolejny krok. I to krok, mam nadzieję, do przodu, jak też we właściwym kierunku; jeśli chodzi o przyświecający mi cel.

System polityczny panujący w Polsce od 1945 r. pozostawił po sobie – mimo oficjalnej zmiany, do której doszło 44 lata później – wiele śladów, w tym w mentalności społeczeństwa. Jednym z nich jest to, że przede wszystkim od państwa, a nie od siebie, oczekuje się działań, w tym także w obrębie kultury: czy to od wspomnianego ministerstwa, czy od Wydziału Kultury w Urzędach Marszałkowskich bądź Urzędach Miejskich itd. Natomiast rzadkie jest, także pośród osób urodzonych po 1989 r., sobieradztwo, czyli indywidualne czy też grupowe radzenie sobie od początku do końca. Po części można to wyjaśnić takim oto podejściem: płacę podatki, a nie są one niskie, i oczekuję skutecznych działań także w obrębie kultury. Ale tą sferą zawiadują, a tym samym pieniędzmi przeznaczonymi na jej funkcjonowanie – parokrotnie już wspomniani – urzędnicy reprezentujący, takie a nie inne, priorytety. Lecz nie jest to sytuacja bez wyjścia: stąd niniejszy tekst zawierający – w dalszej części – propozycje konkretnych działań na rzecz kultury nieupamiętnionej. Aby ta, miała się lepiej, a potem coraz lepiej.

\*

Na wstępie chciałbym odnieść się do sytuacji, jaka powstała w naszym kraju na rynku wydawniczym po wspomnianych przemianach ustrojowych. Otóż po 1989 r. większość książek ukazuje się w Polsce za pieniądze ich autorów (nazwa wydawnictwa na okładce najczęściej wprowadza w błąd niezorientowanych). Rzadko wsparcia udzielają instytucje państwowe i samorządowe, jeszcze rzadziej osoby prywatne. I właśnie do tego marginalnego zjawiska, jakim jest indywidualny mecenat, chcę nawiązać. Otóż, namawiam do wyjścia z inicjatywą sfinansowania bądź współfinansowania, w miarę możliwości, publikacji np. zbioru esejów autora, którego utwory czytane w czasopiśmie wzbudziły wcześniej zainteresowanie potencjalnego kandydata na protektora literatury. A które to teksty – z racji niewielkiego zainteresowania esejistyką – (raczej) nie mogą liczyć na wydanie w postaci książkowej przez jakąś prywatną oficynę (z jej funduszy – dodam dla jasności). Zachęcam więc do bycia mecenasem. I to wbrew powszechnemu przekonaniu, że tylko człowiek zamożny może nim być. Jest to bowiem wymówka: można przecież mieć udział w finansowaniu, odpowiedni do zasobności portfela. Rzecz jasna może być i tak, że fundusze z oszczędności domowych zostaną przekazane do dyspozycji, takiej czy innej, organizacji pozarządowej np. stowarzyszenia zrzeszającego – przykładowo – ludzi pióra, dla wsparcia jego działalności wydawniczej. Wtedy jednak ów mecenas nie będzie już podejmował konkretnych decyzji: inni je podejmą. Myślę, że szkoda z tego rezygnować. Chyba, że w grę wchodzi brak osobistych faworytów bądź problem z dokonaniem wyboru.

Wojśław Brydak

\*

Inną formą działania na rzecz kultury, ale przede wszystkim na rzecz ludzi bezpośrednio w nią zaangażowanych, są nagrody. I w tym przypadku posłużę się przykładem bardzo konkretnym. A będą nim Stany Zjednoczone z obfitością nagród przyznawanych w dziedzinie literatury, ze szczególnym uwzględnieniem poezji. Tych wyróżnień są setki, może – i jest to bardzo prawdopodobne – tysiące. Ale na uwadze mam nie te spektakularne, jak np. przyznawaną corocznie przez The Poetry Foundation – obok innych wyróżnień – Nagrodę Poetycką Ruth Lilly wysokości 100 tysięcy \$. Także nie te – choć mają one znaczący udział procentowy – przyznawane przez inne organizacje działające na rzecz literatury, jak też czasopisma literackie, oficyny wydawnicze (szczególnie uniwersyteckie). Natomiast szczególną uwagę chciałbym zwrócić na liczne nagrody, wysokości od 100 do 1000 \$, mające na celu upamiętnienie konkretnych osób. A które zostały ufundowane przez pojedyncze osoby, rodziny, grona koleżeńskie. I, co jest znamienne, nie są to efemerydy. Utwory zastępujące na wyróżnienie, dominują pośród nich wiersze, nie zawsze wybierane są przez samych fundatorów. Równie często dokonują tego, poproszone o to osoby. Wiele spośród nich jest, mniej czy bardziej, znanymi ludźmi pióra.

Za przykład niech posłuży Nagroda im. Fredericka Bocka, wysokości 500 (początkowo 300) \$, ufundowana w 1981 r. przez redaktorów czasopisma *Poetry* dla upamiętnienia jednego ze swego grona.

Fundując nagrodę – nieważne jakiej wysokości, gdyż to nie musi wcale przesądzać o jej randze – z jednej strony upamiętnia się osobę, która, z takich czy innych względów, na to zasługuje; z drugiej zaś, honoruje się czyjąś twórczość. Tak więc imię i nazwisko patrona wyróżnienia, co jakiś czas, będzie przypomniane: stanowiąc rodzaj wspominków. Zaś nagrodzonemu, taki gest docenienia sprawi przyjemność, a otrzymane pieniądze radość (proporcjonalną do kwoty).

\*

Na szczęście wciąż nie brakuje – i oby to się nie zmieniło – ludzi, którzy cenią sobie żywe słowo np. w postaci prelekcji. Byle tylko jej temat był oczywiście interesujący. A gdyby zebrało się grono osób chcących wysłuchać odczytu na temat, którego nie ma w swej ofercie, taka czy inna, bibliote-

ka lub dom kultury, co wtedy? Wtedy zainteresowani wzięliby sprawę w swe ręce: skontaktowaliby się z osobą posiadającą wiedzę w interesującej ich materii. A to po to, aby zaproponować wygłoszenie przez nią odczytu. Informując przy tym o wysokości oferowanego honorarium (za pracę należy się bowiem zapłata; nie jest to, niestety, powszechna w naszym kraju zasada jeśli chodzi o kulturę; co innego – za zaproszeniem – wymiana sedesu). Może go zaakceptuje...

Jakie bytoby źródło tego honorarium? Masz rację, czytelniku: hojność jednej, kilku bądź wszystkich zainteresowanych osób.

\*

A gdyby... a gdyby po zakończeniu czytania bądź deklamowania przez poetę wierszy swego autorstwa, wręczyć jemu kopertę, albo talerzyk/mały koszyk? W niej lub na nim znajdowałyby się pieniądze zebrane pośród słuchaczy. Zbiórka byłaby dokonana na zasadzie: co taska.

Powyżej podałem kilka przykładów działalności na rzecz kultury ludzi samodzielnych. I parę w tym duchu mógłbym jeszcze dopisać. Ale pozostawię Tobie, czytelniku pole do popisu – może sam je dopiszesz...

### III.

Rzecz przede wszystkim w tym, aby aktywność obywateli nieupamiętnionych sprawiła, żebyśmy nie obudzili się pewnego ranka w Niemtscheańskim państwie Ludzi Ostatnich: dobrze odyżwionych i dostаточно ubranych, spragnionych nieustającej konsumpcji, zdrowych na ciele, ale duchowo pustych i egzystujących na klepisku ogrodzonym pastuchem elektrycznym pod napięciem.

*\* Na niewielkim fragmencie dawnej Rzeczypospolitej, w latach 1807-1830, państwowość polska jednak istniała: najpierw w postaci Księstwa Warszawskiego, potem – Królestwo Kongresowe. Z tym, że obowiązuje wręcz dogmat mówiący, że pomiędzy 1795 r. a 1918 r. naród polski był pozbawiony własnego państwa. Obu wymienionych powyżej, następujących po sobie, państwach państwowych, powszechnie nie traktuje się jako polskich. Powodem tego jest to, że były one w pewnym stopniu pozbawione suwerenności. Cóż to jest jednak za argument wobec faktu, że suwerenność I Rzeczypospolitej w XVIII w. również była ograniczona. Panowanie Stanisława Augusta Poniatowskiego jest tego znamienym przykładem.*

DARIUSZ PAWLICKI



## Śmierć futurologii. Co Stanisław Lem mówił w roku 1997?

Stanisław Lem to gigant polskiej myśli i literatury, nade wszystko jednak – wspaniały filozof. I chyba będzie pamiętany przede wszystkim jako ten ostatni. Szkoda, że nigdy nie doszło do jego publicznej debaty właśnie na tematy filozoficznej z prof. Leszkiem Kołakowskim. Albo że nikt nie posadził ich przy jednym stole i nie nagrał ich rozmowy (a jeszcze lepiej – całego cyklu rozmów). To byłaby gratka – przeczytać to lub obejrzeć, gdy i jeden i drugi – niestety – już nie żyją.

Swego czasu, pod koniec lat 90. przeprowadziłem wywiad ze Stanisławem Lemem. Ukazał się na łamach „Głosu Wybrzeża”, a potem w kilku miejscach był przedrukowywany, także przez prasę polonijną w USA. W końcu roku, w którym mija setna rocznica urodzin tego wielkiego pisarza i myśliciela, na pewno warto przypomnieć fragmenty tej rozmowy.

### Wywiad Romana Warszawskiego ze Stanisławem Lemem, przeprowadzony w roku 1997.

**– Czy dziś łatwiej jest przepowiadać przyszłość niż np. dziesięć lat temu?**

– Przeciwnie. Jak wszystko na świecie i to się skomplikowało. Dzieje się coraz więcej i coraz szybciej, nie zawsze znamy zależności, jakie zachodzą między poszczególnymi ciągami zdarzeń. Jest też coraz więcej informacji z dosłownie każdej dziedziny wiedzy. Raportów na temat nowych odkryć jest tyle, że już nikt nie jest w stanie się przez nie przebić. Cierpimy na informatyczną zapaść, która w przyszłości będzie się jeszcze bardziej pogłębiać.

**– Czy jest to jedyna rzecz, której możemy być pewni?**

– Prawie rzeczywiście tak jest. Ja to zresztą przewidziałem już wiele lat temu i nazwałem „eksplozją bomby informatycznej”. Drugim pewnikiem jest natomiast to, że coraz trudniej będzie nam coś sensownie przewidywać na temat przyszłości. Paradoksalnie, kiedyś kiedy obieg informacji i ich podaż był ograniczony – czyli w czasach komuny – było mi łatwiej dywagować na temat tego co będzie. Miałem mniej danych, w większej mierze mogłem polegać na własnej intuicji, na własnej głowie. Teraz to się zmieniło. Staram się nadążyć za postępem wiedzy w dziedzinach, które najbardziej mnie interesują, ale – niestety – z góry jest to skazane na niepowodzenie.

**– Pan narzeka dlatego, że jest taka moda?**

– Nie, mody mnie absolutnie nie interesują. Prostsze sprawdzić, że ja nigdy niczego nie napisałem pod publiczkę. To nie moda, takie są po prostu realia.

**– Czy to znaczy, że przyszłość jest dla nas teraz magmą, czarną dziurą – czymś, o czym nie możemy powiedzieć niczego konkretnego?**

– Nie, ale prawda wygląda tak, że dużo łatwiej jest powiedzieć coś na temat tego, co będzie się działo za lat sto, niż o tym, co nastąpi za lat dziesięć. Nie jesteśmy też w stanie przewidzieć żadnych wiążących szczegółów. co najwyżej możemy określić pewne trendy, ogólne tendencje. Mając na uwadze uwarunkowania, o jakich już wspominałem – jest

to i tak niemało.

**– Przed trzydziestu pięciu laty napisał pan eseistyczne dzieło „Summa Technologiae”. Przewidział pan w nim wiele tendencji rozwojowych w dziedzinie ewolucji technologii, o których wtedy – na początku lat 60. – jeszcze nikomu się nie śniło. Czy dziś nie kusi pana, żeby napisać kontynuację „Summy” – żeby myślał znów wybiec o trzydzieści, czterdzieści lat do przodu?**

– Wspaniały pomysł – tylko jak go zrealizować? To jest właśnie to, o czym mówiłem przed chwilą. Zapewniam pana, że gdyby leżało to w zakresie moich możliwości, na pewno po wiele godzin dziennie pracowałbym nad taką książką. Dziś jednak ani ja ani nikt inny (jak przypuszczam) nie byłby w stanie czegoś takiego stworzyć. Mamy – paradoksalnie – za dużo informacji. Nie wiemy co i w jaki sposób spośród nich wybierać. Nastąpił informacyjny koniec świata. Jedną z ostatnich cegiełek tego końca świata jest Internet i informatyczne autostrady, które w tej chwili powstają w Stanach Zjednoczonych.

**– Alvin Toffler – słynny futurolog amerykański też z takim dziełem nie dałby sobie rady?**

– Nie należę do wielbicieli Tofflera. Owszem – jako człowiek, jest bardzo miły, ale to, co wypisuje najczęściej mnie nudzi i nuży. „Trzecią falę” tylko przekartkowałem, ostatnią jego rzecz, jaką przeczytałem w całości był chyba „Szok przyszłości”. Toffler w towarzystwie swojej żony Heidi kiedyś mnie zresztą odwiedził. Za wszelką cenę chciał się dowiedzieć, co sądzę na temat przyszłości. Odniosłem wrażenie, że to on ode mnie może dowiedzieć się więcej, niż ja od niego.

**– Co mu pan powiedział?**

– Nic mu nie powiedziałem. Ostatecznie każdy z nas ma swoją prywatną, w pewnym sensie konkurującą ze sobą firmę.

**– A co udało się panu trafnie przepowiedzieć w „Summie” trzydzieści lat temu – próbował pan dokonać takiego rachunku sumienia?**

– Oczywiście. Przewidzieć udało się

nadszpiewanie dużo – sam jestem tym zaskoczony. Nie polegało to na jakichś systematycznych studiach, bardziej na intuicji, która wtedy mnie nie zawiodła. Przewidziałem na przykład, że dojdzie do stworzenia przez człowieka „wirtualnej rzeczywistości”, którą bardzo trudno będzie odróżnić od rzeczywistości faktycznej; wtedy o czymś takim jeszcze nikomu się nie śniło, bo były to czasy kiedy nie było jeszcze komputerów z prawdziwego zdarzenia. Oprócz tego przewidziałem rozwój bioniki, czyli nauki próbującej łączyć obwody scalone z organami ukształtowanymi biologicznie. Przewidziałem też większość nieszczęść, jakie spotyka nas w związku z nadmiernym rozwojem przetwarzania danych. Przepowiedziałem, że informacja – z czasem – może przepoczwaczyć się we własne zaprzeczenie, w technologiczną pułapkę. Jak na jedną książkę i to pisaną w początku lat sześćdziesiątych, to nie tak mało.

**– Skąd brał pan siłę tych wizji?**

– Tak jak już mówiłem – po części brała się ona stąd, że była to w wielu miejscach czysta intelektualne spekulacja. Mój umysł nie był wtedy obciążony nadmiernym ładunkiem informacji i to chyba zadecydowało o tym, że mógł on w tak nieskrępowany sposób pląsać i podrygiwać. Po drugie – siła ta – jak przypuszczam – wynikała co najmniej po części z pewnego poczucia humoru, którym książka ta, mimo powagi tematu, jest przesycona. Ie jest to, co prawda, taki humor jak w „Tyberiadzie”, ale na modę eseistyczną humor jest w niej cały czas obecny.

**– Humor w pańskich książkach jest parawanem mającym przydać niewinności zbyt śmiały, żeby nie powiedzieć szaleńczym pańskim pomysłem?**

– Nie, nigdy nie pisałem humorystycznie tylko po to, żeby nie posądzano mnie o nadmiar fantazji. Humor był nieodłącznym elementem moich książek, dzięki czemu i dziś są one znakomicie przyswajane przez dzieci...

**– Z czasem zatracił pan jednak poczucie humoru – starczy przypomnieć „Katar”,** →

# ŚMIERĆ FUTUROLOGII

„Maszę”, i to, co teraz mówi pan na temat przyszłości. Jak pan sądzi – czy jest to w jakiś sposób związane z upływem czasu, z wiekiem?

– Nie sądzę, żeby wiek miał tu jakieś znaczenie. Bardziej wynika to z tego, co dokonuje się na świecie niż z tym, co dzieje się w moim bezpośrednim otoczeniu. To świat daje teraz mniej powodów do optymizmu niż przed laty; kiedyś wydawało się, że technologiczny rozwój ludzkości będzie bardziej wyważony, bardziej harmonijny. Bo osobiście nie mam powodów do pesymizmu – publikuję mnie na całym świecie, nienajgorzej się czuję, zmiana ustroju nie spowodowała żadnego uszczerbku mojej twórczości, a wiele prognoz wypowiedzianych przed laty, teraz zaczyna przybierać kształt się w realia. Gdy zaczynałem pisać książki, mimo że zawsze interesowała mnie przyszłość, nie byłem w stanie przewidzieć tak pomyślnego finału... Upadek Muru Berlińskiego miał dla mnie jeszcze ten plus, że w Moskwie przestano cenzurować moje książki. Dopiero teraz dowiaduję się, jakich ingerencji tam dokonywano. Poprzednie wydania książek, trzeba teraz obszernie uzupełniać...

– **A co niepokoiło kremlofskich cenzorów?**

– Oczywiście wszystkie wzmianki na temat Boga.

– **Nawet w ustach kogoś takiego jak pan, kto nie jest deistą?**

– Może tym bardziej w ustach kogoś takiego. Bo ja wierzę w siłę sprawczą i transcendentną, nie wierzę natomiast w Boga z brodą i z palcem wzniesionym w geście pouczenia. Nie wierzę w Boga, który stworzyłby człowieka na własne podobieństwo. W Boga, który miałby płuca i nerki. Bo – proszę powiedzieć na co Bogu potrzebne są nerki?

– **Upadku komunizmu jednak pan nie przewidział?**

– Rzeczywiście, choć przypuszczałem, że wyścig zbrojeń z czasem ekonomicznie rozłoży Sowietów. Z moich obliczeń wynikało, że ZSRR rozleci się w pierwszym ćwierćwieczu XXI wieku, a więc już nie za mojego życia. Nie powiem żeby napawało mnie to wielką radością. Po prostu nie wziąłem pod uwagę piorunującego skutku, jaki będzie miał zainicjowany przez Reagana program Gwiezdných wojen. Zresztą nie tylko ja tego nie doceniałem. CIA również. Podczas gdy oni sądzili, że Rosjanie na zbrojenia wydają około 15 proc. dochodu narodowego, po fakcie okazało się, że wydawali około trzydziestu procent. Dlatego upadek ZSRR nastąpił szybciej niż można się było spodziewać.

– **Czyli – na dobrą sprawę upadku komunizmu nikt nie przewidział?**

– Jedna osoba przewidywała. Przepowiedziała to moja żona. To ona pierwsza zwróciła moją uwagę na Gorbaczowa i przekonała mnie, że on naprawdę chce dokonać bardzo głębokich zmian. Właśnie dlatego zdecydowaliśmy się na powrót z Wiednia, z Austrii, gdzie mieszkaliśmy od początku stanu wojennego.

– **Słowem – wyścig zbrojeń i Gwiezdne Wojny wydały swoje pozytywne owoce. Ale teraz, gdy zbrojeń już nie ma, powinniśmy mieć więcej powodów do optymizmu...**

– Właśnie, że nie. Jasne – że koniec wyścigu zbrojeń dla Polski jest czymś pozytywnym. Ale w skali świata jego udział spowodował pojawienie się wielu negatywnych zjawisk. Teraz już nikt w zasadzie nie ma kontroli nad postsowieckim arsenałem nuklearnym – głowice, zapalniki, materiały rozszczepialne w sposób całkiem niekontrolowany krążą po całym świecie i jest tylko kwestią czasu, by trafiły w ręce najgorszych terrorystów. Poczynania japońskiej sekty Najwyższa Prawda wcale nie były odosobnionym wypadkiem

przy pracy. Jestem przekonany, że takich wypadków będzie teraz coraz więcej. Tak samo więcej będzie katastrof w Czarnobylu. Proszę pamiętać, że dziś pływa po oceanach blisko sto prawie na wylot przerdzewiających postsowieckich łodzi podwodnych o napędzie atomowym. Każda z nich jest potencjalnym Czarnobylem. Postsowiecki arsenał nuklearny wymknął się spod kagańca, spod kontroli. Dziś nikt już nad nim nie panuje. Co się z nim stanie, w dużej mierze zależy od losowego przypadku. Można powiedzieć w ten sposób – koniec wyścigu zbrojeń rozwiązał wiele stosunkowo małych problemów, takich jak na przykład zaopatrzenie sklepów w Polsce. Naprawdę duże problemy jednak jeszcze bardziej się skomplikowały.

– **Czy to znaczy, że najpotężniejsze państwa świata mogą w którymś momencie zacząć tęsknić za powrotem dwubiegunowej politycznej struktury świata i za panującym wtedy porządkiem, mimo że w dużej mierze był to porządek cmentarza?**

– Jestem przekonany, że wielu już teraz za czymś takim tęskni i przez bardzo długi czas będzie stanowiło to groźną pokusę.

– **Czy to nie absurd?**

– Absurd. Ale jest to absurd, który wynika z tego, że na demontaż świata dwubiegunowego nikt nie był przygotowany. Brak takiego przygotowania wynikał natomiast z braku umiejętności przewidywania. Ten prosty fakt najlepiej ujawnia bezsilność futurologii, jej faktyczną śmierć. W natłoku danych, które do nas docierają nie wiemy już, co jest ważne, a co trzeba pominąć. A w czasach gdy padał komunizm informatyczno-informacyjny ścisł nie był jeszcze tak wielki jak teraz.

– **W związku z niemożnością przewidywania i prognozowania... co pan przewiduje?**

– Nie zamierzam ukrywać, że moja wizja jest pesymistyczna. Pesymizm ten jednak lokuję w skali nieomalże geologicznej. Myślę, że wyższe formy życia na Ziemi w dalszej perspektywie czasu skazane są na zagładę. Moim zdaniem jest to zresztą pewna bardziej ogólna, powiedzmy – ogólnokosmiczna prawidłowość. Im wyższa cywilizacja, tym większe jej tendencje do autodestrukcji. W ziemskim wymiarze zagładę tą przeżyją tylko bakterie i wirusy, i to od nich rozpocznie się nowy cykl ewolucyjny.

– **Życie jako takie więc przetrwa?**

– Tak – to jest promyk optymizmu w całej tej prognozie. I z punktu widzenia ewolucji, tylko to właściwie „się liczy”. Ewolucję „nie interesuje”, że wyginą ludzie i wszystkie kręgowce. Ważne, żeby przetrwały jakieś elementarne zarodki życia. Ewolucja wtedy podejmuje następną próbę rozwoju wyższych form organicznych. Może za którymś podejściem uda się jej wreszcie odnieść sukces...

– **Wreszcie – czyli cykle takie miały już miejsce w przeszłości?**

– Bez wątplenia. Myślę, że w dziejach życia na Ziemi, w przeszłości wielokrotnie ginęło 80, 90 proc. wszystkich gatunków egzystujących na naszym globie. Najbardziej znany przypadek takiego wymierania, to masowa śmierć dinozaurów.

– **Na czym polegają autodestrukcyjne tendencje wyżej rozwiniętych form życia i cywilizacji?**

– To proste. Motorem postępu jest agresja. Bez agresji nie byłoby rozwoju, pięcia się na coraz wyższe szczeble rozwoju, ponieważ to właśnie agresja – w powiązaniu z intelektem – warunkowała sukces myśliwego, jakim był pierwotny człowiek. W dalszych w stadiach rozwoju, ta agresja nadal jest obecna, choć jej postać może ulec utajeniu, nazwijmy to tak – sublimacji. Wraz z rozwojem kultury, do rąk człowieka trafiają natomiast coraz bardziej efektywne narzędzia. Cały

szkopuł w tym, że wciąż obecna w człowieku agresja, czyni z nich całkiem inny użytek niż człowiek sobie to wyobraża...

– **Na tej zasadzie – za Jospem Brodskim – twierdził pan kiedyś, że ludzie w Bośni zabijają się nie bo coś tam, lecz – po prostu – bo chcą się zabijać...**

– Twierdzą tak nadal.

– **To straszne...**

– Ale – niestety – bardzo prawdziwe.

– **A inne przykłady tej autodestrukcji narastającej wraz z cywilizacyjnym postępem?**

– Wraz z kulturowym rozwojem wydłuża się średnia długość życia. Gdyby nie to, nigdy nie doszłoby do rozprzestrzenienia się na cały świat epidemii AIDS. Wirusy te od dawien dawna znajdowały się bowiem w organizmach środkowoafrykańskich Murzynów, jednak w związku z tym, że średnia długość życia na tamtych obszarach nie przekraczała trzydziestu lat, nigdy nie dochodziło tam do „wykucia się” tej choroby. Pojawiła się ona dopiero wtedy, gdy tubylcy zaczęli coraz liczniej dożywać sędziwych lat. Skutki są znane... Inny przykład to demograficzny potop, który w tej chwili przeżywa ludzkość. To ostrze, które najbardziej podcina gałąź, na której siedzimy. To, co w świetle tego, na temat antykoncepcji głosi Kościół, jest niezrozumiałe. Byłoby to śmieszne, gdyby nie było tak groźne.

– **Ale wydaje się, że pandemia AIDS zostanie w końcu jako osaczona...**

– Spokojna głowa – w jej miejsce pojawiają się nowe, jeszcze groźniejsze wirusy. Jestem o tym bardziej niż przekonany.

– **Co pana skłania do aż tak wielkiego pesymizmu?**

– Między innymi milczenie Kosmosu. Przy różnych okazjach mówiłem już o tym wielokrotnie. Jestem sceptykiem, co do możliwości nawiązania kontaktu z cywilizacjami pozaziemskimi między innymi dlatego, że – moim zdaniem – okres dojrzałości takich cywilizacji jest bardzo krótki. Odległości między ewentualnymi rozmówcami we wszechświecie są ogromne, natomiast okres, gdy są oni skłonni do nawiązania transgalaktycznego dialogu, bardzo krótki. To, że do tej pory mimo wydania tak wielkich pieniędzy nie udało nam się przechwycić żadnej depechy od pozaziemskich cywilizacji dowodzi jednego: że jeżeli cywilizacje pozaziemskie istnieją, faza ich rozkwitu jest bardzo krótka. Potem giną one bez śladu, by za jakiś czas znów się pojawić w jakimś innym punkcie wszechświata. O tym, że giną, decyduje właśnie ich narastająca wraz z ich rozwojem autodestrukcyjność.

– **Takie czarnowidztwo jest bardziej niż porażające...**

– Ale ja i tu potrafię dopatrzeć się pewnym plusów. Często dzieje się bowiem tak, że jakieś złe wielkie wydarzenia uruchamiają także pomniejszych, pozytywnych mechanizmów. To oczywiście, że Stalin i Hitler byli przekleństwem dla Europy. Ale z mojego osobistego punktu widzenia, początek drugiej wojny światowej doprowadził do zdarzeń bardzo pozytywnych. Gdyby nie walki w okolicach Zaleszczyk we wrześniu 1939 roku, moja żona, która przed wojną tam mieszkała, na pewno nie trafiłaby do Krakowa i nie zaczęłaby studiować medycyny i nie spotkałaby tam również studiującą medycynę Stanisława Lema... Tak więc, gdyby nie początek strasznej wojny, nigdy najprawdopodobniej nie doszłoby do naszego małżeństwa, które trwa już czterdzieści cztery lata i jest bardzo szczęśliwe... W ten sposób jeszcze raz potwierdza się stara maksyma – nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

Anna Frajlch

18 stycznia 1976

Obiad na cześć profesora  
Ludwika Krzyżanowskiego.<sup>1</sup>  
Wystać książkę: prof. Magnus Kryński<sup>2</sup>,  
prof. Adam Gillon<sup>3</sup>.

15 lutego 1976

A więc wczoraj upłynął miesiąc od wieczoru Ewy Lipskiej. Przedwczoraj – piątek 13 bardzo szczęśliwy dzień. Jasny, słoneczny, pogodny. Wczoraj także biblioteka rumuńska, rozmowa z Livio i Marlene. Przyjęcie u Fredka - z Fredkiem występ – polonez, krakowiak, kujawiak. Ja także – kozak. Już dawno nie czułam się tak beztrosko, swobodnie, spokojnie. Oby to trwało dłużej.

Problem wymyślony przez Pawła:

On how many instruments the octopus can play?

Odpowiedź: four.

Jednym słowem zespół instrumentalny.

W miłości:

Jeżeli nawet bardzo dużo się daje, nawet ponad miarę, to i tak dawanie jest szczęściem, szczęściem jest, że ktoś bierze.

A jeżeli się nie kocha, to w rezultacie się tak dużo nie daje, a w każdym razie nie to, co najważniejsze.

Znów mam „Parkera” długopis – bardzo dobrze pisze.

Wczoraj u Fredka Gabi pyta: kto kawę, kto herbatę?

Sasza mówi: powinnaś zapytać: „cofee, tea, or me” i sadza sobie Gabi na kolana. Po chwili ona wstaje i mówi „I will bring myself back”.

Kiedy podaje kawę i Władek ma wątpliwości, czy może wziąć kawę chociaż zamówił herbatę, Sasza rozwiewa te wątpliwości:

- Ona już zapomniała, kto co zamówił. Na co Fela:

- Sasza, ona nawet zapomniała, że ma wrócić na twoje kolana.

Dziś Anka w rozmowie przypomniała mi, że ja złamałam u niej jakiś fotel.

Wieczorem.

Byli Tamara z Lziem, umówiliśmy się na czwartą na kawę i herbatę i przesiadaliśmy do ósmej. Mimo woli nerwy. Oni byli po obiedzie, ja o dziewiątej dałam Pawłowi coś jeść z puszki, musiałam upiec mięso, usmażyć kotlety, naczynia. Byłam bardzo zdenerwowana i niechcący przycięłam Pawłowi nogę drzwiami. Władek krzyczał, Paweł płakał i było mi bardzo przykro i wstyd – kolana mi się trzęsły. Za to z Władkiem nie zamieniliśmy już potem ani słowa.

Teraz „Zvukovye povtory” Brika<sup>4</sup> i myśli.

Myśl, że powinnam, jak niedźwiedź, skryć się do nory i lizać rany, a nie chodzić po świecie.

I strach, prawdziwy strach.

3 w nocy

Znalazłam wiersz Puszkina tak pięknie ilustrujący teorię Brika, że byłam gotowa uwierzyć, że Puszkina najpierw dobrał sobie spółgłoski, a potem pisał wiersz.

23 lutego 1976.

Wczoraj Ojciec miał dwa ataki. Dzwoniłam do Heńka, spodziewa się,



że książka narobi dużo szumu, a nawet, że będzie przedstawiona do nagrody. Rozmawiałam z Heleną – chyba mam paranoję na tym tle.

Wieczorem, przy obiedzie, po którejś już kolejnej prowokacji Pawła, nie wytrzymałam i rzuciłam się na niego. Poszedł na górę i zjadł coś u Mamy. Potem on był potulny jak baranek, ja byłam potulna jak baranek (szorowałam kuchnię, myłam podłogi). Władek spał. Przy kwestii pójścia do łóżka Paweł znów próbował.

Władek obudził się i znów dyskusja. Po dziesiątej – spokój. List do Gliwy<sup>5</sup>.

W nocy sen:

Rozmawiam z Heleną przez telefon i mówię, że idę na jakiś wieczór autorski do Instytutu.

Helena: Ja nie idę, z redakcji idzie Bob<sup>6</sup> i ja przeczytałam potem felieton.

Ja nie namawiam jej, powtarzam tylko, że idę.

Na co Helena:

- Tylko jak potem będziesz cierpiąca, nie przychodź do mnie.

Drugi sen dziś w dzień.

Jestem w jakimś biurze, wszyscy zbierają się do wyjścia. Ja wychodzę z jakąś dziewczyną, która z urody i sposobu bycia podobna jest do Krystyny Olszerowej, ale z charakteru jej stosunku do mnie wygląda jakby to była Danką (sekretarka Golwali). Mam z nią wyjść i z nią iść do domu? Nagle podchodzi z tyłu jakiś mężczyzna i obejmuje mnie wdpół, odrzucam go i dopiero wtedy widzę, że to „z”. A więc wychodzę z nią, która jest nim. W windzie spotykam Grażynę i Szczurka.<sup>7</sup> Szczurek bardzo bierny. Grażyna niemal podtrzymuje go. Ona też już tam nie pracuje. Zbliżam się do nich i zaczynam pytać.

- Czy pan mnie pamięta? Czy pan mnie poznaje?

On milczy. Grażyna pyta go, jak się pyta dziecko:

No, kto to jest? Pan pamięta ..... i usiłuje pomóc mu. On milczy.

Wysłaliśmy już z windy, która po drodze zatrzymywała się i nieraz zdarzały się przypadki przyciśnięcia kogoś w drzwiach, wyszliśmy z windy i idziemy Stawkami, tuż koło Nowotki, może w stronę mojego domu. Ta dziewczyna Danką o urodzie Krysty Olszerowej, która jest „nim” na mrozie w lekkiej sukience, nie wiedziała, że będzie zimno. W domu dam jej sweter lub płaszcz.

Tymczasem jednak zajęta jestem Grażyną i Szczurkiem.

Nie mogę uwierzyć i nie chcę przyjąć, że mnie nie poznaje. Kiedyś powiedział mi,

że pozna mnie na końcu świata. (Chodzi o to, aby poznać po głosie, on jest niewidomy.)

Grażyna tłumaczy mi: słuchaj to tyle lat, my już tam nie jesteśmy, tam nie ma dla nas miejsca.

Teraz przyszło mi do głowy czy Grażyna nie jest podobna do Krysi-Danki?

Jestem zrozpaczona, bezsilna, nawet oburzona na Grażynę.

- Nie chcesz mi powiedzieć, że Szczygiel<sup>8</sup> mnie nie pozna – krzyczę.

I nagle uświadamiam sobie, że ja jestem tu, na Stawkach, widać stąd niemal Konwiktorską i ja tam nie idę.

To ja jestem winna?

Wiersz Zinaidy Gippius „Petersburg” z mottem z „Jeźdźca Miedzianego” „I lubiła tebia, Pietra tvorenie”.

Albo pisane przeciw Puszkiniowi, jeżeli - jak mówi Kodjak<sup>9</sup> - przed nim nikt nie odczytał właściwie „Jeźdźca”, albo Kodjak nie jest takim geniuszem, jak mu się wydaje.

2 marca 1976.

Władek o artykule na temat audycji w NBC i odgłosów: źle świadczy o Polonii, brak poczucia rzeczywistości. To jest prawda. Uderz w stół nożyce się odezwą.

Bardzo ładnie z ich strony, że to wydrukowali.

Władkowi nie podoba się też felieton Boba o delikatesach.

W poniedziałek rano zadzwoniła Helena z wiadomością o śmierci Józefa Wittlina – potrzebny jej był telefon Juriewej. Ja już wiedziałam. Dziś rozmawiałam z Juriewą. Dwa tygodnie temu w rozmowie z nią Wittlin powiedział:

- To jest mój ostatni rok.

Ona starała się zaprzeczyć. Powiedziała:

- Przecież już tyle razy Pan chorował ...

- Ja wiem – przerwał jej.

Powiedziała też, że jego wieczór był właśnie rok temu, 1 marca.

W niedzielę rano zadzwonił do niej hrabia Pustowski i poprosił o napisanie nekrologu do New York Times'a. Była po nieprzespanej nocy, tymczasem zamówili jak najwięcej. Potem okazało się, że nie mieli miejsca i w gruncie rzeczy nekrolog ukazał się krótki. Przepraszali.

Juriewa dała Helenie tekst i wydawało się, że jest zadowolona z takiego obrotu sprawy, tj., że tekst ukaże się w „New Horizon”.

9 marca 1976.

→ Okazuje się, że dzień przed swoim wieczorem autorskim Wittlin miał krwotok.

– Ale przyszedł i tak pięknie czytał swoje wiersze. Nikt tak pięknie jak on nie czytał – mówi Juriewa.

I powiedziała też, że każdy poeta ceni bardziej swoją poezję, a prozę traktuje po macoszemu. Wittlin też tak uważał.

Po zajęciach poszłam do biblioteki i pożyczyłam „Sól ziemi”, „Orfeusza w piekle XX wieku” i książkę Juriewej<sup>10</sup>.

Kodjak denerwuje mnie swoimi obsesjami erotycznymi.

Omawialiśmy „Angelo” Puszkina. Niby analiza strukturalna, ale coraz to schodzi na temat „fuck, co Kodjak z lubością powtarza kilka razy.

– Kraj, w którym cudzołóstwo karano śmiercią. Wszyscy są przestępcami w takim kraju – mówi Kodjak.

Słucham, co mówi i patrzę na niego.

– Why you look at me? – pyta

Mówię więc o pytaniu o „adultery” przy otrzymywaniu obywatelstwa teraz w Ameryce.

Nie wierzy, a potem:

– Is this the reason that you don't have a citizenship?

– Yes, exactly that is the reason – odpowiadam.

I to chyba jest powód, że ja nie staram się o obywatelstwo.

Opowiadam to Władowi.

– To chamstwo – stwierdza Władek.

– To nie chamstwo – zaprzeczam – to jest *highly intellectual talk*.

– To jest *intellectual talk*? – Władek zawsze głoś.

Wracając do „Angelo”, wydaje mi się, że należałoby trochę jednak oprzeć się na sprawach konwencji literackiej, w jakiej stworzona była włoska nowela odrodzeniowa.

Może to wyjaśni fakt zamiany dziewicy na kobietę i to, że Angelo nie poznał się na tym.

Z radością stwierdziłam, że wykład Juriewej notuję, po rosyjsku, w trzech czwartych.

Wczoraj wysłałam list do Hermanów, Elżuni de Kosko i rozmawiałam z Chabrowskim.

Dzisiaj dwa bardzo dobre wykłady: Kodjak o Puszkina rozpracowywaniu wewnątrz (jak wywiad) formy klasycystycznej – sonetu. A więc „Oniegin”, „Jezierni” (świąteczny); potem Kodjak przechodzi do „Jeźdźca” i tu sprawa rozgrywa się w konfrontacji stylu ody i panegiryku.

Zapytałam, czy uznać można „Angelo” za jakiś krok w stronę klasycyzmu, krok do tyłu?

– Tak – powiedział Kodjak.

Lori długo dyskutowała. Niepokoił ją termin „a-literatury” w stosunku do techniki jakiej użył Puszkina w „Onieginie”. Dlaczego?

Kodjak tłumaczył szczególnie na przykładzie „Jeźdźca”: kilka punktów widzenia, które to rzeczy nie uznaje poetyka klasyczna. Lori powołuje się na dramaty greckie.

Kodjak: no nie, chodzi o neoklasycyzm.

Ja: to tak jak Joyce w stosunku do tradycyjnej powieści.

Kodjak potwierdza, ale ja już wiem, że to bardzo zwulgaryzowany przykład. Ten mój.

Ale z drugiej strony widzę, że moje tradycyjne wykształcenie (nie – freudowskie, nie-strukturalistyczne) przydaje się przynajmniej na tyle, że mogę trochę tylko o literaturze myśleć w kontekście historycznym.

Juriewa mówiła o Balmoncie – bardzo ciekawie. Coraz więcej studentów zapisuje i u Niej i u Kodjaka. Po rosyjsku. Bardzo żywy i zwarty jest wykład Juriewej. Poddaje tyle tematów do opracowania, że tylko usiąść i pisać. Dużo czyta wierszy. Jest świetna.

Potem wychodzę na śnieg. Washington Square prawie pusty. Pada ogromnymi płatami. Gałęzie zarośnięte śniegiem. Śnieg na oczy, na kotniierz. Śpiewam sobie:

Święto wiosny przyjdzie znów  
Rzucisz kwiat na próg  
Już z daleka poznam cię  
Twych sandałów stuk .....

W pociągu czytam „Dziady” – część III, do *Improwizacji*.

Ciekawe, czy ktoś przeprowadził analizę strukturalną „Dziadów” i czy to dałoby jakieś nowe wyniki. Albo czy to już dato, jeśli ktoś to zrobił.

Parę dni temu, może czwartek, kartki z życzeniami od Szczygłów i Włodka.

W sobotę od Szczygłów „Poezje” Jastruna i dwa małe opowiadania Jerzego dla młodzieży. W każdym opowiadaniu jakaś Anna i sprawy, które przypominają rozmowy, problemy.

Zrobiłam niewiele: kartka z życzeniami do Grażyny, kartka-list do Szczygłów. Władek powiedział: tak napisane jakby to jutro miało pójść do druku.

List do redakcji „Kurier i Nowiny”, ale nie jest jeszcze wysłany, chociaż Jacek przedzwonił adres.

Juriewa już drugi weekend pisze nekrologi. Teraz do „Polish Review”. Dostanę od Niej tekst mowy księdza Andrzeja Leśniewskiego.

Dziś pomyślałam sobie, że przyjdzie taki dzień, że będę myślała, że Juriewa jest piękna.

W niedzielę wieczorem przyszła Fela. Robiłam z Pawłem gimnastykę – rower ze stopami złączonymi.

– Władek powinien to robić – mówię.

Paweł: With whom?

Ja: He should find a partner.

Paweł: With mirror.

Albo ja do Pawła:

Zapnij rozporek, bo dzisiaj nie wtorek.

Paweł: Yah, what's today?

Lektura:

Paul Valery „Rzeczy przemilczane”, z dużymi przerwami, od czasu do czasu.

Z Mimika” o Degas:

„Nie wiem, jakie było jego życie uczuciowe, nasze sądy o kobietach są często ukształtowane przez nasze doświadczenie.

Trzeba być mędrcom, żeby mieć pretensje tylko do siebie, kiedy po takich sprawach pozostaje nam niesmak, gorzyc, lub co gorszego jeszcze.” (str. 100).

Z „Degas i sonet”: „Co za zawód! – wolał. Straciłem cały dzień na przeklęty sonet i nie posunąłem się ani o krok. A przecież nie brak mi idei... Jestem ich pełen... Mam ich nawet zbyt wiele...”

Na co Mallarme ze swoją tagodną przenikliwością:

– Ależ, mój Degas, wiersze nie powstają z idei... Wiersze powstają ze słów.

Oto cała tajemnica. Lecz nie trzeba są-

Wojśław Brydak



dzić, że można pochwytać substancje słów bez pewnej medytacji". (str. 104)

Tamże:

„Przeszkody są dwuznacznymi sygnałami, wobec których jedni popadają w zniechęcenie, gdy inni rozumieją, że jest coś do zrozumienia

Ale są i tacy, co nawet nie dostrzegają przeszkód ...”

Z „Morał” (str. 107):

„Człowiekiem prawdziwie silnym we wszystkich rodzajach jest ten, który czuje najdoskonalej, że nic nie jest dane, że wszystko trzeba zbudować, wszystko kupić; który drży, kiedy nie widzi przeszkód; który je stwarza...

U takiego człowieka forma jest decyzją umotywowaną.

„Flama” wg. Doroszewskiego: przelotna sympatia (o kobiecie).

W języku angielskim „sweetheart”, ale z zabarwieniem bardziej żywym – przynajmniej, jeżeli nie płomień, to płomyczek się tam czuje.

Synonimy: BLAZE, FLAME, FLARE, GLARE, GLOW: shared meaning element: a brightly burning light or fire or something suggesting it.

## 11 marca 1976.

Wczoraj moje urodziny. Dzwoniła Lusia z Mama. Mama użyła zwrotu: w życiu osobistym i domowym. To rozgraniczenie w Jej języku, to rewolucja i ja to wiem. Władek powiedział: widzisz, nie tylko młodzi ludzie się zmieniają.

Potem cudowna kartka od Marlene – ja w pozie Madame Recamier z obrazu Dávida. I na odwrocie najpiękniejsze komplementy o mojej znajomości „sztuki życia”.

Potem Marlene zadzwoniła. Potwierdziła w pewnym sensie, to co ja myślałam. Komplementy na temat, że ja umiem żyć, cieszą tylko w początkowym momencie. Nie jestem pewna, na ile ja „żyję”, a na ile się męczę, albo co gorsze, na ile „prze-pędzam” życie. Najpierw opowiadałam

Marlene historyjki i śmiałam się (perliście), potem zaczęłam tłumaczyć i w trakcie tego złapałam się na tym, że ja nie tłumaczę, tylko ja się tłumaczę.

– Why am I saying all this to you?  
You want to justify yourself – odpowiedziała Marlene.

I poczułam się głęboko upokorzona. Zaczęłam przypominać sobie różne rzeczy i kiedy Władek wszedł z różami, byłam już tak zdenerwowana, że uraziłam go kilka razy w ciągu tego wieczoru.

Wszyscy (goście-rodzina) przyszli do Mamy wcześniej od nas. Dzieci biegały i przyszła sąsiadka z awanturą. Ojciec zdenerwował się strasznie.

– Close door – krzyczał. Idi k'bini mat-teri.

Fela wyprosiła ją w końcu. Kiedy przyszlismy na górę, wszyscy byli bardzo zdenerwowani. Mama bardzo, już ciężko jej było. A ja byłam oschła. Mama wie, jak ja boję się tych spotkań urodzinowych i chciała wziąć na siebie ten krzyż. Ale ... ja chyba też boję się, jak ktoś bierze a siebie mój krzyż.

Potem w nocy dwa sny.  
Urodziłam dziecko. Ktoś pomógł mi, a potem wszyscy znikli. Dziecko owinięte w jakiś biały papier czy ligninę leży i ja nie wiem, co z nim zrobić. Trzeba je wykopać, nie wiem, gdzie i jak. Dzwonie do Heleny, niech zapyta ojca albo matki. Ale Helena jest w budce telefonicznej przed teatrem Komedia w Warszawie, przedstawienie się zaczyna, wszyscy już wchodzi i ona też musi wejść.

Rozglądałam się po tym pomieszczeniu (sala operacyjna) i znajduję coś do kąpania. Odwijam dziecko, oddycha, jest w porządku. Otwiera usta i nagle uświadamiam sobie, że będę musiała je nakarmić. Chce sprawdzić, czy mam pokarm, naciskam pierś i pokazuję się kropelka krwi.

Drugi:  
Wracam do Polski i pierwszą osobą, którą spotykam jest (nieżyjący już od dwóch lat) prezes Sękowski. Witam się z nim i mówię:  
– Tak się cieszę, że to Pana pierwszego właśnie spotykam.

– Tak? – odpowiada – to niech pani pozwoli, że panią pocałuję.  
Nie podoba mi się to już, ale przystaję.

I on całuje mnie, zżera prawie. Czuje się okropnie i nagle uświadamiam sobie, że on przecież nie żyje. Całuje mnie nie żyjąc.

Cały dzień nie z tych najlepszych. Rozmowa z Renatą (dzwoniłam do Heleny). Rozmowa z Władkiem na temat artykułu Byrskiego w „Kulturze” o amerykańskim neoegalitaryzmie i o sprawie słowa „Murzynek”.

Moje wątpliwości: może my też szczerze w głębi ducha nie czujemy, że wszyscy ludzie są równi i tylko oburzamy się ze względów demagogicznych?

Czytałam też opowiadanie Kwarca w „Kulturze” o stalinowskich czasach i Październiku. ....

Przedwczoraj pisząc o śniegu zastanawiałam się nad tym do czego jest podobny na gałęziach. Wygląda jak co?

Wczoraj rano Paweł:  
– Ten śnieg na krzakach wygląda, jak kiedy ty rozbijasz jajko i robisz pianę z białka. Istotnie tak to wyglądało.

Dziś o 9:30 przypomniał sobie, że musi napisać wiersz o zimie. Kazałam mu myśleć o tym w kąpieli i podjęłam się zapisywania. Długo nic nie mógł wymyślić, aż w końcu wpadł na pomysł:

– I am a songwriter, so maybe I'll write a song and give it as a poem.

A oto z przekreśleniami:

Winter is so beautiful  
That when I go outside  
All the trees  
(And) all the bushes  
Are ~~all~~ white-covered with white.

Rozmawiałam z Heleną; ona dzwoniła z wiadomością o wystaniu mi pisma i czeku.

Wyciągnęłam ją na rozmowę o Tomaszewskim, powiedziałam, że mi się nie podoba i dałam potem całą moją analizę.

– Heleno, nawet „Dziadów” nie wolno tak interpretować „Stoń i sprawa polska”. Helena upiera się przy swoim.

– Co to by miało za znaczenie – pyta – sztuka o seksie?

– Na tym cały świat się kreci – odpowiadam. Czy pamiętasz Antka analizę „Kosmosu”.



– Mogę ja zacytować w jakim chcesz miejscu.

– Nie cytuj.

– Zwymyślałam go nawet, że onanizm nazwał chorobą.

Ponieważ przedtem wspomniała, że ktoś opieprzył ją za tę interpretację, pytam, kto to był.

– Bob.

– A co on o tym myśli?

– Nie wiem, nie pytałam go. On wszędzie widzi tylko jedno – cipę.

I potem: On jest bardzo przyjacielski, serdeczny, ale tak jest.

Następnie Helena czyta mi list od pani Zofii Zakrzewskiej i artykuł tejże z 1968 roku w obronie Gombrowicza.

Wszystko razem ok. 40 minut. Jest siódma wieczór. Jestem złamana. Paweł coś chce ode mnie, Władek zaraz przyjdzie. Helena prosi, abym przeczytała jej wiersze Lili Wysińskiej, ale ja już nie mogę. Po tym, co ona przeczytała mam chęć zacytować Kotta: *Za mokro, trzeba pisać sucho, żeby było mokro*, ale wyobrażam sobie, co Helena powie o nim i ta chęć przechodzi.

Po paru minutach telefon, męski głos:

– Nazywam się Tadeusz Kerner, jestem pianistą. Czy pani zna moje nazwisko? Przywożę Pani z Polski list i pozdrowienia od Edwina Kowalika.

Zaczynamy rozmawiać nad możliwością sprowadzenia tu Edwina na koncerty.

– Teraz sprowadziłem tu Hesse-Bukowską i 27 marca urządzam jej koncert w Fundacji Kościuszkowskiej.

Zamartam.

– 27 marca ja mam wieczór autorski w Fundacji – mówię.

On zamiera.

– O której godzinie, bo może ja coś pokręciliśmy? – pyta przestraszony.

Koncert jest o ósmej. Pyta, czy mogę rozprawić zaproszenia po 5 dolarów. Zaprasza mnie na koncert, ja go na wieczór. Oboje się nie zjawimy.

Prosi, aby zadzwonić za trzy, cztery dni i wówczas się spotkamy.

– A jaki to wieczór autorski? – pyta

– Poetycki, ja piszę wiersze.

– Ach, pani jest poetką.

Do widzenia.

Wchodzi Władek w międzyczasie, zły z powodu walizki. Ja też zła. Mówię do niego:

– Przez dwie godziny na scenie jest mowa o pieprzeniu się, a Helena widzi w tym Polskę.

Władek mówi coś ordynarnego, a właściwie nie ordynarnego tylko dosadnego.

1:30 w nocy

Wzięłam 2 valium i idę spać.

Oby do jutra, do.....

Leżą listy nie odpisane:

1. Pani Kossowska (odpisany)

2. Falanga

3. Wysińska

4. Elżunia Sz.

## 18 marca 1976.

Jeden z portierów w Polskim Związku Niewidomych nazywał się Teofil Wyrabkiewicz.

Wczoraj rozmowa z Janem Kottem. Zadzwoniłam, żeby dowiedzieć się, czy to możliwe, że w Korbutie (Nowym) nie ma tej „Księżniczki Pizdolony”, o której Helena mówiła, że jest właściwym librettem pantomimy Tomaszewskiego.

Kott powiedział, że wiersz o Drambuie jest najlepszy. Nazwał to wierszem o Annie Achmatowej i w pierwszej chwili nie wiedziałam, o czym on mówi.

– Chyba najlepszy ze wszystkich twoich wierszy. Lidce (powiedziała o żonie) też się podobał bardzo.

– A prozą piszesz jak kura.

A potem...

– Będziesz pisała prozą, tylko trzeba chłodniej, chłodniej.

Powiedział, że ma teraz bardzo dobry okres. Dużo pisze, chyba napisze nową książkę o Szekspirze. W „Wiadomościach” ukaże się artykuł o Jerzym Stempowskim.

– Najbardziej osobista rzecz, jaką napisałem w ciągu ostatnich kilku lat.

Dziś spotkanie z Allison i rozmowa z nią wieczorem przez telefon.

Lunch z Angelą.

## 19 marca 1976.

Siedziałam w barze tego eleganckiego hotelu. Byłam już po dwóch drinkach więc tego, który stał przede mną na stole, postanowiłam nie ruszać. Przynajmniej, dopóki siedzę tu sama.

– Zostawię cię w barze i pójdę na górę – powiedział przedtem.

– Tak, zostawisz mnie w barze – podchwyciłam – pójdiesz na górę, potem wrócisz, podniesiesz mnie ...

Śmieli się.

Starłam się czytać teraz trochę, trochę rozglądałam się naokoło. Po pół godzinie wróciłam.

– Jeszcze ze dwadzieścia minut. On spał, dopiero go obudzili – powiedział.

Kiedy odeszłam do telefonu i wróciłam, obok siedziała jakaś para i głośno rozmawiali po polsku.

– Nie chcę do nich dzwonić ani się z nimi spotykać – mówiła ona.

Wiesz nie jestem zadrosna, ale kiedy tam idę i słucham..... Oni zastanawiają się, które przedsiębiorstwo jak sprzedać, ona pokazuje mi sukienkę, którą kupiła tak tania, za 400 dolarów. Może dlatego zdenerwowałam się i pokłóciłam się ze swoją gospodynią. Szukam mieszkania. Gdybyś wiedział, że jakaś „mama” chce wynająć, daj mi znać.

– A po co ci „mama” – spytał. Czy ty nie możesz wynająć sobie sama kawalerki? Pójść do pracy?

Ona – słaba, ma bronchity. On proponuje, że zaprowadzi ją do dobrego lekarza.

– Nie, nie trzeba, ma lekarzy, bierze proszki. – No to pokój z kimś. Jakąś lub jakimś *roomate* – mówi on.

– Właśnie, co z twoim *roomate*?

– Nie wiem – odpowiada. Odchodzimy od siebie i wracamy. On pije. Bardzo dobrze nam z sobą, możemy rozmawiać o poezji albo o Joyce'ie, Ale kiedy przychodzi do życiowych spraw .....

On już nawet nie sprząta u siebie. Ma trzy koty i nie sprząta.

– Słuchaj – pyta go – czy ty byś mógł żyć z trzema kotami?

– To nie jest problem, czy ja bym mógł żyć z pięcioma, ale czy ty byś mogła.

– No widzisz, ja nie mogę.

On tłumaczy jej: w życiu nie ma ideatów.

Patrzę w książkę, ale już nie czytam. Głośno rozmawiają.

Postanawiam zauważyć, kiedy on podchodzi do mnie i uprzedzić go, żeby nie mówił po polsku. Przykro mi, że tego słucham. Ale oczywiście przegapiam tę chwilę. I nagle słyszę nad sobą:

– Już jestem.

Skuliłam się.

– Dlaczego się przestraszyłaś? Chcesz postuchać? – pokazuje na telefon.

– Nie teraz – cedzę przez zęby i jest mi

przykro wobec wszystkich, wobec tych ludzi, na których to spadło i wobec niego.

– Czy możemy się przesiąść? – pytam i przesuwamy się o jeden stolik dalej. Tam wyjaśniam sprawę i on przestuchuje taśmy.

– Trzeba grać tylko tę muzykę, którą się lubi.

## 20(21) marca 1976.

Goście, rodzina, bardzo przyjemnie. Wczorazem w nocy audycja w telewizji o Edith Piaf.

Charles Aznavour, jego wydawca powiedział mu: *She will eat you up.*

Ktoś inny, Amerykanin:

*She liked to construct and destroy it.*

Na końcu:

*She needed to be loved.*

22 marca 1976.

Paweł rano:

– Everybody knows that I am not a good boy.

– Who said so? – ja.

– You should see what I am doing when you are not around.

Potem ... ja:

– Be a nice boy

On... no, I got to be myself.

Bez daty.

Wczoraj wieczorem dzwonił Fredek. Spałam, kiedy telefon zadzwonił, Władek podniósł w drugim pokoju. Byłam już jednak trochę obudzona i wyszłam z sypialni. Władek rozmawiał - *New Mexico itp.* Fredek poprosił mnie do telefonu.

– Byłem na wystawie Bittera w New Jersey. Ty go znasz, co ty sądzisz o jego malarstwie?

Co sądzę. Odpowiadam mu dość enigmatycznie. Władek wypędza mnie z kuchni, bo palę, a Paweł za chwile idzie spać. Ze słuchawką przechodzę do living room, siadam przy stole.

Bardzo często mam wrażenie rozmawiając z Fredkiem, że jest coś, co on jeszcze powie, zaraz powie, że jeszcze wciąż nie wyjawiał właściwej przyczyny, dlaczego dzwoni.

– Mnie się wydaje – mówi Fredek, że za parę lat on będzie znany tutaj w Nowym Jorku.

– Jestem tego samego zdania – odpowiadam.

– Ja ci powiem, dlaczego: po pierwsze on pracuje prawą półkulą mózgu .....

Przypomina mi się rewelacyjny artykuł na ten temat sprzed trzech lat w *New York Times*.

– Wiem, wiem – przerywam mu – ale ja nie lubię takich fizjologicznych interpretacji.

Fredek ciągnie, on teraz słucha wykładów na Columbii na ten temat.

Okazuje się, że zamówił u Bittera wymalowanie całej ściany tam w New Mexico.

31 marca 1976.

Przejrzałam dziś program telewizyjny na cały tydzień, żeby znaleźć powtórzenie wywiadu z Sołżenicynem. Nie było w programie. Tymczasem w przerwie między pierwszymi i drugim *News* (nr 5 o 10-tej wieczorem; nr 2 o 11-tej) nastawiłam 13-tkę, bo miało być coś o malarstwie Renoira i był właśnie Sołżenicyn.

Nie wiem, dlaczego, ale nie podzielałam zachwytów. Po pierwsze Sołżenicyn uchylił się od odpowiedzi na pytanie o zestawieniu: on i Lenin. Pytanie zadali mu dwa lub trzy razy.

Po wtóre, nie wierzę, somehow w proro-



ków. Sołżenicyn nie wątpi w siebie. A cały świat chyba wątpi w siebie (takie przyszły czasy) i dlatego cały świat nie może być taki silny, jakby tego chciał Sołżenicyn.

Czy Sołżenicyn jest intelektualistą?

W „Procesie” Kafki Józef K. oskarża sąd, że nie ma pojęcia (sąd) o niczym poza swoim własnym ograniczeniem. Lub może, że nie jest świadom niczego poza swoim własnym ograniczeniem.

Sołżenicyn mówi jak prorok, wygląda jak prorok, przepowiada, ale krój jego marynarki przypomina krój marynarek wszystkich carów z ostatnim włącznie. Łatwiej byłoby mi uwierzyć, gdyby pokazał jedno pęknięcie, jedną ludzką słabość.

Nie wiem,

I w komentarzu znów porównanie Sołżenicyn – Dostojewski.

„One flew over a cuckoo's nest”

Sprawa ryby: dyrektor szpitala – zdjęcie z rybą.

Pacjenci na wycieczce łowią rybę.

Ta sama ryba, a jakże różnie daje się interpretować. I tylko interpretacja się liczy, a nie ryba.

Zebranie personelu medycznego. Wszyscy lekarze zgadzają się na odesłanie pacjenta do farmy. Pielęgniarka zwycięża swoją demagogią: My nie możemy pójść drogą najmniejszego oporu. Ten pacjent jest jej potrzebny jako wróg, wyzwanie. Ale tej jej demagogii nikt z kierownictwa nawet nie śmie zaprzeczyć,

Część pacjentów siedzi tam dobrowolnie.

– Dobrowolnie – krzyczy bohater – czy wy jesteście wariaci?

– Wy nie musicie i siedzicie tu dobrowolnie?

– Tak – mówią – ale ..... Oni nie wiedzą, że to już nie jest dobrowolnie. Nikt nie wie od którego miejsca kończy się dobrowolnie.

Zdecydowałam się dzisiaj na pisanie o „Pomniku” Puszkina. Moja teza: jedna ze strof jest przeróbką strofy Horacego z innej pieśni. „Trawestacja” – tego słowa zabrakło mi wczoraj.

## 7 kwietnia 1976.

Był jeszcze w owym stanie niewinności, kiedy to słowo wydaje się czynem. Nie potrafił tego rozdzielić tylko dlatego, że po prostu nie zdarzył mu się jeszcze czyn.

25 kwietnia 1976.

Rano o 11 spotkanie z Liłą Wysińską. Nie przestawiła zegara i przyjechała o godzinę później.

Odczyt Sity był bardzo ciekawy. Poznałam panią Halinę Wittlin i jej córkę – Elżbietę. Przez pierwszych kilka chwil rozmowy z Kottem było bardzo nieprzyjemnie, ale potem on jakoś zorientował się i przez resztę wieczoru było bardzo miło. To on przedstawił mnie p. Wittlinowej z komplementami pod moim adresem.

Nie mogę spać, mimo prób. Władek też nie. Może to zmiana godzin, a może oczekiwania na jutro.

Helena powiedziała do Kotta: wychodzę za mąż za L—ę.

Na co Kott: A czy on o tym wie?

A potem: czy on tu przyjeżdża na stałe?

Ja: wszyscy, którzy się żenili, wiedzą, że to jest na stałe.

Kott siedzi na poręczy fotela i ja czuję się głupio. Wstałam po chwili.

Mocha<sup>11</sup> powiedział do Sity: niestety, nie mogę Panu zapać, bo musimy zapać Kunciewiczowej.<sup>12</sup>

Potem poszliśmy do kawiarni – Kott, Sito 13, Helena, Fela i ja.

Helena opowiada o swojej rozmowie telefonicznej z Antkiem na temat tego słowa z wiersza Herberta i o tym, że „musimy być na poziomie”.

Kiedy wracałam było mi smutno, smutno, smutno.

I te dziwne odejścia Kotta, odwraca się nagle od wszystkich i nie ma go. Zawsze wówczas mam wrażenie, że ma wszystkich dość.

Sito<sup>13</sup> nadzwyczaj uprzejmy. Powiało Polską w najlepszym wydaniu. Wspaniałe dawne czasy mi się przypomniały.

## 27 kwietnia 1976.

Sen:

Lina przyjechała. Żle wygląda, chora, ale jeszcze wciąż piękna. Włosy, włosy siwe, ścięte na zapaćkę. Ale są to właściwie odrastające włosy po zupełnym ogoleniu głowy. I ja kojarzę to z karą. Lina została oszukana, a raczej oszukała sama siebie. Tam w Polsce ochrzciła się, (dla mnie pojawia się to w formie angielskiego słowa „Baptiste”), zmieniła nazwisko i wszystko jedno nie pomogło. Mam ciągle jedno pytanie: po co to robiłaś? Czy nie rozumiałaś, że to nie pomoże?

Znika Lina. Z Polski przyjeżdża ktoś (czy nie pani Juchnowicz?) i opowiada o Linie.

Kłania się wczorajsza rozmowa z Renatą o Helenie. Pani Juchnowicz opowiada życzliwie, ale straszne rzeczy. Klara mówiła mi o Linie, ale nie życzliwie.

Idę z p. Juchnowicz do sklepu, ona wybiera jakieś próbki perfum. Ja proponuję, że ja to kupię, ale ona nie zgadza się i ja nie oponuję zbyt silnie. Potem deklaruje się z kupnem jakiegoś mydła tej samej firmy, ale szukam długo, przebieram... Są już tylko resztki, trochę odpakowane... Ona już płaci, a ja jeszcze nie wybrałam. Skąpa jestem.

Właściwie Lina i ja byśmy podobnie. Rozumialiśmy się doskonale, w pół słowa. Kiedy Lina wstąpiła do partii, zazdrościłam jej, ale nie wstąpienia, tylko decyzji – commitment.

I może tam już był ten moment, który nas rozdzielił. Może to ta sprawa, że Lina to był jeszcze rocznik, który przeszedł przez ZMP. Może stąd ta niemożność zakwestionowania samej Sprawy. Krytycyzm pojęty tylko jako krytycyzm środków. Ale jeżeli sprawa jest ważna i nie do zakwestionowania, to często przesuwają się ten punkt, od którego kwestionuje się środki. Wydaje się, że każda ofiara jest dobra, jest na miejscu.

Wczoraj byłam z Tatą w Social Security Office. Musiałby pracować jeszcze do początku kwietnia 1977. Jeżeli dopnie, będzie to prawdziwe bohaterstwo. Wypytałam też o to, jak dostał się na Ural. Otóż do Charkowa popędzili ich piechotą. A stamtąd



Wojsław Brydak

→ towarowymi wagonami pod konwojem, Kaczorów zdaje się. Na Uralu mieszkał w barakach i spał na pryczy. I tak do przyjazdu Mamy (ze mną), wówczas dostał mieszkanie (pokój) w murowanym domu.

Przypomniało mi się spotkanie w Poroninie z Justą Stankiewicz-Świątło. W 1959.

### 30 kwietnia 1976.

Pierwszy oddźwięk recenzji o „Tryptyku” Nowotarskiej.<sup>14</sup> Nieoficjalne, kulaarowe. Podobno zapłodniona zostałam przez Frylinga i Korbońskiego (?). Cokolwiek powiedzą, cieszę się, że napisałam tę recenzję.

Oportunizm jest w gruncie rzeczy postawą głęboko ludzką, coś niedobrze zaczyna się dziać, kiedy z dziejów oportunizmu robi się dzieje heroizmu. Jakkolwiek i to jest bardzo ludzkim odruchem.

Tyle że przeciwnym.

Wiele osób miało żal lub uwagi, że recenzja zbyt łagodna (Heniek, pani Kossowska, Helena).

A jednak nie mogę przecież podejmować dyskusji w sprawach, w których tej dyskusji bym nie wytrzymała. Nie wystarczy, jak zapewne wydaje się Helenie, stawianie zarzutów. Zarzuty musiałyby być tylko takie, które potrafię udowodnić. Pisarz ma wpływ na percepcje książki tak długo jak ją pisze.

### 1 maja 1976.

Prasa reżimowa jak i antyreżimowa spotykają się czasem na jednym małym mostku, którym jest upraszczanie.

Upraszczenie nie jest kłamstwem, niemniej jednak jest szczególnym sposobem preparowania prawdy.

2 maja 1976.

Czy dramat oczyszcza? Chyba tak, bo ludzie cyniczni nie przeżywają dramatów.

30 maja 1976.

„Dante” Szajny w Brooklyn Academy of Music.

Przeczytać książkę Chciuka „Emigrancka opowieść”.

### 10 czerwca 1976.

Dziś już po dwóch „Tygodnikach”<sup>15</sup> w „Nowym Dzienniku”. Ostatnie dwa, trzy

dni trochę ciężkie i było mi nieprzyjemnie. Może to wszystko sobie wymyśliłam, jak mi sugerowano. Może .....

Niemniej dziś po złożeniu numeru i po rozmowie z Januszem Wedowem,<sup>16</sup> ja właściwie nastawałam (delikatnie, ale stanowczo) na wypowiedzenie się, sytuacja trochę się we mnie rozładowała. Teraz wieczorem kupiłam bukiet róż za dolara, połowę dałam Mamie. Stoją tutaj i pachną na stoliku.

Władek znów w swoim nastroju zaprowadzania porządków – z Pawłem i Paweł wrzeszczy. Ale w tej chwili obaj śpią.

Dziś przed wyjściem okazało się, że Paweł ma pęcherz na nodze i nie może założyć tenisówek. Został w domu. Tego mi było potrzeba na początek dnia.

Zabrałam się do czytania „Dzienników” Lechonia i chęć zapisania jednej myśli skłoniła mnie do otworzenia tych zapisków.

A więc pisze Lechoń odnosząc to do Rubinsteina:

„Prześta grać po salonach – to jedyny sposób, aby wzbudzić w tych salonach respekt dla siebie”.

W „Dziennikach” Lechoń wspomina „najdroższą osobę” i jak się okazuje nikt nie wie do dziś dnia, kto to był. Podobno to jedna z przyczyn śmierci, podobno wyciągał od Lechonia pieniądze.

2 w nocy

Obudziłam się pod wpływem snu, który chce zanotować, chociaż już po dziesięciu minutach tworzą się pewne racjonalizacje.

A więc dzwoni do mnie żona Lechonia (sic!) czy jest u mnie może jej córeczka. U mnie nie ma, może jest u mojej mamy, ale mówię, aby przyszła. Przychodzi – potężna kobieta – meksi typ urody i ja daję jej kartkę maszynopisu z fragmentem „Dzienników” Lechonia, który to fragment pójdzie w „Tygodniku”. Tj. ona przyszła po „dziecko” i ja oddaję jej maszynopis – „dzieło”.

Potem w redakcji, składa się gazetę, ja jestem głodna i proszę Barana (?), aby pozwolił mi wyjść coś zjeść. On przyjmuje mój ton za jakąś erotyczną aluzję i mówi: i na to będzie czas.

Ktoś przynosi mi kanapkę i zawinięte w woreczku kiszone ogórki. Gryzę pierwszy plasterzek, niesmaczny i już chcę tę ociekającą sokiem torebkę oddać, ale drugi plasterzek wygląda bardziej apetycznie i jeszcze zanim wzięłam go do ust, czuję (wyobrażam sobie) jędnosć i jakiś taki przy-

jemny odcień kwasu. W tym fragmencie „Dziennika” Lechonia opisana jest kanapka tak apetycznie, że wstaję z łóżka, idę do kuchni z postanowieniem zjedzenia czegoś dobrego. Zjadłam kawatek sera i chleb z majonezem i kotletem.

Nie to, co się śniło, ale zjadłam.

### Poniedziałek, 21 czerwca 1976

W sobotę pojechaliśmy do New Jersey do p. Artura<sup>17</sup>. Było bardzo przyjemnie, wrzuciło mnie to, że przygotowali Drambuie, a także „gin and tonic” kierując się moim wierszem. Ale kiedy późnym wieczorem wróciliśmy do domu, nagle uzmysłowiłam sobie, co leży odłogiem – czytanie (po polsku i po angielsku), pranie, sprząkanie, gotowanie, pisanie. Szlag mnie trafił. Siedziałam i czytałam do drugiej w nocy. Wczoraj rano znów obudziłam się z tym rozdarciem na piętnaście różnych części. Oczywiście musiałam zacząć od prania, sprząkania, gotowania. Skończyłam o wpół do dziesiątej wieczorem. Przy czym sypialnia i living zostały nietknięte.

Dziś znów, co lepiej: wystać paczki, czy robić coś mądrzejszego? Przy tym muszę pójść do banku, zapłacić za światło, telefon. Za dwie godziny Paweł przyjdzie na lunch.

Władek denerwował mnie strasznie i awanturowałam się przez cały dzień.

### Czwartek, 24 czerwca 1976.

Rozmowa z Angelą – bardzo przyjemna. Ona przypisuje przykrości, które mnie spotkały, zazdrości ludzi.

Okolo 3:30 telefon.

– Anusiu, dzień dobry. Tu mówi Helena, po chwili wahania: Pan Wedow chce z Tobą rozmawiać.

– Pani Aniu, dziękuję za artykuł, itp. Wierzbiański powiedział, że trzeba zadzwonić do Tyrmanda i zapytać go o pozwolenie. Myśmy dzwoniли, ale jest w pracy, trzeba wieczorem do niego zadzwonić.

I tu tzw. bullshit. Pani ma nazwisko w świecie literackim, proszę powiedzieć, że pani pisze wiersze ...

Bob poradził, aby przedstawić się: tu mówi Anna Frajlich z „Nowego Dziennika” – to na wypadek inwektyw, które padną, aby

Wojśław Brydak



nie brać ich do siebie tylko do „N.Dz.”

Parę minut po piątej, cisza, spokój. Paweł wreszcie po godzinnym koncercie dał się wyekspediować do parku. Władka jeszcze nie ma.

Parę minut po piątej nakręcam numer i słuchawkę podnosi Tyrmand.

- Tu mówi A.F. z ramienia „N. Dz” - mówię grzecznie, ale swobodnie. Tyrmand zgadza się na przedruk, ale pod warunkiem:

-Ponieważ wy nie płaciecie ...

Milczę

- No przecież nie płaciecie...

Chce, aby zamieścić informację, że eseje ukażą się w książce „Tu w Ameryce... czyli dobre rady dla Polaków”.

Mówimy trochę o esejach i ja, że czytamy „z zapartym tchem”. Śmieje się i nie wierzy.

- Wszystko z zapartym tchem - dodaje od „Ztego” począwszy. Jakkolwiek nie wszystko czytałam.

-Zaraz, zaraz, pani myśli, że jestem taki sędziwy, że już przed „Ztym” napisałem z dziesięć książek.

- Nie, nie, wiem, co mówię. Nie czytałam angielskiej książki z Różą Luksemburg w tytule.

- A to było o środkach antykoncepcyjnych.

Połem dzieli się swoimi uwagami o „Nowym Dzienniku”. „Nowy Dziennik” przypomina mi „mianię uprawiania kartowatych kaktusów”

- Dziennik nie może być eklektyczny - odnosi się to do artykułu „Spengler i Piłsudski” zamieszczonego obok wiadomości sportowych.

- Jedyną osobą, którą powinniście nosić tam na rękach jest Bau. - Ja sam zaczynam lekturę od czytania felietonu Boba (pseudonim Zdzistawa Baua). Wiele osób czyta tylko Boba - dodaje. On pisze niegramatycznie po polsku - oburzam się - ale broń Boże, aby nie zaczął pisać gramatycznie. Tyrmand zaczyna lekturę od szukania Boba.

- Ja też - jest we wtorki i piątki.

- Ja nie wiem, kiedy jest, ale to nie tylko pani. Bardzo wiele ludzi czyta tylko Boba. Gdyby tak była prowadzona cała gazeta, to i Wierzbiański zrobiłby na tym pieniądze.

Po dość długo już trwającej rozmowie nagle słyszę:

- Ja czytam pani wiersze. I dam pani jedną radę, niech pani nie drukuje ich w gazecie codziennej. Ja rozumiem pani głód...

- Zaraz, zaraz - przerywam - mnie też tak specjalnie nie płacą...

- Ja nie o tym głódzie, głód ujrzenia swoich utworów w druku. Czytałam pani recenzję, nie pamiętam o czym, ale powinna pani więcej pisać.

## 31 sierpnia 1976.

„Anna Karenina” po rosyjsku - czytamy.

Ciekawe byłoby (a być może już to zrobiono) rozpatrzenie takich szeregów:

miłość Lewina do Kitty i jego stosunek do pracy w gospodarstwie - oczywista.

wyścigi konne Wrońskiego (po raz pierwszy w życiu był nieszczęśliwy, nic mu się nie stało, koń zginął, on zabił konia) i romans z Anną.

Karenin dowiaduje się o zdradzie Anny, jadąc do domu rozpatruje różne możliwości rozwiązania tej sprawy. W pierwszym rządzie pojedynek. Oczywiście odrzuca tę ewentualność jak i inne.

Tymczasem w domu następuje przyptyw energii i zabiera się do rozpatrzenia jednej

z urzędowych spraw, której do tej pory nie ruszał ze względów mniej więcej konformistycznych i nagle - sformułowanie: „kiedy rękawiczka została rzucona...” (tak została rzucona, ale nie ta rękawiczka) on śmiało podniósł ją i zażądał powołania komisji.

Ten sam motyw - rachunki Wrońskiego, chce zrobić porządek w życiu i zaczyna od liczenia pieniędzy.

Czwartek, 16 września 1976.

Wczoraj od rana w mieście. Najpierw z Mirką w dwóch agencjach. Potem sama. Władek pojechał wczoraj na konferencję do Rochester. Dziś przyjeżdża?

Wróciłam, już po odebraniu Pawła od Feli, o siódmej. Paweł pożera masę mojej energii. Najpierw nie chce wyjść od Feli, potem wytkóca się, żeby jeść „out”. Po obiedzie siedzi przed telewizorem i pisze jedno słowo na pół godziny. Mówię: albo - albo. I oczywiście to „albo” to jest telewizor. O dziewiątej wraca zmęczony do lekcji, denerwuje się, denerwuje mnie. I cały mój zapał ulatnia się. Jestem zgnębiona, zmęczona i nie widzę przed sobą jakiegokolwiek możliwości istnienia. Co będzie, jak ja pójdę do pracy? Jak mam się uczyć?

Dziś od rana to samo: najpierw płacz, że obudziłam go zbyt późno i nie ma czasu na kąpiel. Potem marnuje pół godziny głupim gadaniem, zamiast dokończyć lekcje.

Kupiłam gazetę. Nie kupuję w czwartki, ale bałam się, że mogą o dzień wcześniej wydrukować felieton. Obawy były ponne. Za to stwierdziłam, że za dużo w „Dzienniku” jest propagandy. I to takiej dydaktycznej. Każda niemal informacja z tamtej strony opatrzona jest komentarzem, każda w ogóle informacja. Dziś np. o tym pływaku olimpijskim, który wrócił do Rosji po poproszeniu o azyl. Komentarz nie różni się od komentarzy dodawanych do różnych innych informacji i to sprawia, że gazeta robi się infantylna.

W „New York Timesie” też z pewnością jest propaganda i dydaktyka, ale w artykułach propagandowych, a nie informacyjnych. W prasie krajowej dydaktyka i propaganda są w każdej informacji, nawet wydawałoby się zamieszczonej w czystej informacyjnej postaci. Wynika to z braku zaufania do czytelnika, że nie potrafi sam myśleć, lub z programowego założenia, że czytelnik nie powinien myśleć. Z jakichkolwiek przesłanek to by nie wynikało, obniża poziom gazety, infantylizuje czytelnika i gazetę upupia.

Dziś *unemployment*<sup>18</sup>, wieczorem dwa wykłady z Juriewą.

## Środa, 22 września 1976.

Jest już prawie jedenasta. Rano problemy z Pawłem po wczorajszym stryżeniu. Potem poszłam cokolwiek dokupić, zjadłam (za dużo) i zadzwoniła Anka. My mamy problemy z Pawłem, oni z Rafałem i tak to idzie. Wczorajszy dzień był za to może bardziej zorganizowany.

Wysłałam z Pawłem, zapłaciłam wszystkie rachunki, wpłaciłam pieniądze do banków - na książeczkę czekową, za moje dwie książki.

Przeczytałam półtorej sztuki Czechowa, odnalazłam artykuł Brzozowskiego o Czechowie<sup>19</sup> w „Kulturze i życiu”. Rozmawiałam z Hanką (m.in. bilety na koncert), zadzwoniłam do Carmen (bilety). Dzwoniła Anka. Chwilami nie chce mi się podnosić telefonu. Po trzeciej zadzwonił J.B.: ta akwarela jest za duża, nie mieści się w kopercie. Czy mogę spaść się z nim na kawie. Zaczęłam więc się jak piskorz. Głupie to było, ale nie chcę

teraz. Wymówiłam się tym, że nie ma Mamy i mam dużo obowiązków. Potem będę miała mniej czasu, ale wolę potem.

Oczywiście tak jak i ilustracje do książki, tak samo nie podobał mu się felieton. Ilustracja nie może być (nie powinna) czytać wielką wizją. Powinna chyba poddawać się tekstowi.

Kiedy wyszłam po Adasia z Pawłem, poszliśmy prosto do fryzjera, potem kupiłam poduszki, pokręciliśmy się trochę i dopiero o wpół do szóstej wróciliśmy do domu. Parę słów z Felą, które na ogół i ja, i mnie wyprawdają z równowagi. Potem obiad.

Wieczorem przyszli rodzice Władka. Ojciec miał operację oka. Rozmawialiśmy bardzo przyjemnie. „Mama się wyrobiła” powiedział Władek. I to trzeba przyznać.

Wieczorem przepisywałam tekst „My Żydzi polscy” Tuwima. Chcę to mieć. Władek nalegał, aby pójść wcześniej spać - 11:30. W łóżku poczytałam jeszcze Czechowa. Przeszedł list od Grażyny i od pani Anieli Mieczysławskiej z Londynu.

Sto listów czeka na odpisanie, drugie sto to sprawy do załatwienia.

Marzenie - mieć dni i noce dla siebie.

## Czwartek, 4 listopada 1976.

Ranek był dobry, ale nie dzień. A więc rano - bank, coś niecoś kupiłam i fryzjer. Dobrze mieć swojego fryzjera. Pamięta, że niecały miesiąc temu się strzygłam. On akceptuje mnie, ja jego. Jesteśmy wobec siebie lojalni i nie mamy żadnych obowiązków. Idę tam najgorzej ubrana, żeby potem te ciuchy wrzucić do brudów, bez malowania, ale jemu to nie przeszkadza. On jest miły, uprzejmy, bo chodzę do niego.

W Warszawie miałam fryzjerki. Najpierw tę na Placu Trzech Krzyży. Wybrałam ją, bo była najlepiej ostrzyżona. Było to tuż po ślubie i powrocie z Soczi - kupiła nawet ode mnie trzy torebki henny. Czesłała modelki z Mody Polskiej.

Potem taką miłą i ładną żonę właściciela pawilonu na tyłach Nowego Świata. Przychodziłam i mówiłam, co chcę, dokąd idę i ona już wiedziała. Raz na bankiet (jedyny w życiu) Ociemniałych Żołnierzy, na którym miał być Moczar, ale go nie było. Przysłałam i powiedziałam: cała moja nadzieja w pani, bo nie zdążyłam już pójść do kosmetyczki. Umalowałam się pod suszarką i poleciałam.

Dobrze więc mieć swojego fryzjera, tak jak swojego lekarza i swój mały sklepik, w którym dadzą na kredyt, jak zabraknie pieniędzy.

Włosy obcięłam dziś krótko - jak na „po tyfusie”. Dla mnie osobiście jest to fryzura - „gwizdę na wszystko”.

Po pierwszej wysłałam z domu, po drugiej byłam na 42 ulicy. Przed wejściem do redakcji kupiłam trzy róże dla Renaty. Renaty i Heleny nie było, ona zresztą uprzedziła mnie, u sekretarki na biurku leżały dwie książki, o „New Horizon” i okularach Heleny zapomniata. Oczywiście miałam okazję przywitać się z panią Harleyową, nawet ucałować.

Wysłałam w fatalnym nastroju. Wściekła, z poczuciem zrobienia z siebie idiotki, trochę zagubiona.

Kupiłam prezent dla Mani i Dory i poszłam do czytelnicy. Czytelnia uspokoiła mnie, ale za bardzo. Zasnęłam nad książką. Zjadłam w barze obiad. Po dwóch kawach ocknęłam się. Była to już piąta godzina bez jakiegokolwiek kontaktu z człowiekiem, Próbowałam nawiązać rozmowę z kimś przed wykładem, ale dałam spokój.

Przyszła Jolka i zaczęła opowiadać mi o uwagach Bittera na temat „Dziejów grzechu”. Brakowało mu Żydów – jak zwykle.

Każde słowo Jolki wydaje mi się tgarstwem, nawet wówczas, kiedy mówi, która godzina. Zaśknęłam z Pawłem i po Czechowie poszłam do domu.

Jurjewa już jest zmęczona wieczorem Wittlinowskim. Żona<sup>20</sup> nalega na przeczytanie wiersza „Ścisłe osobiste” – wiersz okrutny, wiwisekcyjny. Wittlinowa nalega, bo Elżuni<sup>21</sup> (córce) jakiś hiszpański poeta powiedział, że to dobre.

Wittlinowa początkowo w ogóle zwątpiła, czy publiczność cokolwiek zrozumie, a teraz ma przyjść dużo takich, co zrozumieją. Kott podobno też.

Jurjewa wierzyła mi się też, że i z książką<sup>22</sup> o Wittlinie miała dużo kłopotów.

– Tylko rozdział z analizą formalną – powiedziała – jest mój.

W domu, pogadałam parę minut z Mamą. Położyłam Pawła spać. Paweł po głosie poznaje, na ile może sobie pozwolić. Im mniej ja mówię, tym mniej on sobie pozwala.

O 10:30 zadzwoniłam do Eli, ale byli już w łóżku i nie mogła rozmawiać.

Po paru minutach zadzwoniłam do Rochelle.

– I am down. I let idiots to put me down.

Spytałam ją na początku, czy nie leży z kimś w łóżku. Skończyłyśmy rozmawiać. Poczuliśmy się lepiej i w tej chwili wszedł Władek.

Pokazałam mu list od Renaty. Zdaje się, że zamierzeniem tego listu miało być dowcipne brzmienie.

Władek bardzo zadowolony ze spotkania z Jonaszem (Andrzejem). Byli na obiedzie w argentyńskiej restauracji. Władek pytał go, dlaczego dziennikarze nie protestują. Dał mu książkę.

Andrzej ożeniony jest z Hanką Łysiak, być może nawet z koleżanką z naszego roku. Jest sekretarzem redakcji „Kulis”.

W rozmowie z Władkiem przyszło mi na myśl, że polski Żyd zaprojektowany jest na antysemityzm. Na jakąś tam jego dawkę. Były kłopoty z nominacją Andrzeja na sekretarza redakcji.

O Kubie: bardzo znany, kilka poważnych nagród dziennikarskich. Tylko zawsze pijany. To podobno zawodowa choroba reporterów. Przy wyjeździe na delegację dostają 500 złotych na wódkę – „bez wódki nie razbieriesz”, a jak „nie razbieriesz”, skąd wziąć materiał na reportaż. Jonas zna Grynberga. Przy drugim spotkaniu Heniek pochwalił mi się, że jego żona była przedtem kochanką Jeremiego Przybory. Z Bitterem Andrzej nie chciał się zobaczyć.

Pisze tu trochę i wysyła „Lotem” do Polski.

Byłam dziś rzeczywiście „down”.

Ten Wittlinowski wieczór – dokładnie rok i parę dni po wieczorze pamięci Janty, na którym miał być Wittlin, ale zachorował.

Teraz to pamiętny wieczór, z innego powodu też.

## 5 grudnia, 1976.

Jak tylko skończę ten zeszyt, będę pisała notatki na maszynie. Muszę tylko wymyśleć dobry sposób układania ich potem. Jest niedziela i jak widać „Mikołajki”, których tutaj wcale nie ma – trudno.

Dziesięć lat temu o tej porze byłam właśnie w Krakowie na Zjeździe Literatów, nie dziesięć, a jedenaście. I, mała idiotka, nie podałam ręki Terleckiemu i nawet Kabatki się za mnie wstydził, bo właśnie tam ze mną

stał. Któregoś rana wychodziliśmy z Jerzym Szczygłem z hotelu i czekał tam samochód, który odwoził kilka osób na salę zjazdową. W samochodzie jechaliśmy z Leszkiem Kotakowskim. Na Zjeździe widziałam też, jak Stonimski pocałował się z lwaskiewiczem. Byłam wściekła, że nie było na miejscu żadnego „paparazzo”.

– Niech Pani napisze o tym wiersz – powiedział Jerzy Szczygieł.

Wtedy właśnie, po powrocie do Warszawy, dostałam od niego tykwę.

W piątek „Małe tragedie” Puszkina po angielsku na jakiejś scenie eksperymentalnej. Był prawie cały nasz wydział.<sup>23</sup> W sobotę od 5 do 8 wieczorem, a nawet nieco więcej niż do ósmej w Instytucie na Kiermaszu. Na tyle więcej, że kiedy o jedenastej dobrnęłam do domu, Władek zaaplikował sobie „cichy wieczór”. W związku z tym położyłam się spać, ale o pierwszej obudziłam się i długo nie mogłam usnąć.

Dziś Władek przeziębiony, może więc stąd te wczorajsze humory.

Cały dzień spędziliśmy dziś z Władką Kohutek, Władek był zadowolony, ona też.

Jutro nie ruszę się w ogóle z domu. W poniedziałek i wtorek muszę skończyć Biciliego.

## 9 grudnia 1976 r.

A propos rozmowy, czy nie byłoby mi lepiej pracować np. w Instytucie Polskim.

Wyjechałam z kraju nie po to, żeby się wprowadzać do „kraiku”. Ja nie szukam przystani życiowej, bo nie wierzę w jej istnienie.

Helena jest Żydówką po ojcu. Ale z antysemityzmem walczy z rozkoszą i naiwną bezpośredniością rosyjską swojej matki.

Leśmian w odpowiedzi na napaści – umarł. Umarł. Ale gdyby umiał biegać i się kłócić, to by nie umarł.

Do rozmowy o Hemarzu.

Hemar był chyba najlepszy w wierszach demaskatorskich, ironicznych, pełnych humoru.

Ale Polacy wciąż jeszcze mają małe poszanowanie dla humoru.

Trzeba koniecznie napisać dramat narodowy.

Publikacje:

Pierwszy tom wierszy: *Aby wiatr namalować*, Oficyna Stanisława Gliwi, Londyn, 1976.

Publikacje prasowe:

*Nad listami Brunona Schulza, Czasowniki, Wariacje na temat Drambuie*. *Wiadomości* 6/1558:1, 1976. Londyn.

*Wszyscy chcą jakoś żyć*. (rec.: Róża Nowotarska - Tryptyk wojenny") *Wiadomości*, 1562. 1976. Londyn.

*Pytania, Bez tytułu, Tydzień Polski/Nowy Dziennik* 1246:9, 7-8 lutego, 1976. Jersey City - New York. s.9

Przepowiednia. *Tydzień Polski/Nowy Dziennik* 1281:1, 27-28, marca, 1976. Jersey City-New York

*Zazdrość, Przy barze*. *Wiadomości*, Nr 1575. 6 czerwca, 1976. London. s.1

*Traktat o czasie*. *Tydzień Polski/Nowy Dziennik*. 12-13 czerwca, 1976. New York. s. 3

*List z wczesnej wiosny, Z gałązką jarzębiny*. *Wiadomości*, Nr 1589. 1976. Londyn.

\*\*\*Z tobą pójdę, *Może, O słowach, Siódma jesiń nowojorska*, *Wiadomości*, Londyn, Nr 41/1599, 21 listopada, 1976.

Może, *Nasturcje*. *Wiadomości*, Nr 1602. 1976, London. s.1

ANNA FRAJLICH

1. Prof. Ludwik Krzyżanowski, 1906-1986. Redaktor „The Polish Review”.
2. Prof. Magnus J. Kryński, profesor slawistyki, tłumacz polskiej poezji.
3. Prof. Adam Gillon, profesor anglistyki i komparatystyki, autor esejów o Conradzie i Szekspirze..
4. Osip Brik, rosyjski pisarz awangardowy, krytyk i teoretyk.
5. Stanisław Gliwa, wydawca mojego pierwszego tomiku.
6. Dzdzisław Bau
7. Józef Szczurek, Redaktor naczelny „Pochodni” w latach 1958-1994
8. Jerzy Szczygieł, (1932-1983), pisarz, dziennikarz, redaktor naczelny „Naszego Świata” i „Niewidomym Spółdzielcy”.
9. Prof. Andrzej Kodjak (1926 , ówczesny kierownik Wydziału Slawistyki na New York University.
11. Joseph Wittlin, by Zoya Yurieff, New York University. Twayne Publishers, Inc. New York, 1973.
12. Frank Mocha, twórca Sekcji Literackiej w Polskim Instytucie Naukowym
13. Maria Kuncewiczowa, po 1955 roku przebywała jakiś czas w Stanach.
14. Jerzy Sito, ur. 8 listopada 1934 w Pińsku, zm. 4 stycznia 2011 w Warszawie, pisarz młodszego pokolenia wojennej emigracji, który wrócił do kraju. Polski poeta, tłumacz, głównie sztuk Szekspira, dyplomata.
15. Róża Nowotarska, Tryptyk wojenny, Londyn 1974, moja recenzja: *Wszyscy chcą jakoś żyć*. *Wiadomości*, nr 1562, Londyn, 1976.
16. Zastępowałam dwa tygodnie Tadeusza Siutę w redagowaniu „Tygodnia Polskiego”.
17. Janusz Wedow, właśc. Jan Jerzy Wedow (ur. 29 stycznia 1920, zm. 28 maja 1982 w Monachium) – polski poeta, więzień obozu w Kozielsku.
18. Artur Zawodny, inżynier, kolega z pracy Władka.
19. Wizyta w urzędzie dla bezrobotnych.
20. Stanisław Brzozowski, *Kultura I życie*, Lwów 1907, str. 87-121.
21. Dr Halina Wittlin
22. Wittlin Lipton
21. „Joseph Wittlin”, Zoya
23. Yurieff, New York University, Twayne Publishers, Inc. New York, 1973.
23. New York University

Wojśław Brydak



Andrzej C. Leszczyński

Pycha

## BABEL

Historia Wieży Babel jest treścią jednego z mitów<sup>1</sup> mówiących o pysze ukaranej. Że próba dorównania Bogu (bogom) źle się kończy, pokazują m.in. biblijne przekazy o upadku aniołów (najpotężniejszy z nich, Szatan, chciał zasiąść na tronie Boga) czy o grzechu pierworodnym (spożycie zakazanego owocu z drzewa poznania, co Bóg skomentował słowami: „Oto człowiek stał się taki jak My: zna dobro i zło”, Rdz 3, 22). Coś podobnego wyraża platońska opowieść o człowieku pełnym, czyli biseksualnym (w „Uczcie” mówi o nim Arystofanes: „Strasznie to były silne istoty i okropnie wolnomyślne, tak że się zaczęły zabierać za bogów [...]”). Za karę został rozcięty na męskie i żeńskie połówki. Prometeuszowi – to jeszcze jedna wersja tego samego przestępstwa – udało się wykraść bogom ogień i przekazać go ludziom, jednak ostatnie słowo należało do nich: Zeus zesłał na ziemię Pandorę, kobietę uosabiającą wszelkie nieszczęścia.

Mit o Wieży Babel (hebr. Migdal Babel, מגדל בבל) mówi o olbrzymiej budowlu, która była wznoszona przez zjednoczoną ludzkość, potomków Noego, w krainie Szinear (שִׁנְעָר, Šin'ār, dzisiejsza Syria). Za namową Nemroda budowano ją przez 43 lata, wejście na szczyt zajmowało cały rok. Budowla ta była bezużyteczna w zwykłym sensie tego słowa – wystarczyło, że sięgała nieba. Była to, jak głosi teologiczna wykładnia, dokonana wbrew woli Boga próba odnowienia przymierza złamanego przez grzech pierworodny, chęć odtworzenia osi między „dółem” i „górami”. Wieża byłaby urzeczywistnieniem obrazu, jaki pojawił się w śnie Jakuba<sup>2</sup>. Że wiąże się z tym ryzyko, dobrze widać w grece. Klimaks (κλίμαξ) to schody, drabina, ale i narzędzie tortur. Przymiotnik `klimakterikos` (κλιμακτηρικὸς) - `krytyczny` - odnosi się do niebezpiecznego okresu życia (stąd medyczne klimakterium, prze-kwitanie).

Budowniczo wieży zamiast właściwej wobec Boga pokory wykazali zarozumiałość i pychę (gr. hubris, ὕβρις). Ponieśli też karę stosowną do rozmiary winy. Ci z nich, którzy chcieli wznieść się najwyżej, zostali rozproszeni po świecie. Tych, którzy chcieli zamieszkać w niebie, zamieniono w upiory i mały. Najśroźszą karę ponieśli ci, którzy chcieli wejść z Bogiem – pomieszały się ich języki (hebr. balal, בבלל – mieszać, stąd polskie bełtanie). Wcześniej wszyscy mieszkańcy ziemi mieli jeden język, „jednakowe słowa” (Rdz 11, 1). Być może był to „święty język” laszron ha-kodesz, לַשׁוֹן הַקֹּדֶשׁ – pierwotny język hebrajski, zastąpiony w żywej komunikacji przez język aramejski.

## Samotność

Pomieszenie języków symbolizuje stan świata jako całości. Jest to świat poroniony, popękany i rozsypujący się niczym diabelskie lustro z „Królowej Śniegu” Hansa Christiana Andersena (co również było skutkiem zamiaru uczniów czarnej szkoły, by lecieć z lustrem do Boga i aniołów). Cokolwiek jest – jest idiome<sup>3</sup>, czymś sobie tylko właściwym, różnym od czegośkolwiek (innego). Rzeczywistość jest zróżnicowana wewnętrznie pod każdym względem. Różne są języki naturalne (co daremnie chciał przezwyciężyć Ludwik Zamenhof), kultury, rasy, wyznania, ustroje polityczne, kanony etyczne i estetyczne, gusty kulinarne, impe-

ratywy zwyczajowe i obyczajowe itd., itp. Także ludzie są różni. Wśród ponad 7,5 mld żyjących dziś - i wśród kilkudziesięciu miliardów pojawiających się w dziejach homo sapiens - nie ma i nie było choćby dwóch istot identycznych. Nawet bliźnięta jednojajowe, mające taką samą strukturę genową, w realnym życiu urzeczywistniają ją w różny sposób. Ludzie – na dodatek zróżnicowani płciowo - są osobnikami, czyli bytami osobnymi: kobietami i mężczyznami<sup>4</sup>.

Jeśli idąc śladem Immanuela Kanta przyjmujemy, że rzeczywistość (makroświat) ujawnia się każdorazowo w indywidualnym człowieku (mikroświecie)<sup>5</sup>, trzeba uznać, że istnieje siedem i pół miliarda różnych światów konstytuowanych przez ludzi będących ich miarą. Ponad dwadzieścia sześć wieków temu lapidarnie wyraził to Protagoras z Abdery: panton chrematon metron anthropos (πάντων χρημάτων μέτρον ἀνθρώπου) - człowiek jest miarą wszystkiego co istnieje. Trzeba też pogodzić się z faktem, że wszystkie te światy pozostają dla siebie tajemnicą. Rafał Wojaśński (pisarz, laureat Gdyńskiej Nagrody Dramaturgicznej) mówi o „pojedynczości”, która naznacza wszystko: „pojedynczo człowiek się rodzi, umiera, je jajecznicę. Smak się ma pojedynczo, dźwięki się słyszy w pojedynkę, zapachy czuje się też w pojedynkę. Można podzielić się wrażeniami z innymi, ale nie można tego zmienić. To tylko nasze subiektywne odczucie, którego nikt inny nie odbierze dokładnie tak samo”. Oto kilka podobnych świadectw wziętych z literatury. Małgorzata Hillar (*Nigdy się nie dowiem*): „Nigdy się nie dowiem/ czy widzisz/ tak samo jak ja/ żółty tubin// Czy tak jak ja/ czujesz/ jego aksamitny zapach/ Nie przekonam się/ czy tak samo/ słyszysz/ szelest skrzydeł sowy// Nie sprawdzę/ czy odczuwasz/ to samo co ja/ głaszcząc/ kosmatą owcę// [...]”. Stefan Jurkowski (\*\*\*): „kto po mnie opowie świat/ kiedy już nie będzie mój// kto napisze miasto wypowie drzewo/ w moim języku// kogo zaboli to/ co mnie tylko rani// nieodczytane miasto niewypowiedziane drzewo/ uboższe o mnie bogatsze o inne barwy// zabieram stąd wszystko moje/ buduję z tego następny świat/ też niemożliwy beze mnie”. Fiodor Dostojewski (*Skrzywdzeni i poniżeni*): „Mówią, że syty głodnemu nie wierzy, a ja ci mówię Wania, że i głodny głodnemu nie zrozumie...”. Gregor von Rezzori (*Śmierć mojego brata Abla*): „Spotkanie dwóch istot jest jak zderzenie się dwóch kul bilardowych: zawsze tylko jeden punkt jednej dotyka jednego punktu drugiej”. Wirginia Woolf w szkicu *O chorowaniu* pisze, że mniej straszna wydaje się jej sama choroba od niemożności przekazania zdrowemu tego, co chory przeżywa. Rzeczywiście, łatwo komuś mówić że współczuje mi z powodu bólu żęba, bo przecież jego nie boli; współczucie to nie współodczuwanie, pozostając z tym bólem sam.

## Rozproszenie

O tym, że symboliki mitów nie sposób sprowadzić do jednej „prawomocnej” wykładni, świadczą różne ich odczytania. W tym tak ekscentryczne, jakie przedstawił

Søren Kierkegaard w słynnym zbiorze pt. *Albo-albo*, gdzie źródła dramatu Wieży Babel – i dziejów ludzkich w ogóle – znajduje w nudzie. „Bogowie nudzili się, a więc stworzyli człowieka. Adam nudził się w samotności, powstała więc Ewa. [...] potem Adam i Ewa nudzili się razem, a potem nudzili się: Adam i Ewa, Kain i Abel en famille, a potem wzrosła ilość ludzi na świecie i ludy nudziły się en masse. Dla rozrywki powzięli myśl zbudowania wieży tak wysokiej, że wierzącą jej sięgają oboków. [...] A potem byli rozproszeni po całym świecie, zupełnie jak teraz zagraniczni turyści, ale nudzili się w dalszym ciągu” (tłum. Jarosław Iwaszkiewicz). Nie zmienia to rzeczy podstawowej – że jakkolwiek interpretowany, każdy mit „daje do myślenia”, jest „świecącą nitką”, o której wspomina Leszek Kołakowski w liście do Józefa Czapskiego<sup>6</sup>.

Czytanie mitu o Wieży Babel również bywa odmienne. Może nie o mierzenie się z Bogiem w nim chodzi, lecz o coś jak najbardziej przyziemnego? O zwyczajną, dostępną także dzisiaj, żądzę pełnej władzy nad ludźmi? Może więc pomieszanie języków to nie tylko przekleństwo - może to także dobrodziejstwo, wydostanie się z niewoli jednej formy?

Według przekazu biblijnego wieża Babel wznoszona była jako widomy znak, dzięki któremu ludzie „nie rozprócą się”. Jahwe, kiedy obejrzał postępującą pracę, pomieszał ludzki języki aby rozproszyć się na wszystkie strony jako różne, nierozumiejące się wzajemnie narody. Paweł Śpiewak przytacza nauki, jakie na temat wieży Babel głosił rabin Naftali Cwi Jehuda Barlin, rektor jesziwy w Wotożynie (pochowany w Warszawie). Wbrew interpretacji mówiącej o ukaranej pysze, widzi w micie opowieść o totalitarnym dążeniu do panowania. Wieża miała stanowić wyraz jedności i jednomyślności ludności Szinear, a także instrument pozwalający jedność tę kontrolować<sup>7</sup>. Pomieszenie języków było sprzeciwem Jahwe wobec podporządkowania wszystkich jednej władzy i jednej myśli. Było początkiem pluralizmu i tolerancji w jej podstawowym sensie. Zdaje się, że podobna myśl zawarta jest w „Deklaracji o ludzkim braterstwie dla pokoju światowego i współistnienia”, podpisanej w lutym 2019 przez papieża Franciszka i Wielkiego Imama Al-Azahara, Ahmada Al-Tayyeba. Oto fragment tego dokumentu: „Wolność jest prawem każdej osoby: każdy korzysta z wolności wiary, myśli, słowa i działania. Pluralizm i różnorodność religii, koloru skóry, płci rasy i języka są wyrazem mądroj woli Bożej, z jaką Bóg stworzył istoty ludzkie. Ta boska Mądrość jest źródłem, z którego wyodzi się prawo do wolności wiary i wolności do bycia różnymi. Dlatego odrzuca się wszelkie próby zmuszania ludzi do przyjmowania określonej religii oraz kultury, podobnie jak narzucenie jednego modelu cywilizacji, którego inni nie akceptują”. Dobrze też pamiętać o – skandalicznym zdaniem ortodoksov – geście Jana Pawła II, jakim było ucałowanie Koranu, czy o jego dążeniu do dialogu chrześcijańsko-żydowskiego.

Można odnieść wrażenie, że powyższa Deklaracja bliska jest duchowi myśli określa-

nej mianem postmodernizmu (w Ameryce – poststrukturalizmu). Postmoderniści tacy jak Jean-François Lyotard, Jacques Derrida, Gilles Deleuze, Richard Rorty czy Zygmunt Bauman odrzucają tzw. wielkie narracje (opowieści), czyli uniwersalne teorie i zasady wywodzone z jakkolwiek pojętego centrum. Negują je na rzecz pluralizmu, niejednorodności, indywidualizacji, autonomii obszarów „pogranicznych”. Józef Tischner w swych polemikach z tomizmem zwracał uwagę na fakt „włączania” paradoksalnych (co nie znaczy: nonsensownych) prawd Objawienia w arystotelesowskie schematy pojęciowe; a także na uzurpację tej filozofii do wyczerpującej wykładni Dobrej Nowiny. Znany teolog katolicki, jezuita Karl Rahner też nie zgadza się, by otwierać wszystkie drzwi jednemu dogmatycznemu kluczem. Pisze (O możliwości wiary dzisiaj): „Żadna władza ludzka, nawet religijna, żadna najbogatsza nawet w treść i zastosowania zasada nie może pretendować do regulowania wszystkiego w sposób totalitarny”. Gianni Vattimo, włoski filozof (uczeń Hansa-Georga Gadamera), w światopoglądowym pluralizmie widzi możliwość uwolnienia się od określonego przez średniowieczną scholastykę metafizycznego obrazu Boga, który nie ma nic wspólnego z Bogiem Biblii. W pracy o końcu nowoczesności (La fine della modernità) nawiązuje do tezy o „śmierci Boga”, jaką głosił Fryderyk Nietzsche i sądzi, że chodzi o śmierć Boga zawłaszczonego przez jedną uniwersalną doktrynę teologiczną. Śmierć takiego Boga jest bogostawieństwem, gdyż przywraca Boga żywego, obecnego w doświadczeniu poszczególnych ludzi: „Właśnie dlatego, że ostateczny fundament-Bóg, czyli absolutna struktura metafizyczna rzeczywistości, nie jest już możliwa do utrzymania, można na nowo zacząć wierzyć w Boga”.

Kto by pomyślał! Fryderyk Nietzsche i postmoderniści odnajdują się na jednej drodze z autorami najgłośniejszego dokumentu II Soboru Watykańskiego, czyli „Deklaracji o wolności religijnej” (Dignitatis Humanae...), przyjętego ostatecznie w grudniu 1965 roku przez 2308 biskupów (przeciwnych było siedemdziesiąt). Stwierdza się w niej, że „[...] wszyscy ludzie powinni być wolni od przymusu, czy to ze strony poszczególnych ludzi, czy to zbiorowisk społecznych i jakiegokolwiek władzy ludzkiej, tak aby w sprawach religijnych nikogo nie przymuszano do działania wbrew jego sumieniu”. Okazuje się, że „pomieszanie języków”, czyli pluralizm światopoglądowy, to nie zło, lecz rezultat danej przez Boga wolności: „W domu Ojca mego jest mieszkań wiele” (J 14,2). Inna sprawa, że boży dar wolności jest ograniczany przez kościelne struktury instytucjonalne. Ledwie dwadzieścia lat po Dignitatis Humanae użyte wtedy pojęcie różnicowanego wewnątrznie, otwartego Ludu Bożego, podczas rocznicowego synodu (1985) zostało zastąpione terminem communio. Wyrażenie to, jak tłumaczył znawcy łaciny, mówi o czymś z gruntu odmiennym – o obwarowanej niczym twierdzą, zamkniętej wspólnotie obowiązków. Dwadzieścia lat wcześniej, odnosząc się do polskiej rzeczywistości, podobną myśl wyraził kardynał Stefan Wyszyński: „Naród jednego języka, jednej kultury, jednej wiary, jednej moralności to wielka rzecz”.

Można to dostrzec i odczuć na co dzień - zachowanie podmiotowości jest coraz trudniejsze w świecie spłaszczającym co tylko się da, sprowadzającym to co poszczególne do wspólnego mianownika, uznającym prymat My nad Ja, mylącym autorytet z autorytaryzmem, wolność jednostki podporządkującym bezpieczeństwu ogółu itp. Włodzimierz Paźniewski pisze

o Republice Zarzecze (Użupio Res Publika), obejmującej dzielnicę Wilna położoną nad rzeką Wilenką. Republika ta ma własną, liczącą czterdzieści jeden artykułów Konstytucję. Obok wielu pięknych zapisów (np. \*Człowiek ma prawo mieszkać obok Wilenki, a Wilenka płynąć obok człowieka; \*Człowiek ma prawo umrzeć, lecz nie jest to jego obowiązkiem; \*Pies ma prawo być psem) jeden brzmi szczególnie: \*Człowiek ma prawo być nieoznaczony i nieznan. Tę szczególność można odczuć wyraźnie podczas lektury książki Edwarda Snowdena pt. *Pamięć nieulotna*, pokazującej dzisiejsze Wieże Babel, znające i kontrolujące wszystko i wszystkich.

### Uniwersytet

Przeczytałem znajomemu biologowi pytanie, jakie w *Grze możliwości* sformułował François Jacob: „Dlaczego więc musi istnieć para istot, aby stworzyć kogoś trzeciego? Dlaczego spośród wszystkich funkcji ciała jedynie reprodukcja zależy od organu, którego każdy osobnik ma zawsze tylko połowę, co przecież zmusza go do utraty ogromu czasu i energii w celu znalezienia tej drugiej połowy?”. Pokiwał głową i powiedział, że ludzie, podobnie jak inne istoty płciowe, nie rozmnażają się, lecz zmnazają. Rozmnażanie byłoby wtedy, gdyby z jednej komórki powstały przynajmniej dwie, co można zaobserwować u pewnych bakterii. Tymczasem u ludzi jest odwrotnie: z dwóch komórek powstaje jedna, inna od tamtych dzięki pomieszaniu genów. Nie jest to więc jednak marnotrawstwo, lecz czysty zysk, zauważył, a mnie od razu przysłał do głowy myśl o wiedzy: że do jej zdobycia, podobnie jak do spłodzenia dziecka, też trzeba choćby dwóch (dwoje) poszukiwaczy. Pomyślałem o dialogu, zdaniem Jorge Luisa Borgesa najlepszej rzeczy, jaką wymyślili antyczni Grecy. Dialog wziął się z odczucia, że niemożliwa jest „całość”. W dostępnej człowiekowi rzeczywistości nic nie jest „całkiem” jakieś - jest zawsze „trochę” jakieś. Rozpoznanie własnej cząstkowości myślowej skłania do przekroczenia jej, wyjścia ku innej takiej cząstce: oto sens dialogu, dla którego najlepszym miejscem stał się w średniowiecznej Europie uniwersytet.

Słowo to odwołuje się do powszechności (ūniversitās) tego, co różne. Dotyczy to przede wszystkim odmiennych poglądów i stanowisk badawczych. Jeszcze w między-

wojniu zapisywano się na uniwersytet w ten sposób, że dopisywano swoje nazwisko pod nazwiskiem profesora. Na poszczególnych kierunkach było kilka katedr, a kierującą nią profesor po swojemu daną dyscyplinę pojmował i wykladał. Krążyły anegdoty o profesorach, którzy dowiedziawszy się o obecności swego studenta na zajęciach w innej katedrze cierpieli, czuli się zdradzeni. Jednak żaden z nich nie podważał prawa do obecności na uniwersytecie osoby, z którą nie zgadzał się najbardziej. Pień uniwersyteckiej wiedzy był zawsze potężny dlatego, że wyrastał z wielu korzeni. Świadectwem takiego rozumienia współczesnej nauki może być książka Guy Sorman pt. *Les vrais penseurs de notre temps* (Prawdziwi myśliciele naszych czasów), w której autor pokazuje, że w każdej istotnej kwestii naukowej panuje - wśród najwybitniejszych badaczy tej kwestii - radykalna odmiennosc podstawowych poglądów. Podstawowym obowiązkiem pracownika akademickiego było nie „wiedzieć”, lecz „myśleć”. Jakże piękne dziedzictwo pomieszania języków.

ANDRZEJ C. LESZYŃSKI

1. A trzeba pamiętać, że mit nie jest zmysłem, bajkową fikcją. To opowieść uniwersalna - wyrażony symbolicznie obraz początku czegoś, co „nigdy się nie zdarzyło, lecz wciąż się dzieje” (Zygmunt Kubiak).
2. „We śnie ujrzał drabinę opartą na ziemi, sięgającą swym wierzchołkiem nieba, oraz aniołów Bożych, którzy się wspinali i schodzili po niej w dół”, Rdz 28, 12.
3. Termin ten, oznaczający zazwyczaj wyrażenie niemożliwe do wiernego przetłumaczenia, w swym pierwotnym sensie (idios, ἴδιος) oznaczał tyle, co własny, swój, osobisty, prywatny, szczególny, odrębny, oddzielny, osobliwy, wyjątkowy, niezwykły.
4. Osobniki interseksualne, należące do rzadkiej statystycznie tzw. trzeciej (czwartej, piątej...) płci stanowią szczególnie wyrazisty przejaw unikalności.
5. Świat, to zawsze czyjś świat, widziany przez ludzi, naukę, sztukę itp. (fizyk, noblista, Werner Heisenberg powtarzał, że nie wiemy zupełnie, co to jest natura, badamy tylko nasze o niej pojęcie). O moralnym aspekcie tego stanu rzeczy mówi Talmud: „Jeśli człowiek niszczy jedno życie, to jest tak, jak gdyby zniszczył cały świat. A jeśli człowiek ratuje jedno życie, to jest tak, jak gdyby uratował cały świat” (Sanhedryn, 37a).
6. „W nieskończonej ciemności, w jakiej żyjemy i do jakiej się przyczyniamy [...] wiąże nas wątlą może, ale nie dającą się przerwać więzią z tym, co jest poza ciemnością”.
7. „W miejscu, gdzie żyłem, i na czas, w którym miało dokonać się moje życie, wieża miasta Babel przybrała kształt sowieckiego Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie” - pisze Wacław B. Maksymowicz („Ból: zapomniana gramatyka”).



Wojciech Brydak

Linda Vilhjálmssdóttir

21 marca do 28 marca

wodzę wzrokiem  
po korytarzach między regałami  
sprawdzam ruch  
w dziale kolonialnym

potem wdzieram się jak złodziej  
z listą zakupów  
między półki  
i upycham produkty w koszyku

z kasjerką  
patrzmy sobie podejrzliwie w oczy  
w myślach oceniając  
dzielący nas dystans

ona w niebieski rękawiczkach z lateksu  
ja w białych

28 marca do 31 marca

powietrze  
tak przejrzyste  
obecnie

że oddech bliźniego  
nadchodzącego  
z naprzeciwka

przywołuje  
na usta słowo  
katastrofa klimatyczna

31 marca do 3 kwietnia

być  
albo nie być

unieruchomioną  
lub unieruchomionym

oto jest pytanie

---

Linda Vilhjálmssdóttir (1958), islandzka pisarka, poetka, dramaturg. Z zawodu pielęgniarka. W 2018 roku została laureatką nagrody poetyckiej Europejski Poeta Wolności za tomik Wolność. Tomik Martwa natura, z którego pochodzi powyższy wybór, wydany został w roku 2020.

---

## Cezary Sikorski

## ZIMA

Zima nadeszła późno i niespodziewanie. Niedługo po śmierci prezydenta; w dniu, kiedy złote antylopy pokryły Poczta kuszającym kwieciami; w chwili, gdy bratu udało się uciec od śmierci.

Pomimo zamieszania, chłopiec pamiętał: rano wciąż jeszcze było upalnie, w południe na niebie śpiętrzyły się granatowe chmury i powiał lodowaty wiatr, który zeszklił nadal zielone liście, a wieczorem... po zmroku... wszystko przyprószył śnieg.

Zima zdarzyła się, gdy mało kto wierzył, że jeszcze będzie. Zaskoczyła wszystkich poza chłopcem, który nie dojrzał w porę dominacji lata. Pewnie dlatego zanim przyszła — wiedział, że potrwa długo. Że będzie zima. I bardzo ciemna.

— *Niczym śmierć* — syczała w głowie chłopca matka — *ośnieżona i sroga.*

\*

Tej zimy ojciec nie nadązał z wnoszeniem węgla. To, co przyniósł z piwnicy wieczorem, nigdy nie starczało do rana. Oba piece i kuchenna westfalka pochłaniały każdą ilość opału. Co noc wstawał więc po dwa, trzy razy, by podtrzymać w nich żar. Lecz o świecie w mieszkaniu było tak chłodno, że nikt nie mógł dospać do rana.

W półmroku przedświt chłopiec leżał obok brata, obaj na jednym tapczanie. Brat przeciągał i ziewał, gdy chłopiec słuchał — jak pod naporem mrozu — trzeszczą fragmentów okien, w pokoju obok czuwa ojciec, a w kuchni — modli się matka.

\*

Wraz z końcem epidemii matce odeszły *histeriozy*. Jednakże jej system nerwowy wcale nie uległ stabilizacji. Zastąpiły je równie silne, choć odmienne niesienia. Szczególnie religijne, w których usiłowała podziękować Bogu za doświadczenie zaryzy oraz uratowanie brata.

Akty dziękczynne zdarzały się niespodziewanie. Nie tylko w odosobnieniu właściwym dojrzałemu szaleństwu. Także zniekacza, przy obcych, których wprawiała w zakłopotanie żarliwość jej nierozumnych wyznań. O czym myśleli ci, którzy dowiadawali się nagle o przenikaniu dobra i zła lub o nienawistnych zamiarach Boga, podczas gdy chcieli jedynie pogadać o pogodzie. Może sądzili, że są to kolejne formy jej emocjonalnej niedyspozycji. Albo uboczne skutki niskich temperatur? Cóż z tego, że byli wyrozumiali? Że starali się zachować dystans? I tak jej nie rozumieli, więc zniecierpliwieni starali się szybko skończyć rozmowę:

— *O...tak. Ma pani rację. „Robaki piekielne — powtarzali za nią — są stworzone z czystego bólu. Więc jak mogą go odczuwać?”*

\*

Jedynie Grzybmacher — który w mieszkaniu po konserżu na parterze terkotał po całych dniach na maszynie do szycia — podchodził do sprawy poważnie. Przy każdej okazji — nawet marząc na mrozie — starał się wytłumaczyć matce, że nie

powinna dowolnie mieszać ze sobą tak odległych poziomów abstrakcji.

— *Ma pani rację* — przyznawał. — *Światło i ciemność są dwoma stronami boskiego stworzenia. Lecz proszę pamiętać — przestrzegaj — że dochodząc sprawiedliwości, próbuje pani rozmawiać z nieskończonością. A przecież do niej nie można mówić o tak sobie — wyjaśniał cierpliwie, wypuszczając z ust zmożone obtoczki pary. — Nawet nie można sobie tego przecież wyobrazić... Przecież bezkres jest jednością, z której niczego nie można wyodrębnić. Jak z czymś takim rozmawiać na temat dialektyki dobra i zła? Ani jej samej, ani skutków jej istnienia — nazwać nie można. No bo jak nazwać to, co nie ma granic. Oj, droga pani... — tu Wekselberg ściszał głos — Nieskończona jedność — niczym pierwsza, tajemna litera alfabetu — jest niema. Więc jej nie ma. I dla nas. I w sobie. A pani wciąż mówi do niej?*

A na to matka oburzona:

— *Co mi Pan opowiada? Jaka nieskończoność? Czy ja głupia jestem. Przecież sama ze sobą rozmawiam. Co ja poradzę, że ona jest we mnie i że się znamy po imieniu...*

— *Oj nie tedy droga... — zamartwiał się Grzybmacher. — Może się pani poparzyć przez te poufaleństwo — dodawał zrezygnowany i pozostawiał matkę sam na sam z jej nieprzytomnością.*

\*

Odrealnione nastroje matki miały też dobre strony. Dzięki nim była silniejsza. Wierzyła, że potrafi przezwyciężyć lęk, jak również zimno i ciemność, które ją paraliżowały. Niestety, samotna była z tą swoją odwagą, bo któż mógłby stanąć obok niej po zmroku i prowadzić dialog z ciemnością? Kto — wymarżnięty na kość — mógłby jak ona, zżywać się z zimną?

— *Światło powróci. Znowu nadejdzie ciepło. Zima przemienie i nie będzie chłodu* — wyznawała matka w kuchni, w samym środku zimowej nocy, patrząc w kierunku ognia, który wymykał się zza żeliwnych drzwi-czek piecyka i rozświetlał jej twarz. — *Choć zimno chce być naszym panem, ciepło powróci, a ciemność, do której należy rozpacz i smutek — nie pozostanie naszą modlitwą.*

A potem zamykała strumień wyobrażeń i oddychała tak cicho, że słychać było, jak iskry spadają do popielnika.

Chłopiec spał przytulony do brata. Nie widział matki na krześle przed rozgrzaną westfalką. Nie słyszał, jak mruczy credo: — *One przeminają... Może na zawsze... Lub na trochę... Bo przecież zimno na zawsze pozostanie wspomnieniem ciepła.*

\*

Ale ciepło nie powracało. Melanż ciemności i chłodu powielał się w coraz to niższych temperaturach, które zdominowały noc i coraz krótszy dzień. Zniknęły dychotomie, których od światła domagała się matka. Zwyciężyła monotonia bieli, która przenicowała każdy fragment okolicznego krajobrazu.

Przez pierwszy tydzień nawałnica zimna zmroziła to, co w dwudziestostopniowym

mrozie przyjmuje z zasady przypadkową formę. Szklane tafle okien kurczyły się i wypadały z ram. Pękły przewody tramwajowych trakcji. Fantazyjne grymsy i rzygacze rynien odrywały się ścian pod ciężarem lodowych raczyk.

Na początku drugiego tygodnia mróz szętał. Powietrze stało się gęste i lepkie. Zlodowaciało nawet to, co nigdy nie poddawało się meandrom transsubstancjacji wody. Z hukami pękły drzewa, ukazując poranioną korę i zmarłwiatę wnętrze. Szyby okien stały się nieprzezroczyste. Para odchłów utrwałała się na nich w fantazyjnych stalagnatach. Przystały jeździć tramwaje i autobusy. Nawet za dnia resztki brązowej trawy na Wiśniowej skubały zgiędniałe dziki i sarny. Wszyscy czekali na ocieplenie, które miało nadejść z zachodu.

Lecz nie nadeszło. Temperatury dnia i nocy ustabilizowały się na nieziemskim poziomie planety, z których ledwie widać kartowate słońca. W dodatku z nieba zsunęła się ściana gęstego śniegu. Zamalowane na biało gruzowiska zaczęły szybko przypominać podmiejskie pagórki. Poczta, tak jak inne boczne trakty, szybko zmieniała się. Uprzątnięty śnieg najpierw pozajmował chodniki, a później — z dnia na dzień — coraz bardziej zawężał prześwit jezdnii. Przed końcem roku Poczta stała się przejezdna tylko od jednej strony.

Ulica Sztabowa została odcięta od Pocztovej. Podobnie Powstańców Śląskich od Wiśniowej. Aby dojść do kościoła na Sudeckiej trzeba było pójść w przeciwną stronę, do Wiśniowej, potem skręcić w lewo, ku górującej nad gruzami — okolonej kłującymi odrostami robinii — wierzyci ciśnien, następnie skręcić w prawo, przejść nieodgruzowanym fragmentem ulicy Akacyjowej, i wreszcie wejść na Sudecką niejako od tyłu, od strony ceglanych budynków przedwojennego internatu szkoły kadetów.

Czy ktoś miał jednak wówczas potrzebę, by — w czas ciemności i chłodu — chodzić do wyiębionego kościoła?

\*

A jednak... W pierwszą sobotę stycznia — jak zawsze na koniec tygodnia — matka pokłóciła się z ojcem przy sprzątaniu zbyt dużego mieszkania, zległa obolała na skórzanej kozetce w stołowym, z mokrym ręcznikiem na głowie i było wiadomo, że w niedzielę — mimo dwudziestu sześciu stopni mrozu — pójdą tam jednak. I to wszyscy: ona, brat i chłopiec, a także ojciec, który chyba zapomniat, jak się należy przeżegnać.

W niedzielę chłopiec obudził się tuż przed świtem. Sopolki lodu zastygły na pierzynie tuż przy jego ustach. Oderwał je od powłoki i ssał powoli. W pokoju nadal panował mrok. Narastał chłód.

Brat jeszcze spał. Zagrzebany pod pierzyną, nie wystawiał spod niej nawet czubka głowy. Przez pół nocy — ukryty z latarką w ciepłej kapsule z pierza — czytał chłopcu szeptem o przygodach Ijona Tichego. Tichy był dzielny. Potrafił wybrnąć z najgorszych kłopotów. Pędził wciąż na spotkanie nowych przygód. Nie bał się najmniejszych regionów kosmicznego odludzia.

Która to podróż odbyła się tej nocy? Może czwarta. Tak, chyba tak. Ijon — wystrzelony z czasoprzestrzennej armaty przez



istoty zamieszkujące Obłok Magellana — przemieszczał się coraz szybciej i szybciej. W końcu rozpędził się tak, że zaczął wyprzedzać cząsteczki światła i stworzone z nich przastare obrazy najbardziej odległych galaktyk. I gdy tak pędził, nagle — w jakiejś chwili pozbawionej czasu — dotarł do granic rodzimego wszechświata. Za jego granicą wszystko było z pozoru takie samo. Dzieci niby były dziećmi, rodzice rodzicami. Były tam zimne zimy, i były gorące lata.

Lecz to był tylko pozór. W tym pozbawionym czasu, całkiem innym wszechświecie przyszłość nie różniła się od przeszłości, a wszystkie zdarzenia były równie prawdopodobne. Obok zim zimnych istniały zimy ciepłe jak lata, dzieci równie dobrze mogły być całkiem dziecinne, jak i upiornie nudne i stare. Wszystko, co miało się zdarzyć — mogło w ogóle nie zaistnieć. A jeśli już istniało, to w formie dowolnej, nie zważającej na własne źródła i konsekwencje zaistnienia. W dodatku wszystkie te egzystencje były równie prawdopodobne. Istniały ponadto poza czasem, a więc równocześnie. Każde różnice realne, choć oddzielone od wszystkich pozostałych siłą swojego — równego innym — prawdopodobieństwa.

Ponoć wówczas, gdy Ijon Tichy wytracił był prędkość i powrócił do starego wszechświata, dostrzegł nagle wiele jego smutnych własności: prymat tego, co było nad tym, co będzie; dominację przyczyny nad skutkiem; a nade wszystko wszechobecność mechanicznego determinizmu.

Długo nie mógł dojść do siebie. Chorobliwie przeżywał porządkującą ojczyzny kosmos hierarchizację. Tradycyjne porządki przyczynowo skutkowe wywoływały u niego alergiczny katar oraz swędzące wysypki pomiędzy palcami stóp. Przez krótki czas pragnął przekonać do wyższości wszechświata alternatyw zaprzyjaźnionych eonatów. Ponieważ jednak nie był w stanie opowiedzieć o tym, czego doświadczył, na użytek swoich kosmicznych kamratów wymyślił prosty — zbudowany z nieskończonej ilości trójkątów — model wieloświatów bezgranicznych. Każdy trójkąt był w tej narracji skrótem. Myślowym wyrazem którejś z nieskończonych alternatyw. Wprawdzie suma kątów każdego z nich była taka sama, lecz każdy z nich mógł być inny, choćby poprzez odmienną kombinację swoich trzech kątów. Nieskończona ilość tych trywialnych wariacji — rozpostartych między linią prostą a trójkątem równobocznym — egzystowała w jego opowieści równocześnie, każda z tym samym prawdopodobieństwem. Ich suma tworzyła nieznaną ziemskim istotom wszechświat, który nie miał historii, bo też i nie miał czasu. Istniał wciąż tylko tu i teraz jako nieskończona ilość możliwości.

Chłopiec nie nadązał za tym rozumowaniem, lecz udzielał mu się entuzjazm brata, który potrafił przeżywać te peregrynacje równie mocno jak Ijon Tichy. Zapominał o ponurym mroku w kątach sypialni, o mrozie dochodzącym od strony wygaśniętego pieca. Razem z bratem ekscytował się namacalnością nieskończoności, której nie można doświadczyć ani w domu, ani w szkole.

Brat nie był zresztą nadmiernym entuzjastą — podporządkowanej jednowymiarowemu kosmosowi — szkoły. Starat się chodzić do niej tylko wtedy, gdy nie było innego wyjścia, a kiedy z niej wracał, wyrwywał ze swojej pamięci trywialne doświadczenia razem z niesprawiedliwymi uwagami pisanymi na jego temat w dzienniczku. — *Wyobraź sobie — tłumaczył chłopcu pod kołdrą różnice pomiędzy wszechświatami — że w poniedziałek równie dobrze mógłbym pójść do szkoły, jak i do niej nie pójść. I co? Nic!*

*Bo poniedziałek równie dobrze mógłby być niedzielą lub też w ogóle mogłoby go nie być. Bez żadnych konsekwencji. Idźmy dalej — marzył. — Równie dobrze szkoła mogłaby być i ja bym nawet do niej chodził, jak i na odwrót: szkoły w ogóle nie ma, a ja do niej chodzę albo nie chodzę. Nie ma żadnej różnicy. Bo nikt spośród tych, którzy pozostają w tym świecie — nie jest w stanie dostrzec wielość możliwości w tamtym świecie.*

— *Masz rację — przytaknął bratu chłopiec, choć niewiele z tego rozumiał. Kiwał jednak głową przytomnie, mimo, że minęła już trzecia w nocy. Nie dawała mu zasnąć myśl, że może istnieć świat, w którym w sobotę nie trzeba cały dzień sprzątać mieszkania, albo przynajmniej jakaś galaktyka, w której ojciec zostaje z nim w domu w niedzielę rano, by posłuchać radia. Albo jakiś wszechświat, w którym w zimie może być ciepło jak w lecie.*

\*

Matka chciała dotrzeć na mszę — przeznaczoną dla rodzin z dziećmi — o dziewiątej rano. Zjedli więc śniadanie nim zimne słońce wzniosło się wyraźnie ponad ruiny domów na Pocztowej. Włożyli na siebie bardzo dużo ciepłych rzeczy. Chłopiec miał na sobie kożuszek, który jeszcze dwa lata wcześniej pasował na brata. Pod nim sweter z owczej wełny, podkoszulek z długim oraz z krótkim rękawem. No i wełniane rajtuzy, gryzące niczym pchły skórę nóg, pod spodniami. Ponadto owinięty był dwoma szalikami, a na głowie miał dwie czapki — bawełnianą i wełnianą. Brat również ubrany był na cebulkę, co utrudniało ruchy i odcinało ich obu od zewnętrznego świata.

Z trudem dostrzegli, że są już na parterze, że mijają mieszkanie Grzybmachera, że matka przystaje, przysuwa głowę i przez chwilę słucha odgłosów pracy maszyny do szycia. Ojciec tuż za nią, ale tyłem, bo w niedzielnej pracy krawca nie widział nic nagannego. Sam — gdyby mógł — chodziłby w każdy świąteczny poranek do piwnicy, by aż do obiadu porcjać na kolejne zimowe dni ilość węgla i porządkować narzędzia w skrynkach. W końcu matka bez słowa ruszyła do wyjścia. Pozostawiła bez komentarza obojętność ojca i grzeszną pracę Grzybmachera. Chłopiec i brat podreptali za nimi jak pingwiny. Wciąż zaspani tak, że nawet nie zauważyli, dlaczego na chwilę akurat tam się zatrzymali.

\*

Dotarcie do kościoła za Sudeckiej wydawało się logiczne i przewidywalne. Pocztowa wciąż była drożna. Dzięki codziennemu wysiłkowi osiedleńców spod numeru szesnastego i siedemnastego, nadal miała pośrodku wąską — zanurzoną na prawie dwa metry w zaspie, lecz nie szerszą niż odległość pomiędzy dłońmi rozpostartych na boki ramion — ścieżkę, którą dotrzeć można było od obu domów aż do Wiśniowej. Tu jednak zaczynały się problemy, bowiem na Wiśniowej nadal nikt nie mieszkał. Po lewej stronie zniszczone zostały wszystkie budynki. Nieuprzątnięty gruz zalegał chodniki i tarasował ulicę. Po prawej stało kilka przedwojennych willi, z których zabrano wszystko, co może się przydać. Stały na uboczu — puste, rozszabrowane, bez okien i drzwi, zniechęcając do siebie nawet najodważniejszych bezdomnych.

Na Wiśniowej zima nie podlegała żadnym ograniczeniom. Niby korzystała z form tradycyjnych, lecz potrafiła wykroczyć poza

własną definicję. Mróz był tam tęższy niż na Pocztowej. Ścinał powietrze, zaginał przestrzeń i spłaszczył horyzont. Gałęzie starych platanów nie wytrzymały naporu wilgoci i chłodu — łamały się pod ciężarem coraz to grubszych warstw szadzi i upodabniały się do postaci ze złych snów. Zamiecie zmieniały krajobraz, mieszały ze sobą śnieg z wielodniowych opadów, układały go w fantazyjne kopce i zaspasy, zaskakująco wysokie i rozległe, w dodatku kryjące pod sobą niebezpieczne, wojenne rozpadliny i gruzowiska. Na Wiśniowej nie było śladów wydeptanych ścieżek. Należało poruszać się ostrożnie, z wielkim wyczuciem czyhających zagrożeń. By nie wpaść w śnieżną pułapkę, stąpać należało powoli, najlepiej z ostro zakończonym kijem, którym co rusz sprawdzać należało stabilność podłoża.

Tak też przechodzili przez Wiśniową — zaskoczeni jej nieznanym pejzażem, który w poprzednią niedzielę był zupełnie inny. Tak jakby wprost z Pocztowej wpadli w jakąś przestrzeń odmienności, w sferę nadprodukcji alternatyw, które przybliżyć mogły nawet niewtajemniczonych do pojęcia nieskończoności.

Dużo większe trudności oczekiwały na wędrowców nieco dalej, na Akucjowej, która oddzielała Wiśniową od Sudecką i okalała najwyższą w okolicy budowlę — masywną, ceglana wieżę ciśnię. Jej neogotycka sylweta górowała nad całą okolicą. Offried Wanza — maszerując obok niej na swe stanowisko ogniowe przy Pocztowej — musiał mocno zadziierać głowę, by dostrzec w jak fantazyjny sposób wielka kopuła zbiornika na wodę łączy się ze smukłą iglicą klatki schodowej, którą gdzieś na wysokości czterdziestu metrów łączy z namiotem dachu delikatna, ażurowa kładka. Offried wiedział, że podczas obłędnej miasta z wieży wiele można było zobaczyć. Była więc mocno strzeżona. Dokoła niej — chcąc zmylić wroga — wciąż przemieszczały się samobieżne działa i czołgi. A Offried z kolegami wykopał wokół wieży całą siatkę głębokich okopów, w których ukryci byli zdesperowani nastolatkiowie z wyrzutniami przeciwpancernych pocisków. Lecz sierżant Wasiliew i jego podopieczni nie przyszedli od strony Wiśniowej. Przeskakując przez ogrodzenia pomiędzy ogrodami bogatych willi przy Lipowej, Jaworowej i Kasztanowej — zaskoczyli obrońców wieży od południa. W dodatku nie przyjechali na czołgach. Na nic zdążył się *panzerfausty* w starciu z bagnętami. Walka była krótka i krwawa. Gdy teren wokół wieży był już oczyszczony, sierżant Wasiliew usiadł zmęczony na schodach u jej podstawy. Wciąż czujny przyglądał się rzeźbie wpasowanej półokrągła fontannę wpasowaną w mur budowli. Szczupłej, nagiej kobiecie siedzącej na wielkim jaszczurze. Starcowi, którego głowa wystawała spod brzucha gada. I ustom tego starca, rozwartym szeroko w grymasie bólu, z których wartkim strumieniem — do misy fontanny — rzygała świeża, źródłana woda. Sierżant Wasiliew wyciągnął manierkę, nabrał wody i napił się.

Gdy matka — ciągnąc brata, chłopca i ojca — mijają to miejsce nie było tam ani fontanny i żadnej kamiennej postaci, które pokazywały, jak powstaje woda. Nie było także wody. Lecz wokół nadal krzyżowały się ze sobą — wykopane przez Offrieda Wanza — głębokie okopy, z których wypetzały na wszystkie strony grube żery brudnego lodu. Brat i chłopiec co chwilę potykali się o nie, przewracali, potrącając ojca i irytując matkę. Równie ciężko szło się za lodowymi okopami. Chodnik, ulica i inne, nieznanne miejsca — od dawna nie odróżniały się od siebie. Gąsienice czołgów i dział samo-

PROZA → bieżnych pilnujących wieży zaorały całą okolicę. I tak zostało. Choć od dawna nikt już nie strzelał. Choć nie było już sierzanta Wasiliewa i Otfrieda Wanzy, którzy połączyli się z nieskończonością zdarzeń przeszłych, to przecież ślady pozostały. Zmielona kostka brukowa, spękane i porozwlekane granitowe płyty chodników, odstonity miękką podbudowę, żyzną ziemię, w której szybko wyrosły kolczaste grochodzewy i splątany żywopłot czarnego bzu. Przez tę ścianę nieprzyjaznej roślinności nie dałby rady przebrnąć ani ojciec, ani jego synowie, gdyby nie matka, która po dwóch ciężkich nabrała ciała oraz odwagi, dzięki czemu dysponowała energią wystarczającą, by pociągnąć ich za sobą. Lecz nie chaotycznie, niczym taran, który przebija się najkrótszą drogą, na wprost, łamiąc gałęzie i zwisające z nich lodowe stalagmity. O nie! Matka — mimo swej nadwagi — przemieszczając się lekko, ruchem tanecznym, klucząc pomiędzy przeszkodami tak, iż o żadną z nich nie zahaczała prowadzony przez nią korowód. Tym, których prowadziła wydawało się, że ma w głowie jakiś precyzyjny plan, jakąś mapę zagrożeń i że musiała wcześniej przećwiczyć wszystkie te manewry, dzięki którym tak zgrabnie unikała pułapek przyrody. Jakże mylił się. Matka nie przeprowadziła wcześniej żadnego rozpoznania, nie miała żadnej wiedzy na temat reguł, które kryły się za tym bezładem. W ostatniej chwili wykonywała gwałtowne uniki i zwroty. Cóż zatem pomagało jej w tych trudnych chwilach? Przede wszystkim gnostyczna wiara w to, że droga łaski prowadzi przez grzeszne i pospolite rejony. Jak również zwykła, kobieca intuicja, która odpowiadała jej, że do kościoła prowadzi droga kręta i rzadko kiedy najkrótsza.

\*

Ojciec nigdy nie wchodził do kościoła. Przystawał przed wrotami kruchty. I zwracał bez słowa, nie patrząc na matkę. A później — przez cały czas trwania mszy — spacerował wokół ciężkich, piaskowych murów świątyni po ścieżce, którą wydeptały psy biegające na Poczłową od strony działek i cmentarza żydowskiego.

Chłopiec nie zastanawiał się, dlaczego ojca nie było z nimi. Przyczyny mogły być różne. Chociażby lęk przed słowami, które nie posiadały prostych, materialnych desygnatów. Ojciec dopuszczał na przykład rozmaite wersje rozmyślań o chlebie, bo o chlebie można powiedzieć, że jest — albo że go nie ma. Nie miał nic przeciwko rozważaniom strachu, który jest, bo śmierdzi i w zależności od źródła zawsze cuchnie inaczej. Albo o życiu, bo przecież życie boli na przynajmniej sto sposobów. Tymczasem o Bogu można tylko nic powiedzieć. Nie pomaga nam, gdy cierpimy; nie karmi nas, gdy jesteśmy głodni; a i świat, który nas otacza, nie zawiera żadnego śladu jego interwencji. Ojcu daleko było do przerażenia, jakie pośród lepiej wykształconych wywołują byty wyalienowane. Nie, po prostu czuł, że lepiej trzymać się od nich z daleka. Tak samo, jak od ludzi, którzy potrafili obcować ze zjawiskami wyobcowanymi. To pewne, że ta — nabyta w nieznanach okolicznościach — ostrożność ojca musiała być dla chłopca niedostępna i niezrozumiała. Tym bardziej, że w najmniejszym stopniu nie ekscytowała również samego ojca.

— Pan, który jest wszędzie, znów nie spotka się z ojcem — szepotał do ucha chłopca brat. Chłopiec nie rozumiał ironii. Spoglądał z ukosa na matkę, która z zamkniętymi oczami wylizowała bezgłośnie argumenty wiary. Poza tym martwił się, że ojciec zmarźnie.

\*

Tymczasem w tę niedzielę w nieogrzewanych pomieszczeniach kościoła na Sudeckiej było chyba równie zimno jak na dworze. Mury od zewnątrz zespolone były z grubą warstwą pędzonego przez wiatr śniegu, zaś wewnątrz — od posadzki aż po neogotyckie sklepienie — wszystko pokrył szron. Na samej górze, tam gdzie toczyły się ze sobą żebra filarów — z oddechów wiernych śpiewających kolędy i z wniesionego na butach, rozdeptanego śniegu — powstały masywne stalaktyty.

Zapewne z powodu mrozu proboszcz odstąpił od aspersji. Może pomyślał, że w czas, kiedy strach było sikać się pod drzewem — dwuznaczne mogły wydać się słowa antyfony *Asperges me, Domine: Pokrop mnie Panie hyzopem, a stanę się czysty, obmyj mnie, a nad śnieg wybieleję...*

Mszę rozpoczął *Confiteor*. Matka szybko przeszła w kierunku ołtarza, ciągnąc za sobą chłopca, bo brat wyszarpanął dłoń z jej ręki i schował się z tyłu, pod chórem. Inni poszli za nią. Przemarznięci skupili się wokół ołtarza i dygocząc z zimna wyznawali Bogu swe grzeszne myśli i czyny. A im było zimniej, tym głośniej brzmiała zbiorowa powieść i tłum wiernych gęstniał wokół ołtarza. Być może zeznania wiernych zrobiły wrażenie w najwyższych sferach, bo nagle, od sklepienia oderwał się lodowy stalaktyt i pomknął w dół niczym ogień od Boga z nieba. Spadł tuż koło matki, która upadła i przykryła sobą chłopca, by ochronić go przed kolejnymi razami. Ale kolejnych ciosów nikt już na wiernych nie zostawił.

Wierni odstąpili się od niej. Zrobiło się ciasno tuż przed ołtarzem. Ministranci — mali chłopcy w wykrochmalonych, białych komeżkach — pobiegli więc wyżej, stanęli za mensą, w pobliżu retabulum. Ten który machał kadzidłem — biegnąc za nimi — przewrócił się i rozsypał na schodach ołtarza ogniki żywicy. Szmer przerażenia przeszedł wówczas po kościele. Dym gęstniał i gryzł w oczy jak wyrzuty sumienia. Matka powoli podniosła się z kamiennej posadzki. Pomogła wstać chłopcu, który trzymał — ukryty w ręce — kawałek lodowego stalaktytu. Odwróciła się od ołtarza i poszła w kierunku chóru. Inni

też zrozumieli, że tego dnia nie nastąpi zbiorowe odpuszczenie grzechów. Poszli więc za nią, nie czekając na absolicję.

Gdy wszyscy wrócili na swoje miejsca, cisza zapadła w kościele i zdało się zebrałym, że w murach świątyni chłód się jeszcze pogłębił. Tuż nad głowami zgromadzonych — niczym mgła nad górami — utworzyła się gęsta chmura przechłodzonej pary. Coraz mniej światła wpadało do świątyni przez sięgające neogotyckiego stropu okna. Było coraz ciemniej, coraz zimniej i sennie. Chłopiec siedział między matką i bratem. Czuł, że nikt nie zwraca na niego uwagi. Gdy *Kyrie* zmierzało do końca, wyciągnął z kieszeni okrucz lodowego gromu. Przy *Glorii* zaczął go lizać ukradkiem. I nim skończyło się *Credo*, niebiański szrapnel rozpuścił się całkiem. Resztki wody ściekły mu do rękawa. W dłoni pozostał tylko rudawy osad ceglano-gnego pyłu.

Podczas kazania chłopcu zaczęły opadać powieki. Walczył z sennością, lecz pewnie przespałby całe, gdyby nie to, że proboszcz — odziany w czarny biret ze śmieszonym pomponem — przestał nagle mówić o grzechu, winie i karze. Po czym zaczął głośić z ambony własną wersję czwartej podróży Ijona Tichego.

Mówił, że nie tylko bohaterowie transgalaktycznych podróży, nie tylko postacie z komiksów, ale także realni ludzie, po prostu każdy — także dzieci wracające ze szkoły do domu — mogą zniemacka trafić do świata, w którym wszystko jest możliwe i gdzie wszystko może posiadać identyczną wartość. Na szczęście nie zdarza się to zbyt często. Poza tym raczej tym, którzy błądzą. Bo też jakby wyglądał świat, gdyby takie przygody zdarzały się nagminnie? Gradacja celów, wysiłek woli walczącej z pokusami zła i zatrafy, najpiękniejsze historie upadków i uwzniośleń ducha — wszystko to nie miałyby wtedy żadnego znaczenia. I szczęłyby w tym świecie na amen najpiękniejsze wizerunki grzechu i jego odkupienia, wszelkie historie pouczające i wychowawcze, bo nie byłoby w tym chaosie równorzędnych zdarzeń żadnej historii. Także tej, która jest prehistorią wszelkich uwikłań ludzkiego losu. Owych sześciu dni boskiej kreacji, dzięki którym każdy z nas może się narodzić, a potem żyć po to, by w końcu umrzeć.

Wojśław Brydak



— Taki świat — przekonywał proboszcz — byłby światem bez czasu, bez przemian, bez nadziei na uwolnienie od przypadkowej, materialnej formy. Niczym skutym mrozem i lodem zimowy pejzaż, zastęty z powodu głębokiego wyżu, który nadciągnął do nas znad dalekiej Azji. — Czy taki świat — grzmiął proboszcz sprzedając nieuchronnie nadejście Agnus Dei — wart byłby zbawiciela, który poświęcił się i stał się człowiekiem?

— Tak, świat prosty i klarowny jest podstawą rozgrzeszenia — przyznawał każdy, kto tej niedzieli dotwał do końca kazania. Z wyjątkiem brata, któremu relatywizm Ijona Tichego ułatwił zrozumienie szkolnych niepowodzeń. Chłopca, który polubił podróże przez wieloświaty. I matki, która wiedziała, że lepszym może być tylko ten, co zgrzeszył.

\*

Minął tydzień od święta Trzech Króli. Dni były nadal krótkie. Mróz dokuczał, a jednolita biel pejzażu kłuła w oczy. W styczniowy poniedziałek matka wyszła do pracy wcześniej, jeszcze w nocy, bo potrzebowała dwóch godzin, by dojechać do stolarni, w której dębową tarcicę przerabiano na kolby karabinów. Nieco później wyruszył do szkoły brat. Nadal panował mrok, słońce przebijało się gdzieś za horyzontem. Schodził po schodach prawie po omacku. Na samym dole wystraszył się szarej sylwetki ojca, który wracał z nocnej zmiany w fabryce czotógów. — To tylko ja. — powiedział ojciec.

— Nie bój się — dodał. — Wkręcę dziś nową żarówkę.

Chłopiec obudził się, gdy ustyszał, jak ojciec wygarnia z pieca popiół, układa w nim rozpatkę i rozpala ogień. Udawał jednak, że wciąż śpi, póki nie poczuł, że wokół pieca zrobiło się nieco cieplej. Wtedy wyskoczył spod pierzyny, pobiegł po swoje rzeczy, które leżały na krześle i — przytulając do ciepłych kafil zmarnięte pośladki i plecy — ubrał się. Ojciec musiał być gdzieś w pobliżu, więc chłopiec zapytał:

— Co teraz będziemy robić?

— Nie wiem, może coś ugotujemy?

Potem obaj krzatali się po kuchni. Tam

było najcieplej. Ojciec wymyślał na obiad wojskową grochówkę. Chłopiec bawił się w wojnę ołowianymi żołnierzkami, które Miłkołaj przyniósł mu pod choinkę. Gdy słońce wzeszło, ojciec podał chłopcu kawę zbożową z mlekiem i kruche ciastka pachnące amoniakiem. Siedzieli przy stole i chrupali, gdy ktoś nacisnął dzwonek przy drzwiach wejściowych.

Chłopiec wybiegł szybko z kuchni, przebiegł przez ciemny korytarz i nie czekając na ojca z trudem otworzył jedno ze skrzydeł — wysokich aż do sufitu — ciężkich, podwójnych drzwi. Stał z nimi stary Grzybmacher, który w półmroku nie dostrzegł chłopca, więc raczej na wszelki wypadek powiedział:

— Dzień dobry.

Chłopiec nie odpowiedział, bo sądził, że to przywitanie jest przeznaczone dla ojca. Lecz ojciec nie nadchodził. Zakłopotany Grzybmacher pomyślał, że drzwi otworzył przeciąg, więc znów nacisnął przycisk dzwonka.

— Już idę — krzyknął ojciec z głębi mieszkania. Chłopiec po cichu cofnął się w głąb ciemnej sieni, podczas gdy starzec zastanawiał się, co ma powiedzieć, gdy ojciec nadejdzie, choć ten wciąż nie nadchodził.

Tymczasem Grzybmacher stał w otwartych drzwiach i myślał o tym, co ma ojcu powiedzieć: — Pan nie mówi zbyt wiele, sąsiedzie — miał zacząć — To dobrze — Kto dużo mówi, ten traci czas na błahostki — Ja też nie zawsze skazany byłem na krawiectwo ciężkie — Tak, tatuś mój szył, lecz ja chciałem zgłębić porządek świata — Tak, tak, studiowałem, a w Piotrkowie mało kto piękniej ode mnie objaśniał Gemare — A prima vista, bez słowników — I zawsze wierzyłem rozumnie — Z Nikim nie byłem na Ty — Bo łatwo się wtedy poparzyć — Pan umie milczeć sąsiedzie, więc mogę Panu wyjawić, że przed wojną zbierałem pieniądze na wielką jeszywę w Lublinie, gdzie nauka miała wreszcie rozprawić się z chaosem — Bywałem w Pradze, w Wiedniu, byłem w Berlinie, wszędzie, gdzie rozumni ludzie wierzyli, że nauka rozgoni siły ciemności — Tam mądrzy ludzie, którzy dawali, co mieli, radzili, by te jaszczewy zbudować gdzieś daleko, najlepiej w Nowym Jorku —

Dobrze radzili, bo za niedługo z czarnych dziur powyłaziły dzięki węże i jadowite robaki — Chaos zwyciężył, a prochy mądrych i dobrych ludzi wiatr porozganiał po całej Europie — I okazało się, że piekło — o jakim nie śnił nawet sam Jakub Böhme — nie jest zabobonem, że można je zrobić bez aniołów śmierci, z matką pomocą innego człowieka — To wtedy przestałem wierzyć w rozumność i porządek powszechny — Pragnąłem tylko uciec — Nie sponąć w piecach fałszywej wiary — I przypomniałem sobie dobrą radę taty — Jak nie wiesz, co począć, udawaj, że ciebie nie ma — I tak robiłem — Zapomniałem nawet jak się nazywam — Uciekałem przez podziemne tunele, czarne rzeki płynące poniżej podglebia i pragnęło — Jak zwierzę przemierzałem ciemność i chaos — I stało się tak, że wokół mnie nie było niczego, co znatem — Ani taty, ani ciotek, stryjów, ani sensów — Nie było nawet logicznych zbiegów okoliczności w rozgardiaszu catości — Brnąłem więc dalej w głąb, póki nie wylokły mnie z podziemia bataliony królestwa równości — Przystałem do nich i wszystko stało się proste — Znowu miałem imię, strzelałem, kiedy inni strzelali, a kiedy kazali siedzieć cicho, nie próbowałem myśleć — Nauczyłem się zabijać, kraść i kłamać — I tak dotrwałem wierząc, że w końcu chaos się rozproszy, lecz on trwał nadal — Z pustką w głowie dotarłem na Pocztową, gdzie nastąpiła jesień i było cicho — Zamknąłem się w tej kamienicy — W lokalu po konserżu, tuż przy wejściu na schody — Zbierałem zegary, wagi, narzędzia, piecyki gazowe i węglowe, atrybuty kuchenne, przybory łazienkowe, aż dnia pewnego trafiłem na maszynę do szycia — A gdy ją spotkałem, przypomniałem sobie, że takiego Singera miał mój tata — I pomyślałem, że to jest całkiem dobry pomysł na wprowadzenie jakiegoś porządku — Tak powstał punkt krawiecki na Pocztowej, mój bastion racjonalności, w której rękawy, nogawki i mankiety zawsze były na swoim miejscu — I szyłem tak dalej, szerząc celowość i determinizm, ale maszyna mi się właśnie popsuka — powiedział Grzybmacher tak cicho, że nie było słycać ani jednego słowa. Chłopiec — ukryty w cieniu — nie dowiedział się więc, co przez ułamek chwili — czekając na ojca — przemknęło przez głowę krawca. I dopiero gdy ojciec się zjawił, nabrał śmiałości, wyszedł z cienia i przywarł do jego uda.

— Przepraszam — powiedział ojciec przyjaźnie — musiałem dotożyć pod kuchnię. Co tam nowego?

— E tam... W zasadzie nic. No może... — zaczął nieśmiało krawiec — chyba... w maszynie... znów mi się coś zablokowało.

\*

Być maszyna do szycia nie jest urządzeniem wartym uwagi. Jej budowa nie budzi powszechnego zachwytu. Bo to konstrukcja raczej praktyczna. Rozpowszechniona jako narzędzie pracy, a przez to nawet nieco wulgarna.

Ojciec należał jednak do tych, którzy potrafili docenić niuanse jej kinetyki. Szczególnie piękny wydawał mu się mechanizm stojący tuż przy oknie w stróżówce zamieszkałej przez Grzybmachera. Osadzony na wykutych w żelwie nóżkach, które podierały dębowy blat, intarsjowany bogato rzeszotem z brzozy. Korpus pomalowany matowym grafitem z naniesionym ręcznie wzorem — splecionych ze sobą szczelnie — kwiatów alpejskiej arniki. No i mechanizm napędu nożnego: masywny, dwunożny pedał tączący się delikatnym cięgnem z na pozór zde-



formowanym kołem zamachowym, w którego centrum uwieczony był niesymetryczny wzór naśladowy archaiczny amoni. Oraz błyszczący, gruby rzemień, który piął się do góry i przesywał niczym czarna żmija dębowy błąd, by opleść masywnym spletem niklowane koło przeniesienia napędu. Dla tych, którzy nie rozumieli piękna porządku skrytego w mechanice tu właśnie — w powierzchniowej estetyce — kończyła się opowieść o każdej maszynie. Tymczasem w tym miejscu rozpoczynała się transformacja trywialnego układu scalającego prosty ruch dolnych kończyn krawca z obrotem koła w tajemną konstrukcję przyczyn i skutków, ukrytych w żeliwnym korpusie secesyjnego Singera. Bo w środku — w logicznym łańdźie zgodnym w powszechnymi prawami przyrody — pracował delikatny wał korbowy, złączony od góry z korbowodem, który brał całkowitą odpowiedzialność za ruch igielnicy, igły i zapętającej się nici; z dołu zaś sięgał pętli, która przekładała ruch kolisty na wahadłowy, poruszając ciężnem, łapką, dolną szpulką z nicią oraz transporterem. Tym transporterem, który co rusz wysuwał swoje ostre łapki i przesuwiał w stronę krawca, kolejny centymetr zszywanej tkaniny.

— Może korbowod? — szepnęła nieśmiało krawiec stojąc za plecami ojca, który z czułością badał organizm maszyny.

— Jaki korbowod, panie Grzybmacher — ofuknął go ojciec, nie podnosząc głowy znad mechanizmu. — Transporter się panu zablokował. Nitki tam jakieś stare powtaziły, splątane z kotkami z bawetny. O! i wszystko — mruknął pod nosem. I grzebiąc w mechanizmie, który wkrótce uruchomił, pomyślał z sympatią o niedouczonej Grzybmacherze: — Co ten Mosiek może o tym wiedzieć?

A Grzybmacher — rad, że maszyna znów działa jak należy i że będzie mógł powrócić do rekonstrukcji utraconej racjonalności świata — wyjawiał ojcu swoją nowinę: — Panie sąsiedzie, od eleganckiej klientki — co przychodzi do mnie prosto z dyrekcji Spotem — wiem, że owoce — co z ciepłych krajów nie zdążyły przyptynąć na święta — będą się dziś sprzedawać — w centrali rybnej na Borowskiej.

\*

Tylko Ijon Tichy, który przemierzył wszystkie — pozbawione logiki i porządku — wszechświaty mógł odpowiedzieć na pytanie, dlaczego te frukta przeznaczono do sprzedaży w odległym sklepie z rybami na Borowskiej, a nie w jakiejś bliższej i przyjaźniejszej przestrzeni, na przykład w delikatesach na Przędowników Pracy. Na szczęście ojciec nie wnikał w niuanse alternatywnych wszechświatów i podejmował decyzje na niższym poziomie. Jego system odruchów — w czasach wojny utrwalałony na przetrwanie — nie pozostawiał zresztą zbyt wiele dróg wyboru. Należało zdobyć te tropikalne owoce, bez zbędnych wątpliwości, choćby i nawet w sklepie rybny.

I pewnie ojciec dotarby bez problemów tam i z powrotem, z ażurową siatką pachnącą cytrynami i skórką pomarańczy, gdyby był sam i nie musiał mierzyć się z tym zadaniem razem z małym chłopcem. Z nim bowiem zimowy spacer po ruinach przekształcał się w niebezpieczną wyprawę. Ubrać się samemu — nie problem. Ale choćby sanki. Należało wyoskować płazy, by nie stawiły oporu. Przesmarować olejem drewniane szczeble, by nie kruszyły się na mrozie. No i uzbroić je tak, by chłopiec nie zamarł. Ojciec wziął zatem koce. Dwa rozłożył na sankach niczym śpiwór. Potem ubrał chłop-

ca w sześć warstw odzieży niczym kosmonautę, owinął trzecim kocem i przywiązał go do sanek w czterech miejscach sznurkiem, by mu z nich na wybojach nie wypadła. Chłopiec nie mógł się poruszyć i z wielkim trudem poruszał głową. Widział tylko to, co na wprost. Czyli ojca, który sapał ciągnąc go po nierównościach gruzowisk.

Do Borowskiej można było dotrzeć kilkoma drogami. Ojciec wybrał najkrótszą. Nie wedle ulic. Wskroś zburzonych przez wojnę kwartałów, po których pozostały jedynie niezbyt wysokie wzniesienia i pagórki. Poza niewygodną podróżą niewiele wskazywało na to, że żyli tu całkiem niedawno — w mieszkaniach z dębowymi podłogami i piecami zdobionymi ręcznie malowanymi kafłami — ludzie majętni i dumni. Mijaliśmy w milczeniu ukryte pod śniegiem zmielone przez gąsienice czołgów miśnieńskie zastawy, skoftunione resztki jedwabnych poscieli i wypalone marzenia. Szklistość śniegu i zmrożone niczym kryształ powietrze potęgowały szelest płóz. Kilkaset metrów za wieżą ciśnieni — w miejscu gdzie gęste krzewy czarnego bzu przykryły ślady przedwojennej zabudowy — ojciec odbił w lewo, by przez pustkowie zdevastowanego stadionu skrócić sobie drogę do starego cmentarza żydowskiego.

Ten obszar nie pasował do niczego, co wojna pozostawiła wokół. Bo przecież wszędzie nadal panował chaos i niepokój. Tymczasem tam czuło się harmonię: delikatnie zagłębione wyptaszczenie stadionu — w lecie poroście bezpieczną zielenią trawy, w zimie uspione grubą warstwą śniegu — przenosiło cały krajobraz w dziedzinę — odległego od ziemskich praw — uporządkowania. Niczym na starych, idyllicznych obrazach, mogły tam wciąż rozgrywać się — pozbawione wyższej racji — letnie gry i zabawy, jak i zimowe harce. Wesołe ślizganie się bez sensu — na nartach, tyżwach lub sankach. Oni byli z innego świata. Nie przyjechali tam bawić się. Lecz gdy z trudem przecinali stadion w poprzek, udzieliła im się jego egzystencjalna odrębność: chłopiec mniej kurczowo trzymał się szczebli sanek, a ojcu różniej ciągnęło się sanki.

\*

Cmentarz żydowski był niedostępny. Główne wejście — blisko ulicy Ślężnej — zamurowano rozbiórkową cegłą, a mur okalający nekropolię był wysoki na ponad trzy metry. Ojciec wiedział jednak, że za stadionem — ukryty za gęstymi krzewami dziczatej wiśni — znajduje się zdevastowany cmentarz ewangelicki albo luteranski, który przed wojną kończył się tuż przy strumyńskim ogrodzeniu kirku. I że zabłąkana bomba lotnicza alianców tam właśnie — na ich granicy — przerwała ogrodzenie; i że można się było tamtędy przecisnąć, a potem klucząc między rozszabrowanymi grobami dotrzeć szybko na drugą stronę, niedaleko zamurowanego wejścia, gdzie solidnym kopniakiem można było rozchylić stalowe drzwi przeznaczone dla służby cmentarnej i ogrodnika.

Korzystając z tej wiedzy ojciec mógł skrócić drogę w obie strony o dobre pół godziny. Nie wahał się zatem wkroczyć na teren zaludniony przez wymarłe luteranckie plemie. I bez wyrzutów sumienia przemierzył się po ich skromnych nagrobkach. A potem unieść sanki z chłopcem na tyle wysoko, by zmieścić się w niesymetrycznej wyrwie, podskoczyć za nimi, trzymając je nadal tak, by nie spadły na drugą stronę, a później — stając już na innej ziemi — przeciągnąć je ku sobie i delikatnie postawić po judejskiej stronie.

I stałoby się wedle jego zamiarów, gdyby nie plemie cmentarnych hien. Noc wcześniej nawiedziło ono przylegający do wyrwy w murze grób Teofila Eichborna, którego szczątki, w trzecim roku wojny, złożono ciasno pomiędzy okazałym grobem Leopolda Auerbacha — lekarza już za życia ożłoczonego za swe zdolności w dziedzinie chirurgii układu żółciowego — a wyrafinowanym postumentem Pauli Ollendorff, która ożywiła gminę swoim feninizmem i energicznym radcostwem. Grób Theo Eichborna był między nimi prawie niewidoczny. Pochowano go tak, by nie rzucał się w oczy. Miał nad sobą małą, wąską płytę nagrobną, która ginęła w cieniu sąsiednich pomników. Bo też szczątki Eichborna nie miały tam leżeć. Theo nie negował faktu, iż kiedyś umrze, ale nawet w koszmarach nie przyszło mu się nigdy, że trafi na cmentarz wyznaniowy przy Ślężnej. Był przecież zasymilowany tak bardzo, że nawet nie lubił Żydów. Mieszkał na niezbyt odległej od cmentarza, w pełni aryjskiej Wolfstrasse, w kamienicy zbudowanej wedle anglosaskich wzorów i — prawie do śmierci — nikomu nie narzucał się ze swoim pochodzeniem. Czerpał długofalowe korzyści z niestandardowych pożyczek, zaś codzienną przyjemność z sutych zakamarków ciała swej żony, która gotowała smacznie, acz tłusto, co mogło przycyznić się w tym samym stopniu do jego niespodzianego *kopfschalagu*, co donos na jego pochodzenie, złożony nader dyskretnie i jednocześnie do *judenratu* i gestapo.

\*

Zatem jeszcze dzień wcześniej ojciec stąpnęłyby delikatnie prawą nogą na postument ozdobionym werselem z Koranu i przeniosłby nogę lewą niżej, na płytę grobu Theo Eichborna, lecz tego dnia nie było tam już ani postumentu, ani fundamentu. Była tam przestrzeń nieokreślona, a mówiąc trywialnie — zwykła dziura po złodziejach, którzy rozbili kamienny fundament, wyciągnęli z wiecznych pieleszy zamrożone truchło i wyrwali mu z wciąż mocno zespolonej z czaszką szczękę — cztery złote zęby. Po czym wypili na dole flaszkę samogonu, by nie naszły ich żadne mamidła albo — co gorsza — wyrzuty sumienia. No i właśnie w tę otchłań, w przestrzeń okradzioną z granic, w ten niebyt zamieszkały przez trywialny dowód na to, że wszystko, co powstaje musi mieć swój kres — wpadł najpierw ojciec, a tuż za nim chłopiec, przytwierdzony do sanek jak mumia.

\*

Ojciec spadł na samo dno. Upadek był gwałtowny. Leżał na wznak, ogłuszony, tuż obok truchła Eichborna. Ponieważ uprzęż sanek zaczepiła o konar, który rozdzielił szlachetną przestrzeń Pauli Ollendorff i szparę w ziemi przeznaczoną dla Theo Eichborna, chłopiec zawisł nad nad ojcem — sztywny ze strachu. W potowie drogi między światłem i czernią, w pomroku oszołomienia. Nie widział ojca, bo sanki obróciły się razem z nim do ściany, która pokryta była lodem stężalym od mrozu. Patrzył na nią zmrożony od lęku i nie mógł krzyknąć.

Nie dowiedział się nigdy, jak długo to trwało. Wisi tam zawieszony w przestrzeni i w czasie.

Gdy sanki obróciły się wolno od ściany grobowiska, ku obydwu dorosłym, zobaczył ojca, który z zaschniętą stróżką krwi na czole wciąż leżał nieruchomo, z dala od życia i truchła Eichborna z pustymi oczodołami i z potamaną szczęką. Ciekawość przeży-

ciężyta lęk. Pamięć chłopca nasycata się szczegółami. Wyodrębniata detale trupa, zdejmowata z twarzy ojca pośmiertną maskę. Być może wtedy dostrzegł chłopiec po raz pierwszy subtelną różnicę pomiędzy tym, co żywe a śmiercią.

\*

Do domu wrócili zmęczeni, z dwoma siatkami zielonkawych cytryn i lekko nadgnitych kubańskich pomarańcz. Nie było czasu na rozmowy. Ojciec musiał jeszcze wyszykować się do pracy. Gdy usłyszał matkę przy drzwiach wejściowych, powiedział do syna:

— *Lece, jestem już spóźniony.*

I mrugnął okiem. Chłopiec słyszał, jak ojciec mija się z matką bez słowa w progu drzwi wejściowych. On także aż do wieczora o niczym nie powiedział matce. Następnego dnia również milczał tak jak ojciec. A cmentarne doświadczenie pozostało ich tajemnicą.

\*

Chłopiec od dłuższej chwili stał przed lustrem, w toalecie. Poprawiał ubranie. Przyglądał się swoim siwym włosom i gęstym zmarszczkom pod oczami.

— *Nawet nie pamiętam, co wówczas czułem — pomyślał i zaczął rzadką grzywkę palcami zwilżonymi wodą.*

— *Może znieczulenie prerażeniem — wspominał — może pospolitość grozy?*

Podniósł oczy ku górze, lecz nie zobaczył tam nic poza brudnymi zaciekami z toalety znajdującej się piętro wyżej.

— *Co było wówczas ważniejsze? Transcendentne doświadczenie nicości czy rozczarowanie bylejąkością zmysłowej śmierci?*

Nie wiedział.

Raz jeszcze zajrzał do lustra w nadziei, że zobaczy tam kogoś innego, lecz nie — nadal stał tam zmęczony mężczyzna po pięćdziesiątce. Odwrócił się od niego i podszedł do okna, które wychodziło na zadrzewiony skwer przed szpitalem. Było wczesne, styczniowe południe, lecz na zewnątrz już panował półmrok. Z gęstych chmur spadały wielkie płatki śniegu, które mróz i wiatr układał w fantazyjne kopce na alejkach i trawnikach.

A jeszcze dzień wcześniej było ciepło, padał drobny deszcz. Pogoda przypominała przedwiośnie. W konarach i gałęziach, które

— dziesiąty rok z rzędu — odwykły od mrozu, krążyły soki, śpiewały ptaki, których było jakby za dużo. Po raz kolejny miało nie być zimy.

Lecz zima w końcu nadeszła. Od północy. Niczym skandynawski glaciał. Przerwany został niejaki spektakl przyrody, który od lat przygniatał do ziemi ludzi i rośliny. Biel śniegu zniwelowała dysproporcje. Przykryła miejsca puste. Śmieci pozbawione sensu.

— *Ech, ojciec... Empatia mrozu, czułość lodowca — wspomniata chłopiec. Po czym otworzył niewielkie okno, ułamał zwisający sopel lodu i wyszedł z łazienki.*

Szedł długim, szpitalnym korytarzem, ssąc lodowaty stalaktyt ze szczeniacką przyjemnością. Minął z nim dyżurkę pielęgniarek, gabinet ordynatora i prawie wszystkie pokoje dla pacjentów, bo jego ojciec umierał na samym końcu korytarza.

\*

Leżał na łóżku skurczony jak embrion. Materac przeciwko odleżynom sapał i syczał, na zmianę pompując i wypuszczając powietrze. Wraz z nim ojciec podnosił się nieznacznie, by po dłuższej chwili opaść prawie niezauważalnie. Jego oddech nie zgrywał się z pracą łóżka. Był krótszy i płytszy, chociaż wciąż samodzielny. — *To chyba ostatnia czynność, która odróżnia go od istot nieożywionych — pomyślał chłopiec o ojcu, stając w progu.*

Podszedł do łóżka i obserwował z uwagą niuanse przemiany, której podlegał starzec. Jego cera była ziemista, a oczy szkliste. Prawe ramię — zeszywniałe w przykurczu — unosiło się nienaturalnie nad poduszką w poprzek łóżka. Matka, która siedziata na szpitalnym krześle u wezgłowia, próbowała je rozmasować i ułożyć wzdłuż ciała. Lecz jej wysiłek nie przynosił efektów. Ojciec tężał. Nie umiał rozprostować łukowatych pleców, ani nóg zgiętych mocno w kolanach.

— *Moglibyśmy ułożyć na wznak. No bo jak my go pochowamy? — zmartwił się chłopiec. — Nie zmieści się nam.* Wiedział, że mówiąc to, sprawi matce ból. Chciał go od razu złagodzić, położył dłoń na karku matki, przytulił głowę do jej policzka, by nie było jej aż tak przykro. A potem — zaskakując samego siebie — przyłożył usta do jej ucha i spytał, czy pamięta ten dzień, kiedy on razem ojcem wpadli do grobu.

— *Nie pamiętam — odpowiedziata matka.*

— *No tak. Chyba nigdy nie mówiłem ci o tym. To była zima stulecia. Skracając*

drogę przez cmentarz żydowski — wpadliśmy do spłądowanego grobu. Straszna przygoda. Ojciec uderzył się w głowę i zemdlął, a ja uwięziony w sankach czekałem, aż się ocknie i nas stamtąd wyciągnie. A on leżał bez ruchu. I trwało to tak długo, że już myślałem, że zginął. I sądziłem, że ja też tam umrę.

Chłopiec stał tuż obok szpitalnego łóżka. Patrzył na ojca i zastanawiał się, czy słyszy to, co oni mówią. Czy rozumie sens ich rozmowy. Czy potrafiłby jeszcze — mimo że nie próbował tego od dwóch albo trzech lat — przytęczyć się, powiedzieć cokolwiek.

— *Kiedy się ocknął — wrócił do wspomnień chłopiec — ojciec z trudem wdrapał się na powierzchnię i powoli mnie wyciągał. Potem zmęczony posadził mnie na płycie nagrobnej i położył się obok. Odpoczywał, a ja cieszyłem się, że żyje. Leżał tuż przy wrytych w kamieniu imionach: Theo Eichborn. Zapamiętałem je na zawsze. Niedawno szperatem w dokumentach komunalnych sprzed wojny, odkryłem, że ten człowiek mieszkał w naszym mieszkaniu na Pocztowej przed wojną. Dziwne. Wpadliśmy do jego solidnie wymurowanego grobu, poznaliśmy jego mumię i coś jeszcze... Nie wiem, jak to wyrazić, ale chodzi o samotność doświadczenia śmierci. Bo ona jest zamknięta w przeżyciu tego, który odchodzi. Kto żyje, nie wie, o co chodzi. A kto umarł, ten przeżył to, o czym nikomu nie może powiedzieć. To dlatego z tymi, którzy odchodzą, nie jesteśmy blisko. No bo jak?*

— *To nie prawda — matka potrząsnęta głową. — Nie wierzę w osobność. Razem przychodzimy i razem odchodzimy. Wszystko się łączy z sobą. Śmierć jest potrzebna, by dać nam nadzieję.*

— *Ale ty wiesz, że nie jesteś gotowa na tę śmierć — chłopiec podniósł nieco głos i wskazał ojca — i że wciąż się oszukujesz. — Nie możesz myśleć, że go uratujesz, bo on umiera, a ty trzymając go, robisz krzywdę sobie i jemu.*

Chłopiec pomyślał, że mówiąc to daje matce szansę na zwrot akcji. Że zaraz się popłacze, a może nawet dostanie lekkiej hysterii. Lecz nie doczekał się, bo ojciec zaczął się dusić. Przybiegła pielęgniarka. Za nią przyszedł lekarz. To nie zdarzyło się pierwszy raz. Wiedzieli, co zrobić. W zamieszaniu towarzyszącym walce o życie ojca, zagubił się temat kwestii ostatecznych. Tego wieczora chłopiec nie rozmawiał już z matką. Siedzieli w milczeniu. Patrzyli głównie na ściany. Nawet nie zauważyli, kiedy ojciec otworzył oczy. Z półmroku wyrwał ich jego głos. Mówił wyraźnie. Jak człowiek bez żadnych przypadłości spytał matkę:

— *Czy ja umrę?*

— *Ależ skąd! — krzyknęta matka. I spytała:*

— *Co też ci przyszło do głowy?*

— *Nie mnie — odpowiedziata trzeźwo. — To on tak powiedziata — mój wujek Max — Bo on tam był i wszystko wiedziata.*

I nic ponad to. Matka zastygła, a chłopiec odszedł jak od łóżka. Stał w cieniu, przy oknie szpitalnej izolatki. Patrzył na księżyc, który zachodził za wierchołkami posiwiałych świerków. Zmroźona mgła przystoiła gwiazdy, więc niebo byłoby prawie czarne, gdyby nie świetlista smuga, którą pozostawiał za sobą międzygwiazdny pojazd Iłona Tichego. Przez chwilę, która być może trwała za długo — nie odwracając głowy w stronę ojca — obserwował jego lot. Leciał szybko. Nie wiadomo dokąd. Może po raz kolejny przekraczał granice naszej galaktyki zmierzając w regiony nieskończonych alternatyw?

— *Tych możliwości, które sprawiają, że kiedyś wszystko zdarzy się w jednej chwili. Tak wtedy pomyślał, zanim wrócił do łóżka.*

CEZARY SIKORSKI  
11.09.2021



Wojśław Brydak

Joanna Sendłak

## CIENIE I SNY

Na łóżku leży stary mężczyzna. Półotwarte usta ze świstem łapią powietrze. Odmyka powieki.

-- Kim pani jest? Gdzie są ci, którzy po mnie przyszli?

-- Nikogo nie ma – tłumaczę cicho.

Zerka niepewnie. Niewidzialne istoty są bardziej namacalne niż rzeczywistość. Ich kształty giną wśród palmowych liści. Cienie przybierają formę siedzącej na fotelu postaci. Cię zerka z niechęcią, kiedy podchodzę do łóżka.

-- Mówili, żebym szykował się do drogi.

-- Dokąd?

-- Nie wiem, ale byli uprzejmi. Młoda kobieta z krótkimi włosami i mężczyzna, szatyn. Wrócą później – mamrocze staruszek.

\*

Duchy wracają, więc uśmiecha się konspiracyjnie z głębin pomiętej pościeli.

-- Bardzo państwa przepraszam, ale nie mogę pójść. Ona zabroniła – zerka w moim kierunku.

-- Co robisz? – pytam.

-- Odchodzę, boją się ciebie – szepcze i opada na poduszkę.

Nastaje cisza. Stabe światło żarówki drży zgrzytliwie.

Nie wrócili. Gdy wynurzą się z szelestów godzin, zapadnie odwieczna ciemność.

\*

„[...] Siedziba mieszkańców Krainy Zachodniej jest głęboka i mroczna. Nie ma drzwi ani okien, nie dociera światło czy północny wiatr orzeźwiający serca. Słońce nie wschodzi. Oni zaś leżą pogrążeni w mroku każdego dnia”<sup>1</sup> – głosi napis na ścianie jednego z grobowców w Tebach.

\*

Staruszek siedzi na łóżku. Martwi się.

-- Przyszła kobieta ubrana na czarno. Słyszałem otwieranie zamka. Weszła, spojrziała i wyszła. Jak można tak chodzić po cudzym mieszkaniu? Trzeba zawiadomić policję!

-- Pewnie ci się zdawało?

-- Ależ skąd! Nic nie rozumiesz! Myślisz, że oszalałem?

Milczę. Tłumy chodzące po pokoju stały się realne niczym rzeka o nazwie *Pysk-białego-hipopotama*. Jej szerokości nie sposób pomyśleć, ma długość całego nieba. Ciekawe jakie zakłęcia muszą szeptać zmarli, żeby na chwilę wyjść z podziemi?

\*

Dusza „ba” siądzie na barce boga Re, popłynie z Niezniszczalnymi Gwiazdami – głoszą teksty Piramid (&1171). Wybrani zobaczą brzeg Jeziora Trzcina. W szuwarach gniazdują, płochliwe niczym myśli, ptaki. O wschodzie wleczą do czerwonych chmur. Zmarły minie jezioro. Na Polach Trzcina zobaczy zielone kłosa jęczmienia. Każdego ranka rozmigotana kula słońca zbiega do jeziora i odbita od trampoliny wody skacze ku błękitowi. Wodę przystania mgła. Biel niepokoi gości.

Wioślarz w barce boga Re nigdy nie czuje zmęczenia.

\*

Staruszek błądzi w labiryncie myśli. Życie przypomina szklaną bańkę, wewnątrz wirują wspomnienia. Przyszłość opadła na łóżko w formie snów. Widzę kotłdrę, spoconą piżamę i karalucha biegnącego środkiem pokoju.

Zmywam naczynia. Na powierzchni żółtego oceanu moczu płynie znużony owad.

-- Nie będę niczego jadł, nie jestem głodny – mruczy staruszek.

\*

Świat już nie dąży do nieskończonego istnienia, zmarły nie wszędzie do barki boga Re. Dokąd zmierza człowiek uwięziony w bańce pozorów?

Z Pola Trzcina nie widać przestrzeni ludzkiego życia. Z dobra i zła utkano codzienne ubrania.

\*

Kotłdra unosi się, widzę zamglone oko. Dzień biegnie z chrzęstem nieoliwionych kości.

-- Nie mogę tyle jeść, nie stawiam wszystkiego na stoliku. Jak boli! Niedługo umrę. Przyszli zmarli. Potem anioł. Niczego nie widzę, słabo słyszę, nie mogę chodzić. Po co żyć?

Chór pod ścianą zawodzi refren cierpiących. Ból uderza biodra i kolana. Kiedy humor się poprawia, odlatuję ze świstem wronich skrzydeł.

\*

Oko mokrej wrony siedzącej na parapecie okna patrzy bystro. Ptak odbiera ser z moich palców, odchyła głowę, donośnie kracze. Staruszek odmyka oczy.

-- Ktoś był przed chwilą. Jak weszłaś to uciek z pokoju.

-- Deszcz męczy wrony. Zobacz jaka biedna...

-- Kawał cwaniaka z niej, już ja ją znam! Jak ludzie z twojej kochanej partii. Złodziej i oszuści. Cały kraj wypredali.

-- Nie mówmy o polityce – proszę cicho.

Wrona zrywa się do lotu.

Na podłodze małego mieszkania pojawia się rysa, rośnie szybko, można do niej wsunąć stopę. Łóżko ze starcem gwałtownie się odsuwa, przechyla w prawo. Stoję przy oknie. W dole widzę manifestację. Kobiety ciskają czerwone błyskawice.

-- Wolność, równość, sprawiedliwość! – krzyczą i znikają za rogiem. Za nimi, podobne do wron, pędzi stadko policjantów.

\*

-- Ma pan zanik ciątka żółtego. Obawiam się, że niczego nie można zrobić – mówi młoda lekarka.

Staruszek milczy. Matowe oczy mrugają bezradnie.

-- A operacja zaćmy?

-- Tylko pogorszy sprawę. Żadnych operacji. Możemy spróbować zastrzyku. Ale fundusz nie refunduje jeśli rokowanie jest złe.

-- Skąd biedny emeryt ma wziąć dwa tysiące na jeden zastrzyk? – pyta niepewnie.

Spisuję adresy i wytaczam wózek na korytarz.

-- Czy będę widział światło? Jeśli nie widać światła to koniec. Kiedy widzę zarys postaci, da się wytrzymać.

-- Zastrzyk pomoże?

-- Trzeba być dobrej myśli – mówię pchając wózek Nowym Światem. Słońce odkleja się od sklepowych szyb i spada pod nogi. Na horyzoncie wisi chmura. Pod Parłamentem Europejskim otacza nas manifestacja „Polskich babć”. Za babciami kroczą znużeni policjanci.

-- Skręcaj w lewo – ponagla staruszek.

\*

-- Razem wyszliśmy z domu, a ty zniknęłaś. Gdzie się podziałaś?

-- Nie wychodziłmi nigdzie.

-- Jak to, więc to był sen?

-- Jesteśmy w domu.

-- Więc nie spacerowałem?

-- A masz mokre nogi?

-- Pewnie buty zostawiłem w przedpokoju. Tylko nie mam siły sprawdzić. Jechałem na tyżwach, a ty za mną.

-- Jest koniec maja.

-- Ktoś jechał za mną i śmiał się, że ciągle gadam do siebie. Więc to sen?

-- Tak.

-- No, to się kładę.

-- Na obiad naleśniki.

-- Nie będę jadł, nie ma mowy!

\*

Teksty Sarkofagów głoszą:

„Oto płynę w tej łodzi po wodach Hotepa. To ja wyciosałem ją z członków boga Szu. Jego gwiazdy są jego członkami. Jego tchnienia są porami roku i latami. Wiosną płynę po wodach, by dotrzeć do jej osad. Płynę pod żaglami do boga, który w niej przebywa. Bo zaiste to ja jestem Hotepem na jego polach[...]”<sup>2</sup>

Trudno odejść bez wiary w przyszłe istnienie.

\*

Siedzimy w poczekalni szpitala płucnego, niemal czuję zapach dymu, który kiedyś otaczał staruszkę. Odpalał papierosa od papierosa.

-- Dostanie pan koncentrator tlenu, będzie pan chodził z tlenem wszędzie, nawet do łazienki i z powrotem. Przed wizytą u nas trzeba spisać stan liczników. Bo jak nie będzie pan używał to zabierzemy i damy komuś innemu. Jasne?

Staruszek bez przekonania kiwa głową.

\*

Jedziemy na szczepienia przeciw Covid 19.

-- Czy wpuszczą państwo tego pana bez kolejki? – pyta młoda dziewczyna stojąca przed drzwiami gabinetu.

-- Bez kolejki? Niby dlaczego? Co, źle panu? Siedzi na wózku, niech czeka, jak my. Wszyscy czekamy!

-- Śpiesz się do pracy – dodaje kobieta w koszuli w kratkę.

-- Ten pan był po mnie, a teraz mamy go puszczać? Wykluczone!

Głosy staruszeków gęstnieją tworząc masę nie do przebycia. Zawieść, zazdrość, każdy ma prawo!

-- Jak za komuny – myślę. Staruszkowie podnoszą głowy.

\*

Jedziemy na badanie ciątka żółtego. Recepcjonistki w prywatnej poradni przypominają cerbery, twierdzą, że dziś okulista nie przyjmuje.

-- Pomylili państwo adres. Na Waryńskiego są dwie podobne przychodnie. Ja ma wiedzieć gdzie się państwo zapisywali? – paskają oburzone.

Wychodzimy. Mozolnie pcham wózek pod wiatr. Zimno. Internet szwankuje. Jeździmy w kółko niczym szaleni cyrkowcy. Znajdujemy inną przychodnię. Jednak nie o nią chodziło. Wracam.

-- Jednak jest okulista!

-- Nie okulista tylko badanie ciątka żółtego, to co innego – tłumaczą recepcjonistki w popłochu.

-- Podać pani inne nazwisko lekarza – obwieszają z triumfem.

\*

-- Jeszcze raz muszę iść do okulisty! – nalega staruszek po wyjściu z badania oka.  
-- Nie zrobię zastrzyka w oko! – martwi się.  
-- Kiedyś chodziłem do pani, która miała maleńki zakład optyczny i dobierała okulary. Profesor nie dobierze okularów!

-- Ostatnie okulary były za słabe.  
-- Patałachy. Kiedyś wszystko było lepsze, cały świat!  
-- Nie cofniesz czasu!  
-- Zobaczymy...

\*

Drugie szczepienie przeciwko covid 19. Pcham wózek. Pogoda słoneczna, zapach wiosny. W poradni dużo staruszków. Nie wiem gdzie postawić wózek. Australijski Polak nienawidzi PiSu. Mruczy pod nosem, że Obajtek jest złodziejem.

-- Nie słyszał pan, że ukradł miliony?  
-- Tamci też kradli – oponuje pan z lupą zawieszoną na szyi. Na włosach ma cieniutką, czerwona siateczkę.  
-- Więc co, wszyscy kradną? Kto ma rzucić?

-- Oszuści, zabierają mi 5 tysięcy emerytury rocznie na podatki!

Wjeżdżamy do gabinetu. Młoda lekarzka oznajmia, że dziś w szpitalu zmarło jej dwóch pacjentów, trzydziestolatek. -- Tacy młodzi, przecież to nie wypadek drogowy! Po powrocie do domu będę płakała ze szczęścia, że pan się zaszczepił. Szczepionki działają!

-- Niech pani nie płacze – prosi staruszek.

-- Ależ pan jeździ eleganckim mercedesem! – śmieje się patrząc na wózek.

\*

Tej nocy miał dziwny sen. Dostał listę osób zmarłych, kartę wypełnioną zdjęciami legitymacyjnymi. Miał znaleźć siebie, jednak źle widział. Natężył wzrok, dostrzegł tylko zamazane plamy.

-- Nigdy nie umrzesz, przecież nie znajdziesz siebie – uspokajam.

-- Miałem posłuchać o wszystkich swoich złych uczynkach – mamrocze przez sen.

\*

Maj, spacerujemy z wózkiem po Saskim. Przecinamy plac i okrążamy hotel Europejski, wracamy do parku. W końcu siadamy na ławce. Podbiega biały piesek w różowych szalkach. Ludzie chodzą bez masek. Upał.

Przed wejściem do domu leży martwa wrona. Staruszek pokonuje sześć schodów. Obydwoma rękami trzyma się poręczy i przechylony do tyłu wisi jak na górskich łańcuchach. W ciasnej windzie błyska odbicie zmęczonej twarzy.

-- Chadzało się na studiach do kawiarenki w Europejskim – wzdycha zapadając w drzemkę.

\*

Kobieta w tramwaju, którym wracamy do domu, trzyma na smyczy małego Szpica. Staruszek gładzi zwierzątko. Pani siedząca naprzeciwko opowiada o innym psie.

-- Był tak leniwy, że kiedy wracałam do domu, musiałam go pchać drzwiami, żeby wejść do środka.

-- Ogromny pies, Wilczarz?

-- Duże zawsze leniwe.

-- A szczepiła się pani?

-- Co pani, wszystkim zabroniłam, wiadomo, co oni dodają do tej szczepionki? Przecież wszystko jeszcze niezbadane!

-- Ja też mówiłam córce, żeby się nie szczepiła, bo grozi bezpłodność! – podchwytuje druga kobieta.

Rozmowa biegnie wartko, odbija bzdurne argumenty.

Wysiadamy z tramwaju i wracamy do domu.

\*

-- Widziałam na ulicy dwie staruszki, które upadły. Jedna w sklepie, nie zauważyła stopnia. Podałam jej rękę. Druga na chodniku. Ciągnęta wózek z zakupami i nagle upadła, chyba coś złamała.

-- A więc takie dziś miałaś widziadła – mruczy staruszek.

-- Nie widziadła, ale fakty.

-- Akurat, a jak odróżnisz je od widziadła?

Milknę, co właściwie różni sny od jawy? Może nadal śnię?

\*

Następna wyprawa do okulisty.

Lekarz bada i z dezaprobatą kręci głowę.

-- Nic się nie da zrobić. Zmiany są zbyt zaawansowane. Nie dobiore okularów. Możemy spróbować w klinice, może zastrzyki w oko, bo zaćma nie jest wcale duża.

Potwierdzenie diagnozy przygnębia. Staruszek pochmurnieje, kurczy się.

\*

Przywożę kondensator tlenu. Maszyna sapie i warczy. Wzdycha jak człowiek. Może umie prowadzić rozmowy?

-- Ona oddycha za mnie? – pyta słuchając oddechu.

\*

„Wy, którzy otwieracie swe oczy na jego jedyne oko, odstońcie przede mną prawdziwą postać mroku”. Boginii Maat jest całą Prawdą, kosmicznym ładem. W sali Obu Prawd siedzi 42 sędziów. Gdy zmarły wejdzie do tej sali powie:

„Bądź pozdrowiony, wielki boże Obydwu Prawd. Przybyłem do ciebie, panie mój, abys doprowadził mnie do oglądania twego piękna”.

\*

W klinice okulistycznej tłok. Wzywają do gabinetów, robią kilka badań i odsyłają na korytarz.

-- Nieodwracalne zmiany ze starości – mruczy pielęgniarka notując coś w karcie.

-- Ma pan zaćmę i jaskrę. Najpierw zrobimy zabiegi laserem, potem operację – decyduje młoda lekarzka.

Po dwóch godzinach wracamy do domu. Leje deszcz. Szeroka kopuła parasola zastania cały widok. Idę na oślep. Tramwaj klekocze i stęka.

-- Powiedzieli, że jestem stary, załamałem się – wzdycha staruszek.

-- Może laser pomoże – pocieszam.

Zdejmuje mokre buty i sięga po tlen.

-- Ten koncentrator tlenu mi szkodzi, oddycha za mnie. Kiedy odkładam rurki duszę się – tłumaczy zdenerwowany.

\*

-- Nie krzywdziłem nikogo – mamrocze staruszek. -- Nie byłem zły! Echo jego słów słychać w Egipcie. Zmarły cierpliwie wylizzał to czego nie uczynił.

O „Stawiający wielkie kroki”, który wychodzisz z Heliopolis – nie czyniłem zła.

O „Obejmujący płomienie”, który wychodzisz z Cher-aha! – nie rabowałem.

O „Rozniecający ogień”, który wychodzisz z Memfis – nie okazywałem gniewu.

Nie byłem występny, nie donosiłem, nie siałem trwogi, nie byłem głuchy na słowa

prawdy, nie byłem niecierpliwy ... Litania biegnie niczym paciorki lat.

Jak było naprawdę wiedział ten, kto ważył prawdę na szali rozliczenia serc.

Kiedy w pokoju zapadała ciemność ktoś się pojawia.

-- Chodź – kiwa dłonią Tot.

-- Jestem oczyszczony z wszelkich niegodziwości – mruczy staruszek.

-- Komu mam ciebie zaanonsować?

-- Temu, którego dom ma dach z ognia, ściany z żywych kobr, a podłogę z wody.

-- Kto to jest?

-- To Ozyrys.

-- Ruszaj zatem, bo obwieszono twoje przybycie”<sup>3</sup>

\*

Staruszek miał złe sny. Widział ciemne postaci, może demony?

Demon Eurynomos miał kolor niebiesko-czarny, przypominał muchy siadające na rozkładającym się mięsie. Demon Charu nosił płaszcz w odcieniu rozkładających się zwłok. W końcu uciekł ze swoich snów. Statek dnia rozpadł się na pół jak czaszka przepętliona sensami. Świat skrzyptał niczym zawieszony na łańcuchu żyrandol ostonięty przekrzywionym papierowym kloszem. Żarówka zgasła, a lato zamknęło powiekę.

\*

Czekamy w klinice okulistycznej na laser. Ludzie cierpliwie siedzą wzdłuż ścian.

-- Teraz będzie szczyptało, to znieczulenie.

Staruszek zaciska powiekę. Oko podobne do oka żółwia. Gdy siada przed maszyną niepokoi się.

-- Ale czy nie pomyliła pani oka, to jest lepsze, a miało być robione gorsze.

-- Jutro będzie gorsze, zwolnitę się miejsce – mruczy lekarzka umieszczając w oku pacjenta szkiełko polane przejrzystym roztworem.

-- Pani niech stanie za mną, żeby laser nie trafił przypadkiem.

Słychać trzaski, stukanie. -- Teraz oko będzie można badać, a po operacji zaćmy nie dostanie pan jaskry – tłumaczy lekarzka.

\*

-- Niczego nie widzę – woła staruszek po zabiegu na drugim oku.

-- A więc jednak pierwsze nie było lepsze lecz gorsze, skoro teraz źle widzisz, po zabiegu na lepszym oku.

-- Jak nie będę widział to się zabiję! Znajdę sposób! Bo tak leżeć w ciemności nie do zniesienia – krzyczy zirytowany.

-- Krople trzeba wypuszczać kilka dni, po nich się poprawi – uspokajam.

\*

-- Trochę lepiej. Mogę oglądać mecz. Polska-Angola. Było 7:1.

-- A jutro jedziemy na siódmą rano?

\*

Biorę numerek i siadamy przed gabine-tem pobierania krwi.

-- Jak pan na wózku, to numerek „U”, gdzie pański opiekun?

Naciskam guzik maszyny i wtaczam wózek do środka. Strzelanie elastycznej gumy, brzęk próbówek, gaza ze spirytusem. Igła wdziera się pod marszczoną skórę. Krew wolno kapie, ciemna, gęsta.

-- Niech pan trzyma mocno palcem – rozkazuje pielęgniarka.

\*

Wracamy tramwajem. Przesiadka w centrum. Ciasna winda sunie odstawiając rdzawe ściany. Tramwaj wypluwa żelazny jęzor podjazdu i obwieszca wszystkim, że do wnętrza wjedzie wózek. Potem wspinaczka

po skałach stopni, jaskinia windy i wjazd do pokoju z gniazdem łózka okrytym zieloną kołdrą. Sen.

\*

Kiedy dochodzimy do Jeziora Płomieni, witają nas cztery pawiany. W tej chwili Horus obwieszcza przybycie oczyszczonego ducha swemu ojcu.

\*

Czy śmierć będzie duchową przemianą? Odrodzimy się? Doświadczymy sakrum? Pokonamy czas wolni od substancjalnej egzystencji jako byty należące do idealnego wymiaru? A może zostaniemy nieświadomi, nieforemni, plastyczni, niedoważeni, rozmoczeni w iluzjach, bezkształtni, po urodzeniu wpadniemy w ustalony kształt bytu, w rzeźbiarską formę, która ukonkretni kształt z bezkształtu. Za chwilę znowu się rozpadniemy.

\*

– Dlaczego nie mówiłaś, że trzeba spać z tym urządzeniem, że tlen najlepiej wdychać przez sen?

– Mówiłam wielokrotnie, ale nie słuchałaś.

– Nic nie pamiętam. Ta pielęgniarka, która dzwoniła, tak powiedziała.

– Więc zacznij od teraz.

– Przecież z tym nie można spać, to sapie i warczy, przeszkadza!

\*

„Maatkare, zapaliła pochodnię swego ojca Amona jako dzienną ofiarę każdego dnia, uczyniła to, by być obdarzoną życiem wiecznym” – czytamy na papirusie Nu.

\*

– Dlaczego nie używa pan tlenu? Z obliczeń wynika, że średnio włącza pan koncentrator na dwie godziny w ciągu doby. Tyle osób czeka na tlen! Przecież pan mówił, że będzie używał. I co? Rozumie pan to?

– Tak.

Lekarka patrzy ze złością.

– Nie po to się spotykamy, żeby panu zabrać koncentrator. Ma pan wskazania do użycia tlenu. Pana organizm jest bardzo niedoświetlony, czasami bywa odwrotnie, ludzie mają duszności, ale nie potrzebują tlenu. No więc? Miał pan zalecane 17 godzin na dobę! Będzie pan używał?

– Będę – mruczy staruszek.

\*

Wytaczam wózek na korytarz. Jedziemy na EKG i prześwietlenie płuc. Potem windą zjeżdżamy na poziom – 1. W dawnej palarni dla pacjentów i lekarzy szpitala płucnego kłębi się tłum chorych. Przyjęto wszystkich jednego dnia, wszystkich z Covidem.

– Proszę szybko, tędy, za róg, do wyjścia. Chcecie się zarazić? Trwa pandemia! – krzyczy pielęgniarka z Izby Przyjęć.

Pośpiesznie wytaczam wózek na ulicę. Droga do tramwaju mija szybciej niż poprzednio. Motorniczy wychodzi na peron, pyta czy potrzebny podjazd dla wózka. Kiedy zaprzeczam wskazuje do wagonu i zamyka drzwi. Wsiadamy na Placu Bankowym, jedziemy przez Saski.

– Ale piękna pogoda! – mówię. Staruszek przytakuje. Zadzwolony, że za chwilę wróci do domu. Jeszcze schody podobne do Giewontu, ciasna winda i próg. Skończona łóżko podobne do brzegu znanego jeziora.

\*

– Kiedy karmiliśmy Kajtka, wrony wszystkich atakowały. Potem podrzucaliśmy go w powietrze, żeby nauczył się latać. W końcu zatapał i poleciał na daszek przedszkola. A tam siedział kot...

\*

W podziemnych częściach grobowca umieszczano lampy i kaganki by rozświetlały mroki krainy zaświatowej. Palono cztery pochodnie...

\*

– Długo będzie trwał Konkurs? – pyta staruszek patrząc w telewizor. Na ekranie gra siedemnastoletni Chińczyk Rao Hao.

– Możesz przetrączyć na sport? – proponuję.

– Ale ja chcę słuchać Chopina, tylko w takiej masie mężczy.

– Dwudziestego ogłoszą wyniki, w nocy.

– Oni chętnie słuchają – mruczy staruszek machając ręką w kierunku niewidzialnych gości.

\*

Oko Horusa zapewnia magiczną ochronę zmarłemu, unicestwia wrogów. Każdej z sześciu części oka odpowiada konkretna liczba – 1/2, 1/4, 1/8, 1/16, 1/32, 1/64. Łącznie 63/64. Brakuje tylko 1/64 oka, tę właśnie część uzupełnia siła duchowa.

\*

– Dziś koniec finałów, w nocy podadzą wyniki – mówię patrząc na staruszka. – Kto najbardziej ci się wczoraj podobał?

– Ta ostatnia, taka młoda z warkoczem.

– Wolę Hao Rao. Albo Garcję Garcję.

– Tego Hiszpana?

– Spotkałam go w lipcu po kwalifikacjach. Pogratulowałam mu. Ucieszył się.

– Niektórzy mówią, że błaznuje.

– Sonatę h-moll i Koncert f-moll zgrał przepięknie.

– Tylu ich jest, muszą dać wiele nagród!

– Gdyby konkurs był rok wcześniej, młodzi by nie startowali. Przez covid wysypało tylu siedemnastolatków.

– Ja umieram! – wzdycha staruszek.

– Zawołam lekarza.

– Po co! Nie wolno umrzeć w spokoju?

– Wyglądasz nieźle.

– Zobacz ten brzuch, niedługo urodzę – przepuklina stała się wielką niczym balon.

– Może to ósmy pasażer Nostromo?

– Kto?

\*

Obcinam paznokcie u nóg. Gąbką myję plecy i brzuch. Skóra szeleści, opada niczym jesienne liście. Zamiatam skórki i okruchy. Człowiek osypuje się jak klon. W Saskim czerwienieją liście. Wrona, która ląduje na parapecie, bierze ode mnie złoty ser. Dziobem lekko skubie palec.

– Kiedy trzecia dawka szczepionki?

– W połowie listopada, czekamy na sygnał.

– Ale czy dożyję? Nie mam po co żyć, wszystko boli. Okropnie bolą kości. Starość jest do dupy! Duszę się!

– Zobacz, pokazują nas w CNN. Cały zachód widzi zasieki i marznące dzieci.

– To winni ci twój, co kochają Putina, komuchy.

– Ależ co ty mówisz! Jest zupełnie odwrotnie, to ci twój odwracają się od Unii, niszczą powojną solidarność.

– A co, mają rządzić komuchy i geje?!

\*

Strażnicy Horusa. Ozyrys to pierwszy z mieszkańców krainy zachodu. Zakłęcie czterech pochodni powinno być recytowane każdego dnia. Umożliwia wkraczanie do tajemnych portali, nie będąc zawróconym

nym, zatrzymanym ani pominiętym w dniu sądu.

\*

– No i kto wygrał?

– Mój ulubieniec nie dostał nagrody, ale Garcia trzeci!

– Bo stawiałaś na patatacha. Ja od początku wiedziałem, kto wygra. Teraz trzeba odpocząć. Ledwo żyję po tym maratonie! Zasypiam dopiero o dziewiątej rano.

– E, chyba przesadzasz.

– I ciągle jem.

– Śniadanie nadal czeka.

– Jak to, przecież jadłem, więc to był sen?

– Śnisz, że jesz, więc potem nie jesteś głodny.

– No to zjem. Ale skoro jestem najedzony, dlaczego jedzenie nie znika? – mamroczę pod nosem.

\*

Kiedy pocujemy, że kruche są wszystkie rzeczy, a myśli przypominają sny, doświadczymy wewnętrznej istoty. Z tej perspektywy prawie nie rozumiemy biegu czasu. Jadąc pociągami oceniamy prędkość w kontraście do biegnących za oknem pejzaży, zarysu mijających lat.

\*

– Widziałeś Lewandowskiego w Lizbonie?

– Nikt mi nie powiedział.

– Bo trwał finał konkursu.

– Strzelał?

– Dwa razy, w sumie ma ponad osiemdziesiąt goli w karierze.

– Nic nie wiedziałem...Przetrączyłbym...

\*

Czy można włączyć nicosć? Pstryknąć guzik nie dostrzegając zmiany ograniczonego umysłu. Czy nie zawiśniemy między kanałami, rozmyci, rozchwiani, skazani na entropię? Po co myśleć o przyszłości, skoro tkwimy w danej rzeczywistości? Jeśli wpadniemy w nicosć pochłonięci przez szum nie dowiemy się o naszym końcu. Rozproszeni, bezkształtni, nieforemni niczym rozpadła glina niezdolna utrzymać krew.

\*

– Jedziemy do Saskiego?

– Dobrze, ale dziś się okropnie męczę! Staruszek siedzi na łóżku. Z trudem łąpie powietrze. Z mozołem zakłada spodnie, szelki się plączą. Gdy się pochyli, dostaje zadyszki.

– Nie dam rady, nie dziś.

– Ale pomogę ci!

Wyjmuję buty, wkładam na nieruchome stopy. Wpycha piętę. Wiąże sznurówki. Czekamy aż oddech się wyrówna, poprawianie szelek, bluzy, wiązanie czerwonej apaszki – szalik dusi. Próba wstania. Po kilku krokach cofamy się na łóżko.

– Jednak nie dam rady, nie mogę.

– Nie śpiesz się, mamy czas.

– Muszę złapać oddech.

– A „berotec”?

– Można do 6 razy na dobę, brałem już cztery razy.

– Weź teraz.

Szuflada się wysuwa. Równo ustawione kartoniki przypominają terakotowe wojsko śpiące w grocie. Psiknięcie przywraca oddech na kilka chwil potrzebnych by podejść do wózka. Dwie laski odbijają czerwonawy blask, podobnie jak oparcia foteli w filharmonii. Podaję kurtkę. Wsuwa ręce, opada na fotel. Zapinam zamek, nakładam czapkę, biorę psa. Jedziemy. Próg mieszkania przypomina falę, na której można się wysoko wznieść nad poziom morza. Płyniemy ku



windzie. Koło wózka zgrzyta boleśnie odbite o brzeg muru. Kolejne drzwi blokują koła wózka. Staruszek musi wstać. Przypomina konar drzewa. Gdy idzie w dół, boję się, że go nie złapię. Na dole czeka przypięty pies. Podążam za nimi, rozkładam tratwę ratunkową. Opada z trudem. Witą nas powiew zimnego powietrza. Suniemy w stronę parku. Obok przedszkola, do którego kiedyś chodziłam. Zerkam poza róg Marszałkowskiej i Królewskiej. Koła wózka szeleszczą wśród opadłych liści.

\*

--Znowu całą noc nie spałem.  
-- Bo nie powinieneś spać w dzień.  
-- Zasnęłam o dziewiątej rano.  
-- Teraz jest dziewiąta.  
-- Muszę spać.  
-- Zjesz jajko na miękko?  
-- Już śpię, a oni znowu śpiewają.  
-- Kto?  
-- Żołnierze, nie słyszałaś?  
-- To sen.  
-- Akurat, o, znowu! – mruczy i zamyka oczy.

\*

Kiedy wychodzę z domu, w pobliskim klubie kłębi się tłum. Jakaś dziewczyna robi gwiazdę na chodniku. Chłopak chichocze i spluwa na ulicę. Dym shiszy wzbija się kłębami ku ciemnemu niebu.

\*

-- Trzeba rozruszać rzepki, stawy – mruczy schodząc schodami w dół.  
Wózek sunie po żółtych liściach.  
-- Teraz nie jest tak ładnie jak poprzednio, kiedy wracaliśmy ze szpitala.  
-- Już jesień.  
-- Prawie nie ma liści.  
-- Żółto jeszcze.  
-- Tego nie lubię.  
Pies biegnie za nami, nurkuje w liściach, węszy, wzbija w powietrze stada wron. Niebo chmurzy się i kracze. Wiatr zrzuca liście niczym zawzięty ogrodnik.

Kiedy wracamy na schodach tłok.  
-- Pomogę państwu, potrzynam drzwi.  
-- Czyj to pies?  
-- Proszę się nie bać.  
-- Ciasno tu.  
-- Dziękujemy!  
Łagodnie jesienne światło spadło na stół, łóżko, szary ekran telewizora, zmięta pościel.

\*

„Skoro zaś empirycznie „istnienie jest w istocie osobowe, to i kresu osobowości nie można uważać za jakąś stratę” – przypomina Schopenhauer w *Metafizyce życia i śmierci*.

\*

Wracam do domu. Portier wysuwa głowę ze swojej pakamery.  
-- Był listonosz. Chyba jakieś książki wpychał, ale nie zmieściły się do skrzynki.  
-- Jaka szkoda, nie mógł zostawić u pana?  
-- Nie, trzeba odebrać na poczcie, ale po dwudziestej... – informuje.

\*

-- To twój ukochany, co ma dziadka w wermachcie wymyślił – syczy staruszek podobny do anakondy. – Jeszcze go kochasz?  
Milczę tłumiąc złość.  
-- Nie rozmawiam o polityce.  
-- Już idziesz?  
Zamykam drzwi. Świat wreszcie wydaje się normalny. Są tacy, którzy wierzą w wolność i prawdę. Czy podział na złych i dobrych jest realny czy istnieje w naszych

umysłach? Gdy założymy, że są wartości obiektywne, życie staje się łatwiejsze. Uważamy, że dyskretnie popycha nas siła wyższa. Kiedy pomyślimy, że sami kształtujemy świat dzięki wyborowi pozytywnych wartości, mamy się na baczności. Czy to, co robimy jest dobre? Dobro wysnuwamy z naszego wnętrza niczym oddech, tymczasem norm zewnętrznych słuchamy z obawy przed karą lub w nadziei otrzymania nagrody. Nawet śmierć wydaje się nieostateczna gdy mamy nadzieję trwania wiecznego. Kiedy zawierzmy nauce, śmierć odczuwamy jako koniec. Nasza egzystencja biegnie tu i teraz. Smakujmy chwilę. Za zło płacimy ceną wewnętrzną dezintegracji. Noszenie płaszczy konserwatyzmu dusi.

A świat zaśmieciłymi zachłannością, która lśni na wystawach sklepów niczym plamy ropy. Z powodu naszego nieopanowania, stratosferę przemierzają chińskie rakiety hipersoniczne zdolne osiągnąć każdego celu na ziemi w dwie godziny. Czy to nazwiemy wolnością?

\*

Na początku roku, w miesiącu Techy rozpoczynało się święto wag. Na grobach stawiano modele łodzi z dziobami zwróconymi ku Abydos. Następnego dnia łodzie odwracano i ofiarowywano Ozyrysowi wieńce – „wieńce usprawiedliwienia”. Tak kiedyś wyglądało święto zmarłych.

\*

Sprzątam groby, myję szary granit, odgarniam żółte liście. Rozrywam kłocza chmielu, mocne niczym ramiona meduzy. Uwalniam z uścisku wysoki głąz z wyrzytą omegą. Wiewiórka patrzy uważnie. Różowe palce muskają ciepły znicz. W jej ciele tkwi zielonkawy, rozdęty kleszcz. Jej teraźniejszość. Chociaż wiewiórka odbiega, trwam świadoma swojej nieprzemijalności. Tymczasem ptomyk zgasał.

\*

-- Miałem sen. Widziałem tłum ludzi. Podrzucali się wzajemnie. Jednego z nich znałem, tego, który sterczał ponad innych, wyższy o pół ciała. Nagle podrzucili go, ale nie złapali. Upadł i zabił się. Jego mała córeczka strasznie płakała. Przytuliła się do niego i krzyczała. Następnego dnia był pogrzeb. Kiedy weszła właśnie byli na dole.

Wojśław Brydak

-- To była dalsza część snu.  
-- No nie wiem. Przecież obudziłem się i usiadłem na łóżku. Oni szli ulicą. Krzyczeli. A kiedy jadłem kanapkę widziałem tego wysokiego. Machał do mnie.  
-- Więc nie umarł?  
-- Umarł.

\*

--Lewandowski przegrał z Borusją 5 do zera.  
-- Oblałem się herbatą i musiałem się przebrać.  
-- Umyjemy plecy?  
-- Dziś albo jutro przyjdzie listonosz.  
-- W poniedziałek święto zmarłych.  
-- Właśnie, pamiętam.

\*

Czy przestrzeń i czas są tylko iluzjami naszego umysłu? To. Co tworzą razem, w jaki sposób się splatają, nazywamy przyczynowością, zjawiskiem, tym, co robimy, co się przydarza. Jaki świat jest w istocie nigdy nie zobaczymy.

\*

Gdzie podzieli się łowcy duchów? Czy ktoś jeszcze zamyka ektoplazmę do walizki? Czy jeszcze robią gipsowe odlewy zjaw i z tym balastem wsiadają do samolotów, a one po starcie spadają na kartoflika i śmigłami odcinają czaszki owych śmiałków?

\*

„O Patrzący na siebie”, który panujesz nad swoim sercem; rybaku, ptaszniku (czatujący) u wejścia do ziemi; pułapko na ptaki! O wy, rybacy, dzieci swoich ojców, zastawiający pułapki, zaciągający sieci w Junes – nie złapiecie mnie w tę swoją sieć, nie pochwycicie mnie w potrzaski, w które chwytaacie osłabionych i pętacie chodzących po ziemi; bo poznają ją po palikach sięgających wysoko i ciężarkach opadających nisko” – głosi zaklęcie dla wyjścia z sieci.<sup>4</sup>

JOANNA SENDLAK

1. Barwik Mirosław, *Księga wychodzenia za dnia Tajemnice egipskiej księgi umarłych*, s. 96, PIW, Warszawa 2020.

2. Tamże, s. 99.

3. Tamże, s. 117

4. Tamże, s. 190.



## Marek Przybyła

Marek Przybyła (1952) - poeta, artysta malarz, grafik, rysownik. Członek Związku Polskich Artystów Plastyków Okręgu Katowice.

Opublikował zbiory prozy poetyckiej: *Homunkulus 2002*, *Klucz barw 2009*, *Szkoła miękkiego rysunku 2015*, *Bestiaryjusz lasu 2020* *Emotikony 2021* (wiersze). Drukował w Śląsku, Nowym Zagłębiu, SosArt, Szamanie. Zilustrował ponad 20 zbiorów poezji. Zrealizował dwadzieścia dwie unikatowe książki artystyczne, między innymi *Czarna księga 1992*, *Ogród zarastających poematów 1996*, *Sang de dragon 2002*, *Modlitwa do Yoni 2004*, *Filigrany 2017*. Uprawia realizm duchowy słowem i uczynkiem.

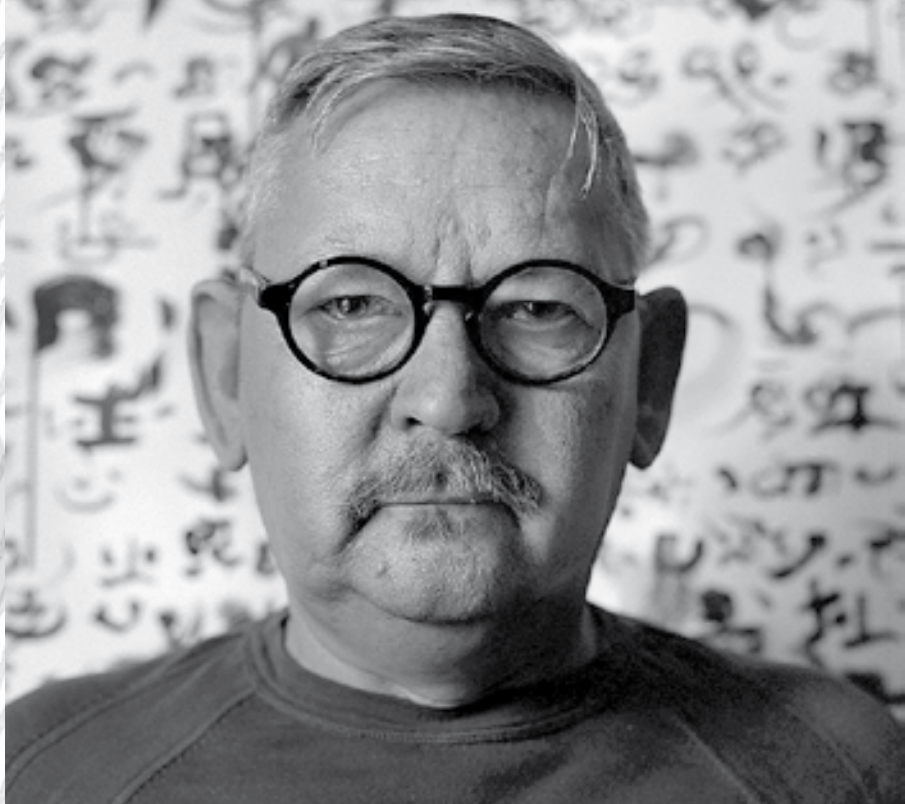


Foto: Marek Wesolowski

## Bat

Rower jest wehikułem erotycznym  
prostym posłańcem jest cyklista  
wiezie posługę wjeżdża w wiosnę  
i wiosna z zaciśniętymi ustami  
pogłębia się posłuży się nim  
golebią przestrzeń tonsury zgłuszą  
cudze głusze i jeszcze jady kieszenne  
i wiatry bagienne Wirpszą wzdęte  
batog utoczą majowy

## Bielenie

codziennie rano po dyktacie nocy  
od początku ustanawiam hierarchie  
rzeczy kierunków odnajduję sensy  
jeszcze wśród majaków robię to

w milczeniu to niezbędne jeżeli  
zdarzy się że ktoś mi ten mozół  
zakłóci nie daję się uporządkować  
dnia siebie świata zeszłego roku

pochowałem w sobie zbyt wielu  
bogów noszę jeszcze ten podziemny  
panteon ale miejsca już tam niewiele  
tylko asceza bieleje dojrzale

## Milczenie synaps

Wiosnę wprowadzam w stan umysłu  
słowa się tłoczą i proszą - bez przymiotni-  
ków!

wprowadzam wiosnę nie tylko w jej  
komputer to potrafi przygasły lumen

Znużony zaklinacz karmiciel złudzeń  
z równowagi nici wiosenna niemota synaps  
fryz erotyzmu trwale powidoki  
uczuć prococtwa z tornistra chwil  
w malignę dni

## Wiek bezsenności

Wiek bezsenności powoli odchodzi  
Otwiera się puszka wiosny  
Całkiem odwołany odprawiam  
pradawne misterium przemiany  
i wyję do słońca Zieleń jak zawsze  
nas ogłupi a jałowa pogańska  
tajemnica upokorzy naszą tymczasowość  
Atawizmy i ptasie pieśni wzniosą się wysoko  
najwyżej! Potem spotkamy się nieliczni  
z równonocą Przepołowiony rok  
broczyć będzie jak maj dyszał chutliwie.  
Atawizmy i ptasie pieśni wzniosą się  
wysoko na listach przybojów

\*\*\*

Wodna natura miesiąca  
kolejną noc prawie całą  
padały deszcze  
ale jak długo by nie padały  
nie wypłuczą ze mnie  
tego co chciałem  
żeby choć trochę rozmiękło  
żeby szkło nocy  
tak wszystkiego nie wyolbrzymiało  
żeby ta syrena  
co we mnie pływa przestała

## Sfinks serca

Pojawia się niespodziewanie  
i przeciągle milczy  
milczenie powleka uśmiechem  
pełnym obietnic skrzę się w nim  
nieskończone tajemnice  
każdy musi się spotkać ze swoją  
powietrze wokół gęstnieje na długo  
gdy tak brzemienne milczy  
rodzi pytania

Dariusz Pawlicki

# 20 GŁOS

## (FRAGMENT GLOSARIUSZA)

PROZA

### Pomiędzy...

Pomiędzy Maćkową Rudą a Żubrówką Nową zobaczyłem trzy wilki – te same, które widuje się w tej okolicy od kilku miesięcy. Ucieszyło mnie to, że one, wciąż i jeszcze, należą do żywych. Tym bardziej, że mieszkańcy tej krainy nadal hołdują klasycznej zasadzie: chłop żywemu nie przepuści.

### W dzienniku...

W dzienniku *Factum est* Andrzeja Strumiłły, który czytam któryś z rzędu raz, i czytać będę jeszcze nie raz, znajduje się m. in. taka myśl:

„Żło i śmierć krzyku się nie boją”.

A także ta:

„[...] planując wieloletni wysiłek, powinniśmy pamiętać o tym, że do mety przyjdzie inni, i że to zwycięstwo może nam wtedy już nie być potrzebne”.

Czytając ów dziennik, zresztą pokaźnych rozmiarów, nie mogę nie myśleć o tym, że z jego autorem rozmawiałem wielokrotnie, także przy stole, przy którym sporządził część owych zapisków. Wypiłem również wiele herbat, które On zaparzył. A mam nadzieję na kolejne rozmowy i kolejne herbaty.

(Niestety, kolejnych rozmów i kolejnych herbat już nie będzie).

### Kobieta...

Kobieta romantyczna? W większej liczbie istnieje wyłącznie na stronach powieści i utworów poetyckich. Natomiast w naturze jej zjawiskiem niezmiernie rzadkim. Romantyzm kobiety sprowadza się/ogranicza do kwiatów, świec, firanek... Bez względu na wagę ciała, rozmiar noszonego obuwia, kobieta ciężko stąpa po ziemi.

### Dekoracje...

Dekoracje bożonarodzeniowe zajmują coraz większą przestrzeń nie tylko we wnętrzach mieszkań i domów, ale też w centrach handlowych i wokół nich. Efektem tego jest to, że nastrój, emocje, myśli towarzyszące Bożemu Narodzeniu tracą swoje centrum, a równocześnie tracą na intensywności. Gdyż, tak jak ma to miejsce w bardzo wielu innych przypadkach, gdy Coś staje się Wszystkim, przestaje być Sobą, powszedniej, wręcz nijakiej.

### Rozwój...

Rozwój techniki jest coraz intensywniejszy. Towarzyszy temu zwiększające się uzależnienie od niej człowieka. To zaś skutkuje tym, że pogłębia się zaangażowanie ludzkości w zaspokajanie potrzeb techniki. Można uczynić krok dalej i zaprezentować pogląd wyrażony już wcześniej: człowiek znalazł się już na takim poziomie zależności od techniki, że zaczął spełniać jej polecenia/życzenia.

Fot. Dariusz Pawlicki

### Cechy...

„Cechą naszych czasów jest to, że pragnienie szczęścia zostało wyparte przez dążenie do sukcesu. Chcemy osiągnąć w życiu sukces, dążymy do rozmaitych sukcesów, żyjemy pod presją konieczności ich osiągnięcia” – napisał Tadeusz Gadacz w książce *O ulotności życia*.

A przecież ilu ludzi może osiągnąć



Fot. Dariusz Pawlicki

sukces? Z pewnością mniejszość spośród nich. No bo, ilu może zostać np. ministrami w tym, czy innym rządzie swego kraju, ilu może stać się laureatami Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej „Silesius”? W tym drugim przypadku odpowiedź jest zdecydowanie prostsza – 3 rocznice.

Tymczasem źródłem szczęścia może być, chociażby, poranny spacer po lesie. A ileż jest lasów i ileż poranków...?

### Kochani...

„Kochani Rodzice mam dla was złą wiadomość” – od tych słów zaczyna się list napisany w lutym 1944 r. przez młodego Niemca pochodzącego z Sudetów. Można by

pomyśleć, że w następnym zdaniu poinformuje, że np. ciężko zachorował, albo że nie odwiedzi ich we wcześniej podanym terminie. Nic z tych rzeczy. Dalsze słowa brzmią bowiem tak:

„Jutro ja i mój przyjaciel Georg G. zostaniemy rozstrzelani. Zostaliśmy skazani na śmierć za odmowę wstąpienia do SS. Wiemy do czego wykorzystywane jest SS i nie chcemy brać w tym udziału”.

### Cenię...

Cenię Williama Blake'a jako artystę. Oczywiście nie wszystkie jego prace czy to obrazy, czy grafiki wzbudzają we mnie, większy bądź mniejszy, podziw (są bowiem takie, które sprawiają wrażenie wykonanych w pośpiechu, niestarannych, żeby nie powiedzieć dosadniej). Trudno mi coś powiedzieć o nim, jako poecie. Choć jego poematy próbowałem wielokrotnie czytać (słowo „próbowałem” jest istotne). To w nich zapisywał swoje oryginalne widzenia/wizje świata.

We wspomnieniach o nim są też opisy, które mnie poruszają. Choćby te, gdy osoby odwiedzające jego i jego żonę, piszą o tym, że Blake był brudny. Nie chodzi o to, że unikał mycia się. Ale, że taki był zapracowany, gdyż tyle czasu poświęcał na utrwalanie w płytach metalu, za pomocą grawerowania bądź trawienia, owoców swej przebogatej wyobraźni.

Wciąż pracował i wciąż zaznawał, a wraz z nim jego małżonka, mniejszego albo większego niedostatku.

### Nuda...

Nuda wywołuje złe skojarzenia. Jest tym, czego, według powszechnej opinii, należy unikać. Człowiek, który stwierdza, że się nudzi, nie wzbudza sympatii u innych ludzi; wywołuje raczej skojarzenia negatywne. Ale czy na problem nudy – bo to jest problem – nie należałoby spojrzeć nieco inaczej? Czyli jak? Ano tak: nudząc się, może nie stać stale, ale co pewien czas, zyskujemy czas. Zyskujemy, gdyż wręcz widzimy, jak on wolno bądź bardzo wolno przepływa. Przez co nie jesteśmy narażeni na stawianie oko w oko z sytuacjami, gdy zdumieni wypowiadamy znamienne słowa: „Ależ ten czas pędzi”.

### Wiejski...

Wiejski dom to także dom kosarzy, pajków, mrówek, much, pajków... Mało który człowiek pamięta, że jest współlokatorem.

### Tysiące...

Tysiące słów czytanych i słyszanych każdego dnia. Nad większością spośród nich przechodzi się do porządku dziennego. Od czasu do czasu ma się jednak do czynienia ze słowami, które nie pozwalają o sobie zapomnieć. Zmuszają do przemyśleń. Oczekują

wręcz ustosunkowania się do nich. Jak np. taki oto pogląd Bogustawa Wolniewicza:

„Transplantacja jest to żerowanie na trupach, nowoczesne ludożerstwo, neokanibalizm. (...) Czemu (...) to, że ktoś przeżył, bo ugotował i zjadł cudze serce, miałoby być rzeczą potworną, a to, że przeżył, bo mu na surowo wszczepili, miałoby być (...) «moralnie obojętne»” (*Filozofia i wartości*).

#### **Błękitne...**

Błękitne niebo, a na nim jasne różnokształtne obłoki. Ciekawe czy ten ich układ, z uwzględnieniem tych samych kształtów, obserwowany przeze mnie w tym momencie, miał już kiedyś miejsce? A jeśli nie, czy kiedyś mieć będzie?

#### **Niezmiennie...**

Niezmiennie wypatruję wież dawnego klasztoru kamedułów w Wigrach. To rytuał – potwierdzenie tego, że niewątpliwie znowu jestem Tu. I że Świat, ten dobrze mi znany, trwa.

Choć mnie pewnie, a raczej na pewno, nie zauważa. I nic o mnie nie wie. I swego istnienia z moim nie łączy. Ale to nie jest ważne – jestem Tu.

#### **Wielokrotnie...**

Wielokrotnie słyszę imponujące liczby książek podawane przez ich autorów. Te liczby mają świadczyć o sukcesie. W takich sytuacjach warto brać jednak pod uwagę to, co powiedział rumuński filozof Constantin Noica:

„Na Sądzie Ostatecznym człowiek musi powiedzieć, co zrobił – nie ile książek napisał, ale co w nich napisał” (*Dziennik z Păltinișu* Gabriela Liiceanu).

#### **W wyborach...**

W wyborach politycznych sympatyzuję z tymi, którzy, choćby, nieśmiało nawiązują

do dystrybucjonizmu. Do owej doktryny mającej źródła w anglosaskiej myśli politycznej, a także w katolickiej nauce społecznej (encyklika *Rerum novarum* papieża Leona XIII). Jej twórcami są Hilaire Belloc i Gilbert Keith Chesterton. Dystrybucjonizm podkreślając wagę wolności, wielkie znaczenie dla jej utrzymania, upatruje w drobnej własności w przemyśle, rolnictwie, handlu. Tak, aby każdy był właścicielem. Natomiast nie pracował w wielkich korporacjach zatrudniających tysiące pracowników, którzy na różne sposoby są uzależnieni od nielicznych właścicieli tychże molochów. Spółdzielcze kasy oszczędnościowo-pożyczkowe miałyby stanowić antidotum przeciw systemowi bankowemu niczego nie wytwarzającego, a żyjącego z owoców pracy innych.

#### **Zastosowanie...**

Zastosowaniu papieru, raz po raz, wiesz czy się rychły kres. Tymczasem nic się nie zmienia w tej kwestii i wciąż można głośno krzyknąć: Niech żyje papier!

Chociażby z takiego oto powodu: Mięsięcznik, zresztą wielce zastrzyżony, „Twórczość” ukazuje się (mowa o końcu roku 2019) w nakładzie 1080 egz. Można założyć, i to założenie nie musi być wyłącznie teoretyczne, że np. styczniowy numer ze wspomnianego roku, przetrwa przez kolejnych 20 lat w tej samej ilości egzemplarzy. Takiego szczęścia, jeśli chodzi o trwanie, może natomiast nie mieć, takie czy inne, czasopismo internetowe. Ślad po nim może zniknąć w Internecie za sprawą np. zniszczenia serwerów, ataku hakerów, niezwykle silnej burzy magnetycznej. Może jakieś jego numery przetrwają jeśli zostały przezornie wydrukowane (to znaczy przybrały postać papierową, od której chciały „uciec”) bądź skopiowane na jakimś nośniku. Ale stan naszej wiedzy na rok 2019 wskazuje/podpowiada, że wbrew początkowym zachwytom i chętnym zapowiedziom, to, co zostało

na nich zapisane, nie jest wiecznotrwale. A nawet jest mniej trwałe od... papierowych zapisków.

#### **W aporetycznej...**

W *Aporetycznej nieśmiertelności* Piotra Augustyniaka zetknąłem się po raz pierwszy z zaskakującą myślą: dusza może być śmiertelna. Zostało to zaprezentowane wprawdzie jako sugestia, ale jednak myśl owa padła. W przeczytanych do tej pory przeze mnie książkach, nieśmiertelność duszy nie była w żaden sposób podważana. Co najwyżej, nie była brana pod uwagę ze strony autorów reprezentujących światopogląd materialistyczny.

#### **Widząc...**

Widząc martwego dzikiego ptaka, w pierwszej chwili, niezmiennie, winię za to człowieka.

Dopiero chwilę później wdziera się myśl: Przecież i one są śmiertelne.

#### **Nie rozumiem...**

Nie rozumiem, nie pojmuję sylwestrowego świętowania. Tej radości związanej z tym, że nadchodzi Nowy Rok. Chyba, że... chyba, że ta radość dotyczy faktu, iż radujący się, jak i wszyscy inni, jeszcze bliżej są śmierci. Więc może mimo szybko postępującej ateizacji, nie uświadamiając sobie tego, oczekują rychłego znalezienia się w innej rzeczywistości.

#### **Może...**

Może to, że osoby starsze często mają kłopoty z przypomnieniem sobie np. nazwisk wynika z tego, iż w przeciwieństwie do osób młodych, muszą przepatrzyć o wiele więcej niż one szuflad z fiskami bądź plików tekstowych?

DARIUSZ PAWLICKI



Małgorzata Dorna  
- Wendrychowska

## WSPOMNIENIE O ROMUALDZIE BUKOWSKIM (PODRÓŻ NIEZUPEŁNIE SENTYMENTALNA)

Ojciec zmarł nagle 18 października 1992. W jego przypadku owo konwencjonalne „nagle” nabiera głębokiego znaczenia. Zawsze pełen energii, zaradny, nieco ironiczny wobec własnych artystycznych poczynań. Na zewnątrz - uporządkowany, logiczny, elegancki w kontaktach towarzyskich, okazujący uwagę kobietom. Wewnątrz - ciągle romantyk, idealista, ktoś, kto mocno trzymając się w siodle - „rzuca serce za przeszkodę” i skacze. Zafascynowany tradycją rycerską, oczarowany determinacją polskiej jazdy we wrześniu 1939 roku, zauroczony miłem Hubala i Lotnej - wydawał się (tak po Gombrowiczowsku) bardziej chłopcem, niż dzieckiem podszyty. Zbierał medale, wizerunki żołnierskich orzełków, kolekcjonował monety i wojskowe, szczeniaki guziki. Posiadał w swych zbiorach ryngraf z symbolem Pogoni, a w przepastnych szufladach przedwojennego biurka - dziesiątki przestylizowanych wizerunków orła, raz w koronie na biało-amarantowym tle, kiedy indziej skromnego, bez korony, „piastowskiego orła” z czasów PRL-u. Żył w jakimś niebezpiecznym zawieszaniu między tradycją II Rzeczypospolitej i okresem owej Polski mu współczesnej, okresem przychylnego artystom „tamtego”, postrzeganego z przykrym dystansem, od dawna już „nie jego” - kraju. Marzył o karierze pisarza. Konstruując postacie, naznaczonych piętnem samotności i ciszy, niejednolitej w swych wyborach i gestach bohaterów nieukończonych, nienapisanych powieści - wzorował się na prozie szwajcarskiego dramaturga Maksa Frischa. W tekście „Homo Faber” podobał mu się sposób prowadzenia narracji, owe aluzje i niedomówienia, odautorskie sugestie, które pozwalają się tylko domyślać prawdy, zbliżyć się do niej, ale nigdy - odkrywać ostatecznie. Podążając tropem jego literackich rozważań próbuję z okruczeń zapamiętanych scen i krótkich, lapidarnych wypowiedzi - odwrócić wizerunek nieobecnego od dawna w życiu publicznym i ciągle obecnego w moim - człowieka.

Jest rok 1978, schyłek „dekady gierkowskiej”. Ojciec wchodzi w najtrudniejszy i równocześnie w szczególnie piękny, dojrzały etap swego zawodowego życia. Conradowska „smuga cienia” została już przekroczona, ale smuga ciszy, owej samotności uczciwego i aktywnego polityka, który nie godzi się zaszyć w pracowni i tworzyć - jeszcze daleko. Jako nauczyciel rysunku i estetyki, jako „animator kultury” - wydaje się być u szczytu swych możliwości. Od czterech lat dyrekturuje sopockiemu BWA, galerii znanej dobrze w tamtym kraju, w kraju którego już nie ma. Podobno należy do szczególnie wymagających dyrektorów, sam działa „akcyjnie”, pracuje nocami, z pasją i poświęceniem, którego oczekuje także od innych. Inni narzekają trochę po kątach, szanują i chyba nawet lubią swego szefa, pomimo zarwany nocy - pracują z nie mniejszym entuzjazmem, niż jego. Od czterech lat ojciec spełnia swe wielkie, romantyczne marzenie o galerii na miarę czasu, który jak pisał był w swej nieopublikowanej

prozie „należał do czasu Marsa” lub bardziej precyzyjnie - do roku poprzedzającego nadejście Apokalipsy, owej „dekady mrocznej gwiazdy”, kiedy to „Ziemia podążając wciąż po peryhelium orbity obróciła się po raz setny i pierwszy.”

Tak, więc dyrektor galerii, zgodnie z hasłem zapisanym drukowanymi literami na kawałku kartonu, celowo chropawo, „od pędzla” i umieszczonym na wprost wejścia, nad ciemnym, masywnym biurkiem („za błędy poprzednika obecny dyrektor nie ponosi odpowiedzialności”) organizuje wystawy, przeglądy, festiwale, gromadzi eksponaty do kolekcji sztuki współczesnej, wydaje kwartalnik zatytułowany „Katalog” i czyni to wszystko jak zwykle „w tempie”, pracowicie, bez zbędnych komentarzy, bez szumu, (dzisiaj powiedziałoby się) bez „medialnego rozgłosu”.

Prowokacyjną i mocną, wyrazistą reakcją galerii sztuki na wydarzenia „czasu Marsa” stają się dwie wystawy z roku 1978, operujące właściwymi dla teatru środkami ekspresji, ekspozycje zatytułowane: „Barykada” oraz „Wizerunek Człowieka Współczesnego”.

Oto kolejna rocznica 11 listopada, dyskretnie przemilczana przez wybrzeżową prasę. Oto akcja z pogranicza sztuk, uzupełniona fragmentami poezji C. K. Norwida, J. Słowackiego i J. Tuwima, dobranymi starannie przez autorkę literackiej oprawy całości - Miłkę Bukowską, wtedy jeszcze doktorantkę Uniwersytetu Gdańskiego. Oto tytułowy happening - „Barykada”. Parterowy pawilon, przestronny z charakterystycznym belkowaniem i betonową, pokrytą czarną farbą posadzką, widoczny bo od ulicy - oświetlony reflektorami, agresywną bielą, punktowo. Na betonie gipsowe odlewy rzeźb Edwarda Śitka i grona zaprzyjaźnionych artystów. Odlewy grubo ciosanych płyt, nagrobków, fragmentów strzaskanych posągów i pomników, prostopadłościaków jakby świeżo wykutych, z naniesionymi inskrypcjami.

Oto fragment prozy ojca, zachowany w pozostałym maszynopisie: „A więc zmierzony rytm serca. Bieg wzdłuż niekończącej się ściany. Szkielety wysokich domów. Jakieś estakady. Zniszczone wiadukty. Rozpadające się mosty. Kamieniste koryto wyschniętej rzeki. Załem bieg. Wypalona ulica. Pył rozsypanyj się cegły. Wreszcie wylot. Mocno iluminowane wnętrze.”

Zapada listopadowy zmierzch. Coraz gęstszy tłum przed galerią. Chłód i równie gęsta, matowa, wilgotna mgła od morza. Czekają teraz w milczeniu, cierpliwie, aż punktualnie o 19.00 główna brama zostanie otwarta, a ci którym starczyło wytrwałości i chęci - staną się aktorami artystycznego działania. Każdy z nich przeniesie wybraną formę rzeźbiarską aż do miejsca, w którym powstanie architektonicznie czysta, biała

i stylistycznie nienaganna, uporządkowana struktura. W poprzek domniemanej ulicy staje symboliczna barykada, budowana powoli, spokojnie, z jakąś bolesną konsekwencją, w głębokim, przejmującym milczeniu. Ktoś gra na fortepianie Chopina, z patosem którego nie sposób zaakceptować bez głębokiego wzruszenia. Zanim wybrzmi ostatni akord na szczyt barykady zostaje wciągnięta biało-amarantowa, wąska, delikatna i ulotna jak romantyczne marzenie o niepodległej - połyskliwa, je-dwabna wstążka. Reflektory gasną powoli, pawilon wypełnia mrok.

Rozchodzimy się smutni, bez zbędnych gestów i słów, w poczuciu że dane nam było uczestniczyć w czymś ważnym, co może łatwo zrozumieć, ale zaakceptować nie sposób.

- Artysta musi czuć się odpowiedzialny - tłumaczy mi później ojciec, gdy już siedzimy w jego gabinecie przy kawie. - Za każdy kompromis zapłacisz brakiem szacunku dla siebie. Ty nie czujesz tego zniewolenia, omotana tą swoją literaturą jak nicią pajęczą. I nie popadaj w euforię... Skorzystaj z tej dziwnej szansy, pisz, drukuj. Ważne kto i dla czego to czyta. W najlepszym razie zostanie po tobie sterła podniszczonych wycinków prasowych i kilka wydanych (przez grzeszność) katalogów.

Oto lato 1978. Koniec roku szkolnego lub (bardziej optymistycznie) początek wspaniałych, rozdożywanych, sopockich wakacji. Za kilka lat galeria straci w pożarze gromadzoną starannie i przechowywaną z pietyzmem - kolekcję malarstwa, grafiki i rzeźby. Za kilka lat ojciec przestanie być dyrektorem BWA, a na obszarze „Najjaśniejszej Rzeczypospolitej” (jak mawiał, nie bez ironii - uniwersytecki historyk Wacław Odyniec) zostanie wprowadzony stan wojenny. Na razie w sopockim BWA przygotowuje się eksponaty do nowej, pomyślanej z ipsis teatralnym rozmachem ekspozycji. „Wizerunek Człowieka Współczesnego” - narracja prowadzona linearnie. Kolejne etapy życia bohatera wyznaczają usypane z nadmorskiego piachu, pokazanych rozmiarów kopce. Jest zatem kopiec symbolizujący dzieciństwo, z drewnianą, mocno szczeniataką kołyską i powitykanymi w piach kukiełkami. Okres adolescencji i zachowane, pamiętające schyłek wieku dziewiętnastego biurko, zarzucone zapętnionymi starannym piśmem kajetami, szklany kałamarz i obsadki ze stalówkami, wreszcie - Atlas Świata, zapisany „gofykiem”, otwarty na stronie, gdzie mapa Europy bez naniesionego konturu mapy Polski. Dalej kopiec z fragmentem kobiecej sypialni, zełtate suknie, fatałaszki. Na wysokim krześle mundur żołnierza - legionisty, pamiętający jeszcze wojnę o granicę wschodnią z 1920 roku. I znowu fotografie, dokumenty, stół przykryty kilimem z umieszczoną centralnie szpadą.

Dzisiaj ten sposób opowiadania historii obecności człowieka, po którym pozostają ślady, przedmioty, pamiątki, ubiory – wydaje się czymś naturalnym. W latach siedemdziesiątych typowa przestrzeń wystawiennicza przypominała zwykle zimne, poprawnie zagospodarowane sale muzeum. W galeriach oglądano się przeważnie na sterylnie białych ścianach lub na kubikach uporządkowane tematycznie „artefakty”. Oczywiście, że wiało nudą, tym bardziej, że powtarzały się te same nazwiska, te same (jakże przewidywalne) formy wypowiedzi. Ojciec deklarował publicznie: „Nie boję się awangardy” (taki tytuł nosiła jedna z jego programowych wypowiedzi dla wybrzeżowej prasy) i myślał, że pozostał wierny owej deklaracji do końca. Sam nigdy nie oddawał się sztuce wykraczającej poza konwencję wielkoformatowego malarstwa, naznaczonego piętnem realizmu, stonowanej kolorystyki, z dominantą beżu, szarości i bieli.

Z upodobaniem malował weduty i symboliczne postacie na tle panoramy Wilna, tworzył kompozycje statyczne, z czytelnym, fabularnym przesłaniem. Podobnie starał się uprawiać grafikę. Pracował mozolnie, zajmując się okazjonalnie linorytem, mezzofintą, rysunkiem. Jako organizator, animator kultury funkcjonował raczej „na ekstremach”.

W pracowni zdawał się żyć jakby w zwolnionym tempie, rozważnie, z jakąś zaciętością człowieka, który doskonale zdaje sobie sprawę z własnych, artystycznych ograniczeń. Droga, którą jako artysta podążał, szeroka i prosta jak pas startowy - robita

w latach sześćdziesiątych wrażenie zwyczajnej i bezpiecznej, nadmiernie uporządkowanej, monotonnej. W tamtym okresie dzielił czas między sztukę, pracę w szkole (w Liceum Hotelarskim, w Sopocie uczył rysunku i estetyki) oraz działalność społeczną, która w miarę upływu lat zaczęła nabierać charakteru mocno zaangażowanej politycznie. Zawsze po niewłaściwej stronie barykady, niby z umiarem, ale jednak w opozycji, jakby rozdarty wewnętrznie, rozdwojony w sobie, nie dowierający owej determinacji i odwadze, którą cechowały jego sejmowe przemówienia.

Oto początek lat sześćdziesiątych minionego stulecia. Sopocka willa, przy ulicy Żeromskiego 22. Okazała, otynkowana w kolorze piaskowym rezydencja, pamiętająca czasy Wolnego Miasta. Dom położony na wysoczyźnie, pod sosnowym lasem, gdzieś na skrzyżowaniu dróg. Usytuowany w umownym punkcie przecięcia, przenikania się kultur. Tutaj Wilno spotyka się z Warszawą, Paryż z (jakże odległą i urokliwą) Odessą. Czas obecny miesza się z minionym, czas historyczny z bardzo subiektywnym, prywatnym. Okno sypialni rodziców wychodzi na otoczony bujnym, niestrzyżonym żywopłotem, zarośnięty, ponemiecki ogród. Ojciec rodowity wilnianin. Rodzina ojca kameralna, niewielka, brutalnie oderwana od korzeni: trzech braci, najstarszy Janek i (młodszy znacznie od Romualda) Staszek. Dziadek niegdysiejszy oficer, co to (jak głosi legenda Bukowskich) jeszcze w rewolucję dokonał był efektownego raptu i porwał piękną Nadieżdę wprost z pensji dla dobrze

urodzonych panienek. Stanisław – senior, apodyktyczny, władczy, dumny „biełogwardziejek”, niepoprawny mitoman, marzyciel. Z wykształcenia inżynier – architekt, z powołania – romantyk o mrocznym, ponurym usposobieniu niedosłatego zęsańca. Babcia, spolszczone imię – Nadzieja. Subtelna, religijna, poprawnie władająca francuskim oraz biegle (w mowie i w piśmie) pradawnym językiem Konfucjusza. Wrażliwa lub może zbyt potulna, nadmiernie uległa mężowi czyli jak mawia Romuald – „spolegliwa”. Do niej to właśnie syn się zwraca elegancko „Pani Matko”, tak jakby nie opuszczał był nigdy rodzinnego siedliska, usytuowanego daleko, poza granicami realnego świata.

Tak, więc okno sypialni rodziców wychodzi na otoczony bujnym, niestrzyżonym żywopłotem – ogród. Od frontu, na pierwszym piętrze sporych rozmiarów taras obrośnięty grubymi pędami, kwitnących od maja do sierpnia bladym fioletem – glicynii. Pod tarasem tuje, krzewy mahoniu, błękitne świerki i nieco zmuszająca, zielona od mchu ławka, ukryta w (pachnącej cytrusami) dorodnej kępie jaśminów. Obok stara czereśnia, na której grubych konarach ojciec montuje dla mnie, zrobioną z deski i sznurów, prowizoryczną huśtawkę. Czereśnia oglądana przez okno z jego, z ojca, bardzo osobistej perspektywy. Z perspektywy przyszła, wędrowca, który pod koniec wojny musiał opuścić ukochane Wilno.

Na szerokim parapecie, w głębokiej, przyokiennej niszy – pedantycznie poukładane przybory malarskie: szpachle, stoje z farbami, szmaty pachnące werniksem,

Wojślaw Brydak



apteczne butle, ceramiczne wazony z pędzlami, przechowywane w brązowym szkle oleje i terpentyny. Gdy po latach, już w stanie wojennym powiem z bezczelną arogancją, że mogę ryzykować i zrobić właściwie wszystko, bo nie mam nic do stracenia – ojciec zaprotestuje: „Masz do stracenia właśnie owo „wszystko”. Widok z okna na ogród, szklankę gorącej herbaty, wygodne łóżko. Masz do stracenia wszystko, tylko tego jeszcze nie rozumiesz!”

To właśnie przy owym oknie, na stojąco, nieśpiesznie ojciec pije poranną kawę. Jego mocna sylwetka, podświetlona zdecydowanie, z drugiego planu zdaje się wypełniać, rozsadać od wewnątrz framugę. Popija tę kawę w milczeniu, paląc z zadowoleniem pierwszego, wyjętego z tekturowego, zdobionego kunsztowną ryciną pudełka – „Wawela”. Wstaje zawsze przed szóstą, każdego dnia, tak jakby tydzień składał się tylko z dni pracy. Wierny codziennym rytuałom, przeniesionym z odległego Wilna do (chyba nadal nie „jego”) Sopotu. Tato starannie ogolony, ubrany w nieśmiertelną, flanelową koszulę, w kratę. Gotów by zejść do pracowni natychmiast, zaraz po przebudzeniu. Teraz spokojnie sączący czarną, sypaną kawę, mocną, parzoną z fusami. Z uwagą smakujący tę kawę i (ciągle jeszcze trudne do uwierzenia, naznaczone dramatem wojny) życie. Celebryjący owo życie wyniesione z pożogi w wieku 28 lat, pełne entuzjazmu i pasji, mimo wszystko tak bardzo młodzieńcze. Gdy uważnie odstawa kubek jego wzrok przesuwają się nieśpiesznie, z ową powolną rozlewnością (tak typową dla ludzi zza Buga) daleko, poza granice ogrodu.

Ulica Żeromskiego obsadzana czarnymi, rosochatymi drzewami. Chrome, o pniach poskręcanych, pełnych narośli i zgrubień, na wpół martwe czeresienie rzucają krótkie, przygarbione cienie. W końcu czerwca owoce, podzielane przez szpaki toczą się wzdłuż chodnika, zatrzymują w załomach bruku, pośród małych kamyków, naniesionych tu jeszcze wiosną. W marcu na Łysej Górze topnieją ostatnie śniegi i ryszczok zamienia się w rwące strumienie. W wartkich potokach zimnej i czystej, niemal krystalicznej wody puszcza się małe stateczki. Stateczki drąży się w korze lub robi z kratkowanego papieru, wydartego naprędce z zeszytu. Pierwsze w życiu papierowe stateczki robi mi tato. Uczy jak składać papier, tłumaczy cierpliwie znaczenie każdego zagęcia, przykazuje by trzymać się linii. Czyni to z niekłamaną powagą, zaferowany, dokładny, staranny. Jego dłonie, o mocnych i krótkich palcach, silne i ciepłe – dają poczucie bezpieczeństwa. Wysuwające się wruszającym, nieporadnym gestem z najczęściej zbyt krótkich, powalanych tuszem i farbą, postrzępionych, przetartych mankietów – są jak domowe zwierzęta. Zdają się mruścić i prężyć, ocierać z lubością o papier. Pamiętam jeszcze gładko wygoloną twarz ojca. Kosmyki ciemnych włosów nad wysoko sklepionym czołem, wydatny nos, szerokie brwi, pełne, wyraźnie zarysowane usta. Rumiane, zbyt pulchne policzki, zdradzające ewidentną słabość do słodyczy. Pamiętam uważne spojrzenie szaro-niebieskich oczu i łobuzerski uśmiech, gdy mówi: moja córeczka, moja mała dziewczynka, Małgorzatka. Nikt nigdy tak później nie mówił...

Oto pracownia, na niewysokiej skarpcie, w mrocznym, nieco wilgotnym, pachnącym farbą, olejem i terpentyną, murowanym, mocno przeszklonym garażu. Z pierwszego piętra, z kuchennego okna, do którego dostępu bronią krzewy fioletowego i białego bzu – widać doskonale jej wnętrze. Po lewej od wejścia miejsce na piec do wypalania ceramiki. Miejsce niewypełnione, czekające

na lepsze czasy. Obok już zbudowane paleństwo i kuźnia. Konstrukcja wzorowana na tej z pracowni kowalstwa artystycznego Staszka Skury, legendarnego „Hefajstosa z Sopotu”. Ojciec własnoręcznie dobudowuje kolejne dwa pomieszczenia. Owej pasji budowania, remontowania, murowania – pozostanie już wierny na zawsze. Kocha fizyczną pracę, która daje wymierne efekty. Potrafi wymurować kominek (co prawda niemal bez cugu), postawić płot z szerokich, rozpołowionych bali, odstawiając strukturę, pociągniętego pokostem drewna. Potrafi jednego dnia nazwozić taczka polnych kamieni, założyć „skalniak” i przepakać ponad pół ogrodu (całość: 500 metrów kwadratowych zarosniętych zielskiem i perzem). Czyni to wszystko sprawnie z kilkoma przerwami na kawę i papierosa. Posiłki zjada w pospiechu, przekonany że ten kto je szybko równie szybko wykonuje swą pracę. Pracuje rzeczywiście z pasją, od świtu do nocy, jak sam mawia – „akcyjnie”. Ową „akcyjność” przeniesie po latach do sopockiego BWA, gdy zostanie dyrektorem galerii.

Zamontowane okno w suficie najdalego od wejścia pomieszczenia tworzy atmosferę wymarzonego poddasza. Ojciec pomaga robotnikom gdy kładą belki stropowe, pomaga gdy murują i tynkują ściany. W parterowej przybudówce powstaje „prawdziwe” atelier, przeniesione z marzeń i niespełnionych snów, takie zawieszono pod niebem, ponad dachami tamtego, zapisanego w biogramach impresjonistów, legendarnego Paryża. W wieku pięciu lub sześciu lat (nie ruszając się w istocie z miejsca) zwiadam wraz z ojcem pracownie dziewiętnastowiecznej awangardy, poznaję osobiście Van Gogha, zachwycam się tancerkami „samotnego arystokraty” Edgara Degasa i „białymi miasteczkami” Paula Cézanne. Bywamy na Salonie Odruzuonych, po którym oprowadza nas „handlarz obrazów” Ambroise Vollard, zaglądamy nieśmiało do Luwru i błąkamy się we dwoje po Montmartre by (popijając cytrynową lemoniadę) przyzwać się w kawiarnianym ogródku i podpatrywać życie francuskiej Bohemy.

W atelier ojca mam swój stół, swoją pierwszą sztalugę, przerobioną ze starego Pullmana. Mam swoje (nieco sfatygowane już) pędzle, dwie drewniane palety i wspaniałe tempery „Astry”. Farb olejnych nie wolno mi jeszcze dotykać. Bywa, że ojciec zostawia dla mnie resztki „Rowneya” i „Talenssa” w małych, kolorowych stoikach. Sam zbija ramy, przygotowuje grunt wedle dawnej receptury: klej granulowany z kopyt, taki stolarski, cuchnący, mocno rozgotowany plus biel czyli kreda w proszku. Sam przycina, naciąga szare i gęste płótno. Całe bele płótna i sterty drewnianych ram czekają miesiącami w garażu.

Tato odpoczywa przy sztaludze. Maluje na dużych formatach, wszystko w czerni, szarościach i bieli. Kompozycje figuralne, statyczne, niemal płaskie, bez światłocienia. Ludzie w obozowych pasiach, ludzie na walizkach, o twarzach smutnych, pooranych zmarszczkami. Ludzie na ostatecznych spojrzaniach. Ludzie na okaleczonych peronach, spoglądający martwym wzrokiem ku jakimś wyrwom, dołom i lejom. Ludzie pod zamkniętym semaforem. Smutni podróżni czekający daremnie na swój czas. Pasażerowie spóźnionych pociągów, przesiadający na zagubionych w wysokiej trawie stacyjkach, ku którym nie prowadzą żadne tory. Nie ma bowiem podkładów i szyn. Jest tylko oczekiwanie.

Ojciec pracuje w milczeniu. Zapisuje na płótnie te swoje koszmarnie, surrealne wizje, przeniesione z lat okupacji. Z lat niespodziewanej, brutalnej i nagłej, bolesnej

dorości, której dane mu było doświadczyć w rodzinnym, opuszczonym pospiesznie już po zakończeniu wojny - Wilnie. Wyidealizowany obraz onirycznego miasta, skąpanego w ciepłej, nasyconej ugrem i beżem, pastelowej poświacie powracają będzie jeszcze po latach, w precyzyjnie budowanych, konstruowanych z wyobraźni, z ipsis architektonicznym zacięciem - wedutach i panoramach.

W czasie wspólnych spacerów do lasu ojciec pokazuje mi młode, sprężyste buczki. Nasze symboliczne, rodowe drzewa rozpoznawalne jak herb, czy emblemat. Proste, strzeliste, o srebrzystych, połyskliwych i gładkich pniach, o pięknych w rysunku, niewielkich i delikatnych listkach, jesienią rudych, wyraźnie unerwionych, wiosną – trzepoczących w słońcu migotliwą, jasną zielenią.

Sterty bukowych konarów i ledwie okorowanej, żywicznej sosny zalegają pod ścianami pracowni. Oto pnie szarej olchy, z postawioną celowo misterną koronką korzeni, pachnące świeżą, wilgotną darnią. Oto pnie wydobyte wprost z morza, przeżarte solą, szczerbate jak owa sosna, z której Adam Smolana zrobił by swoją pamiętną „Nike Gdańską”, ustawioną w salonie BWA latem 1980 roku. Oto pnie sugerujące temat kameralnych, wycinanych z jednego kawałka lub „klocka”, szybujących ku słońcu i spadających w otchłań – „Ikarów”. W połowie lat sześćdziesiątych ojciec lubi wstuchiwać się w opowieści profesora i pilnie uczy się rzeźby. Czyni to na wypadek, gdyby sam miał kiedyś zamiar poprobować owej trudnej i jakże szlachetnej sztuki. Nie sztuki narracji rzecz jasna, a sztuki czytania materii, owego przyjaznego, miłego w dotyku, ciepłego i chropawego tworzywa, z którego wykluwają się coraz to nowe formy „Nike Apteros” (bezkrzydłych) i owych skrzydlatych „Ikarów”. Profesor wierzy bowiem i jest to wiara sprawdzona, poparta wielością prób, eksperymentów, że to właśnie materia, struktura pnia narzuca konkretne rozwiązania. Że nie rzeźbi się w drewnie, a w drzewie, w żyjącym, czującym organizmie, budząc to, co ukryte, tajemne.

Warunki powojennego życia zmuszają ojca do zgoła innej, niż owe eksperymenty rzeźbiarskie - aktywności. W tamtych czasach uprawianie sztuki abstrakcyjnej, nieprzedstawiającej oraz „sztuki dla sztuki” (nie dość że źle odbierane przez władze) stawało się rzeczywistym luksusem. Kuźnia, podobnie jak owo atelier - musiała zarobić na siebie.

I dlatego właśnie w kuźni robi się lekko w rysunku stelaże foteli i taboretów, do których mama szyje kolorowe pokrowce. Wszystko to wypycha się ręcznie. Wszystko według projektu ojca. Do tego dekoracyjne tkaniny, z naszytymi aplikacjami: ryby, meduzy, wodorosty. Mama nie chce być tapicerem i szwaczką. Zarabianie w ten sposób pieniądze uważa za ostateczny upadek. Na malarstwie nie można zarobić. Większość sopockich kawiarni i knajp ma jeszcze u schyłku lat sześćdziesiątych podobne, naznaczone piętrem inwencji twórczej mego taty - wnętrza. Żyjemy na niezłym poziomie. Do pierwszej klasy idę z nowym tornistrem, w eleganckim mundurku uszytym własnoręcznie przez mamę, z kupionym przez ojca piórnikiem pełnym (godnych pozazdrościć) przyborów.

Mam siedem lub może osiem lat, kiedy rodzice nagle się rozstają. Pamiętam tamten czas, czas poprzedzający ich osobność i moje zgubienie, dziecięce poczucie winy, samotność. Ojciec ciągle zapracowany i mama coraz bardziej odległa, zakochana w powieści Marcela Prousta, szukająca i odnajdująca swój czas osobny w malarstwie

sztalugowym. Sopocka malarka kwiatów, wyrafinowanie elegancka, zadbana, posługująca się zdaniami o długiej kadencji, płynnymi, jakby przeniesionymi w zachwycie z tamtej, tak odległej od życia – prozy. Pewnego zimowego wieczoru tato wychodzi z domu, oszczędzając nam łzawych, melodramatycznych scen pożegnania, teatralnych gestów i niepotrzebnych słów. Biegnę za nim po schodach, pełna buntu, rozpacz, rozgoryczona. Przytula mnie mocno i mówi spokojnie: „Tak trzeba”. Ileż razy owym lakonicznym „tak trzeba” będzie kwitował zachwyty świadków swoich ryzykownych, wymierzonych w cenzurę decyzji, odważnych wystąpień sejmowych, wreszcie owego sprzeciwu wobec wprowadzenia na terenie Rzeczypospolitej stanu wojennego. Wracając do lat sześćdziesiątych... Rozwód: bez orzekania o winie. Powód: lektura francuskiej powieści, le romain fleuvre i przekonanie, że ojciec nigdy nie dorósł do roli Swana. Mama rozżalona Odetta de Crecy – opowiadająca jeszcze po latach anegdoty. To takie niezwykle, tak bardzo w stylu sopockiej, niegdysiejszej Bohemy. Rozstać się z powodu literatury...

Jako nastolatka czytam namiętnie, uporczywie Prousta. Pragnę znaleźć ów powód, zrozumieć przyczynę. Pamiętam jeszcze ironiczne zdanie ojca, że Proust pisał był tę swoją powieść kilkanaście lat i trzeba lat kilkunastu (lub więcej) by ją, ową „nudną prozę”, w miarę uważnie – przeczytać. Proust pozostaje mi obcy. Tak obcy jak świat sopockiej, artystycznej Bohemy... Ojciec znika na ponad rok z mojego życia. Wyjeżdża do pracy na Hel, zajmuje się malowaniem kościołów, konserwacją, remontami, murarką.

Na święta, pierwsze święta bez choinki ubieranej specjalnie dla mnie w zrobione własnoręcznie przez tatę (zwykle nocami, w absolutnej tajemnicy) papierowe gwiazdki i tańcuchy, w malowane złotą farbą orzechy i zabawnie rozczapierzone, różwiczrzone szyszki - otrzymuję wyjątkową lalkę Eskimoską, mięciutką, w białym futerku, list i mnóstwo Wedlowskich słodyczy. Gdy po kilku miesiącach tato nareszcie powraca - zabiera mnie na cały dzień do swego nowego mieszkania, na jeszcze nie pełni zagospodarowanym strychu, w kilkupiętrowym domu przy ulicy Majkowskiego, róg Bieruta, dzisiaj - Haffnera. W jego dużej i jasnej pracowni czeka na mnie już nowe miejsce do malowania. Spotykamy się teraz co tydzień,

zawsze w sobotę, po szkole. W wakacje jeździmy nową „Syrenką” za miasto, by poczuć zapach wsi czyli jak mawia ironicznie tato: zapach gnojówki, pieczonego chleba i dymu z ogniska. Towarzyszy nam wtedy Barbara, wesota, energiczna, młodzieńcza. Barbara o niemal zielonych oczach, których serdeczne, pełne matczynej czułości spojrzenie - przywoływać będę ze wzruszeniem po wielekroć, w najtrudniejszych momentach życia. Barbara - kobieta zwyczajna i za sprawą owej zwyczajności - niezwykła. Celebryzująca tę swoją zwyczajność z eleganckim wyczuciem, taktownie i naturalnie, z jakże swojskim, niewymuszonym ciepłem i umiarem.

Okno pracowni taty, usytuowanej teraz na strychu kilkupiętrowego bloku (tak zwanej „plomby”) wychodzi na nieuczęszczaną w połowie lat sześćdziesiątych minionego stulecia, cichą i wąską, brukowaną, dość słabo oświetloną - uliczkę. Szeroki parapet (beton pociągnięty matową bielą, „od pędzla”) zarzucony papierami, zwiniętą w rulony kalką, drewnianymi ekierkami, niezliczoną ilością ołówków i cyrkli, mocno sfatygowanymi, powalnymi tuszem liniami - stanowi przedłużenie ogromnej deski kreślarskiej, na której robi się wszystko: maluje plakaty i ilustracje, przygotowuje projekty, pisze programy nauczania i konspekty lekcji, szkicuje. Nie ma czasu na malarstwo sztalugowe, nie ma też czasu na uprawianie grafiki - zarabia. W wolnych chwilach, na bardzo głośnej, rozklekotanej maszynie wystukuje swe książki i nie jest to jakaś ambitna literatura, a raczej cykl przydatnych w pracy nauczyciela estetyki i rysunku - podręczników. W tamtych zgrzebnych i skromnych latach tato staje się „panem od plastyki”, zatrudnionym na cały etat w miejscowym technikum.

W owym czasie mglistego zniewolenia ulubiona lekturą ojca było „Czekanie na Godota” Becketta, wystawiane też w teatrze „Kameralnym” w Sopocie, aż do owej nieszczęsnej, ale pamiętnej chwili, gdy po kolejnym spektaklu wyszedł był na scenę z lekką pijany pracownik odpowiedzialny za efekty specjalne i stwierdził z ponurą pewnością: „Ja jestem Godot”. Po tym surrealistycznym incydencie ojciec nie był już w teatrze, ale w sopockiej pracowni na poddaszu pojawiły się ogromne, monochromatyczne płótna z cyklu (nazywanego przez nas żartobliwie) „Wisielczym”. Kompozycje były proste i mocne: szubienica w planie pierw-

szym, gołe stopy mężczyzny wiszącego na tle nieba, w głębi (podświetlone z drugiego planu) całe rzędy szubienic, a gdzieś na horyzoncie, delikatna w rysunku, malowana wrażliwie z lekką kremową bielą - panorama Wilna skąpana w smugach bladej, chłodnawej poświaty lunatycznego, a więc nie przynależnego żywym, ogrodu.

Ostatnie lata swego życia spędza w wyremontowanym przez siebie, niewielkim domu przy ulicy Zbyszka z Bogdańca, we Wrzeszczu. Wydaje się, że ma wszystko: jasną, przestronną pracownię, doskonałą pracę w Sopockim BWA, kochającą żonę Barbarę i wiernego spaniela Kapra. Owo „wszystko” traci jednym gestem, gestem człowieka honoru, który (jak mawia później z udawanym zakłopotaniem) w nieodpowiednim momencie podniósł był rękę na Sejmie, głosząc (jako jedyny) przeciwko wprowadzeniu na terenie Rzeczypospolitej stanu wojennego. Zima 1981/82 wijąca syberyjskim chłodem uczyniła z domu ojca miejsce szczególne i bliskie, bezpieczne jak „arka w powodzi”. W każdą niedzielę, przed południem spotykają się tutaj artyści na niekończących się dyskusjach, przy kieliszku koniaku i kawie. Używa się patetycznych słów, czytuje wiersze Miłosza i Herberta, prowadzi polityczne spory. Walkę gdańszczan - nazywa się romantycznie „powstaniem”. Gest Romualda Bukowskiego, który kosztował go życie - gestem „Rejtana Północy”.

Na cmentarzu w Oliwie zachował się jeszcze grób Romualda i Barbary: prosta kamienna płyta z krzyżem czarnym, szerokim, położonym symetrycznie pośrodku. Powracają ironiczne słowa: „Nie maluj tak kaligraficznie, starannie. Nie stosuj wszędzie symetrii... Symetria to piękno głupców. W sztuce potrzeba odrobiny ryzyka, szaleństwa. Czasami trzeba się odważyć.” Powracają konkretne obrazy: ojca masywna, pewnie zbyt ciężka sylwetka (szary, znoszony płaszcz i kapelusz), szeroki, serdeczny uśmiech i owo karcące spojrzenie, które czyniło ze mnie zawsze nie dość dobrze przygotowaną uczennicę, co to jednak, mimo wszystko się stara... Kolejna jesień bez niego, słotna, milcząca, pochmurna. Przez bramy „lunatycznych ogrodów” przechodzi się w samotności i w ciszy, mrużąc oczy od blasku, który jednych przyciąga mistyczną gamą złocistości i ciepła, innych swoim metalicznym chłodem - kaleczy, zniewala, przesywa.

MALGORZATA DORNA (WENDRYCHOWSKA)





## Marek Wołyński

## WAGA OKRUCHÓW

Przełamałem na pół  
kromkę chleba

A kiedy się nią dzieliłem  
z samym sobą  
smuga porannego światła  
sprowadziła na ziemię  
okruchy

Te najmniejsze  
uciekły  
przez szparę w drzwiach

Zawsze biegną  
do śpiewu ptaków

## DEPRESJA METAFOR

Metafory  
też tracą równowagę –

wypełniają wtedy wiersze  
matowym zmierzchem  
a znaczenia rozrzucą  
niespokojny wiatr

Niewiele mówią

Przyciskane piórem  
zbierają się w sobie  
na deszcz

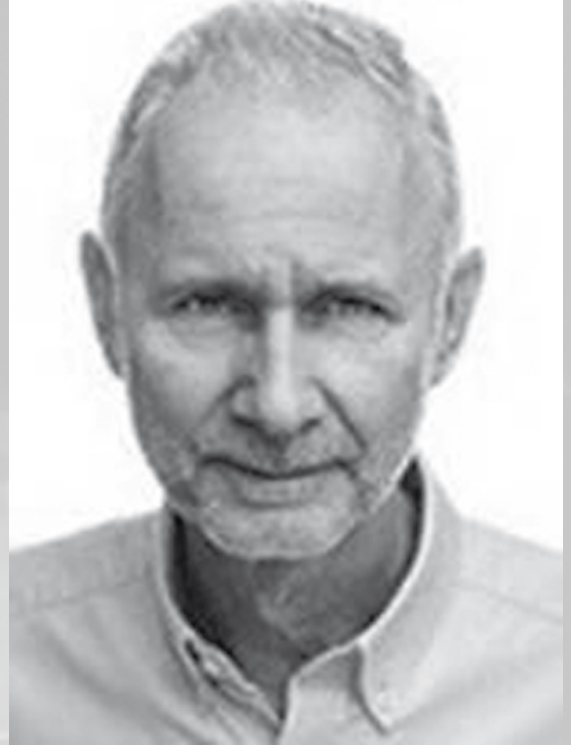
Czasami  
zamieniają kartkę  
na grudkę ziemi  
w dłoni

Marek Wołyński jestem absolwentem Studium Kulturalno-Oświatowego w specjalizacji teatralnej we Wrocławiu (1980) oraz Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu (1985). Debiutował w 1981 r. w prasie studenckiej. W latach 80. publikował m.in. w *Szpilekach*, *Radarze*, *Integracjach* i miesięczniku *Opole*. W 1986 r. został laureatem ogólnopolskiego konkursu Młodzieżowej Agencji Wydawniczej na książkowy debiut poetycki (zbiór *Ściszonym głosem*), zdobywając równorzędną, pierwszą nagrodę. W 1992 r. wydał w Opolskiej Oficynie Wydawniczej WERS zbiór wierszy *Arena*, a w 1999 r. ukazało się bibliofilskie, pierwsze wydanie *Miłosnego abecadła*.

Od 1993 roku jest członkiem Związku Literatów Polskich.

Kilka lat temu – po blisko 20-letniej przerwie – wrócił do pisania, wydając nakładem Wydawnictwa ANAGRAM zbiory wierszy: *Mój labirynt* (2017), *Miłosne abecadło* (wydanie II, 2018), *Moje legendy* (2019) i *Pod ciężarem skrzydeł* (2020). Swoje wiersze publikował ostatnio m.in. w miesięcznikach: *Odra*, *Śląsk* i *Akant* oraz w kwartalniku literacko-kulturalnym *LiryDram* i *Postscriptum*. Również na portalach internetowych, takich jak choćby: *Pisarze.pl*, *Współczesna Polska Poezja*, *Helikopter*, *Moja przestrzeń kultury*, *Gazeta Kulturalna* i *Poezja na każdy dzień*.

Pisze też felietony i miniatury prozą – w tym roku ukazały się jego dwie najnowsze książki – *Na różne tony* i *Dookoła głowy* – zawierające krótkie formy literackie oraz felietony.



## SERCE

Pochyłam się nad wodą  
i głęboko  
zanurzam w niej rękę

Trzymam  
moje odbicie –  
jest ciężkie

Jak lekarz  
na operacyjnym stole  
szukam serca

Jest!  
Bije jak oszalone –  
ma płetwy  
i ogon

Zamykam je w dłoniach  
wynoszę na słońce  
uspokajam  
każdą kolejną  
odrobiną powietrza

## CHMURNOŚĆ

Tyle deszczu  
z nieba  
ile kropli  
w słowach  
o nim

a w myślach  
wciąż za mało  
słonecznych  
promieni

by nimi  
niebo  
przeniknąć

Marian Kisiel

## MAŁY CMENTARZ (5)

1

Śmierć  $\Psi$ . uzmysłowiła mi, że mistrza słowa czeka trudne życie pośmiertne. Zbyt wielki, żeby małe pióra mogły o nim zaczerpnąć stronicę gazet; zbyt odrębny, żeby stać się częścią wspólnoty; zbyt wyniosły, żeby zejść do poziomu kolokwialnych rozmów i gestów uwłaczających manierze i gustowi.

2

Są tacy, którzy napiszą, bo im się optaca. Są tacy, którzy nie napiszą, bo im się nie optaca. Klasyczna jedność. Z wielu spotkań wychodziłem niezadowolony. A na spotkaniach towarzysko nieoczywistych doznawam nieoczekiwanego olśnienia.

3

Zakłopotanie często mylone jest ze wstydem. Pierwsze jest nieumiejętnością wypowiedzenia, drugie smutkiem z powodu pierwszego.

4

Pojawia się w chwili, kiedy straciło się nadzieję na odmianę losu. Głębina wynosząca na powierzchnię jeziora, poryw wiatru unoszący nad drogę. Miłość.

5

Maksym Gorki, *O Żydach*, przekład mój. — „Zdumiewa mnie duchowa niezłomność narodu żydowskiego, jego mężny idealizm, niezłomna wiara w zwycięstwo dobra nad złem, w osiągalność szczęścia na ziemi”.

6

Umarł  $\Sigma$ . Kilka telefonów. Jakbyśmy potrzebowali potwierdzić swoją tęczność z nieboszczykiem. — Potwierdzamy. Może w ten sposób czytamy jakiś zwój mózgu, może oszukujemy pamięć? Ale co to może znaczyć dla nieboszczyka? Czy ulżymy mu w jego linii prostej, której już na wieczność został przypisany? Czy cokolwiek zamieszcza my w proszku, który się zbrzyli pod powłoką kamienia na cmentarzu?

7

Rudbekia. Kwiat słoneczny. Pełnia szczęścia.

8

O tylu rzeczach chcielibyśmy zapamiętać. Im bardziej tego pragniemy, tym intensywniej to, co niechciane wchodzi na próg pamięci. Nie chce go opuścić.

9

Kiedy we śnie przychodzą umarli, a ty we śnie przemierzasz — zapamiętane z daw-

nych lat — rozmaite pokoje, to znak, że czeka cię niespodzianka. — Będzie jakaś niespodziewana obecność, jakieś spotkanie, o którym nie sądziłeś, że może się zdarzyć. — Tak tłumaczyła mi powrót zmarłych, *apopharades* (choć tego słowa nie znała), moja mama.

10

O sobie. — Codziennie wstaję o 6.00 i zaczerpnę papier.

O innych. — Codziennie wstaję o 6.00 i zaczerpnę papier.

11

Kocham bezsens, który jest przypadłością wszystkich.

12

Każda nowa miłość rozrywa stare przyjaźnie. Sądzymy, że osiągnęliśmy pełnię, a to tylko powiększyła się próżnia wokół nas.

13

Środek nocy, *medium nox* jest, jak chciał tego Karl Jaspers (*Antynomia dnia i nocy*, w: *Panorama myśli współczesnej*, ed. Gaëtan Picon, Libella, Paryż 1967, s. 94), „pasyjny”; to znaczy „przebija wszystkie nakazy. Rzuca się w ponadczasową otchłań Niebytu, która wciąga wszystko w swoje wiry”. Do pasji nocy „nie przemawiają powinności ani cele; jest ona zatraceniem i pragnieniem unicestwienia się w świecie, aby siebie zrealizować w głębi unicestwienia świata”. A przecież po nocy przychodzi dzień i jego mądrość często pozwala powstrzymać to, co w namiętej ciemności wciągało nas w wir.

14

Elias Canetti, *Księga przeciwko śmierci*, postawie Peter von Matt, przeł. Maria Przybyłowska, Pogrnicze, Sejny 2019, s. 132: „Zgromadziłem bibliotekę na trzysta lat z górą, a wszystko, czego teraz potrzebuję, to tych lat”. — W jednym z dawnych wierszy — opublikowałem go później w *Wypominkach* — nazwałem bibliotekę „kolumbarium”: „Te książki / przecież przeszły przez moje ręce, // dotykałem je, przeglądałem, / może nawet czytałem, // stoją równo / w kolumbarium gabinetu. // Biblioteka: / śmierć tu szczeka”.

15

W roku 1994 pojawił się w „Przeglądzie Literacko-Artystycznym” (nr 4, s. 19) wiersz *Synteza*. Piętnaście lat później włączyłem go do tomiku *Wypominki*, był w kilku antologiach. Przełożony został na języki serbski (Aleksandar Šaranac) i hiszpański (Abel Murcia). Rzadko się zdarza, by wybitni tłumacze pochyliłi się nad tym samym wierszem.

## Synteza

Szukałem po bibliografiach, szperałem po gazetach, czytałem stopy książek; zapisałem setki arkuszy drobnym piśmem, wyszło wielkie nic;

a teraz odnajduję na marginesach, w podkreśleniach, kawałkach papieru, wetkniętych byle gdzie, myśli, konspekty, zarysy nie spełnionej całości;

jakaż wielka synteza uśpiona jest w tych strzępach;

lecz już jej nie napiszę, już nic nie pamiętam,

straciłem kawał życia na próżno, przeszedłem rzekę nie w tym miejscu, co trzeba.

## Síntesis

Busqué en las bibliografías, husmeé en los periódicos, leí montañas de libros; llené de notas con una letra minúscula cientos de pliegos, el resultado fue una gran nada;

y ahora encuentro en los márgenes, en los subrayados, en trozos de papel metidos en cualquier parte, pensamientos, resúmenes, esbozos de un todo irrealizado;

ahí una gran síntesis dormida en esos restos;

pero ya no la escribiré, ya no recuerdo nada,

he perdido un pedazo de vida inútilmente, atravesé el río no en el lugar en el que había que hacerlo.

## Синтеза

Тражио сам у библиографијама, превртао по новинама, читао брда књига; записао сам стотине табака ситним рукописом, добио сам велико ништа;

а сада проналазим на маргинама, у сарџајима,

на комадима папира убаченим било где,  
мисли,  
нацрте,  
обрисе не испуњене целине;

некаква велика синтеза је успавана у  
тим одломцима;

али већ не могу да је напишем,  
већ се ничега не сећам  
узалуд сам изгубио комад живота,  
прешао сам реку на погрешном месту.

## 16

Raz jeszcze Canetti, s. 118: „Ktoś, kto mając trzydzieści lat, dokonał już dzieła swojego życia, a potem dożył jeszcze setki. Miałby czas, by przeżyć swoją sławę, przeżyć zapomnienie o sobie i powtórne odkrycie jego osoby”. — Takie słowa mógł napisać tylko pisarz sybaryta. Dzisiaj w sklepie usłyszałem rozmowę dwóch pań — mówiły, że nie chcą dożyć stu lat. Z uśmiechem zaprotestowałem. A potem pomyślałem, że jedna musiałaby jeszcze pół wieku stać za ladą, a druga taszczyć ciężki torby. — Tak, sto lat to za wiele. Żyjmy dla siebie, a nie po to, by pisarz sybaryta miał o czym pisać.

## 17

Pożądanie zawsze odrywa od pracy. Praca nuży, pożądanie obiecuje więcej.

## 18

Ludwik Flaszen, *O trudnym kunszcie womitowania*, „*Życie Literackie*” 1955, nr 44: „Nadszedł czas Wielkich Torsji. Womitujemy przeto, bowiem womity są zdrowiem samym. Niech wrą w brzuchach oczyszczające fermenty. Womitujemy w lewo i w prawo, w przód i w tył, womitujemy ustami i gałkami ocznymi, rękami i nogami, dużym palcem lewej nogi i wskazującym palcem prawej ręki. Każdy niechaj womituje całym sobą, wszelki zaś, najmniejszy nawet organ niechaj womituje własnym przemysłem”. — Zawsze znajdzie się odpowiedni kontekst dla tych słów.

## 19

Śmierć się powtarza.  $\Psi$  i  $\Sigma$  przez tyle lat razem, a potem rozejście, milczenie. Jeśli ktoś uważa, że można naprawić, co się zerwało, jest w błędzie. Zerwanie nie boli do ostatniej sekundy życia. Ale nie można o nim zapomnieć. Kto był winny zerwania? Może nikt nie był winny. Czasami ulegamy jednemu zdarzeniu, a ono nas prowadzi ku milczeniu.  $\Psi$  i  $\Sigma$  już nie przemówili do siebie, jak dawniej.

## 20

Jeszcze raz o tym samym. — Wystarczy jedno zdarzenie, by po intensywnej wspóto-

becności, zapadło milczenie. Już nigdy nie będzie powrotu do dobrej rozmowy.

## 21

Wielimir Chlebnikow, mój przekład wiersza z roku 1912, bardzo znanego i może najbarziej tradycyjnego z tradycyjnych u tego futurysty eksperymentatora, który w „zaumie”, to jest w języku pozarozumowym, chciał dotrzeć do tego, co nieosiągalne w mowie żywej, która z nami się rodzi i z nami umiera.

Gdy konie umierają — dyszą.  
Gdy trawy umierają — schną.  
Gdy słońca umierają — gasną.  
Gdy ludzie — pieśni śpiewają.

## 22

Pogrzeb L. Przepisuję zakończenie mojego z nim pożegnania („*Śląsk*” 2021, nr 8, s. 47): „Wtorek 20 lipca był słoneczny, nawet upalny. Szliśmy na cmentarz przy ulicy Miodowej atakowani z wsząd najeżdżającymi koparkami, spychaczami. Kraków nie próżnował w dążeniu do upiększania miasta. Odbierało to powagę ostatniego pożegnania. Tak myślałem wtedy. Ale teraz myślę inaczej. Bo co buntuje się przeciwko śmierci? Życie. Koparki, pneumatyczne młoty, które zakłócały uroczystość pogrzebową, głuszące rozmowę w kondukcje żałobnym — były po stronie życia”.

## 23

Kiedy zdało mi się, że zatrzymał się świat, ty go znów poruszyłaś delikatną ręką.

## 24

Strzępy życia. — Jest najskromniejszym poetą polskim. Jego wiersze nie gubią się w zawitościach stylu. Bliżej im do milczenia niż do słowa, mają formę gnomiczną. Wyraстая z codzienności i tworzą metaforę losu. Poeta mówi, że istoty bytu szukać należy w (nie)doskonałości. Wtedy skończoność i nieśmiertelność ujawniają swoje piękno i okrucieństwo. „Przez uśmiech / prześwituje / czuwający w tobie popiół”; „a bóg smakuje chwilę / jak my wieczność / z nadzieją”. Andrzej Szuba wymaga od czytelnika, by medytował słowo, dlatego go skąpi. Im mniej słów, tym żywsza praca wyobraźni; im mniej literackich aluzji, tym silniejsza interpretacja. W tej wielkiej poezji metafizycznej „jesteśmy wszystkim / co nastąpiło po pustce / i co ją poprzedza”. I jest „nicność której / nie starcza / żeby nas ogarnąć”.

## 25

Wszystkie smaki ciszy. — Najpierw wzruszająca dedykacja: „Dla mojej córki, Sybilki”. Potem wiersz: Listy — gdy je jeszcze piszemy, a w nim słowa, że „nie należy się bać słów”. I wyjaśnienie: „Bo słowa prowadzą nas od niespełnienia do spełnienia”. I pointa: „Bo jak powiedziałaby poetka Anne Sexton: / Ma-

rzenie o spełnieniu spełnia się w spełnieniu. / Nie w oczekiwaniu. Nie w milczeniu”. Gdzie nas „prowadzą” słowa? Czym jest „spełnienie”, do którego dążymy? Dlaczego „oczekiwanie” jest tym samym, co „milczenie”? Nawet jeśli domyślam odpowiedź, chcę ją za wszelką cenę usunąć na margines lektury. Sezon lotów trwa Zbigniewa Joachimiaka jest tomem wierszy przywołujących ciszę. Wszystkie jej smaki. Poeta czyni pamięć, której nie chcemy czynić zła, główną interlokutorką swojego życia. Pamięć jest dobrą ciszą.

## 26

W wierszu *Jak pachniał mój ojciec* najpierw zatrzymuje nas to pytanie. Okrutnie zwraca się ku tobie/mnie. Czy pamiętasz/pamiętam? Czy o tym myślałeś/myślałem?

Nie wiem jak pachniał mój ojciec tuż po śmierci.

Nie wiem, bo nie chciałem wiedzieć  
jak pachnie śmierć,  
jak pachnie koniec,  
jak pachnie ciało,  
gdy jest jego koniec.

Ja akurat wiem, „jak pachniał mój ojciec tuż po śmierci”. Kiedy jednak pyta mnie o sensualność poeta, to muszę mu odpowiedzieć podobną emocjonalnością. Zmysłowość ma swoją logikę, ale nie mieści się ona w logice przedstawień. To, co racjonalne, nie przeżyło się na ogniu, jaki nas trawi; nie odkryje przed nami tego, co już kryje popiół. „Wystarczy mi stawać przed tym tekstem. Zapach powraca bezbłędnie”. Metaforyzuję tutaj doświadczenie, ponieważ Zbigniew Joachimiak pragnie odsunąć grzę ostateczności. Chce zatrzymać lepsze, które wcale nie jest gorszą wersją dobrego. Umyka w otchłań retorycznej *elocutio*, ta zaś oddala nagłość śmierci.

## 27

Jak pachnie wspomnienie? Jaki ma kolor? A jak pachnie śmierć. Albo nieobecność? Albo jak smakuje cisza? W istocie rzeczy nad tym się nie zastanawiamy. To jest pytanie o synestezję, która nie ma dobrego zadomowienia. Synestezja króluje w naszym myśleniu, lecz nie potrafi się w nim usamodzielnic. Poeta często czyni z synestezji główną figurę myśli. Przede wszystkim dlatego, że jest ona figurą pamięci. Pamięć ma tę szczególną właściwość, że sytuuje się na różnych płaszczyznach emocji: smakuje, wącha, słyszy, dotyka i — najważniejsze — widzi. Naturalnie, wszystko odbywa się metaforycznie, poza rzeczywistością, ale także jest *sensu stricto*. Bo pamięć nie zna granicy między rzeczywistością i nierealnością. Czy zna ją poeta? Nie zna, to pewne. Jeżeli jednak widzi jakąkolwiek granicę, to tylko taką, która jest pomiędzy realnym wspomnieniem a zmetaforyzowanym widzeniem. Co jest pierwszym, a co drugim?

## 28

24 sierpnia 2019, umarł Janusz Kryszak —

jeden z najwybitniejszych badaczy polskiej literatury tzw. Drugiej Emigracji. To określenie, którego był bodaj twórcą i jednym z najaktywniejszych propagatorów (w konfrontacji z tracącym na znaczeniu pojęciem „literatura emigracyjna”), od przynajmniej dwudziestu lat stosowane jest z pożytkiem w historii literatury i krytyce literackiej. Odwołuje się ono do romantycznej emigracji po roku 1830, ale z wyraźnym przesunięciem znaków wartości. Tamta emigracja (zwana „wielką”) i nowa emigracja (przez jej uczestników określana jako „mała”), nie są tożsame ani od strony dzieł literackich, ani wpływu na świadomość współczesną. Dlatego to znaczące rozróżnienie, które nie zawiera pierwiastka oceniającego. Pierwsza i druga emigracja były wielkim doświadczeniem Polaków, określiły losy narodowej twórczości w sąsiadujących z sobą stuleciach, ale pieczętowały się innymi osiągnięciami, innym kodeksem wartości, odwoływały się też do innego katalogu artystycznych kategorii. Te dwie emigracje nie są więc porównywalne, choć pierwsza wpływała na drugą, a druga chętnie żywiła się legendą pierwszej.

## 29

Jeszcze o Januszu. — Był mistrzem mikroanalizy, potrafił w niewielkim studium zawrzeć najważniejsze problemy jakiejś twórczości. Zmysł uogólnienia sąsiadował u niego z wyczuleniem na głębię metafory, postulat programu, szczegół liryczny. Wartością dodatkową była piękna polszczyzna, o jaką stale toczyli boje polscy emigranci, a z którą coraz częściej statystyczny Polak ma na bakier. Wiele jego szkiców emigracyjnych ma charakter „portretowy”. W istocie rzeczy traktował o jednym z oblicz polskiej poezji emigracyjnej, rozpoznawalnym przez specjalistów, lecz chyba słabo kojarzonym nawet przez wytrawnych czytelników liryki polskiej drugiej połowy XX wieku. Każda z postaci jego refleksji ma swoje miejsce na kartach historii literatury, choć niekoniecznie wysokie. Ale historia literatury nie jest wyrocznią dla sprawdzalnej wiedzy. Wielokrotnie zdarzało się, że jej wyroki bywały poddawane rewizjom lub zgoła odrzucane. Jeżeli tak będzie i dalej, należy przyjąć to ze żezumieniem. Historyk literatury jest przecież — pisał o tym Manfred Kridl — takim samym czytelnikiem jak krytyk, tylko z większym obciążeniem odpowiedzialnością za słowo. Janusz Kryszak nie ukrywał, że wybierał z poezji emigracyjnej tylko pewne nazwiska. Będziemy pewnie w przyszłości toczyć spory o to, czy są to nazwiska najważniejsze. Ale dzisiaj tej prawdy nie znamy, bo wyraźne kryteria oceny bywają dopiero dostępne (przynajmniej) po upływie pokolenia. Jakkolwiek będzie, obecny kanon literatury emigracyjnej wszystkie te nazwiska uwzględni, więcej — niektóre dowartościowuje ponad miarę. Kryszak ma w tym swój udział.

## 30

Zadzwońił kilka dni przed swoją śmiercią. Jestem mu wdzięczny. Noszę w sobie tę rozmowę — dar współobecnej przyjaźni.

## 31

Uciekasz dzienniku przede mną niczym ptaki spłoszone zbyt natarczywym spojrzeniem. Otwierasz się na nowe zapisy nieochoczo, skąpo, jakbyś bronił jakiejś tajemnicy we mnie — przede mną.

## 32

Dziennik zawsze jest w drodze. Uparcie dąży do celu, ale często zatrzymuje się, jakby sprawdzając, czy kierunek, który obrał, jest na pewno właściwy. Rytm jego narracji, powiedziałbym za Paulem Valérym, jest rytmem marszu. Kiedy kończy się marsz, wędrownica powinna osiągnąć kres. Ale w dokumentach życia osobistego rzadko kiedy zdarza się pointa. Dlatego zapiski, notatki, listy, kartki z dziennika, czy też ich zbiory: pamiętniki, dzienniki, diariusze, wspomnienia, bloki korespondencji są zawsze po stronie fragmentu, a nie całości. I jakkolwiek zdaje nam się, że w lekturze świadectw mamy do czynienia z uobecnioną postawą eseisty, nic bardziej mylnego.

## 33

Walter Hilsbecher (*Tragizm, absurd i paradoks. Eseje, wybór i wstęp Stefan Lichański, przeł. Stawomir Błaut, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1972, s. 32*): „Eseista bliższy jest racjonalnego, fragmentarysta zaś irracjonalnego bieguna naszego ducha”. Pierwszy pozwala nam zorientować się w świecie, drugi ukazuje „możliwość przedstawienia nieskończoności świata, a także nieskończoności drogi poznania — to zaś oznacza innymi słowami: nierozwiązywalności zagadki świata”. Pierwszy uczy nas czytać znaki świata, drugi te znaki pozostawia.

## 34

„Dzieła umierają; fragmenty nie żyły, tym bardziej nie mogą więc umrzeć” — twierdził Emil Cioran (*O niedogodności narodzin, przeł. Ireneusz Kania, Oficyna Literacka, Kraków 1996, s. 132*). Nie będąc Mickiewiczowską „księgą”, fragmenty dziwią się światu, który jest niepoznawalny i nieskończony. Mogą być kategoryczne lub niepewne swego, a jednak stale mierzą się swoją znikomością z potęgą świata. Są po stronie pamięci.

## 35

Nie mogę pisać. — I co? Świat wciąż trwa, mimo mojego niepisania.

## 36

We wrześniu żona sadi w ogrodzie dużo kwiatów, różnych roślin. Przynosi ogromne ilości flory, nieznaney mi nawet z nazwy. Taki bunt przeciwko przemianom, bo wnet rośliny umrą — zabite pierwszym mrozem lub nadmiernym deszczem. Albo taka radość z ogrania śmierci — póki kwiaty intensywniej w swoich kolorach, póki liście płożą się lub strzelają w górę — żyjemy.

## 37

Tyle książek o śmierci. Tyle wypowiedzianych, zapisanych zdań, które już umarły. O, wielowiekowa anihilacja! Nieuchronna ciszo!

## 38

Wspominając N. — Nie umiera się „na zawsze”, umiera się tylko „na chwilę”. Parafrazując w ten sposób Horacego, chciałbym odwrócić myśl Emila Ciorana, że istnienie jest plagiatem. Nie, to śmierć jest plagiatem;

nie do zaakceptowania; tak samo kategoryczna, jak bezwstydnie pewna swego. Istnienie jest pełnią, upomina się o swoje i wtedy jaśnieje potężniej, kiedy wydaje się, że wszystko zapadło w nieprzebraną ciemność.

## 39

Dwa zdania z Konfucjusza, przekład mój przez rosyjski: 1. „Zmian się nie czyni albo z wielkiej mądrości, albo z wielkiej głupoty”. — 2. „Jeśli spojrzawszy na swoje czyny, widzisz, że nie masz się czego wstydić, dla czego smucisz się i odczuwasz lęk?”

## 40

Dzisiaj po raz kolejny zachwyciłem się ciszą.

## 41

Im bliżej końca książki, tym większe przeżalenie, że wszystko, co się napisało nie wytrzymuje próby myśli. Ale jak to czytać, czy jest sens powrotu do słów zapisanych kiedyś, nie wiadomo w jakich okolicznościach i po co? Dlatego ten lęk rośnie. Minie dopiero wtedy, kiedy zamkną się okładki książki, jak wieko trumny.

## 42

Co ruz mi mówią, że już nic nie muszę. „Nic nie musisz!” — powiada ten i ów. Jak gdyby chcieli mnie zamknąć w ciemnicy, w której niepodobna wybrać żadnej nitki światła. Ale ja się bronię, jak mogę. Uśmiecham się bezradnie, spuszczam oczy. I wiem, że muszę, tym bardziej muszę. Im bliżej trzasku zamykanego wieka, tym mocniej trzymam się jeszcze trwającej ciszy.

## 43

Czas na mnie. — Wiersz Tadeusza Różewicza poświęcony Konstantemu Puzynie. To nie jest wiersz o śmierci, choć właśnie mówi o konieczności odejścia. To wiersz pocieszenia, współczesny *Tren XIX albo Sen*: „tak synku / to już wszystko”. Matka przychodzi i słowem „synku” ociepla odejście; „a więc to tylko tyle / tylko tyle”.

## 44

Zdumiewa mnie, że tak wiele wierszy poświęciłem drodze, wędrownce. Dokładnej topografii, spotkanym kiedyś ludziom. Kiedy napisałem maty poemat *Droga*. Powstawał jakby wbrew mojej woli, od razu go zniechęciłem. A dzisiaj czytam tę opowieść chłopięcych lat i jestem wdzięczny tamtemu mnie, poecie który zechciał utrwalić ją mimo wszystko. — Przypomniał mi się Tadeusz Różewicz, który pisał w *Zazdrości*: „Przecież to ja jestem «poetą», przecież mojej poezji nie ma beze mnie” (idem, *Proza*, t. 2, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2004, s. 290; czerwona seria *Utworów zebranych*).

## 45

Poeta He Zhizhang napisał wiersz o powrocie do domu: wyjechał jako chłopiec, wrócił oprószoney siwizną. Na drodze małe dzieci zaczepiają go i pytają, skąd przyjechał i do kogo. I śmieją się przy tym, jak

dzieci. Przejmujący w tym wierszu jest brak starych ludzi. — Jak w języku, który się nie zmienił, wyrazić nieobecność?

46

Władysław Chodasiewicz. — Dwie wersje tego samego wiersza o rodowdziej, biografii, tożsamości. Pierwszy jest skrócony, drugi rozbudowany. W obu wersjach poeta pisze, że jest dla Polski „pasierbem”. I że w jego podróży torbie jest „osiem zbiorów Puszkiniowskich”. Przeciwstawia Mickiewicza Puszkiniowi. Powiada: „Pod jarzmem przyszło wam giąć szyję / Lub na wygnaniu żyć w tęsknocie”. I tak pointuje: „Dla was ten proch nędznej ojczyzny, / A ja gdziekolwiek będę, to / Puszkina słowa tak mi bliskie / Obraz przyniosą miłych stron”. Dlaczego Chodasiewicz wyrzucił słowa matki ze skróconej wersji tego wiersza?

Matka mnie jednak zaklinała,  
Bym nie zapomniał, chyba w grobie,  
O kraj daleki, pognębiiony  
Modlić się. Marzyć. Milczeć o nim.

Znaczenie słów później wyblęzło,  
Do dzisiaj ono we mnie trwa:  
„Dziecko! Z rzek najpiękniejsza — Wisła,  
A z wszystkich krain w świecie — Litwa”.

Wersja skrócona powstała w roku 1917,

kiedy poeta poparł rewolucję; wersja rozszerzona w 1923, w pierwszym roku po ostatecznym opuszczeniu Rosji. Tłumacząc go, myślałem o milczeniu, które w nas zamieszkuje.

47

Milczenie. — Jak zapisać milczenie?

48

Przeniósłem się po raz kolejny do nowego miejsca na moim uniwersytecie. Zacząłem na parterze w Sosnowcu, na ulicy Pułaskiego 6, w sekretariacie Zakładu Filologii Germańskiej (półtora roku). Potem przeszedłem na drugie piętro, na ulicy Zegadłowicza 1, do Zakładu Literatury Współczesnej, Instytut Literatury i Kultury Polskiej (cztery lata z roczną przerwą na wojsko). Potem opuściliśmy Sosnowiec; przez trzydzieści lat na pl. Sejmu Śląskiego 1. Ustawiczne zmiany ustaw, zmiany struktur. I oto — moje ostatnie miejsce przed emeryturą — Uniwersytecka 4. Już nie pamiętam który z francuskich pisarzy określił emeryturę jako początek śmierci. Więc będę tutaj na nią czekał, spokojnie, aż przyjdzie. Niekoniecznie fizyczna, konieczna społeczna.

49

Łza. — Zdania Stefka, Sztefka, Stefana Szymutki (*Nagrobek ciotki Cili*, Wydawnic-

two Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2001, s. 89), przypomniane w dniu jego urodzin: „Nie chcę się zaprzeć własnej chwilowości, użalam się nad nią (mimo, że jest w tym egoistyczna, narcystyczna cikliwość), będę się przy niej upierał. Mam prawo odczuwać obcość wobec tego, co pozostaje, tak, jak odczuwają ją — powiedziały mi o tym oczy umierających — ci, którzy odchodzą. Czy mógłbym ja jednak odczuwać, gdyby nie istniał głęboki, najgłębszy z możliwych, związek między mną a tą rzeczywistością, wobec której bezsilne okazuje się wszelkie marzenie, złudzenie — gdybym nie był w rzeczywistości, przynajmniej tylko przez tę chwilę, moment uobecnienia? Muszę dotykać ją, słyszeć, a przede wszystkim widzieć, dostrzegać, zatrzymać na niej wzrok — cielesnych lub duszy oczu, obojętne — by móc mówić czy pisać niechby tylko o mgłę oddalenia; być przytomnym, świadomym, nie odwracać wzroku, nigdy. Był jest jedynym pewnym przedmiotem refleksji. Nicość we mnie, śmierć we mnie, ja-nicość nie ma racji, głównie: racji istnienia — taką rację ma tylko istnienie samo, rzeczywistość, «świat pozostający przy życiu». Zmagać się ze śmiercią, nie przestawać. Dopóki się da, wymykać się uchwytowi nicości, choćby czółgając się po macie. I żadnego — beżsito! — rzucania ręcznikiem”.

50

Koniec.

MARIAN KISIEL



Wojślaw Brydak

Zbigniew Ikona  
- Kresowaty

# PASJA JEZUSA Z NAZARETU

(A LICENTIA POETICA (W/G PASJI URSZULI MAŁGORZATY BENKI)).



Burza po ukrzyżowaniu Jezusa – obraz olejny – wyk. Zbyszek Ikona Kresowaty

Osobowość poetki Urszuli Małgorzaty Benki z Wrocławia, od wielu lat kojarzy mi się przede wszystkim z wiedzą o mitach i ze znajomości filozofii oraz zagadnień Psyche... Poetka i pisarka wydała szereg książek, kilka prozą. Debiutowała wierszami pt. **Zwierzenia kurtyzany i Gorączka**, opublikowanymi na łamach studenckiego czasopisma „Sigma” (1974/75 nr 6), drukowała tu i w latach następnych (m.in. pod pseud.: Krasińska). W kolejnych latach była laureatką wielu konkursów i turniejów poetyckich. Od 1976 studiowała filologię polską na UW. Natomiast w 1981 uzyskała dyplom z filozofii. W tym okresie była związana z formacją poetycką „Nowa Prywatność”. Autorka jest także prozaikiem, a także eseistką oraz tłumaczką literatury francuskiej i angielskiej. Studiowała także psychologię. W 1993 uzyskała tytuł doktora za pracę **Charyzma władania, święty mord**. Jest autorką szeregu esejów i rozpraw literackich.

W roku 2020 ukazała się kolejna książka Urszuli Małgorzaty Benki pt. **PASJA JEZUSA Z NAZARETU** - Poemat wierszowany w Wydawnictwie „Akwedukt” - *Oficyny Klubu Muzyki i Literatury we Wrocławiu*, jak można domniemać jest to bardzo ciekawe objawienie literackie 2020 roku, aż prosi się uczynić sugestię - czy być może praca doktorska autorki nie stała się przyczynkiem do napisania „Pasji Jezusa z Nazaretu”? - Urszulę zawsze interesowały tematy Starego i Nowego Testamentu oraz tematyka epicka i starożytne dzieje świata oraz mitologia.

Zatem zaprosiłem się do książki, którą trzeba nazywać apokryfem ciekawym Poematem pisany z dużej litery. Dlaczego ten utwór przypadł mi do serca? - a mianowicie dlatego, że odnajduję w nim, mimo

rozwinęcia całego misterium paschalnego pisane, można powiedzieć, z „wolnej stopy”, z domieszką surrealistycznych pojęć, sam przecież uprawiam artystycznie malarstwo i rysunek surrealistyczny i poezję i esej... Natomiast czytając „Pasję Jezusa z Nazaretu” 3 krotnie odnalazłem rozwinięte koleje „drogi krzyżowej” w nadzwyczajnych sensach, poetka dodaje do poczetu osób, które znalazły się w kondukcji mitycznej „Drogi Krzyżowej” (pisanej z dużej litery) i w miejscu docelowym w „miejscu Czaszki” pod krzyżem, inne osoby poza Testamentem, jakoby uczestniczyły w cyklu ostatnich chwil Jezusa w drodze na Golgotę wiekami, autorka tworzy też ciekawą polemikę pomiędzy uczestnikami „jakoby wciąż obecnymi... To postaci wciąż żywe, czasem bardzo „postronne”, jak np. Dama I Sowizdrzał, albo zapis „w/g Tłuszczy”, wywód w/g Heroda, czy „Reguiem”... To postaci i czas abstrakcyjny w aluzje, jakoby niektóre sprawy nie ominęły życia w całym misterium paschalnym świata samych siebie, mimo że czasem wtedy były jeszcze nienarodzone... Nowy Testament sprzed dwóch tysięcy lat nie jest konkretnym zapisem historycznym, a ten zapis daje nam duży ogląd i dystans sytuacji i nastrojów świata do pewnych społecznośi, i staje się „karnawalem charakterów” oraz szepcótów i plotek, jak wtedy trwał - tak trwa do dziś... Oznajmia nam poetka, że wiele mogło się zdarzyć, a jeszcze więcej się zdarzyło i wiele trwało po ukrzyżowaniu w Jerozolimie. Burza po akcie ukrzyżowania sparafrazowana jest bardzo nietypowo - to plotki i soferiologiczny niepokój i gwar, który pozostał do dziś.

Oczywiście ukrzyżowania za panowania Rzymian wtedy były częste, a dlatego

śmierć Jezusa „rewolucjonisty maga i filozofa” mogła wówczas nie budzić jakichś głośnych emocji, była zwyczajnym aktem dla przechodniów, choć zauważono po burzy w tym dniu o godzinie 1600, znaki wielkiego niepokoju i od razu oczekiwano już wtedy Paruzji. Świat wówczas nie był tak oczywisty jak dziś.

Urszula Benka znakomicie sparafrazowała tamten czas, niby kołem zapisany na wieki. Jako kobieta wyjęta spod krzyża zrobiła zapisy w/g swej intuicji czułej i nieczułej wyobraźni oraz znaków historycznych(?) - Cała sobą weszła w tamte dzieje. To zapis potraktowany z dużego dystansu obserwarki kontemplującej, a jeżeli pokusimy się o wgląd do Nowego Testamentu wiele rzeczy ukazują się nam, za każdym czytaniem inaczej. Poetka do tego fenomenu także nawiązuje, bardzo dużym dystansem, snuje jakby współczesna Wiedźminka swoją opowieść, wkłada postaciom, przez siebie stworzonym, w usta słowa bardzo oczywiste i milczenie oraz daje im myśli, z których czyta... Tworzy to wspaniały poemat literacki. Śmiem twierdzić, że to **pasja poetycka** nad **Pasją Jezusa z Nazaretu**, autorka zabsorbowała postacią mistyczną, dziś na wskroś „świętą”, uznała, że najlepszą drogą do potraktowania **Pasji i Paschy** będzie **licentia poetica** i poszła, jakby to rzec, na całość, choć wiem - osadzona zawsze była i nadal jest w dużym dystansie do zaplecza katolicko - kościelnego, bliżej jej do całego chrześcijaństwa i jego dziejów Biblii. Jako filolog i osoba znająca wspaniale mitologię, para się zagadnieniami filozofii, w tym i tych starożytnych z namiętnością wchodzi w tamten czas, tworząc wspaniałą opowieść, jakby na nowo(?) - To naprawdę bardzo oryginalne i bardzo ciekawe „wyobrażenie” PASJI, niczym ze współczesnej ikony - faluje ona nad zagadnieniem z niebywałą wiedzą - To żarliwy spis podzielony na stacje i części numerowane:

## STACJA I (str.11)

### Według Jakuba

*Usnąć*

*W słabość ciała się wtulić jak w nicość sprzed narodzenia.*

*Ujrzałem tylko zarys kielicha:*

*W zielonych płomieniach ogrodu i w niepojętych językach  
Tańczył nocą w oliwniku.*

*Tylko to pozostało*

*Pośród ciszy*

*Odrodź się snem jak od bestii*

*Od modlitwy.*

Kuszę się o twierdzenie, że nikt z polskich pisarzy i poetów dotychczas w sposób tak poetycki jeszcze nie dokonał sportretowania na nowo, czyli współcześnie PASJI JEZUSA. Ale kto wie? - może i sam Panas typową prozą(?) - A tu mamy ciekawy poemat. Uważam, że ten utwór jest naprawdę je-

dyny. - Odnajduję w nim od razu taki fenomenalny zapis:

### części 3 (str. 15) pt.

#### Imperium

*Z pychy pono ta nowa ziemia  
Wstała  
Obca, twarda, nieurodzajna.  
Ale nie pusta.  
Kurhan tu na niej szczycie  
A w brzdach  
Czaszki skrzą się z każdym deszczem akor-  
dem-  
Czaszki milionów,  
Tej ziemi majątek.  
Oplecione robaczywą koroną  
Drgają z konwulsjami mojej harfy.  
I ja -  
Uśmiechnięty bard  
W godzinie ekshumacji.  
Modlitwa ta czyż nie jest równie wzniosła  
i żarliwa  
Jak Twoja własna w Getsemania, a mniej strach-  
liwa?  
(. . .)  
To mi daleś, kiedy pragnąłem ziemi.  
Dół wspólny daleś. Bezimienny.  
Wyciśnięty papilarnymi liniami  
Wieków  
W nudy bez reszty kształt  
Rowu czy ścieku.*

*Gdzie osuwam się teraz jak w chrzcielnicę-  
Ję ściany takie miękkie i gliniaste,  
Można w nich lepić oszukańcze płaskorzeźby  
I wierzyć że to są żywe miasta,  
by w końcu porwać piszczał w dlonie  
Jak pastorał,  
(...)*

- A potem część 4( str.17)

#### Reguiem

*Noc była wieczna  
W nudzie wskrzeszania  
I w pustce prawdy poznawania.*

- Każdy kto weźmie do rąk tę książkę może się odnaleźć, a co ważne każdy bierze udział w Pasji Jezusa, choćby dziś - wczoraj urodzony i wtedy, choć w śnie dyżuruje czasem nocą przy księżycu, w cieniu swego ogrodu (niaby pod drzewami oliwnymi), i ten co cieszy się z urodzenia dziecka, albo płacze z powodu wypadku i nowotwora, i ten co wypiera się miłości, lub kocha, albo ten co bije się w piersi wewnętrzną osobistą przysięgą jak wrak w samotności...

Ja idę dalej w korowodzie „Drogi Krzyżowej”, idę i widzę także Małgorzatę Urszulę obok długiowatoj pięknej rudej Magdaleny, widzę siebie jako Łotra III -go albo dwudziestego, drepczę obok wskrzeszonego Łazarza i zatrzymanego wcześniej Cyrenejczyka, który szybko uciekł do domu, widzę Piotra rybaka z butelką piwa, słyszę tu innych wzdychanie, płacz tamtych, widzę Jakuba - brata Jezusa, teraz stoją załamane trwogą Weronika z Marią - Matką Jezusa i Józef z Arymetei, stoją bezradni zwykli bezrobotni ludzie - Ale... ale co ja czuję? - jakiś zapach - to strach?

- jest tu cień niepokoju, a to Herod cuchnący syfilizmem, a jednak przyszedł drań w kontuszu z worka, żeby go nie poznali, ciekawy jest - drży...Przecież to już po burzy(?) stoi jak winny pod chłodem gwiazd, patrzy, drży... inni też pośród mała przejętych rozprawiający... raczej to ci, którzy lubią patrzeć na krew - to ich pasja chodzić w konduktach i krzyżeć - tu są spokojni... A co myśli Herod niezauważony, przypomina sobie(?)



Płaskorzeźba XVIII w. w posiadaniu autora tekstu Zbyszka Ikony – Kresowatego

### Stacja V (str. 35 - 44)

#### Według Heroda

*Milczysz.*

*Powrozami, widzę, spętanyś, ale gorzej  
Wzgardą.  
Sianąłeś, Synu Boży, tu na moim dworze  
Jasnym  
Jak pobielany grób  
- twoich dobieram słów -  
Serce miga ci w piersi jak miecz albo stos,  
Przepadł w mroku przekupny tłum.  
Uciec byś mógł.  
W dole u twoich stóp  
Pustynia błyszczą.*

*Kapitan straży trzyma klucz do trumny i do  
bram.  
Uczyni mi cud.  
Z jakąż ulgą  
Klucz do pustyni ci dam.  
(...)*

„Pasja Jezusa z Nazaretu” jest znakomitą materią na sztukę sceniczną, lub kolejny film ze słowami dialogów poetki, gdyż temat to nie do wyczerpania... Mamy tutaj znakomite dialogi i nawet monologi. Jest tutaj gotowy ukryty scenariusz, Mamy znakomite współczesne przesłanie i sceny surrealistyczne...

Muszę jednak już zakończyć swoją interpretację nad „PASJĄ JEZUSA Z NAZARETU” Urszuli Benki - to wprost niekończący się pojęciowo utwór wystawiony, bardzo blisko prawdzie. Bardzo dużo tu się dzieje, a jeszcze więcej przemienia naszą wyobraźnię i kłopotuje nas samych... To rzeczywiście pasja poetki, bardzo zdystansowana, bliska interpretacji zwykłego człowieka, choć czasem ciężko będzie mu przemienić się w zrozumienie i pojęć nową Prawdę objawioną i przemienioną umiejętnie w język mitu. To rzeczywiście powtórzę krok odwagi autorki. Natomiast trzeba powiedzieć, że przy polowaniu na czarownice iście byłaby pierwszą kandydatką na stos. Ponieważ pa-

rafrazuje Pasję Jezusa z namiętnością współczesnej kobiety, już we nowożytnym świecie. Ta przemiana jest bardzo ważną stroną doświadczoną autorki, która ma wiedzę i wie jak jej użyć, przyozdobić i zmetaforyzować oraz zaproponować czytelnikowi wierzącemu i ateistycznie nadzieję. Jest to wyzwanie ku mitycznej Pandorze, zajrzienie co w jej puszcze jeszcze jest, co w temacie sacrum? I jak naprawdę przeciwstawne ono jest profanum... Dziękuję ci poetko za tak osobliwy ciekawy poemat. Po którym wiele będzie aluzji i pytań. Życzę ci sławy! - Ale trzeba wiedzieć, jak twierdzi Brian Patten: „sława zabija poetę”

Zatem niech festiwal pytań trwa. Pytanie pierwsze: Jakie jest właściwie Jeruzalem? - jaki był Judasz jaki jest?, Piłat? czy założył białą tunikę na tę okazję? - A sam Jezus? - może to nie ten Jezus? - Bo już mówią, że prawdziwy umknął zaraz do Indii, gdzie są pozostali ze wspólnoty apostołskiej? - uciekli? - Może Magdaleną doptynęła do Europy z dzieckiem Jezusa? - jacy są ci inni ważni ,np. Barabasz? - a może nie ujawnieni?, żeby nie odmawiać modlitw, bo nie wiedzą jak powinny one brzmieć, te modlitwy to pytania i wiersze poetów.

- Mimo drastycznych opisów, aluzji i dofknięć jest coś fascynującego w tym dziele, kto wie czy nie jest to poemat życia poetki, która jak wiem napisała już książkę „Magdalena”, który to tekst czeka na wydanie. Wiem po przeczytaniu „Pasji Jezusa z Nazaretu”, że poemat można, a nawet trzeba z wiedzą parafrazować i użyć na scenie. Wiem, że Łotrowi III się upiekło, nie zaznał nieba i nie ma już tyle siły, żeby się cieszyć. Judasz także nie miał odwagi, żeby usunąć się z gałęzi - to tchórz!

### Stacja III ( str.18)

#### Według Ducha

*Cala ta droga na szczyt góry  
Była jak przezroczyta świątynia*



*Każdy próg  
Oświetlony ogniem wiecznym  
Śpiewał pisał  
Każdy krok  
Wiódł od odchlani do odchlani*

Proszę mi wybaczyć dygresję prywatną, jako łotrowi współczesnemu - I tak na prawdę nie wiem, kiedy modliłem się, pamiętam Jezusa, robię mu portrety ikony, to moje modlitwy, które zostaną, maluję widma jego twarzy i pamiętam kiedy czasem Go wołałem w śnie, kiedy wykryto u mnie „guza złośliwego”, dlatego nie bardzo wierzę w sens życia, ale dziękowałem Chrystusowi Uzdrawicielowi, gdy wyszedłem z nowotworu na chodnik ulicy, sprawiłem Jezusowi rzeźbę z piaskowca, choć nie wiem, czy Jemu trzeba było, ale wierzę w sens sztuki malarstwa np. wg Różewicza, bo wierzył i tak pisał do Jerzego Nowosielskiego ikonopiszcza klasyka współczesnego: „**maluj, maluj i maluj, w tym jest zbawienie**” - On artysta ikonopisarz głosił na przemian, że „**ikona spada z nieba**”, ale pana Jerzego tutaj w tym korowodzie brak (spotkałem Go na swej drodze w Miłosnej pod Warszawą) nie ma Go tutaj, są tylko takie momenty choroby zakaźnej, że jestem zarażony tym covidem malarstwa od szkoły... I czasem piszę, z nich można dużo czytać, gdy się dobrze patrzy, ale wierzyć też trzeba w mistrzów, (inaczej nie żylibyśmy) - Każda ikona napisana w/g ekumenium, przecież czyta nas samych. Ikony nie da się zniszczyć odradza się i zawsze odżywa...

A tutaj przejętą stygmatami metaforycznymi słownymi ikonę napisała Urszula, i to z cennym bardzo oryginalnym tłumaczeniem... Przypomnijmy sobie ile ikon zniszczono choćby w Koptyjskim kraju tak niedawno, ile to też i bólu kosztowało pisanie nowych ikon i przejęcia, w formie Pasji.

### Wiersz (str.17) Część 5

#### Pole Judaszowe

*Świt błyska w martwym bezkresie  
Swego diabła jak krzyż każdy niesie.*

*Swego diabła jak umęczonego syna  
Jedynego wydanego za życia.*

*Z grzbietem zgiętym po błocie  
Swoją owoc złożyć w prostocie.*

- Otóż proszę mi pozwolić na kolejną ostatnią dygresję z życia, bo kiedy patrzę głębiej w sensy zapisane przez Urszulę Benkę, zaraz wyświetla mi się kultowy film „**PASJA Mela Gibsona**”. Bezsprzecznie pokazane tu okrucieństwo graniczy z sadyzmem... Powstaje pytanie: **dlaczego w taki sposób pokazał PASJĘ?** - Uderzmy się mocno w pierś - przynajmniej, że bardzo lubimy patrzeć na śmierć, na jej krew i ból, to jest w naturze homo - sapiens! - Tak ponoć i on reżyser wyznał krytyce. Natomiast zdarzyło się tak, że 2004 roku rozmawiałem z jednym z aktorów filmowych, który u Gibsona grał w Pasji legionisty, grał dziesięć dni nadzorującego chłostę Jezusa, konwersowałem przez godzinę z nim, bo wydał mi się nadzwyczaj ciekawym, psującym do tej roli z oglądu, ale w oczekiwaniu z Romualdem Kłosem w gabinecie na Krzysztofa Zanussiego, ja na „rozmowę” do swej książki, on na jakąś rolę, powiedział mi że: *czuł się w tej roli ohydnie*, pokazywał fotki osobiste z planu z Melem Gibsonem, wtedy czuł się jakby zmuszony do tej ohydnej roli. *Jednocześnie czuł też jakąś namiętność...* Jak zeznać czuć coś bardzo mistycznego, w czasie kręcenia

PASJI, co zresztą pozostanie w nim do końca życia. Tak oświadczył, jak przenosi się w wehikuł czasu. Przyznam, że żałowałem, że nie włączyłem wtedy dyktafonu, żałuję tego do dziś.

Być może przegaduje temat, kiedy uważam, że PASJA Urszuli Benki równie dotkliwiej dotyka nas, bo to bicie słowami, słowa czasem ranią, dotykają jak ta pasja, pewnie tych osób bardzo wierzących, a jednocześnie wciągają i powstaje **pasja nad Pasją**, zwłaszcza kiedy powtórnie bierzemy książkę do czytania. W pewnym momencie, jako czytelnik poczułem się wzruszonym spadkobiercą krwawych win, że nie tylko ja, urodzony dwa tysiące lat później nie z mej winy a z nadania Ducha, z dziada pradziada znad Morza Śródziemnego, jestem też winny...

- Wykonując wiele ikon w tym „Ukrzyżowanie Jezusa”, czy oblicza *Pantokratora*, jako Alfa i Omega, czułem zawsze pewny stan mistyczny, czułem się w stanie nieważkości, i rzeczywiście łatwiej mi było wykonywać daną ikonę. Domniemam, że Urszula równie podobnie musiała wprowadzić się w stany ponad czasowe, żeby zafalować na PASJĄ, dlatego rozumiem poetkę, jej (bardziej czuły) stan uniesienia, jako kobiety. Tak! - wierzę, że czytelnik na pewno pochyli się nad tym dziełem, tak jak nad ikoną, choć ten zapis zawiera współczesne odniesienia i surrealistyczne zaśpiewy, do czego potrzeba czasem dojrzeć:

### Stacja V ( str.35 do 44) - (wiersz najdłuższy)

#### Według Heroda

*(...)  
Nic  
Tyłem chciał tylko rzec, żem głodny  
Cudu.  
Uczyni cud i odejdziesz wolny  
do swoich uczniów*

*Milczysz  
Wiesz, jam zwyczajny gadać do głuchych  
W cysternie prorok siedział, zachodziłem tam  
jakby  
wbrew*

*Rozumowi,  
sam zachodziłem. A mówią, żem...nieufny...  
Ze sie własnego cienia...  
(...)*

- To taka emanacja zastan teatralnych, a nawet wydobywających się głosów zza zasłon, rodem z malarstwa Boscha, albo Giotta, ludzi i potworów, zjaw, i prawdziwych twarzy dobrych i złych ludzi. Autorka znakomicie balansuje słowami i szeptami na cienkiej linii pojęć. Na pewno nie bywa heretyczką. Autorka przemiana tamten stan rzeczy na nasz czas, wszystko w tym poemacie zatacza kręgi... Przemiana proponowana przez poetkę to na pewno **katharsis**, ale i wielki niepokój. Dla niektórych osób poemat ten może wywołać stany złości, dlatego właśnie tak zapisała prawdy objawione(?) - Autorka wciąga nasze różnorodnie sprawy do Pasji. Czy ten zapis jest Legendą? - Zazwyczaj jest tak, że w Bajkach odnajdujemy prawdę, uczą one nas wyodrębniania zła i dobra. Ale to nie Bajka! - Poeta ma prawo szukać prawdy i to w różnoraki sposób. Pozornie możemy się komfortowo zagubić w tym poemacie, ale i poczuć ulgę.

### STACJA VI, wiersz (str.47)

#### Według Łotra

*Cóż mi dajesz?  
Krawędź i świetlistą za nią bramę*

*Gdzie zmywamy się z ciał  
Jak z nieprawdy  
I gdzie kamieni jasny prąd  
W niebo wytryska jak oszczep.*

#### Człowiek

*To tylko sposób istnienia Boga  
Winogrono na pędzie Boskim,*

*A Bóg przez mgnienie  
Czuje upojnie,*

*I w pustkowiach pokusami nękanym  
Chroni się do Kany.*

### Stacja VII (str.49)

#### Według Magdaleny

*Srebrna, cicha pustynia, jak kielich  
Pelen niebios i gwiazd - w te odmęty  
Wpłynąć*

*Gdy w żagle dmucha wiatr  
Z ziemi świętej*

*Bije w żagle cale ze starych dębów, pieśni  
i kamienia  
Potężny całym cudem istnienia*

*Wzdęte glazy niosą nas w ciemność  
A ramiona dębów w namiętność*

*I myją nam stopy zmęczone drogi bezmiarami  
Gałęziami, głazami, żywiołami.*

Przecież Getsemania współczesna istnieje, władcy wszelcy wyczekują, Piłaci skazują, a żołdacy krzyżują nienawiścią swoich szefów, prowadząc nas na Wzgórze czaszki z Paradoxu. Równie dobrze można byłoby ten poemat nazwać „znak drewna” - W poemacie Urszuli Małgorzaty są bardzo sensowne motywy graficzne drzewa, jako już starego drzewa, być może drzewca krzyża(?) autorstwa profesora Janusza Jaroszewskiego - są znakomite i dobrze użyte, osobiście bardzo lubię grafikowanie pana Janusza, są one tutaj pewną aluzją, są takimi stygmatami, są pewnego rodzaju dodatkami dziecku do tego tekstu, który dzieli chronologicznie na poszczególne STACJE i części, doprawia go i czyni go bardziej zagadkowym metafizycznie ponad czasowo. Cały projekt przemiany staje się bardziej ważny i czytelniejszy. To motyw drzewa czasu, z którego uszykowano narzędzie zbrodni. Autorka poematu pozostawia to do osobnej interpretacji każdego czytelnika. To iście literatura dla bardzo osobistego pojmowania. Dlatego przytaczam wiersz w/g dziecka, skoro dzieci nie brały udziału w pasji, tylko się rodziły po facie, jako ślad? - W PASJI uczestniczyły matki, matki ze znamieniem dzieci czasu. Dzieckiem jest także poeta, „poeta nic nie rozumie, ale dlatego bardzo wiele rozumie.”

### Stacja IX (str. 50)

#### Według dziecka

*Mamo, ja muszę zerwać tę duszę  
Tę czerwoną - zieloną, co tu rośnie nad  
wodą.  
Pomóż ciągnąć, bo ciężka, i gorąca, i bez-  
brzeżna  
I cała pachnie piolunem, i niebo rysuje pio-  
runem.*

Urszula Małgorzata Benka, **PASJA JEZUSA Z NAZARETU** 2020, Oficyna Akwedukt. Wrocław

Klub Muzyki i Literatury. Wydanie I.

**ZBYSZEK IKONA – KRESOWATY**





Tadej Karabowicz

## INSPIRACJA

W twórczości Zbigniewa Ikony Kresowatego jest taki uduchowiony utwór, o wołającym czasie. Został on przez poetę nazwany Zawsze jest droga. Inspiracją do jego napisania, była fotografia poetki Janiny Osewskiej, ukazująca drogę do posiadłości wybitnego malarza i myśliciela Andrzeja Strumity (1927-2020) w Maćkowej Rudzie nad Czarną Hańczą. Utwór poety, jest więc naturalnym spłotem natchnienia poetyckiego i poniekąd wspomnienia.

Ekspozycją utworu Zbigniewa Ikony Kresowatego jest droga wysadzona drzewami. Drzewa wyrosły wysumkłe, jak świece i otuliły ją swoim opiekuńczym szumem. Są one symbolem makrokosmosu, łączącego niebo z ziemią. Wyznaczają przejrzysty porządek świata, w którym trwa niezmiennosc i wieczność. Ale są także kruchym tworzywem życia, dlatego droga, na „końcu i początku”, wiedzie w głąb jeszcze rozwartych i już zamkniętych bram.

To realna i mityczna wyboistość, poetyczna i malarska Arkadia, która idzie ku schodom spowitego w prawieczność domostwa. W utworze spełnia ona funkcję uniwersalnego symbolu istnienia, zakotwiczonego w sensualności prywatnego świata. Wije się jak wstążka wśród drzew i jest nazwana przez poetę aleją. Prowadzi ona po łuku bioder, ku polom i lasom, ku siedzibom białych wilków i ku smukłej dziewczynie. W uduchowionym utworze spełnia się bowiem realność i mit rzeczywistości:

- To czas woła szepce chodź!  
 - powiodę cię prosto aleją pomiędzy drzewami  
 - po łuku bioder pól i zaprowadzę cię w rozwiany las  
 Tam białe wilki a dalej będzie chata pełna czasu  
 Aleja będzie piękna jak smukła dziewczyna Tanatos  
 za Którą tylko iść - być może się zatrzymasz  
 Cóż marzenia nie kosztują ale czekają na niewiernych  
 przy tej samej drodze stoi drzewo - tylko nieco dalej  
 trzeba pod nie wejść bezinteresownie  
 Tylko tam zawsze słyhać skowronka  
 choć dawno spadł skamieniały za gałęzi  
 Drzewo też skamieniało bo to na nim  
 zadufany Apollo zawiesił i obdarł Marsjasza  
 ze skóry - Droga zawsze szuka i wieńczy  
 krzyk piękna  
 za co cierpią kopytni ułomni muzycy życia - Droga!  
 rozczesana Ruda wciąż wiedzie w dal - to włosy Weroniki?  
 często ciągną poza wieki - Droga Niby prosta linia  
 - choć tej w kosmosie Nigdy nie ma i nie było  
 Prosty ciąg cyfr i liczb zawsze zataczający okrąg  
 - Właśnie dlatego pójdziesz Daleko tamtędy  
 czy chcesz lub NIE!  
 żeby znaleźć siebie Znow w innym odzieniu  
 w tym samym miejscu



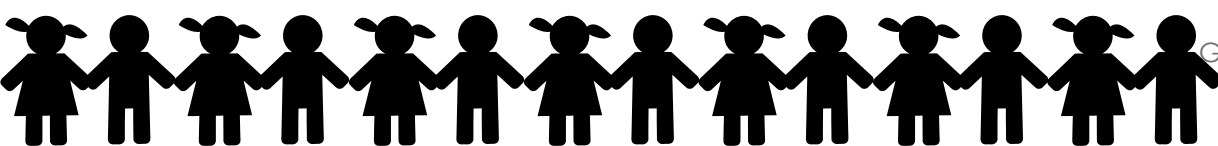
żeby wyruszyć - zawsze za siebie  
 innym krokiem „Noga za nogą”  
 bo jest Droga zawsze  
 z rozwartymi rękami bram  
 zaprasza i  
 wiele proponuje

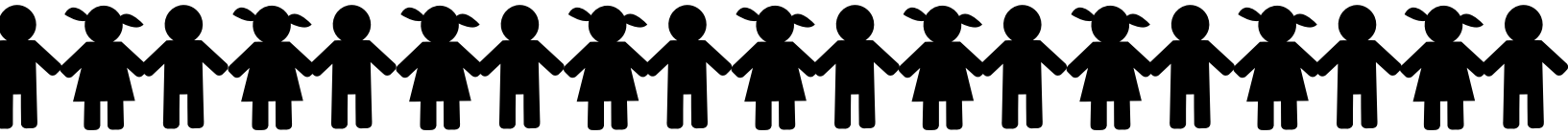
(ZBIGNIEW KRESOWATY, WIERSZ:  
 ZAWSZE JEST DROGA).

Można by więc zadać pytanie, czy droga, którą sakralizuje poeta, jest bez powrotu, na co wskazywałby „wieńczący ją krzyk”? Czy raczej jest mitycznym wyznacznikiem, „włosów Weroniki”. A może to nie „włosy Weroniki”, a postrzępiona smuga mglistego światła, które do złudzenia przypomina mleczną drogę, wyznaczając mityczne koordynaty wiersza i Wszechświata. Droga – nieodcigniony umyśłem ludzkim mleczny szlak na niebie, który opisywali poeci, przez który mknęły rozmyślenia, astrologów i filozofów. Z tyłoma jej synonimami w języku, będąca żywym odsyłaczem do przemieszczania się po niej ludzi. Zadawania się ona w twórczości Zbigniewa Ikony Kresowatego i po-

budza czytelniczą wyobraźnię. Paradygmat drogi, zawiera bowiem filozoficzny wyznacznik, realizuje się nie tylko w poezji, ale także w uniwersalnej prefiguracji filozoficznej. Jest relacją między mitem, a jego przedprogiem. Mówiąc prościej, przeniesienie mitu przez artystę, w inną czasoprzestrzeń, także literacką, wyznacza właśnie opisywaną narrację, która jest „Niby prostą linią / - choć tej w kosmosie Nigdy nie ma i nie było”.

W jednej z ważnych wypowiedzi literackich Zbigniewa Ikony Kresowatego wybrzmiewa filozoficzne przestanie, właśnie dotyczące drogi: „Pytanie o sens życia jest jednym z podstawowych zagadnień różnych systemów filozoficznych i religijnych, a odpowiedź na nie, jak się uznaje, zawiera całą mądrość ludzkości. Pojęcie to odwołuje się do transcendentnego widzenia świata jako drogi. Często podlega ostrej krytyce, szczególnie w środowisku analitycznym (zob. Józef Maria Bocheński). W psychologii pojęcie to dotyczy klarownego i możliwego do zaaprobowania kierunku działania na przyszłość, co implikuje normalne funkcjo-





→ nowanie człowieka. Badaniami nad sensem życia zajmował się psychiatra Wiktor Frankl, który wprowadził pojęcie nerwicy neogennej. Posiadanie sensu życia przez człowieka jest koniecznym warunkiem rozwoju i samo-realizacji. Poeta tego pragnie i dopilnowuje. Włączenie tego problemu do psychologii osobowości przyczynia się do lepszego zrozumienia przeróżnych uwarunkowań i zachowań, zatem intuicyjnie wyznacza sobie azymut". (Zbigniew Kresowaty, *Poszukiwanie panaceum na prawdę*. Pisarze.pl, Nr. 1/21 (473) 2020).

Warto przytoczyć dwie inne sentencje wypowiedziane przez poetę. Pierwsza dotyczy rozumienia funkcji literatury, druga dotyczy poezji: „Gra słów, które należy wywołać, poukładać i umieścić w przestrzeni, które mają nam oznajmiać o tym, czego jeszcze nikt nie powiedział. Wiersze we własnych książkach, eseje i krytyka literacka zarówno w czasopiśmie jak i innych książkach tworzą świat literacki na obraz każdego twórcy. Słowo, jako wartość zaczyna wtedy własne życie i pozostaje do rozpoznania dla każdego z nas. Słowo, jako siła, która ma moc – może zabić, może przywrócić nas do życia i nas tworzyć na nowo innymi. Słowo, jako nośnik może nas zanieść na inną planetę oraz w zaświaty, gdzie możemy choć trochę być sobą". (Zbigniew Kresowaty, *Literatura*, <http://kresowaty.pl/literatura/>).

Druga wypowiedź artysty: „Czasami bywa tak, że musimy się obnażyć, żeby nas lepiej poznano... zobaczono. Dotknięto – oczami i zmysłem, który będzie tym samym odkryty(?). Na pewno nie jestem żadnym ekskibicjonistą ani narcyzem – zapewniam Was i Ciebie i Ciebie też! – Ale skoro rozbięram się przed Tobą czytelniku moich wierszy a tym samym odbiorco moich obrazów, stajesz i Ty jednocześnie przed lustrem swoim – i oto stajesz przed przypadkiem tworzenia. Zobacz przez chwilę, jak Bóg stwarza człowieka i stawia za nim rzeczy, które do niego przynależą – trzeba je tylko odpowiednio poukładać. To jest moim zadaniem". (Zbigniew Kresowaty, *Wiersze*, <http://kresowaty.pl/literatura/wiersze/>).

Obie te wypowiedzi, w pewnym sensie wyrwane z kontekstu, nie uszczuplają percepcji twórczej poety. Są natomiast drogowskazem etyki autora i omawianego utworu *Zawsze jest droga*. W literackiej konfiguracji, słowo i poezja, dopełniają się i pozostają próbą scalenia czegoś istotnego oraz ważnego. Scalanie to odbywa się na pustkowiu i jest w obliczu pędzącego na przelaj czasu, ekspiacją twórczą. Ważność tego aktu, podkreśla świadomość literacka poety, gdzie rzeczywistość poetycka, odbija się w mitycznych splotach abstrakcyjnej wyobraźni.

Droga jest „ciągiem cyfr i liczb zawsze zataczających okrąg", ale także symbolem semantycznym, gdzie można „znaleźć siebie Znow w innym odzieniu / w tym samym miejscu". Jest to w istocie, jak pisze sam autor „poszukiwanie panaceum na prawdę". Bowiem droga w utworze poety, jest nie tylko pojęciem filozoficznym, ale jest to także symbol astrologiczny i personifikacyjny „z rozwartymi rękami bram".

Nie będzie przesadą, porównanie utworu *Zawsze jest droga* Zbigniewa Ikonę Kresowatego, w jej filozoficzno-sensualistycznych pokładach z malarstwem Jacka Malczewskiego. W obu odstępach, konfiguracja drogi przemawia do widza tym samym światłem i taką samą mimiką. Poeta widzi w niej „krzyk piękna (...) smukłej dziewczyny Tanatos", coś co filozofia nazywa emocją, a mitologia literacka – mitopeją. Stąd postromantyczny świat malarstwa Jacka Malczewskiego, w jego cyklach obrazów „Thanatos", prze-

pełniony jest filozofią ożywionych mitów, wynikających z epoki przełomu i wielkich przewartościowań. Będąc twórcą świadomym Zbigniew Ikoną Kresowaty, przywołuje w swoim utworze motywy mitopeiczne i je utrwala, jako element własnego dyskursu literackiego. Stąd utwór poety jest wyrazem natchnienia poprzez wiedzę, że poza nim dzieją się całe pokłady świadomości ludzkiej, o drodze. To symbol wyjścia z pewnego punktu i podążania, ku czemuś jeszcze nie zbadanemu umysłem ani wzrokiem, tym filozoficznym autorskim „daleko tamtędy".

Alegoria utworu, odwołuje się także do znanego symbolu drogi jako tańca śmierci, jednej z najbardziej eksponowanych alegorii w sztuce i literaturze późnego średniowiecza i baroku. Przedstawia ona korowody umarłych, jako upomnienie przed nieuchronnym losem, ale także jako wyraz ekspozycji marności życia i skargi, że wszystko przemija. W wierszu Itaka Konstadinos Kawafis mówi także o wędrownicy jako różnorodnej, pełnej niespodzianek i nieznanych doświadczeń drodze. Ta wykładnia XIX wieczna, przekłada się na uniwersalność Itaki jako drogi przeznaczenia, symbolu pielgrzymowania i docelowości. Itaka to symbol filozoficzny, znamię wyrzyte na świadomości ludzkiej i przekazywane pokoleniom, jako znak namiętej szczególności i kresu życia.

Droga w utworze poety, otwiera podwoje eschatologicznej wieczności i może być, przez Anioła – jak to jest na XII-wiecznym fresku z cerkwi św. Cyryla w Kijowie, zwinięta w rulon i nazwana niebem. Eschatologia drogi, jest zapewne wykładnią traktatu o cechach teologii dogmatycznej. Syntetyzuje zagadnienia dotyczące losu człowieka oraz jego przeznaczenia i celu wyznaczonego przez Boga. Dzieje się to za sprawą rzeczywistości stworzonej. Mówiąc o rzeczach ostatecznych, poeta odwołuje się do wykładni, która nastąpi po życiu ziemskim lub po zakończeniu historii. Takie pojmowanie drogi przypomina, że jest ona rozwartą bramą, bo rulon dziejów, trzymany przez Anioła na fresku, wcale nie musi oznaczać końca. Może bowiem oznaczać początek. Jak mówi poeta: (...) „Droga zawsze szuka nas i wieńczy". Motyw poszukiwania zlewa się z ewangelicznym niebem, ze zwoju na fresku i z twórczości poety, można wywróżyć więcej, i będzie to zawsze pojemniejsze od

wytyczonych już przedstawień w różnych dyskursach pojęciowych.

TADEUSZ KARABOWICZ

Zbigniew Ikoną Kresowaty - artysta malarz (studia na wrocławskiej PWSSP), twórca ikon, poeta i eseista, krytyk literacko – artystyczny. Debiutował w miesięczniku „Odra" w 1987 roku. Posiada liczne publikacje w ogólnopolskich czasopiśmie literackich, m. in. „Stowo Studenckie", „Radar", „Życie Literackie", „Kultura", „Literatura", „Fakty", „Metafora", „Akant", „Akcent", „Twórczość", „Graffiti", „Migotania", „Krytyka Literacka", „Gazeta Kulturalna", „Radostowa" oraz w wielu almanachach literackich i poetyckich.

Wydał sześć zbiorów poezji: *Być może Wycinki Stanu*, *Oficyna „Własnym Sump-tem"* (Wrocław 1989), *W aorcie, Galeria „eS" Strzegomski Ośrodek Kultury* (Strzegom 1990), *Są Oblicza i Anioły*, *Drukarnia Zarządu Regionu NSZ „Solidarność" Dolny Śląsk* (Wrocław 1995), *Dom Glosy i Abła*, *Państwowe Muzeum Gross-Rosen*, (Wałbrzych 1996), *Nie opóźniać spojrzania*, *Biblioteka PAL WIT-GRAF* (Toruń 2000), *Jeszcze mrują oczy wczesne wrześnieowe psy*, *Wydawnictwo Krytyki Artystycznej Miniatura* (Kraków 2009).

Nagrody literackie za całokształt: Nagroda Im. K. Janickiego i Tadeusza Micińskiego (Bydgoszcz) a także GUSTAW im. Herlinga Grudzińskiego (Kielce) oraz NIKOS im. Nikosa Chadziniolau (Poznań). MICEAKORIA za działalność charytatywną. Liczne wyróżnienia artystyczne a także odznaka Zasłużony dla Kultury Polskiej. Odnznaczony Medalem Św. Jerzego za działalność kulturową przez Gminę i Miasto Łądek Zdrój 2019 roku. Wydał książki z zakresu literatury faktu, dwa tomy (56 rozmów) z wybitnymi koryfeuszami kultury i sztuki polskiej: *Między logos a mythos* (Kraków 2005) oraz *Między mythos a sacrum* (Kraków 2009).

Jest stałym współpracownikiem e-Dwutygodnika Literacko-Artystycznego *Pisarze.pl.*, współredaktorem kwartalnika „Migotania" oraz „Okolicy Poetów". Prace plastyczne wystawiał w kraju i za granicą. Ilustruje w czasopiśmie artystycznych.

*Pisarze.pl*, Nr. 02/21 (474). 26 stycznia 2021



Wojław Brydak

## Wojślaw Brydak

Konkurs Chopinowski odbywa się co pięć lat, rzadziej niż olimpiady. Może dzięki temu zachowuje świeżość, chociaż za kilka zaledwie lat wypadną zorganizować festiwe z okazji stulecia turnieju.

Zakończony w październiku 2021 konkurs numer osiemnaście miał świetną prasę. Wydaje się, że zasadnie. Pełna transmisja wszystkich przesłuchań w telewizji i Internecie cieszyła się zainteresowaniem o jakim od dawna mogą tylko pomarzyć polskie media poświęcone kulturze z wysokiej półki. Warszawskich występów słuchano nawet na drugim końcu świata w tysiącach internetowych odston.

Nie na tym jednak polegała klasa tego konkursu, spóźnionego z powodu epidemii o rok. Po prostu uczestnicy grali znakomicie, co z czystym sumieniem można powiedzieć o chyba wszystkich 87 kandydatkach stojących do pierwszego etapu. Już na początku przesłuchań zdawało się, że co najmniej jedna trzecia z nich może pretendować do jakiegoś wyróżnienia czy nagrody. Poziom robił wrażenie.

Nagrody przyznano. Publikę i komentariat jak zawsze uskrzydlały spory o ewentualnych pokrzywdzonych (w wyniku rzekomego niedostachu jurorów), lecz – trzeba przyznać – ten przykry, rytualny objaw uboczny znacznie osłabł w tym roku. Zwłaszcza, że unisono zabrzmiały głosy ludu i fachowców w odniesieniu do pierwszej nagrody. Aż tak było! Nie do wiary!

Na tym tle łatwiej o kilka spostrzeżeń.

Program konkursu warszawskiego w stu procentach zapewnia fortepianowa twórczość Chopina. Gra się i słucha tylko jednego kompozytora. W związku z tym co pięć lat odżywało pytanie: co takiego nagradza jury? Czy interpretację najtrafniejsze „chopinowsko”? Czy świetną grę na fortepianie? Czy też decyduje przekonanie, że ten lub ów młody muzyk reprezentuje największy potencjał artystyczny; że najlepiej rokuje na przyszłość?

Zacznijmy od pierwszego pytania. Jak sięgam pamięcią, co pięć lat nabierało rumieńców przekonanie, że istnieje jakiś ideał wykonania chopinowskiego. Przy czym – jak to z ideałami bywa – można się o niego otrzeć, można się do niego zbliżyć, można się do niego zbliżyć jeszcze bardziej, ale sam ideał pozostaje niedostępny, dziewiczy, nie-łknięty, no bo gdyby się urzeczywistnił, to co by to był za ideał, prawda? Tak więc dyskutowano, spierano się kto bliżej ideału, kto dalej, czy ów ideał da się jakoś określić, zwłaszcza, że Chopin przez te swoje mazurkowe idiomy, kujawiakowe rytmy, polone-zowe zawijasy jest endemicznie polski. A tu przyjeżdża jakiś Brazylijczyk kolibrami pod-szyty, jakiś Chińczyk o słuchu ćwiczonemu na operze pekińskiej (kto słyszał, wie o czym piszę), przyjeżdża jakiś Amerykanin, któremu przecież bliżej do Johna Lee Hookera. I co? Oni wszyscy będą się teraz swobodnie obracać w Chopinowskiej dźwiękosferze i szukać jej świętego Graala?

Takie wątpliwości dziś zwietrzały. Coraz częściej wydają się pocieszne. Natomiast nabrała znaczenia praktyka wgrzyzania się w konteksty, w materię utworu i w epokę kompozytora, nabrała znaczenia swoista „robota badawcza”, która wspiera naturalny ta-lent, w niczym nie tłumi wrodzonej muzykalności, nie ogranicza, a tylko wskazuje ścieżki, przy których da się jeszcze odnaleźć to i owo. Utwory Chopina doczekały się setek mistrzowskich wykonań. Znaczną ich część została utrwalona. I oto okazuje się, że ta góra nagrań jednak nie przystąpiła wyobraźni artystycznej młodzieży.



# OSIEMNASTE WZMOŻENIE ROMANTYCZNE

W wykonaniach z październikowego konkursu zwracata uwagę nadzwyczajna dbałość o uwydatnienie wieloplanowości Chopinowskich utworów, harmonicznej wynalazczości kompozytora i dbałość o uwydatnianie polifonii obecnej w Chopinowskich strukturach. Ba, wyraźniej sygnalizowano fragmenty, które mogą uchodzić za przedpole impresjoni-zmu. O tych właściwościach przecież się wie, ale podczas konkursu owa akademicka nieco wiedza zamieniała się co chwilę w żywą i pełną wyrazu opowieść. Taki był wynik wgrzyzania się w tekst nie wbrew tradycji, nie na przekór, ale w głąb; taki był wynik od-noszenia się do tekstu jak do tańca siedmiu zaston, kiedy piękny kostium ukrywa pod spodem inny, może jeszcze piękniejszy.

Innego rodzaju konkursowa radość to swego rodzaju „odkrycie” wczesnego Chopina, tego spomiędzy juveniliów, a już dojrzałych, mistrzowskich kompozycji dwudziestolat-ka.

Kawałki z tego okresu – nauki u Elsnera – grywa się rzadziej, jakby przez uprzejmość, bo to jednak Chopin, chociaż jeszcze nie „ten” Chopin. Mieszczą się w takiej kategorii chociażby Wariacje B dur op. 2 na temat Mozarta, młodzieńcza Sonata c- moll op. 4, Sostenuto Es-dur, spora garść innych kompozycji, które słyszy się znacznie rzadziej niż ballady, preludia, dwie późniejsze sonaty czy walce. Tymczasem podczas ostatniego konkursu prawdziwym wydarzeniem stało się rewelacyjne wykonanie – przez Kyohei Soritę, (na koniec konkursu laureata drugie nagrody) – marginalnego na pozór Ronda à la Mazur F dur, op. 5. Wydaje się, że po bajecznym popisie Sority koncertujący pianiści częściej wpiszą ten utwór do repertuaru.

Podobnych przypadków było więcej, co oznaczało niejakką odnowę Chopina w stylu „brillante”. Wymaga on sporej wirtuozerii, popisowej technicznej gry piano, delikatnej artykulacji, natomiast obce temu stylowi są monumentalności i jowiszowe miotanie pion-runów. Swój niepowtarzalny idiom muzyczny Chopin wywiódł z estetyki „brillante”, szybko ją przetworzył i w dużej mierze zostawił za sobą. W wykonaniach z 18. Konkursu Chopinowskiego młodzi muzycy ją przypomnieli. Warto było, ze względu na efekt od-świeżenia.

Niewykluczone, że moda na grywanie różnych utworów na instrumentach historycznych – z epoki powstania danej kompozycji – wpływa na sposób interpretowania tych utworów na instrumencie nowoczesnym. Od

dawna oczywisty jest nawyk pianisty by Bacha grać na fortepianie w jakimś nawiązaniu do brzmienia klawesynu czy klawikordu. Podczas ostatniego Konkursu Chopinowskiego pojawiło się wrażenie, że ten czy ów pianista – siedząc przy steinwayu, fazioli lub shigeru-kawai – zachowuje w uszach po-dźwięk erarda czy pleyela z czasów Ludwika Filipa we Francji. To też była budująca no-wość.

Bardzo wysoka jakość występów konkursowych nie wzięta się z powietrza. Do wstępnych eliminacji zgłosiło się, jeszcze w 2019 roku, 502 kandydatów, którzy przesyłali do Warszawy swoje nagrania video. Do eliminacji drugiego stopnia komisja kwalifikacyjna dopuściła 164 młodych artystów, z których ostatecznie w lipcu 2021 roku zjawiło się w Warszawie 151 osób. Dopiero spośród nich, wraz z 9 zwolnionymi z eliminacji laureatami wymienionych w regulaminie 10 konkursów – w tym najważniejszych na świecie – dopuszczono do właściwej imprezy 87 osób. Rywalizacja zaczęła się w istocie na długo przed oficjalną inauguracją 18. Konkursu Chopinowskiego w październiku 2021 roku. Należy dodać, że bodaj większość uczestników, o czym mówią ich życiorysy artystyczne, miała za sobą większe lub mniejsze sukcesy na wcześniejszych konkursach, nie-wymienianych już w regulaminie, i miała też za sobą występy w świetnych salach z pierwszorzędnymi dyrygentami. Było więc w kim wybierać.

Przy okazji nasuwają się niesforne myślanki. Ta sytuacja to także tryumf metodycznego wytuskiwania talentów, ich kształcenia, prowadzenia, wiedzy, psychologii. Zdaje się jednak, że szybciej przybywa talentów niż nowych estrad i słuchaczy. Że kształtowanie talentów może się przestoczyć w produkcję, co brzmi groźnie. Że dzisiaj konkurs, ważny konkurs, rzadko kiedy zapewnia laureatom karierę na całe lata.

Nie zmniejsza to zachwyty nad zakończoną w październiku imprezą. Ogólnopolskie wzmożenie chopinowskie było uzasadnione. A myślanki jak to myślanki, okażą się trafne lub nie. Czas wyjawi.

Cóż, kończę i życzę powodzenia niespełna dwudziestoltniemu chińskiemu pianiście Xiaoxuanowi Li, który zachwyił mnie po pierwszym etapie, a jednak poza ten pierwszy etap nie wyszedł, chociaż wydawał się kandydatem do nagrody. Niczyja wina. Trafiał się niespotykany wysyp znakomitości. Taki to był konkurs.

WOJŚLAW BRYDAK

Czesław Sobkowiak

## ROZPLĄTYWANIE PRZESTRZENI POEZJI ZANIM ZACZNIE SIĘ ROZPADANIE

Czytam w dniach listopadowych najnowszy zbiór znanego polskiego poety o sporym dorobku twórczym - Zbigniewa Joachimiaka (przysłałeś mi Zbyszku, ładnie wydany, ilustrowany - Marek Przybyła), zbiór dwujęzyczny „Córka” (tłumaczenie na j. angielski Anna Gąsienica Byrcyn). Tytułowa, obsesyjna córka jest już w pierwszym pięknym, prozatorsko napisanym wierszu „Ślimaki” jak i wielokrotnie dalej („Trzymam w dłoni twój list, jest z papieru, prawdziwy, / prawie jak dzisiejszy dzień 6 sierpnia w ogrodzie”, s. 7) i w ogóle w centrum podmiotowym jego (Twojej) książki. Do niej uczuciowo jako ojciec i duchowo jako człowiek wielokrotnie się odnosi poeta. Fabuły z nią związane intensywnie przeplatają całość utworów, jak nic wiążąca egzystencję. Tu prawdziwie wyraża się prywatność, pocieszenie życia, złudzenie senne, natchnienie poetyckie,

ale i jest powszednia obserwacja zmieniającej się relacji ojca z córką, która po prostu dorósłej. Widać, że jest to temat tu ważny, bo poeta do niego wraca w swoich „parafrazach”. Można rzec, że mógłby być zrobiony z tych wierszy

osobny nawet zbiorów, jakiś cykl utworów, tutaj stanowiących o żeńskości zbioru, cokolwiek by o nich nie powiedzieć (czy mam rację?). Także przytacza poeta często słowa córki, cytuje je, parafrazuje listy, których jest autorką, wszystko to po to by, jeśli już nie realnie, to na polu literackim swoją fascynację, ale też żal, bo coś co było ważnego od poety już odeszło, więc rzecz w tym, by choćby tylko w słowie poetyckim mogło być przedłużone, bycie razem, wspomnianie. Nie tylko ma znaczenie, że do „Do dzisiaj drzemią we mnie odgłosy / sierpniowej rewolucji w Stoczni Gdańskiej”. Nie tylko. Bo i prywatność. Raczej nie chce być i czuć się wyłączone z życia „córki”. Niczego nie chce wyłączyć z siebie, „Chcę wejść w rytm trwania, w ten rytm listu” córki lub kogokolwiek, we wnętrzu, w pamięci. Ale tomik ten jest nie tylko o tym, że jest trwanie i zarazem już nie trwanie, „kwiaty hortensji tracą kolory / i staną się papierem” Można rzec, doświadczenia są różne, ale pierwszoplanowa tu jest ta relacja ojciec-córka (udało Ci się to). Jednak ta historia kończy się opisem dramatycznego, makabrycznego kosmaru sennego („Wieloramienny ojciec”). Bardzo te wizje zaskakują.

Myślę, że te różne doświadczenia życia, „różne głosy”, mają, miały miejsce, przychodzą nadal i zmuszają Zbigniewa Joachimiaka, do przenoszenia ich w wielowarstwowy obszar słowa. Jeśli jednak rodzinne odniesienie, często pojawiające się jest koniecznością z krwi i kości, to Poeta doświadcza różnych rzeczy tego świata wg logiki biegu życiowego losu. Może jest tym nawet zaskakiwany, i , te doświadczenia są źródłem wielu wierszy, nie chce bowiem jakichś emocji i myśli i zdarzeń zostawić samym sobie, biegowi niepamięci, ale im stawić czoła, co wymaga pewnego sporego wysiłku intelektualnego, metaforyzacyjnego, zaprzęgnięcia do tego też mocy wyobraźni i osobistego wnioskowania „Zanim zaczniesz się rozpadanie tych wszystkich aromatycznych, twardych, esencjonalnych” (s.7) rzeczy tego świata. Catej formie istnienia i urodzie trwania stara się stawić czoła filozoficznie, emocjonalnie, więc opisuje je, niekiedy beznamiętnie, filozofuje według podmiotowej miary, zastanawia się, za każdym razem, mając do wyrażenia jakąś inną treść, i inne ,np. cywilizacyjne zagadnienia. Nie wyznacza sobie jednak jakiejś jednej linii, jednego pola ani nie wchodzi w te same obsesje. To Joachimiaka charakteryzuje. Wie, że los, to jest jakby i nie jakby kreatorem wszystkich sytuacji. Los to właśnie wielka niewiadoma, wobec której podmiot stara się być kimś otwartym i dociekliwie wrażliwym. Zarazem „Ta ścieżka jest zwykła. Jak każda inna. / Na początku ledwie widoczna”(s.15). W zdaniach rozwlekłych, rozległych, mających formę rozmowy z kimś spotkanym, z samym sobą, też uzyskuje formę narracji epickiej typowej dla medytacji. Sztuką jest dostrzec w tym

zbigniew joachimiak  
córka • daughter



# INTERPRETACJE

wymiarze całą wielką przestrzeń, nie ignorować tej najbliższej, matęj („Ścieżka staje się powoli drogą”, s. 15), która też wąską jest, a jednak potencjalnie ogromne w sobie zawiera sprawy, „Z perspektywy środka może wydawać się wielką autostradą”, a więc jest wartością, mimo nieuniknionych zachwiań. I oczywiście łączy się z nią odczuwanie losu, który ma „oczy zasłonięte opaską”, jednak ludzki to fakt i zasada i prawo, że całe życie jest losem, który narzuca konieczności jego ciągłego podejmowania „z uporem”, tej niewiadomej, objawiającej się bezpośrednio, także w banalnych, domowych realiach. Los postępuje się przepaską, jej węzły są mocno usadowione z tyłu głowy, jak pisze poeta.

różnych kwestii życiowych tu ma miejsce. W taki właśnie charakterystyczny osobisty i zupełnie niebanalny sposób, że ze zwyczajności wyprowadzone jest myślenie o życiu, o jego przyszłości, o tej wzmiankowanej już ścieżce życia, która paradoksalnie idzie i staje albo nagle (tak myślę) okazuje się bardzo szeroka, wręcz jak autostrada. Rozległość drogi zależy od patrzenia i coś ją musi wytyczać, otwierać, np. troska i miłość do córki, poszukiwanie prawdy, w każdym miejscu jest wszechświat. Ten styl poetyckiego dążenia wyznacza epicka narracja, która jest w każdej linijce, wsparta na biograficznych sytuacjach. Wiele z nich miało miejsce, wiele dokonano się „na prowincji / największej na świecie prowincji”, a poza nią, z tamtego punktu widzenia dopiero „reszta świata”. To w Ameryce początku lat osiemdziesiątych poetyckie znaczenie mają doznania gorącego klimatu, „bezlitosnego dnia upału”. Zbigniew Joachimiak opisuje (s.31.33) owe stany umysłu i ciała, wychylające się ku skrajnym odczuciom. Słońce jest „przesłonięte kopułą rozżarzonego powietrza”. Wydawać się może komuś, że to egzotyka Stanów, ale tylko pozornie. To opis amerykańskiej, ówczesnej rzeczywistości (40 lat temu), naznaczonej ciężarem realnego życia, pragnieniem posiadania pracy („Modlitwa amerykańska”), że nawet ma oistycznym rewolucjonistom w upał „wymiar tego kraju” „rozpuszcza mózgi”. Nie tylko o to chodzi, tak myślę, o tę fizjologię nawet oczywistą, ale o ironię, żart, bezwzględny wymóg, gdyż nie jawi się możliwość zmiany kształtu świata i relacji społecznych w trybie rewolucyjnym „w imię sprawiedliwości społecznej”. Tam, wtedy, była zupełnie iluzoryczna „niemożliwa” żadna „najlepsza indoktrynacja”(s.53”). Te wielkie sprawy obserwuje Zbigniew Joachimiak w sposób

mający na uwadze zwyczajność bytu. To można doceniać, a zwłaszcza braku niego negatywizmu, są podmiotowe trudy różnego rodzaju, lecz w dalekim tle też jest zgoda na nie. Czytam te wiersze, niekoniecznie recenzentko (wyobraź to sobie, Zbyszkule). Dzielę się sprawami, na które zwróciłem uwagę nieco prywatnie, na ową dojmującą zwyczajność obrazów, uczuć, myśli. Nie ma potrzeby niczego manifestować patetycznymi zwrotami, gestami więc nie robi poeta tego. Ważne są też wiersze, są na początku zbioru „Córka”, w których w jakimś stanie kontemplacji ma miejsce przechodzenia, przechodzenia z jednoznaczności do niejednoznaczności, coś jest i coś zarazem już nie jest, przestaje być, tylko „to drgające jeszcze powietrze, to tylko twoje przywidzenie”. Widzenia są ujmowane od siebie do rzeczy i z powrotem, z prawej na lewą stronę, od znikomości do wielości. Wszystko wydaje się uprawnione, możliwe, daje szansę poznania pełnego wymiaru, dogłębniejszego, i prawdziwszego, ja się z tym zgadzam - z uwzględnieniami wielu aspektów istnienia, punktów widzenia, tak czytam. Umie poeta (umiesz) porcjać opis sytuacji, jak np. w wierszu „Stara kobieta mnie pyta”. I tu pozwolę sobie na drobny cytat z tego dużego, dobrego wiersza: „jej ręce zatrzymują się na chwilę albo na dwie chwile, albo na dwa przystanki dłońi” i dalej: „jesień przyniosła jej do ogrodu dużo pourywanych zdań, tłustych pewnych siebie, nie całkiem zrozumiałych wyrazów, ale też pięknie złożonych sentencji” Właśnie taka rzecz, dobrze dozowana w obrazach, jak w rysunkach. Kobieta mogłaby być tylko portretowana ogólnie, cząstkowym zaznaczeniem, a jest coś więcej, jest dzielące się zjawisko, jej świat, otaczająca ją dziwność, coś ukrytego wychodzi na jaw, świat poetycki osiąga swój kształt, tu się dowiadujemy czegoś ważnego - „słowa trzeba rozsuptywać” (s.11), trzeba „wiersze rozwiązywać”, w taki sposób dawać im życie. Przywołałem ten utwór z początku zbioru, bowiem może on stanowić klucz do poetyki Zbigniewa Joachimiaka. I tego tomiku zarazem, bo w czym rzecz, wydaje mi się, że poeta to robi, czyni tak jak dyktuje mu jego wnętrze, i nie gubi realności trwania w tym poetyckim zadaniu.. Ustania w akcie poetyckim zasadę otwierania się. Jednak nie jako monolit, on obserwacji aktywnej nie może zaniechać. Często rzeczy są do siebie nieprzystawalne. Niekiedy rymują się oczywiście. Tak, więc Joachimiak nie pisze jednoliniowo, ani nie pozo-

staje w jednorodnym kręgu poetyckim, Ale ciągle podejmuje na nowo swoją drogę. W widzeniu wielotorowym. Jeden wiersz, jeden obraz lub fraza prowokuje kolejną. I nie rozpada się ta opowieść o życiu, ta narracja często bardzo dramatyczna, „gorzka pestka miłości”. Każdy jego wiersz wynika z autentycznego doświadczenia życia. Nie omija doznań trudnych, skomplikowanych, lecz jakby swoją przestrzeń rozsupełuje, nabywa przez to poeta większą o niej wiedzę, jest bliżej rozumienia i odkrywania prawdy o niej, mimo jej skomplikowania. Zauważyć trzeba, że w swoich narracjach lubi Joachimiak wychylać się ku krańcowości. Taka jego gra. To mogą być widzenia: „Alicja powraca”, „Cięcia” lub ekstremalnie i wstrząsająco krańcowy „Piszę z więzienia”, a ono jest w gruncie rzeczy obrazem piekła. Pokazują te wiersze, te pisane na emigracji, i nowsze lub najnowsze, że lata były trudne, najogólniej ujmując, ale umiał w tym wszystkim być również wesoły, zwłaszcza umiał zachować w sobie nutę, tę strefę, w której pisanie wiersza jest nadal możliwe, a zwłaszcza rzecz w tym, że możliwe było utrzymanie równowagi myślowej i emocjonalnej.

Cenię to, że nie pominął Joachimiak wydarzeń („Dwa ognie”), na kijowskim Majdanie, a w innym jakże słusznie zadaje pytania („Pytania do Nieprzyjaciół Moskali, po zdobyciu Krymu w 2014 roku”) „Czy wielki naród to ten...” który strzela, kłamie, itd. w imię czego? Mocne to wiersze. Potrzebne, dzisiaj aktualne. W każdym wierszu jest ten sam poeta. Da się już zauważyć, że dużo w tej książce nuty nieuniknionej, niemal podsumowującej („Odgarniam zaspę”). Z tymi „zaspami” trzeba się też uporać mimo, że „Ręce marzną”, „Przestaję widzieć wyraźnie”. Rodzą się dociekania o życiu, o publiczności literackiej, o czerni, o córce jeszcze, o sobie jako ojcu, o sobie wędrującym z tobołkiem i zasmuceniu, o wadze poetyckich słów - tak tu jest, nie inaczej. Używa pod koniec zbioru poetyki baśniowej. Dochodzi poeta na koniec mroźnymi, zimowymi krokami w stronę Krępy Krajeńskiej, to też jest mu potrzebne, by znowu być w tym pierwszym krajobrazie, idzie tam „raz dwa, raz dwa”, by być w tym pierwszym szczełaniu psów, zapachu drzew, w śniegu. Dowiedzieć się co go w przyszłości czeka.

**CZESŁAW SOBKOVIK**

Zbigniew Joachimiak: Córka.Daughter Gdańsk 2021, Fundacja Światło Literatury, s.140.

# INTERPRETACJE

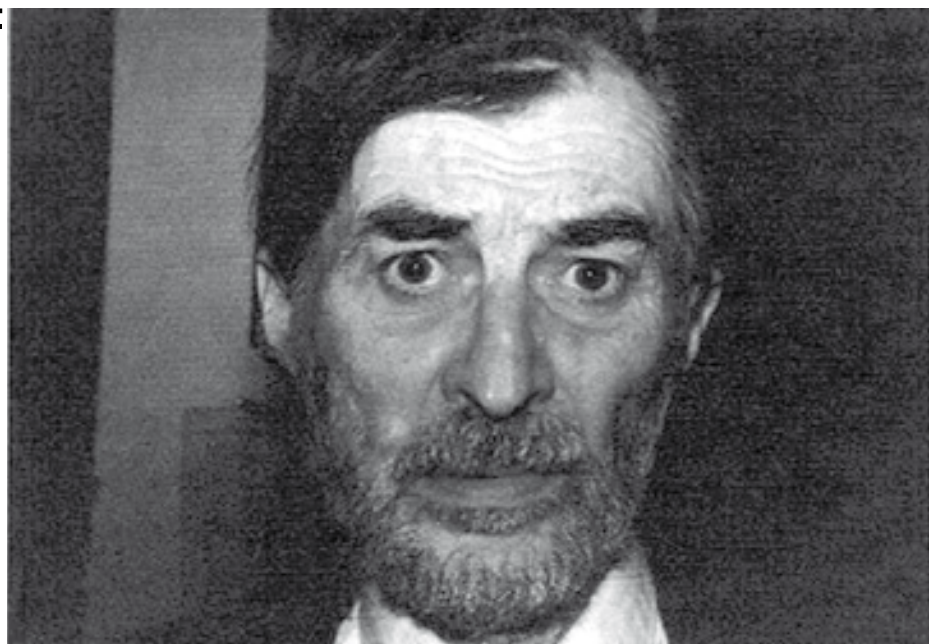
INTERPRETACJE

Andrzej Wołosewicz

## MOJE POETYCKIE POŻEGNANIE Z KRZYSZTOFEM GĄSIOROWSKIM – W 10 ROCZNICĘ ŚMIERCI

(fragment przygotowywanej do druku książki  
„Krzysztof Gąsiorowski – biografia sensu. Poezja  
poza interpretacyjnymi oczywistościami”)

Pisząc o Gąsiorowskim borykam się z nieobecnością. Teraz przybrała ona także niemożność bezpośredniej rozmowy, ale z tym sobie radzę. Wygląda nawet na to, powiedziałbym posiłkując się Freudem, że już uporąłem się – we freudowskim procesie sublimacji – z nieobecnością Krzysztofa emocjonalnie, rozliczyłem się z nim wierszami, jak poeta z poetą. Przytaczam je, bo są dla naszej rozmowy ważne!



potem inny przyjaciel  
byczy poeta choć pomijany stukrotnie  
słusznie walczący o prawo do Szlaku  
(także przeciw Krzysztofowi)  
przedstawia racje poiesis

więc co ja – kurwa! – mam robić?

(23 I 2007, TOMIK „MONOGRAM  
ZE STARYCH ZEGARÓW”)

### Gdy gaśnie wiersz wieczorem nad łąkami

w uporczywej wędrówce za horyzont  
poeta Krzysztof Gąsiorowski  
doszedł do bezgłosu

obracając słowa na wszystkie strony  
godzinami ćwiczył twardość ich ścięgien  
pojemność i rozciągliwość

a teraz – czego nie spodziewał się  
w najczarniejszych snach –  
siedzi bezradnie na krawędzi dźwięku

i próbuje składać litery w słowa  
jakby dopiero je poznawał  
choć obaj wiemy że to nieprawda

znają się aż nazbyt dobrze  
używali siebie bezwzględnie acz  
uczciwie  
ale teraz nie ma to już żadnego znaczenia

siedzi więc poeta Gąsiorowski  
na brzegu jeszcze ciepłego łóżka  
jak na skraju losu

przeciekającego przez palce  
i zastygającego w obco brzmiący  
choć jego własny tekst

„Bołą mnie oczy,  
jakbym za dużo zobaczył.  
Nie płaczę, ale z oczu wycieka mi  
świat

K.G.

jest tak chudy  
że go nie widać

jeśli idzie ktoś  
kogo nie widać

to może być tylko  
Krzysztof Gąsiorowski

rozpoznawalny jedynie  
po gemmach w kości policzkowej

oraz dzięki  
wiecznym oponentom

dla których jest  
racją bytu

dla nich  
i ich dziwnego

prymatu  
polityki nad poezją

K.G.  
jest tak chudy  
że nawet  
nie wystaje

spod białych recenzji

nie tykających

jego koncepcji  
poezji

zorganizowanej  
wokół problemu

co tak naprawdę  
podlega słowom?

według mnie  
u Krzysztofa

słowom podlega  
skraplanie czasu

(Z TOMIKU „MONOGRAM ZE STARYCH  
ZEGARÓW”, 2010)

### Krzysztof Gąsiorowski

#### w szpitalu

przyjaciel jest w szpitalu  
przyjaciel przed którym  
przestrzegał mnie inny przyjaciel

a potem inny przyjaciel  
mówił o nim złe rzeczy  
choć poetycko jest słabszy o wszechświat  
a materialnie Krzysztof przy nim  
to kłoszard

# INTERPRETACJE

ten sam świat który jeszcze nie tak dawno wlatywał we mnie z łopotem niby labędz w tunel kolejowy”

(2011, z TOMIKU „KAŻDY TWÓJ KROK PROWADZI NAD STYKS”)

## Na pohybel

utrwalić rysy twarzy  
gdy śmierć już mieszka w człowieku

rozpoznać ją  
wbrew totalnej zachłanności życia

przyłapać wyprutą z treści  
pod maską medialnego świata

utrwalić jej rysy  
gdy już mieszka w nas

utrwalić je patrząc w lustro  
albo na Gąsiorowskiego

gdy siedzi w brudnym fotelu  
doskonale z nim stopiony

jakby miał się za chwilę  
rozpłynąć w nieodróżnialności

rozpoznać rysy śmierci  
w uśmiechniętym pysku życia

gdy jeszcze nie cuchnie z ust  
a wypowiedane słowa są mądre

bo im się zdaje że wiedzą o co chodzi  
choć to od początku było kłamstwem

utrwalić to jak najdokładniej  
na pohybel wszystkiemu

(2010, TOMIK „KAŻDY TWÓJ KROK PROWADZI NAD STYKS”, 2014R.)

## Krzysztof odchodzi

wielu przyjaciół odeszło na lepszą stronę życia  
a już następni szykują się do drogi

teraz Krzysztof któremu składam tomik jakbym zbijał trumnę  
wedle wymogów Ludowej Spółdzielni Wydawniczej

te dwa dźwięki coraz bardziej natarczywe  
Bóg ponaglący – chodź zbieraj się zabieraj

i drewniany dziecioli stukot młotka o zbijaną trumnę  
ze słów wierszy i pożegnań

(z „KAŻDY TWÓJ KROK PROWADZI NAD STYKS”)

## Deszcz pada na

### bródnowski cmentarz

a więc to już – pamięci Krzysztofa

wszystko przeżywamy w niemych językach ciała i rzeczy  
przeszłość i przyszłość owo byłem lub będę  
mówiłeś: istnieją tylko pozory radości  
tylko fałszywa duma nie ma nic z gorczy

życie w mieście gdzie wschodzi noc i odyskują swoje cienie zmarli  
żywi się mroczną nadzieją placów i ogrodów  
ukrytą pod zamkniętymi już powiekami

deszcz pada na bródnowski cmentarz i użyźnia groby  
jak użyźnia zielen ulic i chodników  
zanim wylegną nań tłumy dzieci mężczyzn i kobiet  
odwróconych plecami do minionej nocy

ten deszcz jego krzyk lub milczenie  
wydaje się raz młodszy raz starszy ode mnie  
umarli nie odżyją więc skąd te dreszcze?

można by powtórzyć za Tobą – ten deszcz się marnuje  
(„Każdy Twój krok prowadzi nad Styks”)

(„Każdy Twój krok prowadzi nad Styks”)

Pierwsze trzy Krzysztof znał. Ostatnich czterech już nie, chociaż dwa z nich jeszcze „zahaczały” o czas jego życia, ale był to czas kłopotliwego już kontaktu z Krzysztofem i inne sprawy wtedy były ważniejsze, choćby tomik, który przygotowaliśmy a nawet zwykłe zakupy czy zdjęcie książki z wyższych półek. Przypomina się w tym miejscu wiersz Krzysztofa:

## Przyjdzie i po mnie

### Wiesiek Kazanecki

Postanowiłem posprzątać w mieszkaniu, przetrzeć z pyłu biblioteczne półki,

pobieżnie i pośpiesznie, byle jak, tam tylko gdzie widać...

Wybacz, Wiesku  
- miesiąc minął od twojej śmierci  
a ja jakbym zapomniał, że

już na zawsze pozostaniesz dryblasem, zetrę kurze i proch i z wyższych półek, z miejsc, gdzie mógłbyś zajrzeć,

gdy przyjdiesz po mnie.

Nie bał się Krzysztof śmierci. W wierszach oswajał ją od zawsze, nawet jeszcze wte-

dy, gdy naprawdę była odległym kiedyś. Przypominam, że wiersz „Abym”, o którym już pisałem, powstał dwadzieścia lat przed śmiercią, a niektóre z cyklu „Moja stara naga maszyna do pisania” są w tomiku z 1975 roku („bardziej niż ty”). Swoją recenzję z tomiku „Być morze; bez-sen” (2007) zatytułowałem „Gąsiorowski? To on jeszcze żyje?” (2007/2008) upominając się tym trochę prowokacyjnym tytułem o miejsce poety w naszej literaturze. Co więcej, redakcja „Migotań” dała do tekstu grafikę, którą jako żywo można było wziąć za zdjęcie płyty nagrobnej. Kiedy w roku 2011 postanowiłem, wciąż niesyty kulawą obecnością Gąsiorowskiego, przypomnieć go wykorzystując Internet, portal www.pisarze.pl, jego naczelny2 przeraził się tytułem, bo Krzysztof kolejny raz chorował poważnie. Musiałem go uspokajać, że tekst jest sprzed czterech lat i że nie ma nic z hucpy, że sam Krzysztof w rozmowie z Ulickim wspominał: „Przetwałem 74 lata; niewiarygodne, nie spodziewałem się tego, nie byłem na to przygotowany. Ktoś mnie niedawno zapytał (autor szkicu – Gąsiorowski? To on jeszcze żyje?), czy wymyśliłem sobie epitafium3. Po namyśle, z pomocą żołądkówki, wymyśliłem. „Mogło być gorzej”4. Można powiedzieć, że bardziej uwiarała mu śmierć literacka niż własne, osobnicze umieranie, niż własne obumierające ciało. Umiał o tym pisać przekonanie i z poetyckim dystansem, jak w wierszu:

## To prawda

Od pewnych czasów  
Moje ciało zaczyna domagać się  
Rekompensat, zadośćuczynienia  
Za krzywdy. To prawda

Niezbyt o nie dbałem. Pałiłem,  
Piłem, pisałem – bezkarnie je wykorzystując  
Do swych wątpliwych celów.

W końcu przejęło inicjatywę polityczną,  
Stara się, w akcji zgoła dziejowej  
sprawiedliwości,  
Odebrać co mu zabrałem;

Przesadzając, jak to moralości.

Nie sypiam, nie jem, bronię się  
Jeszcze cytatami z Brechta:

Nie możesz mnie tak po prostu  
Rozwiązać; nie wierz klechom, nie  
Będzie ci lepiej, gdy się mnie pozbędziesz.  
Jak słońce,

zajdziesz za Ziemię, ale  
z grobu nie wzejdziesz.

ANDRZEJ WOŁOSEWICZ

1. Przytaczając podane daty tomików, w których ukazały się wiersze (lub daty samych wierszy) przypominając, że Krzysztof zmarł w 2012, co pozwala uzmysłowić, które wiersze były uzupełnieniem naszych rozmów twarzą w twarz, a które są już tylko „rozmową” z Krzysztofem zaklętym w tomiki swoich wierszy.  
2. Bohdan Wrocławski  
3. O czym to nie rozmawialiśmy, nieprawdaż? Gdyby nie dostępne zapisy trudno byłoby czasami uwierzyć...

4. R. ULICKI, LUDZIE JAK KAMIENIE, TORUŃ 2011, s. 260; JEST TO ZAPIS ROZMOWY Z KRZYSZTOFEM Z 2009 ROKU.

Roman Warszawski

# Burzliwe czasy. Dlaczego niektórzy nienawidzą Mario Vargasa Llosę?

Twórczość Mario Vargasa Llosy – bez wątpienia jednego z największych żyjących narratorów przełomu XX i XXI wieku – od zawsze układa się dwuwątkowo. Jeden nurt w dorobku peruwiańskiego noblisty, to literatura bardzo poważna; drugi natomiast stanowią narracje nieco krótko- i chwilne, żeby nie powiedzieć żartobliwe.

Można odnieść wrażenie, że pisarz w pełni świadomie uprawia taką dwupółkę. Po napisaniu dzieła kalibru ciężkiego, potrzebuje odmiany, odskoczni i na tapetę bierze coś lżejszego – co być może daje mu pewne intelektualne wytchnienie. W pierwszym nurcie mieszczą się takie jego powieści jak *Miasto i psy*, *Rozmowa w „Katedrze”*, *Wojna końca świata*, *Święto Kozła*, *Raj za rogiem*, czy *Sen Celta*. W drugim – *Ciotka Julia i Skryba*, *Zielony dom*, *Pantaleon i wizytantki*, *Pochwała macochy*, *Zeszyty don Rigoberta*, czy *Dyskretny bohater*. Ostatnia jego powieść pt. *Burzliwe czasy* należy do pierwszego, nazwijmy to tak, nurtu poważniejszego.

*Burzliwe czasy* opowiadają historię z lat 50-tych z Ameryki Środkowej, a dokładniej mówiąc – z Gwatemali. Główna oś książki jest inspirowana przez USA zamach stanu, mający na celu obalenie gwatemalskiego rządu bardzo umiarkowanego reformatora Jacobo Arbenza. Nie dlatego, że w oczach Waszyngtonu był on zbyt postępowy, ale dlatego, że przeszkadzał amerykańskiemu koncernowi, który w Gwatemali uprawiał banany. By móc ten zamach stanu przeprowadzić, a jednocześnie go uzasadnić, Amerykanie w ruch puszczały propagandową machinę, która z Arbenza czyni komunistę (którym on wcale nie był). W kraju dochodzi do powstania w obronie legalnie wybranej władzy, (w walkach w obronie atakowanego prezydenta bierze udział nawet przebywający wtedy w Gwatemali Ernesto Guevara, który jest dopiero na drodze ku temu, by za niedługo stać się legendarnym Che Guevarą), ale *yankees* osiągają sukces. Osaczony Arbenz zmuszony jest do ucieczki. Władzę przejmuje junta, która sprzyja interesom *United Fruit* – koncernowi, dla którego liczy się tylko to, by tanio i masowo móc uprawiać banany... Ot, i cała historia.

Można sądzić, iż MVL wziętą na warsztat ten temat, by pokazać, ile może dokonać dobrze ustawiona propaganda – **jak ważna jest wolność słowa i nieprzekupna prasa**. W Gwatemali jej nie było; albo – jeśli na początku nawet istniała, łatwo ją było unieszkodliwić, kupić i unicestwić. Dzięki temu – wbrew oczywistym faktom – komuś, kto nie był komunistą, bardzo łatwo było można przypisać komunistyczną gębę.

Był to kluczowy fakt dla dalszego rozwoju wypadków i tego, że zamach stanu tak szybko odniósł sukces.

Historię tę Vargas Llosa opowiada stosując wszystkie techniki narracyjne, do których nas przez lata przyzwyczaił. Jest więc stała zmiana planów, jego ulubiona narracja naprzemienna, skrótkowe dialogi i silnie zarysowane postacie – w tym jedna niezwykle istotna postać kobieca, która kolejne epizody historii spaja w jedną całość (jak się okazuje na końcu – agentka CIA). Nie ma natomiast... Gwatemali. Jest świetnie nakreślona uniwersalna infrastruktura władzy i przemocy, ale taka, która funkcjonować mogłaby wszędzie. Nie tylko w Ameryce Środkowej.

Ta okoliczność jest jednak cechą charakterystyczną całej twórczości Vargasa Llosy, na którą jednak bardzo rzadko zwraca się uwagę. Tu – w przypadku Gwatemali – pojawia się z ostrością, której nie można pominąć. Bo właśnie tej kraj, jak żaden inny, nadaje się do pełnego odmalowania jego specyfiki w powieści. A tu – nic z tego. Figa z makiem. Vargas Llosa zdaje się mówić: *Drodzy Czytelnicy, nie ze mną takie numery! Nie możecie jednak czuć się zawiedzeni! W żadnym wypadku! Znacnie mnie przecież od lat!*

Gwatemala jest bowiem jednym z najbardziej indiańskich całej Ameryki Łacińskiej. Bez przerwy oddycha się tam powietrzem przesyconym zapachem *copalu* (byłem, wachałem) – żywicy, którą okadza ołtarzyki prekolumbijskich bóstw, czy mieszkalne obejścia. Nawet w miastach średniej wielkości, ludność używa tam tradycyjnych, wielokolorowych strojów i posługuje się językiem *quiche* albo *tzotzil*. Obecność Majów – ludu, który zamieszkiwał tu przed wiekami – wyczuwalna jest na każdym kroku.

Czyni to Gwatemalę państwem absolutnie wyjątkowym – także na tle innych krajów latynoskich. Tymczasem w *Burzliwych czasach* o tym kolorycie nie ma ani słowa. Jest on absolutnie nieobecny. Każę się to pytać, czy książka rzeczywiście opowiada o Gwatemali, czy może o jakimś abstrakcyjnym kraju, w którym istnieje przestawna trójca – zawieszona w próżni kłamstwo, wszechobecne oszustwo i przemoc, przemoc, przemoc... (słowo można powtarzać do końca akapitu).

Pokazanie Gwatemali w taki właśnie sposób, nie jest jednak niedopatrzaniem peruwiańskiego noblisty. To jak najbardziej zamierzony zabieg, w *Burzliwych czasach*

zrealizowany ze skrajną premedytacją. Taki jest bowiem program MVL – jego pisarskie credo. NIE dla indygenizmu (indiańskości) i tellurizmu (związku z ziemią) w latynoskiej literaturze; TAK – dla wszelkich tendencji europejskich i światowych. TAK dla zerwania z – jego zdaniem – prymitywnym, dawnym dziedzictwem tego kontynentu; NIE dla indiańskiego i prekolumbijskiego ducha i kolorytu tych ziem. Bo – znów jego zdaniem – to ostatnie to siła wsteczna i trzymająca kontynent tam, skąd od dawno winien już się wyrwać i ruszyć do przodu. A on jest właśnie za tym ruchem, za zmianą, za przyszłością...

To jest jeden z powodów dlaczego Mario Vargas Llosa w jego własnej ojczyźnie często jest nielubiany i uznawany wręcz za zdradcę. Wszak Peru pod względem przesylenia indygenizmem tylko trochę ustępuje Gwatemali. Tymczasem w książkach MVL, których akcja osadzona jest w Peru, indiańskiego dziedzictwa praktycznie nie ma. Dla wielu Peruwiańczyków jest to niezrozumiałe i z twórczością Vargasa Llosy w żaden sposób nie potrafią się utożsamić. Często traktują go z lekceważeniem, lub wręcz z pogardą. Bo to niby panicz z dobrego domu, który co prawda z Peru pochodzi, ale w tej chwili ma niewiele wspólnego ze swoją ojczyzną. Co prawda on sam swojej stanowisko w sprawie indygenizmu próbował wy tłumaczyć i uzasadnić w wydanej w 1996 roku eseistycznej książce pt. *La utopia arcaica. Jose Maria Arguedas y las ficciones del indigenismo* (nieprzetłumaczonej na polski)(1), ale... kto czyta eseje, na dodatek ze zrozumieniem?

Nobel tę sytuację poprawił tylko na chwilę. A potem stało się najgorsze: MVL w Hiszpanii (gdzie mieszka od 1999 roku) z rąk króla Juana Carlosa (tego, który w Afryce polował na słonie!) przyjął tytuł markiza! Tego – jak na dawnego lewicowca i sympatyka Fidela Castro – w oczach wielu czytelników w jego ojczyźnie, było już za wiele. A *Burzliwe czasy* – rzecz o Gwatemali, która na dobrą sprawę mogłaby być także książką o Peru, te wszystkie narzekania tylko wzmogła i radykalizowała – niezależnie od tego, że powieść czyta się naprawdę świetnie. Polecam.

ROMAN WARSZEWSKI

W wolnym przekładzie: *Prastara utopia. Jose Maria Arguedas i utuda indiańskości*  
Jose Maria Arguedas to jeden z czołowych pisarzy peruwiańskich, jeden z głównych twórców indygenistycznego nurtu w literaturze peruwiańskiej

Mario Vargas Llosa, *Burzliwe czasy*, Znak, Kraków 2020



Antoni Pawlak jest poetą, który konsekwentnie potrafi zachować równowagę między tonacją osobistą i obywatelską. Ten zapłot intymnego wyznania oraz zaangażowania społeczno-politycznego widoczny jest też w tomie najnowszym *Ale bez rozgrzeszenia* (Instytut Miłośkowski 2020), który otwiera motto z wiersza zapomnianego poety i tłumacza Jana Zycha „I niech to będzie spowiedź. Ale bez rozgrzeszenia./ Nie chcę, by okradano mnie z mojego życia”, które zdaje się patronować przede wszystkim utworowi zatytułowanemu *Historik z Instytutu Pamięci Narodowej spisuje mój życiorys*, w którym rzeczony badacz „zna daty/ i godziny o których dawno zapomniatem” i „potrafi/ mój pierwszy pocałunek umieścić w kontekście/ społeczno-politycznym” oraz „ma mi za złe/ że czasami zamiast być bohaterem wolałem w krzakach/ z kumplami wypić flaszkę wina”. Pawlak, współtwórca podziemnego kwartalnika literackiego „Puls”, jeszcze w latach licealnych rozpoczynający zapisywanie opozycyjnych kart swej biografii, internowany w stanie wojennym działacz „Solidarności” okazuje się nie spełniać wymogów stawianych przez strażnika norm polityki historycznej usiłującego zredukować jego biografię do czynów heroicznych i mającego za złe swemu interlokutorowi

że czas który mogłem

poświęcić na ulotkową walkę o niepodległość mamotrawilem

w ramionach przygodnie poznanych kobiet z których żadna

nie miała na imię Polska

Można się też zasadnie domyślać, że ów historyk mógłby zupełnie serio podjąć analizę wierszy z wpisanego w zbiór Pawlaka cyklu *Moja Ojczyzna jest* jako tekstów szkalujących dobre imię owej kobiety, tym bardziej, że przy okazji pozwala sobie autor

na kpiny z bohatera polskiej poezji, pana Cogito, który

zauważył

przez mokrą szybę kawiarni przy Długim Targu dwóch

arabskich studentów pochylonych nad kawami pan Cogito

podszedł do nich zdecydowanym krokiem bez słowa

wziął filiżanki i postawił na chodniku przed barem

potem wrócił uśmiechnął się i powiedział: tam jest

kurwa wasze miejsce

(*MOJA OJCZYŻNA JEST (IV)*)

Jest w tych wierszach, gdy przejrzeć dotychczasowy dorobek autora, ogromny ładunek mieszanki smutku i wściekłości, ale tym razem ten polski Skowyt – a odwołania zarówno do Ginsberga, jak do Cohena są w wypadku Pawlaka równie ważne i uzasadnione – zmienił swego adresata: to już nie „oni”, to już „my”. Tak właśnie sportretowani zostaliśmy w wierszu *Profesjonalne studio tatuażu artystycznego*:

na lewej wytatuowała słowo „Bóg”

na prawej – „Ojczyzna”

na „Honor”

zabrakło już piersi

Jak mało kto – spośród poetów niedawno tworzących warto tu przywołać niemal już zapomnianego Andrzeja Szmidta – jest Pawlak od niemal już pół wieku poetyckim kronikarzem naszych losów. Przy czym, mimo sarkazmu i czasem bardzo ostrej ironii, przy zdolności pochwylenia w jednym błysku słowa dramatu polskiej codzienności, jest w tych utworach – pisanych w spokojnej, zdystansowanej tonacji – coś w rodzaju tęsknoty za możliwością wyjścia z cienia zła ogarniającego polską egzystencję, co znakomicie widoczne jest wierszu *Barbara Balak opowiada o wolności*, którego bohaterka, swego czasu wspierająca strajkujących stoczniowców, a dziś mieszkanka „osiedla starych i zapomnianych”:

nagle uświadamia sobie

że to wszystko jest także dzięki niej – wolność

by móc być sobą – myśli i uśmiecha się

Pawlak – czy to pisząc o sprawach społecznie ważnych, czy o intymnej relacji – potrafi uniknąć dwóch najpoważniejszych w tego typu poezji zagrożeń: patosu i sentymentalizmu. To wiersze na swój sposób rzeczowe, czasem po prostu sprawozdawcze, kwestie zaś intymne relacjonowane są w delikatnych obrazach pozostających na granicy widzialności, jak w wierszu *By nie splotać*:

płynęłaś

w powietrzu jakby unosiły cię  
obłoki piersi nie miałem odwagi  
ich dotknąć nie miałem  
odwagi na nie spojrzeć

Ta dyskrekcja emocjonalna jest z całą pewnością silniejsza od ekspresyjnej żywiołowości.

LESZEK SZARUGA



# Pruska Litwa

Na jednych z dwóch ostatnich stron, pomiędzy „Od tłumaczki” a „Niektóre postacie”, znajdują się zdjęcia czterech map. Tylko jedna posiada legendę, która wyjaśnia, że zaznaczony najciemniejszym kolorem obszar wciśnięty między Litwą a Rzeszę Niemiecką nazywa się Pruską Litwą, ewentualnie Małą Litwą. Żeby dokładnie umiejscowić ową krainę, należy planowi przyjrzeć się dokładniej. Wówczas widać, że południowo-zachodnią granicę stanowi Niemen, przepływający przez Tyłżę. Po drugiej stronie zaznaczonego obszaru, czyli na północnym wschodzie, leżą Taurogi, zaś na północy Pałanga. Legenda opisuje lata od 1919 do 1939 roku, gdy Mała Litwa znajdowała się pod władaniem bądź administrowaniem co rusz innych państw, a było to wynikiem działań zbrojnych podczas pierwszej wojny światowej, umów międzynarodowych lub samowolnych aneksji. Pozostałe trzy mapy przedstawiały zmiany granic na terenie obejmującym Pruską Litwę oraz państwowości najbliższego sąsiedztwa. Podpisanie ich datami pozwala uzupełnić nazwy: Rosja Carska, Cesarstwo Niemieckie (1914), Litwa, Republika Weimarska, Rzesza Niemiecka (1919-1939), Związek Radziecki, Polska (1945), Rosja, Łotwa i Białoruś (1993).

„Mapy” zdają się - oprócz nieocenionego, obszernego „Postłowia” - najważniejszym, z dodatków, które znajdują się na końcu książki. Oprócz nich są jeszcze „Słowniczek” z podtytułami „Nazwy i pojęcia” oraz „Niektóre postacie” i „Od tłumaczki”. Jak na tak niewielką książkę, przecież dokładnie sto pięćdziesiąt stron, może się to wydawać przesadą, biorąc także pod uwagę, że samo „Postłowie” z sześcioma rozdziałami to ponad dwadzieścia stron.

Gdzieś w tych litewskich Prusach, prawie tuż nad samym Niemnem, leży wioska Bittehenen, obecnie Bitėnai, z przepływającym przez nią potokiem Bitė (Bitt, Bitė). Niedaleko wznosi się Rombinus (Rambynas), święta góra Litwinów. Rzeczka przepływa tuż przed domem Leny Grigoleit, „dziecka szczęścia”, jak nazywa samą siebie autorka wspomnień najpierw wystuchanych, następnie spisanych na przeszło tysiącu pięćset stronach przez Ulłę Lachauer, z czego powstała „Ulica Rajska” (woryginalne „Paradiesstrasse. Lebenserinnerungen der ostpreussischen Bäuerin Lena Grigoleit”). Czy to piękno przyrody otaczającej rodzinny dom, wrodzony radosny stosunek do świata i ludzi, dwujęzyczność od urodzenia, która zamieniła się szybko w poczucie pomysłowości i uśmiechu losu, spowodowały tak pozytywny stosunek do samej siebie, jak i do rodzinnej wsi? Lena nie jest w stanie nam tego jednoznacznie wyjaśnić, przekazać. Współczesny czytelnik chyba pozostaje nieco zdziwiony takim traktowaniem własnego dzieciństwa, które już po czterech latach od czasów kołyski zostaje dotknięte wojną światową, z czego Lena pamięta okrzyk: „Ruscy idą!”, opowieść o aresztowaniu matki, pobycie w więzieniu i wywiezieniu w głąb Rosji. „Mój młodszy brat stawał codziennie w bramie, a kiedy widział ruskich żołnierzy, krzychał: - Powiedz, żeby mama przyszli!” [1]. „Wybiegałam wtedy do ogrodu, rzucałam się na trawę i wrzeszczałam: - Mama, mama, gdzie ty? - Myślałam wtedy, że krzyk mi pomoże” [2]. Takich krzyków, zawoń, wydzierania z siebie samotności, poczucia opuszczenia, potem już niemych, zamykanych głęboko w sobie będzie podczas ucieczek i wypędzeń

niezliczona ilość. Wszakże stan zagrożenia życia własnego i najbliższych, bytu rodzinnej wsi ustąpi dopiero za ponad siedemdziesiąt lat. Niestety, pozostaną już na zawsze inne emocje. Osamotnienie będzie walczyć przez lata z jakimś rodzajem satysfakcji, że Lena jako jedyna z mieszkańców Bittehenen miała na tyle dość siły, żeby nigdy z własnej woli nie zerwać więzi z miejscem. „Mieszkańcy Bittehenen rozjechali się na cztery strony świata. Wielu jest na Zachodzie, przeważnie w Niemczech. Else Kosgalwiesów, która wyszła za Adomata, mieszka na Florydzie. Fritz Bussman podobno w Afryce. Gerolis odezwał się ostatnio z Brunszwiku. Odkąd można pisać w obie strony, mniej więcej wiem, kto z mieszkańców Bittehenen jeszcze żyje. Z Ulicy Rajskiej pozostała jeszcze tylko Liesi. Mieszka w Palatynacie, miasteczko nazywa się Frankenthal” [3].

Lena była najstarszym dzieckiem w rodzinie. Dwa lata po niej „urodził się brat Artur, a później rodzice wzięli na wychowanie jeszcze jednego chłopca z naszej rodziny, Waltera” [4]. O tym, że miała starszą siostrę, która przeżyła jedynie dwa tygodnie, wspomina beznamiętnie. To właśnie na tej samej stronie mówi o sobie jako o dziecku szczęścia. A rozdział zatytułowany jest „Ulica Rajska”. Wyparcie? Chyba nie. Wszak śmiertelność wśród noworodków jeszcze w połowie ubiegłego wieku była bardzo wysoka. Z pewnością rodziny nie przechodziły nad takimi wydarzeniami do porządku dziennego, lecz też nie żyły przez lata z traumą. Tym bardziej, że kolejne lata przynosiły olbrzymie nieszczęścia i one pozostawiały urazy, z którymi trudno było sobie poradzić nawet już w wolnej od wojen światowych i żelaznej kurtyny Europie.

Gdyby czytelnikowi sklepiła się jedna kartka z pierwszego rozdziału książki, to dzieciństwo i wczesna młodość Leny, przedstawione na kilkudziesięciu stronach sześciu pierwszych rozdziałów, przypominałyby to, co bez mała pięćdziesiąt lat wcześniej opisała Astrid Lindgren, a co działo się w wymyślonej miejscowości Bullerbyn, dla której pierwowzorem według samej pisarki była szwedzka wieś Sevedstorp, leżąca kilkaset kilometrów dalej na północ od Bittehenen. Tymczasem Lena wychodzi za mąż, jej pierwsza córka przychodzi na świat jeszcze w domu rodzinnym, choć w zasadzie całe życie toczy się w niezbyt dużym, ale prawie miejskim, a mimo to przytulnym Schmallingken, pięćdziesiąt kilometrów w górę Niemna, u boku męża, katolika, litewskiego urzędnika państwowego. O ile wspomnienie pierwszej wojny światowej jest bardzo krótkie, to następna wielka wojna wyziera co rusz ze wspomnień. Sama przeprowadzka już powinna przynieść pewien niepokój. To połowa lat trzydziestych. W miejscowościach przygranicznych zaczynają dochodzić do głosu obawy. Dom ze sklepem pasmantearyjnym sprzedaje młodemu małżeństwu Żydówka, która na wypadek wkroczenia Adolfa przenosi się na rosyjską stronę. Miasteczko Leny pewnego ranka staje się niemieckie. Po obu stronach zawisają flagi, od samej góry aż do ziemi. Mąż Leny musi się ukrywać. Słychać okropne krzyki Żydów. Czy wtedy, gdy musieli sami kopać dla siebie groby, a potem byli wrzucani w nie żywcem? Tego nie wiemy. Lena wymienia jednak imiona

i nazwiska sąsiadów i znajomych, do których strzelali urzędnicy i policjanci z sąsiedztwa. Nie przeżywają obaj bracia Leny. Ginią w Rosji. W ciągu roku rodzina Leny dwukrotnie ucieka. Koszmar pędu w nieznaną i tułaczka w poszukiwaniu drogi do domu to znane z literatury wspomnieniowej połowy dwudziestego wieku obrazy. Lena jest oszczędna w słowach. Zdania są krótkie, wstrzemięźliwe w emocje. Jednak przecież nie trzeba dużo czytelnikowi, żeby wzdrgał się całym sobą od strzałów, pobliskich wybuchów, krył głowę przed odłamkami, dudnił mu w uszach ciągły warkot samolotów, a przed umęczonymi wojną oczami przewijały się okrwawione i ubtocone ludzkie zwłoki, porzucone toboły ubrań, połamane sprzęty domowe, leżące na poboczach wozy, trupy koni... Nietrudno sobie także wyobrazić domu Grigoleitów, który pewnie kilkakrotnie przechodził to w niemieckie, to radzieckie ręce.

„W szkole uczono nas po niemiecku. Tak chciał cesarz. Niestety wkrótce go zabrakło. Ale kiedy byłam dzieckiem, należeliśmy do niego i do Rzeszy. Jego portret wisił u nas w paradnym pokoju” [5]. Lena nie wspomina, czy w domach rodzinnym i małżeńskim wisiły inne obrazy. A powodów ku temu mogło być co najmniej kilka: III Rzesza, Rosja Radziecka, Litwa. Sama mówiła znakomicie dwoma językami: niemieckim i litewskim. To rodzinna tradycja od co najmniej trzech pokoleń. Stąd zapewne u Leny umiejętność współżycia z sąsiadami, znajomymi, nawet najeźdźcami, mówiącymi w innych językach, łatwe nawiązywanie kontaktów, nieopowiadanie się oficjalnie po żadnej ze stron konfliktu narodowościowego, współżycie pośród różnych narodów, grup etnicznych i religii pomiędzy granicami rosyjską, niemiecką i litewską. Być może właśnie takie postępowanie, w większości przypadków podświadome, stworzyło silną, stałą, dożgonną więź Leny z Bittehenen i całą Pruską Litwą, bez względu na to, po której stronie granicy Lena Grigoleit właśnie się znajdowała, czy to mieszkając, czy jeżdżąc na targ, czy sprzedając w sklepie pasmantearyjnym. Tak jak poradziła sobie z gestapowskimi klientami jej krawieckiego składu, potrafiła współżyć w rodzinnym domu z radzieckimi żołnierzami. Owo powojenne uspokojenie podsumowuje pierwsze zdanie kolejnego rozdziału: „Powoli znowu się zagospodarowaliśmy” [6]. Wrzask z powrotem męża przybawają w obejściu gęsi, jagniątko, siwek, trzy krowy. Był miód, mąka, masło, mięso, ryby. Raz w tygodniu Lena chodziła wymieniać produkty do Tyłży. Piszę, że teraz miasto nazywa się Sowietki. I choć znowu kilkakrotnie powtarza, że miała szczęście, że jest szczęśliwa, polityka odgrywa w jej życiu ważną rolę, o czym przecież uprzedzała już na początku pierwszego rozdziału. W jej wspomnieniach wydarzenia następują bardzo szybko. Piszę, że musieli wyjechać do Niemiec ci, co urodzili się po rosyjskiej stronie, zaś znad Niemna nikt nie mógł się, ponieważ wszystkich uważano za Litwinów. Granice dają znać ciągle o sobie. Nadchodzą lata pięćdziesiąte i literatura wojenna z przerwą na epidemię tyfusu zamienia się w łagrową.

Być może dlatego, że wspomnienia są bliższe, albo stąd, iż rodziny Grigoleitów

(matka i ojciec Leny) i Kondratavičiusów (Lena, Konstantin oraz ich córki Birutė i Irena) stworzyły na zysłce namiastkę domu, autorka wspomnień poświęca temu czasowi sporo miejsca. Poniekąd można tę część książki porównać do opisów dzieciństwa, gdyby nie waga nieszczęść i trudów, które towarzyszyły im co dzień w głębi Rosji. Po prawie miesięcznej jesiennej podróży znaleźli się w Nazarovie koło Aczyńska. „Jeden w wagonie powiedział, że to «blisko Leny». Tak to sobie zapamiętałam, blisko Syberyjskiej Leny” [7]. Jakież to tragiczne! Gdyby zmierzyć w prostej linii odległość od owej rzeki do Nazarowa, „bliskość” staje się odcinkiem prawie tysiąca kilometrów. Daje to czytelnikowi świadectwo dramatu wywożonych, którzy byli nieświadomi celu podróży, a często przez długi czas określenia geograficznego miejsca, w którym przyszło im żyć a przede wszystkim ciężko pracować. Mieszkając w lepiance, harując zimą przy wyrębie lasu, widząc po raz pierwszy w życiu kombajn i Kałmuka pośród Japończyków, nadwożańskich Niemców, Estończyków, Łotyszy i Litwinów. Aż umarł Stalin.

Ze wspomnień Leny wynika, że na dłużej opuszczała rodzinną wieś tylko cztery razy. Przeprowadzka do męża w Schmallingenen, ucieczka przed wojskami radzieckimi, wywiezienie do Nazarowa. Ostatni raz, już po śmierci Konstantina i wyprowadzce córek, będąc samotną, lecz próbującą ocalić

za wszelką cenę ostatnie pokłady energii, żeby prowadzić gospodarstwo, wyjechała w końcu do Niemiec. Głównym powodem było spotkanie z Liesi. O swojej przyjaciółce Lena wspomina wielokrotnie. Rozdział książki właśnie zatytułowany „Spotkanie z Liesi” może się czytelnikowi skojarzyć jako jeden z ostatnich rozdziałów życia Leny Grigoleit. Tkwi w tym może słabość, polegająca na tym, że ta twarda kobieta w końcu ustępuje namowom ostatnich żyjącym sąsiadów i przyjaciół, mieszkających w zjednoczonych Niemczech, oraz córki, która chyba widzi w takiej podróży potrzebę odsunięcia samotności w Bittehenen. A może był w tym akt niewiarygodnej siły i odwagi podsumowujący życie w Małej Litwie, rozliczający i samotność, i rozstania, ale podkreślający wartość tego, że Lena pozostała jedyną żyjącą mieszkanką teraz już litewskiej wsi Bitė, która się w niej urodziła.

Na końcu książki znajduje czytelnik pomoc w postaci rysu historycznego czasów, których dotyczą wspomnienia Leny Grigoleit. Ulla Lachauer wyjaśnia także, w jaki sposób spotkała bohaterkę, zdobyła jej zaufanie, gdy z dziennikarki zamieniała się w towarzyszkę życia i pomocnicę w gospodarstwie Leny. Omawia język, którym posługiwała się autorka wspomnień, opisuje proces powstawania książki od nagrywania do ostatecznego kształtu. Objasnia nie tylko postać Leny, ale również i swoją, która dzięki

przebywaniu u boku pruskiej Litwinki stała się wyjątkowym świadkiem historii Europy Środkowo-Wschodniej.

Wspomnienia Leny Grigoleit (potem Kondratavičius) są jakże świeżym dowodem na ciągłe przeobrażenia tej części Europy, zmiany granic, konflikty narodowościowe i etniczne. Obrazują niebezpieczeństwa tego wielonarodowego tygla, nieustającego wrzenia, które co jakiś czas prawie ustają, by nagle w którymś mniej lub bardziej spodziewanym miejscu znówu niepokojąco fermentować. To także świadectwo Europejki, posługującej się co najmniej dwoma językami, potrafiącej bezkonfliktowo żyć pośród sprzecznych ideologii, zasad i celów nie sprzyjających budowaniu pokojowego społeczeństwa. To powieść o potrzebie tożsamości, związania z miejscem urodzenia, bezwarunkową miłością do czegoś, co być może ostatnio nieco nad wyraz nazywa się „matką ojczyzną”. Lena Grigoleit uczy współczesnych, jak nie zawłaszczać tego pojęcia.

JERZY LENGAUER

[1] Ulla Lachauer, „Ulica Rajska”, przeł. Maria Przybyłowska, Fundacja Pogranicze, 2010, s. 7.

[2] Tamże, s. 8.

[3] Tamże, s. 11.

[4] Tamże, s. 5.

[5] Tamże, s. 13.

[6] Tamże, s. 74.

[7] Tamże, s. 82.

## Jerzy Lengauer

Posiadłość w Steinort (obecnie polski Sztynort) w Prusach Wschodnich odziedziczył w 1936 roku po stryju Heinrich Ahasverus von Lehnendorf-Steinort, który był jednym z uczestników spisku mającego doprowadzić w 1944 roku do zamachu na Adolfa Hitlera w Wilczym Szańcu (Gierłoży). W niecałe dwa miesiące później, na początku września, został na nim wykonany wyrok śmierci.

Pusty, po opuszczeniu wojsk radzieckich, pałac wraz z zabudowaniami przejęty został przez miejscowy PGR. W samym pałacu znajdowała się stołówka i przedszkole. W tym czasie jedna z córek porucznika Lehnendorffa, Vera Gottliebe Anna Gräfin von Lehnendorff, pseudonim „Veruschka”, urodzona w 1939 roku w Królewcu (obecnie rosyjski Kaliningrad) grała w „Powiększeniu” Antonioniego.

17 sierpnia 2021 roku syn Very Lehnendorf Verus von Plotho jest jednym z tych, którzy opowiadają o sztynorckim pałacu w kętrzyńskim muzeum. Dzieje się tak za sprawą projektu „Sztynorckie biografie”, którego autorkami są Ulla Lachauer, niemiecka pisarka i dziennikarka, autorka przetłumaczonej na język polski „Ully Rajskiej: Wspomnienia Leny Grigoleit, chłopki z Prus Wschodnich” (Fundacja Pogranicze, 2010, z języka niemieckiego przełożyła Maria Przybyłowska, seria „Meridian”, tytuł oryginału: „Lebenserinnerungen der ostpreussischen Bäuerin Lena Grigoleit”) i Agata Kern, Referentka do spraw Kultury Prus Wschodnich i Krajów Nadbałtyckich z Muzeum Prus Wschodnich w Lüneburgu, która urodziła się w Węgorzewie, wychowywała w Sztynorcku, zaś maturę zdała w kętrzyńskim liceum.

Szeroką podstawą projektu dla Muzeum w Lüneburgu, jak we wstępie mówiły autorki, jest rozwijanie współpracy kulturalnej z Polską, Rosją, Litwą, Łotwą i Estonią. Sztynort pojawił się w kręgu szczególnych zainte-

# „Sztynorckie biografie: Spotkanie z pisarką i dziennikarką Ullą Lachauer i Jej Gośćmi. Muzeum im. Wojciecha Kętrzyńskiego, 17 sierpnia 2021 roku”

resowań wraz ze zdjęciem dzieci z pałacowego przedszkola. Zaczęto poszukiwać odpowiedzi na pytania, czy teraz dorostych z dawnej fotografii ciekawia losy pałacu, gdzie przebywają ludzie, którzy kiedyś pracowali w pałacu i wokół niego, jakie związki z siedzibą rodu posiada współcześnie rodzina Lehnendorffów. Szczególną inicjatorką tych poszukiwań była Ulla Lachauer, współpracująca z Muzeum Prus Wschodnich.

W kętrzyńskim muzeum atmosfera kulturalnej estetyki, elegancji dwujęzycznych wypowiedzi chyba nieco podszyta smutkiem i odrobina niepewności. Mikrofon przekazywany jest pomiędzy Ullą Lachauer a pełniącą rolę tłumaczki Agatą Kern. Za chwilę będzie oddawany kolejnym gościom. Pisarka zapowiada, że na spotkaniu przeczyta fragmenty czterech historii, które zobrazują wyświetlane fotografie.

Pierwsza z nich dotyczy rodziny Lehnendorffów. Historię, już własną, dopowiada Verus von Plotho. Mówi o pierwszym spotkaniu rodzinnym w Sztynorcku, jego znaczeniu, rozterkach i rodzących się planach w stosunku do dawnej siedziby, działaniach w ramach Niemiecko-Polskiej Fundacji Ochrony Kultury i Zabytków i współpracy z Polsko-Niemiecką Fundacją Ochrony Zabytków Kultury. Znamienne, że wnuk Lehnendorffa nie mówi o pałacu, lecz używa słowa „zamek”. Podobnie jest w kolejnych opowieściach, jak również w materiałach na niemieckich stronach dotyczących Sztynortu.

Oczywiście historia Steinort to nie tylko rodzina Lehnendorff. Muzeum Prus Wschodnich zwraca się ku pamięci mieszkańców wsi u podnóża pałacu. I tego dotyczy kolejna historia. Zabiera głos dr Stefan Tymiec, który spędził osiem lat dzieciństwa w Sztynorcku, obecnie mieszkający w Wuppertalu. Z o wiele większą swobodą niż Verus von Plotho opowiada o swoim pochodzeniu, matce Litwince i przybyłym z okolic Karpat polsko-ukraińskim ojcu, co wpisuje się w ten obecny tożsamościowy tygiel Kętrzyna i w ogóle dawnych Prus Wschodnich. Być może dlatego, że dzieciństwo w Sztynorcku nazywa swoimi najszcześniejszymi latami. Wyrwyją mu się słowa o pięknej naturze, jeziorach, kolorowym świecie. Wspomina o zbieraniu różnokolorowych kamieni, z których powstały niektóre sztynorckie budynki, stojące do dzisiaj. Z uśmiechem mówi o przedszkolnym krótkim epizodzie i ucieczkach. Uzupełnia, że w zamku oprócz stołówki był sklep spożywczy. W stołówce odbywały się dożynki. Pamięta, że uczestniczył w nich odświętnie ubrany. Swoją związki z dzieciństwem w Sztynorcku podkreślił w taki sposób, że przetransportował stamtąd pod swój niemiecki dom kamień o ciężarze prawie czterech ton.

Trzecia historia to opowieść Agaty Kern. Wyjechała z Polski w 1979 roku. Studiowała w Niemczech prawo i historię. Więzy ze Sztynorckiem jednak nigdy nie zerwała. Podobnie jak dr Tymiec uważa swoje tam dzieciństwo za wyjątkowo szczęśliwe a Sztynort za magicz-

ne miejsce. Jej częste odwiedziny w Polsce i w Sztynorcie to także spotkania z dziećmi ze zdjęcia. Mówi, że rodziny, który wyjechały w latach siedemdziesiątych do Niemiec, zaczęły wracać i dzięki temu pojawiła się możliwość dokumentowania dziedzictwa dawnego Sztynortu.

Czwarta historia jest opowieścią wszystkich obecnych. Zaczynają ją poprzedni autorzy wspomnień. Jest mowa o planach w stosunku do pałacu, mniejszego spichlerza, współpracy z niemieckim architektem, rozczarowaniach w związku z polskim inwestorem, planach hotelowych, w końcu pozyskaniu środków finansowych od rządu niemieckiego, zabezpieczeniu wnętrza zamku, uratowaniu części inwentarza, znajdującej się w Muzeum Prus Wschodnich. Następnie słuchacze zostają zaproszeni do dyskusji na temat wykorzystania pałacu. Mowa jest o finansowaniu ze strony niemieckiej odremontowania zamku, potrzebie polskiej zgody na współfinansowanie, porozumieniu, wartości dziedzictwa pokoleń, wadze zachowania pamięci o wspólnej tożsamości w ramach europejskiej tradycji kultury. Wspomniano o możliwości udostępnienia w pałacu miejsca poświęconego literaturze Prus Wschodnich. Przypomniano pisarzy: Ernsta Wiecherta i Johanna Bobrowskiego.

P.S. O Johannesie Bobrowskim mowa jest we wspomnieniach „pruskiej Litwinki” Leny Grigoleit spisanych przez Ulę Lachauer w „Ulicy Rajskiej”. Ponadto w książce znajduje się krótka notka o pisarzu („Niektóre postacie”, str. 181). Do czytania Ernsta Wiecherta zachęcam poniższym tekstem:

„Moje życie, moje czasy”, Ernst Wiechert, Stowarzyszenie Wspólnota Kulturowa „Borusia”, 2016, przekład Krzysztof Gębura

Do roku 2017 Wiechert i jego twórczość mieszkali w moich myślach dwójako. Trudno powiedzieć, żeby owe zakwaterowanie było wspólne, wymieszane, jednocześnie. Raczej gdy pojawiało się jedno, znikało drugie. Kiedy wspominałem dzieciństwo i wczesne nastoletnie lata z segmentem „stylowskim”, przeróżne „biblioteczki” o wiśniowej polityce, z których wypadaly co jakiś czas szyby, żeby w końcu zdenerwować ojca lub matkę i zostać wyjęte na zawsze, Wiechert był jednym z napisów na grzbiecie stojących tamże książek. Próbuje sobie przypomnieć inne nazwiska. Pojawia się jedynie Wiech ze swoim „Śmiech śmiechem” i „Cafe pod Minogą”. Gdy przeczytałem wszystkie młodzieżowe książki i wyczerpałem możliwości biblioteczne w czasach PRL-u, z ciekawości sięgnąłem, nie wiadomo dlaczego, po Wiecha, a nie Wiecherta. Warszawiak wygrał z pisarzem urodzonym o jakieś czterdzieści kilka kilometrów od dziełnastowiecznego Rastenburga, pełnego Niemców, Mazurów, Żydów i potem... masonów.

Autochton to „rdzenny mieszkaniec danego obszaru, tubylec”. Tyle na ten temat pewenowski „Wielki słownik wyrazów obcych” pod redakcją Mirosława Bańki. Jeśli rzecz w rdzeniu, to oczywiście nie mam się co porównywać do tubylczości Wiecherta, bo moi rodzice, nie wspominając o dziadkach, nie urodzili się na tych terenach. W autobiografii pisarza „Moje życie, moje czasy” przeczytamy o związkach Wiecherta z Prusami Wschodnimi, które pojawiły się jeszcze przed jego urodzeniem. Zwracam tu uwagę na relacje autora z jego ojcem, zasiadającym w leśniczówce, potem na wsi, wśród łąk i pól, nad brzegami jezior, zapewne także w sunących po taflach słodkowodnych zbiorników łodziach.

Z tej łączącej Wiecherta seniora i juniora linii genetycznej, wychowawczej, z podgląd-

ania, podpatrywania, brania przykładu, zapewne i dziecięcych prób upodobniania się do ojca, wyrasta swoisty leśny sowizdrzał, rozumiany jako włóczęga, włóczykij, co podpowiadają wszak słowniki synonimów. Włóczęga, który nad czerpanie fizycznych, materialnych, ekonomicznych, gospodarczych, finansowych korzyści z otoczenia przedkłada jakieś uniesienie, pomieszanie panteizmu i humanizmu, poezję, spokój. Mnóstwo w autobiografii fragmentów, które na to wskazują, podkreślają uczucia, jakimi młody Wiechert darzy lasy gdzieś pomiędzy Mrągowem (niemieckie Sensburg) a Rucianą-Nidą (przed II wojną światową Rucznany). Chociażby pisał tak: „(...) towarzyszyło mi jednak trochę uczucia uniesienia i ekstazy, kiedy wracałem do bliskiego mi otoczenia (...). O ile miłszy dla ucha stawał się szum wierzchołków drzew w porównaniu z wszelką muzyką słyszaną w mieście. Długo też mogłem leżeć we mchu, przytulając twarz do ciepłych, drobnych roślin”. Jego powroty po pobieraniu nauk w gimnazjum, po studiach, po pierwszych dorosłych obowiązkach zarabiania poza rodzinnym domem w Królewcu i nad Zatoką Kurońską zawsze kończyły się wyrażaniem w taki właśnie sposób emocji. Bardzo poetyckiego, czasami aż tak bardzo prerażliwie przesiąkniętego tęsknotą i melancholią, że przywodził do myśli zdesperowaną afektywność powrotu nie na łono natury, lecz do łona matki: ciepłego, cichego, bezpiecznego, odgradzającego wrażliwego człowieka od niebezpieczeństw świata zewnętrznego. Faktycznie w mazurskich, pruskich lasach, tuż na skraju Piskiej Puszczy wielokrotnie dochodzi do połączenia Wiechertowskiego wnętrza i zewnętrza. Prawdopodobnie w jakiś dziwny, niepojęty współczesnemu człowiekowi sposób rodzi się w ten sposób humanizm Ernsta, który ulepił go jako wrażliwego poetę i literata, tudzież niezwykle tolerancyjnego i wyjątkowo rozumiejącego uczniów i studentów nauczyciela i akademika. Gdy pisarz nieco epatuje czytelnika mnóstwem nazw roślin i ptaków (ogromne wrażenie wywołują co rusz wplecione literackie opowieści, gdzie niczym Reymont w „Chłopach”, Myśliwski w „Trylogii wiejskiej”, albo Thoreau w „Waldenii”, maluje na niebie, łąkach, drzewach, morzu, jeziorach mewy, żurawie, czaple, jerzyki gdzieś w oddali, lecące, znikające za horyzontem, lub ich głos, wyznaczający porę dnia, porę roku - cykl życia człowieka poza obrębem murów i zgiełku ulic miast), to znajdujemy w tym odpowiedź na jego pytania o wybór drogi życiowej, studenckiej, akademickiej, zawodowej w końcu. Być może w tym właśnie czasie rodzi się ledwo dostrzegalny konflikt Ernsta z ojcem, jakaś drobna szara chmurka nad miłością matczyną: „Kiedy wróciłem już do domu, nie miałem zupełnie czystego sumienia wobec ludzi z mojego leśnego środowiska. Raczej to ukrywałem za zastoną niejednej niewinnej, długiej przemowy. Wiedzieli chyba, że pierwszy dzień pracy niekoniecznie przynosi od razu złoty medal. Nie pytali także zbyt wiele. Ojciec chciał chyba tylko skromnie dowiedzieć się o nazwy kilku roślin (...)”.

Otóż właśnie, Wiechert filolog czy leśnik, może botanik? Nie zamyka się ani w drewnianej chacie na polanie, której dach pokryty jest darnią, ani, przynajmniej na początku, w książkach. Gdy zatrząskują się za nim od środka uniwersyteckie bramy, szuka, przyznaje się, że błądzi, nabiera doświadczenia. Czytelnik tych królewskich fragmentów autobiografii jest świadkiem drugiego już, po panteistyczno-przyrodniczych wyrażeniach uczuć, mistrzowskiego pióra Wiecherta, eleganckiego, interesującego, wcale nienużącego, bez swady, lecz delikatnie docie-

kliwego i obnażającego opisywany obiekt dzięki wrodzonemu zmysłowi obserwacji, który w połączeniu ze znakomitą interpretacją wyglądu zewnętrznego, zachowań i płótek tudzież pogłosek zanurza czytelnika w świat nie tylko akademicki (wykładowca, studenci), ale i mieszczański (stancje, na których student Ernst pomieszkował). Nie ukrywam - choć to w jakimś sensie stawia mnie w dość niezręcznej sytuacji dość infantylnego czytelnika - że opisy postaci są dla mnie w autobiografii Wiecherta deserem, cygarem, kawą podaną w filiżance Rosenthala o kolorze écreu. I nie tyle w pruskim Królewcu, weimarskim Berlinie, lecz kosmopolitycznym Wiedniu czasów austro-węgierskich. Owe przyjemności pisarz będzie serwował z wdziękiem nienaganego pod względem kultury, manier, języka i stroju kelnera podającego na srebrnej tacy także poranny dziennik. Zastanawiam się, czy użyć słowa „osobliwości”? Nie, jednak nie zamierzam. Postaci, o których Wiechert wspomina, to ludzie, z którymi się spotyka na swojej drodze studenta, nauczyciela, pisarza, podróżnika. Zawsze odnosimy wrażenie, że jego ocena, której prawie nigdy nie unika, jest sprawiedliwa. Nie w tym jednak rzecz. Czy to czasy, czy umiejętność pisarska, czy wrażliwość literacka, bądź cokolwiek innego, ale za każdym razem Wiechert opowiada nam o ludziach od Królewca, przez wschodni region nadbałtycki, Berlin, Francję, Szwajcarię aż po Bawarię. Jeżeli poetyka opisów przyrody, bądź raczej ekspresji uczuć autora związanych z mazurską i nadbałtycką naturą, daje obraz świata zastygłego w spokoju, boskim humanizmie, zaś odgłosy istnienia są anielskimi chórkami, kierującego człowieka na ścieżki tylko wyższych uczuć, to za pomocą portretów ludzkich pisarz przedstawia czytelnikowi swoistą galerię Europy Środkowo-Wschodniej z muzeum pierwszej połowy dwudziestego wieku. Przy każdym obrazie znajduje się notatka sporządzona przez Wiecherta. Wskazuje na pochodzenie postaci (geograficzne, klasowe) i, co wydaje się najważniejsze dla tak wnikliwego obserwatora i klasyfikatora (jakież to podobieństwo do pracy przyrodnika!), wartość człowieczą osobnika. Nie wątpię, że autor przeprowadza owo dokoopowanie do odpowiednich zbiorów przez pryzmat swojej postawy intelektualnej i moralnej, wzorowanej nie tyle na Odrodzeniu i antyku, ale mazurskim panteizmem. Godne podziwu jest, że pisarz w ciemnych latach trzydziestych nie przekreśla osób zafascynowanych nazizmem. Dostrzega w nich strony jasne, wydobywa na wierzch, traktuje ich ze zrozumieniem. Podobnie jak w stosunku do komunistów.

„Waltera Husemanna odwiedziłem dwa lub trzy razy w Berlinie. Do niewielu ludzi czułem taką sympatię jak do niego. Był przekonany komunistą, wierzył w swoje dogmaty, podobnie jak każdy człowiek żyjący wiarą”.

„Jeszcze zanim zostałem aresztowany, moje książki przyczyniły się do zawarcia przyjaźni z ówczesnym nadleśniczym krajowym Badenii Wilhelmem Hugiem. Jeśli chodzi o jego przekonania, był niewzruszonym narodowym socjalistą, kawalerem złotej odznaki partyjnej, starym «wiarusem», ale mimo to «przyzwoitym człowiekiem», jak zanotowałem w dziennikach”.

Wielokrotnie przy ważnych dla Wiecherta ludziach pojawia się słowo: „miłość”. Częstość i - ze współczesnego punktu widzenia - nieadekwatność jego użycia wzbudza zniecierpliwienie, nawet zażenowanie. Wydaje się, że mazurski poeta szafuje emocją, ponad miarę nią obdarza. Mamy wrażenie, że powinna być zarezerwowana jedynie dla rodziców, żony, dzieci, kochanki.

Cóż, jakże bardzo jesteśmy w dwudziestym pierwszym wieku, zaś Wiechert w dziewiętnastym. O jednym z najbliższych dla siebie mężczyzn pisze tak: „Gdybym nie wytrwał, nie zastąpiłbym na ponowne spojrzenie jego oczu. Nie mogę wyrazić tego inaczej niż w słowach: «Pozostałem w jego miłości, podobnie jak w Miłości Boga»”. Ileż w tym krótkim, prawie erotycznym, zdaniu wyraża się powieściowa poetyka siostr Brontë, albo Wilkie Collinsa. Równoważenie miłości boskiej i ludzkiej, którą Wiechert kiedy indziej mógł odkryć, jak nie wtedy, gdy przytulał twarz do wilgotnego mchu i słuchał świergotu jerzyków?

Jak hojnie używa - bo wcale przecież nią nie obdarza - miłości, tak również zdecydowanie gani. A czasy ku temu szczególnie sprzyjają. Strofowanie jest przepelnione smutkiem, po wielokroć rezygnacją, oczywiście tęsknotą i ucieczkami do lasu, za granicę. Z głupotą, chamstwem, pozerstwem, hipokryzją, obłudą, pogardą w stosunku do ludzi, nienawiścią do otoczenia, butą spotyka się - rzecz jasna - już w środowisku akademickim. Cóż, i miłość, i humanizm, i wszelkie zło mieszają się w pruskim kotłach. W początkowych rozdziałach Wiechert ów kalejdoskop moralności traktuje jako zwykłą różnorodność, być może spotkanie sielskiej mazurskiej wsi i wielkomięjskości, tudzież snobizmu magnaterii pruskiej. Następnie opisuje w ten sposób schyłek Republiki Weimarskiej i narodziny Trzeciej Rzeszy. Szczególne znaczenie ma tu udział pisarza w pierwszej wojnie światowej i prześladowania w trakcie drugiej, poprzedzone uwięzieniem w obozie koncentracyjnym. W „Moje życie, moje czasy” poświęca tym okresom najwięcej stron. Wydaje się to zrozumiałe. Tak ogromny przewrót w traktowaniu ludzkiego istnienia (nie wymagający tutaj przecież żadnego komentarza; odsyłam choćby do Primo Levia, Hannah Arendt, Giorgio Agambena, Güntera Grassa) wywiera straszliwy wpływ na wrażliwym literacie i prowokuje do intelektualnych, moralnych, etycznych i religijnych rozważań podsytych zagubieniem, niemożnością tworzenia lub jego wzmocnieniem. W tym czasie pisarz ucieka za granicę, podróżuje, próbuje się konfrontować z nową rzeczywistością, podobnie jak było po jego udziale w pierwszej wojnie światowej.

Tak czy inaczej nigdy na długo nie przerywa pracy pisarskiej. Z niesmakiem wspomina działalność literacką w czasach nazizmu. Przerazająco, jak opowieści z okopów roku 1918, o strachu przed aresztowaniem w latach trzydziestych, czy o lęku o życie w obozie koncentracyjnym, brzmią opisy spotkań autorskich, którym przyglądają się ludzie z czerwono-białymi opaskami na ramionach z sztychłą czernią swastyką. Ta dramatyczna twórcza, tragiczna obywatelska bojaźń spowodowała, że pisarz zakopywał swoje relacje z tego okresu w przydomowym ogrodzie.

Tematem autobiografii „jest własne życie autora, jego koleje losów i czyny, zdarzenia, których był świadkiem, doświadczenia, których nabywał, ewolucja zapatrywań i postawy wobec świata” („Słownik terminów literackich” pod redakcją Janusza Sławińskiego). Własne życie... Dopiero w jakiś czas po zakończeniu lektury skonstatowałem, jak mało w „Moje życie, moje czasy” jest Wiecherta dziecka. Być może na blisko czterystu stronach wspomnień znajduje się parę fraz dotyczących kilku- bądź kilkunastoletniego Ernsta. A to przy ojcu leśniku, a to jakieś słowa matki. Czy to wynik chłodnych relacji z rodzicami? Wszakże sporo o nich w książce pisze. Szczególnie dużo miejsca poświęca ojcu. Dramatycznie opisuje śmierć matki, o przypadkowym ocaleniu w czasie pierw-

szej wojny tak pisze: „Wydawało mi się, że uratowało mnie przed śmiercią poczucie obowiązku albo ocalał mnie duch mojej matki”. Z kolei bardzo zdawkowo traktuje starszego brata, młodszego, zmarłego w 1895 roku, nie wspominając. Może to kwestia dość szybkiego opuszczenia domu rodzinnego i wadzenia się z sobą samym szukającym miejsca do pracy i tworzenia literatury w świecie, albo mazurskich lasach?

Dziwne, powikłane i czymś zmącone są u Wiecherta bliskości z rodziną. W jakimś stopniu zakrywają ponurą mgłą jego pierwsze małżeństwo: „Trudno mi mówić na ten temat, jednak nasze światy - mój i żony - nie dopasowały się do siebie tak, jak sądziłem, co byłoby potrzebne, aby zrodziła się podstawa ogromnego spokoju”. Ów spokój zapewniła sobie Meta Wiechert trując się po stracie dziecka. Jej grób znajduje się na Mazurach. Nie było ani ciszy, równowagi, pogody, ani zatem miłości. Przynajmniej takiej, o jakiej pisze w „Historiach bliskoznacznym” Kazimierz Brakoniecki: „Spacerowali, pływali, siedzieli objęci, wspólnie czytali, kochali się w gęstwinie czasu, pogody i przestrzni”. My, ludzie, wychowani w czasach względniego spokoju, bezwzględniego braku wojny, pozbawieni straszliwych rozstań i nieszczęsnych wyborów, jak możemy zrozumieć oficera, ba! wybaczyć i nie pomyśleć o Wiechercie jako samolubnym, egotycznym, egocentrycznym, wielokrotnie zadowolonym z siebie bohaterze czasów odznaczonym Żelaznym Krzyżem, nauczycielu i literacie szukającym tylko i wyłącznie spokoju, gdy: „W listopadzie urodził mi się syn, ale umarł, zanim go zobaczyłem. W moim domu nie rozumiano, że nie wzięłem wtedy urlopu. Ja z kolei nie rozumiałem, jak można myśleć w taki sposób, szczególnie kiedy umiera bardzo wielu synów i państwo nie ma czasu udzielić urlopu z powodu śmierci”. Ta postawa nie jest naganna, nieetyczna, amoralna. Ona w jakiś sposób dowodzi braku miłości u Ernsta i Mety. Dopełnia wizerunek pisarza szukającego czasu innego niż rodzina, dzieci. Przeraża zaś porównanie fragmentów, gdy Wiechert z czułością pisze o swoich przyjaciółtach, ludziach bliskich spoza rodziny, poznanych na studiach, w wojsku, do tego nawet nie chłodu uczuciowego, ale jakiejś suchej okrutnie relacji, owiniętej w nieomylną własnych poczynań, które idą w parze z nadrzędnością... otóż właśnie, czego?

Ernst Wiechert nie pisze z dokładnością chronologiczną. Daty pojawiają się mniej więcej od lat trzydziestych. Często wraca wspomnieniami do tych samych zdarzeń. Nazwy geograficzne też nie pojawiają się zbyt często. Nie ułatwia czytelnikowi odnalezienie ważnych dla pisarza miejsc, ponieważ pomija szczegółowość. Dokładny z kolei jest w historii własnej twórczości. I to gratka dla czytelników zainteresowanych nie tylko samą treścią utworów, ale historią ich powstania, ówczesną sytuacją polityczno-społeczną kraju i emocjonalną Wiecherta, uczuciami autora związanymi z tworzeniem i wydawaniem książek. Niezwykle ważne wydaje się wymienianie imion i nazwisk współczesnych Wiechertowi pisarzy i poetów. Jego adwersarzy i braci po piórze. To kolejna gratka dla zainteresowanych niemiecką literaturą.

Książka wydawać się może nierówna. Wrażenia, uczucia, afekty, podniety przekreślają czasami całe strony, jakby autor się złościł, smucił, popadał w niezrównowagę albo mistyczne uniesienia. Czasami dostrzec można podobieństwo do twórczości Hessego, z którym Wiechert spotkał się co najmniej raz. Blizsza jest takim fragmentom autobiografii „Podróż na Wschód” niż „Wilk

stepowy”. Aczkolwiek wskazuje to na pewien kierunek dyskutowanych poglądów, który zapewne opanowywał spotkania niemieckich twórców literatury i poezji. Z kolei powojenna beznadzieja, szaleństwo straszliwych przeżyć, lęk przed przyszłością zdaje się przywoływać Imre Kertésza, porównywalnego oczywiście nie pod względem doświadczonych przezeń dramatów, ale człowieczej i literackiej wrażliwości.

Przyznaję, że prawdopodobnie nigdy bym nie sięgnął po Wiecherta, gdyby nie seria przypadkowych zdarzeń, i nie wiem, czy będę miał okazję poznać jego kolejne utwory. Poniekąd zrozumiałe jest, że w ważnych szkołach województwa warmińsko-mazurskiego, niegdyś olsztyńskiego, trzydzieści lat temu o Wiechercie się nie wspominało. Rozglądając się po miejscowym kulturalnym otoczeniu widzę, rzecz jasna, Kętrzyńskiego, Holca, Nowowiejskiego. Ani słowa jednak od lat o Wiechercie. Dwadzieścia kilka kilometrów od Mrągowa, niecałe dziesięćdziesiąt od Olsztyna, około sto od Królówca. W miejscu dumnym choćby z pracy Zofii Licharewej, prawie równolatki Wiecherta, i wydanych niedawno wspomnień autochtonów.

JERZY LENGAUER



Wojśław Brydak

# Pamiętnik Poetki

Irena Knapik- Machnowska jest poetką. To stwierdzenie tylko na pozór banalne. Ona jest poetką urokliwą. Każdy jej wiersz urzeka i wprowadza czytelnika w rodzinny nastrój. Bo Irenka pielęgnuje tradycje rodzinne. Píše swoje wiersze tak, jakby wywoływała, a jednocześnie tworzyła legendę. I jak to w legendzie ona jest główną stwórczynią tych cudowności.

Przypomina mi się *Gliniany dzbanek* Matgorzaty Hillar, bo Irenka potrafi zebrać skorupy przeszłości rodzinnej i skleić je w wysmukłą opowieść ludowego dzbanca, pełnego smacznego mleka.

Wiersze Ireny Knapik – Machnowskiej sklejają się w coraz piękniejszy dzban, w którym miksuje się eliksir rodzinnego życia.

Może ktoś powiedzieć, że fantazuję. I będzie miał rację – idę tropami Jej twórczości, zawartej w poetyckim pamiętniku *TO TU, który jest Legendą sześciu rzek: Regi, Narwi i Mołtawy, Sekwany, Tybru i Dunaju*. Rzeki te płyną po różnych krainach, ale spotykają się w jej wyobraźni i wpływają do morza pamięci. Ich fale rozbudzają wyobraźnię czytelnika i sprawiają, że i on przenosi się do swoich stron rodzinnych, do swojej rodzinnej rzeki i wywala fale wspomnień.

Na początku tomu widnieje dedykacja:

*Kochanemu Wnukowi, Ludwikowi Tadeuszowi Machnowskiemu z przestaniem na pierwsze Urodziny:*

*„Dobrze mieć autostrady, ale smak nadają w życiu dopiero ścieżki, którymi można sobie od nich odbiegać.” ( Tadeusz Kotarbiński )*

Ta dedykacja to kolejna opowieść rodzinna, która dopiero się zaczyna – wnuczek Ludwiczek nie ma jeszcze roczku, a już wchodzi w jej legendę. Poetka żyje jego życiem i gromadzi dokumentację. I zapewne w jej wyobraźni tworzą się kolejne plastry rodzinnego rajku.

Na pierwszej stronie, wyodrębniony, został przez poetkę umieszczony wiersz o wnuczku, bo jakżeby inaczej. Przytaczam ten wiersz w całości, bo wnuczek jest obecnie największym umiłowanym Irenki.

## Kwiat baobabu

W dniu narodzin  
mojego wnuka  
Ludwika Tadeusza  
po pięćdziesięciu latach  
w Brazylii  
zakwitł kwiat baobabu

Kto z rodziny  
doczeka  
następnego  
kwitnięcia  
baobabu

Czy wnuk  
jako pięćdziesięciolatek  
będzie miał czas  
zachwycać się  
kwiatem

Mnie już tu  
nie będzie  
zostanie grafika  
z kwiatem baobabu

i wiersz

Jak będzie  
czas pokaże  
jest to  
na pewno  
zagadka przyszłości

(GDAŃSK – WROCLAW 15 WRZEŚNIA 2020 R.)

Siwiejąca poetka witająca pełnego radości wnuka. Urodził się w złym czasie wszechpanującej pandemii, jakie będzie jego życie? Nie nam i nie Tobie, Irenko, decydować.

To tu, nad rzeką Regą, w Bierzwnicy, w 1949 urodziła się Irenka w domu dziadków:

## Miejsce urodzenia

Szumiący modrzew  
przypomina historię  
moich narodzin

Ciocia Lucia  
słyszała krzyk  
rodzącej matki  
dobiegający  
z uchylonego okna

Babcia pospiesznie  
gotowała wodę  
by donieść  
na czas  
akuszerce

Dziadek mówił -  
moja wnuczka  
urodzi się w domu  
a pod oknem  
wyrośnie modrzew

Obok w ewangelickiej plebanii na niewielkim wzgórzu mieszkali rodzice Irenki, która stoi do dziś, jest rozbudowana, i mieści się tam szkoła. Rodzice w 1955 roku przenieśli się do niedalekiego Świdwina, gdzie też towarzyszyła jej dziecięcemu i młodzieńczemu życiu Rega, rzeka nizinna, pełna meandrów, dlatego urokliwa, pobudzająca wyobraźnię. Jej leniwy nurt towarzyszył rozkwitowi młodego życia, ciekawego świata.

Pojawił się pierwszy mężczyzna – poeta w jej życiu i pierwsze wiersze. Zapamiętajmy ten klimat i poczytajmy wiersze.

Wracajmy do Świdwina i rzeki. Autorka tomu na czwartej stronie okładki kwituje ten okres krótko: *Dzieciństwo i młodość spędziła w Świdwinie. Resztę opowiedzą wiersze.*

Czytam je z uwagą tak, jak się czyta tekst, który opowiada o tym, co już nie wróci. Jest w tych wierszach wszystko, co powinno być w pamiętniku – ogromna tęsknota za dzieciństwem, które, widziane oczami dziecka, było siódmym cudem świata. Ale cud się nie powtórzy, daremnie pytamy: gdzie jesteś? To pytanie Autorka kieruje do ukochanego mężczyzny:

## Gdzie jesteś

Gdzie jesteś  
okno bez firanek  
telefon milczy

Ulice  
zatarły  
twój ślad

Zostały  
niewypowiedziane słowa  
niedokończone zdania

Zniknąłeś  
jak Synagoga z placu  
w noc kryształową

Jakim pociągiem  
odjechałeś  
dokąd

To pierwszy mężczyzna jej dziewczęcego życia, poeta pokazujący jej, jak świat zamknąć w wierszach. Była radość i uczucie, ale też pożegnalne łzy. Najwięcej wypłynęło nad Regą.

Potem przyszła pożegnalna Msza żałobna i witanie nowego świata i nowej rzeki.

Gdy stanęłaś nad nią, zapewne zapałałaś nad już pożegnaną, ale też witałaś nową – Narew, która pod Ostrołęką płynie szerokim, spokojnym nurtem. I czekały Cię nowe wrażenia i nowe fakty, którym towarzyszyła rzeka, wpływająca do Bugu i łącząca się z rzeką rzek polskich, płynąca od Karpat do morza. Czy, stojąc pod pomnikiem Bema, pytałaś go, co cię tu czeka i jakie nowa rzeka daruje Ci przeżycia?

Było to wiosną. Nic dziwnego, że pierwszy wiersz o tym mieście był jeszcze tylko opisem miasta i krajobrazu:

## Ostrołęka wiosną

Wschodzące słońce  
doświetliło świat  
i zgasiło nocne kandelabry  
na ulicach Ostrołęki  
po których jeszcze  
spacerują bezdomne  
koty i psy

Duże krople  
rozrzuconych diamentów  
na delikatne kwiaty  
petunii i lobelii  
iskrzą perliście  
zapachem otulając  
moje włosy

Obłoki wędrujące  
kształtami  
przypominają  
firankę deszczu  
która czeka  
na znak

by okryć miasto

Potem pojawiły się wiersze o Narwi:

## Narew

Narew znów przygarnęła  
moje ramiona  
wracające jak lotnia  
by rozważnie planować  
nowe realizacje zmian  
wynikających  
z przebudzenia wiatru  
który biegnie tak szybko  
że pomija historię  
przybrzeżnych kapliczek  
oczekujących ciągle  
na znak krzyża

I teraz dla Poetki Narew była jej rzeką, jej płynącym konfesjonatem, któremu przekazywała swoje przewiny i wątplenia. Z czasem przybywało wątplień i cierpień, ale były i chwile radości, np. gdy urodził się synek:

## Spełnienie

/ Kamilowi Konradowi /  
Gdy rozpierałeś łono  
tęcza  
na szybko płonęła

Wtedy byłeś tylko domyśłem  
krzykiem  
potwierdziłeś  
swoje istnienie

W dniu tak powszednim  
jak środa  
stałeś się  
pragnieniem dokonanym

Synku  
mój synku.....

OSTROŁĘKA,  
29 PAŹDZIERNIKA 1975 R.)

Miałas już męża -poetę, którego wiersze ceniałas, ale jako mąż i ojciec nie sprawdził się. Radość dawał Ci tylko syn i praca, skończyłaś studia w Lublinie, wydałaś pierwszy tomik wierszy.

Ufałaś ludziom, niostaś im swoją myśl i przyjaźń. Jakże często odrzucano jedno i drugie, poniżano, szczególnie w stanie wojennym. Zostawiłaś męża, który nie dawał ochrony ani radości, nie dbał o dziecko. Wyraziłaś to w krótkim, ale jakże gorzkim wierszu, który jest piosenką poetycką:

## Ileż

Ileż to razy  
ufałam  
ludziom niegodnym  
Ileż to razy  
szukałam słońca

w rozszalałej burzy  
Ileż to razy  
zaognioną ranę  
opatrywałam beznadziejnością

Ileż to razy  
jeszcze płacz w samotności  
przyniesie mi ulgę

Aż przyszedł dzień, w którym zdecydowałaś, że dość, że trzeba odejść:

## Niepogoda

Zgadzam się  
na rozstanie  
na podzieloną granicę  
na twoje i moje

Nie zgadzam się  
na utopienie  
wspomnień wirujących  
na filmie  
z naszego życia

Odchodząc  
ufajmy sobie bardziej  
niż burza  
i porywisty wiatr

Była to zgoda na rozstanie, ale i zgoda na dobrą pamięć, na bliskość daleką. Nauczyłaś się trwać przy swoim i ufać. Stwórcy:

## Panie Boże

Uratowałeś mnie  
i skierowałeś  
na rozpoznanie  
mojej wiary

Odmroziłeś ręce  
by wyrosły  
skrzydła  
które unoszą  
ponad tłum

Nauczyłeś wierzyć  
w to  
co z pozoru  
jest niemożliwe  
i niepojęte

Odpowiedziałeś  
kilkoma znakami  
które przybliżyły mi  
Ciebie

Teraz, uspokojona i pogodzona, spotkałaś nowego człowieka i nową nadzieję. Zawiózł Cię na północ, nad nową rzekę i nową nadzieję. Rzeką nazywała się Motława.

Wreszcie, któregoś dnia, mogłaś napisać dedykację:

*Ukochanemu Mężowi - śp. Markowi Pawełczykowi, z podziękowaniem za każdy dzień razem...*

## Byłeś

Byłeś szczególnym  
wyjątkiem  
bo wciąż pragnęłam  
twojej obecności

Byłeś moim  
spełnieniem  
bo lgnęłam  
w twoją nieskończoność

Byłeś moim  
odwróconym losem  
bez ciebie  
nie umiem być

Człowiek ten pokochał Cię, dał Ci wszystko, co nazywało się Miłość i wszystko, co nazywało się zaufanie. Wzięliście ślub w małym kościółku u Bernardynów w Zakopanem. Chodząc po górach nie mogłaś uwierzyć, że jesteś szczęśliwa. Ale coraz częściej pisałaś wiersze o szczęściu dwojga ludzi i o cichym, spokojnym życiu we dwoje. Dał wszystko i po paru latach wspaniałego zrozumienia i wiary w siebie zostawił Cię, by odejść tam, skąd się nie wraca.

## Nieznany świat

Kamienna twarz  
zastygła w bólu

Rozproszone myśli  
bezradny uśmiech  
słowo  
nie odpowiada

Przywołana lekarka  
zapisuje  
rzeczywisty fakt  
w akcie zgonu

W przedpołudniowym słońcu  
Alei Łostowickiej  
z granitowego mieszkania na wzgórz  
nikt już nie woła do powrotu

Przekroczyłeś próg  
nieznanego świata

(GDAŃSK, 10 PAŹDZIERNIKA 2006 R.)

Okres paru lat to również czas na pisanie najpiękniejszych i najbardziej dojrzałych wierszy. Tym większy żal, że po nim nastąpiła nieodgadniona zastona nocy, która trwa do dzisiaj, nie utulona i nie do przeptakania. Jeszcze żyjesz, ale żyjesz tylko dla Niego i dla swojego syna i wnuka. Już nie szukasz szczęścia u boku innego mężczyzny. Okryłaś się pancerzem ze spiżu i żadne pukanie w niego nie pomoże, byś zrzuciła go z siebie. A założników mogłoby być wielu. Jeden to nawet obiecał Ci wagon róż, ale już wie, że nigdy ten wagon nie zajędzie pod Twój dom, bo brak ułożonych przez Ciebie szyn. Są tylko słowa i codzienne telefoniczne budzenie do życia.

/ OLSZTYN, 21 SIERPNI 2021 /

Nowy tomik poezji Ireny Knapik-Machnowskiej TO TU, który ukazał się przed paroma dniami w Wydawnictwie Adam Marszałek w Toruniu.

KAZIMIERZ SOPUCH

# Miłość i nienawiść w czasach Hunwebinów

Gdyby Wang Xiaobo żył dłużej, w roku 2020 miałby sześćdziesiąt osiem lat i może cieszyłby się międzynarodową sławą największego współczesnego pisarza Kraju Środka. Niestety, po śmierci w 1997 roku, przeżywszy niepełne czterdzieści pięć lat, musi zadowolić się określeniem „czarny koń” literatury chińskiej i zdawkowymi informacjami na temat jego biografii. Wiemy zatem, że urodził się i zmarł w Pekinie, ale w drugim roku rewolucji kulturalnej (1968), jako przedstawiciel „młodzieży inteligentkiej” zestany został na wieś do prowincji Junnan, a potem Szantung. W 1972 roku uzyskał zgodę na powrót do stolicy, gdzie znalazł zatrudnienie w fabryce, a potem podjął studia ekonomiczne w Chińskim Uniwersytecie Ludowym i kontynuował je na Uniwersytecie w Pittsburghu. Uzyskany tam tytuł magistra dał mu podstawy do tego, by podjąć pracę wykładowcy na Wydziale nauk Społecznych rodzimej uczelni, a potem – od roku 1992 – stać się niezależnym pisarzem, utrzymującym się z honorariów za wydawane książki, które nieomal natychmiast tłumaczono na języki obce. Zagranicznymi autorzy not biograficznych w książkach Wangu podają, że zyskał on sławę w Chinach jako kronikarz mrocznych lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, co nie spodobało się sztywnym władzom i zapewne przyczyniło się do przedwczesnej śmierci na zawal serca. Można zatem powiedzieć, że zabiła go ambiwalencja rządzących, którzy od czasów Deng Xiaopinga i jego dojścia do władzy w 1978 roku, zgodzili się na zaproponowany nowy kurs i otwarcie Chin na świat, ale jednocześnie – mimo oficjalnego potępienia rewolucji kulturalnej i krytyki dorobku Mao Zedonga – wciąż tęsknili za wielkim przywódcą. Skromny, inteligentny Deng nie mógł zrekompensować utraty ojca narodu, którego wizerunek wciąż reprodukowano na banknotach, któremu stawiano monumentalne pomniki, którego portret stałe wisi u wejścia do Zakazanego Miasta. Ten symbol wsteczności i zacofania, jakże kontrastujący z rozmachem współczesnych Chin, wciąż przypomina, że to wielkie państwo potrzebuje symboli i czeka na ludowych mesjaszy, którzy popchną społeczeństwo na wyższe tory komunizmu. Na szczęście reformy Dengu spowodowały powstanie nowego społeczeństwa, ze znakomicie wykształconą kadrą naukowo-techniczną i biznesową, co z kolei przełożyło się na prawdziwą eksplozję w zakresie budownictwa, transportu i produkcji luksusowych dóbr. Tak powstało państwo, w którym swobodnie rozmawia się o polityce i ekonomii, ale nie wolno krytykować rządu, który decyduje o drogach rozwoju i rozprzestrzenia kult Mao, którego socrealistyczny grobowiec z zabalsamowanym ciałem, okrytym granową flagą z sierpem i młotem, wciąż znajduje się na Placu Niebiańskiego Spokoju.

Przez dziesiątki lat w Chinach nie mówito się o seksie, a jedynie nawiązywało się do niego w aluzjach, poezji, tendencyjnej prozie i propagandowych filmach. Pojawienie się zatem pisarza, który mówił wprost o miłości cielesnej, a przy tym ukazywał brudne zakamarki Pekinu, śmierdzące ubikacje i śmietniska, zdezelowane fabryki i dziwacznych funkcjonariuszy systemu, było nie na rękę władzy, mającej wszędzie swoich tajnych agentów i podsakornie moderującej zachowania ludzkie. Pisarz we współczesnych Chinach mógł wybrać dwie drogi – albo wyemigrować i przeciwstawić się władzy, jak Gao Xingjian lub rozwijać swój talent w obrębie systemu, jak Mo Yan. Wang Xiaobo wybrał trzecią drogę, publikując utwory, w których była spora doza ironii, ale też jakby podsakorne idealizowanie kraju, w którym jednostka mogła zyskać niezależność w obrębie zamkniętego, stworzonego przez siebie świata. Miłość w czasach rewolucji to powieść będąca swoistym eksperymentem narracyjnym, w którym sam autor i jego alter ego Wang Er, toczą wiele walk, ironicznie komentując zdarzenia, a nade wszystko obser-

wują samych siebie, szczególnie w chwilach erotycznych uniesień. W takim kontekście – jak podpowiada narrator: To książka o pożądaniu. Pożądanie ma własną siłę napędową, niekiedy jednak swobodne zachowanie jest zabronione, co niezwykle komplikuje sprawy. Na przykład, na północ od mojego domu znajduje się Pałac Letni, ale gdyby nie istniał kierunek północny, wtedy mógłbym iść wyłącznie na południe i dopiero po przejściu bieguna południowego i północnego, po czterdziestu tysiącach kilometrów, dotarłbym do pałacu. To właśnie usiłuję powiedzieć. Ludzie naprawdę potrafią wszystko wyrazić zawołowanymi aluzjami i dotyczy to również pożądania. Dlatego jego źródłem mogą być najmniej godne zaufania rzeczy. Choć autor relacjonuje własne przeżycia, choć nawiązuje do konkretnego życiorysu, to istotą jego powieści jest diagnoza ludzkich zachowań i Chin, w których przyszło mu dojrzewać. To był czas rewolucji kulturalnej, podczas której wywlekano kutaków i inteligentów i wleczono ich po ulicach w komicznych czapkach z papieru – czas ekspansji młodzieńczej głupoty i szalejącej jak zaraza myśli przewodniczącego Mao, który bezwzględnie wykorzystywał rozgorączkowane umysły do walki politycznej. Dochodzili wtedy do głosu hunwejbini, niszczący kulturę i sztukę, pogardliwie odnoszący się do nauki, uciekający się do szantażu i oszustw, a i często zabijający swoich oponentów. Najbardziej radykalna i wpływowa była Czerwona Gwardia i to ona wywlekła ojca Wangu Era z domu, a potem prowadziła go po kampusie jako wroga ludu i wsteczniaka rewolucji. Wykorzystywani do rozgrywek politycznych lokalnych sekretarzy partyjnych, czuli się bezkami i z lubością wykrzykiwali sentencje Mao, z jego czerwonej książeczki.

Bohater powieści Wangu Xiaobo mógłby pójść innymi drogami i stać się opozycjonistą na emigracji, jak na przykład chiński laureat Pokojowej Nagrody Nobla z 2010 roku, dramaturg i prozaik Liu Xiaobo, o którym mówi się, że stał się sumieniem Chin po masakrze na Tienanmen. Jednak młody mężczyzna z omawianej tu powieści idzie inną drogą, próbując rozsądzić system sobie tylko znanymi sposobami – najpierw eksperymentując z ledwie przeczuczym uczuciem homoseksualnym do przyjaciela z pracy, potem bawiąc się elementami sadyzmu i masochizmu w swoich działaniach (pobicie przyjaciela i erekcja w trakcie tego zdarzenia). Dalej – obserwując siebie w relacjach z piękną hunwebiną X Haiying, zatrudniającą mu myśli ideologiczną papką, ale – koniec końców nie mogącą stłamsić w sobie kobiety i wciągającą go do łóżka. Ta piękność w zdezelowanym mundurze ma być jego sekretną policjantką i sprawować nadzór nad rozwojem politycznym, ale wspólna droga do komunizmu przeradza się w owo – wskazane we wstępie – „pożądanie”, któremu nawet ona nie potrafi się przeciwstawić. Wang Er próbuje eksperymentować seksualnie z poznaną studentką (Była męcząca, denerwująca i nienawidziłem jej. Ale później bardzo ją kochałem. To pokazuje, że nienawiść i miłość są jednak nierozdzielne.) ale niewiele z tego wychodzi, chociaż pocałunki, dotykanie piersi i przytulanie się do siebie, daje mu podstawy do prowadzenia zaawansowanej gry miłosnej z funkcjonariuszką systemu. Przez kilka lat godzi się na poniżanie i deprecjowanie swojej wartości, ale wciąż śni o tym, że ją gwałci, bije, morduje i odwzajemnia się w ten sposób za zniewagi. Triumfuje, gdy X Haiying rozbięra się i zmusza go do uprawiania seksu, stale wyposażając wszystko w ideologiczny kontekst i właśnie wtedy jego „stalowy” penis staje się prawdziwym narzędziem odwetu. Kobieta nienawidzi go jako ofertę klasową, ale nie potrafi bronić przed rozkoszą, którą daje jest

stuprocentowy, jakże męski i chropawy Er. Tak akcja powieści z planów miejskich, fabrycznych i biurowych przenosi się do domu dziewczyny, w którym czują się bezpiecznie i mogą uprawiać zakazany seks do woli. Niestety bariera jest zbyt duża i X Haiying po każdym zbliżeniu wraca do swojej roli, bezlitośnie kpiąc z Wangu i szukając pretekstu by go srodeż ukarać. Jeśli tego nie robi, to tylko dlatego, że potrafi docenić jego męskie walory i nie wyobraża sobie, że mogłaby uprawiać seks z innym mężczyzną. Niestety nie wie, że jego sprawność ma podłoże sadystryczne, a kolejne przyspieszenia i szczytowania podczas stosunków są jak zabicie odwiecznego wroga i zmasakrowanie jego podłych szczątków. (Kochanie się z nią wymagało brutalności, odrobiny żądzy mordy).

Edukacja seksualna Wangu Era idzie w parze z jego życiową przebiegłością, która koniec końców doprowadzi go do poznania kobiety, którą poślubi i pociągnie za sobą na studia do Stanów Zjednoczonych. Indoktrynowany przez agentkę systemu Mao, wychodzi cało z tego starcia, przede wszystkim za sprawą swojego wywrotowego charakteru i chęci eksperymentowania ze światem i sobą. Tylko taka postawa pozwala mu przetrwać zbliżenia z funkcjonariuszką, która przy nim powoli traci rozeznanie w hałaśliwym świecie hunwebinów i wrogów klasowych. Jeszcze rzuca obelgi na Era – Za każdym razem, gdy się kochał, X Haiying mówiła, że jestem draniem, diabłem, złym nasieniem, wyzywała mnie jak psa. Oto mądrość czasów rewolucji z wyższej półki. Jeszcze próbuje go zadencjonować, poniżyć, ale, gdy sama staje się obiektem donosu i cała fabryka zaczyna mówić o jej romansie z przerażająco brzydkim mężczyzną, godzi się z porażką i znika z jego życia. Wang Er widzi siebie jako cierpiącego na hemoroidy malarza, marzącego o wielkiej artystycznej karierze, ale borykającego się z problemami, jakie niosą czasy rewolucji kulturalnej. Widząc wszechobecną nienawiść, postanawia walczyć z nią tak, by funkcjonariusze systemu, nie zorientowali się, że jest kimś na kształt duchowego i cielesnego dysydenta. Z pokorą znosi obelgi i intrzygi X Haiying, która jednak broni go na wiecach, przedstawiając jako, niegroźnego fajtlapę, a potem z nawiązką odbija sobie wszystko, gdy dominuje nad nią w łóżku i zaspakaja jej wyszukane fantazje erotyczne. Trudno się dziwić, że pisarstwo Wangu Xiaobo nie spodobało się ówczesnym władzom chińskim, dążącym do radykalnej unifikacji społeczeństwa i włóczenia jednostek w tryby wielkiej machiny, pędzącej do przodu jak szybka kolej i nie dbającej o tych, którzy nie wytrzymali tempa. Po latach pisarz rozprał się z nimi aluzjnie w szkicu pt. Przyjemność myślenia, odnosząc swoją wypowiedź do hipotetycznego kolegi: Kilka lat temu, zaraz po tym, jak wyszedłem z cisy i napisałem książkę, dałem ją starszemu znajomemu. Nie spodobała mu się. Uważał, że nie powinno się pisać w ten sposób. Według niego książki powinny edukować ludzi, uwznioślać ich dusze. Z pewnością przemawiała przez niego sama mądrość. Jednakże spośród wszystkich mieszkańców tego świata tym, którego duszę pragnę uwznioślić najbardziej jestem ja sam. Jest punkt widzenia całkowicie nikczemny i zupełnie egoistyczny, lecz absolutnie szczerzy. Paradoksalnie owa nikczemność i egoizm pozwoliły stworzyć kontrapunkt w kontaktach z ludźmi czasów rewolucji kulturalnej i pokonać tę, która miała nadzorować jego kształtowanie ideologiczne. Nie ona jedna legła w konfrontacji z „pożądaniem” i poddała mu się jak wiele kobiet przed nią i po niej, przegrata w ramionach Era, choć po latach okazało się, że były to jej i jego największe zwycięstwa.

DARIUSZ TOMASZ LEBIODA



Jan Owczarek

# Sny sudeckie Miłosza Kamińskiego

Poezja? Silesia? Pyta Miłosz Kamiński w pierwszym wierszu swojego drugiego tomiku poetyckiego, który ukazał się w 2021 roku w formie nagrody za zwycięstwo w Konfrontacjach Literackich w 2020 roku w Brzegu. Wiersze umieszczone w tym zbiorze, piękne w formie i w treści, o czym jeszcze tu będzie mowa, osadzone są w historii i topografii Sudetów, a nawet szerzej – Dolnego Śląska czy Śląska w ogóle. Miłosz Kamiński, jeleniogórzanin od dzieciństwa, podnosi z sudeckiej ziemi zapomniane i jakoś zaniedbane artefakty, przybliża urodę Sudetów, specyfikę dolnośląskiej krainy, odnosi je do swojego osobistego doświadczenia, dostrzega uniwersalność spraw i problemów, którymi przemawiają w jego wierszach dawni mieszkańcy tej ziemi.

W tomiku, który nosi tytuł *Sny sudeckie* pojawiają się nazwiska, miejscowości, tytuły dawnych dzieł śląskich autorów, dzieł pisanych szwabachą albo po łacinie. Niełatwo znaleźć pokrewieństwa wierszy Miłosza Kamińskiego, choć w pierwszym odruchu chcemy je zobaczyć w sąsiedztwie utworów poetyckich Karola Maliszewskiego, poety z potożonej na granicy „hrabstwa” Kłodzkiego i Ziemi Wałbrzyskiej Nowej Rudy. U Maliszewskiego wciąż natykamy się na ślady dawnej historii i kultury, choć istota tej poezji leży piętro wyżej. A może dwa piętra. To samo u Kamińskiego. Przyjrzyjmy się choćby wierszowi *Burza*. Bohater wiersza, schodzi do Dobromierza z wzniesień Pogórza Bolkowskiego. Myśli przepływają swobodnie, jest nuta tęsknoty, a życie jest podróżą. W tej podróży bohater wiersza i zarazem jego podmiot dostrzega artefakty historii. Jest wśród nich wzgórze, z którego „stary Fryc” przyglądał się bitwie, jednej z bitew, która zadecydowała o zagarnięciu przez Prusy Śląska:

*Słodko kończy się Austria, czeresniową aleją  
schodzę do Dobromierza, pełen przypuszczeń  
Bilety sprzedane, rumieni się krucha kuropatwa  
na rożnie przed bitwą, wojna o twarzy burgunda*

*już schodzą z afisza Prusy jak rosa  
z szyby  
samochodu (...)*

Dla Kamińskiego historia śląskiej ziemi jest kalejdoskopem niustannych przemian, z którą korespondują mijane tak różnorodne, bogate w piękno pejzaże. W wierszu pojawia się sławny śląski kartograf Martin Helwig, autor pierwszej (XVI wiek) mapy Śląska: *Tabula geographica sive mappa Silesiae*. Miłosz Kamiński dostrzega trud świdnickiego nauczyciela, który przeciera kartograficzny szlak. Jak to opisać tę bogatą historię, ale nie tylko „bitwy obłączenia zarazy” (Zbigniew Herbert), lecz ludzkie osobiste dramaty, troski, chwile szczęścia?

To nie koniec tej feerii wrażeń, która przepływa przez wiersz jak Nysa Kłodzka, która toczy swoje wody przez góry dawnego Hrabstwa Kłodzkiego i rozległą nizinę Śląską:

*Nysa płynie ciężka od miłości  
i deszczu  
spod Kłodzka, o którym tam zapomniano*

*W Bardzie znosi bystry nurt, gdy wracam  
do tego wiersza jak do prostej dziewczyny (...)*

Tu trochę się Kamiński myli, a Helwig ma rację, bo przecież Hrabstwo Kłodzkie to było coś osobnego od Śląska. Śląskie stało się dopiero po wojnach śląskich, w wyniku których Śląsk zagarnęły Prusy. Wspomniane w utworze Bardo i pobliska Srebrna Góra to były bramy Śląska na południe i Hrabstwo Kłodzkiego na północ. Swoją drogą Kamiński ma świadomość odrębności tych krain, czego dowodem jest zdanie w ostatnim wierszu tomiku *Południe, znacznie później (... tutaj Ziemia Kłodzka/ nie dzieli losu Śląska/ jest dziedziną osobną...)*. W wierszu migają nazwiska właścicieli śląskich kopalń, hrabiego Gersdorfa i hrabiego Schaffgotscha, pojawiają się nazewnictwo i językowe aluzje (Kopalnia „Nieznane Szczęście” czy *Urządę wszystko raz jeszcze!*). Historia Śląska jednak pobiegła innym szlakiem, przekraczającym historyczną wyobraznię siedemnastowiecznych czy osiemnastowiecznych jego mieszkańców.

Miłosz Kamiński ułatwia czytelnikowi nieznaną skomplikowanej historii śląskiej ziemi, jej niespodziewanych epizodów, umieszczając lakoniczne informacje quasi-przypisy, dotyczące pojawiających się tekstach ludzi i zdarzeń. I nie są to postacie czy wydarzenia zmyślane, jak to zdarza się w prozie Louisa Jorge Borgesa. Jednak tomik *Sny sudeckie* nie jest przecież poetycką opowieścią o historii Śląska, a jeśli jest, to nie wyłącznie historią. Na jej warstwy kładzie się współczesność, osobiste doświadczenia autora wierszy.

W gorzko brzmiących słowach autor *Snów sudeckich* wspomina bliskich, pojawiają się jak mgnienie epizody szczęśliwe. Spotkania i rozstania, marzenia spełnione i marzenia zawiedzione, blaski dążeń i ciernie rozczarowań. W wierszu *Komu w drogę* autor dostrzega swoją twarz, w której brak radości:

*Od dawna nie uśmiechasz się do zdjęć  
i tych,  
Których kochasz (...)*

*Z mapy światła zostało tysiąc ciemnych miejsc (...)*

Wróćmy do spraw regionalnych, które u Miłosza Kamińskiego splatają się mocno doświadczeniem egzystencjalnym, z duchowym przeżyciem, bowiem historia to nie tylko wielkie bitwy, wodzowie, dyplomatyczne targi, ale to losy konkretnych ludzi. Jeleniogórski park na Wzgórzu Kościuszki, odwiedzany chętnie przez mieszkańców miasta, był niegdyś szubieniczną górą, zwaną potem Wzgórzem Rycerskim (Kavallerberg). Na miejscu dawnych straceń burmistrz Johann Schönau postawił w 1795 roku obelisk, którego bohaterką i adresatką została jego żona Fryderyka. Był to czas, w którym panowała moda na sentymentalne założenia parkowe i ogrodowe. W samym pomniczku może nawet dałoby się doszukać znaczeń ezoterycznych, co w połączeniu z dawną funkcją wzniesienia może dawać powód do różnych skojarzeń. Dzisiaj park to miejsce

spacerów, joggingu, ćwiczeń na ustawionych na podszczytowej płaszczyźnie urządzeń do ćwiczeń gimnastycznych. Temu miejscu Kamiński poświęca wiersz *Park pani Schönau*. Wiersz jest swoistą refleksją nad „przemijaniem postaci świata”:

*Piękno zysków i wygody: dziś w parku*

*grill dymi, tyle światła niesie ta historia:  
w siłowni pod niebem pozostaje osad*

*tlusty na przyrządach gimnastycznych*

Z kolei w utworze zatytułowanym *Pod chmurami* autor wspomina dzieciństwo, rowerowe spacerunki do jeleniogórskiego rynku i na Górę Szybowcową wznoszącą się nad bodaj największym na Dolnym Śląsku osiedlem mieszkaniowym, Zabobrzem. Na Górze Szybowcowej znajduje się mające przedwojenną historię lotnisko sportowe. Tu swoje pierwsze kroki w sztuce lotniczej stawiała Hanna Reitsch, szkoląca potem lotników Luftwaffe, a i po wojnie w Zachodnich Niemczech nadal była instruktorką lotnictwa. W wyobraźni autora dzieciństwo było takim baśniowym lotem, przypominającym lot bohaterów obrazów Marca Chagalla.

Z wierszy Miłosza Kamińskiego emanuje fascynacja niezwykłą a zapomnianą historią jego małej ojczyzny, którą jest Jelenia Góra, potem Kotlina Jeleniogórska z Karkonoszami, Sudety wreszcie, a nawet Dolny Śląsk i Śląsk jako całość. W obszarze zainteresowań poety jest i krajobraz i ludzie. Niezwykła, czasem wręcz ezoteryczna aura jak na sudeckich obrazach Henryka Wańka, którego eseistyczna książka *Podróż mistyczna z Oświęcimia do Zgorzelca*, zostaje dopełniona lirycznymi pejzażami Kamińskiego.

Wiersze z tego tomu posiadają jeszcze jeden ważny walor – swoistą muzyczność. Miłosz Kamiński swoją wyobraźnię poddaje klasycznemu rygorowi, dlatego utwory te zachowują melodyjność i dyscyplinę, o której wielu współczesnych poetów nie chce pamiętać. Po *Przeszłości dla uważnych* drugi zbiór poezji jeleniogórskiego autora jest cennym wkładem w polską lirykę odnoszącą się do Sudetów Zachodnich. To świadectwo uobecnienia tej pięknej krainy w liryce polskiej, która choć ma w swojej skrzyni karkonoskie peretki już od XIX wieku, to takich artefaktów nie jest dotąd zbyt wiele.

Wydanie tomiku Miłosza Kamińskiego jest nagrodą dla zwycięzcy Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego Złoty Syfon w Brzegu (Nagroda Złoty Syfon Konfrontacji Literackich 2020). Zbiorek wydany został przez Stowarzyszenie Żywych Poetów i Miejską Bibliotekę Publiczną im. Księcia Ludwika I i ukazał się w 2021 roku w Brzegu.

Miłosz Kamiński *Sny sudeckie*, K.I.T. Stowarzyszenie Żywych Poetów i Miejska biblioteka Publiczna im. Księcia Ludwika I, Brzeg 2021, s. 38.

JAN OWCZAREK

Jerzy Stasiewicz

# Czas w poezji Leszka Sobeczko – gaszony siłą pręgą witraża.

Na dobre i na złe dni, dobra jest lektura „wierszy”... Taką dedykacją opatrzył Leszek Sobeczko tom *depresanty* (Rybnik 2020) najnowszy zbiór swojej poezji, przystany mi końcem maja wraz z egzemplarzami: „Wytrycha” i „Wytryska”.

„Ale żeby omówić tom (ascetyczna czar na okładka z białym szkicem mniszka lekarskiego (mlecz) gubiącym latawce na wietrze) trzeba przytoczyć stów kilka o autorze. Rocznik 1961, zamieszkały w Rydułtowach (ośrodku wydobywania węgla kamiennego „KWK Rydułtowy – Anna”, położonych na Górnym Śląsku w strefie przygranicznej z Czechami). Wraz z Adamem Markiem w lutym 2017 roku współzałożył Wolną Inicjatywę Artystyczną – Wytrych w Rybniku. Inicjator magazynu artystycznego o tej samej nazwie (kwartalnik, półrocznik, 26 numerów), gdzie pełni funkcję redaktora naczelnego. Pomyślny Biblioteczki Wytrycha i konkursu jednego wiersza im. Janiny Podlódzkiej. Członek ogólnopolskiej grupy Literacyjnej na Krechę. Czynny w życiu artystycznym i drukowany w wydaniach pokonkursowych, prasie, almanachach, magazynach, portalach internetowych. Opublikował dziesiątki autorskich pocztówek poetyckich. Prezentowany na antenie Polskiego Radia Katowice w Poczcie Poetyckiej pod redakcją Macieja Szczawińskiego. Debiutował w 2015 roku tomem wierszy pt. *Nieautoryzowane* (mami; w Nowej Rudzie znajdują się na poezji, a proza to „Góry Literatury”... Byłem).

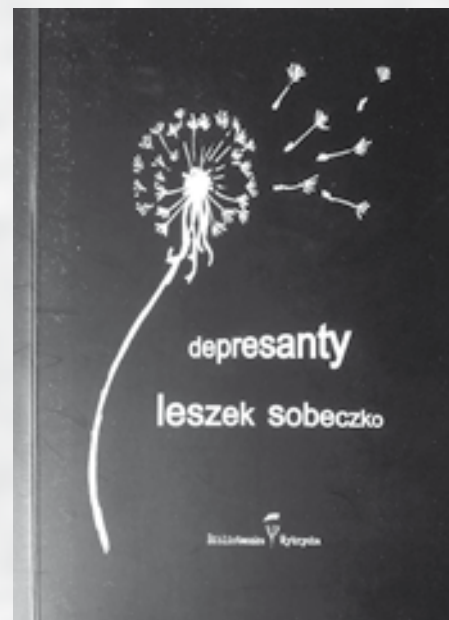
*depresanty* – wydane w Biblioteczce Wytrycha tom 1.- to całkowicie inny cykl liryków, rzadko spotykanych w polskiej literaturze. Już w samym zamysłu poświęconych... pamięci Henryka Myśliwca (\* 15.07.1940 + 10.04.2014) teścia poety. Górnik z 33 letnim stażem, pracę rozpoczął w wieku 14 lat (oszukując kadry, że ma 16 lat). To już świadczy o człowieku, jego dojrzałości i odpowiedzialności za rodzeństwo w powojennym i wielonarodowym Śląsku, gdzie ordnung i pracowitość była modlitwą (paternoster), a niedziela dniem świętym z uczestnictwem we mszy. Przytoczę tutaj fragment postawia „Opatrywanie (tekst do Leszka)” Kuby Strumienia napisanego ze znanstwem miejscowych realiów i rodzinnych powikłań w maratonie życia. Ale z pewnym udziwieniem – może - charakterystycznym dla regionu szarego wszędobylskiego kurzu i familoków z czerwonej, brudnej cegły. Nie nawykłego do poetów (lekkoduchów patrzących w gwiazdy) tylko, „chopów” solidnego fachu. A tu Leszek Sobeczko – mimo, że twardo stąpający po ziemi – kreśli na wymiętym papierze kilka stów mowy wiązanej „poświęconych zmarłemu - jako dawka (przypisana) środków mających przynieść ulgę, pozwalających przez coś przejść, przejść do porządku dziennego nad stopniowym odchodzeniem i w końcu odejściem kogoś, z kim się wcześniej szło, wchodziło (jak) w dym, kto wychodził naprzeciw, komu różnie szło? (...) Naturalna kolej rzeczy – mówić o tym, co się stało, na co się zanośilo, co się zniósło, znosi, nosi. Pisanie jako recepta. Jeśli ma pomóc, to komu? Wskrzęsić nie wskrzęsi”.

Prawdą jest, że czas goi rany. Wymiając z naszej świadomości szczegóły. To wiemy po... czasie. Ale przecież jest dzień dzisiejszy – nie kończący się dzień – i trzeba go przeżyć. Jak? Leszek Sobeczko korzystając z doświadczenia życiowego i pokładów literatury od antyku po współczesność sięgnął głębi filozoficznej i wypełnił symboliką zestaw dwunastu tekstów opatrząc całość prologiem i epilogiem. Mnie tutaj nasuwa się Iwaszkiewiczowska *Mapa pogody* z toposem emocjonalnych przeciwieństw: pochwała młodości, z jednoczesnym hołdem starości. Połączenie bytów (filozofia Cycerona). Każdy wybitny poeta dąży do równowagi intelektualnej?! Powtarzam: dąży.

Przykład innego starego poety, z tragicznym życiorysem czasów wojny i powojnia. Miałem zaszczyt przed paroma dniami podziwiać w pracowni profesora Mariana Molendy (Plac Kilińskiego 2) model w gipsie pomnika Jerzego Kozarzewskiego – jak żywy, a mistrz dopracowywał jeszcze detale – którego postać siedząca na ławeczce stanęła przed nyskim magistratem we wrześniu. Poeta Jerzy Kozarzewski – pisałem o tym już wielokrotnie – w wierszu „Egzekucja” przewidział swoje ocalenie. Nadmienię tylko: skazany dwukrotnie na śmierć za przynależność do Narodowych

Sił Zbrojnych (Związek Jaszczurczy), nawiązanie łączności pomiędzy ośrodkami emigracyjnymi a krajem i organizację szlaku dla łączników. Ów liryk w rękach Juliana Tuwima na audycji u prezydenta Bieruta miał moc przekonującą i utaskawiającą – 10 lat więzienia (prawo do comiesięcznych piętnastominutowych widzeń, listów i paczek bez dodatkowych zezwoleń).

Życie w klatce wysokich, grubych murów i okratowanych, maleńkich okien to czas niekończącej się żałoby. U Leszka Sobeczko podzielił na miesięcznice, wchodzące bezopornie w jego świat, który tutaj przywołam z każdego wiersza budującego rok, starając się o jak największą ścisłość. O esencję myśli zbitą w jedną całość bez kroju na zwrotki i utwory. Z prologu: „Czas ma ręce/skrzyżowane, dotyka wszystkiego i nigdy mu dość”.- „Gotuje się we mnie zimny maj./ Pies za płotem/przez odsonięte zęby recytuje wiersz. / Patrzy wilkiem, przestał szczeleć. // Marznie we mnie gorący czerwiec. / Zoom x 4 - pośród dropów rozpoznaje w dziewczynce córkę./ jakiej już nie będzie. Młody ktoś zboża, który jeszcze nic nie wie/ o pełni księżyca, o historycznej dacie bitwy pod Grunwaldem, / czy smoleńskim drzewie. // Asfalt paruje/po gwałtownej lipcowej burzy. // Każda (...) krucha, jak chwila ostatniej niedzieli / sierpnia. Teżęje we mnie niewypowiedziane. / Ponoć głupców nie sięją – fałsz! Coraz więcej ich wokół, / jakby wiatr zdmuchnął z miesiąca zbieżnego mleczka // cały plon. // Wczoraj czytałem z kręgów na wodzie/ jak z papilarnych linii./ Pies podąża za ulotnym tropem / września. // Staje się ziemisty, a przecież jeszcze ubrany w kolory / październik. Przegasa odciskiem stopy na wodzie, / tuż przy brzegu, bo lek pęta nogi. / Kto poznał strach, / jest zdolny zrobić wszystko. // listopad / rozpostarł skrzydła. (...) ubyto dusz (...) Największy



kłopot z żywymi. Garść wspomnień / siłą pręgą. / Gdyby odnaleziono grób, a w nim kości, całun, powróż / i czwarty gwóźdź, czy nie należało by przypuszczać, / że wymazał każdą z przypisywanych zdrad. // Pamięć umiera / i nic tego nie zatrzyma (...) w kolejnym grudniu. Ofiara z Karpia ocieka / jak oś w gardle Ulissesa. // Tworzą(c), / scenariusze styczniowego rozdania / sztuką jest dostrzec intymność, / albo zaprzeczyć naturze. // Przyznaje się do skoliozy i plam / w życiorysie. Ciemna strona księżyca / nie jest moją sprawką. Lutowe pola / obsiadły gawrony, / nie czekają na odcięty / kawałek postronka. // Wraz z dotykiem marcowego słońca - / Zapragnął odejść, // Odplynął w długą / kwietniową noc, / Na drzwiach /zawisł jak tabliczka. Trzeba mieć oparcie, / by grunt nie dostał skrzydeł. Pamiętaj / o nas, wspomnij, choć przez chwilę / dobre stare czasy. / Ostatni zjazd pod ziemię i lot sokoła. Kieliszek / wylewam za okno, za zdrowie, którego / już nie ma. Wyrzuty sumienia niech odejdą / z tymi, co codziennie przechodzą / wrotami do nieba. / O pył dbają wiatr i woda. / Wiatr / przegląda się w słowach. / Woda / gasi żrenice." – Z epilogu: „Najtrudniej / podsumować, / Tuż przed wyrazami współczucia.”

Widzimy: omy cykl w strukturze i oddziaływaniu to poemat obliczony na kruszenie obojętności i szczerą przed wszystkim wobec samego siebie z żądaniem niepogodzenia. „W krótkiej perspektywie dajemy się podpuścić, / na dłuższą jesteśmy... za ubodzy duchem”. Niech to ponadczasowe wyznanie poety nie ugrzęźnie w naszej świadomości jako figura poetycka, a stanie się filozofią trwania z popiołem przeszłości tak naturalnym w naszym bycie.

*depresanty*

JERZY STASIEWICZ  
LESZEK SOBECZKO

Biblioteczka Wytrycha tom 1.  
Rybnik 2020 s.38.

# Milczące pytania do zniewolonych umysłów

- o życiu, twórczości i sylwetce profesora Jewhena Barana

Literatura jest jedna. To dziedzina sztuki wyrażonej, w której istotą jest sensowne dzieło słowne, a esencją bywa snuta opowieść. Oczywiście zasadniczo mam tu na myśli literaturę piękną, a pod hasłem opowieści pojmuję również potęgę i siłę poezji (jako indywidualnie egzystującego wiersza) w jego całokształcie znaczeniowo-przekazowym z całym dobrodziejstwem zawitości użytego języka i jego współczesnej percepcji. Sądzę, że każdy wiersz to też swojego rodzaju opowieść. Po cóż przywołuję teraz ten literacki monumentalizm pojęciowy?

Otóż chciałem razem z Wami poświęcić pewien jubileusz literacki ważnej (jeśli nie najważniejszej) postaci literackiej współczesnej Ukrainy w osobie badacza, krytyka i eseisty, profesora **Jewhena Barana**, zaprzyjaźnionego z Polską zasłużonego już bardzo dla literatury naukowej ukraińskiego, którego spojrzenia i wizje ukształtują na lata ukraińskie widzenie świata z perspektywy literackiej. Sądzę, że nie muszę Was przekonywać jaką wagę ma taka perspektywa widzenia świata zwłaszcza dla kształtowania mentalności przyszłych pokoleń ukraińskich elit, ich spojrzenia na najbliższe narodowe sąsiedztwo oraz generalnie przyszłość rozumianą jako przyszłość właśnie relacji naszych dwóch narodów o ich dosyć skomplikowanej historii.

Jewhen Baran zasadniczo postawił sobie za cel budowanie wielu mostów pomiędzy literacką Polską, a literacką Ukrainą. Ma też moim zdaniem inny cel, a celem tym jest niestanne kształtowanie tożsamości, świadomości i spójności narodowej naszych sąsiadów. Patrząc na te dwa cele z perspektyw przyszłości właśnie nietrudno o sianie ziaren optymizmu, co do polsko-ukraińskiego porozumienia mentalno-duchowego, pomimo dość trudnej, problematycznej i skomplikowanej historii naszych XX wiecznych relacji czy wręcz brutalnej wrogości.

Tamto to już przeszłość, a nie da się nic zbudować nie zamykając na zawsze wszelkich wczorajskich urazów w sarkofagu rozważnego obustronnego wybaczenia i wytwarzanie sensownych i wspólnych wizji przyszłości dla twórców z obydwu krajów. I profesor Baran jest właśnie najważniejszą osobą wykonawczą tych wizji i koncepcji, koncentrując się na ciągłym poszukiwaniu prawdy w swych badaniach literackich, na odnajdywaniu piękna absolutnego w wymiarach duchowości współczesnych dzieł literackich i wreszcie na budowaniu dobrej atmosfery do tych badań uznając za podstawę życia literackiego siłę wzajemnej komunikacji, przekładu i tłumaczeń wzajemnych, polsko-ukraińskich naszych twórców (i to bardzo różnorodnych) dla kształtowania walorów poznawczych dla przeciętnego mieszkańca czy to Polski czy Ukrainy. Kiedy się dobrze poznamy to zapewne się i polubimy, a wydarzenia na świecie jakoś tak się kształtują, że chyba niejako na siebie wzajemnie jesteśmy skazani.

Jewhen Baran urodził się 23 maja 1961 i za kilka dni będzie obchodził 60te urodziny, które to właśnie niniejszym skłaniają do pewnych refleksji i podsumowań. Tytaniczność pracowitości naszego przyjaciela wchodzącego w przyszłowy wiek mędrców znajduje od strony faktów i osiągnięć publicystycznych na międzynarodowej Wikipedii:

[https://uk.wikipedia.org/wiki/Баран\\_Євген\\_Михайлович](https://uk.wikipedia.org/wiki/Баран_Євген_Михайлович)

Tam właśnie znajdziecie szczegółowy wy-

kaz Jego osiągnięć i publikacji, których przecież przywoływanie tu byłoby nużące. Ja ze swej strony bardziej chciałem Wam przybliżyć sylwetkę tego badacza jako przyjaciela Polski i Polaków, jako kreatywnego twórcy i artysty w swoim krytyczno-literackim fachu oraz jako człowieka wielkiego serca, dzięki któremu możemy z nadzieją spoglądać w polsko-ukraińską przyszłość, a i przyszłość samej literatury również.

O Jewhenie Baranie na Ukrainie jest obecnie bardzo głośno. O Jego śmiałych esejach, o tekstach nowatorskich, uniwersalnych i otwartych na świat i odmienności, a jednocześnie ważnych dla kultury i sztuki Ukrainy, dla jej narodotwórczej esencji i dla scalania świadomościowego odbiorców i czytelników w jeden zwarty organizm ciągnący coraz bliżej nas i Europy i coraz bliżej świata i wartości Zachodnich (które Zachód o ironio dziś trwoni na potęgę), a które przecież razem nadal wyznajemy. To są bowiem wartości uniwersalne, ponadnarodowe i ponadczasowe, wartości bez uprzedzeń, bez zbędnych szufladkowań, bez kategoryzacji tak zwanej „wybitności” i z jakże szeroką perspektywą.

Profesor Baran silnie zanurza się w badanie i analizę literacką współczesności, twórców nowych, nieznanych, stara się wyważyć środek ciężkości tradycji literackiej, z nowinkami, nowatorstwem i poszukiwaniami nowego wyrazu w tym nieustającym dochodzeniu do pisarskiej prawdy. To Go chyba zajmuje najmocniej. Prawda obiektywna o pisarzu, jego czasie, duchu tegoż czasu oraz wymiarze tego czasu w całym szeroko pojętym kontekście, drugim dnie spraw i z negacją patologii w postaci choćby cynizmu władzy i jej obecnego pseudojęzyka. Baran zatem nie tylko pisze o pisarzach, poetach i literaturze, nie tylko bada, szuka, pracuje, ale dorobił się już tekstów o sobie – o swojej aktywności, o swoich postawach, poglądach, wizjach spraw i rzeczywistości. Słowem wiele też robi dla roli i znaczenia krytyki literackiej jako takiej, do zrozumienia przez współczesnych mu ludzi, czytelników i odbiorców, że krytyk literacki z pasją, misją i talentem pisarskim jednak jest im do szczęścia ... po prostu potrzebny, żeby nie powiedzieć niezbędny.

Jewhena poznałem dziesięć lat temu. Przepagowaliśmy literaturę uczestnicząc w różnych galicyjskich spotkaniach literackich z młodzieżą nawet niewielkich miejscowości. Zrozumieliśmy, że na współczesną rzeczywistość patrzymy bardzo podobnie, a właściwie tak samo.

Postać krytyka, jak wszystko na świecie, ulega swojego rodzaju przemianom. Może nieznacznie mniej niż literatura, gdyż niektóre elementy życia twórczego muszą pozostać niezmiennie, aby sztuka nie straciła całkowicie swego społecznego i psychologicznego znaczenia. Jewhen w jednym ze swoich esejów czyni bardzo precyzyjną uwagę: „Żeby uniknąć chaosu we własnej duszy, trzeba w niej pielęgnować wiele świętości” Trzeba to robić wbrew światu, który chce nas wyprzeć, zutilizować, skasować wręcz z przestrzeni istotnej i ważnej. Chce on (ten świat współczesny) dumną literaturę odsunąć i upokorzyć. I tutaj widzimy obaj pole do popisu dla współczesne-

go krytyka – nie lans, nie oryginalność na siłę, albo na wyszukiwaniu „idealnego talentu”, czy na wymyśleniu „nowości na siłę”, ale pełna, jawna, odważna krytyka czasów, krytyka tej złowieszczej próby przemienienia roli literatury jako koła podpierającego inne narzędzia do wciskania masom czystej rozrywki w miejsce uczuć, emocji, przeżyć i myślenia... Mamy na myśli przeżycia tylko i wyłącznie powiązane z myśleniem i wyobraźnią – w odróżnieniu od mediów działających na tanich i najniższych instynktach, emocjach i obrazkowej tautologii wyznawania prostych (wręcz prostackich) haseł...

Chyba warto to choć przemyśleć. Czyż taka rola współczesnego krytyka nie jest choć szansą wskrzeszenia jego znaczenia i roli? Ja tego nie rozstrzygnę, jedynie pytam, głośno się zastanawiam, rozważam. Wręcz choćby z naszym jubilatą, utalentowanym i nagradzanym krytykiem literackim i eseistą profesorem Jewhenem Baranem.

Może właśnie doszliśmy do meritum zarówno naszych egzystencji, jak i kumulacji sensu tego mojego nieśmiałego eseiku połączonego jednocześnie z życzliwą laudacją dla Solenizanta i tekstem refleksyjnym nad współczesnością. Otóż co nam zostało z upokorzonej literatury?

Wcale niemało. Zostało uświęcone poczucie, że literatura jest nieodłączną szkołą pielęgnowania zmysłów, kreowania wiedzy poznawczej, umiejętności coraz rozumiejszego pojmowania świata i tego zaczyna dziś katastrofalnie brakować. Bez wyrafinowanej fikcji literackiej nie da się opanować pojęcia kultury i samego swobodnego myślenia oraz doskonałości różnych form ekspresji w sztuce. Współcześni złotości niczego nikogo nie nauczą. Pobędą przez chwilę, pobefkoczą i odejdą zostawiając po sobie pustkę. Mamy wybór: dobry krytyk, eseista ..., albo hordy barbarzyńców. I nawet jeśli oni póki co wybiorą barbarzyńców, to tendencja wkrótce może się odmienić. Kiedy nieświadoma ręka (rynek i bezcelnego człowieka) znajdzie się ... znów w nocniku.

Choć... nie życzy tego sobie. Życmy sobie jeszcze wielu lat pracy twórczej, siły, nowych pomysłów, wiary w poszukiwania, nadziei odnajdywania i miłości (pokory?) zadawanych pytań. A może i cechy najważniejszej – skromności. Baran kiedyś odpowiedział: „Nie jestem dobrym krytykiem, jestem uczciwy”. Taka prostolinijność skromności potrafi zjednoczyć i wciąż od nowa zacząć wykonywać tę syzyfową pracę z sokratejskim zacięciem... znów cytując Jewhena Barana, że to jest: „mój grzech, mój chleb, mój krzyż”... Czyż nie jest to wart namudlowania współczesny, ostatni ukraiński romantryk krytyki literackiej zadający swoje milczące pytania ... do (nowych i znów) zniewolonych umysłów?...

Pozostańcie Moi Drodzy z tym pytaniem. Jewhen – Drogi Solenizancie – Sto lat

ANDRZEJ WALTER

ps.: Jewhen Baran jest autorem książki wydanej w roku 2011 „Milczenie pytań”. Książki ważnej, odważnej i uznanej na Ukrainie za pozycję wybitną

Andrzej Walter

# Ja, Faust, Dorian Gray, wcielenie chwili

(polemika do tekstu Andrzeja Gronczewskiego  
„Chwila faustyczna” z 10 VIII 2021)

Mysłąc o chwili trzeba zacząć bodaj od cytatu, na którego barkach postawił ów tekst Andrzej Gronczewski, a cytata to z poezji Autora bardzo zacnego, mało powiedziec mistrza, mało powiedziec poety wybitnego, cytata to wręcz idealny, z niebiańskich, niezrozumiałych tak jakby darowany... właśnie: słowo – darowany, darowany nam mimochodem przez niejakiego Czesława Miłosza, ale sza, owo autorstwo, czasem dar wszechczyny, spójrzmy na zawartość, która niejednego dziś powali... no właśnie, a może jednak nie powali. Może jednak to już dziś: banalne, wyparte z serca, w kąt rzucone i masowo zdeptane. Mało pożyteczne, nieskuteczne, wymyślane wręcz...

Dzień taki szczęśliwy.

*Mgła opadła wcześniej, pracowałem w ogrodzie.*

*Kolibry przystawały nad kwiatem kapryfolium.*

*Nie było na ziemi rzeczy, którą chciałbym mieć.*

*Nie znałem nikogo, komu warto byłoby zazdrościć.*

*Co przydarzyło się złego, zapomniałem.*

*Nie wstydziłem się myśleć, że byłem, kim jestem.*

*Nie czułem w ciele żadnego bólu.*

*Prostując się, widziałem niebieskie morze i żagle.*

Nie zazdrościć, przebaczać, nie wstydzić się, wyznawać wartości, nie rozpaczać nad losem tragicznym i dzielnie zabrać krzyż swój (oj krzyż???, ech tam...) na ramiona i wtedy zobaczyć (o tak, wtedy !!! zobaczyć) ... dzień jedyny, dzień szczęśliwy.

Dzień tak szczęśliwy jak i tekst Andrzeja Gronczewskiego z poprzedniego numeru *Pisarze.pl*, tekst piękny i błyskotliwy, króciutki tekst, a jednak jakże bardzo do rzeczy, tekst lapidarny, a trafiający w sedno, ba, ujmijmy to, że w wiele sedn(...), tarcz, w samo centrum, w przystawioną „dziesiątkę”.

Skąd zatem wyczułem w nim (albo w sobie) jakiś niepokój, jakiś zgrzyt, fałszywą nutę, niepokojący tembr ducha czasów, któremu uległ i przeciwie szukać „chwili wiecznie trwającej” wielce szacowny Autor, być może przypadkiem, niesiony i wiedziony poglądem coraz powszechniejszym, coraz popularniejszym wręcz, a najwycyńniej w świecie pozbawiony po prostu dostojnej wizji absolutu, a co za tym idzie tych trzech, jakże wielkich trzech: wiary, nadziei i miłości, zgrzeszył tekstem podstawnym.

Choć miłości w tym tekście bardzo wiele. Miłości do sztuki, do losu, do natury, wreszcie do ludzi, do człowieka, do literatury... a może i do własnego wymiaru obdarzenia nietuzinkową zdolnością wypowiedzi.

Postanowiłem napisać tę polemikę z dwóch powodów. Po pierwsze z potrzeby podkreślenia wagi i znaczenia tego Miłoszewego arcydzieła zatytułowanego „Dar” (powstałego w Berkeley w 1971 roku – mój Boże, jakież to był inny świat) oraz z powodu drugiego, może o wiele ważniejszego, otóż

z powodu tego, że cały korowód myślenia będącego genezą owego cudownego eseju Gronczewskiego jest mi jakże obcy.

Zacznijmy od końca. Kondensując moją polemikę chciałbym zwrócić uwagę autorowi, że wcale nie trzeba żadnego męstwa, aby (nawiązując do *Daru* Miłosza) „uciszyć to pierwsze morze (to niby, w którym żyjemy, targane namiętnościami, burzami i szaleństwem), i doszrzec wtóre, pogodne”. Do tego wręcz trzeba się chyba męstwa wyzybyć – wystarczy wam: bojaźń Boża, pokora, skromność i głęboka wiara w rzecz oczywistą, że nic nigdy nie wydarzyło się na tym świecie, świecie który już znamy, bez przyczyny, a to niejako implikuje, że być może odcinek od A do Z, nie kończy się... na Z, że nasza logika, niekoniecznie jest logiką jedyną i oczywistą, że nasze wymiary wcale nie są ograniczone, że jest coś poza i że nasz umysł po prostu ogarnąć tego nie potrafi, nie potrafił i nigdy nie zdota.

No cóż – myślenie takie dziś nie tyle, że niemodne, niepoprawne, wstydliwe, ale jest wręcz mega-zbombardowane wszelkimi dopuszczalnymi formami, środkami i metodami ze sztuką współczesną na czele. A fe, jakże nieładnie tak myśleć. To przecież coś jakby religia – opium dla mas, przyczyna wszelkich nieszczęść tego świata i jakże pod prąd neomarksistowskiej ideologii włączanej nam nachalnie każdego dnia.

*Ufff, jak gorąco.*

*To jedno. A poza tym?*

Wyczułem w wydźwięku tego tekstu owe heglowskie ukąszenie. Być może uroczą zakamuflowane. Lekkim piórem przeniesione w przepiękny literacki sen faustowskich uniesień i akademickich rozważań, w przestrzeń elokwentną i pełną zdumień, w obszar nie-dziewiczy i nasączony naszą z pozoru nie-odwracalnością drogi ku śmierci. Ku śmierci, której nie ma, bowiem, jeśli my jesteśmy, śmierci nie ma, kiedy śmierć przychodzi nas już chyba nie ma, a może to tylko złudzenie, a prawdą jest jedynie ból.

Chcieliśmy być bogami i takimi się uczyniliśmy. Płacimy dziś za to straszliwą cenę. Wszyscy znaleźliśmy się na śmietniku historii, w naszą codzienność wkraść się technologiczny śmietnik treści, rzeczy i sieci, a w naszej duchowości tkwi ów fatalizm, dekadencja duchowości, permanentny stan bezsensu egzystencji powodujący nieokreślony hedonizm poza granice zdrowego rozsądku. Powodujący samotność, atrofie, alienację i jęk opuszczenia.

Określ nasz nie-tonięcie jak Titanic. On się roztrzaska z hukiem o skały i ze spektakularnym wyciem potępionych, którzy zagryzą się wzajemnie, a potem zjedzą – jak to poganie, kanibale i czy prawem silniejszego zwycięzca weźmie wszystko? Wszystko to, co pozostanie, ale pozostanie jedno wielkie nic...

Jednak jest w tym tekście i w jego kontekście jedno przesłanie bardzo, ale to bardzo ważne. Epokowe, ponadczasowe, trwałe do bólu i bezcenne. To **zdolność odczuwania zachwyty**. (towar dziś deficytowy)

I tutaj zgodzę się z Autorem bardzo ściśle. To podstawowa przesłanka czynienia świata lepszym, pojęcia go, zrozumienia i przełożenia na akceptację własnego losu. Nie zgodzę się jednak, że Autor delikatnie sugeruje, że zachwyty to cecha dzieci i zwierząt, a człowiek ...?

„Zachwyty wydaje mi się osobliwie cenną, surową i szlachetną próbą człowieczeństwa. Wiem, że bywa nieludzki. Że oddala nas od bogów. Że mocniej łączy ze światem zwierząt i dzieci. Że domaga się czujnych, głodnych nozdrzy i żrenic. Że kasuje ból rozstania – dzięki ofercie nowych dłoni.”

Zachwyty bywa nieludzki? Oddala nas od bogów? Jest cenną, ba – surową (???) próbą człowieczeństwa? To do tego już doszliśmy, że zachwyty, naturalna, najprostszą i najpiękniejszą z ludzkich cech stała się unikatem na skalę światową, że już tak nisko upadliśmy, iż zachwyty jest niejako wstydliwy, obciachowy, *passé* – że możemy go ujawnić bez konsekwencji jedynie jako dzieci (wiadomo, dzieciom wolno więcej), a my, jako ludzie dorodzi, dostojni, poważni i opanowani staliśmy się tak dalece wyrachowani, że zachwyty... to słabość i nie każdy może sobie na to pozwolić.

Mój Boże. Co to za świat? Czy za to odpowiedzialna jest literatura? Czy może Marks z Engelsem, a wcześniej z całym szeregiem oświeceniowych bogów ideologii wszelakiej usprawnionych dziś znudzonym unijnioeuropejskim komisarzem do spraw banana? Ach nie. Już wiem. Za to ponosi odpowiedzialność Kościół katolicki, z tymi jego zabobonami i całym tym infantylnym ukąszeniem *drogą do Damaszku* oraz ten opętany (acz inteligentny) Żyd - jeden z drugim przecież, którym, ależ obydwo, coś się pokręciło – jeden miał czelność podobno zmartwychwstać (mój Boże, cóż z brednie), a drugiemu się przywidziało, że spotkał tego pierwszego i mamy to do dziś wraz z grupką oszołomów w Watykanie...

Doprawdy nie wiem. Kto tu i kogo, ale też i w co ukąsił. Ja chyba też nie chcę mówić tu i teraz o moich grzechach z faustyczną chwilą. Romantyzm to cudowna i jakże płodna literacko epoka, która być może nazbyt mnie jakoś tam ukąsiła i dziś, kiedy widzę, słyszę, bądź czytam teksty, które z jednej strony zachwycają mnie erudycją, wiedzą i polotem, ale potem z drugiej strony uważam je za szkodliwe mentalnie, moralnie i etycznie to szczyryk mi się w kieszeni otwiera i sam sięgam po pióro.

Ponoć efektem polemiki ma być ferment intelektualny, wzniecenie niepokoju duchowego, zacząć do pokojowego i kre-

atywnego dzielenia się poglądem, podejściem i sądem, ale żyjemy w epoce, w której dopuszcza się tylko jedną poprawnie polityczną wizję rzeczywistości. I wciąż, każdego dnia podbija ten bębenek nagłośnienia. Prawda? A cóż to jest dziś prawda?

Wracając do tekstu Andrzeja Gronczewskiego i Jego chwili faustycznej warto ten tekst jeszcze raz przeczytać, albo i kilka razy zgłębić i zadumać się: nad kondycją tego świata, nad formami, które ów świat przybrał, nasz naszymi losami, wyznawanymi

wartościami, nad naszymi: wiarami, nadziejami i miłościami oraz nad tym wszystkim co jeszcze może się na tym świecie wydarzyć.

Czasami marzę już tylko o jednym, aby jak bohater wiersza Miłosza ... wyprostować się i widzieć (tylko) niebieskie morze i żagiel.

Wiem jednak na pewno. To będzie inne morze i inny żagiel niż ujrział faustycznie Andrzej Gronczewski w swojej wizji Miłoszowego

Daru. To będzie inna chwila, którą będę prosił, aby trwała wiecznie. Będę wtedy naiwny jak dziecko i bezbronny jak mój pies, który musiał odgryźć swoją smycz, aby być ze mną, bowiem spotkał na drodze swojego marnego życia takich ludzi, którym się po prostu znudził i wywieźli go do lasu, a tam przywiązali do drzewa... i w ten nieludzki sposób ci ludzie skasowali też ból rozstania, dzięki ofercie nowych dłoni... Trudno chyba o większą karykaturę „męstwa”, gdyby tak się jednak chwilę na chłodno zastanowić...

ANDRZEJ WALTER

Andrzej Walter

## Kiedy krew zamienia się w słowa

Kiedy krew zamienia się w słowa rzeczywistość staje się mniej dokładna. Powiem więcej. To „Rzeczywistość Niedokładna”.

Wtedy właśnie wydarza się ... poezja i chyba taką ona pozostaje. Niespodziewaną, nieoczekiwaną, zjawiskową w: czasie, miejscu i przestrzeni, ale jakże chcianą, poszukiwaną i oczekiwaną, jakże mocno determinującą później postrzeganie własnego świata i rzeczywistości. Swoiste eurypidejskie *Deus ex machina* tego życia wydarza się oto inaczej niż w greckiej tragedii, gdyż rozpoznaje perfekcyjnie: łagodność, dobro i empatię oraz skraca nagle dystans naszej męki w codzienności dostrzegając: ulotność chwili, manowce wyobraźni i kolory szczęścia. Potem zapisuje się to wszystko – daleko i blisko, aby leczyć słowem. Leczyć: świat, siebie i wieczność.

Taką drogę przeszedł krakowski lekarz i poeta Waldemar Andrzej Hładki. Drogę metaforyczną od Judyta do Apolla, która nigdy nie jest i nie była prosta, jednoznaczna czy oczywista. Trzeba jednak tę poezję wraz z całą dozą jej niesamowitości po prostu mieć w sobie, aby się ona zrealizowała i zaowocowała tomem dobrym, może nawet bardzo dobrym, gdyż „Rzeczywistość Niedokładna” potrafi zauroczyć, zatrzymać, zamyślić się i oczarować.

Poeta wspomina i określa nam we wstępie (jakże skromnie i łagodnie), że esencja tu zawarta to spuścizna ostatnich trzydziestu lat, a może całej jego relacji ze środowiskiem i okolicznościami, ale ja tak sobie sądzę, że estetyka liryczna tego tomu wykracza o wiele dalej i zawiera w sobie o wiele, wiele więcej. Ten tom poezji dotyka sobą bowiem samego jej jądra i eksploduje intymną ciszą wypowiedzianych słów. Pozwala na moment oderwać się od świata prostych skojarzeń, jednoznacznych odpowiedzi i łatwego zachwyty. Wkraczamy w świat wzniosły, prawdziwy i zarazem odrealniony nieoczekiwaną metaforą i przeżyciem człowieka, dla którego drugi człowiek stanowi niejako punkt wyjścia do wszelkich rozważań i wartościowań. To rzecz bezcenna dziś zarówno na niwie poezji, jak i w przestrzeni medycyny.

Godna wyważonej fascynacji antropocentryczność tej poezji uzupełnia rozpoznawalna szerokość zapisanych: przeżyć, dramatów i słów. Język jakiego używa podmiot liryczny jest niestychnie sensualny i zawiera ogromną wartość dodaną ewoluującą jakby pomiędzy słowami – w kreowanych sytuacjach, poruszonych tematyce wierszy i w wykreowanych inspirujących pointach, które doskonale domykają utwory.

„Rzeczywistość Niedokładna” świetnie się pochłania i przeżywa czytając nieraz wielokrotnie czemu dać wyraz sam mistrz i mag poezji, powiedzmy sobie otwarcie (w dzisiejszym świecie) żywa Jej legenda, sam Marek Wawrzkiwicz, który pokusił się o wyrażenie swoich kilku refleksji na temat twórczości Waldemara Andrzeja Hładkiego, co czyni nad wyraz rzadko, a dla autora jest bezcennym.

Wawrzkiwicz zwrócił nam uwagę na pewnego rodzaju nomadyczność autora, jego ekspresyjny życiowo styl, w połączeniu z ogromną dyskrecją, czy nawet subtelnością używanych metafor i słów co zaowocowało efektem takich właśnie trzydziestu niesamowitych wierszy zapraszających nas do innego wymiaru podróży – podróży do niespotykanych wnętrzy: spraw, rzeczy i wreszcie do samego siebie.

Wawrzkiwicz poszedł nawet o tyle dalej, tak daleko, że w tytule swego postawia zasugerował, iż każdy poeta to właściwie ktoś w rodzaju wędrowca, człowika ciągle poszukującego, wewnętrznie niespokojnego, czy wciąż nie zaspokojonego, gdyż właściwie taka jest jego natura jako artysty – poety stale przemierzającego się w przestrzeni nie tyle swoim ciałem (co również jest miłe), ale przemierzającego się pełnią duszy (jeśli ustalimy, że coś takiego mamy) poza wszelkie wymiary i ograniczenia. Podróż transcendentalna eksploduje w nas pod wpływem przeżyć, wrażeń i doznań i kumuluje się erupcją twórczości. Nie zawsze udaje się z tej magmy uczuć i emocji ulepić coś sensownego. Waldemarowi Hładkiemu udało się to z naddatkiem i oprócz godnego wkroczenia do Panteonu medycyny dyskretnie i z właściwym sobie taktem i kulturą nieśmiało puka do wrót kolejnej Świątyni, tym razem dumania, a jest nią Wiecznie Żywa Kraina Poezji.

Tom Waldemara Andrzeja Hładkiego „Rzeczywistość Niedokładna” to bardzo poważny krok w krainę słów. W świat poezji. Jego lektura kończy się niedosytem. W przenośni i realnie.

Sąsiaduję z kosmosem przez skórę. / Codziennie pytam o sens. / Poszukuję prawdy. / Obserwuję i słucham. / Dotykam, / wącham i smakuję. / Przeżywam. / Czuję, że brakuje mi zmysłów.

Taki jest nasz powszechny „poetycki” Epilog – czujemy, że poezja pozbawiła nas zmysłów, oddechu, policzalności. Poezja

nas oczarowała, zaraziła, ba, odmieniła, ale też powiedzmy sobie szczerze – wiedzie nas ku zatraceniu: w ból, w lęk, w cuda piękna i na szlak zwichrowanych zmysłów, bo taka jest właśnie poezja. Absorbująca, agresywna, ekspansywna i zaborcza. Tak jest cena za panteon bogów. Działa jak podstępny wirus, który już nas nigdy nie opuści.

Kończąc ten krótki tekst o twórczości znanego krakowskiego lekarza, dobrego i świetnie zapowiadającego się, fascynującego wręcz poety Waldemara Hładkiego trzeba zauważyć hold jaki złożył On tym tomem Organizacji, (z której się wywodzi, z którą się utożsamia), która wydaje się być coraz ważniejszą częścią środowiska literackiego. To rzecz jasna coraz powszechniej znana **Unia Polskich Pisarzy Lekarzy**, która zrzesza i „wypuszcza” w świat coraz ciekawsze „przypadki” zarówno prozatorskie jak i poetyckie. Ta kuźnia talentów jest warta bliższemu przyjrzeniu się oraz głębszej analizie: co takiego wydarza się w tym środowisku, że tak wielu jego wychowanków i adeptów sięga po pióro. Czy to natłok przeżyć, dramatów i emocji, czy jakiś inny zew, jeszcze nierozpoznany każe im wszystkim pisać i tworzyć? Dodajmy – ciekawie tworzyć. Zostawiam ten arcyciekawy temat Koleżankom i Kolegom. Nam wypada się tylko ogromnie cieszyć, że jesteśmy tu i teraz razem jako jedno duże i istotne artystycznie środowisko literackie i razem tworzymy coś ku przyszłości.

Rzeczywistość wtedy staje się: precyzyjna, dokładna i dobrze rozpoznana. Zostawmy bowiem rzeczywistość rzeczywistości, a poezję poezji. Istotą bytu jest właśnie owo rozpoznawanie. Rozpoznawanie i jego mała medyczna niedokładność, niedoskonałość, rozpoznawanie, w którym jest zawarta cała poetycka tajemniczość. Rozpoznawanie jako podróż. Może to właśnie ta potrzeba ucieczki od medycznej perfekcji skalpeli i trudnych cięć z realnego życia wiedzie stan lekarski na manowce wyobraźni i kieruje w ową poetyczną niedokładność, bez której nie wyobrażam sobie ani świata, ani rzeczywistości, ani życia.

ANDRZEJ WALTER

Waldemar Andrzej Hładki „Rzeczywistość Niedokładna”. Kraków, 2021. Wydawnictwo Unii Polskich Pisarzy Lekarzy. Stron 64. Oprawa twarda. ISBN 978-83-955228-5-7

Andrzej Walter

# Marek Wawrzekiewicz. Przecież wszystko się już zdarzyło

Czyżby?

Polska poezja współczesna obiera coraz szerszy wachlarz kursów na oceanie zapisanych słów. Niejednokrotnie jej język oraz percepcja nie idą w parze z jakimkolwiek rezonansem społecznym, nie stanowi też ona żadnego punktu odniesienia do klasyków królowej literatury, powstaje jakby od niechcenia, na kolanie, w półbiegu, w młodzieńczym przeciągu i w paroksyzmie postmodernistycznego lęku czy też za kulisami zagubienia.

Rarytasem jest więc kiedy dostajemy tom poety pokroju Marka Wawrzekiewicza, ikony polskiej poezji, człowieka który uczył się i czerpał w sposób żywy, realny i namacalny z obcowaniem z takimi poetami jak Broniewski, Iwaszkiewicz, Miłosz czy Gąsiorowski, Jerzyca, Śliwonik oraz setki, jeśli nie tysiące innych. Trudno dalej wyliczać te naznaczone historią literatury nazwiska. Wydaje się, iż najważniejszą sprawę tę ujął Tadeusz Różewicz w wierszu *Wrota śmierci* (2006)

„kiedy zaczynałem pisać wiersze  
jeszcze „wszyscy” żyli  
potem zaczęli odchodzić”

Kiedy Marek Wawrzekiewicz zaczynał pisać wiersze chyba wiedział to samo, co wie teraz. Poezja była, jest i zapewne pozostanie rodzajem intymnej, kameralnej rozmowy między poetą a niewielką grupą adresatów. Tym cenniejsze są więc wytrwanie i przystępnie sformułowane refleksje w dopiero co wydanym przez Adama Marszałka najnowszym tomie tego wyjątkowego poety zatytułowanym szekspirowsko „Chwila jawy”. *Życie to chwila jawy między dwoma snami*. Trudno o bardziej malowniczy i apetyczny początek...

To jakże metaforyczne motto z szekspirowskiej *Burzy* właściwie oddaje w zasadzie całokształt ducha i kontekstu tego tomu, w którym poeta usiłuje rozliczyć się zarówno z całym swym bagażem przeszłych doznań i emocji jaki i ze współczesnym światem w całej jego monotonnej i złowieszczej karykaturalności.

Jedna jakby banalna myśl przenika większość wierszy. Banalna, choć ukazana naprawdę w iście niebanalnej i świeżej, nowatorskiej formie. To po prostu miłość, miłość, uczucie szczere i nie znające wiekowych ograniczeń, miłość nie dająca się skwalifikować i ogarnąć jest tu najważniejszą odpowiedzią na wszelkie nasze pytania i rozterki. Reszta to marność, nad marnościami i powód do szyderstwa, czy choćby ironii. Marność nad marnościami w gonitwie za wszystkim innym.

Cała konstrukcja przemijalności, bez miłości, bez zachwyty, bez olśnienia z uczuciem i pasją jest niewiele warta, jest pozbawiona sensu, a wszelki sens nadaje właśnie

... miłość. Choć autor tego tomu prowadzi nas jak swojego rodzaju przedszkolaków za rękę poprzez bardzo różne krainy. Wie doskonale, że samo hasło – miłość, to z pewnej perspektywy wyświechtany frazes, to nadużyte zaklęcie, którego współczesny świat co najmniej nie rozumie, a co więcej, można śmiało powiedzieć, że nadużywa go bez ładu, składu i bez opamiętania deformując jego pierwotny sens i znaczenie. Choć nasz wielebny Autor i do tych deformacji ma stosunek cierpliwy i łagodny. Z pozycji mędrca niejako. Powiedzmy zdystansowanie wyrozumiały, tyle już przecież widział i zaznał opętań, -izmów i szaleństw, że realnym szaleństwem może być tylko zachwyty miłością, czyli czymś tutaj niedefiniowalnym, choć realnym w sensie tego co nam się przydarza, a co być potrafi najpiękniejszym elementem tej układanki.

Takie są te wiersze. Ciepłe, z dużą dawką humoru, ironii, wyrafinowanego uśmiechu, z prozatorskim rytmem snucia coraz to nowej opowieści: o życiu, o śmierci, o przemijaniu, o ludziach, o wszystkich naszych drogach, nadziejach, wiarach i wątpliwościach. Wawrzekiewicza się czyta niemal doskonale, po wielokroć można powracać w każdy zautek wiersza, w każdą metaforę, w konstrukcję słów, tak niepowtarzalnych, że tom ten jest jak ogromna przygoda literacka, jak odkrywanie nowych miejsc, lądów, kontynentów, a to wciąży tylko intymna rozmowa poety z czytelnikiem.

Ten tom mógłby być swego rodzaju wzorcem, ideałem pomostu pomiędzy poezją dawną a poezją współczesną, gdyż jego język jest nasączony do cna przeszłością, całym tym monumentalnym literackim dziedzictwem, a jednocześnie tak prosto i lekko osadzony we współczesności, w języku dzisiejszym, że tylko należy podziwiać ten lingwistyczny geniusz Autora, wierzące głąboko, że polska poezja jest jedną z najlepszych na świecie i na sobie samym chyba udawadniająca ową dosyć śmiałą tezę.

Jednym z dobrych przykładów powyższych stwierdzeń niech będzie wiersz

## Piołun

... mieliśmy złą pogodę.

Conrad

W czas nowej wiosny przeczynałem nadejście jesieni,

Może dlatego, że już zagnieździła się we mnie, a ja to

Jeszcze lekceważyłem, choć nie powinienem.

Spod ociężałych powiek patrzyłem na spadające za lasem

Rybitwy. Być może tam, za sinawą,

cienistą ścianą

Jest inne, bardziej rybne jezioro. Myślałem o tobie: niechby

Chociaż jedna rybitwa powróciła tutaj i odnalazła

Swoje gniazdo. Potem padały deszcze, a mimo to

Wysychało we mnie istnienie.

Cóż, widać są tylko dwa gatunki ptaków: przeszłe i przyszłe.

Te pierwsze zasnęły, albo umarły. O drugich nie wiemy nic –

Ani czy przylecą, ani czy w ogóle są. Ornitologzy

i psychologzy

Tego nie rozstrzygnęli. Tyle jest jeszcze niezbadanych

Sekretów zoologii i biologii. Na przykład dlaczego w tym

roku

Tak zawzięcie pleni się piołun, dlaczego pachną nim: wiatr,

Wieczne rozmowy, niejasne, ale gorzkie sny i poranne

przebudzenia.

Wszystko, co napiętnowano samotnością. Piołun

Chciałem ci powiedzieć - wyjdźmy stąd, pojedźmy tam,

gdzie

Przylatują jeszcze ptaki, gdzie mgły są miękkie i ciepłe. Może

Moglibyśmy zamieszkać między pachnącymi sosnami,

Pod niebem, które zawsze wspina się, a nigdy nie opada.

Tam, gdzie słowa znaczą tylko tyle, ile znaczą, a o uczuciach

Nie mów się, bo są. Jak sprząty – własne i oswojone.

Chciałem ci to powiedzieć. Ale spostrzegłem,

Że cię nie ma. I tak już pozostało,

Jest tylko piołun.

Wawrzekiewicz w swojej poezji niemal zapiera dech w piersiach. Kreśli obrazy prawie impresjonistyczne, w których właściwie sam kreuje światło, aby je potem zamknąć i uchwycone odtworzyć na swój własny, intymny, ukryty i nowatorski sposób. W efekcie otrzymujemy obraz nietuzinkowy, efektowny, acz dyskretnie pastelowy. Jednocześnie olśniewający. Obraz tak charakterystyczny, że czytając inne wiersze poety staje się niemal rozpoznawalny, właśnie poprzez swój styl wykwinnego, nieco starodawnego języ-

ka, a zarazem kreując własną wersję łagodnej, subtelnej i pokornej odmiany poezji, bez fanfar, bez przesady, przerysowań i zbytnej ostrości. Poezja Wawrzkievicz bowiem żyje siłą nieostrości, potęgą zmiękczenia, dyfuzji, natężenia się światła jak w fotografii dzięki użyciu filtra rozpraszającego światło, skłaniającego nie tylko do myślenia, ale i do przeżycia, odczucia, do realnej, podskórnej mistyki – tekstu, miejsca akcji, detalu, chwili. To arcy mistrzostwo wiersza i jego dzisiejszej formy.

Wawrzkievicz jednak nie szarżuje w żadnym momencie. Poraża skromnością. Dyskretnie nas prowadzi przez tę swoją krainę, którą wszyscy umownie nazwalibyśmy poezją. Jest niedostępny, oddalony, niejasny. Jest kwintesencją poezji, napisanej jakby prozą, ale z pewnością nie jest to proza logicznego następstwa przyczynowo-skutkowego. Jest to współczesna poezja najwyższych lotów, która koncentruje w sobie zarówno snucie opowieści, pełnię nowoczesnie użytych metafor wraz z tym czymś, co sprawia, że tekst staje się poezją właśnie.

Każdy wiersz to nowy obraz. Czasem zabawny, czasem gorzki, czasem do bólu prawdziwy w poglądzie na to, co dzieje się aktualnie za oknem. Cóż jest jednak na tyle zajmująca, że na wiersze tego poety wciąż się czeka, wiedząc, że czeka się na znakomite wiersze, z wieloma warstwami płaszczyzn do refleksji, namysłu, zastanowienia, czy choćby nostalgii i w pewnym sensie potwierdzenia własnych przeżyć czy obserwacji. Ludzie, którzy raz poznali i zasmakowali poezji Wawrzkievicza są już i pozostaną na zawsze pod jej wpływem. To duży sukces tego Autora. Sukces w kontek-

ście całego życia i Jego jakże bogatego dorobku literackiego.

Rozstańmy się na chwilę z tym poetą nieco innym wierszem, który uznałem za niestety malarski i pobudzający wyobraźnię.

## Śniąc

Jeśli wszystko jest snem, to kto mnie śni?

I czym jestem w tamtym śnie –  
Podmucha wiatru, mrówką, liściem?

Wszystko się pomieszało: miłość, gorzycz,  
Dziś i niesprawiedliwość, jutro, jeśli będzie,  
Z mglistą pogodą, z cudzym snem  
Śnionym o wczesnym świcie  
We śnie i o śnie. Nie sposób tego pojąć.

Nikt nie rozumie snów, a tym bardziej śniący.

Nie możemy zaprzeczyć snom  
I obudzić się – skoro wszystko jest snem.

Wawrzkievicz tylko potwierdza tym totem swoją nadal wysoką poetycką formę. Być może jako jeden z nielicznych już dziś XX wiecznych poetów polskich może z czy-

stym sumieniem powiedzieć za Tadeuszem Różewiczem:

mój najlepszy wiersz  
nie został jeszcze napisany

brzmi to jak obietnica  
i pogróżka pod adresem  
warszawskich poetów

mogę ich jednak pocieszyć  
że mój najgorszy wiersz  
też nie został napisany

Może taką żartobliwą i przewrotną pointą zakończymy rozważanie nad wawrzkieviczowską ogromną poezją, na którą wciąż czekamy w następnych i kolejnych odstonach, ale wiemy też, że Autor jednak permanentnie i intensywnie działa, pracuje i ani myśli stawiać żadnych ostatecznych kropek. Tak, kochany Mareczku, nie oszczędzaj ... (!) jak mistrz Tadeusz na kropkach, przecinkach i innych znakach. Nie szukaj przystanków. Niech wszelkie znaki na ziemi i niebie ćwierkają o Twoich nowych, coraz doskonalszych tomach... jako te ptaki przyszłe, o których nic nie wiemy... Jako drogowskazy dla nas, poetów młodych, których mógłbyś, było, nie było, wiele jeszcze nauczyć.

ANDRZEJ WALTER

Marek Wawrzkievicz „Chwila jawy”. Wydawnictwo Adam Marszałek Development & Press, Toruń 2021. Stron 76, okładka miękka. ISBN 978-83-66624-30-6

Andrzej Walter

## Opowieść niekompletna

Najgorzej kiedy opowieść kończy się źle. Kiedy fatalistycznie dogasa w: rozgorzyczeniu, w nostalgii, w poczuciu porażki, w osamotnieniu, w gorzkim wyrazie niespełnienia. Kiedy kończy się twardym ładowaniem w realiach skonfrontowanych z mitem, który zapożyczył wyobraźnię i popchnął do wejścia drogą realizacji marzeń. Przeczytałem właśnie taką powieść. Powieść genialną, powieść prawdziwą i powieść bardzo prostą w swej nad-idealnej prostocie zrelacjonowania szalonego roku życia.

Historia ta jest banalna, najzwyczajniejsza ze zwyczajnych, a jednak jest w niej coś, co magnetycznie nie pozwalało mi przerwać lektury. To wyrefinowane poczucie humoru, nieco ostentacyjnie wyspiariska i ksenofobiczna obserwacja wydarzeń oraz wrząca warstwa prawdy o ludzkich relacjach, o tym na czym one powinny polegać, na czy się opierać i jak się je buduje: w miłości, w dobroci, szczerości i dojściu do prawdziwej przyjaźni.

Dario Ciriello nie jest pisarzem. Jest Anglikiem (chyba pochodzenia włoskiego), ale to sugestia niepewna, a tak w ogóle o autorze więcej się dowiemy z książki niż z jakichkolwiek potencjalnie dostępnych biogramów. To amator w czystej postaci, który siadł i napisał świetną książkę, po przeżyciu „świątecznych” przygód, a polegały one na decyzji szalonej, zwariowanej i można by powiedzieć językiem współczesności – na decyzji totalnej, wydawa-

łoby się nieodwracalnej i arcy-stanowczej: amerykańskie małżeństwo (bo Dario opuścił Wielką Brytanię i ożeniwszy się osiedlił się potem za Oceanem) sprzedaje wszystko i stawiając swój los na jedną kartę przenosi się do Grecji, na wyspę Skopelos, Archipelag Sporady, ni mniej ni więcej, uroczą wysepkę, która zastąpiła w świecie z realizacji na niej słynnego musicalu Mamma Mia opartego na muzyce szwedzkiej supergrupy ABBA. (realizacja filmu nota bene pojawia się na kartach tej powieści, gdzieś tam w tle, choć rodzi wiele zabawnych wydarzeń)...

Dlaczego zajmuję się, wydawałoby się drugorzędą literaturą w naszym czasopiśmie o ambicjach wnikania w literaturę piękną? Odpowiem krótko: ta książka była piękna: była piękną przygodą, dotykała ludzi, spraw i miejsc, którzy nigdy nie byli i nie są mi obojętni i powiedzmy otwarcie: została napisana i przetłumaczona po prostu po mistrzowsku. Właściwie czytając „Egejskie marzenie” w trudnym dla siebie okresie (zakreću życia) tę powieść, miałem swego rodzaju wspomnieniowe deja vu dzieciństwa, kiedy w podobny sposób i z podobnymi emocjami towarzyszącymi mi wtedy czytałem hen dawno temu „Dzieci z Bullerbyn” Astrid Lindgren. Podobny klimat, zbliżona narracja, nawet atmosfera i pewna niezatarta i obnażona prawda o dzisiejszym świecie – świecie pełnym hipokryzji, biurokracji, absurdów,

świecie coraz większego szaleństwa i niemożności spełnienia.

Ktoś tu powie, przecież to oczywiste biorąc pod uwagę mentalność ludzi zachodu, w kontraście skonfrontowane z greckim podejściem: co mas zrobić dziś, zrób jutro. Taka ocena byłaby zbyt prosta. Dario potrafił z tej powieści wycisnąć o wiele więcej. Dotarł do jądra zła i sedna ciemności. Obnażył mechanizm, nie ludzi. Choć ludzi też ocenił wydaje się bardzo sprawiedliwie. Misternie obmyślony przez trochę marzycielskie podejście pewnego małżeństwa amerykańki i brytyczyka – owoc uporządkowanego świata dojrzałych postprotestanckich społeczeństw Zachodu w kontrze do arcygreckości autochtonów na zapadłej greckiej prowincji. Ta książka lepiej tłumaczy ostatni kryzys z Grecją w tle niż najlepsi dziennikarze o ukierunkowaniu: ekonomicznym, politycznym i wiedzy uniwersalnej, czy erudycji w połączeniu z analityką i syntetyką oceny świata wokoło. Ta książka pokazuje jak się kończą i rozpadają marzenia, a przez to jest opowieścią uniwersalną, genialną w swej prostocie i ważną z punktu widzenia zarówno poznawczego jak i literacko-przygodowego, co jest podwaliną czytając dobrej powieści – po prostu mieć o czym opowiedzieć i uczynić to dobrze. O! cała sztuka. Sztuka, która niejednokrotnie nie udaje się nawet przeszłym noblistom.

ANDRZEJ WALTER

Andrzej Walter

Każdego ranka budzimy się  
w milczeniu.  
Andrzej Dębkowski

# Kultura wskazująca na spójność

Każdego ranka dowiadujemy się, że nasze ministerstwo braku kultury, za kulturę uważa groteskowego rapera, albo niskich lotów kabaret (z kabaretu), bądź też innego autoramentu szarpidruta obdarowując go na przykład dwumilionowym wsparciem z Funduszu Wsparcia świadcząc jednocześnie dobitnie, że pewni decydenci tegoż wspierania nadal przebywają na odległej umysłowej kwarantannie i najprawdopodobniej nieprędko z niej wyjdą.

Każdego ranka zastanawiamy się kto dzieli te środki. Jakież to algorytm układów, albo choć korowód przyczyn stoi za tym przyznawaniem publicznych środków na wszelkie te: chaty, chłamy i wodotryski kiczu przemieszanego z intelektualną próżnią? Zachodzimy w głowę kto o zdrowych zmysłach przyznałby tak kolosalne pieniądze pseudoartystom wylansowanym gdzieś na obrzeżach rzeczywistości, acz dobrze zakorzenionych na medialnych salonach i ministerialnych korytarzach.

Opadają nam: ręce, skrzydła i pozostałe członki. Obojętniejemy, aby w końcu budzić się w milczącym buncie wobec tak pojmowanej kultury narodowej, w której miesza się bezpłodność z wartościami, szmirę z pozycjami wysokich lotów i hucpę z przedsięwzięciami godnymi tego miana. Z jednego worka wyciąga się losowo przeróżne króliki zamieniając je: a to w węże, a to w ptaki, a to w jelenie. Biega to to potem po świecie, zamiast realizować przedsięwzięcia i rozliczać owe wsparcia i ochoczo dzieli się wynurzeniami z dziennikarzami różnych fermentów jak to śmiejąc się z nas nabywa luksusowe samochody i wieści świata (w swej piramidalnej głupocie), że jest ustawione „do końca życia”. Natomiast my zastanawiamy się tymczasem jak przeżyć do 1-go, jak wydawać kolejne numery pism, skąd optać informatyka, jak podziękować wielu ludziom piszącym faktycznie rzeczy: mądre, istotne i ważne dla współczesnych odbiorców kultury. Retoryczne pytania nie łagodzą obyczajów. Prowadzą nas raczej w krainę absurdu, którego źródła upatruję we wpuszczeniu tych barbarzyńców na salony i pozwoleniu im na piastowanie tych funkcji ludowych komisarzy ds. kultury, o której ci ludzie nie mają najmniejszego

pojęcia, a co więcej nawet nie czują co się od czego i czym różni.

Jest to, przynajmniej sami, całkowicie upadek: zdrowego rozsądku, katastrofa rozważliwego smaku, elegancji, gustów i obyczajów. Za nasze podatkowe pieniądze kręci się nikomu niepotrzebne filmy, wspiera kulturalnych darmozjadów, dofinansowuje artystycznych blagierów i rozkręca jarmark próżności wszelakich zer podnoszonych do potęgi, co jednak finalnie daje jedno ogromne zero tak kreowanej rzeczywistości. Pisałmy już o tym wielokrotnie. Tak, wiem. Nic nie dają te nasze głosy: oburzenia, zniesmaczenia i wyrazu wstrętu zmieszanego z pogardą. Frustrujemy się więc sobie sami, a muzom i papier jest nadal jakże cierpliwy i znosi dzielnie te nasze lamenty z cierpliwością godną pozazdroszczenia i lepszej sprawy.

Ja jednak wierzę w moc słowa, w siłę słów, w potęgę przez nie kształtowanej świadomości i za grzech zaniechania uznałbym milczące przyzwolenie na temu podobny bardak czyniony w Ministerstwie (braku) Kultury. Przy czym słowo „braku” jest tu nieco dyskusyjne, gdyż kultura to jest, a jakże, tyle że jest to kultura brukowa, masowa, kultura wręcz rynsztokowa: ordynarna i wulgarna, oszpecona pustostowiem i agresją wobec niby mieszczańskiego ciepłka, które tu reprezentujemy.

Naprzeciw naszym biadoleniom strona ministerialna wyciąga sążnistą argumentację, że dała temu i tamtemu, że ponad 400 podmiotów otrzymało i z pewnością wśród nich są wielcy, więksi i najwięksi, oraz że to panteon. No cóż i w crème de la crème może się przytrafić łupina orzecha, na której złamaliśmy ząb. Jakoś dziwnym trafem złamaliśmy już większość zębów, a epopeja relegowania kultury ciągnie się nieprzerwanie od początku trudnych lat dziewięćdziesiątych aż do dziś i nie widać, aby jakiegokolwiek podejmowane działania nie były jedynie grą pozorów, hipokryzją propagandy czy mydleniem nam oczu.

Inni powiedzą, że te procesy (upadku kultury) są większe i toczą się nawet poza

nami. To między innymi szaleństwo kapitalizmu wraz z powszechnym językiem reklamy rozwodniły języki i umysły, szaleństwo reform edukacji wraz ciągłym jej niedofinansowaniem rozlały całe zastępy nowych niedouczonych warstw społecznych, szaleństwo postępu różnorodności rozrywki zniwelowało sztukę najwyższą do rangi przeżytku i ramoty – zbędnej, niepotrzebnej, zbyt trudnej. Być może. Dlaczego jednak my wciąż żyjemy i odbijamy się od murów, ścian i barier, a ta stonka ziemniaczana mnoży się na potęgę rzeczywistości? Może trzeba nas było dużo wcześniej i brutalnie wyeliminować z tej gry o dusze ludzkie, martwe już przecież dusze i złożyć nas do krypty unicestwienia przeżytku bądź też umieścić w sarkofagu muzealnym i za pancerną szybą dać napis – dinozaury, wyginęły śmiercią naturalną?

Tego nie wiemy i się już nie dowiemy. Możemy sobie jedynie przeczytać, tu i ówdzie, jak wsparty ministerialnie bufon kpi sobie dziś z nas w żywe oczy i naśmiewa się przy okazji z frajerów, którzy ... „ustawili go do końca życia”... Ci frajerzy, dobrofliwe leśne dziadki mrozy z ministerialnych zautków, są jednocześnie dla nas: okrutni, bezwzględni i każdego dnia budzimy się z odmowami: wsparć, dotacji, pomocy jakiegokolwiek – nawet tej najdrobniejszej. O! taka współczesna sprawiedliwość. Prawo już ponoć mamy. Oj tak, mamy prawo umrzeć. Zaniknąć i zniknąć i przestać pluć jadem na ten nowy wspaniały świat pełen uciechy i rechołu. A kiedy przyjdzie podsumować ten rok możemy sobie zaśpiewać wraz ze ... Stawomirem jego wyrefinowaną piosenkę:

Miłość, miłość w Zakopanem  
Polewamy się szampanem  
Rycerzem jestem ja, a ty królową nocy  
Miłość żarzy w twoje oczy  
Rozpędzona jak motocykl

Następnego dnia na kacu wzniosę ku Wam toast najtańszym kefirkiem i pocieszę Was – przyszły rok nie będzie lepszy. Życie zdrowo i nie dajcie się ☺

ANDRZEJ WALTER



Wojśław Brydak



# Nic już nie będzie takie samo

Mysłąc o przyszłości nasza wyobraźnia ogranicza się do tworzenia scenariuszy wedle zaczerpniętych doświadczeń, przeczytanych książek czy znanych nam rozważań naukowców. Niestety nadchodzą ku nam czasy, w których będziemy musieli zweryfikować i poszerzyć swoje horyzonty do rozwiązań niemal spoza naszej wyobraźni. Nadchodzą bowiem czasy, kiedy znany nam świat przestanie w zasadzie istnieć w wymiarze tak dalece nam nieprawdopodobnym, że raczej przekroczy to ową ukształtowaną i względnie statą wyobraźnię, przeddefiniuje całą naszą mentalność, hierarchię potrzeb i tak zwaną poglądy.

Maria Chilicka z Bydgoszczy jest jedną z autorek, która w dosyć przystępnej formie przybliży nam wizję przyszłości na podstawie dość wnikliwej analizy sztucznej inteligencji, której technologii już są wprowadzane w życie i testowane na nas dosyć powszechnie, a implikacje tych prób oraz ich bardziej bądź mniej jawne użycie przez współczesne nam korporacje takie jak choćby Google czy Microsoft nawet obecnie wpływają już masowo na naszą rzeczywistość. Warto zatem przeczytać i zapoznać się dokładnie z treścią jej książki sprzed dwóch lat zatytułowanej „Sztuczna Inteligencja”.

Wszystkie te prognozy mamy praktycznie na wyciągnięcie ręki, a ich konsekwencje mogą de facto zmienić wszystko. Po prostu nic nie będzie już takie samo. Zauważmy też, że suma naszych COVID-owych doświadczeń ostatniego czasu może być w świetle owych eksperymentów społecznych uznana za swego rodzaju test na ludzkość.

Książka nie jest przetadowana treścią. Jest może nawet lapidarna do bólu, a przy tym napisana z właściwą werwą, logicznie interpretuje wszelkie fakty i wciąga literacko na tyle, że można ją wchłonąć natychmiastowo, no, powiedzmy w dwa wieczory. Ta lektura nie jest jednak aż tak bardzo przyjemna (pomijając aspekt literacki). Ciarki przechodzą po plecach, kiedy uświadomimy sobie obraz świata zdominowanego przez te nowe technologie i mogące być kontrolowanym przez odpowiednie służby, jakby żywcem zaczerpnięte z lektury powieści Orwella lub Huxleya. Ta lektura jest jednak nasycona ogromną wartością poznawczą i powiedzmy sobie otwarcie – ostrzegawczą, choć obawiam się, że owej fali niesionej siłą potęgi zysku jako kategorii sprawczej wprowadzania tych komputerowych (inteligentnych) rozwiązań nie zatrzymamy w żaden sposób. Jedyne co nam tu pozostaje to mieć zwyczajnie świadomość dokąd zmierzamy, a ta książka dalece nam to umożliwiała.

Jakie zatem konsekwencje nas czekają? Otóż w skrócie, będzie to coś co już dziś możemy śmiało nazwać **kapitalizmem inwigilacyjnym**, częściowo made in China, częściowo made in USA, ale generalnie będzie to świat, w którym zniknie co najmniej połowa zawodów, a w konsekwencji ludzkość stanie się zbędnym balastem. Praca będzie przywilejem, a większość jej wykonają maszyny uradowane uczącym się algorytmem, a my ... no cóż, możemy przez to stać się nieco zbędni.

Jakie genialne czasy i miejsce na poezję?

Tyle, że będzie to trochę inna poezja. Pełna bólu i rozterki emocjonalno-duchowej, pełna lęku i depresji, a może nawet swojego rodzaju dekadencji, nie wiem...? Może będzie to punkt wyjścia do kolejnego przededefiniowania relacji człowiek – maszyna, który to już raz w historii inspirującej literacko, ale tym razem w rzeczywistości nie do końca umożliwiającej swobodną wypowiedź... i tutaj dochodzimy do sedna spraw, a mianowicie, do problemu określenia od nowa (w takim świecie) realiów i sensu naszej wolności...

Świetnie ów problem uwypuklił nam Adam Zagajewski w swojej książce „Substancja nieuporządkowana”.

„Wolność tkwi w otwartych nożycach podejmowanych przez nas wyborów. A sztuka pomaga nam w utrzymaniu tej wolności. Jej nieuporządkowana substancja daje nam energię, jak szpampanie przenosi nas na wyższe piętro życia” – mówi poeta, autor wydanych pod tym samym tytułem esejów. Rozważania o sztuce i wolności moglibyśmy pociągnąć w nieskończoność. Już wiemy, że jak mawiał Bergson, wolności nie da się zdefiniować i czy się w tym zgadzamy, czy też nie, warto powrócić na łamy nietuzinkowej książki Marii Chilickiej.

Czy powinniśmy już zacząć się bać?

Z tym pytaniem Was pozostawię, ba, z tym pytaniem pozostaniecie sami sobie po intrygującej lekturze „Sztucznej inteligencji” Marii Chilickiej, bydgoskiej autorki. Sądzę, że współczesność, w której otoczyliśmy się światem wirtualnym w sensie daleko wykraczającym poza normalne ramy i proporcje z życiem, już teraz, mocno zaburza naszą: duchowość, percepcję i wyobraźnię. Wpływa to na nasze wybory, później wedle algorytmu samouczącego się podsuwając nam konkretne rozwiązania zakupowe, decyzyjne i dotyczące konkretnych działań, które czasami świadomie, a czasami nie podejmujemy, aby zrealizować dopiero co wykreowaną potrzebę. Jesteśmy podstuchiwani, inwigilowani, śledzeni, a co najistotniejsze (gdzieś tam, pomiędzy wierszami, drobnym drukiem) sami wyraziliśmy na to zgodę.

To znamienne, że sieć steruje już naszymi poczynaniami – tam przecież przenosiło się niemal wszystko. Nawet zwyczajowe zaproszenia na wieczory autorskie ogłasza się i promuje publikując na portalach, a maile zapraszające rozsyła się elektronicznie. Cóż powiedzieć o zakupach, które coraz śmielej również przenoszą się na Allegro i inne sklepy internetowe również zaopatrzone niemal we wszystko... Owo wszystko, słowo klucz - doskonała wydawałoby się totalność i masowość, to chyba właśnie droga do tego ubezwłasnowolnienia. Skrajny dobrostan dobrobytu i możliwości personalizacji każdego elementu tożsamości...

Na razie korporacje usiłują sprostać logistyce załadka takiego właśnie, sztucznie-inteligentnego świata, jednak coraz szybciej sobie z nim radzą. Nasza potrzeba błyskawiczności znajduje nowe możliwości technologiczne i generuje zysk. Machina świata się domyka i popędza nas w dalece nieznane, acz przerażające rejony coraz to wymyślniejszych rozwiązań i technologii zaspokajania choćby i zachcianek... Co potem? Potem trzeba zapamiętywać: loginy, hasła, kanały dostępu i odciski palca. Szafujemy swoimi danymi, a te pozwalają Im (?) na nową jeszcze nienazwaną ich analizę, z której Bóg wie co wyniknie...

Człowiek chyba w takim świecie przestaje być podmiotem, a staje się przedmiotem. W zasadzie sam siebie uprzedmiotawia. Przeczy swemu duchowi, swojej naturze, zaczyna sam działać jak maszyna. Od takiego świata już krok do klonowania i całkowitego zamglenia własnej tożsamości. Pisarzy i poetów się nie słucha, raczej traktuje ich jako nieco zabawnych trubadurów wieczności, w którą przestało się przecież już dawno wierzyć.

ANDRZEJ WALTER

Maria Chilicka „Sztuczna inteligencja”. Wydawnictwo Pisarzy i Artystów TEMAT. Bydgoszcz 2020. Stron 98. ISBN 978-83-65150-01-1

Adam Zagajewski „Substancja uporządkowana”. Wydawnictwo ZNAK. Kraków 2019. Stron 208. ISBN 978-83-240-5869-3



Wojśław Brydak

# Szaniec bez kamieni

Każdego ranka budzimy się w milczeniu. Pytamy samych siebie o wszystko, co istnieje od początku i sto tysięcy lat później, po okropnościach wojen piszemy na skrawkach papieru i w atmosferze resztek wątplenia, w obliczu zgniłej rzeczywistości i coraz silniej rdzewiejących ciał. Poszukujemy zaginionej duchowości na pustyni współczesności. Nocami rozgrzewamy się wewnętrznym ogniem weny, aby za dnia pozbywać się resztek nadziei. I tak wędrujemy po skłóconej Polsce, przystajemy obok przydrożnych drogowskazów, szukamy w przeróżnych tekstach minionych potęg, dzielimy też z literackimi braćmi smutny los poetów, bo tak sobie życiu wybrałiśmy, bo tak postanowiliśmy, bo na to nas skazało, z tej strony nadeszło przeznaczenie. Los poety w tym świecie, w świecie, w którym poezja stała się niepotrzebnym wytryskiem wygastych wulkanów, w którym stała się śmiechu wartym buntem wobec hedonizmu i użycia, w którym na poezję jest po prostu brak czasu.

Mógłbym się śmiało podpisać mentalnie i świadomościowo pod tym wierszem bez tytułu otwierającym dopiero co wydany w 2021 roku znakomity tom poezji Andrzeja Dębrowskiego „Na ziemi jestem chwilę”. W naszych myślach inne słowa, w świadomości inna wrażliwość, każdy z nas ma jakąś odmienną i tylko swoją historię, ale łączy nas przecież ten sam bunt, ta sama niezgoda, ten sam ferment duchowy, który sprzeciwia się negacji literatury kosztem nowoczesnej i postępowej karuzeli świata bez czytania, bez tekstu, bez wyobraźni słowa.

Zgoda. Każdy z nas napisałby to przecież inaczej, po swojemu, we własnej formie i stylu, lecz chciałem Wam jedynie przybliżyć ten tom, tom tak bardzo cenny, mądry i metaforycznie realistyczny najlepiej jak potrafisz. Czuję go niemal podskórnie, gdyż od dłuższego czasu meandry codzienności prowadzą nas do nieomal tożsamyh konkluzji czy refleksji.

Świat się rozpada. Świat jaki znamy. My, ukstałowani w innej rzeczywistości, w poprzednim stuleciu, w epoce poezji i krwi, nie godzimy się teraz na: nową edukację pokoleń – bez literatury, bez kultury, bez ducha, albo z literaturą traktowaną jako piąte koło u wozu, albo z przyzwoleniem na smakowanie literatury jedynie ze streszczeń, bryków i podsumowań. Nie godzimy się na edukację obrazkową, na zanik wyobraźni, na degradację słów i historii, na erozję myślenia.

Cóż z tego, że się nie godzimy skoro walec świata popychany jest i snuty przez samozwańcze elity włodarzy państwem czy społeczeństwem i zmierza ochoczo ku bardzo brzydkiej katastrofie. Pędzi tam już z prędkością nie do zatrzymania i tratuje na swym szlaku prawie wszystko w co do tej pory wierzyliśmy, co ukochaliśmy i czemu poświęciliśmy swoje życie. Poezję odłożył do lamusa. Wrażliwość wyśmiał, a nieprzy stosowanych wyciął z kontekstu.

Tom Dębrowskiego o tym między innymi opowiada. Nie wprost, nie dosłownie, nie jawnie. Kluczy w metaforach, jest niemal gęsty żalem, rozpaczą, smutkiem, czy ja wiem, oswojoną już nostalgią za tym, co odeszło. Tom Dębrowskiego czasami szczydliwy nawet mottem:

*W dziwnym świecie,  
dziwni ludzie,  
mówią dziwne rzeczy.*

Andrzej Dębrowski

To eufemizm, zmiękczenie kadru. O „tych” ludziach w kuluarach literackich salonów mówi się o wiele dosadniej. W tym „dziwnym” świecie. Dębrowski niejako ostrzega, chce nas uratować diagnozując: narcyzm, nieomylność („tych ludzi”), ich głębokie i niezachwiane przeświadczenie o własnej wartości, ich chęć narzucenia nam: mód, trendów, nawet modelu patriotyzmu czy hierarchii wartości. „Żto, nadchodzi zienacka. Coraz mniej zależy od nas.” (...)

**Dookoła fałszywe prawdy –  
stają się twarde i służą już tylko ma-  
mieniu.**

**Gazety drukują kolumny ze skanda-  
lami.**

**Sklepy z porcelaną obłudy  
proponują nam rozbite naczynia –  
pochodzące z dynastii „Money”.**

Potem budzimy się w rzeczywistości wstępu. Wiersz „Skrzenie” prezentuje nam prawie całokształt naszej codziennej współczesności. Dyskretnie jakby krzyczy, a może jedynie chce być tylko przestroga. Nie wiem. Wiem, że czytam i widzę prawie namacalnie całą tę hipokryzję, pod którą zakrywa się dziś to, co nas boli, czego się obawiamy, lękamy i co nas wręcz przeraża, a co wyrażamy w niepokojach, rozmowach i w planach na jutro. Choć nie wiem, czy nie przestaliśmy mieć już tak naprawdę planów na jutro, a raczej żyjemy sobie (ciut cynicznie) z dnia na dzień wierząc, że katastrofa nastąpi w bliżej nieokreślonym „kiedyś”, a będzie to jak najpóźniej. Bo, że katastrofa w takim świecie nastąpi, raczej nie mamy wątpliwości. Jest coraz ciemniej, coraz głupiej i coraz ciszej. W zgiełku igrzysk chowa się myślenie, wyciąganie wniosków, nieskrępowaną wyobraźnię. Zastępują ją: kalki, zapożyczenia, schematy i automatyzm. Daleko idąca systemowość odbioru: uczuć, idei, delikatności czy nawet miłości. Słowo prawda straciło już dawno, ale nada i wciąż traci cały swój zapach, smak i kolor.

My z kolei, poeci, wierszokleci, ludzie z kultury słowa, dzieci Księgi, nieprzystosowani, roztrzęsieni, zagubieni, próbujemy opisać i wyrazić swój bunt, swoją niezgodę i swoje zatroszczenie takim stanem rzeczy budując swoisty **szaniec bez kamieni**, bezzębny, miałki i nietrwący wał oporu wobec barbarzyńców. Rozsypujący się na każdym rogu rzeczywistości, zwierzęta od niewysłuchanych skarg, zmuszały erozję samych podstaw, na których budowaliśmy całą naszą konstrukcję bytu, trwania i nadziei. Śmieją się z nas, albo przynajmniej traktują z pobłażaniem i to w najlepszym wypadku tego całego cyrku współczesności opartej na pieniądzach i władzy, na machiawelizmie i dosadności, na skuteczności i nie liczeniu się ze słabszym. Całokształt tego kabaretu w coraz tandetniejszej formie przeniósł się do mediów, które życie literackie czasami wychwala fałszywie na peryferiach oglądalności, ale tylko to, które dobrze wpisuje się w kontekst tego ogromu zażenowania. Wychwala szok, sensację, prowokację i łamanie tabu. Piękno pozostawiając piękno duchom – jednostkom najstarszym, dla których w takim świecie miejsc przecież brak.

Wróćmy do tomu Andrzeja Dębrowskiego

go „Na ziemi jestem chwilę”. To świetny tom. Boleśnie prawdziwy. Dojmująco opisuje stan cywilizacji, więcej pyta niż odpowiada, jest dobrym i właściwym świadectwem czasów, prowadzi myśl tam, gdzie ona powinna być poprowadzona. Czyni to w sposób wyrafinowany, nie szarżuje, bez zbędnej brawury używa słów, z których ciężko się otrząsnąć. No cóż, że nie zaśniesz być może po lekturze tego tomu? Trudno. Sądzę jednak, że jedynie Ci, którzy rozumieją, gdyż jak wiemy nawet wśród poetów bywają indywidualia miewające, delikatnie rzecz ujmując, problemy z czytaniem ze zrozumieniem. Takie czasy. Właściwie efekt nieprzemysłanych decyzji kogoś, kiedyś i gdzieś. Mniejsza z tym. Zaburzenia snu po lekturze niemal wskazane. Przecież po to poeta pisze ten wiersz, aby coś w odbiorcy drgnęło, aby się przebudził, aby podążył choć na moment nowym ślakiem wyobraźni. To się Dębrowskiemu w stu procentach udało. Ten tom jest pozycją ważną, poważną i zauważalną na mapie polskiej poezji. Choć to tom dla wymagającego odbiorcy, dla czytelnika wyrobionego, myślącego, mocno osadzonego w rzeczywistości czasów i wyzwania w skali właściwie całej ludzkości, a nie tylko jednostkowego dobrostanu refleksji nad ciałem i duchem i zielenią planety snutej przez kolejną jakąś przyszłą Madame Nobel w oderwaniu od wszystkiego co się za oknem nieomal dzieje na co dzień i na wyciągnięcie ręki. (To ciepło ręki ... to właśnie nadzieja u Dębrowskiego, ale to dygresja)

**Kiedy umrę, nie stój nad moim grobem  
zbyt długo, lepiej zamknij oczy i przy-  
pomnij  
sobie te chwile razem spędzone w sa-  
dzie,  
pełnym oliwek i tajemniczego piękna.**

**Czas nie jest odpoczynkiem,  
ani snem, ani śmiercią, ani popiołem...  
Stoję spokojnie i rozglądam się  
po tych wszystkich wzgórzach,  
których nie zaznałem  
i na których nigdy nie byłem.  
Na szczycie poczułem ciepło pomarszczonej  
upływającym czasem dłoni.**

Pytajmy coraz intensywniej – czym jest czas. Marujemy na to czas, aby czas nam odpłacił ową dociekliwością nieskończoną i przestał nas ograniczać. Poeci nie wierzą w czas. Wierzą w tysiące istnień, ale nie w czas. Czas jest przedmiotem zachwyty, lęku, fascynacji, zdziwienia, ba, analizy, ale poeci nie mogą wierzyć w czas. Czas ignorują. Muszą. Kiedy poeci umierają, umiera bowiem cały świat.

No cóż, „Na ziemi jestem chwilę”

Wiem, zrobiło się smutno, zimno, przygnębiająco, źle. Właściwa pora na otrząśnięcie się.

*nagle zdajemy sobie sprawę,  
że w wieku informacji  
można zdobyć wiadomość z dowolnej  
dziedziny,*

*oprócz elementarnej  
- skąd jestem  
(...)*

*Kto nie pamięta przeszłości,  
ten nie ma przyszłości,  
choćby powtarzał wciąż te same sło-  
wa.*

*Różne kamienie spotyka człowiek na  
drodze życia.*

*Jedne usuwa z pola,  
inne gromadzi,*

*żeby zrozumieć, żeby zbudować dom.  
Kamień jest twardy i wieczny.*

Kamień jest symbolem istnienia. My, poeci, jakby już nie istniejemy. Wyrugowa- no nas z przestrzeni publicznej, albo dziej się to na naszych oczach. Tom Andrzeja Dębrowskiego jedynie stawia kilka nieprzy- jemnych w percepcji tez. Buduje też w nas

tęsknotę za pięknem, nieśmiertelnością, za niezniszczalnością wiecznych stanów emo- cji, uczuć, bliskości. Jest pełen goryczy, ale i pełen fascynacji całością życia. Od- zwierciedla nasz stan. Jest trudny. Przysta- wiono nam do głowy rewolwer. Każą nam się w tych szkół, bibliotek i scen po prostu wynosić i wynosimy się. Ukrywamy się coraz częściej w podziemiach, w nieogrzewanych salkach bez publiczności i nagłośnienia. Czytamy wiersze, pijemy wódkę, jesteśmy razem i wciąż wierzymy. W co wierzymy? W poezję, w miłość, w słowa, w samych siebie. Dobrze Andrzej, że napisałeś i wy- dałeś ten tom. Podsumowałeś nim siebie i cały nasz byt, całą naszą rzeczywistość, nasze oczekiwania, tęsknoty i nadzieje. Po- mimo cykuty i octu, przebitego boku i krzyża apokalipsy pokazałeś nam, że ... kamień jest twardy i wieczny.

Tylko trochę żal, że przyszło nam żyć w czasach kiedy prawie każdy szaniec jest dziś bez kamieni... kiedy trafiają się w środo- wisku literackim szarlatani wręczający jakieś

dziwne nagrody i utrzymujący, że nawet poezja jest wyścigiem szczurów. Kiedy tłum rechocze na kiepskim kabarecie, a nie ma czasu na moment zamyślenia i porzucił już wszelkie zachwyty, jako przeciwieństwo elemen- tarne źródło natchnienia i sztuki. Poezja jest dziś bezpańska, bezradna i chyba coraz dziwniejsza.

*w dziwnym świecie  
dziwni poeci  
piszą dziwne wiersze  
które dziwni krytycy  
stawiają na coraz dziwniejsze  
piedestały*

Andrzej Walter

Andrzej Dębrowski „Na ziemi jestem chwilę”. Wydawnictwo Autorskie Andrzej Dębrowski.

Zelów 2021. Stron 66. Oprawa miękka. ISBN – 978-83-955703-2-2

Andrzej Walter

## Zakochana w ludziach i w poezji

Chyba po raz pierwszy w swoim pisaniu ... nie wiem jak zacząć, bowiem w tym tekście chyba musi być tak wiele smutku i tęsknoty, że jego początek skradnę mojemu serdecznemu przyjacielowi, świetnemu poecie z Poznania Zbyszowski Gorzejewi, który we wstępie do fenomenalnego tomu „Mówię o sobie ciszą” tak napisał o jego Autorce, naszej dobrej i niezapomnianej literackiej Koleżance Jolancie Nowak-Węklarowej:

„Napisanie słowa wstępnego do po- śmiertnie wydanego tomu poezji Jolanty No- wak-Węklarowej nie jest zadaniem łatwym. Kreślenie słów o zmarłej Koleżance, z którą dane mi było znać się przez kilkadziesiąt lat, z oczywistych względów ma wymiar emo- cjonalny. W głowie jawią się obrazy z róż- nych zdarzeń, ze spotkań z Jolą, słuchania wierszy przez nią czytanych, rozmów, chwil wzajemnego milczenia, bo wprawdzie trzeba było dobrze przemyśleć sprawy literackie oraz inne dotyczące różnych sfer życia spo- łecznego, gospodarczego i politycznego Polski. Oboje uważaliśmy, że warto zabie- rać głos w ważnych sprawach, po choćby krótkiej analizie ich stanu, a temu sprzyjał chwilowy bezgłos pomiędzy nami.”

Jolę kochali wszyscy. Nie tylko jako po- etkę, ale przede wszystkim jako dobrego, prawego i nieobojętnego człowieka, na sprawy ludzi i na ich losy splecione z losem całego świata. Człowieka, dodajmy: wielkie- go formatu, człowieka do rany przytóż, czło- wieka kolosalnej wyobraźni, a nade wszystko utalentowanej kobiety, poetki, której wiersze jakże często: poruszały, wzruszały, dawały do myślenia i były siłą sprawczą tak wielu uczuć i emocji, że z czystym sumieniem w środowi- sku uznawaliśmy Jolantę Nowak-Węklarową za artystkę najwyższych literackich lotów, za poetkę światowej ekstraklasy, poetkę polskie- go Panteonu, choć nigdy o taki poklask nie zabiegała, a jakże dalece była tego warta. (!) Wydany pośmiertnie tom – skromny, niepo- zorny, acz niesamowity tom „Mówię o sobie ciszą” jest tego najlepszym dowodem.

Choć może słów Joli nie rozumiem Ci, którzy nigdy nie zaznali wielkiej miłości. Mi- łości takiej, która ocala świat, takiej która jest, była i będzie, która z biegiem dni na- rasta, przemienia się w przyjaźń, ewoluuje do postaci niezbadności osoby dla osoby i umacnia własną siłą pielęgnacji. Taka miłość, niemal idealna, miłość jakby żyw- cem wyjęta z niewinności Matego Księcia, z drobnej, acz monumentalnej powieści An- toine de Saint-Exupery... taka miłość była celem i jakby duchem zakorzenionym w li- teraturze Jolanty Nowak-Węklarowej. Była ideą nademotionalną, sprawczą, mocno wyczuwalną i chyba też stąd zachwyca mnie taki oto wiersz:

*biegliśmy  
żeby zanurzyć się w swoich ramio-  
nach  
w lato słonecznego potopu  
w ciepło kominka długiej zimy*

*biegliśmy z miesiąca na miesiąc  
strumyczkiem dzikiej krwi  
na wieki wieków przeznaczenia*

*dzisiaj stąpamy nieporadnie  
rok za rokiem*

Życie toczy się swoim brutalnym prawem, a jest to prawo cielesnego obumierania, przemijania, prawo utraty, stopniowego od- chodzenia, zanikania sprawności, zwinności, zręczności. To cielesność, która ulega meta- morfozie. To bieg ku śmierci. W jednym kierun- ku. Kurczy się, marszczy, na naszych oczach przemienia, przy jednoczesnym umacnianiu ducha, krzepnięciu wyobraźni i dojrzewania mądrości do świadomej akceptacji wyro- ków nieodwracalnych. Wykuwa się wtedy nasze człowieczeństwo. Dojrzałość. Pojęcie sensu życia. A ów sens jest ukryty w radości, w miłości, w potrzebie drugiego człowieka i w spełnianiu poprzez życzliwość.

To wszystko właśnie jest nam dane na wyciągnięcie ręki w fenomenie po- ezji Jolanty Nowak-Węklarowej. To swo- iste credo tej poetki, która zakochała się w ludziach i w poezji, potrafiła niemal do- skonale to wyrazić i jej wiersze już zawsze pozostaną ważne w tym kontekście. A że żadne noble się tego nie trzymają?; że współczesny świat niemal się naśmiewa z takich postaw, dylematów i głosów? Tym gorzej dla tego świata. Świata coraz potworniejszego, świata zmierzającego ku zatraceniu. Orwellowskiej groteski. Jedyne co może nas ocalić, to właśnie miłość. Może i to banalne, ale warto to tysięczny raz powtarzać. Może tych kilku szaleńców urządzających nam rzeczywistość to zro- zumie? Choć nie liczyłbym na to.

Mamy, z moją ukochaną Żoną, Jadwi- gą, swoje własne, prywatne wspomnienie Joli, z którą razem wybierałem się nie- gdyś na znakomitą imprezę Galicyjskiej Jesieni Literackiej, blisko 8 lat temu, jak siedzieliśmy w naszym domu, przy pysznym obiedzie, (chapeau ba, Droga Żono!) obłożona naszym stadem zwierząt i cieszy- liśmy się wszyscy razem taką chwilą i do dziś ją wspominamy, ciągle utrwalając te wspomnienia, że mogliśmy onegdaj gościć tak wyjątkową, mądrą i ciepłą poetkę, piszącą tak znakomite wiersze... Była wtedy jeszcze z nami Danusia Ca- pliez-Delcroix Bylińska (pozdrawiamy Cię ciepło Danusiu) i z pewnością też mile wspomina tamten zakłętą czas, te nasze galicyjskie wojaże poetyckie, spotkania z młodzieżą, wieczorne dzielenie się po- ezją jak opłatkiem i dzielenie się słowem... jak miłością.

Dla takich chwil się żyje. Przeżyte chwile trzeba właśnie tak pielęgnować. Wspomnieniem. A chwile nienarodzone ... wciąż stwarzać i szukać ich w sobie i na zewnątrz, w innych ludziach, w no- wych sytuacjach, w zauważaniu ich. Po to jesteśmy na tej planecie, trzeciej od Słońca, pędzącej stale gdzieś na oślep we Wszechświecie. Jale zapewne już wie dokąd zmierzamy...

*syty mną aż po przyzwyczajenie  
mówisz  
zbudzi się dzień jak co dzień*

*godzina szósta zero zero  
zadzźwięczy w budziku i eterze*

za oknem wiatr  
powlecze niesienie śniegu  
w łaziennej fontannie Bakczysaraju  
odniesiesz zwycięstwo  
nad własnym ciałem  
dasz powietrzu swój śpiewny głos  
przy sztuce golenia zarostu  
kubek mleka  
zagryziesz pajdą grzanki  
umocnisz węzeł krawata na karku  
zazgrzytasz kluczami w drzwiach

nie oszukuj się  
przecież jutro  
obudzisz się beze mnie

I On obudził się bez Niej... któregoś dnia,  
po którym już wszystko było... inaczej.

W tym tkwi cały dramat tego świata.  
Cały mroczny akt tragedii, zwanej życiem,  
której nie da się zaakceptować po wielu,  
wielu latach miłości, przyjaźni, ofiarowania  
siebie sobie nawzajem... kiedy to się zmie-  
nia, kończy się i dogasa.

Boimy się pustki. Prawdziwości pożegna-  
nia. Jej dotyku i bólu, który przyniesie. Mgły  
i chaosu, który potem nastąpi, a najbar-  
dziej tęsknoty nie do ogarnięcia i nie do  
zaakceptowania. Wszystko bowiem w tym  
życiu można przyjąć i przyswoić, oswoić,  
okietznać, ale najtrudniej przyjąć do świa-  
domości, że najważniejszych osób w życiu  
już się więcej po prostu w wymiarze ludzkim  
nie spotka. To najtrudniejsze. To przepaść,  
w którą wpadamy i nie ma z niej wyjścia.

Dlatego kochajmy ich, bo tak szybko ...  
przemijają, bo tak szybko możemy stracić tę  
szansę... szansę na radość z relacji.

Prostota tych wierszy może porażać.  
Jednakowoż weźmy pod uwagę cały ich  
ładunek emocjonalny. Kontekst życia. Do-

dajmy do tego, że były to notatki z szuflady,  
nad którymi poeci jeszcze później miesiącca-  
mi pracują szlifując to i owo. Metaforyka Jo-  
lanty jest jednak aloesowo kojąca, bogata,  
zaskakująca... miła w obcowaniu:

dni uchodzą jak zwierzęta  
po zboczach gór  
w przepastne gęstwiny  
skąd się nie powraca

za nimi ludzie  
poza miejsca obecności  
dać swoje życie na okup  
za wielu

Cały ten tom to jakby znów świeże ziar-  
na, zalążki poezji wielkiej, nieogarnionej, fe-  
nomenalnej, którą Jola potem przekuwata  
potem w doskonałe wiersze, ale też wiersze  
te praktycznie wiązała z życiem. Jakże  
mało który poeta pisze tak jak żyje, adorując  
to życie, potęgą empatii, potęgą miłości,  
nieodgadnionej głębi swojego wielkiego  
człowieczeństwa.

Dziękuję Ci Jolu, że nasze drogi się kiedyś  
skrzyżowały i wiem, że nas kochałaś, tak jak  
i my kochaliśmy Ciebie.

Dziękuję też Miastu Wągrowiec, miastu  
wyjątkowemu, małej ojczyźnie poetki, której  
oddała serce i duszę, a która teraz dzięki  
zaangażowaniu Przewodniczącej Rady Po-  
wiatu Wągrowieckiego, także poetki, Pani  
Małgorzaty Osuch, która zdołała doprowa-  
dzić do wydania tego niepowtarzalnego  
pośmiertnego tomu ze znakomitą poezją  
Jolanty Nowak-Węklarowej. Ta wydawnicza  
i merytoryczna perełka jest bardzo, ale to  
bardzo ważna dla świata literatury i całej  
naszej spoleczności – ludzi pióra w Polsce.  
Jest ważna dla życia literackiego naszego  
kraju.

Mówmy o sobie taką właśnie ciszą, któ-

ra słychać nad powierzchnią codziennej  
paplaniny właśnie dzięki inicjatywie obec-  
ności – wydania tomu, którego mogłoby  
nie być, ale to, że jest, jest bezcenne. (po  
prostu – komuś „się chciało” – najwięcej  
poświęcamy dla samych siebie nawzajem,  
kiedy poświęcamy swój czas...)

mówię o sobie ciszą  
- ma smak głodu i sytości  
pragnień i upojenia  
jest na swoim miejscu  
nawet kiedy jej nie ma

Jolanta Nowak-Węklarowa stała się już  
dziś, wciąż żywą historią literatury. Mistrzini  
słowa, zakochana w ludziach i w poezji. Po  
prostu ekstraklasa. Niedoceniona za życia,  
albo zbyt mało doceniona, zbyt rzadko  
upubliczniana, propagowana, wykorzy-  
stywana choćby edukacyjnie. (Skąd my  
to znamy?)

Jaka szkoda, że nasi obecni władarze  
edukacyjnego przemysłu nie chcą,  
nie widzą i nie potrafią nawet zaczerpnąć  
z takich źródeł poezji – królowej literatury,  
a czerpią literacki brud, który właczają  
potem w mało chłonne głowy i tak nie-  
czytającej młodzieży. Czy tędy  
wiedzie droga do lepszego, zdrowszego  
i piękniejszego świata?

Smutne to wszystko, ale dlatego wła-  
śnie chciałem znów wspomnieć Jolę. Za-  
wsze już ją wspominać i wciąż od nowa,  
delektować się Jej jedyną w swoim rodzaju  
wzruszająco-kojącą poezją, która nigdy nie  
umrze i zawsze pozostawi na tym padole  
grono swoich wiernych wyznawców.

Do zobaczenia Jolu po drugiej stro-  
nie tęczy. Ty (i kilku jeszcze innych po-  
etów) – zatem Wy, wy wiecie, co mam  
na myśli...

ANDRZEJ WALTER



Wszystko miało być przecież inaczej. Wieszczy Ci u nas w Polsce dostatek, ale tak faktycznie pozostał nam jakże zło-wieszczy chichot oraz trzy zadumy nad naszą jakże arcy-wieszczą kulturą wybraną ponad narodami i unikalną do bólu proweniencją artystów bodaj tysięcy spalonych teatrów.

Do tego wszystko jest jakby zamglone, niewyraźne i nieostre, ewidentnie wymykające się kategoriom czy stylom i wreszcie umykające charakteryzacji i wszelakim opisom, z utrudnionym punktem odniesienia. Chaotyczne i zagmatwane, mętne tak, aby dno czyniło niewidzialnym. Krążą tam zmutowane drapieżniki środowiska zdegenerowanego swą egalitarnością oraz powszechnym stanem bezkrytycyzmu uświęconego żłudnymi nadziejami.

Ów stan genialnej hipokryzji świetnie utrwalił we fragmentach swojej twórczości skierowanej do poetów sam mistrz Tadeusz, którego nasz bieżący (Anno Domini 2021) rok nazwano rokiem Różewicza. (w stulecie rocznicy urodzin poety)

### zawsze fragment (1996)

doprawdy  
nie mam czasu  
na skończenie  
tego wiersza

kto ma teraz czas  
na pisanie wierszy

za pół godziny  
muszę wyjść  
a może skończyć go  
w tym miejscu

przecież wiersz nie ma końca  
podobnie jak szklana kula  
nie wykręcaj się  
od „obowiązku” skończenia  
tego wiersza  
skończ go (skończ z nim)  
przecież możesz pisać szybciej  
poezji nie można pisać szybciej  
można ją czytać szybciej  
ale po co

(...)

No i coraz częściej mamy, coraz szersze gremia spotykające się w coraz dziwniejszych konstelacjach, aby szybciej czytać poezję, a może i jeszcze szybciej ją pisać? Skąd mistrz to wiedział? Jak przewidział? Kim są nowi wieszczowie współczesności? Na te i inne pytania nie udzielił Wam żadnej odpowiedzi. Być może nie ma żadnej sensownej na nie odpowiedzi... Mistrz Tadeusz jednak opowiedział nam również „jak powstają poeci”. Postuchajmy, przeczytajmy:

### Zwiastowanie

zwiastowanie poezji  
budzi w człowieku  
pełnym życia

popłoch

odblask słowa  
wyzłoczonego w ciemności  
język ognia  
nad milczącą głową

głowy rówieśników  
potoczyły się dalej  
bilardowe kule  
na zielonej łące

młody człowiek  
odpycha skrzydlate słowo  
uśmiecha się  
wzrusza ramionami

nie lubię poezji mówi  
nie wiem co z nią zrobić  
jest zagubiony opuszcza  
dom rodzinny

zmęczony wędrowną  
klęką nad zwierciadłem  
przestraszony ucieka  
i nagle staje się poetą

zakochuje się  
w sobie  
połyka go horror vacui  
poeta napelnia  
pustkę słowami  
tak długo czerpie  
ze źródła aż dotknie  
kamienia  
po drodze gubi słowa  
ślepnie zapala żółtą  
małą świecę  
w obliczu ogromnego słońca

źródło z którego płynie  
poezja żywa  
jest obok

ciemne postacie  
myją w nim ręce  
z których spływa krew

bezpieński pies  
chłepce w ciszy  
wodę

Źródło jest obok. Tuż tuż obok nas. Dziś przecież, żeby stać się poetą należy zakochać się w sobie do tego stopnia, że przestaje się rozpoznawać pulsującą rzeczywistość. Przestaje się dostrzegać wszystkich pozornie nieużytecznych, a stawa się na: układy, układy i grafomania. Stąd też mistrz Tadeusz zadaje nam wszystkim takie oto zadanie, zadanie domowe. (dla młodego poety)

### zadanie domowe

zadanie domowe  
dla młodego poety

nie opisuj Paryża  
Lwowa i Krakowa

opisz swoją twarz  
z pamięci  
nie z lustra

w lustrze możesz pomylić  
prawdę z jej odbiciem

nie opisuj aniota  
opisz człowieka  
którego minąłeś wczoraj

opisz swoją twarz  
i podziel się ze mną  
jej zmiennym wyrazem

nie czytałem  
w poezji polskiej  
dobrego autoportretu

Ubolewam rzeźnicę, iż zadanie to retoryczne. Mocno jednak uwypuklające istotę problemu. Przy czym owa moc jest jakże zawoalowana, dyskretna i zakamuflowana. Stąd zapewne i brała się słynna osobność tego poety. Stąd wyływał Jego ... niepokój. (Niepokój, to tytuł pierwszego tomu). Magdalena Grochowska – (przyszła) autorka Jego biografii tak opisuje sprawę:

Różewicz był osobą skrytą, rzadko dawał wywiady, niechętnie opowiadał o sobie.

Kiedy zobaczył w Pradze pomnik Kafki – a Kafka to jego wieloletnia obsesja – napisał wiersz „Tego się Kafce nie robi”. Powtarza się w nim fraza „nie zaglądale mi w zęby”. Duch Kafki żąda w tym wierszu, by nie wyciągać na światło jego rodziców, kobiet, też, ran i jego tajemnic... To wołanie Kafki słyszę podwójnie, jakby sam Różewicz bronił się przed obcym okiem. W wywiadach powtarzał, że jego prywatność nie jest na sprzedaż i nie będzie mówił o kłopotach z żółądkiem, ani o zatwardzeniu. Mam poczucie, że zagłębiając się w jego życie postępuję wbrew niemu, że w pewnym sensie „zaglądam mu w zęby” i że w ogóle pisanie biografii jest jak wydzieranie tajemnicy. Jestem rozdwojona, pomiędzy lojalnością wobec bohatera a sprzeniewierzeniem się jego woli. Mówiłam wcześniej o jego ciężkich powrotach. Wracał do siebie samego sprzed kataklizmu wojny, sprzed męczeństwa Janusza zamordowanego w 1944 roku, sprzed choroby Stefanii i sprzed jej wczesnej śmierci... Jak w poemacie „Złowiony”, wracał do źródła.

Źródła twórczości i zarazem życia. Mówił o tym w „Kwartalniku Artystycznym” w 2002 roku, zapytany, skąd czerpie siłę do życia. Miał już wtedy za sobą operację nowotworu ratującą życie. Był po osiemdziesiątce. Wiedział wszystko o sobie, wiedział, do czego zdolny jest człowiek. Zwidził świat. Osiągnął prawie wszystko – poza Noblem. Nie musiał się już niczego obawiać: ani zawiści środowiska literackiego, którego nie znosił; ani polityki, wobec której zachowywał dystans; ani ideologii – żadnej nie ufał... Powiedział wtedy, że ani wiara, ani Kościół, ani państwo, ani naród nie są dla niego źródłem. Ani też żadna partia polityczna, czy przynależność →

do grupy. Ani nawet wiedza. Powiedział, że źródłem ciągle żywym jest jego dzieciństwo i młodość, dom rodzinny.

Dzieciństwo? Młodość? Dom rodzinny? Hasła wytrychy jakże niepopularne dziś punkty odniesienia współczesności. Charakteryzują: słabych, nieudaczników, czy outsiderów i niedostosowanych do wymogów nowoczesnej gospodarki rynkowej wraz z jej filozofią i ideologią ukierunkowaną na realizującego samego siebie singla traktującego po drodze wszystko to, co napotkał, nie wytyczając dzieciństwa, młodości i domu rodzinnego. No, tego już może mistrz Tadeusz nie przewidział, gdyż to najwycyzajniej na świecie, w głowie się nie mieści. (czy nie mieściło)

Oddajmy jeszcze na moment głos autorce Jego (zapowiadającej się na fantastyczną) biografii (wkrótce się ukáže) – Pani Magdalenie Grochowskiej:

Widzę Różewicza tak, jak on widział Kafkę: jako „czarną dziurę” na niebie literatury europejskiej. Jest „niebezpieczny”, bo wsysa czytelnika i trzeba starać się go dobrze zrozumieć, żeby nie dać się połknąć.

Na ostatnie pytanie: O co zapytałaby pani Różewicza? (po kilku latach intensywnej pracy nad biografią!) otrzymujemy taką odpowiedź:

Najpierw odwołałabym się do jego wiersza „Widziałem Go”. Opowiada w nim o spotkaniu w parku bezdomnym człowiekiem, który ubrany w trzy swetry spał na ławce, zaniedbany, brudny... Narrator rozpoznaje w nim jednak „Syna Człowieczego” i zmieszany oddala się, ucieka, a w domu myje ręce. To jest gest Piłata.

Zapytałabym więc Różewicza, czy pisząc ten wiersz przed ponad dwudziestu laty widział oczami wyobraźni sytuację uchodźców, odpychanych od naszych granic i traktowanych przez nasze państwo w sposób nieludzki? Zapytałabym go, która wartość jest nadrzędna: bezpieczeństwo granic, święty spokój obywateli, czy życie ludzkie?

Tadeusz Różewicz -

## Widziałem Go

*Spał na ławce  
z głowa złożoną  
na plastikowej torbie*

*Płaszcz na nim był purpurowy  
Podobny do starej wycieraczki*

*Na głowie miał czapkę uszatkę  
Na dłoniach fioletowe rękawiczki  
Z których wychodził palec  
Wskazujący i ten drugi  
(zapomniałem jak się nazywa)*

*Zobaczyłem go w parku*

*Między nagim drzewkiem  
Przywiązany do palika  
Blaszana puszkę po piwie  
I podpaską zawieszoną  
Na krzaku dzikiej róży*

*Ubrany w trzy swetry  
Czarny biały i zielony  
(a wszystkie straciły kolor)  
spał spokojnie jak dziecko*

*Poczułem w sercu swoim  
(nie pomyślałem lecz poczułem)  
Że to jest Namiestnik  
Jezus na Ziemi*

*A może sam Syn Człowieczy*

*Chciałbym go dotknąć  
I zapytać  
Czy ty jesteś Piotr?*

*Ale ogarnęło mnie  
Wielkie onieśmienie  
I oniemiałem*

*Twarz miał zanurzoną  
W kłakach rudej brody*

*Chciałem go obudzić  
I spytać raz jeszcze  
Co to jest prawda*

*Pochyliłem się nad nim  
I poczułem zepsuty oddech  
Z jamy  
Ustnej*

*A jednak coś mi mówiło  
Że to jest Syn Człowieczy*

*Otworzył oczy  
I spojrzął na mnie*

*Zrozumiałem że wie wszystko*

*Odchodziłem pomieszany  
Oddalałem się  
Uciekałem*

*W domu umyłem ręce*

Wstrząsający wiersz. Jeden z najważniejszych wierszy polskiej poezji, albo poezji w ogóle. Wiersz nie wiersz, wiersz w zasadzie bez metafor z metaforą przenikającego na wskroś pytania, z którego po wsze czasy nie da się otrząsnąć. Jak się okazuje pytania bardzo „na dziś”, pytania jakże aktualnego, może pytania wiecznego i zawsze już aktualnego.

Tych pytań jest więcej. Jak i przestrzeni dla poezji. Świat zmierza w kierunku pytań. Dziś bardziej niż kiedykolwiek. Kiedy wie się coraz więcej mnożą się pytania, a nas jest jakby coraz mniej.

ANDRZEJ WALTER

*W tekście wykorzystano fragmenty fenomenalnego wywiadu na łamach Culture.pl, który został opublikowany 6 października 2021 przez przeprowadzającą Panią Agnieszką Warmkę z Panią Magdaleną Grochowską.*

Magdalena Grochowska – reportażystka i eseistka. W 2016 roku Polski PEN Club uhonorował ją Nagrodą im. Ksawerego i Mieczysława Pruszyńskich za „konsekwentne opowiadanie dziejów polskiej inteligencji”. Jej książka „W czasach szaleństwa” (2019) – zbiorowy portret Europejczyków (Pawła Hertz, Dymitra Filosofova, Jerzego Stempowskiego, Frei i Helmuta Jamesa von Moltke) – przeciwstawiających się niszczycielskim ideologiom w XX wieku, znalazła się w finale nagród literackich Juliusz i Gryfia, była również nominowana do Nike i Angelusa 2020. Biografia „Jerzy Giedroyc. Do Polski ze snu” (2009, 2014) przyniosła jej nagrodę „Odry”, „Polityki” oraz Nike czytelników 2010. Ukazała się po litewsku (Wilno 2016) oraz po rosyjsku (Petersburg 2017). Biografia „Strzelecki. Śladem nadziei” (2014) znalazła się w finale Nagrody im. Teresy Torańskiej „Newsweeka” w 2014 roku oraz byłanominowana do Nike 2015. Jej zbiór portretów „Wytrącenie z milczenia” (2005, 2013) trafił, w ramach plebiscytu polskiego radia (Dwójka), do kanonu 25 lektur na ćwierćwiecze wolnej Polski (2014). Laureatka Grand Press 2005 w kategorii „reportaż prasowy” (reportaż o starości „Druha strona gobelinu”). Jurorka Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego za reportaż literacki (2017/2018) oraz Górnśląskiej Nagrody Literackiej „Juliusz” za biografię (2018/2019). Dziennikarka „Gazety Wyborczej” w latach 1996–2020. Mieszka w Warszawie.

Wojśław Brydak



Roman Warszawski

# Wschodnia granica Powtórka ze Zbąszynia

Ostawione już, a pozostające w sprzeczności z prawem międzynarodowym *push-backs* i przetrzymywanie uchodźców w sierocej strefie bezdomności i wielkiego chłodu, zdają się nie mieć precedensu w polskiej historii.

Nic bardziej mylnego. To powtórka z tego, co już było. Z tego, o czym wielu nie wie lub czego nie chce pamiętać. Bo tak wygodniej, piękniej, bardziej patriotycznie.

Do zbliżonej w swej istocie sytuacji doszło na rok przed wybuchem II wojny światowej, jesienią w 1938 roku, po tzw. „Polenaktion”, którą Niemcy przeprowadzili u siebie. Jednym dekretem Reinharda Heydricha wypędzili kilka tysięcy polskich obywateli – Żydów od lat mieszkających w Niemczech. Z dnia na dzień uznali ich za element na wskroś obcy i wywieźli pociągami na granicę pol-

sko-niemiecką w Wielkopolsce. Polacy tych wypędzonych nie chcieli jednak przyjąć, bo uznali, że nie są to *prawdziwi Polacy*, mimo że osoby te pozostawały obywatelami II RP. Piętrzone przeszkody, żeby ich wpuścić do kraju. Uchodźców z granicy kierowano do obozu w Zbąszyniu. Panowały tam straszne warunki: głód, brak dachu nad głową, brak możliwości opuszczenia tego straszego miejsca, które dla przybyłych stało się więzieniem na wiele miesięcy. Jak pisze Iwona Wagner: „Przyczyniło się to do wielu chorób i zgonów osób, którym – mimo że byli polskimi obywatelami – odmówiono prawa wjazdu na terytorium II Rzeczypospolitej”. Endecka prasa cały czas sączyła jad, jacy to okropni i zdeprawowani ludzie zatrzymani zostali w Zbąszyniu...

Innym przypadkiem podobnego zła jest to, co zdarzyło się w 1939 roku. Tym

razem to rząd USA i prezydent Franklin D. Roosevelt odmówili zezwolenia na przyjęcie w jakimkolwiek porcie statku wypelnionego żydowskimi uchodźcami. Parowiec *Sf. Louis* przyptłynął z Hamburga na Kubę z 937 Żydami uciekającymi przed zbliżającym się holocaustem. Rząd kubański zmienił swoją wcześniejszą decyzję i nie zgodził się ich przyjąć. Przez 12 dni uciekinierzy i kapitan statku usiłowali rozpaczliwie uzyskać od rządu USA pozwolenie na zawinięcie do Miami, które z morza było już dobrze widoczne. Gdy nie pozwolono im wejść do tego, ani do żadnego innego portu, statek zawrócił do Europy. Niektórzy uciekinierzy zostali przyjęci w Wielkiej Brytanii, lecz wielu z nich zginęło potem w nazistowskich obozach koncentracyjnych.

ROMAN WARSZEWSKI



Wojśław Brydak

# Dolne miasto

W fotografii liczy się chwila.

Część fotografowania to czekanie na moment, w którym światło zamieni zwyczajność w niezwykłość; czekanie na moment, kiedy przed kamerą przystanie płochliwe zwierzę, kiedy na ulicy rozegra się scena mówiąca o ludziach więcej niż długi esej.

Nieraz fotograf czeka parę lat na swoją jedną dwusetną sekundy.

Bywa też inaczej.

Są chwile rozciągnięte. Taki „moment” trwa długo, bo jedna rzeczywistość zastępuje inną; powoli, lecz nieodwracalnie.

Coś takiego przytrafia się właśnie gdańskiemu Dolnemu Miastu.

Dzielnica wzgardzona, biedna, peryferyjna, jakoś ocalała podczas wojny, zamienia się we własne przeciwieństwo.

Prześlągnięta wiekiem XIX, przeskakuje wprost w wiek XXI, ponad cierpkim dlań wiekiem XX.

Wtrąca się do tego młodzież plastyczna z Wydziału Rzeźby Akademii Sztuk Pięknych, usadowiona przy Placu Wałowym.

Trwa chwila, w której na Dolnym Mieście wciąż czai się za rogiem niespodzianka. Bywa, że coś pięknego.







gazeta literacka

## Migotania

www.migotania.pl



ISSN 2083-2494

numer 4 (73) 2021

Redakcja:

Redaktor naczelny: **Zbigniew Joachimiak**

Dział PR: **Adam Buszek**

Dział tekstów, redakcja i korekta:

**Agata Fołtyn**

Dział fotografii: **Sybilka Storie**

Redaktorzy: **Maria Jentys-Borelowska (Warszawa),**

**Zbigniew Kresowaty (Łądek Zdrój)**

**Roman Warszawski (Gdynia),**

Stale współpracują:

**Anna Frajlch (Nowy Jork),**

**Grzegorz Musiał (Bydgoszcz),**

**Leszek Szaruga (Warszawa),**

**Olga Śmiechowicz (Łódź),**

**Marek Wawrzekiewicz (Warszawa),**

**Krzysztof Śmiechowicz (Łódź),**

**Aleksandra Naróg,**

**Urszula M. Benka,**

**Leszek Żuliński (Warszawa)**

**Andrzej Wołosewicz**

Redakcja niekoniecznie podziela poglądy autorów.

Opracowanie graficzne:

**Baltox Jolanta Rakowska**

Wydawca: Fundacja Światło Literatury

Adres redakcji: Fundacja Światło Literatury,

ul. St. Dubois 59, 80-419 Gdańsk

tel. 601-840-302

[joa@migotania.pl](mailto:joa@migotania.pl),

Fundacja

ŚwiatłoLiteratury

**Migotania.**

Redakcja uprzedza, iż nie odsyła tekstów nie zamówionych. Staramy się odpowiadać na propozycje tekstowe, ale nie zawsze możemy to zagwarantować. W korespondencji z Redakcją prosimy używać przede wszystkim adresów e-mailowych.

W sprawie zamieszczania reklam prosimy o kontakt mailowy na adres:

[joa@migotania.pl](mailto:joa@migotania.pl)



WOJEWÓDZTWO  
POMORSKIE

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW  
SAMORZĄDU  
WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

Ministerstwo  
Kultury  
i Dziedzictwa  
Narodowego.

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW  
MINISTRA KULTURY  
I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

### Zasady współpracy z autorami w Gazecie Literackiej "Migotania":

- Przekazując materiały do redakcji Pisma:
- autor wyraża zgodę na ich nieodpłatne rozpowszechnianie w formie druku i w internecie,
- autor oświadcza, że teksty i zdjęcia są w całości jego/jej autorstwa i nie naruszają praw osób trzecich.
- autor udziela zgody na wykorzystanie swojego wizerunku i danych osobowych (nazwisko, imię a w notkach biograficznych rok i miejsce urodzenia).
- autor ponosi wyłączną odpowiedzialność z tytułu ewentualnego naruszenia przez siebie prawa spowodowanego publikacją nadesłanych utworów.
- autor zezwala redakcji na dokonywanie skrótów i korektę merytoryczną w nadesłanych materiałach.

WSZYSTKICH CZYTELNIKÓW, Autorów oraz Przyjaciół „Migotań” zapraszamy do wsparcia finansowego naszej Gazety. Tylko dzięki Waszej pomocy będziemy w stanie przetrwać na trudnym rynku oraz drukować Wasze teksty.

Dziękujemy za pomoc! Redakcja

Papierową mutację pisma Migotania można otrzymać bezpośrednio od redakcji. Wystarczy złożyć zamówienie i opłatę za przesyłkę 25 zł za 1 numer. Możliwa jest przesyłka za zaliczeniem pocztowym.

Jak zamawiać kwartalnik? Proste:

1. Zadzwoń pod numer 601-840-302 i złóż zamówienie
2. Wyślij zamówienie mailem do: [joa@migotania.pl](mailto:joa@migotania.pl)
3. Ewentualnie pocztą:  
Fundacja Światło Literatury, ul. St. Dubois 59, 80-419 Gdańsk
4. W tytule przelewu podać:  
"Na przesyłkę Migotań. Zamawiane numery i za jaki okres.

Zamawiane numery otrzymasz po wpłaceniu odpowiedniej kwoty za przestanie na konto: Bank Millennium 74116022020000000170195866

Leszek Szaruga



# WYPRASOWANIE (36)

Aż mnie zatkało. Zatkaną mnie mianowicie, gdy ujrzałem barwną grafikę stanowiącą podobiznę nowego banknotu o nominale 20 zł wydanego w stosunkowo niewielkim nakładzie, a przedstawiającego... Bóg jedyny wie, co przedstawiającego - choć na planie pierwszym widnieje portret pana prezydenta Lecha Kaczyńskiego, to, by posłużyć się obecnie obowiązującym powszechnie dialektem, w backgroundzie natłok przeróżnych obiektów o wyrazicie narodowej wymowie tworzy co prawda cudnej piękności patriotyczną kompozycję, jednak całość tej kompozycji czy to w awersie czy w rewersie nieodparcie przywodzi na myśl kicz, któremu nie wiedzieć czemu towarzyszy podpis pod wizerunkiem pana prezydenta powiadamiający, że „warto być Polakiem”. W tej ostatniej kwestii mam swoje zdanie, lecz go nie wyjawię zarówno ze względu na ostrożność procesową, jak na fakt, że z owym zdaniem czasem dość ostro polemizuję, co sprawia, że duszę miewam rozdarta i brocząca okowitą.

Widok ten wszakże skierował mą uwagę na zjawisko kiczu politycznego, ku czemu dodatkową podniętę stanowiło wykrycie wyrażenia przez cenzurę w opublikowanym w latach 60. tłumaczeniu powieści Hermanna Brocha *Niewinni* dość interesującego opisu tego zjawiska: „Lecz rewolucje, buntury natury przeciw wynaturzeniu, przeciw upiomości i radykalnym zakazom, lecz także przeciw wielorakim przeświadczeniom, które z pomocą mrocznie gniewnych płomieni terroru oraz przymusowego nawracania bez reszty wypalić chciały, te rewolucje same będą upiorne, gdyż każdy terror nowe kołtuństwo przywołuje na scenę, wzywając macherów rewolucji, rewolucyjnych kołtunów, wirtuozów fachowców terroru, wiecznie zdradliwych gwalcicieli wszelkiej sprawiedliwości: O, biada, biada! O, rewolucyjna sprawiedliwości! Z rewolucji uczynią kołtuni demoniczną imitację, zbójceko morderczą, a mimo to jeszcze gorszą, gdyż jej brak dogmatów jest nagą siłą; nie chodzi tu więcej o nawracanie lub przymus nawracania, lecz już tylko o wszelką utratę czci, o technicznie doskonały instrument terroru jako taki, o obóz koncentracyjny i o laboratoryjną izbę tortur, w której do najwyższego prawa podniesione jest bezprawie, w której prawdą staje się upiorne kłamstwo, po prostu abstrakcyjne zniewolenie wszystkiego, obce ludzkości”.

Rzecz zabawna – odczytałem ten zapis autora *Śmierci Wergilego* jako komentarz do zmierzającej do transformacji naszego życia praktyki ekipy określającej się mianem „dobrej zmiany”, a której mottem mogą być słowa Jarostawa Kaczyńskiego, w których zwierzył się Teresie Torąńskiej, że pragnie zostać „emerytowanym zbawcą narodu”. W istocie bowiem czymże jest owa praktyka? Jest ona mianowicie „rewolucją”, której przeprowadzenie możliwe jest jedynie wtedy, gdy przewyciężony zostanie „imposybilizm prawny” stanowiący dla prezesa obecnie władającej partii istotną przeszkodę wmontowaną w struktury ustrojowe III RP, a tym samym wymagający natychmiastowego usunięcia. I oóż na naszych oczach się to dokonuje – prawo zmienia się tak, by władzy rąk krępować nie

śmiało. Przeszkadza w tym atoli moc zewnętrzna (choć zarazem wewnętrzna) w postaci molocha zwanego Unią Europejską, z jej parlamentem i Trybunałem Sprawiedliwości. I właśnie na tego molocha narzeka jeden z profesorów Kaczyńskiego, Ryszard Legutko zwierając się na łamach „Do Rzeczy” (nr 45/2021): „W krajach Europy Zachodniej ta duża część obywateli, która patrzy krytycznie na UE, nie ma swojej odpowiednio wpływowej reprezentacji politycznej, a ich głos jest rugowany z przestrzeni publicznej. I dlatego kraje Europy Wschodniej, takie jak Polska, mają swoją rolę do odegrania”. (...) Ta dawna Europa, do której wzdychaliśmy za komuną, europejski geniusz, którym karmiliśmy się, jest tak obcy Unii Europejskiej, jak ludożercom obcy jest wegetarianizm. (...) Bulwersować musi ujawnienie się grupy rodaków, która nie chce niepodległości Polski. Uptęnięto niewiele lat od upadku komunizmu, a jedna trzecia narodu woli, by Polską rządził ktoś z zewnątrz. To bardzo niebezpieczny sygnał. Gdyby te proporcje były inne, to Polsce łatwiej by było przyjąć rolę przywódczą i działać śmiało w Europie oraz tworzyć szerszy front suwerennościowy i reformistyczny w UE”.

Ja rozumiem, czasem po spożyciu lub wciągnięciu ludzie zaczynają bredzić. Cierpienie na elephantiasis politycznej wyobraźni to zjawisko groźne, ale chyba przejściowe. Tak, panie profesorze Legutko, od upadku komuną minęło już ponad 30 lat – to wcale nie tak mało, i to nie jest „niewiele”. Tak, panie Legutko, wiem, że marzy się panu kraj urządzony na podobieństwo platońskiej utopii zarządzanej przez filozofów i wyganiającej poetów. Tak, tak – marzy się wam, z Kaczyńskim, by Polska mogła „objąć rolę przywódczą” w Europie, a jeśli nie w całej Europie, to przynajmniej na obszarach Trójmorza, które chcieliście budować w sztamie z Trumpem. Nie przypadkiem pan Kaczyński wspominał o tym, że czeka na „nowe rozdanie” w wyborach unijnych Nadal zresztą roi mu to się w głowie, gdy mówi w „Sieci” (nr 42/2021) o kwestii „pewnego układu sił w Europie, który może się zmieniać wraz ze zmianami politycznymi w poszczególnych krajach UE. Nie mówię, że to proces szybki i pewny,

„...jedna trzecia narodu woli, by Polską rządził ktoś z zewnątrz”.

ale widać, że prawdopodobny, możliwy we Włoszech, Hiszpanii, może we Francji”. Pomarzyć można, czemu nie... „Nowego rozdania” jednak nie ma i raczej się na nie nie zanosi, a Trójmorze rozplywa się w zaczadzonych czaszkach... Choć kto wie...? Może jednak...? Póki co, wciąż ktoś z was mamrocze o tym, że „opłaca się być silnym”, pan Adam Głapiński zapewnia, żeśmy tak bogaci, iż inne państwa ustawiają się w kolejce do nas po pożyczki, pan Piotr Gliński walczy z przestrzenią wolności w sztuce i zmierzając do jej centralizacji (w tym samym numerze „Do Rzeczy”) wykładą: „Brak zaangażowania państwa po roku 1989 wzmocnił instynkty stadne, stymulowane przez środki, które kultura otrzymywała z zagranicy. To wydawało się niewiarygodne! Państwa rywalizują przeciw ze sobą także w obszarze wpływu na kulturę, budując swoją pozycję dzięki kulturze. Tymczasem w Polsce powtarzano bajki o dobrodziejstwach antyetatyzmu. Myślenie kulturotwórcze z perspektywy wspólnoty narodowej praktycznie nie istniało”. Ale, oczywiście, pan profesor Gliński sprawi, że zaistnieje i zetatyzuje kulturę nie gorzej od komunistów. Ba! - lepiej zetatyzuje. I taki choćby tytuł *Człowieka Wolności* w naszej umęczonej ojczyźnie będzie się przyznawało mocarzom intelektu w rodzaju Andrzeja Dudy, Jarostwa Kaczyńskiego, Julii Przyłębskiej, Piotra Glińskiego, Mateusza Morawieckiego czy Daniela Obajtka. I tylko przypadkiem zapłacze się tutaj, ale to jeszcze przed słynnym rokiem 2015, jakis pisarz klasy

LESZEK SZARUGA

## Nadieżda Aleksandrowna Buczyńska)

Żal zwierząt. W ogrodzie zoologicznym zabite zostały maleńkie tygrysiątka. Lecz to chyba niezbyt mądre, gdy smucimy się z powodu zwierząt, a trwa wojna, jeńców „nie biorą”, setki tysięcy zabitych, jeszcze więcej rannych, bombardowane są obozy z dziećmi i obozy z rannymi....

Oczywiście, głupie. Ale ludzkie serce kieruje się własną logiką. Serce człowieka to pojemne naczynie, może zmieścić każdą miłość i każdy żal. Niech będzie błogostawione nasze nieszczęsne serce...

### SPOTKANIA

Takie spotkania nie zdarzają się często.

Nie przyciągają naszej uwagi. A ten, kto słyszał o nich albo widział, zwykle uśmiechając się przechodzi obok. Miał, ale z uśmiechem. A to dlatego, że działają one na nas w sposób szczególny. Mają jakieś osobliwe światło i są wspanialsze od wszystkich, tak zwanych, szczyrych spotkań ludzkich. Mówię o takim właśnie spotkaniu, spotkaniu człowieka z „małą” duszą zwierzęcia. Nie mam na myśli bezinteresownego psiego oddania, jest zbyt oczywiste i nic w nim zadziwiającego. Chcę opowiedzieć o takich dziwnych dla nas chwilach, gdy nagle nasza dusza – nasza myśl – przebija się przez tysiące warstw naszej głupoty i rozumu, dotrze wprost do ciemnej „małej” duszy zwierzęcia, przedostanie się tam z całą swoją miłością i poczuje, że tamta mała dusza podobnie, jak nasza własna, rozumie i współodczuwa...

I ten cud dokonać musi się nie w zwierzęciu, gdyż ono z natury całą mocą swego rozumu jest gotowe na spotkanie z człowiekiem. Tego cudu szukamy w człowieku.

Pamiętam jedno z takich spotkań. Był to początek władzy bolszewików w ograbionym, pokrytym nawarstwiającym się brudem Petersburgu. ...Tramwaj toczy się, zgrzyta i szarpie. Stoimy na pomoście. Słotczeni napieramy na siebie, gniewnie wystawiamy łokcie, by sprawiając sąsiadowi ból chociaż troszeczkę go odsunąć. Tłok taki, że trudno złapać oddech. Ściśnięci ze wszystkich stron. Złe blade twarze, sine usta, przylepione do skroni włosy, na wpół przymknięte oczy. Przystanek. Nikt się do wyjścia nie ruszył, a przeciwnie, jeszcze ktoś przywierając do poręczy usiłuje wcisnąć się do środka wypychając coraz bardziej pomiędzy nas. Wszyscy zgodnie głośno pochrząkują napierając w tę stronę od której on próbuje się wcisnąć.

- Nie wpuszczaj!

Gniew zjednoczył wszystkich. Wszyscy razem naciskają potężnym wspólnym nienawiścią. Krzyk. Co to ma być! Czego się wypcha! Ale oto tramwaj drgnął, zazgrzytał i znowu ruszył. Rozwalony płot, powyrywane z jezdnii kamienie, a z boku, przy chodniku martwa klacz. Brzuch wzdęty, więc wyciągnięta szyja wydaje się jeszcze chudsza i dłuższa. Oczy zmętniałe, a przy samym pysku, na topniejącym śniegu, wiązka siana.

Cóż, znany wszystkim obrazek, tak zwykle jest, że gdy koń pada, to najpierw... konia biją, a gdy widać, że nie ma siły się podnieść podsuwają pod pysk wiązki siana. To ostatnia nadzieja; być może pochwyty, ożywi się i stanie na nogi. Niby zwykły obrazek, ale... być może ta właśnie klacz szyję miała wyjątkowo chudą, a w martwych oczach cierpienia było znacznie więcej, a być może był w niej ten rodzaj smutku o którym wiesz, że nie zapomnisz. (To dokładnie tak, jak koń ze snu Raskolnikowa. Koszmar, i rozrywająca duszę litość...) Zwykły obrazek, wszystkie oczy prześliznęły się po nim i tylko wysoki chudy starzec, z trudem wyciągając ściśniętą napierającym tłumem rękę,

## TEFFI

zdjął czapkę, pochylił głowę (wiatr poruszał jego siwymi, skołtunionymi, niemytymi włosami) i powoli z godnością zrobił znak krzyża.

Stojący obok szerokonosy czerwonoarmista rozciągnął w uśmiechu usta, mrużnąc porozumiewawczo i już szykował się powiedzieć coś błażeńskiego, ale nagle speszony przycichł. Nikt się nie uśmiechnął. Oczy wszystkich były surowe, osądzające. Wszyscy zrozumieli, bo wszyscy byli świadkami tego „spotkania”.

\*\*\*

Tę historię być może już słyszeliście. Zdarzała się w czasie wojny. Niemiecki pilot zestrzelił francuski samolot. Krążył nad nim chcąc „wykończyć Francuza”, który powinien przecież jak najszybciej wyskoczyć. Z jakiegoś jednak powodu Francuz nie spieszył się. Dziwne, bo tutaj przecież droga każda sekunda! Każda... Więc dlaczego, tak się greebie. I oto widzi niemiecki lotnik, jak Francuz do spadochronu przypina psa. Był z nim na pokładzie pies. Umocował psa, opuścił, szybko chwycił drugi spadochron i wyskoczył.

A co zrobił Niemiec? Niemiec wykonał powitalny gest, oddał honor, zawrócił samolot i skrył się w chmurach. Nie był w stanie zabić człowieka, który zwierzęciu oddał swoje miejsce, dając mu równe prawo do życia. Niemieckiemu lotnikowi dane było zobaczyć spotkanie człowieka z „małą” zwierzęcą duszą.

Jakie tamtego dnia powinno być niebo? Powinno być wspaniałe! Błękitne i rozświetlone!

### Serce

Anna Andriejewna ma starego „zastużonego” psa. Jeżeli jednak pominiemy jego „zastużoność”, to jest to dość parszywe zwierzę i Anna Andriejewna warczy na niego nazywając „przeklętym psiskiem”.

Z powodu tego „parszywca” musiała pozostać w Clamart. – Dla mnie w związku z pracą wygodniej byłoby przenieść się do Paryża, ale pies potrzebuje ogródka, a tutaj ogródek jest, więc tak musi pozostać. – Słyszał ktoś podobne rzeczy! Gdyby chociaż rasowy, ale to przecież zwykłe paskudztwo, aż patrzeć przyko.

Pies czując, że o nim się mówi, kręcił się, machał ogonem, zaglądał właścicielce w oczy.

- Z pewnością wszyscy się dziwią, dlaczego go trzymam. Je nie mniej od prawdziwego rasowego, chociażby takiego fokstiera, lub jakiegokolwiek innego... Są przecież psy, gdzie szczeniaki kosztuje sześć tysięcy i gdy idzie się z takim psem ulicą wszyscy zwracają na niego uwagę, oglądają się, prawią komplementy właścicielce. A gdy z tym idziesz, wszyscy patrzą z niechęcią. A jeżeli spotykam kogoś z psem, ten od razu swojego pieseczka bierze na ręce, żeby tylko moje paskudztwo nie zaczęło go obwąchiwać... No cóż nie obrażam się. Być może ja też mam jej dosyć, ale co z nią zrobię... Chętnego na nią nie znajdę...

- A poszła precz! Jeszcze ogonem macha...

Ma się rozumieć, że „parszywiec” nie poszedł precz, a przeciwnie, wysuwając kredowy od starości język popiskiwiał zadowolony.

- I z czego tak się cieszysz? - Wrzeszczą na nią, a ona nawet ucha w tę stronę nie zwróci. Tymczasem nadeszły dni trwogi; „Nasze Dni”.

- Co mam zrobić z tym przeklętym psem? - kręciła głową Anna Andriejewna. - Do schronu z psami nie wpuszczają...

Ktoś z przyjaciół postarał się o maskę. I wtedy sprawa stała się jasna!

- Czy ja dobrze rozumiem? Wam się wyda-

je, że założę maskę i w tej masce będę tutaj sobie siedzieć cała i zdrowa, a obok mnie będzie zdychać to przekłete zwierzę. Chyba potraciliście rozum! No nie moi mili, jak już ginąc to razem! A za samo przypuszczenie, że zdolna byłabym do takiej podłości, dziękuję wam bardzo... Proszę wziąć tę maskę i iść sobie...

\*\*\*

Noc. Noce takie jak ta nie zdarzają się w Paryżu: czarna z przebyskami światła, cicha i pusta. Anna Andriejewna śpi, a w nogach pochrapuje zwinięty pies parszywy. I być może śni się Annie Andriejewnej, że gdzieś, w dalekiej ojczyźnie, tam, w dalekim kraju, w ciemnym pokoju siedzi brodata starucha, głaszcze ślepego psa i szepcze, tak by nikt nie usłyszał:

- Mizzi! Mizzi Moja! Jesteś dobrym, wiernym i pracowitym psem. Całe życie pomagałaś mi rozwozić wózką mleko... Co „on” zrobił? Co „on” z nami zrobił! Cichutko, nie skowycz Nie opuszczaj cię. Nie oddam cię! Nie zrobi z ciebie kiefbasy. Mizzi, piesku wierny, nie trzeba płakać...

\*\*\*

Żal zwierząt. W ogrodzie zoologicznym zabite zostały maleńkie tygrysiątka. Lecz to chyba niezbyt mądre, gdy smucimy się z powodu zwierząt, a trwa wojna, jeńców „nie biorą”, setki tysięcy zabitych, jeszcze więcej rannych, bombardowane są obozy z dziećmi i obozy z rannymi....

Oczywiście, głupie. Ale ludzkie serce kieruje się własną logiką. Serce człowieka to pojemne naczynie, może zmieścić każdą miłość i każdy żal. Niech będzie błogostawione nasze nieszczęsne serce...

\*\*\*

W czasie alarmów z piątego piętra schodzi młoda kobieta. W rękę zawsze trzyma dosyć duże pudełko. Bywa, że w pośpiechu zapomina o pudełku i wtedy szybko po nie wraca. Nie zdarzyło się nigdy, by zeszała do schronu bez pudełka. Wielu ciekawiło co tam może być; może kosztowności, a może ważne papiery. W końcu ktoś odważył się zapytać: „Pani tak bardzo boi się zostawić swoje skarby w mieszkaniu?”

- Jakie skarby?

- No, te w pudełku!

Pani machnęła ręką. - Jakie tam skarby, tylko z tym kłopot. Pan uwierzy, dałam słowo mojemu synowi. To jego żółt. Obiecałam, że za każdym razem schodząc do schronu będę go zabierać ze sobą. Nie mogę nie dotrzymać słowa! Syn jest uczniem w korpusie kadetów, ma osiem lat i powinien wierzyć słowom uczciwego człowieka. I tak oto tasczę ją po schodach i w górę, i w dół. Proszę tylko popatrzeć jaka piękna!

Otworzyła pudełko. Tłusty żółt wysunął ni to język, ni to łapę... coś małego czarnego. Wysunął i od razu schował. Głupota! Lecz nie do końca; żółt przewiązany był przez tułów trójkolorową wstążką. Pas biały, pas niebieski, pas czerwony. Barwy narodowe. Z pietyzmem zamknęliśmy pudełko. Oto tradycja, wiara w dane słowo, miłość i wierność.

Mówią, że stary świat runie. Potężne siły; przemoc, kłamstwo, zdrada i gniew, zniszczą życie. Ale oto, na tym nieszczęsnym bożym świecie jest małe pudełko, a w nim znajduje się to, co dla człowieka najcenniejsze: nasze niepodważalne wartości – wiara w słowo, w miłość i wierność. I choć zabawne, że tak dziecinnie – a jednak!

Eppur si muove.

PRZEŁOŻYŁA KRYSZYNA ŚMIECHOWICZ

Wybrane z tomu Тэффи. „Антология Сатиры и Юмора” М-ва Эксмо 2008

## PEJZAŻ SAMOWIEDZY

## PEJZAŻ JAKO WYZNANIE I AUTOPORTRET

Na jednym z najbardziej genialnych rysunków w dziejach sztuki („Melancholia” Dürera) samotny anioł siedzi wśród wszystkich symboli tego świata – ma obok siebie klepsydrę, wagę, drabinę, książkę, kamień młyński i dzwon, graniastosłup i kulę, strug, młotek, obcęgi i nóż, głupie bydło i tablicę matematyczną, klucze i mieszek. Nie jest już zasępiony; pogodzoną, rozumiejącą twarz zdobi łagodny, odrobinę cierpki wyraz ust, a w prawej dłoni trzyma ów, tak często portretowany przez artystów (Blake i inni), symbol Genesis, to narzędzie, którym Bóg zakreślił świat – cyrkiel. Trzyma go z wyraźnym uchwytną niechęcią, jakby lekceważąc, nieomal pogardliwie. Dwa ostrza, które wytyczyły świat, rozpięrają się bezwładnie między kolanami, martwe niczym dwoje napiętnowanych winowajców... – czytamy w *Wyspach bezludnych* Waldemara Łysiaka, książce przyjętej jako subtelny stop eseistyki kulturowej, zawołowanej krytyki ustroju (KAW 1987; było nie było, działała cenzura PRL), metafizyki i własnych wyznań mową Ezopową.

Taaak.

Ale czym właściwie są wyznania? Czym diagnozowanie własnej sytuacji, zwłaszcza w chorym ustroju albo szerzej: w chorym systemie? Mową Ezopową utwardzamy formuły pochodzące z **samopoznania zupełnie innych ludzi**. Są nam przez społeczeństwo, stosownie do wieku, przydzielane z zapewnieniem, że nabywamy finalną odpowiedź, finalną więc i dla cenzora, i dla metafizyka. Właśnie to równa się blokadzie.

Mówiąc o **sobie** patrzy się w lustro – naprzemiennie widzialne i niewidzialne lustro. Już w XII wieku mniszka Hildegarda przecierała oczy, że każde stworzenie ma element widzialny i niewidzialny. Jednak formuły gotowe otrzymujemy w postaci przetworzonej przez ludzi wyrostłych bez doświadczenia siebie (sami też go jeszcze nie mając), toteż zmieniają je nam w gest dostosowawczy. Za dni Dürera proces samopoznania wzmógł się. Stygmatyzował, ciężko kaleczył całe społeczeństwo, kiedy ich wytwory=formuły zastępowano cudzymi, np. kamienny topór każdemu dostępną siekierą ze stali<sup>2</sup>. Jakby jakaś niewidzialna część tych twórców, stwożeń, stawała się aktywna, rozeźlona. Samopoznanie (też rodzaj stworzenia) jest procesem uwikłanym ciasno w resztę procesów zachodzących w społeczeństwie, także na polu erotyki oraz sztuki. Niech nas nie zmyli optyczna różnica między wytworami rąk a tworamii umysłu! Jedne i drugie takowe przedłużenia człowieka płyną z twórczych rdzeni umysłu, płyną strumieniem energii, jaką umysł formuje potrzeby i pytania. Coś natomiast sprzęgło melancholię ze stratygrafią zapytań. Wsiąkała ona w jedne warstwy, po innych sphywa i jeszcze nabiera impetu, jedne zapytania korodując, inne oplukując. Również te, które odnosimy do siebie; są odstonami odcieni samowiedzy.

Formuły? – wyteżmy wzrok. W epoce Dürera motywy Starego Testamentu podobnie jak antyczne, funkcjonują w kształcie zmienionym przez dalece inne już systemy wartości, odmienne idee, nadzieje, napięcia. Idee hebrajskie łączą się z antyjudyzmem (zakaz konwersji na judaizm nawet dla heretyków i pogan<sup>3</sup>), antyczne z antypogaństwem, ewangelicznym z uwielbieniem

dla miecza, młota i złota. Po Antystenesie, Epiktecie, Marku Aureliuszemu zarząd nad czynieniem wyznań przejęły formuły św. Augustyna. Wyznania są „książką, w której Augustyn użył swego życia i wyznania wiary w Boga dla zilustrowania swej teorii człowieka” (antropologia). Augustyn opisał więc wydarzenia ze swego życia o tyle jedynie, o ile były użyteczne do tego celu<sup>4</sup>. Otrzymałszy swoisty cyrkiel dla widnokrepu duchowości – z ego wbitym w centrum; ego to ja cząstkowe, jakie czyni nie tyle wyznania, co zwierzenia, kierowane do konkretnego odbiorcy.

Jak zauważył irlandzki historyk filozofii antyku i średniowiecza John J. O’Meara, biskup Hippony pisał w tym samym czasie inne jeszcze dzieło: *De catechizandis rudibus* na temat katechezy, gdzie przekonywał, że „zadanie katechisty będzie łatwiejsze, jeśli początkujący (łac. *rudes*) zostali doprowadzeni do chrześcijaństwa poprzez napomnienia Boże, doświadczenie lęku pochodzącego od Boga, cuda i sny<sup>5</sup>. Augustyn akceptował czynnik przemocy, z czasem nawet coraz radykalniej łącząc ją z napomnieniem Bożym<sup>6</sup> poprzez właśnie lęk, aby wybór uczynić możliwie natychmiastowym i nie do odwrócenia.

Bardzo ważne są tu sen, cuda, gwałtowność i lęk. Dają znać o traumach, jakie zaciągają nad refleksją o samowiedzy, zerwują jej ciągłość z doświadczeniami ludzi antyku. Pogańscy poprzednicy św. Augustyna, nie bagatelizując wcale wagi cierpienia ani traum dla ocknięcia się, mieli je za uciążliwość, gdyż smagnięta nimi, drżąca psychika żąda ostatecznego rozwiązania problemu niesprawiedliwości i fałszywości, wmusza kolejną malinę, narzuca pośpiech i zmienia wgląd w obrachunki, a formuły w formularze.

Nasz świat mnóstwem sposobów skazał się na notoryczne traumy oraz notoryczny lęk, organizując kulturę w mechanizm śmiertelnego boju; mnożył instrumenty zagrzewania do boju. Mnożył formularze. Samopoznanie poddawane uporczywej terapii, ustawione w standardowy rytuał pokuty, sędowane instytucji, pod wieloma względami zaczynało przypominać dzisiejszą uporczywą terapię szpitalną, w jakiej – co wstrząsająco trafnie wydobyl Jarostaw Barański posiłkując się przykładem litografii Andreasa Paula Webera *Stacja intensywnej terapii* – chorzy już sobie nawzajem nie udzielają wsparcia, także ich bliscy pomoc redukują do posłuszeństwa rozporządzeniom „fabryki zdrowia”, gdzie personel mocuje się z pacjentem, lepiej wiedzący, wsparty na autorytecie nauki i agregatu jak na Biblii.<sup>7</sup>

Melancholia była jednym z mechanizmów śmiertelnej walki.

Upewniała, że realny świat niewart życia pełną piersi. Stała się zbędna dopiero, gdy dystans wobec świata zagroził marazmem. Walka domagała się waleczności, biegłości w rozpoznawaniu nowych wcieleń zła. Nikt nie mógł zwiesić rąk stwierdziwszy, że świat go nie nęci, a zatem nie wzbudza agresji. Zatem, uznano brak agresji za chorobę, działania to przeciw burzeniu. „Wygodniej jest uznać, że człowiek, niepotrafiący intelektualnie uzasadnić i nadać sensu wym

działaniom, jest chory, niż przyznać, że chora jest cała kultura, w której żyje. Odwagę stwierdzenia tego miał jedynie Hipokrates. Dziś bowiem medycyna to nie tylko reakcja na dewiacje organizmu biologicznego, którego patologię wyznaczają normy medyczne, lecz również reakcja na dewiację intelektualną – na odstępstwo od normalności ideologicznej.<sup>8</sup> Zatem, pogarda dla chorego na ciele czy na duszy, choćby na zanik agresji wpisanej w wolę walki, fizyczne i moralne jego zniewolenie, obwieszca „własną rację”; tak jak medykom nie chodzi już o kondycję życia ratowanego, a tylko o to, kto decyduje o zgonie: choroba czy też medyk? – tak Inkwizytorom nie o to, czy delikwent zacznie żyć serdecznie, ale o to, kto rozporządzi nazwaniem jego win i jego życiem po śmierci: Diabeł czy uczyony Inkwizytor.

W istocie, wyznania synów marnotrawnych od czasu św. Augustyna są, pod pozorem spowiedzi, katechezą w znaczeniu terapii cudzych myśli, słów, czynków oraz zaniedbań. Są nadto rezygnacją z omylności samostanowienia, przykrojeniem samopoznania (to antyczne pojęcie ujawni się dopiero w XVIII wieku) do cudzych formuł, mianowicie do formuły wiary już jako funkcjonalnej technologii terapii, a nie czci.

Reagowanie więc na słowo o sakrum – zamiast na sakrum.

Tę funkcjonalność czynienia wyznań wychwycił Boy-Żeleński rozpatrując Wyznania Jeana Jacquesa Rousseau: „pielgrzymki wiernych ciągnęły do azylu ‘filozofa’, szukając u niego kabalistycznego słowa, kreślącego wytyczne linie wychowania nie tylko ludzi, ale i całych narodów”, po czym, choć dzieło popadło w zapomnienie, trwał w najlepsze „istna orgia” wystawiania na pokaz swojego ja, „objaśniania” samego siebie, „ekshibicji najtajniejszych drgnień swej istoty, wypełniająca znaczną część literatury XIX wieku”, gdzie wszakże nikt nie dorównał Rousseau „w bezwzględności, powiedzmy w bezwstydie. Trzeba było tej chorobliwej, do ostatecznych granic wybujałej pychy, a zarazem tego jakiegoś żaru wewnętrzznego, podnoszącego chwilami napięcie tonu Wyznań istotnie niemal do sakramentu spowiedzi, aby pisać w ten sposób o swoim życiu, z jakimś dziwnym przeświadczeniem, iż szczerłość tych kart oczyszcza je z ich szpetoty, a zarazem z całą naiwnością.<sup>9</sup> Samopoznanie poza chrześcijaństwem widzi w „oczyszczeniu” skutek zgoła uboczny, nieoczywisty; poznanie jest samo dla siebie, po to, aby percepcja w ogóle miała sens. Jeśli go nie ma, pro czy też antyspołeczna droga antagonizuje.

Rousseau tak jak Augustyn, zetknięwszy się ze społeczeństwem, „nie wszedł w nie, ale je rozwałił.”<sup>10</sup>

W jaki sposób? Wbijaniem ostrza cyrkla, jakim stało się ego. Katecheza jako terapia zaprowadza hierarchię uczestników dialogu, ich ego, terapeutę i pacjenta. Wyznania nazywane zaś spowiedzią poprzedzają na tym jej dialogicznym aspekcie, doceniając rolę spodziewanego odbiorcy.

Co się tyczy sztuki, to dobrze wskazywać na sposób, w jaki żyje ona pośród

swoich pewników. Tylko niektóre dzieła sztuki elitarniej poza ten świat transcendują, pozostałe nigdy – żadne wtedy nie jest bytem samowolnym, bo stanowią jednostki strukturalne w zamkniętym świecie Systemu 11. Wyznanie za pośrednictwem sztuki biegnie fakturą, półcieniami, dysonansami, reakcjami na inność oraz błąd w sztuce, skwapliwością w stawianiu na piedestał. A także melancholią. Tę skojarzono z nieporadnością wlotu ponad kondycję ludzką albo ponad troski. Perswadowano. Tłumita wigor. Bezduszną! Hamlet traci animę – Ofelię, duszę. Oktał Brygidę u Alfreda de Musset w *Spowiedzi dziecięcia wieku*. Emil Cioran wyrazi się: „...instynkty zużyte, wytarte; fundament duszy podkopany (...) aż do nieuniknionej wygaśnięcia<sup>12</sup> oraz „Chandra agonii<sup>13</sup>”. Prowadząca koniec końców do *być czy nie być?*, stanowiła melancholia przeciwieństwo entuzjazmu. Owszem, celebrowana przez romantyków, eskalowana aż po letarg, obłąd albo samobójstwo, co jednak, zauważmy, fizycznie eliminowało melancholika. Dziś taki stan nazwano depresją. Nasze medycylnicze ideologie oferują cały zniecierpliwiony kram antydepresantów.

Wróćmy do Dürera. Wypunktowane przez Dürera przedmioty w tej roli zawiodły.

Radosnego dziecięctwa nie przywrócić ani drabina pobożnej walki Jakuba z Boga<sup>14</sup>, ani obeznanie z geometrią, jakie platońską Akademię wystylizował ponad padół przyziemnych Homo sapiens. Ani narzędzia Wielkiego Konstruktorza. Ani przybyły na ziemie frankońskie z Chin przez Indie, Armenię, koptyjski Egipt, mgliste kraje Irów i Piktów wreszcie, dzwon – kute ze żniwanych blach *signum*. Najstarsze zachowane do dziś w Europie *signum* ze znaczenie odeń nowszego kościoła św. Cecylii w Kolonii (obecnie muzeum sztuki średniowiecznej), wykonano w ten sposób gdzieś około VIII wieku: wtedy dzwony-znaki u benedyktynów kształtem przypominały stromiany ul pszczeli. Regulowały sakralną gotowość. Dla szlachetniejszego dźwięku nadano im później formę zbliżoną do spiczastej głowy cukru, pisze salezjanin ks. dr hab. Janusz Nowiński<sup>15</sup>. Święta słodczy oraz ul i jego Delta Świetlista, do tego jeszcze meta-płociowość iście anielska pszczoły-robotnicy (jeszcze wrócić do anielskiej płci) to pogłos praczasów, kiedy nie znano wina i robiono miodową sytę jako napój ekstatyczny. A mimo, iż wytyczył zasięg chrześcijaństwa (i może właśnie dlatego, podświadomie) i, choć dla walorów brzmienia wzbogacano brzą dodatkami srebra, nawet złota, i choć „głos dzwonu starożytni Grecy związali również z rzeczywistością Śmierci (uważali, że dźwięk spłiżu swą boską naturą przetraca doczesność)<sup>16</sup> a z czasem powstały całe muzyczne koncerty na karionach po co najmniej 23 dźwięki, to u Dürera należy do **przedmiotów rozczarowania, niedosytu bądź przesyty** dzwon-regulator materializujący czas, dozownik łaski Bożej, znak, znamię, pieczęć, zawłaszczyciel krajobrazu dźwięku, spychacz demonów, kantor świętych słów wkodowanych w imiona dzwonów na dzwonnicy – każdy miał imię, np. Asumpta, Zygmunt, Acroceraunia<sup>17</sup>, Emanuel (on jedyny w paryskiej katedrze przetrwał rzeź, jaką dzwonom zgotowała rewolucja, przetopiono je bowiem na armaty, bagnety oraz gilotyny, aby walczyły w szeregach ludu mszcząc krzywdy ze strony feudałów) – ba, wbrew biskupom zabobonnie bijący po struchlałych wsiach i miasteczkach na ratunek zaćmienemu Księżycowi.

Czemu?

Melancholijny anioł odtrąca obręcz czło-

wiecznego horyzontu – horyzontu nadanego produkcją rzeczy (także intelektualnych wytworów), innymi słowy jest zdystansowany do formuły kultury blokujących alternatywy samooznacze, w jakiej zaczęły niemiłosiernie już uwiierać przykładowe „samoistne”: lotos, wąż, dąbrowa, półksiężyc, konstelacja gwiazd, zęby, krew, wąż, wulkan, ciemność, srom albo fallos.

Tu jednak zastrzeżenie. Jeśli świat symboli to struktury psychiki, a chrześcijańskie **nie są wymysłem ludzkim lecz przeciwnie, „wiele z nich występuje również w naturze i da się je dostrzec poza widzialnymi granicami Kościoła, tak więc można o nich powiedzieć, że są one sui generis ewangelij i sui generis sakramentami dla tych, do których spisana Ewangelia i Sakramenty Kościoła nie docierają<sup>18</sup>**, to z pewnością Dürer wskazał nie tyle na symbole, co na alegorie, gdzie między cielesnie tożsamymi dzwonem i gilotyną (jak między męskim a żeńskim w Hermafrodycie) sprzeczność jest dynamiczna, co wzbudza lęk. Wskazał nadto wyjątknie dzieła człowieka; bydlę a zwłaszcza „głupie” to zwierzę psychicznie i cielesnie zmodyfikowane do potrzeb hodowcy, bez samoistnej wartości, bez autonomii zwierzę-produkt, towar.

Pytaniem pozostaje, czy Dürer wystrzegł się np. Węża i Fallosa? Wszak Anioł (oraz Melancholia) to jego autoportret psychiczny. Każde dzieło jest umysławialnym przedłużeniem twórcy; w przypadku odbiorcy przedłużaniem siebie o obce tworzywo, co może zakłócać psychofizjologię jak źle dopasowana proteza. Sztuczne wstawki zwykle też po prostu odpadają, nawet tego nie zauważamy.

Pozostawiaę na boku osobistą uczuciową porażkę, tak jak uwikłanie się tego twórcy w spory co do istoty sztuki (nigdy nie ukończył swojej wieloletniej pracy nad rozprawą o estetyce); w jego epoce istotę sztuki czy też piękna utożsamiano z zadaniami, powinnościami. Oraz normą. To norma u zarania renesansu uwierzytelnia duchowe wykwiły i wykwiły, tę scyntyfikację mistyki w alchemicznych pracowniach, w skrupulatnych wyliczeniach numerologii, medycynie, procesach kanonizacyjnych, dociekaniach teologów. Renesans odrzuciwszy mało higieniczne praktyki cielesne mniszej ascezy, zaordynował w rzeczy samej umartwienie umysłu, z czasem dumnie opornego już wobec intuicji tak jak ciało było wobec seksualności – zamienił płochą duszę na stabilnie nieomylnego Ducha. Nagą seksualność przykrywała sztywna etyka, nagą intuicję – sztuka podrasowana Rozumem jeśli nie filozofów, to bodaj krytyków i marszandów. To wtedy człowiek z winowajcy wobec Stworzyciela zamienił siebie w koronę stworzenia. „Duch jest bowiem dumą, emancypacyjnym przeciwieństwem natury (...), oderwaniem się od niej, oddaleniem, wyobcowaniem; jest tym, co z całej reszty życia ograniczonego wyodrębnia człowieka, tę istotę w znacznym stopniu oderwaną od natury<sup>19</sup>”.

A dyskurs w samym Dürerze Renesansu z Gotykiem? Przede wszystkim, gdy ścierają się ze sobą światopoglądy sakralne i filozoficzne, traumatyzowane, agresywne więc, to zwykle żadna ze stron nie ma siły ani czasu, by dostrzec **ja własne** pośród, jak wyraził się Michał Fostowicz, tłumacz Blake'a i Lao Tsy, „wytworzonych przez własną dryfującą jaźń fantomów nauki i sztuki”. „Doświadczenie rozproszenia jest dla jaźni rozpadem jej królestwa, przestaje ona integrować wrażenia zewnętrzne, co stanowi kryzys władzy, popadnięcie w chaos, fragmentaryczność (...) Rozproszenie jest wyjątknie stanem niepełności, bezsilnym zawieszeniem po-

między Ja i nie-Ja.<sup>20</sup> Ba, „**nie należą też do jaźni narzędzia, wehikuly, strzępy funkcji czy tekstów...**”<sup>21</sup> Tam, gdzie nastąpi fragmentaryczność ja bądź symboli, tam zawsze elementy się rozspychają. Tam sztuka skulona, pod pancernem Rozumu wstydlawie skrywa świeżą intuicyjność, wszakże staje się swoim widmem. Dmuchnąc i – zniknie... Chaos oddał Dürer stłoczeniem alegorii czyli symboli fragmentarycznych, fantomów samowiedzy. Wolno mu było wszystko poza wątplieniem w wyższość państwa i cywilizacji nad jednostką oraz kolektywnego sumienia nad samopoznaniem.

Na *Melancholii* z 1514 roku, nieco w głębi pod szalami wagi siedzi wpatrzony w Melancholika tłusty anioł-dziecko. Alter ego? Ja i nie-Ja?

Pokazana przestrzeń jest zapchana, jak rzekłam, przydziałowymi alegoriami-aluzjami. A z czasem coraz więcej ich będzie. „W mieszczkańskich mieszkaniach Europy pierwszej ćwierci [XX-go] wieku dżungla nieożywionych przedmiotów! Liany przeplatane frędzlami, tkaniny na stołach, pod którymi kryjówki i groty, lasy bambusów, obfitość akantów, lilii i irysów na meblach 'modern style', ich nogi powtarzające organiczne spojenia roślin (...). Sztuka objawia się dziecku w kredensach-katedrach, w czarnych chimerach na 'renesansowych' meblach; i można jeździć na lwach, które stanowią fałszywe wsporniki gotyckich szaf”, pisał w numerze 108 „Zeszytów Literackich” Konstany Jeleński: czuł, że ów ścisak niczym sen wyzwała z kokonu wzorców znormalizowanych, bo zastępuje je własnym bezładem.

Lecz jeśli niemoc i przynębnienie płyną z samego Anioła, to cóż począć z orzeczeniem św. Ambrożego (zresztą patrona pszczelarzy), iż teologia oznacza istoty anielskie symbolem „ognia, który jest symbolem materialnej doskonałości boskiej, ze względu na podobieństwo ich działania z działaniem Bożym. Wszędzie mają oni dostęp, wpływają na stworzenie, sami nie ulegając wpływowi stworzenia. Ich działanie jest ukryte, niewidzialne, gwałtowne, wszystko zwyciężające własną siłą (...), odnawiają wszystko, oczyszczają, wznoszą do Stwórcy. Dzieli się oni swoją doskonałością ze stworzeniem, sami nie doznając żadnego uszczerbku, nie ubożeją<sup>22</sup>”

Dürer pokazał niedostępność wytworów techniki dla łaski Bożej: materializację potępienia z firmowym logo człowieka, bo, wybiegając w przyszłość aż po Sztuczna Inteligencję, zaczęlibyśmy pytać, czy i ona może być zbawiona? Czy, skoro jest tworem umysłu, może mieć psychikę, której umysł to przecież tylko jeden z przejawów?

A teraz płeć bohatera Melancholii; anioł pozostaje w naszej kulturze androgynem.

Ma zwykle delikatną twarz, jasną, na policzkach „biel i róż prześciga blaskiem majową różę w dzień rozkwitu”, jak zalecali dawni nauczyciele malarstwa; subtelne rysy, włosy mu opadają w miękkich długich puklach. Nawet w scenach wygnania z Raju, dla przykładu na mozaice z przełomu XII i XIII wieku w katedrze Monreale (jego ręce wypychające Adama zdają się rozluźnione, właściwie tylko uniesione kolano wskazywać może na siłowy napór). Gdy go ukazywano w półpancerzu lub pełnej zbroi (przy zawsze odstępnej przyłbicy), wydawał się kryć pod jakąś maską. W Melancholii trzyma cyrkiel na podółku, jedno z ostrych ramion kierując ku (ewentualnym) genitaliom pod pokrywą rozłożonej księgi. Zakreśla jakiś krag? Próg?

Ale nawet nagi u Giovanniego di Paolo, nie ma anioł bezsprzecznych znamion męskości.

Dla jednych to zgoła brak płci. Ongiś →

pełnia obu płci: jednoczesność i Hermesa, i Afrodyty, zlane w jedno, a tym samym będąca właśnie ekstazą – ten grecki wyraz oznacza dosłownie przestępstwo, gdyż mamy występki poza kordon nieprzekraczalny dla nas, już tylko ułomków pierwotnej jedności, jaką utracili szczęśliwi mityczni ludzie „złotej epoki”: rozpadli się na niego i na nią, odtąd też szuka każde z osobna swojej pary, brakującej części Ja. Lub (zresztą jak i Dürer) zakładają swarliwe stadło z nie-Ja. I z niedoświadczaniem tak w kobiecości jak męskości, łatanym taką czy inną brawurą podobojów, sukcesu, skali „mieć”. Melancholicy Tristan, don Kichot, kawaler de Grioux, Fantazy i ich następcy aż do modernizmu, pozwolili wkraść się sobie do głowy jakimś żeńskim mazgajstwem, „nowym Dejanirem”<sup>23</sup>, zwyciężającym nawet Herkulesa – kosztem prawdziwej męskości.

Za płciowością, za niedoświadczaniem i za apłciowością anioła odkrywamy zawsze mit. Hermafrodytye towarzyszy więc jeszcze jeden mit, o młodzieńcu, wybranku wodnej nimfy: uprosiła ona bogów, aby na zawsze złączyli ją z nim w jedno ciało; ten akt złączenia wiązalnego z niewidzialnym, wykroczenia poza ego, dokonał się w głębokim źródle, czyli w lustrze, zapowiedzi Początku i wiecznego powrotu do Początku oraz pełni samopoznania, ale już nie jako wyizolowanej jednostki, tylko „wybłytku ontosu” – inna pięć może upostaciawiać wszystko inne aż po kosmos względnie tajemniczość istnienia oraz zaistnienia (wbrew całemu matematycznemu nieprawdopodobieństwu tego, że akurat tacy cielesnie i psychicznie przychodzimy na świat). Hermafrodyta był(a) bóstwem weselnym, wielbionym w czułych epitalamiach<sup>24</sup> i swawolnymi przyśpiewkami. Jedność wiązalnego z niewidzialnym i dwóch naraz przeciwnych stron daje lekkość nieznośną lub kojącą. Jego/jej rzeźba, autora nieznanego, wykonana w piaskowcu, zdobi południowy taras Pałacu na Wyspie w Łazienkach; inne ujrzymy w Łańcucie, Wilanowie i Luwrze. Tchną spokojem.

Samo słowo „anioł” jest greckie; to „po-staniec”. Hebrajski odpowiednik wiedzy, generuje zmiany. Oddawany wykrzyknikami: *ognisty!*, *palący!* – trwożył, ba – hipnotyzował. „Szedł przed nimi podczas dnia, jako słup obłoku, by ich prowadzić drogą, podczas nocy zaś jako słup ognia, aby im świecić” [Wj 13, 21]. Z tego narkotycznego światła lub żaru w tradycji chrześcijan pozostała aureola i osobliwe *nie lękaj się*, powiedziane do Maryi w chwili Zwiastowania [Łk 1, 30].

Hermafrodyta u Owidiusza był synem Afrodyty i Hermesa. To on zapewne dał inspirację dla znanej nam konwencji anielskości ani kobiecej, ani męskiej. Zmieniliśmy „i” na „ani”, ponieważ przyświecała nam inna koncepcja seksualności. Po wykluczeniu obydwu życiodyjnych tożsamości takie czy inne cechy ciała przyoblekają pustkę; jedyną bezsporną namiętnością aniołów Starego Testamentu<sup>25</sup> było postuszeństwo w dokonywaniu egzekucji, wydawaniu poruczeń, nieubłaganym pełnieniu straży. Tu wróć do anioła-bobasa z *Melancholii* – w podobnej pozie pokazanego, co Melancholik, i do Ciorana: on w melancholii zdawał się widzieć „porażenie”, problemy melancholika „przenikają do jego instynktów, zwątpienia – do zmysłów, niepewności – do odruchów. **Ciało zaczyna odczuwać interwencje ducha. Dekadencja biologiczna to nadmiar racjonalności w automatyzmach**”<sup>26</sup> – co odczytujemy w perspektywie zamiany pełni-dwójni płci na jej zupełny brak. Ten zaś jako efekt zredukowania mitów do towarów na rynku – towaru luksusowego w epoce Dürera, acz powielanego już

prasą drukarską w bezlik kopii. Anioł-Bobas jest kopią wypraną z radości dziecięctwa. Kpiąca pustka więc albo jednak ocalona w zbiorowej pamięci jedność poza obsesją przeciwieństw; tylko anioł ma prawo występować w scenach historii świętej. Gdyż tylko on nie zaśmieca narracji swoją taką czy inną „treścią płciową”, nie odchyła przekazu w sensy ponadawane płci konkretnej. Tak odczytane Zwiastowanie potwierdzałoby pełnię męskości tożsamej z dziewczęco-matczyną i prastarą pełnią tego, co kobiece.

Problem w tym, że sedno anielskości poza płcią (i świętej pustki) wyrazić potrafimy, my, ludzie Zachodu, raczej już tylko pojęciami taoistycznymi, tantrycznymi. Właśnych, przynajmniej zwięzłych i oczywistych, wolnych od wszelkich założeń racjonalnych, nam zabrakło. Możliwe, że po prostu nie doświadczano tu lekkości bytu, zbyt obciążonym było się poczuciem winy, w jakim ugrzęzła, zawsze chcąc się udoskonalać, karcąca kultura Zachodu. A zatem, anioł z *Melancholii* to tao gdzieś w naturze ludzkiej „wciąż”, „jednak” obecne. Przynajmniej dla Albrechta Dürera. Tao więc reaguje na wrzask rzeczy, na wrzask ksiąg, technik, dyrektyw i gotowych do użycia **sposobów** – a to znaczy: stereotypów, skrótów, norm oraz instancji arbitrażowych. Tao ich nie potrzebuje. Tao jednak obrośnie w jakiś liszaj, kiedy chcemy je pochwytać i zaszeregować.

Możliwe, że jedną takich narośli – kulturowych czy cywilizacyjnych – są przedstawienia mórz, nieomal zawsze zaprawione melancholią z przestaniem, że (to najgłupsza z sentencji lat ostatnich) „świat jest jakiś nie taki”. Bo śmieje się w twarz naszemu poczuciu własnej ważności, naszej uprzywilejowanej pozycji we wszechświecie, choć przede wszystkim w społeczeństwie, w komforcie kosztem zdewiowania natury i zamiany, obrazowo powiem, dzikiego zwierza w bydłę – zbydłecenia go więc, a do tego pretensji, by takim pozostał.

Po polsku wyrazy „świat”, „świątość”, „świt”, „świętość”, „świnia” mają jakieś współbrzmienie, kojarzą się z nasyceniem, obfitością. Świnia nie pasuje do schematu. Świnia, swoista *upadła* bogini-macierz, symbol strącony do rzędu alegorii, dodam, jest już bydłeciem do konsumpcji. Zmodyfikowanym, wytrzebionym z dzikości dzieci Bożych, co mówię w nadziei, że dla czytelnika sama przynajmniej Biblia zachowała jeszcze coś z dzikości Bożego dziecka, toteż dopuścimy płodność, obfitość, bystrą inteligencję, wszystkożerność fal elektromagnetycznych, bombardowania fotonami, wszelki oksymoron. Po to właśnie sięgamy po symbole: ze względu na ich „zdolność do wyrażania sytuacji paradoksalnych czy pewnych struktur ostatecznej rzeczywistości, nie dających się wyrazić w inny sposób”, jak konkludował Eliade refleksje o Androgynie, istocie Kluczowej w mitach i rytach Wtajemniczenia. Androgyn przedstawia „paradoks przejścia z jednego sposobu istnienia w drugi” i dlatego właśnie tylko on może być „postańcem” treści prawdziwie świętych.

Energia w przeciwieństwie do materii jest ciągotą, jest jednorodnością i nie da się rozbić, rozszczepić, rozkawałkować. A jednak widmo światła okazuje się mieć przerwy i dziury. Jak wyznawanie o sobie prawdy.

Morze jest też androgynem. I Bożym dzieckiem. Jest ciągte, jest jednorodne. I pod działaniem światła objawia przerwy i dziury, i powołutenieku znika. Morze jest aniołem. Upadłym aniołem. W mitologii mezopotamskiej to Tiamat, koszmarna

wszechpostaciowa prabogini, po upadku rozpruła na wojny, zarazy, gradobicia, susze, komety, morza, oddawana rzeźbiarsko pod postacią świni w Kanaanie, w Italii. Komunia przeciwieństw. Jak przymiot *światłości* w imieniu Lucyfer. Tiamat u zarania ontosu, a w naszym już eonie w Akadzie opatrzona imieniem władcy wód podziemnych, zwanego Ea; tenże Ea w wyobrażeniu Leonora Fini jest urodziwą kobietą o twarzy lśniącej jak księżyc, siwą, która na czarnej maszynie do szycia, takiej staroświeckiej, z kołem, zszywa jakąś czerwoną materię – płachtą sphywa fałdami na ziemię. Jeśli morze „czyni” owa Ea, to widzimy morze czerwone, morze przejścia, wyjścia w coś innego. Jest Ea na obrazie bez reszty pochłonięta swoją czynnością – tworzeniem zastony. Tak, jakby materia była ilorazem energii do prędkości, zastoną, zazdrostką, kwefem, kurtyną.

W teatrze zdarzenia pojawiają się spod kurtyny – i znikają z jej zapadnięciem. Jak gdy otwieramy i zamykamy oczy.

Anioł pojawia się i znika. W Biblii morze pojawia się i znika. Ewangeliczne wydarzenia są, przynajmniej w Galiei, wirowaniem wokół morza Galiei, stąpieniem po nim, po jego strunach. Genezaret – Mały anioł. A z większości gór tamtejszych widać to wielkie, Śródziemne, po jakim mkną angielosowie, mkną całymi odyszejami: Wielki anioł. Księga Jonasza wyróżniła osobną pieśnią, że morze tak naprawdę to Otchłań. Cały II rozdział tam mówi o Otchłań, sercu wszak świętym w Jeruzolimie, zarazem o Pierwotnej Jaskini, w jakiej rodzi się Świątość. Otchłań nie mieściła się w teologii chrześcijan aż doświadczyli Ziemi Świętej, w krucjatach. Tak więc rycerstwu przyszło jej zaczerpywać z Groty Betlejem<sup>27</sup>. Zresztą, Hermafrodyt w *Przemianach* Owidiusza też był karmiony przez nady w grocie ldy, świętej góry Frygii. W grocie więc albo dziurze, u Jonasza tożsamej z tonią psychiki, z przerwą-luką w pobożności, a w Betlejem – ze zbawieniem i w istocie kluczem do ja, gdyż i te odległe figury: betlejemską grota, otwór Otwarcia oraz brzuch przedwiecznej bestii, integrują się jako powrót w esencjonalne życie.

Czy pejzaż morski albo i tylko motyw morza stanowi jakieś wyznanie? Samopoznanie?

Czy oddaje coś z dziecięcia wieku?

Jeśli przyjrzeć się morskemu pejzażowi, u Dürera zamiast Tiamat czy Techom zobaczymy przystań, rząd łódek z gotymi masztami i masywną zabudową nabrzeża. Baszta spichrzowa albo celna. Kamienie kupieckie. Słoczenie. Catość ma surowe, wyraźnie militarne oblicze (wyraz „kościół” pochodzi od „zamek”); kultura po Antyku faktycznie, zmaga się nieustannie z kimś i czymś, w poczuciu, że moment błogiego zapomnienia, rozkoszy, a spadnie kara boża. Dürer inne swoje morze uzupełnił przywołując w tle krwawe wybłyki podczas ucieczki Łota z Sodomy. Lub – i to dzieło jest bodaj najciekawsze – *Dziwo morskie*, powstałe około roku 1500: melancholijna naga piękność półleży w kontrapozycji, przy niej starzec, po drugiej stronie kanału mur obronny, wieże, urwista skała i na niej klasztor lub zamczysko. Ta dama nie jest Koszmarem, Tetydą. Ten starzec nie jest Kronosem, Okeanosem. Co najwyższej Amfitryta z Posejdonem, odczytani w duchu klasycznych kanonów mitologii (kiedy mit z tajemnicy rytuału stawał się neutralną religijną opowieścią), ale też para ta może ująć za antytezę uzbrojonej cywilizacji. Nie ma tu nawet piany, z jakiej mogłaby wynurzyć się Wenus, a w kuszeniu nagością jędrnych piersi ani śladu zabawy, rozigrania. Jest dostojność.

W polskim natomiast współczesnym mo-

rza portrecie (przedrobiorowa Rzeczpospolita go nie praktykowała) jedni twórcy przedstawiają je autonomicznie (niekoniecznie świadomie sięgając po techniki sztuki tao, jaka pędzelki, pigmenty, kanwy, przypadkowe kropelki czy paprochy przyschnięte do tła, ma za osoby i to boskie), inni zaś, dominująca większość, łączą je nierozdzielnie z kulturą, z aktualnym poglądem na świat, który „stylizuje” materię. W tej stylizacji aż roi się od skojarzeń z ekonomią. Malują więc porty, rybaków, kutry, sieci, plaże i plażowiczów, mola, bulwary, dźwigi, żaglówki, konwoje, wraki, morskie demony mniej lub bardziej udomowione mitologicznie.

Ba, autoportret „morzem”! Bronisław Wojciech Linke, przyjaciel Witkacego, w *Morzu krwi* z 1952 roku „wydobył” czaszki, ochłapy ciat, na niebie zaś mroczną trąbę powietrzną: od wojny wizję tę dzieliło mu ledwie siedem lat, jasne, że dał w niej upust nagromadzonemu traumom, zresztą wczesniejszym też – I wojnę światową i początek rewolucji w Rosji widział znad Bałtyku, z Dorpatu, miasta o tyle nerwowego, że chlubiło się uniwersytetem, starym, ściągającym Niemców jak przyszyty noblista chemik, muzyk i malarz Wilhelm Oswald, przy czym setkami Polaków tej miary co Tytus Chałubiński, Ignacy Baudouin de Curtenay, Benedykt Dybowski i Aleksander Czekanowski. Burzy się w takich głowach; zima 1917/1918 była ciemna i pełna strachu. A to znaczy, że toczące się wypadki, rewizje po domach, wiece, strajki, burdy, pożary, dotknęły go, że zmiesiły mu niebo z ziemią, z jelitami, gruzem, kwikiem końskim, nie tyle w obraz Piekła jak Parandowskiemu, lecz w gnijącą breję.

Morze to doprawdy jak śluz, co wycieka z rozłażącej się, robaczywej gomółki – tyle, że to robale to anioły. Tak przynajmniej odkrywał Carlo Ginzberg<sup>28</sup>, mediewista, jaki wniósł ekscentryczną lecz wspaniałą metodę badawczą: studiowanie szczegółów wydarzenia tak pedantycznie, jakby miało to do czynienia z organem anatomicznym. Tak więc, powtarza Ginzberg z zeznań składanych św. Inkwizycji, anioły poczęły się z robactwem, dzieworódczo, a morze to właśnie wypisz-wymaluj, breja.

Jerzy Nowosielski we *Wschodzie słońca na plaży* (1983) zredukował morze do jakby czarnej miski, znad której wyskakuje czerwona kulka; na pierwszym planie smukła, ciemna, z uniesionymi nad głowę ramionami jak w tańcu, kobieta tyłem do patrzących; kobiecej akt dla Nowosielskiego to sakrum – związek z morzem tej postaci można jedynie domniemywać, wszakże jest ludzka. Antropocentryzm? A jeśli ta postać szepce: morze to moja żeńska Ja? Tak więc: ja, mała miska Ja i ja żeński? Eugeniusz Zak pokazał w *Rybaku* (1922) melodyjnego w liniach chłopca w spiczastej czapeczce, z wędką trzymaną jak batuta i srebrzystą rybką w drugiej dłoni, ze stopą wpół zanurzoną do wody zatoczki, gdzie szuwały zdają się jak drzewa – wypuści tę rybkę? Nie wypuści? – na jego ojczystej Białorusi rybki to kobiety zaszczute za to, że kochały, utajone ruszałki, co natchnęło Mickiewicza do ballady. Dotykanie Ja ostrożne, gotowe się cofnąć w każdej chwili? Zdzisław Beksiński nad lodowatą wodą pełną czaszek (olej ten z 1973 roku tytułu nie ma) umieścił podwójnego anioła z mieczem w ręce – do pleców postaci zdaje się przylegać jej duch. Czyżby anioł miał ducha? Jak ten Dürerowski? Albo Ja i nie-Ja? A może duszę ma anioł? Dusza duszy nie mogłaby nawiedzać, opętać...

Cóż z tego, że figurom ludzkim, że pewnym rekwizytem kulturowym nadamy wieloznaczność? Jeśli symbole konstruują

psychikę w tym stopniu, że bez nich nie da się myśleć (a może i czuć), to najwyraźniej mnożą się z postępem techniki; jako unowocześnione stalowe siekiery odrąbałyby ducha Einsteina albo Jezusa od Einsteina, a Einsteina od Hawkinga.

A morze samo w sobie? W tych pracach morze pozostaje symbolem. Lecz jeśli nie sobą – symbolem nie jest. Alegoria to symbol mniemany. Pojmowalny dopiero na drodze edukacji. Pochrząkowanie o metafizyce, by ją sprowadzić do socjalności. Bohdan Borowski we *Wraku* z 1975 namalował drewnianą burtę obrośniętą morskimi glonami tak, jakby była twardą morza ścianką – znowu chodzi o coś innego niż morze, to zaś da się redukować, pomijać... Stefan Wegner w ciekawym bez wątpienia *Pejzażu morskim* (1935) pokazał żywioł „wyjęty z ram” – linie fal kojarzą mi się tu ze zwojami mózgu. Wspomniany Ea był oho, mędrcom; był „organizatorem świata”, zaprowadził na świecie porządek. Czytelnik pozwoli, że uwolnię skojarzenia... Ea, bóstwo ciemności? Jak zrodzony w ciemności Apollon? Ale wszelkie groty narodził nawiązując do przybycia z krainy ciemności, krainy cienia, krainy luster, gdzie ostatni będą wywyższeni, a mocarze strąceni.

Anioły (w mózgach inkwizytorów?) w robactwo?

Robactwo w anielskość?

Mityczne dzieciątka narodzone w grotach przedzej czy później zstępowały do piekieł.

A u Józefa Strzeńskiego *Pejzaże morskie* (1933 i 1934) fale i chmury w barwach sino-błękitnych – nieodseparowane, zachodzące na siebie jak w zwierciadłach – przypominają partyturę. Ściągnął falę niesmaku Andrzej Urbanowicz, kiedy na *Przypływie* (1972) wybiegł przed awangardę (czyli zdaniem awangardy za daleko), zaniechał wszelkich środków wyrazu „nowoczesnych” wywołując niekończący się ciemny klif z mnóstwem zatok i walący weń żywioł – bo jak z pocztówki. Jak z pocztówki zrobionej wodom prastworzenia. Pustym, nieludzkim przez cały cykl, gdzie morze jest tao, jest androgynem, jest kwintesencją melancholii, ale w znaczeniu pogodnego trwania poza psychiczną *technę*. Zawieszono między niebem i ziemią, pozostaje najgłębszymi otchłaniami tego kosmicznego ciała, aczkolwiek jednocześnie i powierzchni. Obywa się bez „świata”. Odbija w sobie morze gwiazd. Przyjmuje w siebie gruz kosmiczny. Krąży zgęszczeniami atmosfery, wiruje cyklonami, mknie trąbą powietrzną, wylewa się monsunami, staje dęba u Hiroszime, cytowanego przez Urbanowicza. Ta prastara melancholia istnienia jako bólu, jako błędu, jako obędu świętej Pustki, wejścia w uzależnienie, w powoływanie nowych bytów – choćby plazm, gdzie zaczynają mutować białka, gdzie wymknęły się nieożywione materiai pierwsze i wszelkie Żywe, a pośród nich wszędzie, choćby w ziemi Kanaan, gdzie pościągali Ludy Morza, czczona, powtórzę, pod postacią maciory, Nasza Pani z morskiej piany.

Akt kobiecej też upostaciawia melancholię. Urbanowicz malował Jej wytryski, jak gdyby Ona była androgynem, aniołem: przekazicielem ze Źródła. Zatem i anioł, i akt też są leczono, bo działają depresyjnie. Anioł nie dorasta do Boga, na obrazkach kościelnych dzisiaj stał się przedszkolanką. Kobieta naga, z morzem w tęczęwce oka, patrząca w oczy widza, zmienia się w rewolucję idei, zasmuca ideały, narzuca idee. Wymyka się z ja. Świat to melancholia. Uciekamy odeń w raj drugstore'u. W setki wypaczonych wizerunków, jakimi uszczęśliwiała nas sztuka. A sztuka zawsze rozkłada nam

ręce, niepewna: być czy nie być?

**Sennym brukiem**

Oświecenie senne to piękne jak sen upodobanie w czymś przeciwnym niż rozum (zwłaszcza niż intelekt), zabawa w nieco roztrzępaną pochwałę głupoty, chociaż lepiej nie robić sobie złudzeń, że nastrojowość snów będzie mało poważna. Szepnie raczej z miną zakochanego Oscara Wilde: *bądźmy poważni na serio!*

Oł, sam nastrój stąpania po głuchych kamieniach – drogę rozpoznajemy pomimo, że nic się nie zgadza. Istna klawiatura. Stąpając, i jakby się odmykały jakieś drzwiczki. Jakby jakieś lustro cichuteńko przepuszczały na drugą stronę. W świąt do góry nogami. Gdzie maluczy się wyniesieni a moiżni poniżeni. Po odkrywanej stronie więc znajomi ludzie, na co dzień mijani, okazują nam gwałtowne pożądanie lub czułą troskę; to zaskakuje, intryguje – czasem trwożąc, czasem przyjemnie (sceneria tego snu rozchyła wiele ustronnych kącików, gdzie by można uwolnić takowe nieprzeczuwane skłonności). Wyczuwalnie święte skłonności, czymkolwiek są, żądzą, zachwytem, lekką narcystyczną ekscytacją, zakłopotaniem czy odrzą. Wedle Eliadego struktury znaków sennych i faktów natury religijnej przecinają się, tworząc już własny hieroglif, tak więc cisną się na usta słowa świętego: „W wiekuiestej ojczyźnie serca błogosławionych wzajemnie się oświecają jasnością i przeświełają czystością; tam patrzy się w twarz każdego i przenika sumienie; tam żaden duch nie ukrywa się za zastoną ciątą przed oczyma drugiego; ciato też natychmiast będzie wszędzie tam, gdzie tylko duch zapagnie.”<sup>29</sup> A więc bliżutko ciata ze snu.

Tyle, że flirt w konkretnym śnie przerywa prozaiczna potrzeba, żeby pójść się wysikać. Natychmiast!

Potem bardzo trudno wrócić do nawiązanych ciepłych odczuć. Zagubienie. Znam, często z poprzednich snów (bo przecież potrafią tworzyć całe serie, noc w noc), rozkład budynku, ni to hotelu, ni to sanatorium, schroniska a może zaplecza teatru, kierując się zatem do toalet, lecz tam ustawia się kolejka, a wiele boksów okazuje się szafkami na szczołki. Za innymi drzwiami między progami a muszlą cuchnie wielka kałuża, sama muszla pełna po brzegi. Trzeba raz dwa zmieniać piętro. Tam od nowa: zamiast mniemanych klozetów szatnie jak gimnastyczne. Aż wreszcie uff, suferena z antresolą, sedes, marmurowa okładzina, umywalki, bidet – po czym nagle odkrywam, że też niezdatny – lub po chwili trzeba powtórzyć tę intymną czynność.

I od początku...

Cały obiekt (wciąż ten sam) zmienia miejsca, może krążyć po kraju od sudeckich kurortów po czemuś akurat północne dzielnice Wrocławia: tu kamienice okazują się nabrzeżem podobnym do granitowych skarp dróg dolnośląskich. Fala Odry sięga gzymsu, po jakim przyszło mi iść, a wszystko poza labiryntem tego wąskiego szlaku jest kłoką. Ostrożnie trawersując fasadę, uczepona płaskorzeźb, dotykam grymasów kamiennych twarzy, naiwne mitologiczne, jak liter alfabetu dla ślepców. Gmach ten znam niemiernie od dzieciństwa albo z jakiejś podróży, którą nazwę fundamentalną.

Mówię o rodzaju oczyszczenia, jakiego dokonać może tylko ciato. To po pierwsze. Po drugie – elementy dzieciństwa rozpoznajemy jako bardzo stare. Zmurszałe, przepiętione, zagracone, i były już takie za naszego dzieciństwa, kiedy to buszowała się po lamusach i piwniczkach, istnych

antykwaratach. Termin „bardzo stare” obiecywałoby zbawcze tajemnice, wyzwolicielską moc. To jednak biedna starość, nadmierna, daremna, bez zaspokojenia podstawowych potrzeb. A po trzeciej, właśnie fekalia powołały przemierzanie labiryntu. Są święte. Ogniskują uwagę.

Wszystkie rozsądne powody, dla jakich trafiliśmy do domu ni to turystycznego, ni to szkoły sprzed lat, ni to willi-pałaczyku znajomych (również teatru), wraz z osobami obecnymi, wraz z budzącym się (albo odkrywającym) ku nim pożądaniem, przerwany, tracą sens.

Prymatem jest samo oczyszczenie.

Oczyszczenie pilniejsze, bardziej dojmujące niż namiętność?

Po czwarte więc, w zwierzęcym świetle moczą to odcisk palca, podpis, demaskacja, znak tożsamości, wizerunek. Nie ma nic wspólnego ze skalaniem – wiele natomiast z władzą. Władzą nad terytorium. Nad przestrzenią. Ktoś, kto wacha w lesie moczą, w zakresie orientacji bije na głowę możliwości choćby leśnika czy łowcy, oznajmia swoją wiedzą-władzę. Władza osadzona we wiedzy skłoni przeciwnika do agresji, do ucieczki, do wtopienia się w tło czyli do nierozpoznawalności – nam, ludziom, z trudem przychodzi zniknąć, utracić Ja, być pominiętym. Artystom zwłaszcza. Dla artystów wydzielana (w szczególnej pozycji ciała i psychiki) sztuka bywa jak moczą: nadaje, utrwała rozpoznawalność a z nią jakiś rodzaj władzy. O tym powiem więcej, na razie tylko podkreślę, że nie każda próba odwetu, ucieczki czy zniknięcia, się udaje. Czasem kosmos w osobie napastnika, taki skroplony kosmos, nas wywęszą, dogania, ubiegnie smagnięciem pazurów. Wyjściem wtedy jest poddać się możliwie szybko. Oddać siebie jak... pilny moczą.

Rozlewamy się, opryskujemy sobą wszystko w zasięgu. Oddać tedy siebie kosmosowi skroplonemu w drapieży. Bo inaczej? Wczujmy się: istnienie przedłużane poza jakąś granicę – szukam słowa: percepcji? czucia? Poraniona mysz, która wyrwała się puchaczowi czy kotu. Tłusta sójka z rozrwanym brzuchem, wciąż żywa. Mucha ze skrzydełkami omotanymi lepka pajęczyną. W takiej fazie życie jest *abiotos*, jak onegdaj takich, którzy w Helladzie nie dostąpili misterii. Wtajemniczano tam w misteria tylko czystych – „czystym być, znaczy mieć czyste myśli”, witało w Eleusis. Od czego czyste? Od mutualności? Gdy większość myśli złych względnie brudnych wciska się nam do głów na drodze zwykłej, ciepłej wymiany „fluidów”, skoro najniewinniejszy żart opiera się na mnóstwie warstw znaczeniowych, jakie u rozmówcy nagromadziło jego z kolei doświadczenie – w tym zła i brudu? Mielibyśmy się wplątać z pajęczynki dziedzictwa i lakieru komunikacji? Zresztą, jakże nam perorować o stanach pierwotnych bez pojęcia, czym jest pierwotność, skoro sama ta nauka – etnografia czy antropologia, pojawiła się w warunkach podważenia roli sakrum w poznawaniu natury i jej struktur na makro i mikropoziomie, a jej przedmiot badań – kultury pierwotne – ma za sobą tysiące lat nie tyle tradycji nieruchomości, co permanentnych tyle, że dla nas nieczytelnych przemian?

Oczyszczenie więc!

*Abiotos* – nie do życia. To dotyczy i nas, my też nie przeszliśmy misterii, jesteśmy jak sójka z rozrwanym brzuchem, jak petnące poranione owady. Fffu. Wciąż trwamy na sennym gzymsie kamienicy. Wygięci, chwiejemy się nad wodą Odry, jakąś brunatną wodą, powodziową, i przylegamy na powrót do ściany swojego labiryntu, poszukując zbawiennego wejścia do jego środka.

Przeciwieństwo normalnej sytuacji, kiedy to szuka się wyjścia z labiryntu.

Możliwe, że labirynt nas chroni od żywiołu. Już w labiryncie, jeśli trzymać się zasady, że nie skręcamy nigdy w lewo, za nic, tylko w prawo, prawowicie i prawowiernie, praworzadnie i prawomyślnie, zakreśliłyśmy marszem linię spirali, a ta będzie odtwarzać wodę rzeki, trzymamy się zatem brzegu omal tak, jakby niosła nas łódź. Rzeka nas nie wywieździe na manowce: u jej ujścia napotkamy przystań. Tutaj granice się zbiegną jak w ekstazie. W moich snach Odra nie ma jeszcze dumy powodzi stulecia z lipca 1997 roku, nie narasta, nie ogromnieje, a tylko płynie „po staremu”.

Jak staremu? *We śnie stary* znaczy zdolny dotknąć dowolnego punktu na osi czasu. Uniknięcie starości to śmierć: przedwczesna, tragiczna, związana zwykle ze ściągnięciem na siebie całej wiązki wektorów agresji, niejednokrotnie wpiery ani trochę niekierowanej przeciw nam, niedotyczącej nas, jak kiedy atakuje nas wróg: jemu chodzi wyłącznie o te jakieś składniki naszego ja. Chce się samemu roz- lub odbudować. Chce siebie (kosmos) wzbogacić jeszcze o nas: jesteśmy pożywni. Wnieśliśmy, zintensyfikujemy życie. Nadamy mu smak.

Albo kosmos uderza w nas na torach Taka agresja przycięła się w wymiarach lokomotywy – wiąże się z wymiarami... Z masą; masa w fizyce jest jak czas, pierwotnym pojęciem. Starość-pierwotność.

Trudno ekstrapolować ludzkie stany na psychikę owada, ptaka, gryzonie. Wysztoby coś pokracznego. Pokracznego, nawet jeśli przynajmniej, że wesz, szczur, ryjówka i tak dalej, to nasi bracia i siostry. Tyle, że święty Franciszek mówił „bracie wilku” przecież bez minoderii, bez skrywanej wyższości.

Siostry wesz? Bracie pająku krzyżaku? Franciszek z Asyżu, Orfeusz upewnili, że z takimi skroplonymi fragmentami kosmosu świętość wymienia się jak dotyk, jak oddech w początku.

Oddech świętości cuchnący jak u wilka, ślina świętości.

Języki świętości. Rezonanse?

Kosmos jest układem naczyń potężnych, faktu, iż cokolwiek poże cokolwiek i w toku bioalchemii wprowadza je we własne labirynty, jest jak dziura naszej rzeczywistości, przez jaką wypadamy na Tamten Świat, w nie-faktyczność. Jednym słowem: splątanie arterii, dróg widzialnych i dopiero odkrywanych w osłupieniu, a nadto jeszcze stanu nocy (w moich snach panuje noc, omal nic nie zdarza się w dzień a jeśli, to główny znak snu ciemniejsze jak plama albo cień czegoś jeszcze innego) – i po prostu, stanu cienia.

Tak więc w tym śnie o podróży przez nasz własny cień coś trzeba wywalić, jakieś cuchnące signa. Jakąś część swego ciała. Potrzebne miejsce. Wycineczek rzeczywistości, fragment świata. Razem z niezgodą na ten fragment, estetyczną i filozoficzną. Na swoje nie-Ja. Miazgę tedy, której najmniejszy ślad kompromituje jak zasikane majtki. By dokonać tego, konieczna jest stosowna pozycja, jak z kolei przy modlitwie. Konieczne zachowanie dyscypliny i dystansu. Adekwatność mowy ciała. Właściwe mięśnie w stosownym napięciu. Bo owa część nas musi trafić w punkt przestrzeni, skomunikować się z nim. Okazuje się, że cała ta przestrzeń składa się z zakodowanych komór jak organizm. Jak ekran ciekłokrystaliczny: wszystko jest upstrzone pikselami. I wszystko okazuje się muszłą pełną pogłosów. Sen poucza, że we własnym systemie odniesień są one prawdziwe, że lekceważymy te znaczenia, drugie dna, niezbędność stawiania na głowie, biegu wspak, niespodziewane strony

– komunikaty, a w istocie oznajmiane nam powołanie.

I teraz więc o wydrapywaniu snu w metalu, w metalu rozgrzewanym, o nanoszeniu snu na papier jako plamy przeciwstawnej bieli kartki. O odkrywaniu, że pewne plamy (brud) to zgęszczenia piękna; sztuka z tego punktu widzenia byłaby zagęszczaniem brudu, kompostem miazmatów.

W jednym ze snów Albrecht Dürer załknął Orfeusza: obraz jak wszelka wydzieliła, ujawnia nieświadomość. Identyfikacja z bohaterem mitu warunkuje uczestniczenie w misteryjnym wydarzeniu, podkreślił osobnym przypisem Walter Burnet<sup>30</sup> – co warto mieć na uwadze i nie odtączać Orfeusza pochopnie od orfizmu, od orfickich gestów oraz wydarzeń, jakie ustanowił, te zaś są misteryjne. A zatem ogarniają psychikę w wielu przekrojach, nie tylko odstawianych poprzez rytuał, jaki był udziałem starożytnych, bowiem pewne stany koncentracji i napięcia artyści (kiedy pracuje on ciałem, ręką choćby, również wiążą się z wglądem w jaźń oraz doświadczeniem sakralnym. Orficy zamiast wznosić trwałą „stacjonarną” sankturię, po prostu wędrowali; oczywiście Norymberga Albrechta Dürera to w ich wypadku, na planie realnym, absurd, aby tam się wybrać, lecz z perspektywy Dürera właśnie to miasto uosabiało pepek świata, a zarazem coś od Attyki *bardzo odległego*, coś natrafianego bliźniętko *krawędzi* Europy.

Prościej zapewne mówiąc, Norymberga i Attyka we śnie są „właśnie tu”. Blisko morza, krawędzi. Zresztą, Jeruzolima też „właśnie tu”, tży Jeremiasza zlewają się ze łzami Orfeusza, a także Albrechta.

Na obrazku Albrecht rozdwojony, żeński, pod postacią dwóch pijanych kobiet; na czworo swoich kobiecych rąk grzmoci Orfeusza pałką. Po uszach, po ustach. Koncertem ciosów po uszach muzyka, ustach śpiewaka. Zgoła jakby to była scena świniobicia, a tą jego żeńskość stężała, stwardniała. Rozdwójono. W wypadku pał chodził na domiar jeszcze o ich zakłócenia podobne do stulonej główki kwiatu tulipana – ostre „płatk” albo... żołądz fallosa. Gdyby wsunął się w srom, to przebiłby na wylot.

Bicie bez powodu – chociaż opowiadał tu i tam po greckich zagrodach, że oj, był powód! Dziewuchy się wściekły za odmowę wyniosłą, gdy zaprosiły go na święto Dzbanka. Młode wino, grali muzykanci, one chciały, żeby dotączył do kapeli, wieśniacy by na fletach, on na lirze. A Orfeusz, taki sławny, o sławnym imieniu – powtarzając za Ibiokosem, autorem liryków erotycznych, po pierwsze, okazał się wszawym, zapchlonym, cuchnącym dziadymą, na jego wystrzępionej kapocie badyle, błoto – od lat przecież spisał w leńszych wykrotach, w pustych zagrodach owczarzy. I zapomniał z kreteśsem ludzkiej mowy – patrzcie ludzie: mowy Platona, Demostenesa, Ajschylosa, Pindara... Bekat jak owca, warczą, popiskiwał. Minął suto zastawiony stół z powitalnym kołaczem. Chleba nie tknął, soli nie tknął. Wody zamiast z ładnego malowanego krateru, wychęptał z kałuży. Zresztą i tak był to już postęp witalności w jego wypadku, bo chcąc wrócić drugi raz do Piekła po żonę, nad Styksem głupecio usiadł i wypatrzył Charona ha ha! Owidiusz w XL pieśni *Przemian* doniósł: *Siedem dni bez pokarmu czekał śpiewak boski, / Łzy były mu napojem, pożywieniem troski.* Nie tknął więcej żadnej już kobiety. Ponoć dopadał chłopaków. A szepłano też, że intymnej miłości szukał ze zwierzętami. Żadnej więc kobiety więcej po Eurydyce, nawet nas, mnie ani mnie... Powiadacie: miłość Orfeuszowa, wierna po grób, miłość – *droga życia*. Droga wszak



ma prawą, ale i lewą stronę, dwa oblicza. Biegnie od ciemnej dwuznaczności do dwuznaczności jasnej<sup>31</sup>. Ale jasność też okazuje się wyłącznie efektem kontrastu.

Po drugie, laź tak po całej Helladzie z tymi swoimi wilkami, dzikami, wszami, wolał akompaniament sójki czy kukułki. Ale znowuż Ajschylos upewniał, że Orfeusz to znaczy „mroczny”, „ciemny”, przy czym była to ciemność dwójaka: nocy nieprzedawnionej oraz własna wewnętrzna mista, na jaką słów, najzwyczajniej, brakuje (przecież dlatego ustanowił misteria); że spłodził go, owszem, Apollo, lecz nie po naszej stonecznej stronie świata, ale w krainie Hiperborejów, gdzie panuje wieczna noc, a ta znowuż bieleje trupio, i że, najogólniej, cechuje go katabaza – więc zastuchany w nim zwierzynek to kto wie? Może cienie z Hadesu zamaskowane w wilczych i niedźwiedzych czapach?

Być może wtedy zaczęto dziewczynom krząć po głowie, że „muzyka osiąga wielką siłę tylko pomiędzy ludźmi, którzy nie mogą, lub nie powinni, dyskutować”<sup>32</sup>; w Grecji skorej do gawęd i sporów, nosi się muzykę tylko jako **przyprawę** do sztuki, a pitagorejczycy, którzy byli wielkimi muzykami, należeli pięcioletnie milczeniu<sup>33</sup>. Po co niby? Z dziewczynskiego punktu widzenia jakże się nie odezwać do braciśka czy siostrzyczki? Nie pozdrowić sąsiada, nowin nie wymienić, nie pośpiewać przy robocie? Ba, pitagorejczyków przeganiają na cztery wiatry. Jeden grzyb, oni czy oficjy. „Kto na ludzi patrzy jak na stado i ucieka przed nim, jak może najprędzej, tego ono z pewnością dogoni i weźmie na rogi.”<sup>34</sup> Stado też sobie założyło turzy, byczy, barani tęb. Dziewczyny były tedy rogami stada. Ich pałki były rogami stada. Z solidnej dębiny, grube. Całe wytlócone z podświadomości Dürera. Całe z jego rozpękniętej animy! Dziewuchy nie musiały nic rozumieć. Po prostu, odczekały obie, westchnęły do Dionizosa, napiły się porządnie, z chochli, dla animuszu, ścisnęły mocno swoje pały, ruszyły śladem zwierzęcego smrodu, po zastawionych na ścieżce obfitych odchodach tej zezwierzęconej orkiestry, i dopadły Orfeusza. Na polance. Zdjął już kapotę, został w samej przepasce na biodrach, lirę czemuś odłożył. Dziewięciostrunną.

Dürer to skrupulatnie powycinął na swojej matrycy, tę swoją animę: każdą trawkę, każdy grymas. I gdzieś zauważył błąd. Taki, jaki pojmujemy we śnie, zniecka, bo na jawie, na rozum, wszystko właściwie się zgadza. Inaczej skąd by to wiedział? Przecież nie moralizował z wyższością artysty szczycącego się przejściem piekła, że oto góruje nad matofectwem wioskowym, nad brutalnością gniewu chłopskiego. Skąd by wiedział o tym gniewie Dürer, skoro po husyckich wojnach groby dawno zarosły starodrzewem, a groby wojny trzydziestoletniej z wolna dopiero się szykowały po całej środkiej ziemi niemieckiej od Renu po Przemśę – lud pracowicie orał, siał, żął, mełł mąkę, płacił za odpusty, jęczał w dybach?

Kto doradziłby Dürerowi, że jeden cios wymierzony Orfeuszowi to za mało? Że potrzeba walić na odlew? Na krwawą ciapkę?

Grafika ukazała go, jak próbuje jeszcze się zaślaniać ramieniem, tylko już na klęczkach i twarz mu drży. I że zwierzęcy folwark kochanków łącie orfejskich przezornie wtopił się w tło: ani wilki nie próbują kąsać wściekłych dziewczyn, ani ptaki nie dziobią. Pozaszywane w krzakach towarzystwo tylko czeka. A na co? Czemu dyszy? Będzie wielkie katharsis, oczyszczanie tąki z flaków, z mózgu, ochłapów. Po to, żeby

Orfeusz powrócił każdą tkanką do natury, żeby się pojednał z tą wsią.

A niby czemu? Bo przypędzą bydlę na paszę i tąka musi być pożywna. Krowa nie tknie uświechtanego zioła. Mleka zdrowego by nie było. Najpierw przeistoczenie, oczyszczenie się w nawóz.

Opowiadano w Grecji, że jeden cios złamał mu kark, drugi w ogóle zmiażdżył grdykę. Głowa się śpiewakowi oderwała, potoczyła po stoku, wpadła do potoku i spłynęła na bliskie morze. Oj, Grecja to muszła morzem szumiąca, ono wszędzie blisko. Wystarczy wejść na pagórek – i przed oczyma rozleje się blask. Blask, lśnienie, poszum tego światła, raz metalicznie gładkiego, raz w purpurowych odcieniach. Skąd Dürer wiedział? Studiował mapy greckie? Tak się przysposabił do ryciny? Czy raczej pilnował pieca? Rozgrzewał przecież metalowe płytki, które nie mogły się nadtopić, gdyby temperatura podskoczyła. Każdy wie: na wypolerowanej płycie miedzianej za pomocą specjalnych rylców żłobi się te relewacje, a następnie płytę się szlifuje, podgrzewa i wciera farbę w wyryte rowki. Potem usuwa się jej nadmiar i odbija rysunek na wilgotnym papierze, używając do tego prasy. Musiał być Dürer skupiony. Ręka nie mogła drgnąć tworząc cienką, ostro zakończoną kreskę, którą oddawała nie tylko kontur, ale także cieniowanie za pomocą gęstej siatki kresk równoległych i skrzyżowanych, bo cień wydobywany był (z Cienia) labiryntem wdarć materii w materię – labiryntem, mówiąc wprost. Choćby tworząc owo zakończenie tłułka: ni to tulipan, ni to żołędź, ni to widły.

Dla chrześcijańskiej wyobraźni widły podszeptują piekielność Orfeja. Zarazem – widły subtelne, właściwie niewidzialne, niewystawione, zarazem diabelskość (bo ona przychodzi na myśl) pod postacią dziewcząt w powiewnych tunikach (gdyby im przydać skrzydeł, równie dobrze mogłyby udawać anielice) – oddane swojemu zadaniu jakimś płasem, co zdumiewa: Dürer to ktoś, kogo ukształtowała liturgia słowa, a nie liturgia tańca, ktoś, kto przyjął, że na Początku było Słowo i... Słowo było Bogiem. Kto mu więc Maryję Pannę w Zwiastowaniu pokazywał z księgą, ale... rozłożoną, rozdwojoną jak język węża, jak widły? Och, kilka Zwiastowań wykonał, drzeworytem z ok. 1510 roku<sup>35</sup>, zawsze z księgą, tak samo Czterech Apostołów, świętego Hieronima, proroka Jeremiasza (księgi aż trzy, każda rozłożona jak kobiece uda), portrety Nieznajomego i Młodego Mężczyzny (autoportrety psychiczne). Obsesja słowa. To epoka wielkich sporów o Słowa prawdziwe znaczenie. Bez-muzyczność więc... Głuchota! Jak się ma do Orfeusza, do strun dziewczęciu, by każda z Muzmiała sobie dedykowaną?

Epoka druku, wybijania, wbijania Słowa w materię, epoka inflacji Słowa permanentnie zwanego herezją, powielanych masowo pamfletów, paszkwili, biletów na schadzki zdradziecką, kwitów kupna, dzienników okrętowych, madrygałów, fraszek. I pras drukarskich. A osobno jeszcze liternictwo akurat w pracy *Tod des Orpheus* nabiera rangi samoistnej, ponieważ nad grupą postaci, w rozwidleniu pnia młodego drzewa zawiąsta otwarta księga, na niej zaś widnieje *Orfeus der erst puseran – Orfeusz, pierwszy sodomita*; słowo *puseran(t)* pochodzi z łacińskiego określenia na Bułgara, które we francuskim i angielskim znaczy także typek, facio i gościu. Na marginesie, zniechębiono Bułgarów za to, że pod Adrianopolem zatrzymali ekspansję istnej chimery, mianowicie Cesarstwa Łacińskiego, utworzonego przez krzyżowców i zdobyciu do spótki z Wenecją Konstantynopola; niejaki Baldwin z Flandrii

w 1204 roku koronował się w Mądrości Bożej na cesarza. Trzy lata później zginął car Bułgarów, zamordowany przez połowieckiego najemnika; Grecy z Tesaloniki przypisali to swojemu patronowi, świętemu Demetrioso-wi. Wyraz „Bułgar” stał się na Zachodzie wyzwiskiem.

Dürer zatem lżył to jakieś swoje zakatrupiane orfejskie czy ofrickie nie-Ja, uczył natomiast drzewo. Rozdwojone jak on sam. Muzykalne koronką gałązek. Suitą sprężonych liści. Więc dorzucę jeszcze jedno zdanie poświęcone drzewom. Zdadzą się nastłuchiwać i czekać. „Nie myślą o małym człowieku pod sobą, którego pożera niecierpliwość i ciekawość.”<sup>36</sup> Patrzącym z rosnącą ciekawością na ów spektakl (swojej animy) i zarazem ikonę sztuki, był Dürer. Patrzył i wypatrywał klucza. Jak we śnie – bezskutecznie. We śnie sięga się po klucz, a on odskakuje jak rozswawolone bydlatko. Bo, jakby tego wszystkiego było mało, u szczytu drzewnej korony Dürer zamieścił dwie wstęgi. Z nieczytelnymi dla mnie napisami, każdy z nich jest odnogą snu, lecz na płyt-kim zanurzeniu: sztuki piękne walcą przeciw wszelkie werbalne sentencje traktować niedostownie, jak persyflaż – szyderstwo pod pozorami wyszukanej uprzejmości lub udawanej powagi. Szczególną cechą persyflażu jest ironiczne nawiązanie do cudzego stylu i poglądów. Sen zresztą to swoisty persyflaż naszych „realnych” sytuacji.

Zrezygnował Dürer z wykonania ryciny.

A może zaginęła? A może złała się w piecu zbyt rozpalonym albo strudzony mistrz niechcący schrzanił jakiś szczegół? Rylec potrafił się omsknąć. Może zaszedł ktoś do pracowni – drukarz choćby, z uwagami na temat sztychów odbijanych w swojej oficynie? Może wiatr, może burza, tam od listopada do kwietnia pogoda likierowa, i podmuch znad Pegnitz skłize zdmuchnął, i oko rytownika pobiegło za kartką wirującą blisko komina albo dłoń zgrabiata, i pojawiła się na płycie linia nieodgadniona, nielogiczna? Może zakreśliła uśmiech Orfeuszowi? To wpakowałoby w dzieło zagadkę niezaplansowaną... Jak odchody na ścieżce Tajemnicy. Może mały, przerażony anioł po prawicy Orfeusza pierwotnie bardziej przypominał Erosa skrzydlatego niż putto?

W 1498 roku Dürer narysował to piórkiem i tuszem. Praca znajduje się w Hamburgu, w Kunsthalle, sen zmaterializowany, sen w labiryncie Siedmiu Bolesci Maryi, Samobójstwa Lukrecji, Córek Łoła, Jeźdźców Apokalipsy, Rycerza, Diabła i Śmierci. Snów zaczerpniętych z tradycji, której kram się rozrastał w nieskończoność. Grecki bóg snu prawie nigdy nie opuszcza swojej porośniętej makiem i szalejem, szatwą, lulkiem, mandragorą, grzybami, jaskini, oczywiście większość czasu spędza śpiąc. Opowieści głośniły, że przez grotę Hypnosa można trafić do podziemi, albo zabłądzić nad brzeg rzeki zapomnienia. Syn Nocy i Erebu (Piekła), był bliźniakiem Ikelosa, opiekuna strachów nocnych. Koszmar to konieczność katharsis, uwolnienia się, oddania z siebie nadmiaru. Ulżenia sobie od własnych wydzielin – człowiek tworzy przedmioty i idee tak jak dżdżownica śluz. Rozwótczyłyby to wszędzie. Sztuka bywa jakimś *dość!!!* Jakimś wyrwaniem się z siebie w obcość. Odcięciem, dekapitacją. Od uwolnionego ciała.

Płyną takie skrawione uwolnienia z nurtem, podobne do zdeptanego kwiatu maku.

#### Śmierciatko?

La petite mort – tą spieszczoną formą wyrazu „śmierć” nazwano we Francji orgazm. A polski odpowiednik? Śmierciunia? Śmierciaczek? Śmierciatko? Francuskie zdrobienia brzmią tkliwie, polskie jednak

→ często protekcjonalnie lub ubliżająco – bóg-bożek! – erudycyjne firanki pomagają na cichu naszej brutalności wobec tego, co słańskie i malutkie. O La petite mort, pod tym wspólnym tytułem dziesiątkę opowiadań Waldemara Bawotka, pisana z zachwytem Dorota Maśłowska, że „Absolutnie osobna fraza, w której językowa wytworność gorliwego ucznia miesza się z żulerską abnegacją, wytrawna poezja z ryszotkiem, a to, co piękne, z nieprzyjemnym i niepożytecznym”. W uchu odbiorcy u nas pozostaje raczej jednak sama śmierć: czy wielka, czy nie, bez znaczenia. Ekstazy orgazmu przeciwnie – rozwiewa się jak mgła wrześnieowa w ładny dzień.

Tytułowa ekstaza a zarazem otwór na inny świat, dopełnione o ryszotek realiów życia codziennego, pozostają dostępne każdemu. Wyraża ona zderzenie „niemożliwe”, dwa przeciwne bieguny ściągnięte, zgniecione w jeden punkt. Zapowiada przekroczenie szpar, rozstępów w ciele świata: postaci Bawotka w jego rodzinnej skądinąd miejscowości o nazwie Ciężkowice „poszukują bliskości i jednocześnie są nią przerażone. Recenzent „Polityki” dodał z kolei, że „jak podpowiadają mity, realizacja pragnień zwykle pociąga za sobą katastrofę”.

W odbiciu literatury i krytyki mojego kraju ów Punkt – jakkolwiek absurdalnie brzmiąco to dla Euklidesa – przegina się zupełnie jak szulerska kość do gry ze wstrzykniętą kroplą otowiu pod szóstką; z omówień książki zieje wymiar egzystencjalny raczej niż duchowy czy filozoficzny. Zatem, u Bawotka bohaterowie (albo ich pierwowzory) wyuczeni, że każdy akt międzyludzki a zwłaszcza seks, jest aktem moralnym, przypisują je kategoriom moralnym, dobra bądź zła. Osądzają. Ekstazę też. Kawalują na sektory dostępne albo – dla chętnych nie mających licencji – zakazane. Ten osąd usuwa progowo doświadczenia rozkoszy, eksponuje natomiast świecką moralną ekonomikę, brzmiącą w zdaniach: „ileż razy seks młodocianych kończy się tragicznie” lub „społeczeństwo musi dźwigać koszty nieodpowiedzialnych uniesień, gdy jego skromny budżet pochodzi również z podatków od osób wstrzemięzliwych”, co brzmi przeciwieństwo. Coś w nas czuje się w obowiązku zawiadywać sprzecznościami erotyki albo też ekstazy w ogóle. Nawoływać do dystrybucji Na francuskich prezydentach czytaliśmy: *La tendresse pas tristesse a stynne Witaj, smutku* Saganki pokazała dwuznaczność śmierci: stała się nim całe już życie porwyczej dziewczuchy. Rozkosz jak tyżka dziegiu w życiu ulany z miodu. W zestawieniu z dobrym o sobie mniemaniem i ładnym szkolnym świadectwem ekstaza utraciła ważność. Mówiąc jasnie: ekstaza jest niecelowa, naganna, o ile nie spaja pary urzędowo, gospodarczo i genetycznie.

Dlatego antropolog woli zwrócić uwagę na zjawisko reglamentacji seksu, cechujące każdą z kultur, zarówno przyjazną erotyce, jak podejrzliwie a wręcz i mściwie odnoszącą się do ciała. Realia w sąsiedztwie, w miejscu pracy, w małżeństwie, w kontaktach turystycznych, są oczywiście wypadkową i pruderii romantyków, i tego, co odkrywamy w swoim psychicznym undergrounzie. A tam roi się od dziwadeł. Bawotek dopuścił dziwadła tylko prawem fantazjowania, po cichu oczywiście, przy zgaszonym świetle, pod kołdrą, gdzie ewentualnie wsunąć sobie można latarkę i lusterko; do lusterka jeszcze wróć.

Fantazje ujawniane są karane. Ale, skoro Bawotek przetwarza tematy mityczne Biblii i greckich tragedii, to od razu chcę zwrócić uwagę, że w hierogamicznym związku Dionizosa z Ariadną, wybranką boga szaleństwa – labirynt wpisany jest w strukturę tych prastarych rozpoznaj. Ariadna, pani Labiryntu, i Dionizos, podwójne, dwojaki ucieleśnienie odmiennej świadomości...

La petite mort to śmierć jako inna świadomość, to twroga, o ile sięgniemy świadomością w coś (w cokolwiek) możliwie głęboko, ale też i „zmarłychwstanie” Dionizosa ugotowanego w kotle, porąbanego na oclapki, wyśmianego dziada, pod którą to postacią zawiąta do Ateńczyków, aby nauczyć ich szczepić winorośl – pędy winne mieli dotąd za chwast, a ideę wina za sprofanowanie ich piwnego napoju z kłosów. Ten dziadka wędrował z córką (jedni mówią: z Frygii, inni – z Tracji, a jeszcze inni, że z Indii jak obstate ostatni bodaj, bo z V w. n.e., wielki (przynajmniej rozmiarom) antyczny poemat heksametrem daktylicznym Nannosa, i ta córka, mówili niektórzy na greckich wyspach, miała psa względnie sukę, bo była niewidoma, i pies ją prowadził, ale też wywyszył świeży grób zamordowanego, rozkopał, jak to pies, poznał dziadygę – smród smrodowi niejednak – i osierocona dziewczyna się powiesiła. Oto ślepiec rozpoznaje przedmioty węchem, dotykiem, słuchem, podczas gdy zdrowy wzrok dominuje, ogranicza i stopniowo upośledza inne zmysły; im dalej odchodzimy od zmysłowej pełni, tym mniej dowierzamy zmysłom i zastępujemy je Rozumem, a ten sprowadzamy do zapamiętywania hasłowo teorii, naszych wodzących teorii. I tym skrupulatniej eliminujemy inne formy świadomości, wręcz zamykamy je w psychiatrykach i izbach wytrzeźwień.

Śmierciątko jak śmierć-dzieciątko. Można do niej jak do dziecka, cieszyć się każdą chwilą stanu *bądźcie jako dzieci*. Śmierć jest doprawdy cudowna w swojej dziecięcości, dopiero podrastając brzydnie. Tak więc można widzieć w niej już tylko Kościotrupa i wszystkimi siłami zwalczać, zwalczać, opryskiwać chlorem, lizolem, przepędzać od progu, wyświecać za rogatką jak Jagusię w *Chtopach*. Zatem, gdy prawda o zaciukaniu boga wyszła na jaw, ateńskie panny jedna przez drugą biegnęły się z rozpacz powiesić. Rodzice ich ubtagali Niebo i już tylko ku czci Dionizosa pozostało to, że potem rok w rok wieszano na drzewach huśtawki – i dziewczki huśtały się jak wariatki. A chłopczy podbiegali, podglądali.

Przybycie boga, w tym wypadku Dionizosa, nazywano w Grecji epidemią – gwałtownym, podobnym do tsunami wfargnięciem, prześwieceniem niejako całego „tego i tu”, przewierceniem aż na drugą stronę. Bóg pod postacią mizerną mała do rozmiarów czubka szpilki, wniknął więc w barierę naszej statecznej duchowości na wylot i przebił tę smętną bańkę. Pyk! Światy „ten” i „tamten” wtedy się zlewały, przywracana była źródłowa jedność, źródłowa koherencja, o jakiej bohaterowie Waldemara Bawotka (nic im nie ujmuje) nauczyli się już tylko zaprzeczać i tłuką się od ściany realiów do ściany fantazji – i na odwrot. Każdą z tych głuchych ścian uważają za swoją nieodzowną podporę, a kiedy pęka, kiedy się rozpada – za deskę ratunku. Mił natomiast nie miał nic wspólnego z fantazjowaniem: oznajmiał rzeczywistość, ponieważ samo sakrum

uznał za jedyną rzeczywistą rzeczywistość. „Ariadna”, znowu przypomnę, to po polsku „Święta oczywistość”. Tak bezsporna jak orgazm i jak czarny orgazm czyli lodowata strużka po grzbiecie, kiedy wyczuwamy pod palcem jakąś nienormalność na swoim ciele. Poeci w banieczce arbitralnych duchowości pisali o „rozkoszonym dreszczu łona”, o „dreszczu strachu”, wszakże z takim efektem, że najbardziej lubiane teraz filmy to dreszczowce. Śmierciątko, jak to dziecko, uwielbia kogoś nastraszyć. A i samej się dać wystraszyć, na chwileczkę.

Śmierć, labirynt, huśtawka, kanibalizm, stryżek, oko wlepione w coś za szybą, jaką nazwaliśmy swoim światem. Elementy zmarłychwstania? Misteria Eleuzyjskie zaczynały się procesją mistów a droga wypadała wzdłuż potoku i zebrany tłumek ze zbocza nad ścieżką obrzucał ciastkami wyposzczonych współziomków, spragnionych wtajemniczenia. Istny deszcz ciasteczkowy się sypał, ponieważ na każdym słodkim krążku wyciśnięto emblemat któregoś z bóstw. A to mak, a to dwa węże splecione, a to uskrzydłony sandał, a to całujące się gołąbki, a to penis, trójząb czy sowę. Żarty, docinki, zaczepki dobrodusze. Wielu z żartownisiów przydrożnych było już po inicjacji, niejednego ponawiał ten obrzęd kilka razy, a dowcip w tym, że więcej śmierci się nie bali.

Nie mówili, dlaczego.

Dla mitozofa jest jasne, że objawiał im się Hades właśnie jako Dionizos-Ariadna, jako Dionizos-Kora, Dionizos-lambe. Tu znowu przypomnę, że Jambe była kuchenną dziewczką, ponoć spaśną, brzuchatą, która rozśmieszyła Mater Dolorosa grubymi jakimśi dowcipami tak, że Demeter zapłakana wybuchła znienacka śmiechem. Utlilić się nie mogła. I Hades oczami Jambe widział: toć płakała po stracie jedynej córki. Kora w tym układzie też okazuje się tłustą dziewczką, co palcem wylizuje z rondla a lubi seks jak konie owies, oj, posmakował tego Hades. A Demeter okazuje się kim? – wszak Hadesem i Dionizosem, sobą i utraconą córką, Persefoną, matką Dionizosa. Obrzęd zapewne ujawniał, że to, co zwiemy śmiercią, jest w perspektywie życia matką śmiercią. Także wszystkie związane z nią skojarzenia układają się po tej linii – śmierć mała jest (zapewne) raczej jakimś wektorem – Kory śmierć w ramionach Hadesa jest hierogamią, nie do pomyślenia bez pikającej śmierciulki: doznana rozkosz przeistoczyła Korę w Persefonę. Pójdźmy krok dalej i przypomnijmy z Dionizosa Karla Kerényi: podczas wtajemniczeń orfickich korybanci (tj. dokonujący inicjacji) sadzali adepta na specjalnym krześle tronowym i wokół niego dokonywali ekstazy „harce i zabawki. A możeś ty wtajemniczony? Ci więc panowie teraz nic innego nie robią, tylko tańczą wkłó ciebie i chóry wodzą na żart, aby cię dopiero potem wtajemniczyć i wyświecić”, adept zaś wpisuje się w postać nowonarodzonego Dionizosa Króla Świata, „kosmicznego władcy naszej ery”. Tancerze to trzy boskie akuszerki – w pewnym momencie chwytają noże i zakłuwają Dziecię.

Orgazm jako stała skojarzeń nawet w pismach teologów chrześcijańskich: Klemens z Aleksandrii, możliwe, że uczestnik tych eleuzyjskich obrzędów, miał sugerować jakieś niestychane orgie. Nieważne, czy zmyślał, czy przekręcał – ważny sam bieg takich jego skojarzeń. Nawet zwichnięte przyjęciem mizogicznej doktryny zachowują ekstazę jako pewnik, przekroczenie kordonów jako pewnik, choć zewnętrzny już tylko, socjologiczny. I poznawany



Zbigniew Taranienko

## powielacz

z cyklu „antologia”

Płomień rozgryzie malowane dzieje,  
Skarby mieczowi spustoszą złodzieje,  
Pieśń ujdzie cało!

Adam Mickiewicz, *Konrad Wallenrod*

*gdy tak siedzimy nad bimbrem  
ojczyzna nam umiera  
gniją w celach koledzy  
wolno się kręci powielacz*

Leszek Szaruga, *Gdy tak siedzimy*

1.

zbudzili mnie w pół do szóstej  
w czasie kiedy jeszcze  
obowiązywała godzina milicyjna  
i nie wolno było opuszczać domów

pierwsi weszli dwaj mundurowi  
porucznik i kapral  
a po dziesięciu minutach  
kolejni dwaj po cywilnemu  
widocznie taki plan operacyjny  
by ci ostatni  
zdążyli sprawdzić i zabezpieczyć okolicę  
albo udaremnić próbę ucieczki

porucznik sprawdził moją tożsamość  
wyjął nakaz rewizji  
i odczytał  
zastępca prokuratora wojskowego  
prokuratury garnizonowej w  
kapitan magister x  
w sprawie przeciwko agnieszce n. i innym  
podejrzanych o przestępstwo z artykułu d3 ustęp 4 i inne  
dekrety z dnia 12.12.1981  
na zasadzie artykułu 190 i 191 paragraf 1 kpk  
postanowił zarządzić przeszukanie  
w celu ujęcia podejrzanego  
w celu znalezienia przedmiotów  
mogących stanowić dowód w sprawie  
a w szczególności  
materiałów poligraficznych  
nielegalnych wydawnictw nssz solidarność i nzs  
oraz innych  
których posiadanie jest zabronione  
kazał napisać  
z treścią zapoznałem się dnia  
i podpisać  
(trzęsącą się ręką parafowałem  
opatrzyłem datą 28 kwietnia 1982  
i dodałem godz. 5.40)

x

wtedy oficer zapytał  
czy wymienione materiały posiadam  
i najlepiej zrobię  
gdy mu je wydam  
a przede wszystkim  
gdzie schowałem powielacz

liczyłem się z taką wizytą  
i w swojej konspiracyjnej teorii  
przyjąłem proste założenie  
że skoro bezpieczeństwa przychodzi na rewizję  
to nie ma mowy o przypadku  
na pewno dostali cynk  
więc przeszukanie musi być skuteczne  
i powinni cokolwiek znaleźć  
dobrze jest zawczasu coś przygotować  
przeznaczyć na pożarcie  
coś w miarę niewinnego  
niedbale ukrytego  
a nawet warto niby mimowolnie  
naprowadzić rewidujących na trop  
bo lepiej dać im poczucie  
że nie na próżno przyszli  
niż czekać aż przewałą cały dom  
i wygrzebią to czego nie należy

odpowiedziałem  
że owszem  
posiadam materiały mam  
że kilka dni temu  
zobaczyłem gdzieś wziętem  
kartkę z wierszem  
*ostatnia szychta na kwk piast*  
(nie nie  
nie pamiętam gdzie  
chyba w przychodni  
albo raczej w aptece  
czy może w tej drugiej  
bo w pierwszej leku nie było  
na jakimś parapecie kartka leżała  
tak chory jestem angina  
tu legitymacja ubezpieczeniowa zwolnienie  
do końca miesiąca  
o taki antybiotyk biorę mi przepisano)

więc tak mam ten wiersz posiadam  
przeczytałem schowałem  
a to dobry wiersz jest  
ja się znam na tym znam się  
bo poezją zajmuję się zawodowo  
naukowo profesjonalnie krytycznie  
i dlatego wziętem przyniosłem  
mam schowane  
tak w domu tu w mieszkaniu schowałem

Adam Majewski

Starożytni mieszkańcy Hellady wierzyli, że śmierelnikowi jest najlepiej, jeśli bogowie nie wiedzą o jego istnieniu.

\*\*\*

Śmiałkami, którzy odważyli się wspiąć na Olimp, przez antycznych Greków uważany za domostwo bogów, i postawić tam ludzką stopę, byli pisarz Daniel Baud-Bovy, fotograf Frédéric Boissonas i przewodnik górski Chrystos Kakalos. Francuz, Szwajcar i Grek zdobyli jako pierwsi najwyższy szczyt masywu, czyli Mitikas (Mytikas), wznoszący się na wysokości zaledwie 2918 m n.p.m. Dokonali tego w roku 1913, nie tylko pokonując siły przyrody, lecz także przywiązanie Hellenów do mitu, według którego od tejsze góry odpadał każdy, kto na nią próbował wejść.

Helleńscy bogowie – w gruncie rzeczy martwi i zapomniani, obecni tylko w literaturze i sztuce – już nie mogliby się dowiedzieć, w dwudziestym wieku, o istnieniu Baud-Bovy'ego, Boissonasa i Kakalosa. Za to wyczyn przyniósł tej trójce sławę wśród ówczesnych Europejczyków, jak i odnotowano go dla pamięci potomnych w prasie, rozlicznych kalendarzach czy też książkach poświęconych górskiej eksploracji tamtych lat. Grecy wyczyn mają w pamięci do dziś. Zdobyć Mitikas było bowiem jednym z ostatnich taktów symfonii najdłuższego wieku, jak określano dziewiętnaste stulecie.

W XIX wieku pokryto mapami ostatnie brakujące miejsca na kuli ziemskiej, zdobyto wszystkie europejskie szczyty – w samych Alpach było ich ponad 1200 – za wyjątkiem hiszpańskiego Mulhacén (3478 m n.p.m.) w paśmie Sierra Nevada, na który wspięto się po raz pierwszy w 1910 roku, oraz szczytu Narodnaja (1895 m n.p.m.), leżącego na Uralu Subpolarnym, obecnie na granicy Chanty-Mansyjskiego Okręgu Autonomicznego oraz Republiki Komi w Federacji Rosyjskiej, zdobytego w trakcie ekspedycji naukowej w 1927 przez geologa A. N. Aleszkowa.

\*\*\*

Obtędny i nieustający od wieków proces nanoszenia przez kartografów punktów i obszarów na mapy oraz katalogowania przestrzeni przez rzesze uczonych, po blisko stu latach, w doskonały sposób opisze Mateusz Janiszewski na kartach swojej doskonałej *Ortodromy* (Kraków 2018):

„W tkankę tej niekończącej się przestrzeni wgrzyły się linie granic – siekają przestrzeń na posiadłości, by scalić ją później w obszary katastralne, te w gminy, granice łączą wszystko w prowincje, w stany, by ostatecznie poskładać z podzielonej ziemi państwo zamieszkałe przez naród.

To bowiem «linie tworzą rasy», jak napisał kiedyś Jared Diamond. Linie tworzą nasze koncepcje. Liniami rysujemy perspektywę, liniami dzielimy przestrzeń, szkicujemy nimi plany miast i za ich pomocą kreślimy mapy.

Łąq jest tysiącem płaszczyzn, rozpada się pod dotknięciem pomiarów i znów się dzięki nim organizuje. Pomiar zamraża go w wiecznym akcie obserwacji, zdejmując z nas odium i obowiązek podtrzymywania rzeczywistości. Dlatego staramy się wciąż wszystko pomierzyć i wyrysować liniami, by choć one zostawały w naszej głowie,

# GÓRY: SYMULAKRUM PODBOJU | WYZYSK NATURY

ESEJ

gdy odwracamy wzrok, a rzeczywistość się w sobie zapada.

Z linearej sekcyjnej działalności wyłamuje się tylko linia drogi. Łączy, zamiast dzielić. Łączy niekończącą się równinę po mojej prawej ręce z niezmierzoną płaszczyzną ciągnącą się po lewej. Biegnie, scalając to, co niknie za mną, z tym, co jest jeszcze przede mną”.

Tutaj dochodzimy do swoistych właściwości map, do koncepcji rodem z opowiadania Jorge Luisa Borgesa *O ścisłości w nauce* (w zbiorze *Powszechna historia nikczemności*) według której kartografia dokonuje „nadpisywania rzeczywistości”. Idąc tym tropem, zdobycie szczytu góry, szczególnie po raz pierwszy w historii, jest włączeniem go do pewnego rodzaju „mapy”, która daje nam władzę nad nim – nad górą i nad jej tajemnicą. Tworzone są wszak przez alpinistów mapy dróg na wierzchołki, posiadające różny stopień trudności – im trudniejsza droga zostanie wybrana przez ekspedycję wspinaczy i pokonana, tym większy prestiż w środowisku. Tenże fenomen ustalania tras przepięczętowane władzę nad górą.

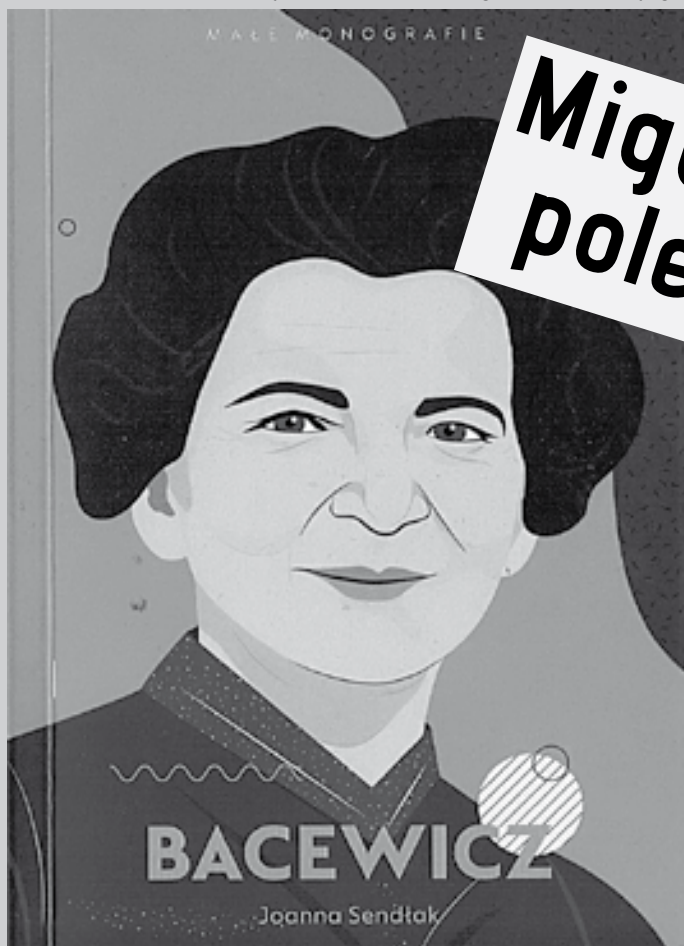
Tak, siłą rzeczy, tworzy się kartografia wertykalna – sporządzana jest mapa w perspektywie „od ziemi do nieba”, nie zaś, jak to jest w konwencji tradycyjnych map, łącząca na wspólnej płaszczyźnie ho-

ryzontalnej pojedyncze punkty – miejsca, lokalizacje, obszary.

\*\*\*

Proces dokonywania się wyczynu sportowego, zarazem tego amatorskiego, na przykład w komercyjnej turystyce wysokogórskiej, jak i profesjonalnego – w sporcie, eksploracji (trekking), w szczególności w alpinizmie i himalaizmie, to za każdym razem działanie performatywne. Zarówno w perspektywie historycznej, jak i obecnie pozostaje ono w nierozwalnym związku z teatralizacją życia społecznego, a nawet jego rytualizacją. Według jednego z ojców założycieli performatyki, Richarda Schechnera tworzywem szeroko pojętego performansu jest działanie, którego z kolei siłą napędową jest zabawa i rytuał.

Przekraczanie umownych, ustalanych przez społeczność – najczęściej sztucznych – granic, jak głosił Arnold van Gennep, jeden twórców folklorystyki i antropologii kulturowej, jako odrębnych dziedzin nauki, miało również charakter polityczny, prawny i ekonomiczny, do tego nierzadko magiczno-religijny. Omawiając rytualne przejście fizyczne, sięgnął po figurę świata podzielonego granicami. Najbardziej pierwotną granicą były, w jego ujęciu, drzwi domostwa



ESSEJ → (do mieszkania), stanowiące barierę między światem zewnętrznym (obcym), a tym, który wiąże się z mirem domowym; jeśli mowa u niego o świątyni, to drzwi są granicą między wymiarem *sacrum* a *profanum*. Idąc w ślad za nim dalej:

„Pośród rytuałów przejścia fizycznego należy także wspomnieć o tych, które dotyczą przejścia przez przetęczę, oraz o tych, które polegają na składaniu w ofierze rozmaitych przedmiotów (kamieni, kawałków tkanin, włosów itp.), o darach i modlitwach kierowanych do ducha opiekuńczego danego miejsca. Można się z nimi zetknąć na przykład w Maroku (*kerkur*), Mongolii i Tybecie (*obo*), w Asamie, Andach i Alpach (*kaplice*). Przejściu przez rzekę towarzyszą często ceremonie, a ich elementem jest rytuał negatywny polegający na zakazie (skierowanym do króla lub kaptana) przekraczania jakiejś rzeki albo innego cieków wodnego. Podobnie aktem wsiadania czy wsiadania (do i z wozu, palankinu, konia itp.) często towarzyszą rytuały wyłączenia (przy wyruszeniu dokądś) oraz rytuały włączenia (przy powrocie)” (*Obrzędy przejścia. Systematyczne studium ceremonii. O bramie i progach, o gościnności i adopcji, o ciąży i porodzie, o narodzinach, dzieciństwie, dojrzewaniu i inicjacji, o święceniach kaptanów i koronacji królów, o zaręczynach i zaślubinach, o pogrzebie i porach roku, i o wielu innych rzeczach*, Warszawa 2006).

Człowiek to istota „działająca”, więc „performująca”, a granica między aktorem a widzem ulega zatarciu; każdy jest zarazem „performerem” („performerem-aktorem”), jak i „obserwatorem” („performerem-widzem”) – oboje zaś uczestniczą w rytuale „przejścia”.

Działanie „performerów” wiąże się z zagadnieniem tworzenia unikalnych oraz indywidualnych narracji – niejednokrotnie całkowicie osobistych, innym razem wynikających ze zbiorowych wyobrażeń (i oczekiwań publiczności wobec „aktora-bohatera”).

I tu pojawia się zagadnienie, które – w odczuciu autora tych słów – posiada gen „nierozstrzygalności”: czy relacje „aktorów”

górskiego performansu, na przykład popularnej dziś literatury górskiej, są nośnikami treści filozoficznych? Czy je po prostu generują na poziomie odbioru, u samego odbiorcy, niezależnie od intencji autora?

\*\*\*

W rozlicznych świadectwach górskiego wyczynu sportowego, przede wszystkim w domenie himalaizmu, mamy do czynienia, z jednej strony, z obsesją bezpieczeństwa, z drugiej – z „delektowaniem się” wypadkami i katastrofami. Literatura dokumentująca wyczyn górski jednocześnie opiewa jego piękno, jak i ukazuje tragiczny wymiar sportu; tkance nadludzkiego wysiłku nadaje nierazkdo postaci atrakcyjnej kompilacji, reprezentującej literacką strategię podtrzymywania uwagi odbiorcy.

Performatywna istota wyczynu uwidacznia się przede wszystkim w „uwznioślonym” znaczeniu tak zwanej literatury górskiej i materializuje w postaci książki czy publikacji. Natomiast materialny wymiar wypowiedzi literackiej nadaje szczególną rolę performatywnemu charakterowi wyczynu.

Podczas relacjonowania krytycznego zdarzenia związanego z wyczynem sportowym następuje intruzja chaosu naturalnego (mocy sił przyrody) w porządek ludzki, cywilizacyjny, narzucony przez schematy odbioru (odczytywania) rzeczywistości – w performans sportowy i przestrzeń literatury. Z kolei włączenie intruzji sił przyrody w ryzyko uprawiania sportu, w szczególności himalaizmu, nadaje naturze wymiar obszaru podbitego przez człowieka – zdobytego poprzez wyczyn sportowy, a także psychologicznie oswojonego. Na zagarnięte terytorium natury nakłada się wypowiedź literacka – staje się figurą władzy nad konkretną górą, która jest opisywana w utworze.

Wypadek lub zdarzenie, w którym braty udział siły natury, związane z wyczynem sportowym, staje się katastrofą naturalną; niemniej to człowiek, burząc swoim działaniem (performansem) porządek natury, przekraczając granice swoich możliwości

fizycznych, a nawet potencjał technologii, wkracza w przestrzeń dla niego niedozwoloną.

Można wnioskować, że swoista zewnętrzność (tajemnica natury) znosi się poprzez ciągłe jej monitorowanie i eksploatawanie na potrzeby przemysłu sportowego. Ponadto „górze” (jako figura pierwotna), „zdobywanie”, „zmaganie” przestaje być czymś tajemniczym i niedostępnym – dzięki mediom każdy zdobył jakieś wyobrażenie na ten temat. Wyczyn sportowy przestaje z tego powodu jawić się jako heroiczna walka z naturą, więc z pewnego rodzaju niemożliwością – staje się elementem kultury, także w odmianie popularnej; konstytuuje się jako swoiste symulakrum podboju, a w istocie jest niczym więcej, jak tylko eksploatacją „już wydobytą z natury” surowca.

Całe obszary natury zostają przyłączone za sprawą rozlicznych świadectw literackich w przestrzeń performansu sportowego, są tam intensywnie i stale eksploatowane. Wyjątkowy wyczyn staje się nałożoną na ten – wydobyty z natury składnik – symulacją (spektaklem), a więc człowiek (uprawiający himalaizm) wchodzi pozornie w uniwersum natury; staje się aktorem spektaklu „zdobywania natury” (dosłownie: „zdobywania szczytu”), zaś literatura jest jednym z jego instrumentów.

Powyższa konstatacja pozwala spojrzeć na literaturę górską nie tylko jak na literaturę, lecz także jak na element swobodnego performansu, w dodatku odtwarzanego nieustannie przez kolejnych „aktorów” – zarówno po stronie uprawiających sporty wysokogórskie, alpinizm czy himalaizm, jak i ich publiczności.

W tym kontekście nie ma „świadków”, a wszyscy stają się uczestnikami performansu (szczególnie czytelnicy literatury górskiej) – wpisanego w praktykę społeczną, również w rozliczne świadectwa literackie.

Po wyczynie sportowym zostają materialne ślady (choćby liczne książki), które są „produktem” performansu.

ADAM MAJEWSKI

## Migotania polecają





przed celą numer 6. „Kak ty posidisz' zdies', rasskażesz?" nam wsie!

No - myślę sobie - to cię, siostrzo, wpa-kowa! Ogarnęła mnie żłość, że tak głupio dałam się złapać. Drzwi otworzono i we-pchnięto mnie do środka.

Wzrok mój padł na siedzącą w wyuz-danej pozie dziewczynę, witającą mnie niezwykle „uprzejmym językiem” - językiem zmiennym dla osób tego zawodu. Szukam oczami ratunku w pozostałych twarzach, ale nie odbiegają od tamtej pierwszej... Zaczynam zamieniać się w jeża... Wreszcie jednak w rogu celi znajduję kobiety innego pokroju. Tak, niezawodnie, ku wielkiej mej radości, stwierdzam, że są tam panie z to-warzystwa. Wobec tego stawiam ku nim od-ważny krok, ale tylko... jeden. Bo nie widzę tam ani skrawka miejsca dla swojej szczipłej osoby. Wobec tego stukam w drzwi. „Tu nie ma miejsca, dawajcie inną celę!” - wołam. „Wot tam, skatina, wozle paraszy, tam mie-sto jest i wozduch charoszy!” - usłyszałam. Krew mi zalała po same uszy. Dobrze mi tak, przecież postanowiłam nigdy się do nich nie zwracać.

Ponieważ dziwne było moje zachowa-nie, to i zespół ten nie wydawał się miły i nazbyt gościnnie. Lecz po chwili wstało jakieś małe czupiradetko i kazało subloka-torkom zsuwać bety, czyniąc mi miejsce. Poczułam się mimowolną intruzką i wino-wajczynią, gdyż swoją osobą przyczyniłam się do zwiększenia trudu ich dni i nocy. Odbierałam im wszak możliwość jako tako wygodnego odpoczynku. W zamian więc postanowiłam stać się pokrzepicielką ich sił duchowych. Zgromadziwszy tę nędzę do-koła siebie, poczęłam opowiadać, co się dzieje na świecie. Twarze blade, wychudłe, oczy zapadnięte ożywiły się od razu. Ru-mieniec radości, pogody okraślił ich lica. A potem, potem łzy pokrzepienia, ulgi spłynęły po policzkach.

W kącie celi dziewczynka lat szesnastu stacza walkę z sobą, by się nie rozplakać. Ma na sobie jakąś zdartą sukieneczkę, którą szarpie łapkami ze zdenerwowania. Wreszcie łza duża zaczyna się toczyć po bledziutkiej twarzyczce. Spojrzawszy na mnie szybko ją starta, mocno zawstydzona. Nie mogłam usiedzieć spokojnie. Podeszłam do niej i małą główkę przytuliłam do siebie - rozplakata się na dobre. Pozwoliłam jej na to. A potem opowiadałam jej wesołą ba-jeczkę pod tytułem „Niespodziewanie szybki powrót Irenki na pielesze domowe” - gdyż tak było jej na imię. Dziecko się rozwese-liło i poczęło ukradkiem grać ze mną w warcaby.

W kilka godzin byłam zorientowana w całokształcie ich życia wewnętrznego. Najbardziej uciążliwe było współżycie z prostytutkami ze względu na ich potworne zachowania i choroby. Co do nich, nakreśli-łam sobie w myśli krótki plan działania.

Wniesiono obiad.

Beczka brudna, a zupa to woda na rybie możliwie najbardziej cuchnącej. Odór po celi poszedł tak duszący, że nie można było złapać tchu. Nigdy nie byłam specjal-nie skłonna do wymiotów, a tu od same-go zapachu zaczęłam zwiedzać wszystkie stolice świata. Lecz współtowarzyszki nie-doli, ku wielkiemu memu zdziwieniu, rzuciły się na tę lurę i wchłaniały ją z niezwykłą szybkością i apetytem. Boże, Boże, dopiero teraz zobaczyłam, co robi głód, do czego doprowadza!

Pod wieczór zostałam zaproszona na różaniec. Modlitwa ich prosta, szczerza i taka z serca płynąca wzruszyła mnie z kolei do łez. Po różańcu inne modlitwy, a potem cichutki, melodyjne pieśni.

Przez cały dzień spocząć nie można.

Gdy ktoś się położy na moment, z wizyter-ki dyżurna krzyczy, żeby wstać, bo będzie kara.

Nadeszła noc.

To nie odpoczynek - to dopiero prawdzi-wa męczarnia. Roje pluskiew, wszy i pcheł gryzą do nieprzytomności. Teraz z kolei wstać nie wolno ani też usiąść. Co chwilę wchodzi strażnicy i budzą nas, wzywając na śledztwa.

Powrót ze śledztwa to wrzucanie do celi nieprzytomnych, zbitych, z rozkazem: „*śdie-tat' jej banju s chołodnoj wodoi*”, czyli cucić ją zimną wodą - ale najczęściej żadnej wody nigdy nie ma.

Nieraz do tego doprowadzają, że co żyje w celi, rzuca się na żołnierzy z kociot-kami i wali, ile wlezie, zanim zdążą uciec. Oczywiście, takie awantury kończą się za-wsze karcerem.

Bywały jednak wieczory bardzo wesołe. Cichutko odgrywałyśmy scenki z naszych przesłuchań albo z życia na wolności - daw-niej i w przyszłości, inscenizowałyśmy różne zagadki. Były też gry towarzyskie. Ba, nawet urządzaliśmy koncerty na instrumentach własnego pomysłu. No i opowiadałyśmy sobie przeczytane książki, obejrzone filmy czy obrazy, albo historie z własnego życia. Były to cudowne opowieści!

Tym ostatnim rozrywkom towarzyszyło najczęściej generalne bicie wszy i innego robactwa. Na pluskwy robiłyśmy obtawy z palącym się polanem, ukradkiem wycią-gniętym z pieca.

#### Teraz coś z rzeczy ogólnych

Pierwsze dni, jak widzicie, pochłonięty mnie całkowicie. Byłam wypełniona po brzegi nowymi wrażeniami, przeżyciami. Po kilkunastu dniach poczułam się jednak moc-no zmęczona. Zmęczona nie tyle śledztwami, co otoczeniem, życiem pełnym napięcia nerwowego, rozpacz i męczarni.

Dotąd byłam jeszcze o tyle spokojna, że miałam w sobie tę wiarę głęboką, że każde zło wytrwam, każdy cios odbiję. A teraz widzę, że się mocno przeliczyłam i tracąc wolność, utraciłam to, co jest naj-ważniejsze - wszelką możliwość myśli i czy-nu. Wysiłek myślowy był tam tak wielki, że wyczerpywał całą istotę ludzką. Może nie doznaliście takiego uczucia, ale wierzcie mi, że to w konsekwencji jest istotne. Stałam się z czasem jak kropelka w morzu, która nic nie znaczy. Która niczemu przeciwdziałać nie jest w stanie.

Życie otoczenia to jeden wielki koszmar, którego nikt, kto tego nie doświadczył, nie może pojąć. Jedna cela żyje życiem celi drugiej, które jeżeli nie jest jeszcze gorsze, to jest też fatalne w swoim rodzaju lub w ogóle tragiczne. Obok mojej celi była cela numer 5, gdzie więźniarki gnity za życia, zże-rane przez miliony wszy, pcheł, pluskiew. Może powiecie, że to nasza wina te masy insektów?! Pamiętajcie, że nas stale przenoszono z celi do celi, że różny jest w wię-zieniach element, a sienniki są niezmiennane od wiek wieków. Wiedźcie, że nie miałyśmy bielizny na zmianę, brak wody i mydła też robił swoje. Sądzić nas zbyt ostro nie wol-no Wam!! Vis-à-vis miałam celę numer 3 z matkami malutkich dzieci - niemowląt. Ta była najstraszniejsza, najboleśniejsza. Matki, w najważniejszym okresie noszenia płodu odżywiane gorzej niż u na świnię, katowane śledztwami, bite, rodziły dzieci niedorozwinięte, nienormalne, chorowite. Gdy cela ta wychodziła na spacer, tkwiłam bez przerwy przy dziurce od klucza lub przy oknie. Widziałam to, czego żaden człowiek nigdy widzieć nie powinien. Matki obdarte, w strzępy swoich brudnych sukien owijały to, co miały najdroższego w życiu - dzie-

ciątka swe. A były te maleństwa różne. Widziałam błędne oczy, rozmiążdżone noski lub twarzyczki w ogóle bez nosków. Widzia-łam nóżki okropnie powykręcane krzywicą. Ale widziałam też śliczne, a tak smutne i zgnębione, że aż serce pękało. Widziałam dzieciątka w apoplektycznych atakach oraz takie, które, bawiąc się, dostawały raptem sinicy i marły na oczach oszalałej matki. A wszystkie były brudne. Wszystkie w najokrop-niejszych ropniach.

[...]

#### O tęsknocie i rozpacz

Dziś bytśmy w pracy. Nabijanie świeżą słomą sienników. Dziś - nie uwierzcie - sie-działam na najprawdziwszym stogu słomy i tak jak niegdyś, przed piętnastu laty, fikałam na nim kozły. Naraz jedna z koleżanek ujrzała na balkonie sąsiedniego domu matkę swą. Boże, czy pojmujecie takie niespodzie-wane szczęście?!

- Stuchaj, siostrzo - odezwata się do mnie - bzikujmy jak najwięcej, by moje biedac-two kochane miało złudzenie, że nam tu jest dobrze i wesoło, że nas dobrze karmią, skoro mamy siły ku temu.

Powiedzcie, czyż to nie bohaterstwo swego rodzaju, czy nie piękny odruch?!

Zabrałyśmy się też do roboty z nie lada zapałem. W pół godziny dwadzieścia sienni-ków było napchanych świeżą słomą. Każde nasze „dzieło” wieńczyłyśmy specjalnym ak-tem triumfu - „kozłem” i buziakiem przesta-nym ukradkiem w stronę patrzącej na nas z naprzeciwka kobiety. Do celi wracałyśmy z płasem i śpiewem. Biąta chusteczka w rękach matki naszej koleżanki podniosła się do oczu... Kobieta płakała.

Upadłyśmy na nary nieprzytomne ze zmęczenia. Wysiłek był nazbyt wielki na tak bardzo wyczerpane organizmy.

Halinka się modli. Dziękuje Bogu za tę maleńką chwilkę wielkiego szczęścia. Wie ona i wie jej matka, że żyją.

Tego dnia tęsknota moja za domem była nie do opisanania. Wy, ludzie wolni, nie znacie tego uczucia. Wy jego nie pojmie-cie.

Różne miałam w życiu doznania. Całą gorycz wypita do dna. Ale tak silnego uczucia tęsknoty jeszcze nie zaznałam.

Tęsknota do granic rozpacz, ból serca i duszy nie do zniesienia! To mało chwycić za kraty i rwać je, gryźć i łamać w nie-mocy wszystkie zęby! To mało bić głową o mury i krzyżeć „puśćcie mnie”! Niczym jest rzucenie się na człowieka pilnującego celi i rozkwaszenie mu tła! To wszystko jest niczym wobec żądy wolności!

Z szalonego afektu człowiek popada w stan martwoży kompletnej. Jest on najcięż-szy, gdyż kończy się zawsze niemal obtę-dem, całkowitym albo częściowym.

Mijały tak miesiące jeden za drugim... Cele nasze się przerzedzały. Jedne z nas wywożono w głąb Rosji, inne odsyłano w stanie ciężkim do szpitali więziennych, jesz-cze inne marły. Pozostawały rozkładające się żywe trupy, modlące się już tylko o wy-wóz, w przekonaniu, że to lepsze... Potem przybywały nowe grupy aresztowanych.

[...]

#### Wywóz

Jest dzień 1 marca 1941

[...] Wszłam do wagonu. Pociąg to-warowy o tak wielkiej liczbie wagonów, że końca dostrzec nie mogłam. Wewnątrz porobiono nam nary, korytka i wstawiono po jednej beczce na wodę. Pośrodku stał rozwalony piecyk. Okna wagonu zakrąto-wane, lecz bez szyb. Brud i ziąb straszny. Po ścianach płyną strugi wody. W ścianach



szpary na palec. Należy wziąć pod uwagę, że wiele pań zostało zaarrestowanych na ulicy, a w związku z tym nie posiadały żadnych dodatkowych okryć ani też pościeli. W wagonie ani ździebka stomy, a piec tli jedynie i dymi niesamowicie, nie ma w nim ognia.

Zapał wieczór. Korzystając z ciemności poczęłam światełkiem nadawać sygnały do ludzi na stacji. Odpowiedzieli mi światłami zapałek i ogni z papierosów. Każda z nas odbierała inne znaki. Pokrótce opowiedziałyśmy, dokąd jedziemy, na jak długo, jak się czujemy. W odpowiedzi otrzymaliśmy przekaz: „Trzymajcie się... Już wkrótce... my z wami...”. Były i apele osobiste do mnie: „...Lilka... Lilka, nie daj się! Wracaj! Czekaamy!” Łzy leciały mi z oczu. Odpowiedziałam Rotą. Nasz śpiew podchwyciły i inne wagony, wkrótce śpiewał cały transport – sto dwadzieścia wagonów! Takiej mocy w śpiewie Brześć jeszcze nigdy nie słyszała. Widziałam jeszcze w tłumie masę ruchliwych chusteczek...

Chwila to pamiętna na całe życie.

### Droga

Wrzucono suchary, chleb i trochę cukru na dwa tygodnie – leżały na brudnej podłodze. Miejsca nie było. Pięćdziesiąt osób w kuckach siedziało. Element? O, lepiej nie pytajcie!!! Polek w każdym razie bardzo mało: J. Sikorska, H. Gicelówna, J. Jarzębkiewiczówna, jeszcze dwie i ja. Reszta Ukrainki i Białorusinki, zwolenniczki ZSRR, oraz kilka najordynarniejszych prostytutek, bandytek.

Do Mińska, a raczej Orszy życie jeszcze było znośne. Pomijam kłótnie, bicie się o kroplę wody. Pomijam okropne łapanie się prostytutek z krasnoarmiejcami i ciągłe towarzystwo wariatki „Pani”, kreatury ludzkiej z ciągłymi atakami apoplektycznymi. Pomijam głód, brud i miliony wszy. Ale gdy minęłyśmy Orszę i nastały silne mrozy z wiatrem diabelskim, skończyła się nasza wytrzymałość fizyczna. To stałe zamarzanie było czymś tak strasznym, tak potwornym, tak nie o zniesienia! Zrozumcie: niemal gołe, bo inaczej tego nazwać nie można, byłyśmy zasypywane bezustannie śniegiem. Bez strawy gorącej, o chlebie zmarzniętym na kamień, nie do ugryzienia, a wodzie jak lód do smoktania! To zasypianie na śmierć i to bicie się wzajemne skostniałymi rękoma, już odmawiającymi posłuszeństwa?! KOSZMAR!!! Ratowałyśmy się, jak tylko było można – zasypiać nie dawałyśmy nikomu. Strajkami domagałyśmy się zmian, ulepszeń, gorącej strawy. Z biegiem czasu dwa razy na tydzień zaczęły nam dawać gorący krupnik. Ulżyło nam odrobinę, ale była to jedynie kropelka lekko krzepiąca...

Mężczyźni widocznie byli bardziej rozjątrzeni mrozem, głodem i fatalnymi warunkami, gdyż powsadzano ich do transportowych „karców”. Dzień i noc słyszałyśmy okropne, nieludzkie wycie i wzywanie ratunku. Najpierw: „Strajkujcie jedzeniem... ja nie wytrzymam... wiszę goły w budce obok wagonu”. Potem: „Powiesili do góry nogami za to, że jęczę, że skomle o ratunek, że nie chcę wydać kolegów...”. Głos zachrypnięty, głos dławiony, głos straszny... A w końcu, po kilku dniach, już tylko mruczenie, sapanie dziokiego zwierzęcia... Zamierałyśmy, słysząc to – budka przylegała do ściany naszego wagonu.

Strajki nic nie pomogły. Takie sposoby dobre były na terenie Polski – tu już nie skutkowały.

Na każdej stacji otwierały się „wrota naszego chlewu” – z piętnastu czerwonarmiejców z wycelowaną w nas bronią wzywało do przewierki. Na ten rozkaz trzeba było wszystkim skupić się po jednej stronie

wagonu, a potem pojedynczo przechodzić na stronę drugą. Pamiętajcie, że ruszyć się z miejsca było rzeczą niezmiernie trudną. Ludzkie ciała – jeżeli można je było jeszcze nazywać ludzkimi – były tak skostniałe, tak zeszywniałe, że nie mieliśmy nad nimi władzy. Ruszaliśmy się więc ledwo, ledwo. Wówczas kilku z nich wskakiwało do wagonu z wielkimi psami i szczuło je na nas. Podgryzane i szarpane przez psy wlekłyśmy się, w najwyższym stopniu upokorzone w swej dumie narodowej. Krasnoarmiejcy, z małymi wyjątkami, liczyć nie umieli. Liczyło ich zawsze kilku, a u każdego wynik był odmienny. Zanim go sobie uzgodnili, upływało pół godziny. Przez ten czas drzwi były otwarte, więc przy braku szyb w oknach powstawał niesamowity przeciąg. Toteż każda taka przekłeta przewierka pociągata za sobą wiele ofiar śmiertelnych.

Temperatury szalone. Bredzenia bez przerwy. Leków i opieki lekarskiej brak. Bywało, że ciężko chorych zabierano do szpitali. Najczęściej jednak pozwalano im umrzeć i wyrzucano trupy z biegnącego pociągu wprost na otwarte pole. Z mojego wagonu zabrano kilka osób do szpitala i wszelki słuch o nich zaginął. Widziałam jednak, jak wyrzucano martwe ciała z sąsiednich wagonów.

Żeby oderwać myśli od tych koszmarów, przyglądałam się pięknym rosyjskim krajobrazom. Dlatego tkwiłam często przy oknie wagonu. Przy okazji chwyciłam łapczywie zbawienne promienie słońca. One mnie rozgrzewały i ożywiały.

Widziałam też wiele zwierzyny. Ale już nie umiałam zachwycić się jej pięknem. Patrzyłam na zwierzęta jako na obiekty wspaniałej konsumpcji.

Na dużych stacjach węzłowych próbowałam nawiązać rozmowę z ludźmi. Ale oni uciekali od nas jak od zapowietrzonych. Bali się. Nie wiem jednak czego: czy naszego widoku jako efektu swego barbarzyństwa, czy też własnego „reżimu”? W każdym razie żaden z nich nie przemówił do nas dobrym słowem ani też nie wsparł żadną pomocą. Stwierdziłam z przykrością istnienie rażącej dysharmonii między pięknem natury kraju a kretyństwem narodu. [...]

Jechaliśmy okrągły miesiąc: Mińsk, Moskwa, Pietropawłowsk, Karaganda. Dnia 3 kwietnia stanęliśmy w Karabasie, to jest w punkcie rozdzielczym obozów pracy. [...]

### Amnestia

Nadszedł sierpień ... a z nim amnestia. Właśnie wtedy, gdy Polacy byli już u kresu swych możliwości fizycznych. Czy rozumienie nas? Łagerników? Którzy już modlić się nie mieli sił ani cieszyć się szczęściem osobistym, narodowym, szczęściem Polski?

Byliśmy tak wyczerpani!!!

Co się tyczy mnie, to powiem, że jako odbicie tego momentu po raz pierwszy od wywózki do ZSRR pojawił się w moim umyśle obraz Matki mojej, siostry, braci – DOMU. Na więcej moja istota wewnętrzna zdobyć się nie miała siły.

Jesteśmy już w punkcie rozdzielczym. Kwarantanna jak poprzednio. Po trzech tygodniach lepszego odżywiania (robili to tendencyjnie) i powrocie do sił poczęłyśmy analizować – tak cudowny zbieg okoliczności, czas wolności tak niespodziewany! Mogę powiedzieć, że wtedy generał Sikorski obudził w naszych sercach cześć niemal boską. Nie wątpiłyśmy, że za Niego każdy Polak z Rosji odda życie bez wahan. Na każde Jego skinienie pójdzie tam, gdzie trud trzeba będzie podjąć największy. Byliśmy Mu wszak winni nasze dusze i ciała. Kochaliśmy Go i Kraj ze wszystkich naszych odradzających się sił.

Polacy w większości już wyszli w więzień i tagrów na wolność... Masy odjechały, małe grupki odeszły... Odprowadzam pojedyncze osoby, a sama ciągle siedzę w obozie... Mijają tygodnie pełne smutku, powrotnie ciężkiego bytu (300 gramów chleba i zupa na dzień), znowu ktoś wyjeżdża, odprowadzam go znowu zostając sama... I tak dzień za dniem. A każdy bardziej męczący, boleśniejszy.

Minęły dwa miesiące. Dołączyło do mnie kilka Polek, Ukrainek i Białorusinek. Stare, młode i dzieci. W barakach męskich też sporo się nazywało męczyczn. Przyjeżdżają różne organa kontrolne – zapytujemy, dlaczego nas zatrzymali. Odpowiadają, że dokumenty nie w porządku lub że się zagubity albo też wykroczył się zarzutem o szpiegostwo. Wspólnie dochodzimy do wniosku, że nic innego, tylko wzięli nas na zakładników. Zaczynamy działać. Różnymi drogami śle listy do sztabu wojsk polskich, do ambasady polskiej itd. Ludzi wychodzących na wolność proszę o interwencję. Wszystko na nic! Mijają miesiące.

Mijają miesiące najgorsze, bo wraz z nimi postępuje upadek ducha. Wiemy przecież, czym jest ZSRR. Zdajemy sobie sprawę, że to jedyne chyba państwo na świecie, które się nigdy z niczym i z nikim nie liczy. Że to jest państwo, którym nie Stalin rządzi, ale ten jego najniższy funkcjonariusz.

Ot, ci to właśnie byli panami życia i śmierci tysięcy ludzi. Najniżsi funkcjonariusze Stalina!

Wreszcie jednak, po kilkukrotnej interwencji polskich władz wojskowych, zostałam 28 grudnia 1941 roku zwolniona.

Odjechałam wprost do Buzułuku. Celem zgłoszenia się do polskiej armii.

PRZYGOTOWAŁA DO PUBLIKACJI  
MARIA JENTYS - BORELOWSKA



Zbigniew Ikona  
Kresowaty

Okazją do rozmowy literackiej artysty plastyka i poety Zbigniewa Ikony Kresowatego, stał się jubileusz 40-lecia pracy twórczej Tadeja Karabowicza – poety, tłumacza i literaturoznawcy. Tadej Karabowicz w swoim dorobku translatorskim posiada szereg przekładów z poezji ukraińskiej, jest znany także z licznych recenzji i esejów publikowanych w prasie literackiej.

**Zbigniew Kresowaty:** Okazją do rozmowy literackiej jest twój jubileusz 40-lecia pracy literackiej. Debiutowałeś w odległym już 1980 roku. Gdy spojrzymy wstecz, to jest wielki smutak czasu i widać jak wiele dokonałeś. Znajdujemy się na wschodzie Lubelszczyzny w twoim wiejskim domu w Holi, w takim przepięknym miejscu historycznego już Podlasia Południowego, gdzie mieszkasz od lat i tworzysz. To jest twoja magiczna enklawa, nieskażona jeszcze urbanizacją i bez agresywnych reklam. Jednym słowem poeta w swojej „małej ojczyźnie”, gdzie natura z żywą biologią tkwią szeroko w symbiozie i funkcji dumnej ziemi obrazu jeszcze dziewiczego. Jest tutaj XVIII wieczna cerkiew i skansen, który otworzyłście kilkanaście lat temu wraz z żoną Aliną. Byłeś wykładowcą na filologii ukraińskiej UMCS w Lublinie – jesteś twórcą, autorem wielu tomików poetyckich i książek tłumaczonej na język ukraiński. Jesteś autorem antologii poezji ukraińskiej pt. „Po tamtej stronie deszczu” (Lublin 1998), wykładów pt. „Dziedzictwo Kultury Ukraińskiej” (2001), monografii pt. „Portret ze skrzydłem archanioła” (2003), która mówi o poezji wybitnego i prześladowanego poety ukraińskiego Ihora Katyncia. Temat ten pozostawał twoją pracą doktorską. Dodam, że inicjowałeś także wydawanie rocznika „Ukraiński Zaułek Literacki” w 2001 roku, poświęconego wyłącznie twórczości poetów mniejszości ukraińskiej w Polsce. Napisał w swej „nocie tłumacza” Jan Leończuk z Białegostoku, jako poeta i krytyk literacki i znawca kultur pogranicza, o twojej książce poetyckiej pt. „Już dzień się nachylił do czterech krańców świata”, takie oto słowa, cyt.: „Tadej Karabowyc pisze po ukraińsku i chociażby z tego powodu skazany jest na samotność, którą pogłębia: złożona natura poety, wrażliwość oraz skłonność do myślenia mitycznego...”

**Tadej Karabowicz:** Dziękuję ci za zapropionowanie tej rozmowy literackiej. Zdaje sobie sprawę, że czterdziestolecie mojej pracy twórczej, jest tematem rozległym, więc da się poruszyć tylko tematy wybrane. Rozmowa jest ważna z wielu punktów widzenia, uzmysławia – że czas nie stoi w miejscu. Nie jest to rozmowa łatwa, bo już samo wstępne pytanie wybiega daleko za mój widok literacki. Dlatego najlepiej by było, żeby poeta nic nie wiedział o świecie, mając świadomość tylko siebie i swoich korzeni kulturowych. Celowo tak mówię, odczuwając jak właśnie umykający czas uczy nas pokory i dystansu do samych siebie. To także jest zawarte w zaśpiewie mojej rodzinnej ziemi. Myślę, że tak naprawdę powinno się mieć dystans wobec świata. Wszystko powinno odbywać się na płaszczyźnie duszy, bo właśnie tutaj trwa wartościowanie świata. Mimo zdobyczy cywilizacyjnych człowiek pozostaje samotny. Moja poezja czynnie mówi o sposobie bycia samotnym. Płynię

# W OKNACH PAMIĘCI

Tadej Karabowicz i Zbyszek Kresowaty –  
„rozmowa artystyczna przy świecy”

ona obrazami serca przez rzekę Heraklita. Odpowiada na porównanie mojej twórczości przez poetę Jana Leończuka, do heraklijskiej wody, która meandruje między urwistymi brzegami życia. Jan Leończuk nie miał na myśli spowolnienia czasu w mojej twórczości, przeciwnie – mówił, że czas coraz szybciej pędzi na przetał.

**Z. K:** Co więc musi wiedzieć poeta żyjący w określonym miejscu, w takich nowych czasach jak nasze – w dobie Internetu, Facebook, pandemii i poważnych przemian mentalnych? Jak przedsiębrać dystans do otoczenia i żeby z drugiej strony nie popaść w zbyt sentymentalizm. Odpowiem trochę za ciebie – na pewno jest to odpowiedzialność ściśle indywidualna, ale i na pewno tylko twoje wyzwanie.

**T. K:** Tak! Jest to indywidualna czasoprzeźrenia. Najtrudniej jest mówić o sobie – nie poprzez skłonność do myślenia mitycznego, a z braku świadomości dystansu wobec siebie. Swoją drogę życiową określiłem wędrowną do siebie, a samotność o której wspomina Jan Leończuk i także omawia Profesor Teresa Zaniewska, we wstępie do mojego tomu wierszy „Już dzień się nachylił do czterech krańców świata”, posiada narrację osobistą. Ma ona w mojej biografii ważne. Jest niszą, która pozwala na dystans wobec dnia, nachylonego do czterech krańców świata. Za chwilę, w obliczu umykającego czasu, nastąpi wygaśnięcie moich światła. Chciałbym by „moja chwila”, trwała jak najdłużej i należała tylko do mnie, z moimi wspaniałymi grzechami i przypadkościami... Jestem poetą piszącym w języku ukraińskim, wydałem osiem tomików w tym „Poezje wybrane” w 2001 roku. Moje wiersze były tłumaczone na kilka języków, głównie na język polski przez Jana Leończuka i ukazały się jako tomiki „Powrót” (1998), „Już dzień się nachylił do czterech krańców świata” (2004) i „Długa rozłóżka” (2006). W 2001 roku inicjowałem wydawanie rocznika literackiego „Ukraiński Zaułek Literacki”, który obecnie ma 21 edycji. W roczniku prezentowana jest literatura ukraińska i dorobek twórcy ukraińskiej mniejszości narodowej w Polsce. Tłumaczyłem na język polski poetów ukraińskich, w tym emigracyjnych, a także na język ukraiński wiersze Czesława Miłosza i Wistawy Szymborskiej. Szukając wypowiedzi artystycznej, dość często postępuję się myśleniem mitycznym, dystansując się w ten sposób od dnia codziennego i galopującego czasu. Staram się odgradzić od nadmiernej cywilizacji, mieszkaniem na wsi i nie stroniłem od prac społecznych na rzecz najbliższej okolicy. Pragnąłbym odnieść się do kwestii pogranicza oraz małej ojczyzny i odpowiedzieć na twoje pytanie czym te pojęcia są dla mnie. Określając żmudnie własną tożsamość, mam świadomość dawno skryształizowanej mojej ojczyzny duchowej, ugruntowanej w opowieści kilku moich tomików wierszy. Nie jestem poetą poszukującym swojej tożsamości. Należę do areatu literatury ukraińskiej. Jeśli chodzi o „pogranicza”, to miejsce, gdzie mieszkam nie jest dla mnie pograniczem, czy kresami. Nie czuję się poetą pogranicza i gdybym miał przeprowadzić linię, gdzie przebiega moja poetyka, chociaż woląłbym by zrobili

to krytycy literaccy – powiedziałbym krótko, przebiega przez sam środek serca. Moje strony rodzinne były i pozostaną dla mnie centrum świata. Kresy to ziemie pogranicza, więc tę kwestię pozostawiam raczej antropologom, by na swoje potrzeby rozumieli ten złożony i niejednoznaczny temat.

**Z. K:** Zatem wiemy już wiele o tobie, przejdźmy więc, do dzisiejszej klasyki współczesnej, do poety Czesława Miłosza, który pochodzi także z pogranicza co zresztą bardzo wyraźnie widać w jego twórczości. Jest wiele tego nawet całe ciągi kwestii, jak toczyły się dzieje ludzkie i jak się mieszały i jak powstawały pewne zależności kulturowe. Czesław Miłosz pochodził z Litwy, jego twórczość sobie bardzo cenisz. Jak wiadomo poeta, nawet z emigracji, wołał o kulturowanie twórczości kresów wschodnich i pochwalał tu zawsze wszelką działalność twórczo-literacką pisaną na pograniczu całej ściany wschodniej, o czym dobrze razem wiemy. Natomiast wiele z tych czy innych kwestii możemy znaleźć w „Traktacie teologicznym”, który ja na użytek własny i tej rozmowy nazywam „moralnym”, opublikowanym w „Kontrapunkcie”, w dodatku do „Tygodnika Powszechnego” (nr 47/2001), a który to wywołał różne kontrowersje, co zresztą lubił poeta. Miłosz rad zawsze był, gdy podejmowano wszelakie dyskusje, czy rozważania, na tematy kulturowo-społeczne pochodne i nawet drażliwe politycznie... A tu chodzi przecież także o wschód, o polskość o etniczność... Kłonił głowę i wspierał tych, którzy przyczyniali się do dyskusji na tamach nowo powstałych periodyków na pograniczu, jakkolwiek innym i kulturowym, i oczekiwał mądrej dyskusji na ich tamach.

**T. K:** Poruszyłeś bardzo istotną kwestię. Czesław Miłosz w „Traktacie teologicznym” mówi o „drugiej przestrzeni” wobec wiary i niewiary. Wiedza ta wynika, jak sądzę z życia poety w różnych krajach i środowiskach ludzkich. Wśród zbiorowości narodowościowo i religijnie różnicowanych, ale głównie w przestrzeni cywilizacyjnej Ameryki, opartej na strukturze wielkich miast. Zapewne poeta doskonale te wątki czuł i nie ukrywał, że zna ze swojego dalekiego mieszkania w Wilnie sposób myślenia społeczności niejednorodnych religijnie i kulturowo. W jego Wilnie, obok kościołów, były cerkwie i synagogi. Pisząc tomik „Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada” (Paryż 1974), poeta nawiązał do korzeni rodzinnej Litwy, gdzie jego przodkowie poety ocierali się o litewskość, polskość, czy białoruskość. W tomiku poeta stara się rzeczy minione, takie jak dokumenty historyczne oczyścić z przemian i tchnąć w nie mimikę fikcji literackiej. Okolicom rodzinnym natomiast, pragnie przywrócić zmitologizowaną tożsamość. Trzeba powiedzieć, że gdyby nie silne emocje, które temu procesowi towarzyszyły, nie byłoby dzisiaj w literaturze polskiej kontekstu, że poeta Czesław Miłosz jest wyznawcą Wielkiego Księstwa Litewskiego. Do dobrego tonu należy zaliczyć pojawianie się Czesława Miłosza z Tomaszem Venclową. Ważne wydawały się ich wspólne dyskusje literackie na różne tematy, zawsze w dużym formacie merytorycznym. To także nieznaną wątek kontak-

tów literackich z Janem Pawłem II. Czesław Miłosz stoi na zdjęciu z 1981 roku z papierem, gdzie widać onieśmienie pomiędzy nimi. Najwyraźniej kontekst uwidacznia się na gruncie krakowskim, gdy poeta pisał „Traktat teologiczny”, a papież pracował nad „Tryptykiem rzymskim” (Kraków 2003). Zwróćmy uwagę, że oba dzieła powstały w bliźniaczym czasie, chociaż w różnych miejscach oraz kontekstach. Pisali je ludzie sędziwi. Nie uważam by Czesław Miłosz przekroczył w „Traktacie teologicznym”, jakąś granicę testamentalnego wyznania, czy zechciał łamać kanony teologiczne. Tak zresztą jak w „Tryptyku rzymskim” Jan Paweł II nie rozszerza przecież kontekstu teologicznego religii chrześcijańskiej. Wybitność dzieł poety i teologa, polega na silnej kreacji duchowej, pisanej z myślą o przyszłości. To była próba otwarcia świadomości znaczenie dalej i głębiej, niż mogłoby się to dzisiaj wydawać. Czesław Miłosz nie był teoretykiem jakiegoś porządku filozoficznego, z którego można by budować obraz współistnienia. Poeta sygnalizował tylko w swojej twórczości pewne prawdy: „jak było” (książka o dwudziestoleciu międzywojennym) lub jak „być powinno”. Jego słynna wypowiedź o Wilnie, tak krytykowana z „Szukania Ojczyzny” (Kraków 1996), brzmi: „Wilno jest stolicą znów niepodległej Litwy i cieszę się z tego jako, bo życzę temu miastu dobrze. Zasługuje na to, żeby być jedną ze znanych i pięknych europejskich stolic. Jego niebo, jego obłoki, jego architektura posłużą za oprawę wielu twórczym poczynaniom ludzkiego umysłu, bo niezależnie od moich prób wytłumaczenia, należy przyznać moc sprawczą duchowi tego grodu”. Słowa te przyczyniły się do wielu krytycznych opinii wobec poety. Jednak trzeba przyznać, że dyskurs Czesława Miłosza wykracza poza ciasny partykularyzm. Myślę więcej, że Czesław Miłosz był człowiekiem odważnym, nie ukrywał fascynacji literackich, zwłaszcza zanurzeniem wprost w twórczość Adama Mickiewicza, Mieczysława Buczkówny, czy Jarosława Iwaszkiewicza. Hołdował romantyzmowi, był obiektywny w ocenach. Dla mnie odkryciem pozostaje wydanie „Historii Literatury Polskiej” napisanej przez poetę jako skrypt dla studentów amerykańskich. Takiego oddechu wobec własnej przeszłości literackiej, nie powstydziliby się niejeden historyk literatury, a zwłaszcza w kontekście na ogół nudnych podręczników akademickich. Ale wracając do pytania o zasadność propozycji i kontekstów poety. Unię polsko-litewską zawierał władcy, a podlega ona dzisiaj ocenie wykrystalizowanych narodów Polski i Litwy w XX wieku Narody te mają swoje zaszczyty, niewiele zaborów i nowożytną świadomość w obliczu której trudno mówić o restytuowaniu czegoś, co w średniowieczu tworzyło feudalne podwaliny. Doskonale zdawał sobie z tego sprawę Czesław Miłosz, próbując jedynie, jak się można domyślić, uściślić terminy: Wielkie Księstwo Litewskie, „Litwa gniazdowa”, racjonalizując tutaj stosunki „etniczności” wobec granic państwowych, które nie zawsze w naszej części Europy pokrywały się z granicami etnicznymi. Nie zapominajmy, że Czesław Miłosz przez większość swego życia spędził w USA, gdzie był wykładowcą na ważnym uniwersytecie amerykańskim. Jego książki eseistyczne, mają charakter wykładu, stąd są cennym materiałem dydaktycznym.

**Z. K.:** Oczywiście jest to kwestia głęboka i złożona. Twoja poezja, jest dziś cenna z wielu powodów. Pisana jest z autopsji i z takiego punktu niezależnego patrzenia



dalej choćby i na te sprawy, o których tutaj w postaci wykładu powiedziałeś o tradycji cerkiewnej, czy o samym Czesławie Miłoszu. Co tak naprawdę dziś jest ważne dla Ciebie jako poety. Bo działo się tutaj na pograniczu wschodnim i wyżej aż po Litwę, bardzo wiele. A więc, Twoja świadomość w tym i ta naukowca, jakby bada wciąż kwestie i inne zależności kulturowe. To tutaj było tak, że zakwitało często „mord na mordzie” jak pisze wybitna poetka pochodząca z Bełżcząca k/ Czemiernik Marianna Bocian. Ale też nastąpił czas krzepnięcia i powstały nowe konfesje, i nastał czas tęsknoty po tym radosnym bólu. Mówię tak, żeby poprosić cię o dalsze inne tak ciekawe wypowiedzi tyle, że bardziej już na swoim organizmie, bo i stosunkowo mało się pisało o tym, a i objaśniali komukolwiek, kto chciał o tym wiedzieć. Ale ja chciałbym pokusić się o pytanie, a mianowicie, co z ekspansją Europy – ona już wraca i wnet tu będzie, ale na powrót już inna. Czy są jakieś zagrożenia dla etniczności z tego tytułu?

**T. K.:** To jest złożone pytanie, i zapewne na nie jest kilka odpowiedzi. Wynikają one także z pewnej głębokości tematu. Moja twórczość zawiera się w zbiorach wierszy, tłumaczeniach oraz krytyce literackiej. Dużą część mojej publicystyki zawierają stronicze gazety „Nasze Słowo”, której byłem wiernym pracownikiem na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Wracam do tego z sentymentem bo gdyby zebrać te publikacje w jedną całość, byłaby to zadziwiająca kraina aktywności autorskiej i redaktorskiej, oczywiście to jest takie powiedzenie metaforyczne. Moje strony, gdzie mieszkam, bliskie są gniazdowisku poetki Marianny Bocian, którą znałem, o której tu wspominasz jako jej wieloletni przyjaciel. To niedalekie siedlisko w którym bywałem razem w jej Bełżczącu i Czemiernikach. Nawiasem mówiąc, są to historyczne miejsca. Moje zerwanie z Warszawą i z redakcją „Naszego Słowa” nastąpiło w 1988 roku, kiedy postanowiłem swoje twórcze życie

przenieść na stałe do Holi. Profesor Michał Łęsiów tworząc na UMCS w 1993 roku Zakład Filologii Ukraińskiej, zaproponował mi zajęcia, a następnie życzliwie przyjął mnie na etat asystenta, a po obronie pracy doktorskiej na stanowisko adiunkta. Ta konkretna propozycja Profesora spotkała się z moimi przemyśleniami na temat, czy poprzez pracę na uczelni nie zostanie odebrane mi źródło poezji. Bowiem rządzi się ono poczuciem szeroko rozumianej wolności, a w moim indywidualnym przypadku samotnością i bezsennymi nocami. Ta obawa sprawdziła się, tomiki: „Dwa listy do nocy” z 1999 roku i „Długa rozłąka” z 2005, dzielą lata przerwy wydawniczej. Mieszkając w Holi i w Lublinie na tej, jak ją nazywasz, „dumnej ziemi” zastanawiałem się nad kondycją pisarza który wybierając mieszkanie na wsi, pozostaje tak naprawdę poza środowiskiem twórczym. Nie czuję się osamotniony w swej „pustelni”. Przywołuję tutaj geografii literatury – można mieszkać wszędzie, ale twórczość jest bardzo indywidualnym darem.

**Z. K.:** Może w kontynuacji twoich działań i inspiracji z racji zainteresowań humanistycznych powiesz coś o waszej z żoną działalności społecznej, o opiece nad stworzonym przez was skansenem i holeńską piękną XVII wieczną cerkwią. Jesteś znawcą sztuki, masz liczne kontakty z twórcami w regionie...

**T. K.:** Istotnie twórczość Czesława Miłosza, pozostaje ważnym ogniwem w tej rozmowie literackiej i zastanawiam się nawet dlaczego tak jest? Ale wracając do pierwszej części twojego pytania, należy powiedzieć, że mieszkając w Holi, pragnęliśmy z żoną oddać się pracy społecznej. Był to akt szczerzy i bezinteresowny. Z perspektywy czasu widzę w tym ważną kreację sprawczą. Poprzez pracę społeczną zostało wiele zrobione. A wracając do wątku literackiego, to ja bywałem na spotkaniach autorskich z Czesławem Miłoszem. Mam autograf od niego w ulubionym przeze

→ mnie tomiku „Na brzegu rzeki”. Stąd przywołujemy w naszej rozmowie Czesława Miłosza, którego widzieliśmy naprawdę, chociaż było to już bardzo dawno temu. Ty siedziałeś w Maćkowej Rudzie w hotelu, w którym siedział noblista, gdy odwiedzał malarza Andrzeja Strumiłłę w jego samotni nad Czarną Hańczą. To wszystko należy już do historii. Twoje pytanie o Czesława Miłosza nazwę, jeżeli pozwolisz – piętrowym i trudnym do odpowiedzi. W tłumaczonej przez Czesława Miłosza „Apokalipsie” z 1998 roku są ilustracje Jana Lebensteina tworzone w latach 1983-1985. Obraz „Apokalipsy” przedstawiony przez plastyka w kontekście tłumaczeń, ma znamiona świadomości metahistorycznej. Apokalipsa postrzegana jest przez Lebensteina jako dziedzictwo nieprzemijające, również w kontekście metahistorii. Surowe, w stylu ilustracje powstałe na styku świadomości i realnej rzeczywistości „Apokalipsy”, nie można oddzielić od metahistorii. Doskonale rozumiał to Miłosz, jako tłumacz, poruszał się bowiem w gąszczu dzieła wielokrotnie już tłumaczonego. Nie wywałął zamkniętych na klucz drzwi, a raczej w kolejnej odstonie, znowu je otwierał. Parabolicznie Miłosz i Lebenstein, ocierają się o sakralność tekstu, nie burząc go, a wznosząc jak chosć – ku górze. W tłumaczeniu „Apokalipsy” i w jej ilustracjach, odczuwa się niespieszność życia ludzkiego rozsiadłego wśród duchowej ponadczasowości. Trwa ona jak siedem złotych świeczników gorzących apokaliptycznym światłem. Tym tropem idąc, można podążać jeszcze głębiej szukając szerszego natchnienia „Apokalipsy”. To jest piękno, o którym mówi Czesław Miłosz, szeroko pojęte i cenne nie tylko dla samego sacrum.

**Z. K:** Jeżeli możesz uzasadnij proszę i opowiedz, jak doszło do spotkania z poetą Ihorom Kałyncem, gdyż wydaje mi się jest to bardzo ciekawy okres w Twoim życiu. Powiedz jakie pobudki czy umocowania tkwią w Twoim wyborze jeżeli idzie o napisanie pracy doktorskiej, że akurat wybrałeś tego poetę, który jak wiadomo był więziony przez reżim sowiecki za swoje przekonania.

**T. K:** Poetę ukraińskiego Ihora Kałynca poznałem w 1985 roku, już jako legendę i dysydenta „na kawie”, modne wówczas we Lwowie formie spotkań towarzyskich. Poetę przedstawił Jarosław Hnatiw, kolekcjoner sztuki i pracownik naukowy lwowskiej politechniki. Rozmawialiśmy wówczas z Ihorom Kałyncem tylko o poezji, gdyż pan Jarosław Hnatiw przed spotkaniem prosił mnie, bym nie poruszał świeżego jeszcze i bolesnego dla poety doświadczenia zsyłki na Syberię, z której powrócił do Lwowa po dziewięciu latach 1972-1981. Bywając w latach osiemdziesiątych we Lwowie zacząłem rozumieć tragiczny status, w którym znalazła się kultura ukraińska na swoim terytorium. Ihora Kałynca poetę otoczonego malarstwem i książkami w jego mieszkaniu ująłem jakby w kokonie, bo te obrazy, ceramika huculska były to symbole oddzielenia się od radzieckiej rzeczywistości, podkreślonej dodatkowo długą powiewką tagrów syberyjskich i zestania. Gdy już zacząłem pracować w Zakładzie Filologii Ukraińskiej UMCS w Lublinie moja wiedza o poecie była spora. Nadawała się do napisania o nim rozprawy doktorskiej w formie monografii, co zresztą zostało zrealizowane w 1998 roku, by następnie zaistnieć w mojej książce pt. „Portret ze skrzydłem archanioła - o poezji Ihora Kałynca”, którą wydało Wydawnictwo UMCS

w Lublinie w 2003 r. Paralelnie wydałem przekłady jego wierszy pt. „Karpal lub księga z Poselja” - Wydawnictwo „Tyrsa” (Warszawa 1998). Do tego wydania Kałyniec napisał słowo wstępne. Spotkanie z poetą było dla mnie ważną próbą węgłbiania się w twórczość nietuzinkową. W tej twórczości było widać wielką osobowość wybitnego poety ukraińskiego w szerszym aspekcie literatury ukraińskiej. O twórczości tej nie potrafię mówić z dystansem, a być może powinienem, gdyż ta wybitna postać ciągle towarzyszy moim wędrówkom literackim. Moje przekłady z literatury ukraińskiej ukazały się w obszernej antologii i nosiły tytuł „Po tamtej stronie deszczu – poezja ukraińska” (Wydawnictwo UMCS, Lublin 1998). Ale tłumaczyłem także poetów ukraińskich tworzących grupę literacką „Grupa Nowojorska”: Bohdan Bojczuk, Emma Andijewska, Żenia Wasylkiwska, Patrycja Kyłyna, Jurij Tarnawski, Wira Wowk, Roman Babował i Marija Rewakowycz.

**Z. K:** W książce Wiry Wowk przez Ciebie wydanej są tłumaczone z języka ukraińskiego jej wiersze na język polski, są tam kwestie, co do samotności w poetyckich odniesieniach metaforycznych. Jest tam takie oto motto do tego tomu:

Tragedia dla poety: wypisane pióro,  
Skończył się papier. I atrament wyschł.

Nie jest ważne, że w Aleksandrii  
Spalono jakąś bibliotekę

To cytał o rozpacz. Rozpacz zaczyna się tam, gdzie pojawia się poezja. Jak cytał ten z tomiku poezji pt. „Miłosne listy księżnej Weroniki” (1967) możesz odczytać? Ty jako poeta tej ziemi odnieść się do jego treści, jako tłumacz poeta wchodziłeś w metafizykę treści, jako osoba bytująca w takim podobnym odosobnieniu, może w tym cytacie odczytujesz jakieś dygresje do siebie, czy jest to coś podobnie tematycznie, co do Twej sylwetki? Dlaczego właśnie ta, a nie inna, autorka była tłumaczona przez Ciebie? Co znalazłeś w jej dramacie bliskiego?

**T. K:** Wira Wowk to wybitna ukraińska poetka emigracyjna urodzona w 1926 roku w Borystawiu i żyjąca w kilku kulturach ukraińskiej, polskiej, niemieckiej i portugalskiej. Jej chrzestnym był metropolita Andrzej Szczeptycki, a ojciec poetki Ostał Seliński, pozostawał osobistym lekarzem metropolity. Od zakończenia wojny mieszkała w Brazylii. Wira Wowk, była profesorem na uczelniach Rio de Janeiro, tłumaczka z języka portugalskiego, niemieckiego i hiszpańskiego. Wykładała literaturoznawstwo porównawcze, poetykę i język niemiecki na Katolickim Uniwersytecie Świętej Urszuli i Federalnym Uniwersytecie. Tłumaczyłem jej wiersze na język polski i wydałem w 2003 roku w tomiku pt. „Miłosne listy księżnej Weroniki”. Tłumaczyłem także tomik „Kobiece maski” oraz dramat sceniczny „Śmieszny Święty”, w którym krytyczka teatralna Elżbieta Baniewicz dopatrywała się wątków feministycznych. Zadziwiające jest pojmowanie kultury przez Wirę Wowk w obliczu zagłady. Jest to analogia do tego, co stało się z Biblioteką Aleksandryjską. Uległa ona zniszczeniu. W tym utworze, występuje taki powiedziałybym socjologiczny optymizm, gdyż bohater wiersza ratuje swoją współczesność, żyjąc własną tragedią wypisanego pióra i brakiem papieru. Czyli nie poddaje się, szuka wyjścia z beznadziej przemijania. Powtórzę ten utwór jeszcze

raz, by wybrzmiał jego paradygmatyczny sens: „Tragedia dla poety: wypisane pióro, / Skończył się papier. I atrament wyschł. / Nie jest ważne, że w Aleksandrii / Spalono jakąś bibliotekę”.

**Z. K:** To coś jakby z Ciebie, dlatego bratnio zająłeś się tymi poezjami i tłumaczeniami? Pozwól, może na chwilę jeszcze wejdziesz do twej poetyki, bo to będzie się wzięło z kolejnymi pytaniami, bo i też przytoczymy w dalszej części rozmowy twój wiersz. Ale powiem, bo znam twój wiersz. Ale powiem, że czuje się tu taką modlitwą „samotności” i dumę z tej samotności, a jednocześnie pokorę, bo wiersze twoje są też spowiedzią do świata, który otacza, ale i w jakiś sposób zagraża jego części? - Jest Twoja powęza (przynajmniej na użytek tej pojemnej rozmowy), taką szeroko pojmowaną świadomością i obawą, że wnet to wszystko może zatracić się, lub sponąć jak Aleksandria. Że ta bezkresna tutaj cisza, jako pojemne paliwo, zostanie wessana i wydalona jako spaliny takim tłumikiem, nie wiesz, kiedy Uważam o sobie, że jest w twej poezji ta mądrość pojmowania, choć nie widzę tutaj też cienia rozpacz – nie! - Jest ta poezja wartownią na straży duchowości, że jest tutaj jakaś podskórny nurt na stan dramatu przemijania czasu, jest dotyk rzeczy osobistego miejsca.

**T. K:** Myślę, że jednak trudno jest odnieść się do kwestii związanych z własną drogą twórczą, a zwłaszcza w kontekście słów tego symbolicznego tekstu tutaj przytoczonego, który „spadł” na mnie z wysokości tajemniczego natchnienia, i nie bardzo wierzę, że to ja sam go napisałem. Jest kilka takich moich wierszy, których współautorem jest stan duszy – czyli ktoś jeszcze. Wygasła krzyż w mojej poezji, są symbolem wycia wiatru na pustkowiu, do której często wracam, bo to parabolicznie łączy mnie z pejzażem dzieciństwa i programami rodzinnymi. Więc przeszłość w mojej twórczości, jako kategoria mityczna, kształtuje przestrzeń tej właśnie świadomości osobistej.

**Z. K:** No i wróć jeszcze raz na zakończenie naszej rozmowy, do tego co powiedziała Teresa Zaniewska, że jest trochę mity starożytnego w twoich poezjach.

**T. K:** Te zaśpiewy, o których mówisz są miejscem odwiecznym. To jest jakby zakolem prawiecznej rzeki z takimi symbolami, jak brzeg, urwisko, bród, czy lustro wody. W mojej twórczości istnieje podobieństwo obrazu rzeki Heraklita, z rzeką Bug, którą sakralizuje w sposób metafizyczny. Połyskujące wody skrywają przepastne i ciemne wiry. Ale bohater moich wierszy nie obawia się wirów na rzece, bo to jest jego konkretne miejsce na ziemi. Szerzej – jest to ziemia mojego dzieciństwa Chełmszczyzna, przez którą płynie rzeka czasu i do niej jest kierowana niejedna moja strofa, czy poetyckie zamyślenie. Symboliczna rzeka Heraklita, o której wspomina Profesor Teresa Zaniewska, ukonkretnia rzekę przemijania, lecz nie wyznacza istoty mojej poezji. Mam świadomość dawno skryształizowanej mojej ojczyzny duchowej. Jest to jakby żadoścuczynienie za to, że urodziłem się i wychowałem w ścisłym kontakcie z metafizyczną przestrzenią świata.

**Z. K:** Najserdeczniej ci dziękuję, gdyż była to cenna rozmowa przypominająca wykład na pograniczu...

Lublin-Hola-Lądek Zdrój, 2021  
ZBIGNIEW IKONA KRESOWATY

# Z KSIĄŻKĄ POD RĘKĄ. RZECZ O PODRĘCZNIKACH

## 1

Czym jest podręcznik? Książką podręczną, Książką potrzebną. Książką z pomocną wiedzą. Książką towarzyszącą i książką na odległość. Książką dla uczącego i nauczającego: dla nich obojga.

W zmartwiałej od dawna tradycji powszechnego szkolnictwa podręcznik jest księgą teorii i zadań odnoszących do teorii. Jest księgą-przemówieniem i księgą-straszakiem. Jest czymś, co trzeba nosić, przynosić i wynosić. Czymś ciężkim, czymś obciążającym ucznia poczuciem wiecznego braku: oto podręcznik-święta studnia, z której może czerpać wedle wskazówek nauczyciela, porcje są bowiem ściśle odmierzone, a ruch zbyt głęboki jest piętnowany. Co się dzieje, gdy uczeń sięga zbyt głęboko? Zostaje przywrócony na właściwe miejsce: sięga tam, gdzie dotarła tradycja nauczania. Wszystko, co tradycji nieznanne, jest podejrzane. Człowiek jest zwierzęciem, a więc boi się nieznanego. Uczni w tradycji są zwierzętami oswojonymi: wiedzą, co wolno i czego nie, odebrali stosowną tresurę (wychowanie i edukację), otrzymali prawo oswojania młodych zwierząt i prawa tego strzegą, aby nie stało się nic złego, czyli: n i c n i e z n a n e g o. Zwierzę oswojone nadal się boi. Jeszcze bardziej boi się tego, co nieznanne.

## 2

Oto początek podręcznika języka polskiego dla klas pierwszych szkół średnich<sup>1</sup>: pisze profesor Andrzej Borowski.

*Po co otwierasz tę książkę? Może pod przymusem? No to Ci współczuję... Ale może przynasza się do innej jeszcze motywacji? Może dostyśniesz w sobie ciekawość. Ona uwalnia od przymusu.*

Ciekawość: pierwszy stopień poznania. Ciekawością witamy się ze światem. Ciekawość budzi do życia to, co umierało. Ciekawość daje nowe życie temu, co umarło. Pierwszym podręcznikiem jest pierwsza książka, jaką dziecko chwyci w ręce, obejrzy, pogryzie, polize, poszarpie, pogniecie, zrzuci. Jest nim dlatego, że wzbudza ciekawość, że chce być poznawana i że zasiewa apetyt na więcej, to znaczy na inną książkę. Później te książki na rozmaite sposoby są w nas, kiedy wędrujemy po świecie. Nie trzeba ich nosić, one nas niosą. Jest w nich zawsze coś, co nie jest znane. Kiedy spotykamy nieznanne, idziemy mu naprzeciw, bo dobre książki nigdy się nie zatrzymują.

Dlatego w dobrej szkole wyruszamy z książkami w drogę. Podręczniki są stacjami inspiracji, krajobrazami wiedzy i świadomości. Są kilkusetletnimi drzewami w kulturze mowy i pisma, które nadal kwitną i owocują. Nie skamienieją, bo wciąż są w drodze: wędrują w kole kulturowej przyrody.

*To jest książka szczególna. Jest opowieścią o innych książkach, a także o ludziach, którzy je pisali, i o tych, którzy je czytali.*

*Pytasz: czy zatem nie byłoby rozsądniej zabrać się do czytania właśnie tamtych książek zamiast otwierać tę jedną, która jest książką o książkach, o „literaturze”?*

*Tak. Jestem tego samego zdania, co i Ty. Chociaż... zanim zamkniesz moją książkę, chciałbym coś powiedzieć na swoje, nie na Twoje usprawiedliwienie. Napisałem ją nie po to, żeby zastąpić niezliczone słowniki, encyklopedie i streszczenia lektur, z których można się dowiedzieć to i owo. Mam po prostu – jak pewnie i Ty masz – swoją opowieść o świecie i ludziach, których postaci zaludniają nieskończenie mnogie, niepoliczalne światy literatury<sup>2</sup>.*

## 3

Otwórzmy inny podręcznik<sup>3</sup>, pracę zbiorową, którą piszą: Dariusz Chemperek, Adam Kalbarczyk, Dariusz Trzeźniowski. Oto zaledwie dwa przykładowe pytania do tekstu Tyrtajsa „Rzecz to piękna...”. Celowo wybrałem jedno z najprostszych pytań z całej książki.

*Kategoria: analiza*

*1. Przeanalizuj budowę i znaczenie wypowiedzi składowych zdania z dwóch pierwszych wersów. Jaką funkcję pełni ono w utworze?*

*2. W jakim czasie gramatycznym występują czasowniki w wersach 3-10? Jaki to ma wpływ na wymowę analizowanego fragmentu?*

Na pozór nic dziwnego: ot, tradycyjna analiza gramatyczna jako wstęp do interpretacji, znana dobrze mojemu pokoleniu (a więc nic nie zmienia się co najmniej od dwudziestu lat). Na pozór uczeń zapoznany z podstawami gramatyki nie powinien mieć problemów.

Wszystko zaczyna się jednak od stylu.

Mamy do czynienia z typowym urzędowo-akademickim stylem rozpowszechnionym w podręcznikach, opracowaniach i arkuszach egzaminacyjnych kończących edukację podstawową oraz średnią. Jest to styl po pierwsze archaiczny z punktu widzenia współczesnej świadomości językowej nastolatków (i szerzej: kompetencji kulturowych pokoleń urodzonych pod koniec XX i na początku XXI wieku), po drugie hermetyczny, a co za tym idzie: przestępujący swoje intencje. Nastoletni czytelnik musi najpierw zdekodować styl polecenia, aby właściwie je zrozumieć, a następnie dopasować swoje odpowiedzi do tegoż stylu, który jest mu całkowicie obcy, a jednocześnie obiektywnie mało funkcjonalny. Oczywiście: dobry nauczyciel nie narzuca stylu odpowiedzi. Narzucają go jednak autorzy podręczników, ich recenzenci, egzaminatorzy, działacze oświatowi, a więc osoby tworzące obowiązujący kanon nauczania. A dobry nauczyciel, niestety, jest rzadkim gatunkiem. Styl polecenia w podręczniku bardzo często przekłada się na styl rozmowy nauczyciela z uczniem, na styl poleceń w sprawdzianach, kartach pracy, prezentacjach. W efekcie powstaje trudny do zniesienia dysonans pomiędzy autorami podręczni-

ków a ich młodymi czytelnikami. Przyjęty styl tworzy barierę kulturową, uniemożliwia zaufanie, nie motywuje do krytycznego myślenia i odważnego interpretowania tekstów kultury. Stąd wiedzie krótka droga do zniechęcenia przedmiotem szkolnym i przekonania, że podręcznik to książka opresyjna, służąca do dyscyplinowania i wzbudzania poczucia winy z powodu stałego niedostatku wiedzy.

Mówi się o reformach zamiast pomyśleć o metamorfozach. Z jakiegoś powodu uznano, że styl urzędowo-akademicki najlepiej przylega do stynnej „podstawy programowej”. Oczekuje się od uczniów adaptacji do tego stylu jako warunku zdobywania kolejnych szczebli edukacji. Po czym następują rytualne żale nad rezultatami konfrontacji z owym stylem.

Doprawdy, znamienity pomysł.

Czy chodzi więc o to, by systematycznie obniżać wymagania językowe, kulturowe i edukacyjne w pościgu za komunikatywnością? Oczywiście, że nie. Z pewnością jednak przyda się na samym początku rozumienie środowiska językowego, w jakim żyjemy. Zmienia się język, zmienia się kultura, a więc i tradycja jest czymś dynamicznym, co podlega weryfikacji, krytyce, twórczym kontynuacjom i rewizjom. Język nieustannie się porusza, a styl wielu podręczników stoi beczynnie od wielu dekad. Dopóki go nie poruszymy, nie zapracujemy na zaufanie, szacunek i międzypokoleniowy dialog.

Widzę i słyszę miny i słowa uczonych w tradycji – wychowanych na niezmiennym, uświęconym powtarzalnością stylu. Zdziwienie, oburzenie, uśmiech politowania: jeśli ktoś nie rozumie „prostego polecenia”, nie ma czego szukać w życiu. To właśnie ten styl rozmowy obecny w wielu dziedzinach naszego życia, który nie tylko udaremnia wszelkie porozumienie, ale odbiera ochotę do wymiany myśli. Odbiera ją bardzo wielu młodym ludziom, z którymi próbuję czytać, myśleć i rozmawiać. Którym próbuję powiedzieć, że styl tworzy człowieka, a wykład, polecenie czy definicja w podręczniku mogą być wskazówkami i zachętami, a nie tylko zarzewiającymi zamkami do kluczy bezdyskusyjnych odpowiedzi.

Uwierzmy, że podręcznik może być „pod ręką”, bo nie musi być „karzącą ręką”.

ADAM BUSZEK

<sup>1</sup> *Literatura polska i powszechna. Starożytność-oświecenie. Podręcznik dla klasy 1 liceum ogólnokształcącego, liceum profilowanego, technikum, autor: Andrzej Borowski, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2002, s. 9.*

<sup>2</sup> *Tamże.*

<sup>3</sup> *Język polski. Oblicza epok. Podręcznik. Liceum i technikum. Zakres podstawowy i rozszerzony, autorzy: Dariusz Chemperek, Adam Kalbarczyk, Dariusz Trzeźniowski, Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, Warszawa 2019.*

Janusz Taranienko

# POSTPAMIĘĆ: REWIZJE I RE-KREACJE

1.

Trzecia książka poetycka Izabeli Fietkiewicz-Paszek, *Lipiec na Białorusi*, ukazała się w styczniu 2020 roku nakładem wydawnictwa *Zautek Wydawniczy „Pomyłka”* w Szczecinie. Jak mi wiadomo, pierwsze spotkanie autorskie odbyło się dopiero półtora roku później, pod koniec lipca 2021 – i to w trybie online – na fejsbukowej stronie *Recenzje Agi*. Drugi, ostatni jak dotąd kontakt z czytelnikami, również o charakterze zdalnym, miał miejsce za sprawą cyklicznej inicjatywy Dominiki Lewickiej-Klucznik nazwanej *Pogotowie Warsztatowe* pod koniec września tego roku. Nie trzeba wyjaśniać, że przyczyną braku spotkania „na żywo” jest pandemia, dezorganizująca życie (nie tylko) literackie.

Mimo niedostatku spotkań nie brakuje aktywności recenzenckiej wokół tomu – a nawet aktywność ta zadziwia również i samą autorkę. Pozwolę sobie wymienić znane mi teksty krytyczne i wzmianki (które, nota bene, skrzętnie i skrupulatnie odnotowuje ona na swojej stronie internetowej); tak więc o *Lipcu na Białorusi*, w mediach papierowych i internetowych, pisali: Bartosz Sadliński w *Gazecie Pogranicza*, Leszek Żuliński w *Gazecie Kulturalnej*, Radosław Wiśniewski w *Odrze* (ten sam tekst na fejsbukowym profilu „Księgozbiór”), Maciej Woźniak w *Nowym Napisie*, Piotr W. Lorkowski w *Toposie* (to samo w jego podcaście *Nadmorze*), Bartosz Suwiński w *eleWatorze*, Vladimir Okun w *Inostrannej Literaturze*, Jolanta Szwarz w *Latarni Morskiej*, Anna Mochalska w *Twórczości*, Katarzyna Chmiel w kwartalniku *Wyspa*, Anna Dominiak w kwartalniku *Afront*, Beata Golacik na swoim blogu literackim *Felietony*, Kinga Młynarska na blogu *dajprzezczytać* – wreszcie Jerzy Szukalski w prywatnej korespondencji do autorki (a ta ostatnia uznała, by treść e-maila umieścić na witrynie). Do opinii o książce doliczmy postwoje pióra Karola Maliszewskiego oraz blurb na ostatniej stronie okładki autorstwa Bogdana Zdanowicza. I jeszcze kilka innych, głównie internetowych działań: Krzysztof Mich pisze inspirowany tomem tryptyk poetycki i, odrębnie, nagrywa klip polecający książkę, sygnowany przez gorzowskie Miejskie Centrum Kultury; Kacper Plusa, reprezentujący kanał telewizyjny OTVM (Łódź) oraz niezależnie od niego Robert Kuciński na kanale Miejskiej Biblioteki Publicznej im. A. Asnyka w Kaliszu, zapraszają autorkę *Lipca* do rozmowy na wizji. Dla dopełnienia pandemicznego życia tomu dodać należy, że poszczególne wiersze doczekały się też głośnych odczytań (również do odsłuchania i obejrzenia na stronie autorki) – tak więc wydaje się, że Izabela Fietkiewicz-Paszek nie ma powodów do narzekań na niezauważenie publikacji. Szczególnie, że 95% recenzji i omówień zawiera pozytywne opinie; krótko mówiąc: krytyka literacka oceniła książkę jako ważną i wartościową.

I jeszcze fakty z dwóch równie istotnych kategorii. Po pierwsze: zbiór został przetłumaczony na rosyjski (przez wspomnianego już Vladimira Okuna) i prawie wszystkie teksty ukazały się w *Inostrannej Literaturze*; jest też gotowy przekład na białoruski, czekający z publikacją na lepsze czasy w tym kraju. Po drugie: *Lipiec na Białorusi*, jako jedna z pięciu książek poetyckich, znalazł się w tegorocznym finale „Nagrody Poetyckiej im. K.

I. Gałczyńskiego za najlepszy tom roku – *ORFEUSZ*”. Laudację na gali konkursu w Praniu, ostatniego dnia lipca tego roku, wygłosił przewodniczący jury, profesor Jarostaw Ławski; została ona opublikowana w bieżącym, listopadowym numerze *Toposu*.

Jak widać: są powody do zadowolenia. I do gratulacji.

2.

Aby przybliżyć tematykę tomu, przyrzemy się tytułom niektórych recenzji. Dwa z nich są na tyle ogólne, że mogłyby zacząć omówienia krytyczne wielu innych książek: Bartosz Sadliński – *Poetycko o sprawach niełatwych*, Beata Golacik – *Poezja, która nie ułatwia niczego*. Zatem mówi się przez to, że Fietkiewicz-Paszek pisze o sprawach trudnych i nie ułatwia ich rozwiązania (rozumienia, rozstrzygnięcia). Tytuły nie wskazują na konkrety: równie dobrze możemy spodziewać się – na przykład – opowieści o nieudanym związku miłosnym (nieistotne, kogo dotyczącym), albo o wykluczeniu ze społeczności czy wspólnoty (znów nieważne, jakiego rodzaju). W każdym razie: autorzy tych recenzji poprzez tytuły dają do zrozumienia, że tomik Fietkiewicz-Paszek traktuje o tym, że jest „niełatwo”, a ta poezja (o ile tym mianem można określić wszystkie utwory *Lipca* – ale o tym w dalszej części) „nie ułatwia”. Oczywiście: powyższe spostrzeżenie nie jest zarzutem pod adresem krytyków – nie ma przecież bowiem najmniejszej konieczności, by tytuł dokładnie odzwierciedlał tematykę opisywanej właśnie książki.

Tym niemniej inne tytuły omówień krytycznych dają do precyzacji problematyki: Karol Maliszewski – *W-głąb-czas. Ludzie, miejsca, siedliska*; Leszek Żuliński – *Było, przepadło*; Maciej Woźniak – *Podróżując w przeszłość*; Piotr W. Lorkowski – *Podróż do prażródła tożsamości*; Vladimir Okun – *Próba powrotu*; Anna Mochalska – *Podróż w poszukiwaniu spotkania*; Katarzyna Chmiel – *Wyprawy w czasie*; Bartosz Suwiński – *Z prochu w proch*. W poczynionym zestawieniu nie zostały wymienione wszystkie recenzje i noty; przede wszystkim z tej racji, że niektórzy interpretatorzy swoich tekstów nie nazwali, poprzestając na określeniu pochodzącym zapewne od redakcji: *Lipiec na Białorusi* – recenzja. Czytając zatem tytuły można stwierdzić, że książka kaliskiej poetki na pewno mówi o podróży, zapewne w przestrzeni (Okun, sugeruje to również drugi człon tytułu Maliszewskiego, a także i wskazówka w tytule tomu: „na Białorusi”) i, co ważniejsze, o wyprawie „w głąb czasu” (tu przywołania zbędne). Podróż przedsięwziętej tej w tym celu, by „się spotkać” (Mochalska), czy też by „odnaleźć praźródła tożsamości” (Lorkowski). O realnej podróży – a dokładniej: o wycieczce na Białoruś w lipcu 2018 roku, mówi również sama autorka, zarówno w przywołanych wcześniej rozmowach, jak i podczas internetowych spotkań autorskich.

Nie jest moją intencją, by polemizować z rozmaitymi (hipo-) tezami, stawianymi w wymienionych tekstach krytycznych. Nie ma też powodu, by pójść „na skróty”, aprobatywnie cytując dobrane fragmenty, mówiąc o treści wierszy. Gdyż od razu trzeba powiedzieć, że we wszystkich (bez mała) recenzjach tomu jego tematyka została trafnie dostreżona i nazwana. Nie jest również moim zamiarem dzielenie dotąd

napisanych tekstów na „lepsze” i „gorsze”: wartościowanie jest bowiem materia grząską i wymagającą zdefiniowania kryteriów – czy metodologii – krytyki literackiej, lub przynajmniej określenia tego, jakiej szkoły literaturoznawczej jest się wyznawcą (a zatem – z jakiego metodologicznego punktu widzenia takiej oceny się dokonuje). Tym niemniej problemy, które rozważa autorka w swoim tomie, wypadłoby określić. Postuję się zatem, by tak rzec, „salomonowym unikiem” – cytując napisany przez Izabelę Fietkiewicz-Paszek opis książki na jej autorskiej stronie internetowej. Przypisać trzeba, że jest to opis syntetyczny, skrótowy i – w zasadzie – najdokładniej ze wszystkich tekstów krytycznych tom przedstawiający. Oto autorskie omówienie:

*Lipiec na Białorusi* to liryczny zapis podróży w poszukiwaniu śladów współistnienia wielu narodów, w tym polskiego, a także tropów rodzinnych.

Wiersze zbioru odnoszą się do historii, tradycji, religii, literatury i kultury dawnych mieszkańców dzisiejszej Białorusi. Książka jest próbą poetyckiej impresji wywiedzonej z autentycznych spotkań z ludźmi, dokumentami, artefaktami i opowieściami, odwołuje się przy tym do wielu miejsc (Grodno, Oszmiany, Mińsk, Nowogródek, Mir, Iwie, Świtez, Stare Wasiliszk), nazwisk (wśród polskich m.in. E. Orzeszkowa, A. Mickiewicz, Cz. Niemen, M. Kolbe) i faktów – od tych najstarszych jak bitwa pod Niemią w 1067 r. przez II wojnę światową po współczesność.

Tłem i tematem wierszy są wątki historyczne, ale i rodzinne – ojciec autorki urodził się w 1938 r. w powiecie oszmiańskim i w 1946 r. wraz z całą rodziną został przesiedlony na ziemię zachodnią, na Białorusi do dziś żyje część rodziny.

*Lipiec na Białorusi* ma charakter lirycznego reportażu non-fiction, jest materialnym śladem podróży, w którym autorka ujęła także złożoną tożsamość swojej rodziny – jej losy są egzemplifikacją losów wielu Polaków przymusowo wysiedlonych ze swoich matych ojczyzn. Książka jest więc jednocześnie osobistym trenażem dla świata, który zniknął bezpowrotnie wskutek II wojny światowej i późniejszej polityki ZSRR, a uniwersalizując jednostkową opowieść pokazuje, jak wielka polityka determinuje życie zwykłych ludzi, jak komplikuje poczucie tożsamości kolejnych pokoleń – zarządzając postpamięcią dzieci i wnuków wysiedlonych.

3.

Można by, nie bez racji, zapytać: w jakim celu pisać kolejny tekst, skoro zostało opublikowanych kilkanaście omówień krytycznych książki w wielu znaczących pismach literackich w kraju? Otóż, pierwszy powód jest – szczególnie w tym miejscu – oczywisty: Izabela Fietkiewicz-Paszek przez kilka lat była w zespole redakcyjnym „Migotań” i nadal w kwartalniku publikuje. To bezdyskusyjna i wystarczająca motywacja: odnotowanie zbioru w zaprzyjaźnionym (a nawet, można chyba powiedzieć, „macierzystym”) piśmie. Ale jest też i tak, że i tom, i jego recenzje, stwarzają asumpt do ogólniejszych refleksji o charakterze teoretycznoliterackim. I jeszcze jedno: aż kusi, by zastanowić się, co takiego szczególnie jest w tym zbiorze, że wszyscy (prawie) krytycy mają o nim tak dobre opinie, a nawet – zdaniem szacownej kapituły „Orfeusza” (profesorowie Anna

Legeżyńska i Jarosław Ławski oraz Antoni Libera, Bronisław Maj, Marek Zagańczyk, Wojciech Kass) – *Lipiec na Białorusi* jest jednym z pięciu najlepszych tomów poetyckich, wydanych w kraju w roku 2020.

4.

Kilkoro spośród recenzentów *Lipca* postępuje się terminem „reportaż poetycki / liryczny”, zaś sama autorka w cytowanym opisie używa nazwy „liryczny reportaż non-fiction”. Spróbujmy rozszyfrować znaczenie tych określeń.

Przyjęto się uważać, że reportaż, jako gatunek z pogranicza publicystyki i literatury, niezbywalnie zakłada autentyczność: przedstawia rzeczywiste zdarzenia, fakty, sytuacje – to jest takie, które zdarzyły się naprawdę. „Non-fiction”, podkreśla Fietkiewicz-Paszek – zatem niefikcyjne, niezmyślone. Warunek prawdziwości dotyczy również osób, biorących udział w zdarzeniach. Reportaż winien dokumentować; może przy tym posługiwać się relacjami świadków. Opisu wydarzeń należy dokonywać obiektywnie i rzetelnie. To rozumiemy. Co zaś mogłyby znaczyć w definicji krytyków słowa określające „odmianę gatunkową” reportażu, epitetu „liryczny (poetycki)”? Choć intuicyjnie pojmujemy, w czym rzecz, to jednak problem wydaje się głębszy.

Przytoczmy: Radostaw Wiśniewski wiersze */.../ to bardziej notatki na gorąco /.../ rodzaj poetyckiego reportażu. /.../ Wiersze /.../ nie cierpią na przeszt retoryczności /.../ są zdyscyplinowane i oszczędne. Bartosz Sadliński: Fietkiewicz-Paszek często posługuje się zdaniami krótkimi lub równoważnikami zdań; używa wyliczeń, przetrutni, akcentuje puenty. Beata Golacik: język [tomu] – reporterski, klarowny, surowy. Bez grama ckliwości, romantycznego heroizmu, bez wyszukanej metaforyki czy jakichkolwiek poetyckich bibelotów i dalej: *krótki, narracyjny tekst, płynie sobie rozczłonkowany w wersach dla niepoznaki, zastanawiamy się, czy nie jest to materiał na matłą prozę. Maciej Woźniak: [autorka] przekracza granicę tradycyjnej liryki, tworząc mariaż poezji z reportażem z podróży i dalej: Wiersze tu zawarte pozornie mogą brzmieć jak drobna proza jedynie poustawiana w wersy i strofy. Wreszcie Anna Dominiak: Jednak mimo silnego sprozaizowania i wyraźnego ciężenia tego zbioru ku reportażowi, nie możemy odmówić mu znamion przekazu lirycznego. Metaforyka jest tu ściśszona, dozowana z niezwykłą oszczędnością, ustępuje pierwszeństwa ujęciom, w których dominuje konkret: miejsce, fakt, data. Ale ten liryzm przecież istnieje – wyrafinowany, rozbitujący nagle i nieoczekiwany – w puencie, konkluzji, przemilczeniu. Dużym uproszczeniem byłoby stwierdzenie, że autorka skupia się tu na czystej faktografii, bo przecież rejestruje także własne odczucia, okoliczności towarzyszące tym zetknięciom (wzruszenie, zdziwienie, zmęczenie, nagły deszcz, który zaskoczył turystów /.../). Jednak stanowi to wyraźnie drugi plan refleksji.**

Bez względu na to, że przytoczone tu spostrzeżenia dotyczą zbioru ujmowanego jako całość, a zatem pomijają się to, że w poszczególnych wierszach proporcje „reportażowości” do „liryczności” (na poziomie intuicyjnego pojmowania) w różnych tekstach bywają rozmaite, rozumiemy, że w cytowanych fragmentach „reportażowość” oznaczałaby dokumentalność, tj. referencyjność tekstu – prawdziwościowe odniesienie tekstu do rzeczywistości pozaliterackiej (konkret: *miejsce, fakt, data*). Zaś „sprozaizowanie” pojmowane jest – zapewne – jako oszczędność języka, jego klarowność, surowość, brak wyszukanej metaforyki (ściśszona), brak poetyckich bibelotów. Pozostaje najtrudniejsze: pytanie, na czym polega liryzm (więc „poetyckość”) tomu Izabeli Fietkiewicz-Paszek. Maciej Woźniak, a szczególnie Anna Dominiak zadają sobie trud, by dowieść, że utwory kaliskiej poetki przynależą do rodza-

ju literackiego nazwanego liryką. Woźniak poprzestaje na konstatacji (zapewnieniu?), że w *istocie* [podkr. moje – J.T.] w konstytuowanych przez autorkę obrazach zawiera się wiele liryzmu (tj. „liryczności” w opozycji np. do „epickości” lub do „literatury faktu”). Dominiak przygląda się zagadnieniu bardziej szczegółowo: liryzm jest wyrafinowany; pojawia się nieoczekiwanie w puencie, konkluzji, przemilczeniu. Oraz – można się domyślać, że o to idzie – liryzm zasadza się na rejestracji własnych odczuć. Wydaje się, że kryteria, którymi posługuje się Anna Dominiak, należą do dwóch odmiennych porządków: pierwszy – „nieoczekiwana puenta”, „przemilczenie” – to porządek konstrukcji tekstu, jego szczególnego uporządkowania, „organizacji naddanej”, która – jak uważają badacze strukturalni – stanowi o jego estetyczności, czy literackości (w sensie: „bycia” lub „nie-bycia” dziełem sztuki / literatury), bez względu na genologiczną kwalifikację tekstu. „Nadmiarowość organizacji” nie jest więc wyznacznikiem wyłączenia „poetyckości / liryczności”, ale szerzej – jego literackości, a zatem, równie dobrze, i „epickości”. Ta cecha mogłaby (ale nie musiałaby) odróżniać tekst literacki od tekstu dokumentalnego (publicystycznego). Dopiero dalsza część wypowiedzi recenzentki, dotycząca „rejestracji odczuć”, mogłaby stanowić o tym, że mamy do czynienia z liryką – ta ostatnia bowiem (znów według szkoły strukturalnej) jest zogniskowana na „ja”, jest „monocentryczna” semantycznie (w przeciwieństwie do epiki, uruchamiającej co najmniej dwa plany znaczeniowe: narracji w nadrzędnym poziomie struktury dzieła oraz fabuły w obrębie świata przedstawionego). Chociaż również i w epice uczucia i odczucia bywają rejestrowane i przedstawiane – choćby w monologach bohaterów czy też w partiach dialogowych). Ponadto, Anna Dominiak pisze dokładnie tak: *autorka* [podkr. moje – J.T.] */.../ rejestruje także własne odczucia. Ale to ostatnie zdanie, chociaż w zamiarze miało być świadczą o liryczności Lipca, zdecydowanie uruchamia inną – i to nadrzędną – płaszczyznę teoretyczną: niechybnie wprowadza w problematykę tzw. instancji nadawczych dzieła literackiego, w zagadnienia podmiotu.*

5.

Zagadnienia nadawcy dzieła literackiego nie cechują się łatwością i oczywistością rozstrzygnięć, a szczególnie komplikują się wówczas, gdy ma się do czynienia z tekstem jawnie autobiograficznym i / lub jawnie prywatnym – jak jest w przypadku tomu Izabeli Fietkiewicz-Paszek. Niczym bumerang powraca tu problem, czy utożsamiać autorkę z tą osobą, która w wierszu / w wierszach mówi. Opozycja liczby gramatycznej nie została tu przede mną użyta przypadkowo – nie istnieje bowiem taka kategoria nadawcza jak „podmiot liryczny zbioru wierszy”; podmiot liryczny przynależy zawsze do jednego i tylko do jednego wiersza. Faktem jest, na co stale dostarcza dowodów praktyka recenzencka, że gdy mamy do czynienia ze zbiorem wierszy, to chciałoby się – dla celów krytycznego opisu – zbudować uogólniającą podmiotową całość: jakby „podmiot całości tomu”. (Podobnie jest, gdy opisujemy większe wyodrębnialne całości, jak np. wiele dzieł tego samego autora – istnieje wtedy tendencja do operowania konstruktem nazywanym przez profesor Małgorzatę Czermińską „podmiotem dzieł wszystkich” autora). I chociaż teoretycznie istnieje zgoda co do tego, że nie można dokonywać utożsamienia osoby realnej z podmiotem wewnątrztekstowym, to najczęstszy argument taki utożsamienie usprawiedliwiających; np. Bartosz Sadliński pisze: *Próby utożsamiania twórcy z podmiotem lirycznym są – w sferze odbioru współczesnej poezji – niewskazane i dla recenzenta stanowią zwykle prostą drogę do bycia uznanym za*

laika. Jednak Izabela Fietkiewicz-Paszek więcej niż sugeruje, że jej utwory można czytać w biograficznym kluczu – umieszcza rodzinne zdjęcia, pisze o poszukiwaniu korzeni na tytułowej Białorusi („polodowcowej, płaskiej, z pagórkami”); w przedostatnim utworze (*Powrót*) okazuje się, że podmiot liryczny nosi nazwisko autorki (/.../). Albo też, co często daje się obserwować szczególnie w praktyce szkolnego nauczania, ale i w tym zestawie tekstów omawiających książkę również występuje – dokonuje się prostego podstawienia: zamiast „autor” używany jest wymiennie termin „podmiot liryczny” (jak Kinga Młynarska na swoim blogu). Jak wspominałem, relacje autor – podmiot literacki nie należą do oczywistych i zapewne wyróżnianie (i odróżnianie!) choćby tych dwóch skrajnych instancji nadawczych należy do spraw z gatunku „nie lubię, nie rozumiem, ale muszę się stosować, bo tak mówią znawcy”. (Mam tu na myśli wyłącznie „biegunowe” instancje kategorii podmiotu – bo przecież badacze, jak profesor Janusz Sławiński, wyodrębniają również pośredni człon nadawczy, o statusie wyłącznie funkcjonalnym: idzie o „podmiot czynności twórczych”). Nie miejsce tu, by te teoretyczne relacje dalej rozróżniać; potraktujmy powyższe uwagi wyłącznie jako sygnał ważnego teoretycznego problemu. Zaś w tym celu, by sygnał ten był bardziej słyszalny, proponuję eksperyment: proszę przeczytać tylko *jedną, pojedynczą* wiersz ze zbioru – np. *Granica, Pierwsza noc w Grodnie, Zaniemnie, Niemen* (wymieniam w kolejności wierszy w książce) – czy wiele innych, niewymienionych. Ale proszę przeczytać ten tekst abstrahując od wiedzy o tym, że składa się on na cykl i na tom; zawieszając również wiedzę o tym, że został napisany podczas (czy jako refleks) rzeczywistej podróży. I w trakcie lektury proszę zadać sobie pytanie: co i ile wiem o podmiocie lirycznym tego wiersza? Jak się ten podmiot objawia, jak narasta moja (czytelnicza) wiedza o nim? Kim jest? Na ile daje się określić jego płeć?

I jeszcze dwa cytaty – po to, by dany przeze mnie sygnał jeszcze głośniej rozbrzmiał. Roland Barthes, w czasie, gdy był zwolennikiem strukturalnego myślenia o literaturze, w artykule z roku 1966 (polskie tłumaczenie 1968) o tytule *Wstęp do analizy strukturalnej opowiadań*, napisał: */.../ ten, kto mówi (w opowiadaniu), nie jest tym, kto pisze (w życiu), a ten, kto pisze, nie jest tym, kto jest.* [podkr. autora]. I drugi cytat, tym razem autorstwa świadomego swego warsztatu pisarza, nie zaś badacza literatury. Będzie więc o narratorze (jak u Barthesa), a nie o podmiocie lirycznym; w każdym razie o podmiocie literackim, wewnątrztekstowym. W swojej nagrodzonej „Nike” książce *Pod Mocnym Aniołem* (2000) Jerzy Pilch napisał: *Autor to nie jest narrator i narrator to nie jest autor – tak uczą na najwyższych szczeblach polonistycznych wtajemniczeni i mają rację. Jeśli ja konstruję postać i jeśli nawet jest to postać wzorowana na mnie samym, jeśli nawet tak jak ja pije i jeśli nawet ma na imię Jurus, to i tak ta postać nie jest mną, na Boga!*

Wątpliwości co do przynależności rodzajowej niemałej ilości utworów Izabeli Fietkiewicz-Paszek z *Lipca na Białorusi* niech mi będzie wolno zakończyć cytatem z recenzji Radostawa Wiśniewskiego: *Czy jednak ma to być wiersz, czy może już rodzi się forma nieco szersza, niezdefiniowana jeszcze? Na koniec tej części dodam: samej autorce, zdecydowanie świadomej własnego warsztatu pisarskiego – czego dobitnym przykładem niech będą choćby jej sonety-ekfrazy z *Prób wyjścia* (2011) – jest zupełnie wszystko jedno, do jakiego rodzaju czy gatunku literackiego zakwalifikować utwory z książki. Wyraziła takie stanowisko w prywatnej korespondencji.*

6.

O ile nie ma wątpliwości, że przyjęcie →

→ immanentnych założeń dociekań literackich – przede wszystkim strukturalnych czy z tego nurtu wyrostłych – umożliwiają analizę tekstu (i zapewne również jego wartościowanie, zasadzające się na sposobie uporządkowania elementów struktury i relacjach między nimi), o tyle uwzględnienie kontekstów zewnętrznych na pewno ułatwia jego zrozumienie. Szczególnie, gdy pozaliterackie konteksty przejawiają się wprost, jak eksplicytnie podana autobiografia, która, na dodatek, pozwala odtworzyć przestrzenną lokalizację zdarzeń biograficznych – jak pisze profesor Czermińska w artykule *Miejsca autobiograficzne: propozycja w ramach geopoetyki*. Wydaje się, że tom Izabeli Fietkiewicz-Paszek stanowi doskonały materiał interpretacyjny właśnie dla geopoetyki, rozwijającej się w światowych i polskich badaniach literaturoznawczych za sprawą „zwrótu przestrzennego / topograficznego”. Ale nie tylko geopoetyka, bo również i od niedawna obecne się we współczesnej humanistyce studia memorialne mogłyby z powodzeniem uczynić *Lipiec na Białorusi* przedmiotem swoich dociekań; mam tu na myśli rozważania związane z kategorią postpamięci. Zasygnalizowała w swojej rozmowie telewizyjnej z autorką Kacper Plusa – a wcześniej kategorię postpamięci przywołała sama autorka w cytowanym na początku tego eseju opisie książki.

Najpierw kilka zdań z różnych recenzji tomu o tym, co w nim w oczywisty sposób „nie-literackie” i co budzi kontrowersje – więc o objaśnieniach (przypisach?), a jest ich 12 na 30 tekstów, oraz o fotografiach. Beata Golacik: *z trudem zapamiętuję daty, nazwy, imiona. Rozpraszają mnie przypisy, których w tomiku nie ma, kilkakrotnie muszę wracać do zdań już czytanych*. Jerzy Szukalski: *Autorka przychodzi z pomocą czytelnikowi i w przypisach umieszcza encyklopedyczne wyjaśnienie omawianych przez siebie miejsc i wydarzeń, które powyżej stanowią kanwę jej poetyckich znaków zatrzymania*. Bartosz Sadliński: *Pod wierszami znajdują się liczne przypisy (takie nietypowe, bo bez numerków) – to sprawia, że książka jest nie tylko refleksyjna, ale i reportażowa, erudycyjna*. Radosław Wiśniewski: *To co mi przeszkadza w lekturze to przypisy. Wolałbym, żeby ich nie było, żeby jednak wystawić czytelnika na dodatkowy wysiłek grzebania w znaczeniach, nazwiskach, miejscach*. To wskazuje też na to, że gest wiersza nie jest gestem pewnym do końca, jest w nim zawahanie. Anna Dominiak: *Fraza Fietkiewicz-Paszek mocno obciążona jest konkretem, dlatego lektura tekstów nie pozwala na najmniejsze rozkojarzenie, choć każdy wymagający objaśnienia wiersz opatrzony został przypisem, który ułatwia czytelnikowi tę odbywaną na kilku planach podróż*. O przypisy – ich potrzebę czy zbędność – autorka była również pytana podczas rozmów.

Wypowiedzi krytyków o zdjęciach pozwolę sobie już nie cytować – prawie każdy z recenzentów odnotowuje ich obecność, przy czym niektórzy wyraźnie oddzielają fotografie rodzinne, kłamujące tom (początkowe i końcowe) od tych, które autorka wykonała podczas wycieczki i zamieściła w książce. Również zostało zauważone, że zdjęcia rodzinne posłużyły do napisania ekfraz, natomiast pozostałe pełnią rolę ilustracji do wierszy: podobnie jak i objaśnienia dopełniają one wiedzę o temacie wiersza, pokazując współczesny obraz opisywanego „miejsca – palimpsestu”. Bowiem historię *Białorusi czyta poetka jako opowieść pisaną na ruinach innych opowieści* – pisze wielokrotnie już przywoływana Anna Dominiak; zdarzenia według niej, w utworach nawarstwiają się palimpsestowo. Fietkiewicz-Paszek jakby ściągała kolejne powtórki z palimpsestu, zauważa także Katarzyna Chmiel.

O książce twórczyni kategorii postpamięci, Marianne Hirsch, napisanej razem z Leo Spitzere, zatytułowanej *Ghost of Home*, tak pisze

profesor Aleksandra Ubertowska: „*Ghosts of Home*” jest zbiorem heterogenicznym, łączącym różne tradycje gatunkowe i dyscyplinarne (itinerarium, sagę rodzinną, autobiografię, historiografię, reportaż, dzieło metanaukowe, tekstualność z wizualnością). Warto dodać, że *Ghost of Home* jest owocem aż czterech wypraw M. Hirsch do Czernowitza (obecnie Ukraina), rodzinnego miasta rodziców, z którego wyjechali oni w potowię lat 40. Nie będę rozbudowywał referowania też dańskiej badaczki holocaustu z przywoływanego tu jej artykułu pt.: *Praktykowanie postpamięci. Marianne Hirsch i fotograficzne widma z Czernowitza*; fragment przytaczam w tym celu, by – choć to zgoła inna materia literacka – w ramach kolejnego eksperymentu dokonać na nim drobnej transformacji: tytuł *Ghost of Home* zastąpić tytułem *Lipiec na Białorusi* i sprawdzić, czy dalej może jeszcze być na swoim miejscu (tym razem postępując się cytatem Fietkiewicz-Paszek). Esei Ubertowskiej na tyle „pasuje” do książki Fietkiewicz-Paszek, że chciałoby się niejednokrotnie jeszcze go przywołać: już powyższy fragment wyjaśnia i zapis podróży (itinerarium), i motywy rodzinne i autobiograficzne, także technikę reportażową, palimpsestowe nakładanie się historii miejsc, nacisk na ładunek poznawczy tekstu (dodatkowe objaśnienia-przypisy), i fotograficzne dodatki ilustracyjne. Dalej, w artykule o książce Hirsch i Spitzera znajdujemy na przykład takie spostrzeżenie: *Autentyczna przestrzeń pamięci wyzwala niekontrolowane emocje (wzruszenie, płacz, zadumę), wprowadza również elementy rewizji, korekty wobec utrwalonej w pamięci obrazów*. Ten cytat daje więcej światła na temat „liryczności” wierszy-niewierszy kaliskiej autorki, ale również – co wydaje mi się ważniejsze – wprowadzanie elementów rewizji, korekty odpowiada na kluczowe, niepostawione przez nią pytanie: *dla czego jej ojciec, po swojej pierwszej wyprawie do rodzinnej miejscowości potem przez tydzień // milczał (W drodze do Mińska)? I dodajmy – nie chciał ponownie wybrać się w podróż z córką, autorką tomu, w lipcu 2018 roku. A czymże innym jest podjęcie podróży na Białoruś Izabeli Fietkiewicz-Paszek jak nie – by raz jeszcze przywołać tytuł artykułu profesor Ubertowskiej – praktykowaniem postpamięci?*

## 7.

*Lipiec na Białorusi* zamknięty jest podwójną klamrą: pierwszą, „zewnętrzną”, stanowią wiersze-ekfrazy opisujące rodzinne fotografie, tj. wiersz pierwszy i ostatni; są one wyodrębnione w osobnych, jednowierszowych, obdarzonych tytułami częściach, nazwanych odpowiednio: *Kamionka, rok 1925* oraz *Stare Siedlisko, rok 1952*. Te wiersze (tu nie ma wątpliwości co do ich genealogicznej przynależności) mogły powstać wszędzie i kiedykolwiek – wyprawa autorki na Białoruś nie musiała być jakimkolwiek impulsem ich napisania. Druga, „wewnętrzna” klamra, to wiersz inicjujący (*Początek drogi*) i zamykający (*Powrót*) główną, „podrózną” część tomu; część nazwana została osobnym tytułem: *Lipiec na Białorusi, rok 2018*. Ekfrazy komponują tom, zaś wiersze z wewnętrznej klamry tłumaczą początek tej części jako potrzebę rewizji i korekty postpamięci oraz wyjaśniają koniec – jako pogodzenie się ze skorygowanym, w stosunku do legendy, jej obrazem. Charakterystyczne, że ostatni wiersz tej części, *Powrót*, zapowiada również ponowną wyprawę – co nie dziwi, gdy przypomniemy, że Hirsch odwiedzała Czernowitza czterokrotnie. Do problematyki prób rekonstrukcji obrazów z postpamięci należą również dwa znamienne wiersze, w których występuje kuzynka poetki, Witalij: *Nocny Mińsk z Witalikiem* oraz *Pożegnanie z Witalikiem*.

Większość tekstów z środkowej części pierwotnie była notatkami do fotografii, które robiła autorka podczas podróży. Zapiski te nie powstawały „z zamiarem bycia wierszami” ale po to, by w przyszłości nie zapomnieć, czego

zdjęcia dotyczą – jak wyjawia Fietkiewicz-Paszek w jednej z rozmów. Stąd heterogeniczność tych tekstów, ich erudycyjny charakter, sprozaizowanie, „reportażowość”, przypisy i ilustracje. Raczej, w przeciwieństwie do wierszy wskazanych w poprzednim fragmencie bieżącego paragrafu, nie przyczyniają się one do kreacji miejsca autobiograficznego (Czermińska) – trudno sobie bowiem wyobrazić, by mieszkający we wsi Kamionka w rejonie osmiańskim kilkuletni wówczas chłopiec, ojciec poetki, na dodatek podczas II wojny światowej, był w Grodnie czy Mińsku i zachował o tym pamięć, którą następnie przekazał. Jeśli mówić o rodzinnej legendzie (*Dla najmłodszych / wasza historia stawała się z czasem legendą – \*\*\* mogli was przesiedlić...*) – to pamięć Białorusi przekazywana była raczej przez pokolenie dziadków (i, być może, ich rodzeństwa), genealogicznie stawiących wspólne korzenie zarówno autorki, jak i Witalika (*Łączy nas krew, Witaliku – Pożegnanie z Witalikiem*). Autorka – jak sama o sobie mówi w rozmowie z Robertem Kucińskim – jest „zwierzęciem kulturowym”; „te wątki kulturowe, literackie, historyczne, mniej i bardziej dramatyczne musiały się tam przewinąć” – dodaje. Stąd, w tej części tomu, dokonuje się przede wszystkim „podróż w głąb czasu”, odkrywanie warstwa po warstwie miejsc-palimpsestów. Z tym, że te miejsca – łączące z niezwykle dramatycznym Trościancem, dokąd przyprawdza autorkę kuzyn, Witalik – nie są już terytoriami (auto)biografii i nie zmienia tego nawet obecność Witalika: zewnętrzne zdarzenia historii i ich opisywanie, metodą odszyfrowywania palimpsestu, biorą górę nad praktykowaniem postpamięci.

## 8.

W jednym z początkowych paragrafów tego eseju zadałem pytanie o to, co takiego ważnego i wartościowego jest w *Lipcu na Białorusi*, powodującą, że tom ten został nominowany do nagrody „Orfeusza”. Profesor Ławski, głoszący laudację książki podczas gali konkursu w Praniu, prócz podkreślenia przemysłowej konstrukcji tomu, surowości języka (odpoetyzowania? sprozaizowania?) i konkretności opisu (reportażowości?), nie pomijając potrzeby autorki, by zweryfikować postpamięciowe rodzinne obrazy, zwraca uwagę na realistyczny (by nie powiedzieć „polityczny”) aspekt książki; przytoczmy: *Dzięki temu, tej surowości poetyckiego dziennika, i nieomyślnej intuicji poetyckiej udaje się uchwycić coś z ciemnego geniuszu (locus horridus?) tej ziemi pochodów ludów i nacji, jaką od wieków jest Białoruś. Pokazać ją jako wielką inscenizację: państwa, nowoczesności, osobnej historii, a przede wszystkim inscenizację wolności i tożsamości. Wszystko tu jest pozorem, migawką, przekazem monumentalnie zwielokrotnionym, który budzi podejrzenie: hołd ofiarom Holocaustu, muzeum Mickiewicza, sterylność i oświecenie Mińska: wszystko podejrzane, wszystkiego za dużo. Coś próbuje się tu ukryć, coś nadpobudliwie przekazać*.

Dopowiedzmy jeszcze i to, że z utworami Izabeli Fietkiewicz-Paszek łatwo się utożsamiać: wielu z nas ma przodków urodzonych poza obecnym, pojałtańskim kształtem Polski. Wśród nich są i tacy, zapewne szczególnie w starszym pokoleniu, którzy skwapliwie przeszukują rodzinne archiwa i albumy ze zdjęciami – o ile zostały one zachowane. By kontynuować wojnę na pamięć (*Powrót*); dokładnie: by bronić zachowania pamięci przeciw zazwyczaj dyktowanemu polityką jej wymazywaniu i zawłaszczaniu. Zarówno w wymiarze jednostkowym czy szerzej: rodzinnym – jak wreszcie zbiorowym. Bowiem zdaje się, że na tym zasadza się wartość literatury i jej żywotność: jest czytana wtedy i tak długo, gdy i dopóki mówi czytelnikowi o jego świecie. A przecież obecny, teraźniejszy świat, nie pojawił się znikąd.

JANUSZ TARANIENKO



„Chyba domyka się jakiś krąg” – pomyślałem, gdy niespodziewanie wpadłem na nią w centrum Valdivii, małej miejsciny na wybrzeżu Ekwadoru, słynącej z tego, że prawdopodobnie właśnie stąd, tysiące lat temu, jakiś dawny pra-lud rozprzeczł się na północ i południe, dając początek wszystkim prekolumbijskim kulturom Andyjskim.

– Witaj, witaj! – zawołała, bo też mnie poznała. – Co za spotkanie!

Była to Ruth Shandy – znana peruwiańska archeolożka, która jakiś czas temu oprowadzała mnie po Caral – miejscu, które kilka lat temu przyniosło jej sławę i prawdziwe naukowe ostrogi. Co ją jednak sprowadziło tu? Do Ekwadoru? I co za zbieg okoliczności, że akurat ja teraz tu byłem, zbierając się do podróży na północ.

– Co tu robisz? – ubiegła moje pytanie. – Zostanę wzwana na pomoc.

– Przez kogo? Przez prezydenta Ekwadoru?

– Przez moją koleżankę, też archeolożkę, Carmen Rosę. Chciała pokazać mi to, co tu znalazła, bo nie była pewna, czy dobrze czyta ziemię.

– Czyta co?

– Ziemię. My tak o tym mówimy. To znaczy – chciała wiedzieć, czy dobrze interpretuje to, co znalazła.

I znów mnie wyprzedziła:

– Oczywiście chciałbyś to zobaczyć?

– A ty chciałaś mi to pokazać?

– Jasne, bo to naprawdę niezwykle.

Teraz stałem z nią na wysokim wzgórzu, do którego podnóża dojechaliliśmy jeepem Carmen Rosy, której w Valdivii akurat nie było. To wzgórze w dalekiej przeszłości było piramidą zbudowaną z „adobe” – cegły suszonej na słońcu; piramidą, która – przez upływ czasu, erozję, zjawisko „nino” i przychodzących tu przez stulecia ludzi – zmieniła się w pagórek o podejrzanie regularnych kształtach.

Widok stąd rozciągał się przepyszny.

W dali było widać ocean, który jaśniał w lekko zamglonym słońcu i miał barwę srebra. Samej linii brzegowej nie było widać, bo zastąpiła ją pas świeżej zieleni, canaveral – seledynowe pole trzciny cukrowej.

– Rzeczywiście, widok przepiękny! – powiedziałem.

– Nie o widok chodzi. Spójrz w dół!

U podnóża wzgórza znajdował się wielki świeży wykop. Nie można było mieć wątpliwości, co do jego charakteru. Był to ogromny prekolumbijski masowy grób. Zaczętem się w niego wpatrywać. Najpierw tylko porażał swoim rozmiarem i liczbą zgromadzonych w nim ludzkich szczątków, ale po chwili zaczętem rozróżniać coraz więcej szczegółów i pojmować jego nielogiczną logikę.

– Przyjrzyj się dobrze. Bo to nie jest pierwszy lepszy grób. To grób, w którym tylko jedna osoba w momencie pogrzebu była martwa, a wszyscy pozostali, gdy ich zasypywano ziemią, wciąż żyli.

Chciałem coś powiedzieć, ale momentalnie zaniemówiłem.

Wpatrywałem się w dół z coraz większą intensywnością. Rzeczywiście! We wschodniej części wykopu spoczywały zwłoki, nazwijmy go tak, głównego zmarłego – tego, który był chowany po śmierci. Prawdopodobnie był to jakiś wódz, naczelnik, bardzo wysoki urzędnik lub ówczesny prezes, czy znakomity

nadredaktor. Jego zwłoki spoczywały na ozdobnym łożu, z podkurczonymi nogami i prawą dłońią złożoną pod policzkiem. Na łożu znajdował się pióropus z piór, które – mimo upływu ponad tysiąca lat – wciąż zachowały kolor. Wokół łoża znajdowały się przedmioty należące do zmarłego, w tym liczne naczynia. W pobliżu pogrzebano też pewną liczbę zwierząt domowych – papugi i świnki morskie. Te pierwsze musiano przywieźć tu aż z selwy, drugie – z wysokich gór, a co najmniej z wyżyn.

Pozostała część wielkiego grobu zajmowały zwłoki innych ludzi. Mimo niższej ich rangi, była to najciekawsza część wykopu, bo – tak jak mówiła Ruth – najwyraźniej pogrzebano ich żywcem. Było to widać na pierwszy rzut oka. Nie byli skrępowani, nikt nie wypychał ich do grobu przemocą. Wszli tam sami – z własnej woli. Co prawda (co także można było wyczytać z układu zwłok), większość z nich, w ostatniej chwili, gdy już było za późno i z góry wałyły się na nich sterty piachu, próbowali ostonić twarze, wciskała się pod łożę zmarłego i próbowała ostonić się czymkolwiek, co było pod ręką. Jedna z kobiet przyciskała na przykład do twarzy kolorowy pióropus; inni – ogarnięci przerażeniem, rozpaczą i cierpieniem, dławiąc się i dusząc, z nozdrzami i gardłem wypełnionym piaskiem, tracili poprzednią determinację i próbowali się ratować. Ale sypiący piasek najwyraźniej znali swój fach i robili to szybko, sprawnie, nieubłaganie: wiedzieli, że nie są katami i wykonują tylko wolę tamtych. Bo w natłoku ludzkich szczątków można było wypatrzeć także przykłady niezwyklego opanowania, wytrwałości do ostatniej chwili oraz fanatyzmu: ludzi, którzy przyjęli śmierć nie czyniąc ani jednego ruchu i którzy układali się w pozycji, która naśladowała ułożenie wielkiego zmarłego. Takich przykładów nie było wiele, ale były.

– Najbardziej frapujące jest to, że te koszmarnie ofiary były dobrowolne – Ruth zaczęła mówić dopiero po dłuższej chwili, gdy oszołomiony nieco cofnąłem się od krawędzi wzgórza. – Dokładnie przebadałam cały wykop; właśnie po to tu przyjechałam. Nie znalazłam żadnego śladu przymusu. Ci ludzie sami schodzili w głąb grobu, gnani tam albo przez religie, albo tradycję, albo jedno i drugie – lub przez jeszcze coś innego. Szli z własnej woli, choć wiedzieli, co ich za chwilę spotka. Niekiedy w ostatniej chwili pewność ich opuszczala i wtedy znów stawali się ludźmi, których jest nam łatwiej zrozumieć. Ale wtedy było już za późno. Z dołu nie było się jak wydstać, bo od tyłu napierali następni, którzy nie chcieli się spóźnić. Piach ich powalał, wypełniał im usta – tonęli w nim szybciej niż w wodzie. Czy bardzo cierpieli? Zapewne, najbardziej ci – a najczęściej były to młode dziewczęta – którzy w ostatniej chwili próbowali się schronić pod wielkim łożem zmarłego, bo dla nich trwało to dłużej.

– Może zostali odurzeni? Kaktusem San Pedro, koką? – próbowałem znaleźć jakieś wytłumaczenie.

– Nie sądzę – Ruth była sceptyczna. – W tym regionie, z tego co wiemy, nie używano halucynogenów na taką skalę, jak miało to miejsce w późniejszych okresach i bardziej na północ, i na południe. Poza tym – zauważ – jakby w grę wchodził narko-

tyczny trans, nikt nie miałby żadnej refleksji do samego końca. A widać, że wiele osób w ostatnim momencie nachodził najwzwyklejszy ludzki strach. Gdyby były one odurzone, coś takiego nie miałyby miejsca

Więc co to było? Co ludzi prowadziło do tego dołu?

Oczywiście można było spekulować, że dawka zaaplikowanego narkotyku nie dla wszystkich została prawidłowo wyliczona i dlatego niektórzy w ostatniej chwili przystomnieli. Ale ten argument – jakby go nie obracać w myślach – nie wydawał mi się zbyt przekonujący.

Co więc przed wiekami tu się działo i jak do tego doszło?

Czy Świątynia Ludu Jima Jonesa z Gujan, z początku lat 70.-tych XX wieku, miała tu jakiś swój wczesny pierwowzór?

Ale mogło być jeszcze inaczej. W grę mógł wchodzić jeszcze inny narkotyk.

Wiele gorszy.

Wyssany z mlekiem matki kult wodza – kult osoby, która dla tych ludzi utożsamiała wszystko, cały istniejący świat.

To, że ci ludzie zostali tak wychowani i ukształtowani, iż spoza tej jedynej osoby innego świata nie widzieli. I dlatego, gdy ten ktoś umierał, odchodził, sądzili, że lepiej – niż pozostawać bez świata i bez niczyjej opieki – wraz z nim, bez wahania, udawali się w ostatnią drogę.

ROMAN WARSZEWSKI

Migotania polecają

PROWINCJA

WYBÓR WIERSZY



MARIAN LECH  
BEDNAREK

Marek Wawrzekiewicz

Nie można tego z sobą powiązać. Nie obowiązuje chronologia. Nie ma wspólnej, scalającej fabuły, są fabułki. Nie ma w tym logiki. Życie jest śmieszkiem. Niekiedy malowniczym. Krajobrazy. Twarze. Zdarzenia. Strzępy. Okruchy. Pamięć pokruszona.

\*\*\*

Siedzieli na ławce w wielkim kościele i rozmawiali o miłości. Nie było w tym niczego erotycznego. Zapewniali się o miłości. Dozgonnej. Do końca życia. I runął na nich ogromny filar. Spełniło się.

Przeczytałem to przesło siedemdziesiąt lat temu, ale chyba dokładnie przytaczam słowa Romaina Rollanda. Nigdy nie wróciłem do tego opowiadania. Z pewnością przede mną przeczytała to moja matka.

\*\*\*

Jeszcze dawniej. Miałem pięć, albo sześć lat. Powiedziała, że muszę to umieć na pamięć, ale nie wolno mi tego śpiewać. Na ulicy. Przy obcych ludziach. Nie wolno, bo mogą zastrzelić i jać mnie. Matka uczyła mnie Mazurka Dąbrowskiego. Była całkowicie pozbawiona słuchu muzycznego.

\*\*\*

Siedziałem w fotelu i udawałem, że czytam. Do mamy przyszła jedenastoletnia dziewczynka. Przysłała ją uczennica mojej mamy, obecnie babcia albo prababcia, bo wnuczka, albo prawnuczka miała w szkole kłopoty z językiem polskim. Myślałem, że teraz nie zdałbym u mamy egzaminu z piątej klasy, tak, jak nie zdałem wielu innych. Mama mówiła. W pokoju latały zadania podrzędnie złożone, zaimki, przyimki, podmioty domyślne, cała gramatyka i ortografia. Moja mama miała wówczas dziewięćdziesiąt lat.

\*\*\*

Zapomniany pisarz rosyjski Lew Kassil, zapomniana jego książka „Szwambrania”, zapomniana lektura sprzed kilkadziesiąt lat. A jednak... Siedmioletni bohater tej powieści dowiedział się, że Ziemia jest okrągła. Zobaczył na podwórku kupkę piasku i zdecydował: w tym miejscu ziemia się zaokrągla. Wiedziałem, że się mylił, byłem przecież dwa lata starszy.

\*\*\*

*Rozciągał się przed nami zielony spokój grobów. Babel, „Tak to robiono w Odesie”.* Byłem w tym mieście kilka razy i nie sprawdziłem, czy groby są zielone i spokojne. Widziałem tysiące innych. Nie były zielone. Nie zaznałem spokoju. Moja mama spoczywa pod płytą z piaskowca.

\*\*\*

W wiejskich przydomowych ogródkach wieczorami upajająco pachniała maciejka. Nie potrafię opisać tego zapachu, ale nie mogę go zapomnieć, z pewnością rozpoznaliśmy tę woń spośród wielu innych. Zmysły tępieją, medycyna umie wspomóc słuch i wzrok, ale chyba nie ma sposobu na słabnące powonienie, które staje się coraz bardziej ograniczone i prymitywne. Skazane na sztuczne pachnidła, spaliny, zapach gotowanej po sąsiedzku kapusty, woń czosnku i cebuli.

Ludwika Włodek, prawnuczka Jarosława Iwaszkiewicza, otwiera w Stawisku szafę z jego ubraniami i zauważa, że garnitury, marynarki, koszule pachną starością. Jak pachnie starość? I – jeśli tak – to czy pachnie zbiorowo, czy indywidualnie?

\*\*\*

Sny rządzą się własnymi prawami, a jednym z nich jest alogiczność. W snach tłoczą

## OKRUCHY

się osoby, których od dawna nie ma. Nie były mi szczególnie bliskie i nijak nie wpłynęły na moje życie. A teraz są. W domu przypominającym mój rodzinny, ale wiele większy, kilka osób – domowników, gości? – pomagało mi w poszukiwaniu garnituru, których chciałem odziać. Kupiłem go wiele lat temu: granatowy, z delikatną jaśniejszą nitką. Prawie go nie używałem. Szukaliśmy, ale w kilku pokojach nie mogliśmy odnaleźć właściwej szafy. A gdybym to ubranie znalazł – czy pachniałoby starością? Czy może się śnić zapach?

\*\*\*

Celnik na lotnisku w Moskwie zapytał mnie, czy wywożę ze Związku Radzieckiego kamienie. Powiedziałem, że tak. Ale on miał na myśli kamienie szlachetne, a ja dwa kilogramy kamieni, które nazbierałem w Abchazji, na brzegu Morza Czarnego. Urzekły mnie barwami i kształtami wyrzeźbionymi przez morze i inne kamienie. Umieszczone w wielkim szklanym słoju nie wabiły oczu, ale po zetknięciu z wodą zyskiwały na urodzie. Był wśród nich niewielki, owalny kamyczek z dziurką, przez którą można było przeciągnąć rękę albo łańcuszek. I był też konik morski. Zasuszony, skamieniały. Doskonały. Żyjątko przemienione w kamień.

\*\*\*

Połowa lat sześćdziesiątych, sanatorium w Łądku Zdroju. Z Heleną, mistrzynią Polski w slalomie, chodziliśmy na subtelnie erotyczne spacerki. Ona o jednej, ja o dwóch kulach. Były to romantyczne i meczące marsze.

Profesor Kotarbiński, który przyjechał tu na kilka dni, maszerował zawsze przodem, dwa kroki za nim szła jego żona. Pierwszy wchodził do jadalni, a za nim... Był daleki, jakby wyalienowany. Któregoś dnia ośmieliłem się i powiedziałem: dzień dobry, Panie Profesorze. Popatrzył na mnie nieobecny wzrokiem i odburknął: ...dobry, dobry. Miał twarz, do której najbardziej pasował przymiotnik „szlachetna”. Ona o jednej, ja o dwóch kulach. Były to romantyczne i meczące marsze.

\*\*\*

Zasiedziałem się w Sopocie, byłem tam kilka dni przed festiwalem piosenki i kilka później. Codziennie późnym wieczorem wpadałem do tego samego baru, wstępnie zaprzyjaźniłem się z Karolem, barmanem. I co wieczór przychodziła ona. Karol przypalał jej eleganckiego papierosa i stawiał przed nią wymyślnego drinka. A ona bez ostentacji, ale też mało dyskretnie przeliczała marki, korony szwedzkie, funty i dolary.

Była niewysoka, smukła. Miała twarz onieśmielająco piękną. Gdyby nie niewielka blizna nad prawą brwią, co nadawało jej cechę realności, można by było pomyśleć, że ożył portret uduchowionej damy rodem z malarstwa lat dwudziestych minionego stulecia.

Barman Karol powiedział mi, że to najbardziej luksusowa kurwa sopockiego lata.

\*\*\*

Macedonia, lata siedemdziesiąte. Po Wieczorach Poetyckich w Strudze zawieziono nas do – Bitoli czy Prilepu? W ogromnym ogrodzie restauracyjnym zjedliśmy homeryckie ilości mięsa z grilla popijając to obficie „czarnym” winem Car Samuil. Tadzio Kijonka, smakosz i obżartuch, wyszedł do toalety. Podano kolejne półmiski. Wrzuciliśmy na

jego talerz osiem szaszłyków. Tadzio wrócił i z ośłupieniem popatrzył na stertę jedzenia. Nigdy na niczyjej twarzy nie widziałem takiego przerażenia.

\*\*\*

Początek naszego tysiąclecia. Znaliśmy pisarza Michaiła Kurajewa zawiózł nas na swoją dachę kilkadziesiąt kilometrów od Petersburga. Jedliśmy, piiliśmy, a potem poszliśmy nad pobliską rzeczka. Misza wlał do lodowatej wody i kilkanaście minut rozkosznie się pluskał. I śpiewał. Na jego twarz malowało się niezmiernie szczęście.

\*\*\*

Powinno to wiedzieć, zanim się tam wybrałem: zjazd kolejeński z okazji którejś tam rocznicy mojego liceum. Pojechałem, choć mam pewien defekt pamięci: pamiętam nazwiska, numery telefonów, od biedy potrafię datować wydarzenia z przeszłości, ale nie rozpoznaję twarzy.

Staliśmy z bratem przed wejściem do naszej starej szkoły, a z ulicy szła dorodna, wytworna pani. Podeszła, pocałowała mnie w usta i powiedziała: - a teraz będziesz się domyślał, kto cię pocałował. I rzeczywiście. Męczyłem się przez pół oficjalnej uroczystości, aż się dowiedziałem: to była dziewczyna, która chodziła do tej szkoły niespełna rok. A powiedziała mi o tym moja ukochana z dziesiątej klasy. Tę rozpoznałem, choć było jej dwa razy więcej. Rozpoznałem po oczach: była zezowata.

\*\*\*

Przeszło pół wieku mówił, ja słuchałem. Ostatnie trzy lata były trudne. Po amputacji krani zapisywałem na karteczkach pytania, a ja odpowiadałem. Nie przywykłem do tego, a musiałem mówić za wszystkie minione czasy. Staliśmy nad jego trumną we trzech, Ewa kłęczała. Krzysio. Gąsior. Gąsiorowski. Miał spokojną, zamyśloną twarz. Jakby już wszystko powiedział. Nieprawda. Mówi. Wracam do jego wierszy.

\*\*\*

Poszliśmy w kilka osób pożegnać Małgosię. Zobaczyłem ją z daleka, z drzwi prosektoarium. Odepchnąłem Marcina, nie chciałem, żeby taką zapamiętała matkę.

W trumnie leżała obca, wychudzona starowinka. Miała wówczas czterdzieści jeden lat.

\*\*\*

Twarze moich najbliższych. W piasku, glinie, popiele.

\*\*\*

Czas zmienia twarze. Piękne zniekształca, czyni je pospolitymi. Inne – co jest rzadsze – uszlachetnia, sprawia, że myślimy: jaka to kiedyś była piękna kobieta! A niekiedy przeinacza tak, że nie poznajemy ludzi, z którymi przeżyliśmy kilka lat. I to jest ich i nasza wina. Czyli niczyja, bo to wina czasu, który nas też zmienia.

Portrety naszych najbliższych, którzy odeszli wiele lat temu, rysujemy nie z pamięci, a z wyobraźni. Oglądamy stare fotografie i nie wierzymy im. Pamięć zwietrzała, zmurszała. Wyobraźnia jest młoda. Myślimy o tych, których nam ciągle brakuje i widzimy ich takimi, jakimi maluje wyobraźnia. Przecież Małgosia, moja żona, wyglądała inaczej, ja to wiem. Moja matka nigdy nie była taka stara. Moi zmarli przyjaciele, starsi ode mnie i rówieśni, są coraz młodszy. Fotografie kłamią.

\*\*\*

Piaszczysta, leśna droga z Gib na Rygol. Po prawej stronie kwitnące dzikie róże. Już

daleko od warkotu cywilizacji, od bełkotu ludzkich głosów. Tylko dziesięć kilometrów wyżej przelatuje niekiedy samolot – to jest korytarz powietrzny na północny wschód. Dostoja Puszczą Augustowską. Trochę dalej, za różanym żywopłotem otwiera się niewielka polanka. Po jej południowej stronie jest gniazdo kruków. To rzadki ptak, trzeba długo czekać zanim przyleci na dwumetrowych skrzydłach. Naszego orła białego z przyjemnością ogląda się z profilu. Z en face ma bezmyślną mordę. Kruk jest mądry.

\* \* \*

Południe Chin, upał, lipiec. W nocy tropikalna ulewa. Rano wiozą nas nad wielkie jezioro. Zawsze myślałem, że malarstwo chińskie jest mało realistyczne, baśniowe, upiększające. A tu zobaczyłem mgiełkę podnoszącą się z wody i jej kłaczkę w zaroiach i wielki krople wody spadające bezgłośnie z liści bambusowego lasu. Chińskie malarstwo jest realistyczne.

\* \* \*

Nawet w najbardziej upalny dzień w stumetrowym tunelu utworzonym przez korony starych kasztanów było chłodno. Po bruku dochodziłem do zawsze rozwalonej bramy, przekraczałem drogę ze szczątkami lichego asfaltu i wchodziłem na piaszczystą dróżkę przypominającą jasną rzekę. Po prawej stronie dróżki-rzeki rości siedem drzew czereśniowych. Potem przejeżdża kolejowy, a za nim struga ze starym młynem (Iwazkiewickie młyny nad Kamionną, Utrać...). Struga była bezmienna, wpadała do Ochni, a ta wpływała do Bzury. Za strugą – las. Las w moim dzieciństwie był ogromny, potem malał, bo dorastałem. Z lasu dochodziłem do małego, wiejskiego cmentarza. Tak właśnie powinno być.

\* \* \*

Świtato. Patrzyliśmy przez okno na bezludne ukraińskie przestrzenie. Porastał je perz. Rysio Ulicki powiedział, że jest to perz hodowany na skalę przemysłową. Na życiodajnym ukraińskim czarnoziemiu. Specjalne uprawy odporne na mróz, upał i powódzie.

Przypomniałem sobie: pewien pisarz, wcześniej dyrektor PGRU, odwiedził radziecką wieś kołchozową, aby opisać jej uroki. Wrócił wstrząśnięty, ale tylko jedno zapamiętał najmocniej: dwa kilometry biegnące buraczków. Przeliczyłem: mieszkańcy stu-tysięcznego miasta jedliby botwinkę przez cały rok. Codziennie.

\* \* \*

Drugą po Suwalszczyźnie najpiękniejszą krainą na kuli ziemskiej jest Karelia. Wysokie pagórki, las (tajga?), olbrzymie głazy polodowcowe, dzikie jeziora, bystre strumienie. I brzozy. Nie delikatne jak nasze, a potężne, masywne drzewa. Wasilij Szukszyn, pisarz, reżyser i aktor, jako bohater filmu „Kalina krasnaja” opuszcza więzienie, w którym siedział kilka lat. Idzie przez brzozowy las, głąska brzozy, przytula się do nich i mówi: - ech wy, narzeczone moje...

\* \* \*

Ciepły październikowy poranek, rachityczny, rzadki lasek w pobliżu stacji kolejowej Strzelce. Słońce. W słonecznym świetle pajęczyny, a na nich kropelki rosy. Świat spowity pajęczyną.

\* \* \*

W Picundzie nad Morzem Czarnym wieczór trwa chwilę. Dzień zapada się w noc. Noc jest głęboka jak artezyjska studnia i jeśli nie ma księżycy to rozświetlają ją gwiazdy. Miliardy gwiazd, jasnych, wielkich. A z kamienistej plaży dobiegają głosy bezdomnych kochanków. Noc jest ich sypialnią.

\* \* \*

Mierzeja Kurońska, Droga do Nidy. Po

jednej stronie morze, po drugiej zatoka. Las na piaskach. I kilka kilometrów zgłiszcz. Czarne kikuty drzewek sterczące ze zwęglonej ściółki.

\* \* \*

Nasz dom, jedyny, jaki mamy, płonie, tonie, popada w ruinę. A my w tym domu żyjemy, płodzimy, bawimy się, spoglądamy w przeszłość. Usłyszałem od kogoś: - natura, przyroda mści się. Nie, ona tylko ostrzega, wprowadza korekty: powódzie, tajfuny i huragany, wielkie pożary, trzęsienia ziemi, susze. Ale niebawem przejdzie do prac redakcyjnych: będzie usuwać całe fragmenty i stronice tekstów naszego autorstwa. Poradzi sobie bez nas. Szymborska: *a my wiecznie jacyś tacy, a my w czapkach z dzwoneczkami, w ich dzwonienie barbarzyńsko zastuchani.*

\* \* \*

Nad Newą, resztki białych nocy. Siedzieliśmy na kamiennym nabrzeżu. Zanurzyła rękę w wodzie i potarła usta. Chciałem powiedzieć, że zazdroścę wodzie, ale bardzo źle mówiłem po rosyjsku i nie wiedziałem jak w tym języku brzmi słowo „zazdrość”. Poznałem je później, a jeszcze później opowiedziałem jej o tym. Rzekła, woda, usta. Nie pamiętała. Werłyński, zapomniany rosyjski pieśniarz: *Gdzie jesteś dziś? Kto twe całuje palce?*

\* \* \*

Szpital, listopad, wieczór. Wychodziłem stąd drugi raz tego dnia. Pochyliłem się, żeby pożegnać. Nagle namiętnie i długo zaczęła mnie całować. Powiedziałem: - Kochanie, zaczynasz zdrowieć... Zmarła dwa tygodnie później. Potem zrozumiałem. Chciała mi powiedzieć, że jeszcze jest kobietą.

\* \* \*

Które początki dokładniej pamiętam? Te rzeczywiście, czy te, które się nie zdarzyły, choć, na miłość boską, powinny?

\* \* \*

Odwiedziłem kilkadziesiąt krajów Europy, Azji i Afryki, ale mieszkam w Polsce. Jestem mieszkańcem tego kraju. Obywatel. Rosyjskie słowo z carskich czasów brzmi „poddany”. Może jest właściwsze?

Mieszkam w tym samym kraju. Czy aby na pewno? W czasie mojego życia ten kraj zmieniał się kilkakrotnie. Od niepodległości, przez okupację, tzw. socjalizm do tego, co jest dziś. Co jest dziś? Od świeczki przez lampę naftową do różnokolorowego morza reklam. Od – do. A potem dalej.

Żyłem w kilku rzeczywistościach. Jako człowiek dorosły akceptowałem je (może z niedostatku wyobraźni), albo się z nimi nie zgadzałem. Ale może jest coś takiego: niezgodna akceptacja?

Zapewne doznaje tego uczucia wiele osób, które pozostały w tyle za rozwojem cywilizacji. Określam to uczucie, jako pogodna rezygnacja. Owszem, korzystam z komórki, ale nie nauczę swoich palców migania po klawiaturze w celu zawiadomienia kogoś SMSem, że jeszcze jestem. Postępuję się komputerem tak jak kiedyś postugiwałem się otówkiem, stalówką maczaną w atrament, wiecznym piórem, maszyną do pisania. Prawie nie korzystam z encyklopedii, bo przecież jest Wikipedia, rzadko ręcznie piszę listy, bo są elektroniczne. Ale coraz mniej rozumiem – choć się staram – rzeczywistość. Doświadczam tego, kiedy słucham niektórych naszych polityków. Wtedy wracam do Jarostawa Haska. Cytuje z pamięci dialog nadporucznika Lukasa ze Szejkiem;

Lukas: - Powiedzcie mi, Szejku, czy można być takim idiotą?

Szejk: - Melduję postuszenie, panie oberlejtant, że można.

Czytajmy „Przygody dobrego wojaka”. Wszystko staje się jasne.

\* \* \*

Było to w Łodzi. Panowała antysemitcka kampania. Partia organizowała wiece poparcia dla towarzysza Gomułki. Z ciekawości poszedłem na jeden z nich. Mówcy gniewnie czytali z kartek, płatali się przy słowach i zwrotach, których na co dzień nie używali. Plac wypełniony był tłumem zmęczonych ludzi. Nad tłumem górowały transparenty. Znużony facet w średnim wieku dzierżył transparent z hasłem: Precz z filozofią Kołakowskiego! Poszedłem. – Panie, kto to ten Kołakowski? – A chuj go wie.

\* \* \*

Nasze czasy. Mam wieczór autorski w Nowym Sączu. Przez prawie dwie godziny publiczność dobrze słucha. Mówię o Związku Literatów, o jego dziejach, o wybitnych postaciach, o historycznych zawikłaniach i meandrach. Pod koniec zabiera głos zmarszczony srodeż pan. Publiczność natychmiast zaczyna wychodzić, zna go. Mój słuchacz powiada, że Związek jest organizacją zbrodniczą. Że nie tylko niewolił, ale też był zniewolony – Iwazkiewicz, Szymborska. Zniewolony był Stonimski. (Ciekawe, co by na to powiedział Adam Michnik). Ten pan ma swoją teorię, niepodległą rozsądkowi i faktom. Niczego nie czytał, ale wie. Nie sposób dyskutować. Trzeba wrócić do Haska.

\* \* \*

Mój syn był w czwartej klasie. Odrabiałem z nim matematykę i trakcie tej burzliwej pracy nazwałem go matolem. Poderwał się i krzyknął: - ty obrażasz moja osobistość! To wspomnienie porusza do mnie, kiedy słyszę dygnitarza mówiącego o sobie: moja osoba, moja osoba, o mojej osobie, zamiast: ja, mnie, o mnie. Jest to zwrot majestatyczny świadczący o chorobie, która kiedyś nazywała się mania grandiosa. Według Sienkiewicza w „Pocie” król Jan Kazimierz oświadcza: własną osobą stanęliśmy na Śląsku.

Jan Kazimierz też był kiepskim władcą.

\* \* \*

Stefan Kisielewski w jakimś felietonie z zamierzonych czasów zdiagnozował przyczynę złamań rąk, nóg, a nawet kręgosłupów, którym ulegają osoby w podeszłym wieku podbiegając do autobusu czy przeskakując dwa stopnie schodów. Jest to wynik opozycji: duch jest młody, a ciało już mdłe. Duch twierdzi: możesz, a ciało odmawia. Kisiel miał tylko częściowo rację, bo co mają powiedzieć ci, którzy się połamali we własnym mieszkaniu, a na kafelkach w łazience nie było ani kropli wody?

To jest rozważanie tylko dla tych, którzy dorosli. Do starości. Przeczytałem kiedyś, a może sam wymyśliłem: starość to nie jest stan, kiedy się nie może, to jest stan, kiedy się nie chce. Nie dzieje się to nagle, a stopniowo. Aż dochodzi się do harmonii: nie chce się i nie można.

\* \* \*

W wierszu dedykowanym Śliwonikowi napisałem: *Sifacz odwrócony./ To nie on dźwiga kamień./ To wiersze go noszą.* Napisałem, bo zobaczyłem jak Romek wspina się na przyjazne schody Domu Literatury. Jeszcze wtedy chodził. Stosunek do schodów jest wyznacznikiem starości.

\* \* \*

Kilkanaście lat temu byłem po raz drugi pojechałem do Wietnamu i po raz drugi byłem w zatoce Ha Long. Jest to jeden z cudów świata. Z lazuru wody zatoki wyrasta prawie dwa tysiące ogromnych, kilkusetmetrowych gór porośniętych bujną roślinnością. W kilku z nich są wielkie jaskinie.

Byłem w tej samej, ale wyglądała inaczej. Zbudowano w nie schodki, pomosty, oświetlono disneyowskimi reflektorami. Woląłem tamtą, sprzed lat. Była autentyczna, pierwotna. Poem trzeba było z dużej wysokości dotrzeć do niewielkiego stateczku, który mnie tu przywiózł. Schody były zbudowane prowizorycznie z betonowych płyt. Było przepaścisto. Schodziłem z przekonaniem, że to się źle skończy. I rzeczywiście, trzy metry przed celem poleciałem w dół. W ostatniej chwili złapało mnie dwóch Chińczyków z Tajwanu. Ta przygoda przypomina mi się często na peronie Dworca Centralnego w Warszawie: schody ruchome jadą w dół, a te, którymi chcę wjechać do góry, przeważnie stoją. Ale przynajmniej są poręczne. Preferuję schody z poręczami.

Jak każdy mężczyzna, który miał żony, jestem feministą. Jako taki z przyjemnością przeczytałem niedawno wywiad z pewną feministką. Ale! W pewnym momencie mówi ona, że schody są zaprojektowane i zbudowane przez mężczyzn, tak, żeby były one dla nich, a nie dla kobiet, wygodne. Czy może się nad tym nie zastanowić mężczyzna 172 cm wzrostu, numer obuwia 40? Wszak z dużym powodzeniem zakładałem kilkakrotnie szpilki różnych pań. Do mieszkań w holenderskich blokach wiodą schody, których stopnie są tak wąskie i płytkie, że pół obcasa wiśi w powietrzu. Czy to znaczy, że schody te projektowały kobiety dla kobiet, tak, żeby nawet małowymiarowy mężczyzna się męczył?

Mocnym dowodem na mój feminizm jest fakt, że wygrałem konkurs, w wyniku którego trzy lata byłem redaktorem naczelnym tygodnika „Kobieta i życie”. Wiadomość o tym wzbudziła sensację: chłop na czele babskiego pisma? Przyjaciele tłumaczyli zdumionym, że to dlatego, iż znam się na kobietach i na życiu. Prawda jest bardziej złożona: na życiu się znam, a na kobietach ani trochę. Choć długo ten temat zgłębiałem. Jeśli nie ma w tym elementów erotycznych, to przyjaźń między kobietą a mężczyzną może być głębsza i pełniejsza niż inne. Ale zdarzają się komplikacje: przyjaźń zamienia się w miłość. Albo: przyjaźń jest nieszczerą, fałszywą, bo ona czy on nie chcą lub nie mogą się przyznać, że chodzi o inny związek. Komplikacji jest jeszcze z tuzin.

Kobiety mi imponują, podziwiam je. Ale też budzą we mnie nieustanne zdumienie. Niekiedy potączone z łagodną irytacją.

Prowadziłem kiedyś kilkudniowe warsztaty literackie. Wieczorem przychodziło do mnie kilka uczestniczek. Wszystkie mówiły równocześnie. Rozumiałem, że nie chcą niczego słyszeć, że muszą powiedzieć. Ale może są obdarzone trzecim uchem, co pozwala im jednocześnie mówić i słuchać? Świat zalewa nas błotną lawiną informacji. Doszedłem wtedy do wniosku, że epicentrum tego globalnego zgiełku znajduje się w moim pokoju hotelowym. Jestem feministą.

Siedzimy przy stole, ktoś coś mówi, opowiada. Jedna z pań podnosi się żeby przesuwać czyjś talerzyk, kieliszek, szklanę. Ale nie robi tego w milczeniu. Mówi: - przesunę ten kieliszek, tę szklanę, ten talerzyk. Często też uzupełnia tę kwestię drobiazgowym wyjaśnieniem, dlaczego to robi. Mówca traci wątek. Jestem feministą.

Zagadka: w pokoju jest pięć osób i pięć krzesel. Ile osób może usiąść? Trzy. Dlaczego tylko trzy? Bo dwa krzesła zajęte są przez damskie torebki. Jestem feministą.

\*\*\*

Kobietom zawdzięczam odkrycie, że czas jest rozciągliwy. Za godzinę mamy spotkanie. – Jesteś gotowa? – Oczywiście. Zakładam płaszcz, podchodzę do drzwi. Acha, jeszcze odrobinę perfumy na łabędzią szyję. Jeszcze rewizja torebki – wyrzucić nieważne bilety, papierki od cukierków, zastanawia się nad karteluszkami z jakimś zapiskiem, telefon na stół. Stoję w drzwiach. Jeszcze krótka wizyta w kuchni. Telefon do torebki. Jeszcze chwila namysłu – a może jednak wziąć sweter? Bierze. Rezygnuje. Stoję. – Gdzie mój telefon? – torebka jeszcze raz. Stoję. Podchodzi do drzwi. – Zabrałam telefon? Mógłbym zawyć albo się rozplakać. Ale jestem feministą.

\*\*\*

W Chinach bywałem w super eleganckich restauracjach na niestychanie wytwornych kolacji. Raz zdarzyło mi się jeść na złoczonych talerzach hebanowymi pałeczkami ze srebrnymi okuciami. Używanie wykałaczek i bekanie jest przyjęte i stosowane. Natomiast z innymi, tylnymi odgłosami należy się wstrzymać aż do zbiorowego wyjścia z lokalu. Wtedy – że tak się wyrażę – hulaj dusza.

\*\*\*

Leningrad, wczesne lata siedemdziesiąte. Lubię rosyjskie potrawy, ale po dwóch tygodniach frochę mi się znudziły. Szedłem Litiejnym Prospektem i zobaczyłem stojący na chodniku stragan. Smród spalin, kurz, hałas. Na straganie kurczaki – chude, z długimi sinymi nogami. Opryskliwa sprzedawczyni chwyciła za te sine nogi i wręczyła mi kurczaka. Zapytałem jak go, takiego gołego,

będę wiozł tramwajem. Gniewnie wskazała mi kiosk z gazetami. W domu Maksimowych rozpakowałem kurczaka z „Leningradzkiej Prawdy”, wykąpałem i zrobiłem – po polsku, z nadzieniem. Smakował.

Nie ma już tych, z którymi jadłem kurczaka, mizerię i ziemniaki. Nie ma Witii, Lili i Toli. Kilka razy na cmentarzy pisarskim w Komarowie składałem goździki na porośniętych trawą mogiłach.

\*\*\*

Jeśli pamiętam – potop trwał czterdzieści dni i nocy. Co na arce Noego jadły zwierzęta? Dobrze było tylko rybom i innym stworom morskim. Wody były czyste.

\*\*\*

Widziałem zgłiszczca lasu, ale on nie sponął. Rozmnożyły się kormorany, które tu zrobiły sobie toaletę, a ich odchody są niszczące. Powiedziano mi, że po kilku latach las się odradza. Odpady pochodzące z ludzkiej działalności rozkładają się całe stulecia.

\*\*\*

Kiedy to piszę wznosi się czwarta fala epidemii. Wulkan na Wyspach Kanaryjskich kaszle i pluje lawą. Wybucha inny wulkan, wprawdzie gdzieś daleko, ale chmury popiołu podobno dotrą do Europy. Nie lubi nas natura? A ma za co?

\*\*\*

Napisał Miłosz:

Gdzież jest, poeto, ocalenie?

Czy coś ocalić może ziemię?

Złe pytania. Nie ma ocalenia.

MAREK WAWRZKIEWICZ

**Wydanie książki jest teraz takie proste**  
**napisz joalike@gmail.com**  
**i dowiedz się więcej**

W stronę zdrowia  
 Profesor Jerzy Łukasiak



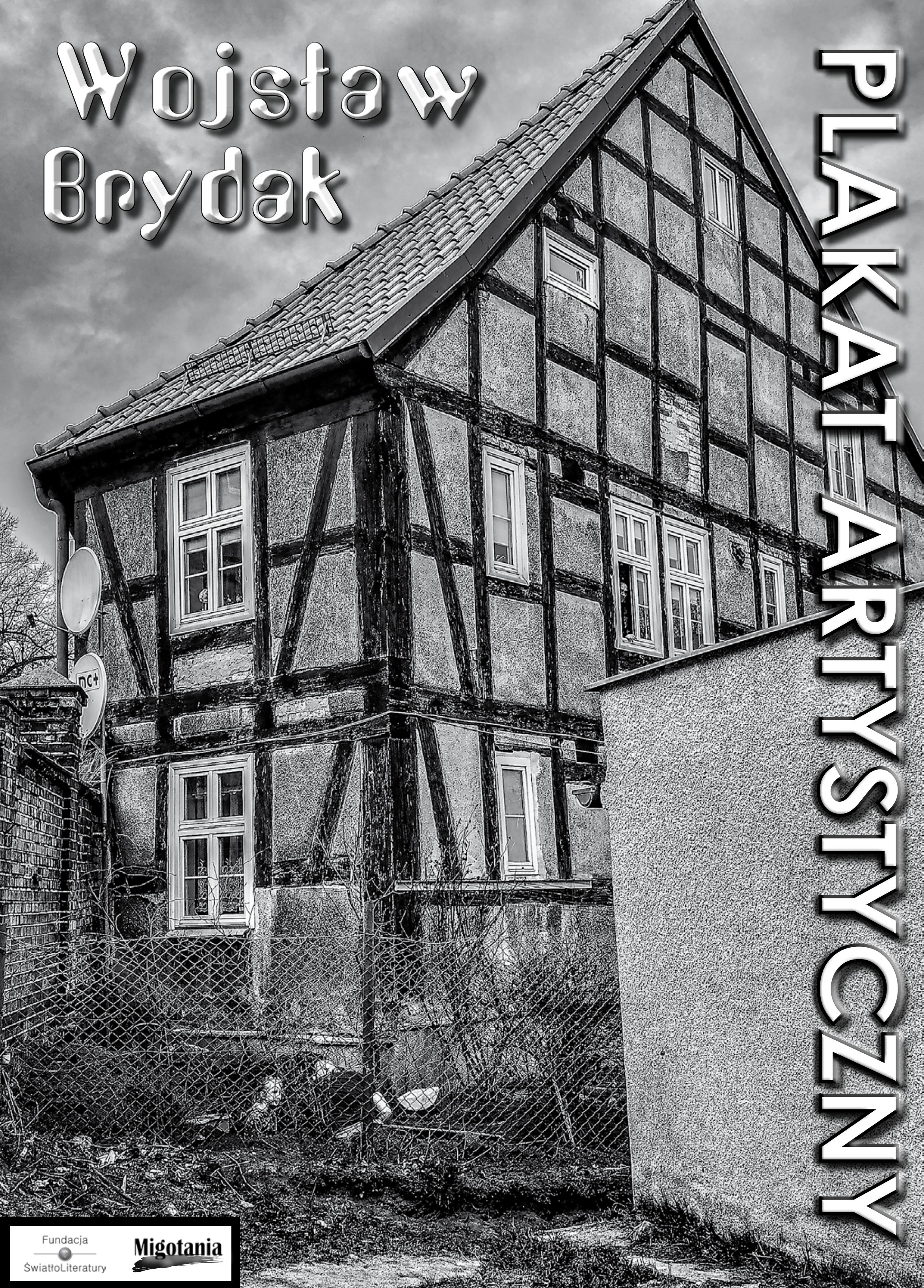
roman warszewski  
 żeby miało ręce i nogi



Polecamy najnowsze książki Fundacji Światło Literatury, chcesz zakupić lub wydać swoją książkę, skontaktuj się przez adres emailowy Migotań: joalike@gmail.com

Wojstawa  
Brydak

PLAKATARTYSTYCZNY



# ANDRZEJ WOŁOSZEWICZ

## Śmierć gadającego fotela

*pamięci Krzysztofa Gąsiorowskiego*

pojechałem po książki

Krzysztof siedzi w fotelu  
ledwie go z niego widać  
(są w tym samym kolorze)

tylko głos i fotel  
gadający fotel

gadający fotel skarży się  
na zbyt szybkie godziny

mówi: wstaję  
ledwie zjem śniadanie  
a już jedenasta

to było dwa lata temu

teraz gadający fotel  
gada wyłącznie wierszami  
zaklętymi w tomiki

siedzę naprzeciwko i wsłuchuję się  
próbując zrozumieć wszystkie aporie

jak czynił to sam Krzysztof  
jeszcze dwa gołębie temu

PLAKAT POETYCKI